



SALAMANDRA

WODA OMYWA

KAMIEN

Eliot Pattison

Kontynuacja nagrodzonej
Edgar Award *Mantry czaszki*



PATTISON ELIOT
Inspektor Shan 02: Woda omywa
kamien

ELIOT PATTISON
Przełożył Norbert Radomski
DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ
2003

Tytuł oryginału Water Touching Stone

Copyright © 2001 by Eliot Pattison All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2003

Redaktor Grzegorz Dziamski

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce Piotr Chojnacki

Wydanie I ISBN 83-7301-327-X

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Fotoskład: Z.P.A*api«, Poznań, ul. Czernichowska 50B, tel. 87-93-888

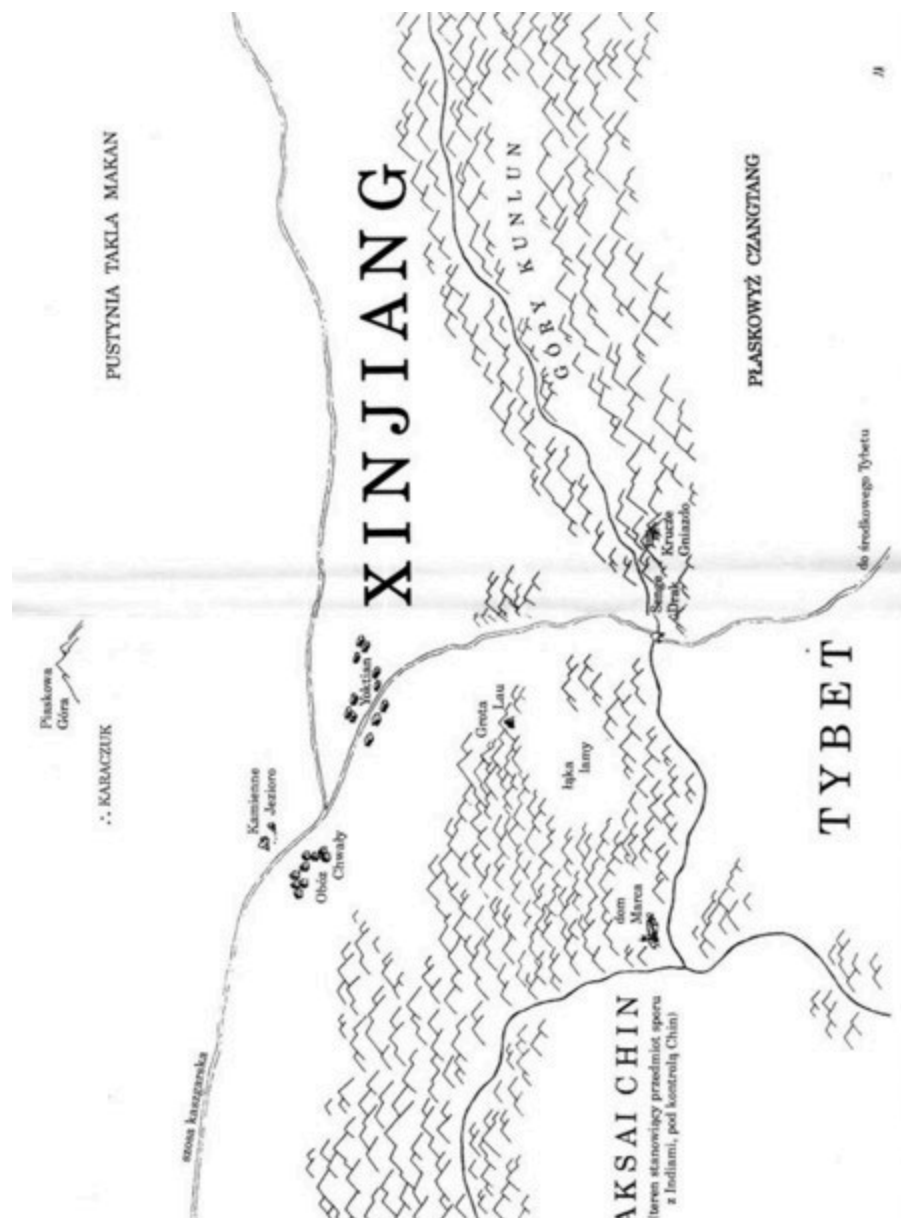
Barbarze

Podziękowania

Inspirację i wiedzę na temat życia na ziemiach włączonych w obszar dzisiejszych Chin zawdzięczam licznym Tybetańczykom, Kazachom, Ujgurom i Chińczykom, którzy przez ostatnie dwadzieścia lat ukradkiem dzielili się ze mną swymi doświadczeniami. Z powodów, które, jak sądzę, są oczywiste, muszą oni pozostać anonimowi. Za wierne wsparcie i mądre rady w poruszaniu się wśród zawłości spraw wydawniczych wdzięczny jestem Natashy Kern, Michaelowi Dennyemu i Kate Parkin. Szczególne podziękowania należą się także Christinie Prestii, dr Scottowi Pattisonowi i Edowi Stacklerowi.

Na końcu książki zamieszczony jest słowniczek często używanych terminów obcojęzycznych.





Rozdział pierwszy

Wszystko w Tybecie zaczyna się od wiatru. To wiatr wzbija flagi modlitewne ku niebu, wiatr niesie ziemi ciepło, chłód i życiodajną wodę, wiatr wprawia w ruch nawet same góry, przetaczając zwały chmur przez ich szczyty. Siedząc na wysokim występie skalnym, Shan Tao Yun wspominał, co niegdyś powiedział mu pewien lama: że być może właśnie w Tybecie ludzka dusza po raz pierwszy zyskała samoświadomość, gdyż wiatr nigdy nie przestaje napierać na jego mieszkańców, a właśnie przeciwstawiając się naporowi świata, dusza określa siebie samą. Po niemal czterech latach spędzonych w Tybecie Shan był skłonny w to uwierzyć. Mogło się wydawać, że właśnie tu, w tej najwyższej ze wszystkich krain, planeta, sapiąc i jęcząc, rozpoczęła swój ruch, tu wdrażała się do swych obrotów, tu też najtrudniej było ludziom utrzymać się na ziemi.

Istnieje technika medytacji, której Shan nauczył się od lamów, nazywana przeczesywaniem wiatru. Rozciągnij swą świadomość na powietrze i unos się wraz z nim, przyjmując z uwagą każde doznanie, jakie przynosi, i chłonąc płynące z niego nauki. On i jego towarzysze mieli przed sobą jeszcze wiele godzin, nim zapadną ciemności, nim znów będzie można bezpiecznie podróżować, siedział więc ze skrzyżowanymi nogami na swej wysokiej grzędzie i ćwiczył się w tej sztuce.

Więdzące wrzasy, rejestrował. Jastrząb krążący wysoko nad doliną. Słodka, drażniąca woń jałowca, zabarwiona chłodem śniegu. Odległy świergot wiewiórek ziemnych na kamienistych zboczach. I nagle, na północy, w rosnącym obłoku kurzu, samotny, desperacko poganiający konia jeździec.

Ośloniwszy dłonią oczy, Shan przyglądał się mu, gdy powietrze przeciął krótki, ostrzegawczy okrzyk. Odwróciwszy się, ujrzał Jowę, swego tybetańskiego przewodnika, wskazującego na

starego człowieka w brązowym kapeluszu z szerokim rondem, który szedł ku krawędzi występu, ze wzrokiem zwróconym w głąb doliny.

–Lokesh! – krzyknął Shan i zerwawszy się, chwycił przyjaciela za ramię. Wydawało się jednak, że Lokesh w ogóle tego nie zauważył. Mrugając powiekami i kręcąc głową, wpatrywał się w przybliżającego się jeźdźca.

–Czy on jest prawdziwy? – zapytał niepewnie, jak gdyby nie dowierzał własnym zmysłom. Poprzedniego dnia dostrzegł na szczycie jednego ze wzgórz olbrzymiego żółwia, symbol powodzenia. Nalegał, aby złożyli mu ofiarę, po czym przepraszał, bo żółw na powrót obrócił się w głąz, nim do niego dotarli.

–Należy do tego świata – potwierdził Shan, wpatrując się w dal spod zmrużonych powiek.

–On się czegoś boi – odezwał się z tyłu Jowa. – Wciąż ogląda się za siebie.

Shan odwrócił się. Żyłasty Tybetańczyk wydobył z bagaży ich wysłużoną lornetkę i obserwował odległą postać przez szkła.

–Zajeździ konia na śmierć, jeśli będzie tak pędził. – Jowa spojrzał na towarzyszy i pokręcił głową. – Ktoś go ściga – oświadczył zaniepokojony, podając lornetkę Shanowi.

Shan zauważył, że jeździec jest ubrany w ciemną chubę, gruby kożuch z owczej skóry noszony przez dropków, koczowników przemierzających rozległy płaskowyż północno-zachodniego Tybetu. Gęsty tuman kurzu za jego koniem przesłaniał wszelki ślad pogoni. Shan omiół wzrokiem horyzont. Z trzech stron na tle czystego kobaltowego nieba rysowały się okryte śniegiem szczyty wielokilometrowych łańcuchów górskich wznoszących się nad poszarpanymi trawiastymi wzgórzami wyznaczającymi przeciwległy kraniec doliny. Ani długa równina w dole, brązowa od zeschniętych, jesiennych traw, ani wąska ziemna droga, którą przebyli o świcie, nie zdradzały żadnych oznak życia – nie dostrzegł nic poza samotnym jeźdźcem.

Shan widział teraz wyraźnie jego ręce, smagające cuglami szyję konia. Zerknął w dół, gdzie ukryta za potężną skałą, trzydzieści metrów od drogi, stała ich zdezelowana stara ciężarówka

Jiefang, po czym oddał lornetkę i odszedł w cień nawisu skalnego, gdzie schronili się po nocnej podróży.

Trzy metry dalej, gdzie cień był najgęstszy, opadł na kolana. Przy popiołach małego ogniska, nad którym prażyli mąkę jęczmienną na ich jedyny gorący posiłek tego dnia, w maleńkim kopczyku kamieni tkwiła samotna laseczka kadzidła. Na ziemi leżał złożony w kostkę filcowy koc z sierści jaka, na kocu zaś, z nogami skrzyżowanymi w pozycji lotosu, siedział pogrążony w milczeniu mężczyzna w bordowej szacie. Siwiejące włosy miał obcięte przy samej skórze, a jego szczupłą twarz wielu ludzi nazwałoby starą, jednak Shan nigdy nie uważał Genduna za starca, tak jak nigdy nie uważał za stare gór.

Oczy lamy były zamknięte. Był to stan, który uchodził u niego za sen. Gendun nie zgadzał się wypoczywać nocami, podczas jazdy ich starą ciężarówką, ani nie kładł

się za dnia, jak jego trzech towarzysze podróży, jedynie odpływał w ten sposób, gdy tylko Lokesh dopilnował, żeby coś zjadł.

–Rinpocze – szepnął Shan, używając tytułu nadawanego czcigodnym duchowym mistrzom. – Być może będziemy musieli odejść. Jest problem.

Gendun nie dał po sobie poznać, że go usłyszał.

Shan zerknął na Jowę, który znów wpatrywał się przez lornetkę w przestrzeń za jeźdźcem, i ponownie odwrócił się do Genduna. Dopiero teraz spostrzegł, że lama ułożył dłonie w jedną z mudr, symbolicznych gestów służących zogniskowaniu medytacji na buddzie, któremu ona jest poświęcona. Przyjrzał się uważnie.

Nadgarstki były skrzyżowane, otwarte dłonie zwrócone ku górze, z małymi palcami splecionymi na kształt ogniw łańcucha. Wpatrywał się w nie z zaskoczeniem. Była to niezwykła mudra i widział ją u Genduna po raz pierwszy. Poskromiciel Ducha, nazywano ją. Przebiegł go dreszcz. Westchnął, po czym wstał z lekkim skinieniem głowy i wrócił do Jowy.

Młody Tybetańczyk przepatrywał stok nad nimi, jak gdyby szukając drogi na szczyt. Obaj wiedzieli, że najpewniej tylko z jednego powodu jeździec jest tak przerażony. Shan jeszcze raz zerknął na ciężarówkę. Ich jedyną nadzieją było, że nie zostanie dostrzeżona. Byłby to marny koniec, gdyby zostali powstrzymani tu, na tym górskim pustkowiu, tak blisko celu podróży. Nie tylko

ze względu na cierpienia, jakich doznaliby z rąk pracowników Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, ale i dlatego, że zawiedliby Genduna oraz innych lamów, którzy ich wysłali. Lokesh westchnął.

–Myślałem, że będziemy mieli więcej czasu – powiedział, dotykając różańca, który zwisał mu u paska. – Tę kobietę – dodał w zamyśleniu – trzeba przecież przeprowadzić.

Przeprowadzić. Słowo to na nowo uświadomiło Shanowi, jak bardzo różnią się od siebie nawzajem, jak odmiennie każdy z nich postrzega osobliwe zadanie, które im powierzono. Gendun był wśród lamów, którzy wezwali Shana z jego celi medytacyjnej w górskiej pustelni, siedzących na poduszkach wokół dwuipółmetrowej mandali, ukończonej akurat tamtego popołudnia. Czterech mnichów przez sześć miesięcy pracowało nad misternym kołem życia, wypełnionym setkami postaci precyzyjnie oddanych w barwnym piasku. W naczyniu z żarem tliły się wonne gałązki jałowca, a dziesiątki lampek maślanych oświetlały salę. Z pomieszczenia w dole dobiegał głuchy łoskot, niczym odległy grzmot, odgłos wielkiego młyna modlitewnego, którego obrócenie wymagało sił dwóch krzepkich mnichów. Przez kwadrans kontemplowali mandalę w pełnym czci milczeniu. Wreszcie Gendun, najstarszy lama i główny nauczyciel Shana, przerwał ciszę.

–Jesteś potrzebny na północy – oświadczył Shanowi. – Zabito kobietę nazwiskiem Lau. Nauczycielkę. I zaginął lama. – Nic więcej. Lamowie unikali kontaktu z rzeczywistością. Wiedzieli, że fakty należy przyjmować ostrożnie. Gendun przekazał im istotę wydarzeń; lamowie wszystko ponad to uznaliby za zwykłą plotkę. Ważne było to, że ów lama i martwa kobieta o chińskim nazwisku mieli dla nich wielkie znaczenie, rolą Shana zaś było odkrycie pozostałych prawd związanych z zabójstwem i przedstawienie ich w formie stosownej dla świata lamów.

Nie wiedział, jak daleko leży cel ich podróży, a kiedy przybył, jak mu polecono, do ukrytej bramy wiodącej do zewnętrznego świata, przypuszczał, że chodzi o najbliższą pustelnię osadę na północnym skraju doliny Lhadrung. Nie miał też pojęcia, że będzie mu towarzyszył Gendun. Nawet kiedy lama pojawił się przy

bramie, Shan sądził, że przyszedł po prostu życzyć mu powodzenia lub udzielić dodatkowych wyjaśnień. Pomyślał nawet, że zapasy na drogę, które lama przyniósł w płóciennym worku, są przeznaczone dla niego. Ale potem jego wzrok padł na stopy Genduna. Zamiast sandałów, które zwykle nosił pod szatą, lama włożył solidne, sznurowane buty robocze.

Szli aż do świtu, kiedy to przy starym moście linowym, przerzuconym ponad wąwozem oddzielającym pustelnię od reszty świata, spotkali Lokesha. Lokesh i Shan uściskali się jak starzy przyjaciele, gdyż istotnie się zaprzyjaźnili podczas lat spędzonych wspólnie w obozie pracy w Lhadrung, po czym już we trzech ruszyli w dalszą drogę. Kiedy godzinę później przystanęła jakaś ciężarówka, żeby ich podwieźć, Shan wziął to za zwykły zbieg okoliczności, czystą uprzejmość kierowcy. Ale kierowcą był Jowa, a Gendun, obejrzawszy pojazd szeroko otwartymi oczyma, gdyż po raz pierwszy w życiu znalazł się tak blisko nowoczesnej maszyny, pobłogosławił najpierw ciężarówkę, potem Jowę, i wspiął się na platformę. Jowa obrzucił Shana niechętnym wzrokiem, uruchomił silnik i ruszył naprzód. Nie zatrzymywał się przez dwanaście godzin. To było przed sześcioma dniami.

Shan, zdezorientowany, każdego dnia na próżno oczekiwał wyjaśnień od Genduna. Ale Lokesh zdawał się nie mieć najmniejszych wątpliwości co do celu ich wyprawy. Dla niego ich zadaniem było przeprowadzić zmarłą kobietę przez bardo, co oznaczało, że muszą zwrócić się do jej duszy, by przywrócić jej równowagę i przygotować ją do ponownych narodzin. Według niego zmarła musiała przywyknąć do swej śmierci tak samo jak żyjący muszą po doniosłej zmianie przywyknąć do życia. Nie do śmierci, mówiąc ściśle, gdyż dla Lokesha i Genduna śmierć była jedynie odwrotną stroną życia. Ale śmierć nie poprzedzona odpowiednimi przygotowaniem, nagła i gwałtowna, mogła utrudnić odnalezienie nowego wcielenia. Kiedy jeden z mnichów w obozie pracy zginął niespodziewanie zabity przez spadające głązy, Lokesh czuwał dziesięć dni, by pomóc nie przygotowanej duszy przejść przez okres, w którym miała odkryć, że ponowne narodziny są koniecznością.

Shan jeszcze raz spojrzął w dół, na dolinę. Jeździec wciąż gnał

na złamanie karku, pochylony nisko, jakby wypatrywał czegoś na ziemi.

Z ponurą frustracją Shan uniósł wzrok ku swym towarzyszom.

–Może to jeden z twoich przyjaciół – powiedział do Jowy.

Jowa również był niegdyś mnichem. Ale Urząd do spraw Wyznań nie przedłużył mu na to zezwolenia i natura mnicha obrosła w nim twardą skorupą. Nie obchodziło go przeprowadzenie duszy zmarłej. Takie rzeczy jak zamordowanie nauczycielki i zaginięcie lamy ciągle spotykały Tybetańczyków z rąk Chińczyków. Wystarczała mu wiedza, że wysłano ich do walki z wrogiem. Shan przyglądał się teraz, jak Jowa machinalnie pociera głęboką bliznę biegnącą od lewego oka aż do żuchwy. Podczas lat spędzonych w Tybecie poznał wielu takich jak on. Znał już tę twardość spojrzenia i sposób, w jaki odwracali głowy, spotykając Chińczyka na ulicy. Widział blizny po ranach zadanych przez oddziały bezpieczeństwa, pałkarzy, którzy z upodobaniem rozpędzali demonstrantów biczami z drutu kolczastego. W obozie pracy przymusowej, z którego Shan wyszedł przed czterema miesiącami, było pełno ludzi pokroju Jowy.

Jednak nim jeszcze pierwszy dzień ich podróży dobiegł końca, Shan uświadomił sobie, że nie jest to cała prawda o Jowie. Gdy były mnich ukradkiem wymieniał hasła z jeźdźcami odprowadzającymi ich z szosy prowadzącej do Lhasy, Shan domyślił się, że Jowa jest purbą, jednym z członków tybetańskiego ruchu oporu, których nazywano tak od ceremonialnego sztyletu stosowanego w buddyjskich obrzędach. Zastąpił śluby zakonne innymi ślubami, zobowiązaniem, że resztę swego obecnego wcielenia poświęci walce o ocalenie Tybetu.

–Nie, to nikt z naszych – odparł szorstko Jowa. – To coś innego – dodał enigmatycznie. – Jeśli to żołnierze, pójdę do ciężarówki – rzucił pospiesznie, zniżając głos. – Odciągnę ich na południe. Gendun i Lokesh nie mogliby uciekać wystarczająco szybko. Po prostu wdrapcie się wyżej i ukryjcie.

–Nie – odparł Shan, obserwując jeźdźca. – Zostajemy razem.

Lokesh usiadł przy krawędzi występu i przeciągnął się, jak gdyby bliskość zagrożenia w jakiś sposób działała na niego

odprężająco. Odplątał z paska małą, swój różaniec, a jego palce zaczęły odruchowo przesuwając paciorki.

–Wy dwaj macie siłę – powiedział. – Gendun potrzebuje was obu. Ja zostanę przy ciężarówce. Powiem żołnierzom, że jestem przemytnikiem, i oddam się w ich ręce.

–Nie – powtórzył Shan. – Zostajemy razem. – Tak jak nie mógł się obejść bez Jowy, z jego znajomością twardych realiów świata posterunków bezpieczeństwa i patroli wojskowych, tak nie mógłby obejść się bez Lokesha i jego znajomości innego świata, duchowego, w którym żyli lamowie. Wiedział bowiem, że o ile musieli przemierzyć świat Jowy, by dostać się na miejsce zabójstwa, o tyle gdy już się tam znajdą, odpowiedzi, po które go wysłano, szukać będzie musiał właśnie w świecie lamów. Lokesh sam zostałby lamą, lecz dawno temu, przed inwazją Chin, gdy był jeszcze nowicjuszem, odwołano go z klasztoru, by służył w rządzie dalajlamy.

Shan przyglądał się, jak Jowa ściąga z ramienia płócienną torbę, zdejmując kamizelkę z grubej wełny i zaciska dłoń na główicy krótkiego noża, który nosił u pasa. Jowa nie wspominał nigdy o swej klasztornej przeszłości, ale przy ognisku opowiadał czasem z dumą o swoich przodkach, wywodzących się z Khampów, koczowników ze wschodniego Tybetu, od stuleci cieszących się sławą nieustraszonych wojowników. Jowa nie obserwował już jeźdźca. Wpatrywał się w chmurę kurzu poza nim. Żołnierze mogli mieć karabiny maszynowe, ale – jak tysiące Tybetańczyków przed nim – Jowa rzuciłby się na nich uzbrojony jedynie w swój nóż, gdyby tego właśnie było trzeba, aby pozostać wiernym sobie.

–Ale zaraz... – odezwał się nagle Shan. – Dlaczego on trzyma się drogi?

Jowa zbliżył się i powoli skinął głową.

–Masz rację – odparł zaintrygowany. – Koczownik uciekający przed pościgiem przede wszystkim unikałby wytoczonych dróg. – Szerokim ruchem ręki ogarnął pustkowie ciągnące się

za wyboistym ziemnym traktem. Znajdowali się na dzikim,

omiatanym wiatrami płaskowyżu Czangtang, rozległym i jałowym, obejmującym setki mil środkowego i zachodniego Tybetu: na ziemi, która od wieków stanowiła schronienie dropków.

Lokesh przekrzywił głowę i spojrzął na południe, w stronę przeciwnego krańca doliny.

–On przed nikim nie ucieka. On sam kogoś ściga – oświadczył.

Patrzyli, jak jeździec w pełnym pędzie znika za skałą, która skrywała ich ciężarówkę, wyłania się ponownie, po czym gwałtownie wstrzymuje konia. Dropka powoli zawrócił wierzchowca, uważnie wpatrując się w ziemię.

–Myślałem, że zatarłeś ślady opon – mruknął Shan do Jowy.

–Zatarłem. Dla chińskich oczu.

Jeździec zsiadł i prowadząc konia, ruszył ku skale. Parę chwil później stał już przy opuszczonej ciężarówce. Przywiązawszy konia do zderzaka, ostrożnie okrążył pojazd, po czym chwyciwszy za jeden z metalowych pałków służących do mocowania plandeki, wspiął się na skraj odkrytej platformy. Wszedł głębiej, zaglądając pod pokrywy stojących tam beczek, wreszcie zeskoczył i zaczął przepatrywać stok powyżej skały. Większość zbocza pokryta była rumoszem skalnym, luźnymi odłamkami oderwanymi od skalnej półki w górze. Przez rumowisko wiała się samotna kozia ścieżka, po której wspięli się o świcie, opuściwszy ciężarówkę.

–Czasami żołnierze mają tybetańskich zwiadowców – przypomniał Shanowi Jowa. Położył mu dłoń na ramieniu i popchnął

go w głęboki cień skalnego nawisu.

Dropka szybkim krokiem ruszył pod górę. Shan zmagał się z pokusą, żeby pochwycić Genduna, siłą postawić go na nogi i zniknąć wraz z nim po drugiej stronie grzbietu. Pozostali mogli wybronić się sami, mieli dokumenty. Ale oni dwaj nie mogli liczyć na żadne wykręty. Gendun, który żył ukryty przed światem do tego stopnia, że Shan był pierwszym Chińczykiem, jakiego kiedykolwiek spotkał, oficjalnie w ogóle nie istniał. Co do Shana natomiast, jego życiorys był znany władzom aż za dobrze. Niegdyś inspektor rządowy, następnie zesłany do obozu pracy w Tybecie, odzyskał wolność tylko nieoficjalnie. Gdyby schwytano go poza Lhadrung, zostałby uznany za uciekiniera. Jowa popchnął Shana w najgłębszy cień, obok Genduna, i stanął przed nimi, czekając, znów z dłonią na nożu.

Mężczyzna dotarł na półkę skalną, gdzie się ukrywali, zrobił

kilka kroków w przeciwnym kierunku, po czym zawrócił i ruszył prosto w ich stronę. Zbliżywszy się do skały, przystanął na skraju cienia i osłonił oczy, usiłując dojrzeć coś w mroku.

–Jesteście tam?! – zawołał głośno, z wyczuwalnym strachem. Był drobnej postury, pod chubą miał spłowieła czerwoną koszulę, na głowie zaś brudną filcową czapkę, spod której wystawały gęste czarne włosy. Przekrzywił głowę i zmrużył oczy, jakby wciąż niepewny, co kryje się w głębi. Miejsca takie jak to służyły nieraz za legowiska drapieżnikom oraz demonom czającym się wśród gór. Obejrzał się ku północy, wypatrując czegoś na drodze, którą przybył, po czym złożywszy dłonie w błagalnym geście, wszedł w ciemność.

–Modlimy się za was! – zawołał tym samym zalęknionym głosem, po czym przystanął z westchnieniem ulgi, gdy Lokesh wyszedł mu naprzeciw. Jego usta ułożyły się w grymas, który Shan w pierwszej chwili wziął za uśmiech, potem jednak spostrzegł, że mężczyzna tłumi szloch. – Za waszą bezpieczną podróż.

Lokesh był najbardziej uczuciowym Tybetańczykiem, jakiego Shanowi zdarzyło się spotkać. Swoje emocje nosił jak wierzchnią odzież, nie próbując ich ukrywać. Jeden z lamów w ich obozowym baraku powiedział kiedyś, że Lokesh nosi w sobie żar, który od czasu do czasu, podsycony przez falę emocji lub nagłe olśnienie, wybucha nieoczekiwanie płomieniem. Kiedy żar płonął, z jego ust wymykały się strzępy dźwięków: chrapliwe westchnienia, jęki, czasem wręcz skowyt. Tym razem wydał przeciągły, piskliwy jęk, jak gdyby dostrzegł w tym człowieku coś, co go przeraziło. Pomachał dłonią przed twarzą, jakby czemuś zaprzeczając.

Jowa stanął obok starca.

–Czego chcesz? – zapytał głośno, nie starając się nawet ukryć podejrzliwości. Nikt nie miał prawa wiedzieć o ich podróży.

Mężczyzna spojrzał na purbę niepewnym wzrokiem. Zrobił następny krok w ich stronę, w tej samej chwili jednak Lokesh usunął się w bok i dropka niespodziewanie znalazł się twarzą w twarz z Shanem, który stał przed Gendunem, zasłaniając go przed wzrokiem przybysza.

–Chińczyk! – jęknął z przerażeniem.

–Czego chcesz? – powtórzył Jowa. Wyszedł na światło, rozglądając się nieufnie po dolinie.

Idąc w ślady Shana i Lokesha, pasterz wycofał się z cienia. Okrążył Shana, przyglądając mu się ze wszystkich stron, po czym znów spojrzął na Jowę.

–Sprowadziliście nam na pomoc Chińczyka? – zapytał z wyrzutem.

Lokesh położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

–Shan Tao Yun był w obozie – oświadczył promiennie, jak gdyby było to największe dokonanie Shana.

Gniew w oczach mężczyzny przygasł. Pozostała w nich tylko rozpacz.

–Mówili, że ktoś ma przyjść. – Jego głos był cichy jak szept. – Żeby nas ratować.

–To właśnie robi nasz Shan – odparł żywo Lokesh. – Ratuje ludzi.

Przybysz wzruszył ramionami, nie próbując ukryć rozczarowania. Spojrzął w głąb doliny, prawą dłonią ściskając sznur plastikowych paciorków wiszących u czerwonej szarfy, którą był opasany.

–Dawniej, kiedy przychodziły kłopoty – powiedział nieobecny głosem, jakby nie mówił już do nich – wiedzieliśmy, jak

znaleźć kapłana. – Upatrzył sobie olśniewająco białą chmurę

tuż nad horyzontem i postanowił mówić do niej. – Mieliśmy

kiedyś prawdziwego kapłana – zwrócił do chmury – ale Chińczycy go zabrali.

Jego twarz przybrała wyraz, jaki Shan widywał już nieraz, odkąd przybył do Tybetu: pełen niedowierzania głęboki smutek z powodu tego, co najeźdźcy zrobili z ich światem, bezradność, do której dumny, niezależny tybetański duch nie umiał przywyknąć. Na powrót skierował wzrok w głąb doliny. Shan też przeniósł tam spojrzenie.

Ktoś wyłaniał się z obłoku kurzu: jeździec na idącym chwiejnym, nierównym krokiem koniu. Zwierzę posuwało się ostatkiem sił, ledwie żywe ze zmęczenia.

–Kiedy byłem chłopcem – powiedział nowym, nagłym to

nem dropka, odwracając się do Lokesha – mieliśmy szamana, który

potrafił zabrać siły życiowe jednego człowieka i przekazać innemu. Czasami starzy ludzie robili to, żeby ratować chore dziecko. – Spojrzął żałośnie na

zbliżającego się jeźdźca. – Oddałbym życie, oddałbym chętnie, byle go ocalić.

Potrafisz to zrobić? – Podeszedł bliżej, wpatrując się w twarz Lokesha. – Masz oczy kapłana.

–Po co przyszedłeś? – powtórzył pytanie Jowa, ale jego głos stracił już poprzednią surowość.

Mężczyzna sięgnął pod koszulę i wydobyl spleciony z sierści jaka sznur, na którym wisiało srebrne gau, jedno z owych niewielkich puzderek, do których wkładano teksty modlitw, by nosić je tuż przy sercu. Zaciskając gau w obu dłoniach, zwrócił wzrok ku dolinie, tym razem nie na jeźdźca, lecz na odległe pasma pokrytych białymi czapami gór.

–Mojego ojca zabrali do więzienia. Umarł tam. Matkę wywieźli do miasta, ale nie dali jej żadnych kartek na żywność. Umarła z głodu. – Mówił powoli, a jego oczy stopniowo przesuwają się ze szczytów ku ziemi u jego stóp. – Powiedzieli, że lekarze nie będą zajmować się naszymi dziećmi, jeżeli nie przywieziemy ich do kliniki. Więc zawiozłem moją córkę z gorączką, ale tam powiedzieli, że lekarstwa są w pierwszej kolejności dla chińskich dzieci, i ona umarła. Potem znaleźliśmy chłopca.

On nie miał nikogo i my nie mieliśmy nikogo, więc nazwaliśmy go naszym synem. – Po policzku spłynęła mu łza. – Chcieliśmy tylko żyć w spokoju z naszym synem – powiedział głosem niemal niesłyszalnym w podmuchach wiatru. – Ale nasz stary kapłan powtarzał zawsze, że to grzech chcieć czegoś zbyt mocno. – Znowu spojrzał na drugiego jeźdźca. Na jego twarzy malował się bezbrzeżny smutek. – Oni mówią, że przychodzicie ratować dzieci.

Słyszając to, Shan poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. Spojrzał na Lokesha. Starzec wydawał się jeszcze bardziej wstrząśnięty słowami mężczyzny. Jego twarz była biała jak papier.

–Jedziemy w sprawie pewnej kobiety. Nazywała się Lau -odparł cicho Shan.

–Nie – oświadczył dropka z niepokojącą pewnością w głosie. – Tu chodzi o dzieci. Żeby uchronić je wszystkie od śmierci.

W dole, na drodze, sto metrów od skały, drugi koń zachwiał się i stanął. Jeździec, otulony grubym filcowym kocem, obwisł w siodle, po czym powoli osunął się na ziemię.

Dźwięk, który wydał pasterz, nie był ani jękiem, ani zwykłym okrzykiem przerażenia. Wyrażał pierwotny, zwierzęcy ból.

Shan zerwał się do biegu.

Pędził najkrótszą drogą ku leżącemu jeźdźcowi, najpierw do ścieżki, tam, gdzie dochodziła do występu, na którym stali, potem w dół zbocza, skacząc i potykając się o rozrzucone odłamki skał. Dwa razy padł boleśnie na kolana wśród kamieni, aż w końcu wylądował na czworakach w szorstkiej trawie porastającej dolinę. Wstając, obejrzał się przez ramię. Nikt nie poszedł w jego ślady.

Wyczerpany koń stał, dygocząc. Chrapami, obrzeżonymi krwawą pianą, niemal dotykał ziemi tuż obok wzgórka okrytego czarnym kocem z sierści jaka. Gdy Shan ostrożnie uniósł skraj spilśnionej tkaniny, ujrzał dziesiątki warkoczy, każdy z wplecionym na końcu paciorkiem. Było to tradycyjne uczesanie pobożnych kobiet: sto osiem warkoczy, sto osiem koralików – tyle, ile paciorków liczy mała, buddyjski różaniec. Kobieta oddychała płytko. Jej twarz była umazana pyłem i łzami. Jej wzrok, podobnie jak wzrok jej wierzchowca, był tak zmęczony wyczerpaniem, że zdawała się w ogóle nie dostrzegać Shana. Pod kocem, który służył jej za wierzchnie okrycie, widać było drugi, owinięty wokół podłużnego pakunku leżącego na jej kolanach.

Obejrzał się za siebie. Pozostali nadchodzili powoli ścieżką, Jowa z dropką, Lokesh, trzydzieści kroków za nimi, i Gendunem, prowadząc ich za ręce niczym ślepców. Shan odchylił drugi koc i zamarł ze zgrozy. To był chłopiec, o twarzy tak posiniaczonej i opuchniętej, że jedno oko było zupełnie zamknięte. Powoli rozwinął koc i jęknął głucho. Koszula i spodnie były mokre od krwi, która wsiąkała w gruby filc.

Podniósł chłopca, by uwolnić kobietę od jego ciężaru, ale okrywający małego koc zahaczył o cugle. Próbował je odgarnąć, lecz stwierdził, że kobieta okręciła je sobie wokół przedramienia, powyżej nadgarstka, gdyż jej dłoń była bezużyteczna. Nadgarstek miał paskudny, fioletowy kolor, a dłoń zwisała pod nienaturalnym kątem.

Shan wyplątał dziecko z koca i ułożył na zeschniętej trawie. Usta małego wykrzywiły się, nie wydał jednak żadnego dźwięku. Nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat. Na jego barkach widniały ślady zadanych przez koszulę cięć. Był przytomny i choć z pewnością odczuwał silny ból, leżał cicho, bez ruchu, zdrowym okiem obserwując, jak Shan bada jego rany. W jego wzroku nie było śladu strachu, gniewu czy bólu. Widniał w nim tylko smutek – i niedowierzanie, jak to, które malowało się na twarzy pasterza.

Chłopiec bronił się przed tym, kto go poranił. Jego dłonie pokrywały głębokie cięcia, powstałe najpewniej, gdy próbował chwycić ostrze, którym zadawano mu ciosy. Koszulę miał rozdartą pod szyją, guziki poodrywane. Nagle Shan zacisnął zęby, mocno, aż do bólu. Chłopiec został dźgnięty między żebra. Z długiej, otwartej rany sączyła się ciemna krew. Jego spodnie także ucierpiały w czasie walki. Pod lewym kolaniem widniało długie rozdarcie. Brakowało mu jednego buta.

Spojrzał znów w samotne, nieruchome oko wpatrujące się w niego ze zmaltretowanej twarzy, ale nie znalazł słów, które mógłby wypowiedzieć. Przeniósł wzrok na swoje dłonie. Były pokryte krwią chłopca. Przez chwilę czuł się tak bezradny, że tylko patrzył tępo, jak krew kapie mu z palców na żdźbła zbrązowiełej trawy.

Obok niego stanął Lokesh. Przyniósł jeden z zaciąganych sznurkiem worków, które zawierały ich zapasy na drogę. Wydobywszy zeń plastikową butelkę z wodą, stary Tybetańczyk przyłożył ją do warg chłopca, podejmując cichy, melodyjny zaśpiew o nie znanych Shanowi słowach. Zanim odwołano go z jego gompy, jego klasztoru, do służby dalajlamie, Lokesh zamierzał poświęcić się medycynie. Szkolił się wtedy u lamy uzdrowiciela, a potem, podczas długich lat spędzonych w obozie pracy, kontynuował studia, pielęgnując więźniów i ucząc się od starych uzdrowicieli, wtrącanych niekiedy za druty za to, że zachęcali obywateli do trwania przy dawnych zwyczajach.

Nucąc, starzec kiwał głową w stronę kobiety, i stopniowo słowa pieśni zdawały się przywracać ją do świadomości. Gdy wreszcie rozejrzała się przytomniej i z bolesnym uśmiechem odwzajemniła jego spojrzenie, Lokesh nachylił się do Shana.

–Ma złamany nadgarstek – powiedział cichym głosem mnicha. – Trzeba jej dać herbaty.

Podczas gdy Lokesh zajmował się chłopcem, Jowa posadził Genduna na trawie obok ciężarówki, po czym wyciągnął z niej okopcony garnek i zawinięte w płótno okruchy suszonego ja-czego łajna na opał. Kiedy garnek stał już na ogniu, lizany przez niskie, niebieskie płomienie, Lokesh wyczekująco uniósł wzrok. Jowa kiwnął na Shana, by pomógł mu się uporać z większym kocem. Odwinęli go z kobiety i przydepnąwszy z jednej strony, unieśli drugą za rogi, tak że powstał rodzaj wiatrochronu. Aby postawić diagnozę, Lokesh potrzebował nieruchomego powietrza. Gdy tylko koc znalazł się w górze, przerwał uzdrawiającą mantrę i ujął lewą dłoń chłopca. Ułożył trzy środkowe palce swej długiej, kościstej ręki wzdłuż nadgarstka i zamknął oczy, nasłuchując ponad minutę, po czym opuścił dłoń i powtórzył całą procedurę z prawą ręką, usiłując wyczuć charakterystyczne cechy tętna – podział na dwanaście typów pulsu stanowił podstawę tybetańskiej diagnostyki. Na zakończenie ścisnął palcami płatek ucha chłopca, jeszcze raz zamknął oczy i powoli pokiwał głową.

Chłopiec tylko się temu przyglądał, bez mrugnięcia okiem, bez słowa, nawet najmniejszym dźwiękiem nie zdradzając bólu, który z pewnością dręczył jego ciało. Dropka uklęknął cicho obok niego, wciąż ściskając gau w dłoniach, ze łzami spływającymi po szorstkich, ogorzałych policzkach.

Lokesh skończył badanie i siedział, wpatrując się w chłopca żalonym wzrokiem. Potem, jakby po namyśle, powolnym, sztywnym ruchem odsunął rozdartą nogawkę spodni małego, by obejrzeć skórę. Ostrze, który najwyraźniej rozcięło tkaninę, nie sięgnęło ciała.

–Nie możemy zostać na otwartym terenie – ostrzegł Jowa, zerkając nerwowo na drogę.

–Wszyscy mogliśmy zginąć – odezwał się głucho dropka. – To była chodząca śmierć.

–Widziałeś to? – zapytał Shan.

–Prowadziłem owce na dół, z pastwiska. Ona rozbijała obóz. Kiedy przyszedłem do obozu, usłyszałem szczekanie psów. Dochodziło z dołu, z półki skalnej. Poszedłem tam z pochodnią.

Jeden z psów leżał martwy, jego mózg był rozbryzgany na skale. Potem znalazłem ich dwoje. Myślałem, że oni też nie żyją. Kobieta otworzyła oczy, gdy Jowa stanął przed nią z kubkiem herbaty. Uniosła prawą dłoń i skrzywiła się z bólu. Jowa przytrzymał jej kubek, żeby mogła się napić.

–Tujaychay – dziękowała ochryple. Ujęła kubek zdrową ręką i wychyliła.

–Chłopak poszedł na dół po wodę, do źródła przy drodze -odezwała się znowu. Jej głos brzmiał teraz silniej niż głos męża. – Długo nie wracał. Słyszałam, jak owce schodzą z góry. Musiałam zacząć szykować posiłek. Wtedy odezwały się psy, czekały jak na wilka. – Jowa zaczął układać jej ramię na temblaku z kawałka worka. – Pobiełam. Już z góry, z półki skalnej, widziałam, jak to stworzenie rzuca się na Altę. Stało na tylnych łapach. Miało skórę pantery. Pobiełam szybciej. Potknęłam się i uderzyłam się w głowę. Biegłam dalej. Gdy dotarłam na miejsce, stworzenie odwróciło się. Przednie łapy miało zakończone ludzkimi dłońmi, a w jednej trzymało nóż, jak człowiek, jednak rzuciło go i chwyciło błyszczący kij, podobny do ludzkiego ramienia. Uniosło go w obu łapach i uderzyło mnie, kiedy podniosłam rękę. Upadłam, a ręka bolała mnie, jakby była w ogniu. Przyczołgałam się do chłopca i nakryłam go swoim ciałem. To stworzenie ruszyło na nas, wymachując kijem, ale błyskawica wezwała je z powrotem.

–Błyskawica?

–Na północy. Tylko jedna. Wiadomość. Tak właśnie demony porozumiewają się ze sobą – wyjaśniła kobieta wylęknionym głosem. – Stworzenie spojrzało na błyskawicę i zaczęło uciekać. Potem pamiętam tylko ciemność. Kiedy się obudziłam, zdawało mi się, że oboje umarliśmy i trafiliśmy do jednego z mrocznych piekieł, ale mój mąż powiedział, że po prostu zapadła noc.

–Widziałaś twarz tego stworzenia? – zapytał Shan.

Kobieta wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w chłopca, którego nazwała Altą. Pokręciła głową.

–Ono nie miało twarzy.

Na te słowa z ust Lokesha wyrwał się cichy jęk. Shan odwrócił się. Stary Tybetańczyk trzymał chłopca za przegub dłoni,

ale jego oczy spoglądały żałośnie na drogę, jak gdyby się spodziewał, że demon bez twarzy w każdej chwili może pojawić się znowu.

Shan pochylił się nad chłopcem.

–Alta, czy ono mówiło do ciebie? – zapytał. – Czy wiesz, kto to był? Kim był ten człowiek? To musiał być człowiek.

Chłopiec patrzył przed siebie. Jego oko wyglądało jak twardy czarny kamyk. Nie dał po sobie poznać, że usłyszał Shana.

–Ukazało się pod postacią pantery – powiedziała kobieta. – Jeśli zechce – dodała z udręką – może przybrać kształt człowieka.

–Starzy ludzie mawiali, że istnieje demon zwany Hariti -odezwał się nieobecny głos pasterz – pożeraczka dzieci. Czasem – dodał cicho, jak gdyby opuszczały go resztki sił – po prostu robi się głodna. Gdy raz zacznie zabijać, nie może się już powstrzymać. – Hariti, jak Shan wiedział, była prastarym tybetańskim demonem, dla którego mnisi zostawiali niegdyś odrobinę swych codziennych racji pożywienia, by uśmierzyć jej głód dzieci.

Jego wzrok spoczął na Lokeshu, który znów wpatrywał się w chłopca. Starzec położył na chwilę dłoń na głowie Alty, po czym sięgnął do swego worka i wydobyl z niego skórzaną sakiewkę, w której mieściło się kilka małych torebek. Otworzył trzy, z każdej nasypał sobie na dłoń po szczypcie proszku i wrzucił tę mieszankę do parującego garnka.

–To na ból – wyjaśnił. – On bardzo cierpi.

–Co możemy zrobić? – zapytała kobieta.

Lokesh spojrział ze smutkiem na Shana, po czym wolno zwrócił się znowu w jej stronę.

–Trzeba wypowiedzieć pewne słowa – odparł łamiącym się głosem.

Na dwoje dropków podziałało to jak fizyczny cios. Kobieta jęknęła i zgięła się wpół, trzymając się za brzuch. Pasterz opuścił twarz w dłonie. Trzeba wypowiedzieć pewne słowa. Lokesh miał na myśli obrzędy przejścia duszy. Chłopiec wpatrywał się w Shana zdziwionym, gasnącym okiem.

Nagle kobieta krzyknęła z przestraciem. Shan uniósł wzrok i spostrzegł, że jej oczy utkwione są w jakimś punkcie za jego plecami.

Stał tam Gendun, z uśmiechem Buddy na twarzy. Pasterz wydał okrzyk zaskoczenia i opadłszy na kolana, dotknął czołem trawy u stóp lamy.

Shan uświadomił sobie, że ani dropka, ani jego żona do tej pory nie zauważyli Genduna. Mogło im się wydawać, że jest zjawą albo że zmaterializował się wśród nich na wezwanie Lokasha. Lama położył dłoń na głowie pasterza i odmówił modlitwę do Bodhisattwy Współczucia, potem powtórzył to samo z kobietą, której oczy, choć nadal pełne bólu, stały się spokojniejsze. „Mieliśmy kiedyś prawdziwego kapłana”, powiedział pasterz, „ale Chińczycy go zabrali”.

Gendun uklęknął przy chłopcu i ujął go za rękę. Po chwili obok przysiadł Lokesh,

a Gendun położył wolną dłoń na jego głowie w geście błogosławieństwa dla uzdrowiciela. Długo i w milczeniu wpatrywał się w Altę, podczas gdy Shan omywał rany chłopca.

–Nie znam modlitw do boga tego chłopca – odezwał się do kobiety cichym, przepraszającym tonem.

Kobieta zerknęła niespokojnie na męża.

–Uczymy go naszych zwyczajów. Ma małą. – Z wysiłkiem, który sprawił jej widoczny ból, pochyliła się i podciągnęła rękaw chłopca.

Skonsternowana patrzyła na jego nagi nadgarstek. – Zniknęła. Demon zabrał jego różaniec. – Spuściła oczy zawstydzona, unikając spojrzenia lamy. – On chciał uczynić ścieżki Buddy swoimi ścieżkami.

–Ale wciąż modli się zwrócony na zachód? – zapytał Gendun.

Kobieta wbiła wzrok w ziemię, jak gdyby przerażona tą rozmową. Powoli pokręciła głową.

–Powiedział, że tamten bóg pozwolił, by jego klan zginął.

Zaskoczony Shan spojrzął na Genduna. Chłopiec był muzułmaninem. Ale po czym lama to poznał?

Zamiast dotknąć głowy Alty, Gendun łagodnie uniósł jego dłoń i przycisnął jej grzbiet do swego policzka.

–Zatem będę się modlić, aby ów bóg, kimkolwiek jest, który mieszka w sercu tego chłopca, dał mu siłę znieść ból, który cierpi teraz i który wycierpiał w przeszłości, i aby wspierał go na drodze, którą musi podążać.

W ciszy rozległo się bliskie krakanie kruka. Odwrócili się wszyscy. Ptak siedział na szczycie skały, przyglądając się im badawczo. Pasterz zrobił krok w jego stronę, jakby zamierzał mu coś powiedzieć, potem jednak zerknął na Genduna i nie wyrzekł słowa. Być może sądził, że lama by tego nie pochwalił.

–Musimy jechać dalej – powiedział z wahaniem Jowa. – Na północ. W góry Kunlun. – Rzucił pasterzowi niepewne spojrzenie.

–Ci ludzie potrzebują pomocy – zaprotestował Shan.

–Jedźcie na północ – odparł dropka, z zapalem kiwając głową. – Słyszeliśmy o zabójstwach. Właśnie dlatego uciekaliśmy w góry. Powiedzieli nam, że tu będziecie, że jedziecie ratować dzieci.

Jowa spojrział na niego zniecierpliwiony. Shan go rozumiał. Jowa wiedział, że dropkowie w tym zapadłym kącie Tybetu wciąż żyją w świecie zabobonów, niewiele różniącym się od tego z czasów sprzed nastania buddyizmu, kiedy krajem rządzą szamani. Chłopcu przydarzyło się coś straszliwego, ale w oczach tych ludzi spadający głaz mógł być rozwścieczonym demonem, a człowiek w natrże bez trudu mógł się stać wilkiem lub panterą.

–Jedziemy w sprawie kobiety – sprostował Jowa.

Dropka znów skinął głową.

–W sprawie Lau – powiedział. – Nasz Alta był jednym z jej uczniów.

Lokesh wydał stłumiony okrzyk i odwrócił się do Genduna.

–Lau była nauczycielką tego chłopca? – zapytał lama.

–On jest z zheli – powiedział mężczyzna, pochylając głowę. – Lau poznała nas ze sobą, kiedy powiedzieliśmy, że chcemy pomóc dzieciom. – Mówiąc, nie odrywał oczu od chłopca.

–Z zheli?– zapytał Shan. To słowo nie pochodziło z języka tybetańskiego, którym mówił pasterz. Nie było też chińskie.

Ale dropka zdawał się go nie słyszeć. Lokesh westchnął i pomógł chłopcu wypić herbatę, po czym wspólnymi siłami przenieśli go pod skałę, w osłonięte od wiatru, nasłonecznione miejsce. Stary Tybetańczyk pochylił się nad Altą. Jeszcze raz sprawdził jego tętno przy sercu, na ramieniu i na szyi, po czym pokręcił głową i spojrział na chłopca pełnymi łez oczyma.

Siedzieli w milczeniu, bezradnie przyglądając się, jak blask w oku Alty powoli przygasa. Przez krótką, potworną chwilę pojawiło się w nim przerażenie, jak gdyby nagle, teraz dopiero, chłopiec

zrozumiał, co go czeka. Z jego ust wyrwał się dźwięk, pojedyncza sylaba, nic więcej. Być może był to początek pytania lub modlitwy, a może po prostu wyraz bólu. Ale po nim nie nastąpiło już nic, jakby ten wysiłek wyczerpał resztkę sił chłopca. Kobieta, płacząc, przycisnęła jego dłoń do swego policzka.

Shan uklęknął przy Alcie i nachylił się nad nim, rozpaczliwie szukając słów pocieszenia. Po chwili jednak odsunął się, niezdolny wydać z siebie głosu, obezwładniony swoją bezradnością i okrucieństwem tego, co wyrządzono chłopcu.

Dropka pogrążył się w ciężkim, posępnym milczeniu. Raz po raz otwierał i zamykał usta, jak gdyby on także chciał coś powiedzieć, lecz smutek nie pozwalał mu wydusić słowa. Wreszcie, gdy chłopiec spojrzał mu w oczy, dropka odzyskał głos i zaczął opowiadać cicho o wędrówce na wiosenne pastwiska, o zbieraniu kwiatów i szukaniu piskląt na południowych stokach, nic szczególnego, ot, garść przyjemnych wspomnień z pasterskiego życia. Chłopiec słuchał i stopniowo na jego twarz spływał spokój.

Jowa, z twarzą ściągniętą bólem, odszedł, by trzymać straż na skałach. Gendun i Lokesh odmawiali modlitwy. Pasterz wciąż szeptał, pochylając się nad chłopcem. A po godzinie, wydawszy długi, cichy jęk, Alta skonał.

Przez długą chwilę nikt nie odezwał się słowem. Wreszcie kobieta otarła twarz chłopca i nakryła ją kocem.

–Zwyczajem jego ludu – powiedział powoli Shan, nie wiedząc, jak zareagują na to dropkowie – jest grzebanie zmarłych przed zachodem słońca.

Mężczyzna skinął głową. Shan poszedł do ciężarówki po łopatę. Kiedy kopał, kobieta nazbierała małych kamieni na oznaczenie grobu. Gdy składali w nim owinięte kocem ciało, Gendun łagodnym tonem recytował buddyjską modlitwę za zmarłych.

Po pięciu minutach dropka westchnął ciężko i odszedł, żeby sprowadzić konie. Shan pomógł kobiecie ułożyć z kamieni stosik w głowach małego kopca ziemi.

–To kazachskie słowo – wyjaśniła, kiedy skończyli, mając na myśli język jednego z muzułmańskich ludów żyjących po północnej stronie gór Kunlun. – Zheli to lina przeciągnięta między dwoma drzewami albo kołkami, do której wiąże się młode

zwierzęta. W ten sposób poznają siebie nawzajem i uczą się świata. Lau nazywała tak swoją klasę sierot, swoje ulubione dzieci.

–Twój mąż mówi, że przybywamy ratować dzieci. Ma na myśli to zheli?

Kobieta skinęła głową.

–Kiedy zginął tamten chłopiec, wiedzieliśmy, że trzeba uciekać. Tyle że... – westchnęła, wciąż patrząc na grób – tyle że nie zrobiliśmy tego dość szybko.

Z boku rozległ się jęk. Lokesh nachylił się w jej stronę.

–Tamten chłopiec? – zapytał gwałtownie. – Jakiś inny chłopiec Lau?

–Najpierw Lau – odparła. – Potem mały Kazach niedaleko Yoktianu.

–Pamiętasz jego imię? – dopytywał się starzec.

Shan spojrział na przyjaciela ze zdumieniem. Lokesh tak indagował tę kobietę, jakby był szczególnie zainteresowany jakimś jednym, określonym chłopcem.

Kobieta pokręciła głową.

–W zheli jest dwadzieścioro, może dwadzieścioro pięcioro dzieci. Kazachowie. Tybetańczycy. I Ujgurzy – dodała, mając na myśli najliczniejszą z muzułmańskich mniejszości w Chinach. Odwróciła się i skinęła głową na męża, który nadchodził, prowadząc oba konie. Były rozsiodłane. Mężczyzna patrzył na północ, w stronę śnieżnych czap Kunlunu. – Alta – dodała cicho – nasz Alta był Kazachem.

–Czy słyszeliście o lamie? – zapytał Shan. – O lamie, który zaginął?

Dropka pokręcił głową.

–Lamowie zniknęli stąd już dawno temu – powiedział, najwyraźniej nie rozumiejąc pytania, ze wzrokiem wciąż utkwionym w odległych szczytach. – Spieszcie się – rzucił nagle ochryplym, nagłym tonem. – Śmierć jest w pobliżu. Demon znalazł sobie drogę do zheli i nic już go nie powstrzyma.

Shan przyglądał mu się bez słowa.

–Dusza Alty jest w niebezpieczeństwie – ciągnął dropka

z rozpaczą w głosie. – Mały chłopiec, tak nie przygotowany... –

Umilkł, jak gdyby podmuch wiatru, który w nich uderzył, wyrwał

mu z ust pozostałe słowa, i stał tylko, patrząc na Genduna. Miał na myśli to, że dusza chłopca będzie się błąkać, zagubiona, bez punktu odniesienia, jakim jest wiara lub rodzina, że łatwo padnie ofiarą istot pożerających dusze.

Gendun odwzajemnił jego spojrzenie, po czym szepnął coś do Jowy, który przyniósł mu kawałek płótna i złamany ogryzek ołówka, którego koniec osmalił w ogniu. Lama wycofał się za skałę, z dala od nich, i nucąc mantrę, zaczął kreślić ołówkiem jakieś znaki. Jowa przyglądał mu się, nasłuchując, po czym ściągnął z platformy ciężarówki obszarpaną miotłę i, wklinowawszy ją pod kołem, wyszarpnął kij.

Gendun wrócił po chwili i rozłożył tkaninę na ziemi przed dropkami. Pasterz krzyknął ze zdumienia i uniósł głowę żony, by zobaczyła, co im przyniósł lama. Jowa przywiązywał właśnie tkaninę do kija od miotły. Był na niej rysunek skorpiona z płomieniem w pysku. Na grzbiecie jadowitego stworzenia widniały głowy demonów,

każda z linijkami tekstu biegnącymi po obu stronach. Zaklęcie przeciwko demonom, bardzo stare, rzadko używane zaklęcie obdarzone mocą dzięki słowom lamy.

Mężczyzna wstał i z powagą skinął głową.

–Złożymy w ofierze kozę, rinpocze – powiedział. – Nasz stary kapłan kazałby nam tak zrobić. – Pozostawienie przy życiu

jednego ze zwierząt przeznaczonych na rzeź, zazwyczaj oznaczanego wtedy wstążką zawiązaną wokół ucha, było sposobem na udobruchanie bóstw czczonych przed upowszechnieniem się buddyzmu w Tybecie.

–Naturalnie – odparł ponuro Gendun. – Złóżcie w ofierze kozę.

Gdy Jowa, przygotowując ciężarówkę do dalszej jazdy, korbą uruchomił stary silnik i wyprowadził wóz na drogę, Shan spostrzegł, że Gendun ponownie odchodzi za skałę. Ruszył za nim. Lama siedział na trawie z twarzą zwróconą na południe, w stronę środkowego Tybetu i pustelni, w której spędził niemal całe swoje życie.

–Obawiam się, że to już się zaczęło – powiedział, skinieniem dłoni zapraszając Shana, by usiadł obok. – Dotarliśmy na miejsce, ale zbyt późno.

–Na miejsce? Gdzie, rinpocze? – zapytał Shan.

Gendun westchnął, wpatrując się w góry.

–Ono nie ma nazwy – odparł. – To dom demonów, które niosą śmierć dzieciom. – Jego głos brzmiał jak szmer przesypujących się ziaren piasku.

Shan pojął, że lama ma na myśli nie realnie istniejące miejsce, ale stan umysłu, miejsce w przepelnionej nienawiścią duszy, miejsce, którego człowiek taki jak Gendun nigdy nie potrafił zrozumieć.

–To odludna kraina – powiedział Gendun, przepatrując targany wiatrem płaskowyż. – Tu się urodziłem – oświadczył.

–Tutaj? – zapytał Shan, wodząc wzrokiem za spojrzeniem lamy. – Na płaskowyżu? – Pośród wszystkich odludnych i dzikich zakątków Tybetu płaskowyż Czangtang był najdzikszy i najbardziej odludny.

Gendun skinął głową.

–W cieniu gór Kunlun. Ale gdy byłem małym chłopcem, Xiao Shan, rodzice oddali mnie mnichom, ponieważ przyszła wojna. A mnisi zabrali mnie do Lhadrung. – Xiao Shan. Gendun użył starej chińskiej formy grzecznościowej używanej wobec młodszej osoby. Mały Shan. Tak mógłby zwrócić się do niego ojciec lub wuj. Mały Shan. Lama spojrzał na czarną chmurę, być może burzę śniegową, sunącą wzdłuż górskiego zbocza. – Pamiętam szczęśliwsze miejsce. Teraz... – westchnął, wskazując dłonią

ich szlak – teraz boję się, że ta droga zaprowadzi nas tam, gdzie nie powinieneś się znaleźć, Xiao Shan. – Brzmiało to jak przeprosiny. Gendun chciał powiedzieć, że tak liczne morderstwa

z pewnością przyciągną zainteresowanie rządu. – Wiem, jak jest między tobą a innymi Chińczykami – dodał.

Trzy dni wcześniej, na postoju, Shan, który poszedł po opał, wracając do obozowiska, podsłuchał strzęp rozmowy między Jową a Gendunem. Purba błagał lamę, żeby odesłał Shana z powrotem.

–On nie został oficjalnie zwolniony, po prostu pozwolono mu swobodnie poruszać się po okręgu Lhadrung – wyjaśniał. –

Poza Lhadrung w dalszym ciągu jest przestępcą, uciekinierem.

Oni mogą to sprawdzić. – Gdy Gendun nie odpowiedział, Jowa podniósł głos. – Wyprowadzą go za więzienie – rzucił zniecierpliwiony – i wpakują mu kulę w łeb. A nas wszystkich oskarżą o ukrywanie zbiega.

–A więc zamierzasz spętać nas wszystkich strachem? – zapytał cicho Gendun, po czym skinął głową Shanowi, który zbliżył się z naręczem okruchów łąjna.

–Tak po prostu władza oddaje mi honor – stwierdził z wymuszonym uśmiechem Shan, wspominając znanych mu z obozu mnichów i lamów, którzy niekiedy dziękowali swym ciemiężcom za tak nieustające wystawianie na próbę ich wiary. Na tym zakończyła się ich rozmowa i Shan porzucił swój pomysł, by prosić Jowę o odwiezienie Genduna. Wiedział, oczywiście, jaki czekałby go los, gdyby władza dostała go w swoje ręce. Ale wiedział też, jaki los spotkałby Genduna, który nie tylko oficjalnie w ogóle nie istniał, ale i nielegalnie odprawiał praktyki kapłańskie. Dla takich jak on były specjalne miejsca, zimne, pozbawione światła cele, w których wykonywano czasem eksperymenty medyczne, a partyjni psychiatrzy testowali techniki przekształcania reakcyjnych kapłanów w szczęśliwych proletariuszy.

„Wiem, jak jest między tobą a innymi Chińczykami”. Gendun miał na myśli coś więcej niż tylko fizyczne zagrożenie. Shan pamiętał ich ostatnią wspólną lekcję, gdy siedzieli obok siebie na skale nieopodal pustelni. Przez cztery miesiące lama wyjaśniał mu, że zwolnienie z obozu jest rzeczą względną, że trzy lata niewolniczej pracy pozostawiły na jego duszy rany, które nigdy nie zabliznią się do końca, że największe niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, to zachowywanie się jak uciekinier, gdyż uciekinier nie jest niczym więcej, jak tylko więźniem bez celi. Kiedy z ociąganiem zasugerował, że najszybszą drogą do ozdrowienia byłoby dla Shana opuszczenie Chin, wyjazd do innego kraju, Shan pokazał mu datowany dwa miesiące wcześniej list od pracownika Organizacji Narodów Zjednoczonych, który proponował mu pomoc w uzyskaniu azylu politycznego na Zachodzie, jeśli tylko zgodzi się dać publicznie świadectwo o niewolniczych obozach pracy i systematycznym niszczeniu przez Pekin zabytków kultury. Jeśli, oczywiście, zdoła się wydostać z Chin. Mogliby znaleźć sposób na przemycenie go przez granicę, powiedział purba, który potajemnie dostarczył list, ale to może potrwać rok albo dwa.

Shan wyciągnął dłoń, na której wciąż jeszcze miał krew chłopca.

Tak właśnie często rozmawiali ze sobą: nie za pomocą słów, ale poprzez gesty i symbole. Dzieci giną, mówił gest, a Gendun skinął głową ze smutkiem i zrozumieniem. Gdyby Shan opuścił ich teraz, nigdy już, nieważne, jak daleko by uciekł, nie uwolniłby się od dręczącego obrazu umierającego chłopca, przyglądającego mu się w milczeniu z przerażeniem i zakłopotaniem.

– Droga, o której mówią nauki, nie jest wytyczonym szlakiem – powiedział Gendun. Słowa te stały się czymś w rodzaju ich prywatnej mantry, odkąd się poznali i odkryli, że w buddyjskich naukach wypełniających życie Genduna i w taoistycznych lekcjach z dzieciństwa Shana znajdują się te same treści. Zgodnie stwierdzili, że droga Shana jest odmienna od ustalonych dróg innych ludzi, że obumarła dusza, którą przyniósł z Chin, znalazła nowe korzenie w Tybecie, lecz po odrzuceniu martwych fragmentów niektóre ze starych korzeni pozostały, tworząc z nowymi nierozzerwalny splot. „Droga, o której mówią nauki, nie jest wytyczonym szlakiem”. Gendun również to wyczuł, gdy siedział z umierającym muzułmańskim chłopcem. Wkroczyli na szlak, którego nie zaznaczono na żadnej mapie.

Jowa zatrąbił klaksonem ciężarówki, ale Gendun zdawał się tego nie słyszeć. Shan spostrzegł, że dłonie lamy złożone są tak, jakby skrywały jakiś przedmiot.

Lama wyciągnął ręce i gdy Shan podsunął pod nie zwróconą ku górze dłoń, rozchylił je, upuszczając coś. Piórko. Pięcioden-tymetrowej długości piórko, z delikatnym, brązowo-czarnym wzorem u nasady, w górnej części śnieżnobiałe, z końcem lekko upstrzonym czarnymi plamkami, jak gdyby ktoś spryskał je tuszem. Gendun zafascynowany przyglądał się, jak opada na dłoń Shana, po czym wstał i ruszył ku ciężarówce.

Jowa prowadził ciężarówkę bez chwili wytchnienia, jakby uciekał przed pogonią. Sędziwy pojazd podskakiwał na wybojach, wpadał raz po raz w głębokie koleiny, zatrzymywał się gwałtownie, kiedy światła postojowe wydobywały z mroku kamienie, które stoczyły się ze zbocza. Jowa nie chciał używać świateł głównych. Zdarzało się, że żołnierze patrolowali góry nocą.

Shan włożył piórko do gau, które nosił na szyi, i teraz, gdy ciężarówka, telepiąc się, sunęła przez mrok, zaciskał dłoń na

puzderku, pogrążony w myślach. Czy miała to być wskazówka? Dobra wróżba? Oczyma wyobraźni ujrzał znów umierającego chłopca i uświadomił sobie, że nie, że był to po prostu symbol piękna, który miał nieść ze sobą na drodze prowadzącej go do brzydoty zbrodni.

Wiele godzin później, gdy zepchnąwszy na pobocze kolejny głaz, Shan i Lokesh znowu wdrapali się na platformę, Jowa dołączył do nich. Sprawdził, czy beczki są dobrze przytroczone. Większość z nich była wypełniona solą, ważnym artykułem handlowym tego regionu, pozyskiwanym ze złóż, w które obfitował centralny płaskowyż, od stuleci stanowiących podporę lokalnego handlu. Jednak dwie beczki, stojące tuż za kabiną kierowcy, pod stertą zaplamionych olejem szmat, były puste – w nich właśnie Shan i Gendun mieli się ukryć, gdyby zatrzymał ich patrol. Była to już ich trzecia ciężarówka, gdyż dwa razy musieli przekraczać łańcuchy górskie konno, z przewodnikami nie odzywającymi się do nikogo poza Jową, każda jednak wiozła beczki z solą, w tym dwie puste, ze zmyślnymi wkładkami na wierzchu, na które sypali dziesięciocentymetrową warstwę soli, gdy beczka była zajęta. Przebranie handlarzy solą mogło wystarczyć Lokeshowi i Jowie, którzy mieli dokumenty, ale dla Shana i Genduna jedyną szansą była kryjówka.

Jowa pomógł Lokeshowi zawinąć się w koc. Choć w sfoferce było wolne miejsce, stary Tybetańczyk większą część podróży spędzał z Shanem na platformie. Gdy usadowił się już, oparty plecami o kabinę, Jowa odszedł na tył ciężarówki. Zanim zsiadł, przystanął na chwilę z dłonią opartą o jeden z metalowych pałąków.

–Przed świtem ktoś się z nami spotka – rzucił w ciemność.

–Kto? – zapytał Shan.

–Ktoś, kto nas zaprowadzi – odparł pełnym rezerwy, niemal urażonym tonem, jakim zawsze zwracał się do Shana.

–Dokąd?

–Tam, gdzie mamy się znaleźć.

Shan westchnął.

–Wciąż mnie uważasz za intruza.

–Kazano mi cię zawieźć. Wiozę cię.

–Dlaczego?

Odpowiedzią był płytki, gorzki śmiech.

–Znasz ich, może nawet lepiej niż ja. Starych lamów nie pytasz dlaczego. Przeznaczeniem tej kobiety było zginąć. Twoim przeznaczeniem było jechać.

–Nie. Chodzi mi o to, dlaczego ty? Mogłeś się nie zgodzić.

–Znam te tereny. Przed laty pomagałem tu obserwować wojsko.

–Mogłeś się nie zgodzić – powtórzył Shan.

Tym razem Jowa namyślał się dłużej. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał łagodniej: nie był przyjazny, ale nie było już w nim urazy.

–Lamowie się starzeją. Nie wiem, co stanie się z Tybetem, gdy ich zabraknie. Kto za dwadzieścia-trzydzieści lat będzie mieszkał w celach pustelników, kto zamknie się

we wnętrzu góry dlatego, że dusza kraju potrzebuje pomocy?

–Może ty.

–Nie. Nie ja. Nikt taki jak ja. Chińczycy nauczyli mnie innego życia. Jestem skażony nienawiścią – stwierdził rzeczowo, jak gdyby mówił o upośledzeniu fizycznym. – Strzelałem z karabinu. – Spojrzał na księżyc i Shanowi po raz pierwszy wydało się, że dostrzega smutek na twarzy purby. – Jak mógłbym siedzieć we wnętrzu góry, skoro strzelałem z karabinu? – Było to pytanie, które najwyraźniej zadawał sobie wiele razy. – I kto pozostaje? – Zeskoczył z platformy, zatrzymał się jednak w plamie księżycowego światła. – Kiedy odebrali mi licencję mnicha i zacząłem walczyć – powiedział, zwracając twarz w stronę srebrnej tarczy – zdawało mi się, że cały problem Tybetu polega na braku oporu. Że odstępowaliśmy od walki tak często, że nie potrafimy już opowiedzieć się za niczym. – Pokręcił głową i spojrzał w dal, ku tonącym w mroku szczytom. – Teraz... – wzruszył ramionami. – W więzieniu uznałem, że pozostało nas zbyt mało, by walczyć, że wszystko, co możemy zrobić, to zapewnić ochronę lamom, aby Pekin nie mógł zniszczyć naszych starych zwyczajów. Ale nie przestałem rozmyślać. Stary obyczaj to lamowie, a lamowie są równie śmiertelni jak każdy z nas. Możemy starać się powstrzymać Pekin, ale nie zdołamy powstrzymać czasu. Jeśli lamowie wymrą, jeśli to, co robią, umrze wraz z nimi, to po co to wszystko?

Shan uświadomił sobie, że Jowa na swój sposób wyjaśnił, dlaczego eskortuje ich dziwaczne trio w tej enigmatycznej misji. W świetle księżycy dostrzegł, że purba znowu wzrusza ramionami.

–Oni niemal nigdy o nic nas nie proszą. Nie da się odmówić.

Ale Shan wiedział, że Jowa pojął jeszcze inną rzecz – że nic, co robią lamowie, nie jest przypadkowe, że nie wybrali go dlatego, że potrafi prowadzić ciężarówkę, ani nawet dlatego, że jest purbą, który zna ten teren, ale właśnie dlatego, że jest Jową.

–Ten pasterz i jego żona – odezwał się Shan, gdy Jowa odwrócił się, by odejść. – Skąd oni wiedzieli? To miała być tajemnica. Sądziłem, że to purbowie przynieśli wieść do Lhadrung i że tylko oni wiedzą o naszej wyprawie.

–Tak było. Purbowie umieją dochować tajemnicy.

–Oni twierdzili, że jedziemy ratować dzieci. Dwaj chłopcy już nie żyją.

–Zabito starą kobietę i zaginął lama. To wszystko, co mi powiedziano. – Jowa zniknął po drugiej stronie ciężarówki. Chwilę później ryknął potężny silnik i ruszyli.

Shan podniósł z podłogi czapkę, sponiewieraną watowaną czapkę wojskową z grubymi nausznikami. Naciągnął ją na głowę i usadowił się oparty o jedną ze skrajnych beczek, tak by móc patrzeć na księżyc. Purbowie przynieśli w tajemnicy wiadomość o śmierci kobiety. Ale teraz inna tajemnica wędrowała na południe, przekazywana przez dropków – że śmierć czyha na dzieci i że jadą im na ratunek przybysze z Lhadrung.

Minęli wodospad, skrzący się niczym struga diamentów spadających w ciemnościach nocy. Z bliska dobiegło ciche gardłowe buczenie. Lokesh spał. Shan wetknął ręce głęboko w kieszenie kurtki, by je ogrzać, i jego prawa dłoń natrafiła na mały gliniany słoik, który Gendun dał mu owej nocy, gdy ruszyli w tę podróż, słoik z poświęconym piaskiem z mandali. Ścisnął go mocno, wpatrując się w niebo.

Księżyc, któremu się teraz przyglądał, nie był księżycem, jaki znał z krain w dole, z Chin swojego poprzedniego życia. Jak wiele innych zjawisk należących do tybetańskiego wcielenia Shana, ten księżyc był prawdziwszy niż tamten, który widywał w Pekinie.

W Tybecie był tak świetlisty i czysty, tak bliski, że łatwo było uwierzyć w stare opowieści o wędrujących duszach, którym zdarza się niekiedy zabłąkać wśród gór.

Bywały noce, kiedy mógł się zatracić w takim księżycu, całymi godzinami chłonąc jego piękno. Lecz tym razem prześladował go obraz martwego chłopca, nie pozwalając mu rozkoszować się pięknem. „Spieszcie się”, powiedział dropka. „Śmierć jest w pobliżu”. Dla każdego innego słowa te byłyby wezwaniem do ucieczki, do ucieczki przed śmiercią. Ale dla Shana znaczyły one: spiesz się, wyjdź jej na spotkanie. Poczul się bezradny i wiedział, że na jego twarzy maluje się smutne niedowierzanie, jakie pojawia się czasem na obliczach Tybetańczyków. Widział je nawet u niektórych lamów, gdy siedem nocy wcześniej wyprawiali go w drogę. Zamiast wszystkiego, co mu powiedzieli, zamiast wszystkiego, co potem jeszcze powiedział mu Gendun, mogliby równie dobrze powtórzyć to, co rzekł pasterz. Spiesz się. Śmierć jest w pobliżu. To było wszystko, co rozumieli. Morderstwo było dla nich krainą nieznaną, Shan zaś był ich przedstawicielem.

Rozdział drugi

Po północy, kiedy znów się zatrzymali, by usunąć kamienie z drogi, Shanowi zdawało się, że coś słyszy: metaliczny warkot, dobiegający gdzieś z dali odgłos maszyny, ulotny strzęp dźwięku, który musnął jego uszy i zniknął tak szybko, że Shan sam nie wiedział, czy nie był on tylko złudzeniem. W rozrzedzonym wysokogórskim powietrzu dźwięki rozchodziły się nieprzewidywalnie. Mógł to być warkot ciężarówki jadącej przed nimi pustą drogą albo lecącego za nimi helikoptera. Mógł to być lecący hen w górze samolot. Nikt nie odezwał się słowem na ten temat, lecz kiedy uporali się z głazami, Jowa, przyświecając sobie latarką, jeszcze raz rzucił okiem na dwie puste beczki i poprosił, żeby Gendun zamienił się miejscami z Lokeshem. Jeśli trzykrotnie ostro przyhamuje, będzie to sygnał, że Gendun i Shan mają się ukryć w beczkach.

Ale gdy przyszło co do czego, nie było czasu na sygnał. Shan obudził się z głębokiego snu, gdy ciężarówka zatrzymała się gwałtownie, i usłyszał, jak Jowa krzyczy gniewnie do kogoś na drodze.

Szybko pomógł Gendunowi wejść do jednej z pustych beczek i zamknął ją, po czym wyjrzał ponad dachem kabiny kierowcy. Jowa włączył światła główne. Sześciu mężczyzn stało przy czerwonej ciężarówce, rozmiarami zbliżonej do ich własnej, ale znacznie nowszej. Maski ciężarówki była otwarta, a na drodze leżały bezładnie zapasowa opona i metalowe przedmioty wyglądające na elementy silnika.

To nie jestbezpieka, stwierdził z ulgą Shan, ani wojsko. Widział, jak Jowa rozmawia z jednym z mężczyzn, potężnym, barczystym, ubranym w białą koszulę Chińczykiem, Hanem. Gestykulował żywo, wskazując na czerwoną ciężarówkę i na drogę zablokowaną przez oponę i części.

Dwaj mężczyźni, w jasnobrązowych koszulach i tego samego koloru spodniach pochylali się nad leżącą oponą, raz po raz spoglądając na człowieka w białej koszuli. Trzeci, z nogą opartą na zderzaku ciężarówki, obserwował niebo, a dwóch innych stało tuż za mężczyzną, który rozmawiał z Jową. Wszyscy byli Hanami i choć w ich postawie Shan nie dostrzegł wojskowej sztywności, mieli ruchliwe, drapieżne oczy żołnierzy. Jeszcze raz przyjrzał się ciężarówce. Na drzwiach kierowcy widniał emblemat, który w bladym świetle wyglądał jak dwoje wyciągniętych, złączonych w górze rąk.

Shan cicho zsunął się z platformy w ciemność i powoli, krok za krokiem, ukryty przed wzrokiem obcych za ciężarówką, podszedł do drzwi pasażera, gdzie odważył się na rzut okiem ponad maską. O co tu chodzi? pomyślał. Co jest tak osobliwego w tych ludziach? Byli dobrze ubrani. Wszyscy, oprócz mężczyzny w białej koszuli, nosili jednakowe, schludne, brązowe ubrania. Nie widać było u nich żadnej broni, ale trzem z nich sterczały z kieszeni okazałych rozmiarów klucze do nakrętek, a czwarty trzymał w dłoni młotek z kulistym noskiem. Dwaj mieli u pasa solidne drewniane kije przypominające policyjne pałki. W kabinie czerwonej ciężarówki, na siedzeniu pasażera, dostrzegł jeszcze jedną postać. Ku jej pogrążonej w mroku twarzy unosił się co chwila żarzący się jasnopomarańczowo punkt. Z otwartego okna płynęła w górę smuga papierosowego dymu. Shan jeszcze raz spojrzął na mężczyznę, który obserwował niebo. Demon został wezwany przez błyskawicę, powiedziała kobieta. Tak porozumiewają się demony.

Potrzeba im jeszcze paru minut, żeby skończyć naprawę, tłumaczył Jowie mężczyzna w białej koszuli. Najwyraźniej jednak nikt nie zajmował się silnikiem. Mężczyzna zapytał o cel ich podróży. Jadą na północ, odparł Jowa, żeby sprzedać sól. Dwaj Chińczycy, którzy dotychczas stali za mówiącym, nieco się wycofali, jak gdyby chcieli znaleźć się poza zasięgiem Jowy, po czym omijając go łukiem, ruszyli w stronę ciężarówki Tybetańczyków.

–Możemy w czymś pomóc? – zapytał głośno Jowa, śledząc wzrokiem mężczyzn zbliżających się do otwartych drzwi ciężarówki.

–Na północy nie ma czego szukać – stwierdził oskarżycielskim tonem nieznajomy w białej koszuli. Nikt poza nim z całej

grupy jak dotąd nie odezwał się słowem. – Tam są tylko bandyci.

Lokesh wysiadł z ciężarówki i stanął obok Jowy. Mężczyzna w białej koszuli zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

Shan uświadomił sobie, że mógł się mylić. Bezpieka nie zawsze nosiła mundury. Ale jej ludzie byli uzbrojeni w pistolety maszynowe, nie w klucze do nakrętek.

–Jesteś bandytą, dziadku? – zapytał barczysty Han, uśmiechając się ponuro. Zadane basem pytanie odbiło się echem od skalnej ściany. – Dokąd to się przemykasz chyłkiem po nocy?

–Wieziemy sól – odparł Lokesh suchym, chrapliwym głosem. Shan spostrzegł, że ze starym Tybetańczykiem dzieje się coś, co często widywał u niego w obozie: zaczął potrząsać głową, potem drgawki objęły także rękę, jak gdyby nie mógł nad tym zapanować, jak gdyby cierpiał na starczą chorobę. – Dobrą, tybetańską sól. Będziemy jechać, dopóki nie sprzedamy naszej soli. – Trzęsąc się wciąż, ruszył w stronę mężczyzny, który cofnął się o krok, jakby się wystraszył. – Kupcie ją od nas, żebyśmy mogli zawrócić do domu. Przez tę starą ciężarówkę bolą mnie wszystkie gnaty – pożalił się. – Chcę wracać do domu.

Han obszedł Lokesha dookoła, jeszcze raz przyglądając mu się z uwagą, po czym roześmiał się fałszywie.

–Żeby handlować, potrzebne są papiery, dziadku. Założę się, że wy nie macie papierów. To dlatego podróżujecie nocą.

Umysł Shana pracował jak szalony. Jeśli ci ludzie są bandytami, czym cennym można by ich ułagodzić? Mieli starą lornetkę. Tygodniowe zapasy żywności. Może musieliby oddać samą ciężarówkę, wraz z beczkami soli. Przez chwilę nawiedziła go koszmarne wizja nieznajomych odjeżdżających z Gendunem zamkniętym w beczce.

Dwaj mężczyźni w dalszym ciągu okrążali ciężarówkę, wodząc światłem latarek po platformie. Człowiek w białej koszuli zerknął w tył ku kabinie własnej ciężarówki, gdzie jarzył się zawieszony w mroku papieros.

Nagle Shan znalazł się w jaskrawych snopach światła dwóch latarek skierowanych na jego plecy. Stał niczym nieme zwierzę

schwytane w blask reflektorów i nie opierał się, gdy dwaj intruzi chwycili go za łokcie i powlekli przed mężczyzną w białej koszuli.

Chińczyk okrążył Shana tak jak przedtem Lokesha, po czym stanął przed nim, przyglądając mu się z wyraźnym rozczarowaniem. Nachylił się do jego ucha.

–Uważaj na tę przekłętą szarańczę – mruknął, zniżając głos. – Uderzy cię taki kamieniem i powie, że to lawina.

Szarańcza. Był to pogardliwy epitet, którym Chińczycy obdarzali Tybetańczyków z powodu brzmienia ich mantr. Mężczyzna obejrzał się za siebie z szerokim uśmiechem, najwyraźniej zachwycony swoją sugestią, po czym zwrócił się do Shana, Jowy i Lokesha.

–Chyba nie możemy pozwolić wam dzisiaj jechać na północ – oświadczył.

Dwaj mężczyźni, którzy dotychczas udawali, że pracują przy oponie, wstali, jakby te słowa były dla nich sygnałem.

Shan zerknął na Jowę, którego ciało napięło się niczym zwinięta sprężyna. Wetknął ręce do kieszeni i niedbale powłócząc nogami, wyszedł przed purbę.

–Będziecie musieli – powiedział pogodnie.

Nieznajomy był najwyraźniej rozbawiony oświadczeniem Shana. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego.

–Dlaczegoż to, towarzyszu? – odwrócił się bokiem, jak gdyby chciał się upewnić, że Shan widzi zgromadzonych za nim ludzi.

–Dlatego, że ściga nas Armia Ludowo-Wyzwoleńcza – odparł rzeczowo Shan. Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

–Was trzech i rozklekotaną ciężarówkę – zauważył drwiąco.

–Znacie żołnierzy – odpalił Shan. – Czasami robią to ot tak, dla wprawy.

Pod jego nieruchomym spojrzeniem uśmiech nieznajomego zaczął gasnąć. Mężczyzna skinął na jednego ze swych ludzi, który podbiegł do ciężarówki i zniknął w cieniu przy drzwiach pasażera. Jeszcze raz obrzucił Shana, Lokesha i Jowę badawczym spojrzeniem, jakby chciał dobrze wryć sobie w pamięć ich twarze, po czym zerknął w stronę kabiny i pstryknął palcami.

Mężczyźni zabrali się do roboty. W niecałą minutę droga była wolna.

–Mieście się na baczności, towarzysze – przestrzegł ich lodowatym głosem nieznajomy. – Bandyci czyhają za każdym rogiem.

Jowa ruszył bokiem w stronę ciężarówki, niespokojnie zerkając na szóstkę mężczyzn. Shan pociągnął Lokesha do kabiny. Parę sekund później siedzieli już w środku i wóz ruszył w dalszą drogę.

Przez kwadrans jechali serpentynami pod górę. Tuż za szczytem zatrzymali się, żeby Lokesh mógł wypuścić Genduna z beczki. Gdy stary Tybetańczyk wyszedł z kabiny, Jowa dotknął ramienia Shana.

–Nie wiem, kim byli ci ludzie – powiedział. – Z początku myślałem, że to żołnierze.

Shan uświadomił sobie, że purba prosi go o wyjaśnienie.

–Jesteśmy niedaleko od Indii i szosy do Pakistanu. To przemytnicy. Może czekali na dostawę.

Jowa wyciągnął mapę i wysiadł, żeby ją przestudiować w świetle lamp postojowych. Shan odwrócił się i zerknął przez tylne okienko. Na platformie nie było nikogo. Spojrzał w boczne lustro. W świetle księżyca dostrzegł Lokesha. Siedział samotnie na ziemi. Shan wyskoczył z szoferki i pobiegł na tył ciężarówki.

Lokesh przyciskał do piersi różaniec, szybko przesuwał paciorki. Shan wdrapał się na platformę. Beczki, w których się ukrywali, były puste. Gendun zniknął.

Stał z sercem walącym dziko, zaciskając dłonie na krawędzi beczki, w której ukrył Genduna. Nad beczką do burty ciężarówki przywiązany był niewielki kwadrat białego materiału. Khata, szal ofiarny. Shan odwiązał go i przyjrzał mu się, nic nie rozumiejąc.

–Gdzie on jest?! – zawołał z niepokojem i zeskoczył na ziemię. Podbiegł do Lokesha i potrząsnął go za ramię.

Lokesh spojrzał w niebo. Powoli wodził wzrokiem wśród gwiazd, jak gdyby tam spodziewał się znaleźć ślad lamy.

–Nie ma go – szepnął bezgłośnie.

Shan odbiegł trzydzieści metrów drogą i zawołał Genduna po imieniu, miętoląc khatę w palcach. Hałas wypłoszył z kryjówki

ptaka, który wzbił się w powietrze i przeleciał na tle tarczy księżyca. Shan, odwróciwszy się, spostrzegł, że Jowa stoi przy platformie, wpatrzony się w puste beczki. Wrócił do ciężarówki i przykucnął obok Lokesha.

–Gdzie jest rinpocze? – zapytał z desperacją. – Czy zabrali go tamci ludzie?

–Lokesh, musisz zrozumieć...! – zawołał Jowa zza pleców Shana. – On jest naszym... – Umilkł ze wzrokiem utkwionym w mroczną dal. Wiatr zdawał się wzmaczać, zimny wiatr, niosący z sobą wspomnienie śniegu.

–Mógł się zgubić – powiedział Shan łamiącym się głosem. – Może wypadł z ciężarówki na stromym podejździe.

–Zabrali go, na pewno – oświadczył Jowa. – Te sukinsyny w czerwonej ciężarówce. A my zwyczajnie odjechaliśmy.

–Czasami – odezwał się Lokesh z przeciągłym westchnieniem – lama po prostu zostaje wezwany. – Jego głos był spokojny, ale w oczach kryła się bezdenna rozpacz. W dłoni Shana spostrzegł khatę łopoczącą na wietrze i wyciągnął rękę. Shan wypuścił szal. Stary Tybetańczyk położył go sobie na udzie i pogładził materiał z bladym uśmiechem wdzięczności, jakby potrzebował zapewnienia, że Gendun, który podróżował z nimi, był człowiekiem z krwi i kości. Shan opadł na ziemię obok przyjaciela, czuł jednak, że serce ma zbyt ciężkie, aby się modlić.

Gendun został wśród obcych z czerwonej ciężarówki, wśród ludzi zachowujących się jak bezpieka, którzy – gdyby zechcieli – mogli przeżyć i strawić kogoś takiego jak on w parę godzin. W najlepszym razie Gendun został sam, zagubiony w górskim pustkowiu. Gendun, który jeszcze tydzień wcześniej nie znał praktycznie świata poza swą pustelnią. Shanowi na wspomnienie pierwszego spotkania z nim ścisnęło się serce. Lama zaciekawiał się zegarkiem na jego ręku. Gdy Shan pozwolił mu go obejrzeć, Gendun przyłożył go do ucha i pokręcił głową, zdumiony nie tyle działaniem mechanizmu, ile tym, że ludziom wydaje się, iż potrzebują takich rzeczy. „Wy, Chińczycy”, powiedział i uśmiechnął się, kręcąc głową.

Jowa zawrócił ciężarówkę i ruszył powoli w kierunku, z którego przybyli. Shan stał na zewnętrznym stopniu i uchwycyony oprawy lusterka, nawoływał Genduna. Jowa włączył reflektory.

Jechali tak jakieś dwa kilometry, wreszcie purba zatrzymał wóz i wyłączył silnik. Siedział z dłońmi zaciśniętymi kurczowo na kierownicy, z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Shan przyjrzał mu się. Czy Jowa gryzł się tym, że on, bojownik, nie może zlokalizować wroga, z którym walczy, czy tym, co powiedział wcześniej: że jeśli wszyscy starzy lamowie odejdą, nie będzie sensu ciągnąć tego dalej?

–A jeśli tak właśnie wygląda koniec? – niemal wyszeptał Jowa. – Ostatni ze starych po prostu znika bez śladu. A świat kuśtyka dalej, jak ciało bez duszy. – Spojrzał na wyniosłą skalną ścianę piętrzącą się ku niebu, potężny cień w krajobrazie cieni. – A jeśli to właśnie on był ostatni? – zapytał gór, tak cicho, że Shan ledwie go dosłyszał.

–Mówiono o zaginionym lamie – przypomniał mu. – Lau została zamordowana, a lama zaginęła.

Jowa ledwie dostrzegalnie sztywno skinął głową.

–Więc apetyt twojego demona rośnie – powiedział głucho. –

Teraz mamy trzy zabójstwa i dwóch zaginionych lamów.

Wolno podjechali tam, gdzie zostawili Lokesha. Starzec wciąż modlił się na skraju drogi. Jowa usiadł przy nim w świetle księżyca i zapalił laseczkę kadzidła. Shan tymczasem wdrapał się na platformę.

–Co robisz?! – zawołał purba, gdy Shan wynurzył się z obszarpanym płóciennym workiem, w którym trzymał swój skromny dobytek.

–Wracam – odparł Shan. – Nie pojedę dalej, dopóki się nie upewnię, że on jest bezpieczny.

–Nie wolno ci – powiedział Jowa.

–Muszę. – Shan przykucnął obok Lokesha, który spojrzał na niego z bólem w oczach.

–Nie wolno ci, bo oni cię wysłali – zaprotestował purba. – Gendun powiedział, że jesteś potrzebny na północy.

–Ta kobieta i chłopcy nie żyją – oświadczył Shan. – Oni są martwi, a Gendun nie. Jeszcze nie.

Lokesh utkwiał wzrok w żarze na końcu kadzidła. Powoli pokręcił głową.

–Tak miało być. Ci źli ludzie mieli znaleźć się dziś w nocy na drodze – powiedział. – A Gendun miał dziś w nocy nas opuścić.

–Więc może ja też miałem was opuścić – podsunął Shan.

–Nie – odparł Lokesh. – Ty masz jechać dalej. – Pewność w jego głosie zabrzmiała jak dzwon.

–Lokesh, przyjacielu... – Shan przyklęknął, kładąc dłoń na ramieniu Lokesha. – Rozdzierano mnie i łątano tak wiele razy, że przypominam złachmanioną starą kapę. Wciąż jeszcze moja dusza składa się z tylu luźnych fragmentów, że czasem mnie dziwi, że się nie rozpada. – Wyczuwał ból w swoim głosie, ale nie potrafił go ukryć.

–I myślisz, że zadaniem Genduna jest złożyć je w całość, Xiao Shan? – zapytał Lokesh.

–Nie wiem. – Spojrzał na Jowę, który przyglądał mu się z twarzą kotłującą się od emocji. – Ale jestem pewien, że ze wszystkiego, co widziałem na świecie, lamowie są najlepsi.

Wstał, ujmując pasy naramienne swego worka, który wciąż leżał na ziemi u jego stóp. Przesunął wzrokiem po szczytach, nakrytych lśnięciami w blasku księżyca czapami śniegu. Zimny wiatr dał nieprzerwanie, przypominając mu, że Gendun nie ma dla ochrony przed żywiołami nic poza swą mnisią szatą i cienkim kawałkiem płótna. Jakieś zwierzę zawyło w oddali.

–Poczekamy tu na Xiao Shana – powiedział Lokesh do Jowy, jakby Shan już odszedł. Uniósł laseczkę kadzidła niczym pochodnię. – Xiao Shan wróci. – Mówił, jakby Shan był już dale

ko. – Bo gdzieś tam, na jednej z wysokich gór, zrozumie pewną rzecz. To nie my jesteśmy odpowiedzialni za Genduna. To Gendun jest odpowiedzialny za nas.

Shan uświadomił sobie, że jego palce obejmują gau, w którym zamknięta była jego modlitwa i piórko ptaka. Gendun przeczuwał coś tego popołudnia, gdy dał mu ten znak, gdy podkreślił, że ich wyprawa może się skończyć całkiem nieoczekiwanie. Powoli, niemal nieświadomie, Shan usiadł obok swych towarzyszy.

Modlili się, dopóki kadzidło nie wypaliło się do końca, po czym wrócili do ciężarówki. Shan stał na platformie i kurczowo ściskając jeden z pałków od plandeki, wpatrywał się w spowite w czerń góry, gdy wóz znów sunął przez noc.

*** * ***

Spał niespokojnie, raz po raz budzony koszmarami. Widział Genduna w niebezpieczeństwie, Genduna leżącego ze skrzyconym karkiem u stóp urwiska, Genduna w rękach oprawców z Urzędu Bezpieczeństwa, przesłuchiwanego przez ludzi z elektrycznymi biczami do poganiania bydła. Obudził się, kiedy ciężarówka zjechała nagle szerokim łukiem na żwirową drogę, po czym znów zasnął, gdy niebo na wschodzie szarzało już zapowiedzią świtu.

To nie poranne światło wyrwało go z głębokiego snu, w który wreszcie zapadł, ani nie to, że zatrzymała się ciężarówka, ale dobiegający skądś z boku ryk dużego zwierzęcia, tak gwałtowny i głośny, że Shan zerwał się z posłania, uderzając głową o jedną ze stojących obok beczek.

–Koniec drogi! – zawołał Jowa z końca platformy. Stał tam z płóciennym workiem Shana.

Ściskając pulsującą bólem głowę, Shan ruszył chwiejnym krokiem ku opuszczonej tylnej klapie. Schodząc, niemal wpadł na Lokesha. Stojący przy klapie stary Tybetańczyk z błyskiem w oku przyglądał się czemuś za rogiem ciężarówki. Nerwowo skinął Shanowi głową i znowu wystawił ją za platformę.

Rozglądając się po okolicy, Shan dotknął dłonią czoła, z roztargnieniem przyjmując do wiadomości, że na czubkach palców ma ślady krwi. W bladym świetle poranka mógł dostrzec, że znajdują się w czymś, co wygląda na labirynt potężnych głazów i sterczących z ziemi skał. Między skałami widniały tu i tam łaty śniegu. Nie, to nie śnieg, uświadomił sobie, uważniej przyglądając się jednej z jasnych plam. To piasek.

Wyszedł z ciężarówki i zamarł. Dwa metry od niego stało wysokie brązowe stworzenie w skórzanej uprzęży, z długim pyskiem i dwoma wielkimi garbami na grzbiecie. Wielbłąd. Lokesh odważył się podejść bliżej, kryjąc się za plecami Shana i zerkając ponad jego ramieniem. Wielbłąd spojrział na nich, parsknął, jeszcze raz ryknął głośno, po czym wzdrygnął się, czemu towarzyszył nieoczekiwany brzęk. Na końcach uprzęży zawieszane były maleńkie dzwoneczki.

Lokesh wybuchnął niskim, chrapliwym śmiechem. Shan odwrócił się, ze zdumieniem wpatrując się w przyjaciela. Taki śmiech mógł oznaczać, że Lokesh jest przerażony, zakłopotany lub nawet, choć zdarzało się to rzadko, przepełniony radością.

Za ich plecami padł krótki, gniewny okrzyk. Wielbłąd, jak gdyby rozpoznając głos lub słowo, postąpił dwa kroki naprzód, spoglądając wyczekująco. Shan obejrzał się za siebie, szukając źródła głosu. Z miejsca, gdzie stał teraz, mógł wyraźniej dostrzec, co znajduje się za skupiskiem głazów – żwirowe wypłuczysko opadające łagodnie wśród rozsianych bezładnie skał ku drobnym skalistym wzgórkom i długim niskim grzbietom pokrytym żwirem i kępami szarzielonej roślinności.

–Ojej! – szepnęła ostro Lokesh, przysuwając się do Shana, jak gdyby szukał w nim ochrony. Mniejsze głązy zaczęły ożywać. Wschodzące słońce nadało kształt kilku ciemnym plamom, które Shan dostrzegł wcześniej wśród skał. Nie były to kamienie, lecz żywe istoty, milczące postacie pod płaszczami w różnych odcieniach szarości i brązu. Podnosiły się powoli, z wahaniem, jak gdyby ciepło słońca wyrwało je ze snu zimowego. Lecz gdy ukazały się twarze, Shan przekonał się, że nie są zaspane, ale czujne.

–Jowa! – Wykrzyknęła jedna z postaci i wstała, zrzucając z siebie płaszcz. Był to Tybetańczyk, chłopak o kilka lat młodszy od Jowy, z bordową opaską na rękawie, jaką na znak protestu nosili złamani przez rząd mnisi. Symbolizowała ona mniszą szatę, którą nosić mieli prawo jedynie posiadający zezwolenie Urzędu do spraw Wyznań. Tybetańczyk spojrział za siebie, na ubranego w kamizelkę z owczego runa wysokiego mężczyznę o gęstych, przetykanych siwizną czarnych włosach, częściowo przykrytych brązową czapeczką. Obok niego w cieniu kryła się trzecia postać, chudy jak tyka człowiek o surowej twarzy i rozbieganych oczach, noszący dżinsy i płócienne buty treningowe. Jego nos był skrzywiony, jak gdyby został kiedyś złamany.

Młody Tybetańczyk rzucił się ku Jowie, by go uściskać. Purba odwrócił się szybko, wskazując szczyty gór, skąd przyjechali, po czym wyjął z kieszeni ogryzek ołówka i zaczął kreślić coś na podsunętej mu przez chłopaka prymitywnej mapie. Gdy skończył, chłopak skinął głową i wdrapał się za kierownicę ciężarówki. Chwilę później zacharczał silnik i stary postępujący jiefang ruszył z powrotem, powoli nabierając prędkości na krętej drodze wiodącej z powrotem przez góry.

–Będzie wypatrywał Genduna – odezwał się do Shana głuchym tonem Jowa. – Jeśli spotka po drodze jakichś Tybetańczyków, poprosi ich, żeby też się za nim rozglądali.

Gdy ciężarówka zniknęła Shanowi z oczu, ogarnęła go fala emocji. Ten samochód był ostatnią rzeczą łączącą go z Gendunem, ostatnim ogniwem wiążącym go z życiem, jakie zbudował sobie wśród szczytów środkowego Tybetu, z mnichami, którzy stali się dla niego jedyną prawdziwą rodziną, jaką miał, odkąd przed trzydziestu przeszło laty czerwonogwardziści zabili mu ojca. Nadeszła pora, by Shan opuścił góry, powiedział mu tamtej nocy przy mandali jeden z mnichów. Być może nie na zawsze, może tylko na pewien czas, aby nabrał dystansu. By zrozumiał, kim jest: to właśnie znaczyły te słowa. Shan nie był tybetańskim mnichem, chociaż żył wśród tybetańskich mnichów. Ale nie był już też Chińczykiem, nie takim, jakim był w swym pekińskim wcieleniu. Potraktuj to jak pielgrzymkę, dodał inny mnich. Ale buddyści pielgrzymowali na otoczony czcią szczyt góry Kailas albo do innych miejsc uświęconych obecnością bóstw, natomiast pielgrzymka Shana wiodła ku śmierci i zamętowi, do miejsc, w których gnieździły się jedynie smutek i nieufność.

Zaufanie, jakim go obdarzyli, miało być dla niego zaszczytem, wiedział o tym. Ale w tej chwili nie czuł się zaszczycony. Czuł tylko zmęczenie i strach. Strach o Genduna. Strach o chłopców, którzy ginęli zabijani z nie znanych nikomu powodów. Strach, że zostanie powstrzymany, nim wykona zadanie. Wyobraź sobie, że stoisz w pałacu, powiedział kiedyś jeden z jego buddyjskich nauczycieli, a przed tobą znajduje się sto drzwi. Tylko jedne są przeznaczone dla ciebie, ale ile czasu będziesz potrzebował, by je znaleźć? Czuł teraz, że stoi przed setką drzwi, a wszystkie oprócz jednych prowadzą do klęski. Walczył z pokusą, by rzucić się za ciężarówką, dopędzić ją i znowu wśliznąć się do swej beczki.

Pozostali dwaj nieznajomi wynurzyli się z cienia, zamarli jednak, gdy z dołu dobiegł odgłos kopyt tłukących szybko w pokryty żwirem stok. Po chwili ich oczom ukazał się jeździec na srokatym, brązowo-białym koniu, ubrany w obszarpany filcowy płaszcz i czerwoną wełnianą czapkę. Ściągnąwszy wodze, zwinnie

zeskoczył z siodła, zanim koń się zatrzymał, i stanął bez słowa przed starszym z mężczyzn. Skłonił mu się z szacunkiem, po czym ściągnął czapkę. Była to młoda kobieta, o czarnych włosach splecionych w dwa krótkie warkocze za uszami. Wielbłąd ryknął i rzucił się w jej stronę, przepychając się obok Shana i Lokesha tak gwałtownie, że stary Tybetańczyk przewrócił się na ziemię. Kobieta krótko, ale czule pogłaskała zwierzę po łbie, a następnie podbiegła do Lokesha i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu się podnieść.

–Dziadku – odezwała się łagodnie po tybetańsku, używając staroświeckiej formy grzecznościowej. Tak niegdyś zwracano się do starców. – Proszę, nie gniewaj się na nią. To tylko bata, roczniak, i musi się jeszcze wiele nauczyć. – W jej głosie pobrzmiwał spokój i siła.

Lokesh znów zaniósł się świszczącym, chrapliwym śmiechem.

–Widziałem kiedyś coś takiego na obrazie – oświadczył, wciąż siedząc w pyle. Potrząsał podaną mu dłoń, jak gdyby kobieta wyciągnęła ją na przywitanie. – Powiedziałem, że to jakieś mityczne stworzenie, postać, jaką w czyjejś wizji przybrało któreś z bóstw. – Uśmiech zdawał się ogarniać całą jego twarz. – Ale moja żona stwierdziła, że to tylko koń ze złamanym grzbietem.

–Ależ nie, dziadku – odparła kobieta z figlarnym błyskiem w oku. Była młoda, zauważył Shan, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, a tam, gdzie promienie wschodzącego słońca padały na jej włosy, zdawało się, że połyskuje w nich czerwień. – To tylko oślica, która połknęła dwa żółwie.

Delikatnie podniosła Lokesha za ramię, otrzepując mu plecy ze żwiru. Dwaj nieznajomi wyprowadzili zza skał jeszcze jednego wielbłąda i kilka małych, mocno zbudowanych koni. Starszy z mężczyzn sprawdził siodła dwóch koni, po czym poprowadził zwierzęta w stronę Shana i Lokesha. Przechodząc obok kobiety, przystanął na chwilę.

–Nie możesz tu zostać, Jakli – powiedział surowo. – To dla ciebie zbyt niebezpieczne.

Kobieta, którą nazwał Jakli, zrobiła krok w jego stronę.

–Ona była moją przyjaciółką, Akzu – oświadczyła z powagą. – Moją nauczycielką.

Mężczyzna skrzywił się.

–Nie masz wobec tej kobiety żadnych zobowiązań – stwierdził. – Spójrz, co ona ci zrobiła.

–Mimo wszystko wiele jej zawdzięczam – odparła Jakli z dziwną mieszanką wyzwania i bólu w głosie.

Mężczyzna, którego nazwała Akzu, przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, wreszcie na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

–Chodź tu, dziewczyno – powiedział, rozkładając ramiona. – Do diabła z tymi wszystkimi, którzy nie pozwalają nam być razem. To zbyt długo.

Kobieta objęła go. Akzu wciąż się uśmiechał, ale jego twarz zachmurzyła się, jakby jej obecność przypomniawszy mu o czymś, co miał nadzieję zapomnieć.

Gdy Akzu ładował ich bagaże na grzbiet młodego wielbłąda, Shan przyglądał się swym nowym przewodnikom. Widok zwierzęcia był dla niego kompletnym zaskoczeniem, nie dlatego, że nigdy takiego nie widział, ale ponieważ dopiero teraz uświadomił sobie, jak daleką przebyli drogę. Ta ziemia była inna. Ludzie byli tu inni. Żaden z dwóch mężczyzn nie miał tybetańskich rysów. Jechali na północ, powtórzył sobie Shan, w głąb gór Kunlun, tak daleko, że dotarli na tereny zamieszkałe przez nowy lud. Jak gdyby na potwierdzenie, Akzu odezwał się do mężczyzny z krzywym nosem w niezrozumiałej dla Shana mowie. Był to jeden z języków tureckich używanych przez muzułmanów na zachodnich rubieżach Chin. Ujgurzy, pomyślał Shan, albo może Kazachowie, jak zamordowani chłopcy.

Mężczyzna z krzywym nosem podszedł do nich i położył dłoń na szyi wielbłąda.

–To ty jesteś tym człowiekiem – zwrócił się po mandaryńsku do Jowy – który umie sobie radzić z bezpieczeństwem?

Jowa zerknął na Shana z wyraźnym zakłopotaniem.

–Mówili nam – naciskał mężczyzna – że znasz Urząd Bezpieczeństwa Publicznego od podszewki.

Jowa zmarszczył brwi.

–Przy ostatnim pobycie w więzieniu – przyznał niechętnie – siedziałem w jednej celi z człowiekiem, który pracował wcześniej w Urzędzie Bezpieczeństwa. W Lhasie, w ramach eksperymentu,

kiedy próbowali włączyć Tybetańczyków w swoje szeregi. Eksperyment się nie powiódł i musieli coś z tym człowiekiem zrobić. Wiedział, że miną lata, zanim wyjdzie na wolność, więc postanowił podzielić się ze mną swoją wiedzą, żeby z jego służby pałkarza był jakiś pożytek.

Mężczyzna roześmiał się, jakby to był świetny dowcip.

–Powiadają, że zniszczyłeś konwój ciężarówek bezpieki.

–Przypadkiem urządzili sobie postój w niewłaściwym miejscu. Zeszła lawina.

–Ale ty ją wywołałeś.

–Zniszczenia dokonały kamienie i śnieg – odparł z powagą Jowa. – Czasami

duchy gór wpadają w gniew.

Mężczyzna ponownie parsknął śmiechem. Jowa rzucił Shanowi kolejne niespokojne spojrzenie. Purbowie po bolesnych nauczках nie atakowali otwarcie Chińczyków ani nie przeprowadzali jawnych sabotaży. Nieodmiennie pociągało to za sobą surowy odwet i niemal zawsze karę ponosili niewinni.

–Podobno masz sposoby na obejście ich zabezpieczeń – ciągnął mężczyzna. Podszedł do Jowy i pomógł mu załadować worek na grzbiet wielbłąda. – Nawet tych elektronicznych.

Jego słowa najwyraźniej zaskoczyły Jowę nie mniej niż Shana. Ten człowiek podróżował niczym w siedemnastym wieku, a mówił o systemach komputerowych rodem z dwudziestego pierwszego stulecia.

–Niewidzialne zabezpieczenia nie różnią się tak bardzo od widzialnych – odparł Jowa, wciąż z wahaniem w głosie. – Trzeba po prostu wiedzieć, jak je znaleźć.

Shan, ukryty w cieniu ciężarówki, przyglądał się im zdezorientowany. Jedynie Jowa i Tybetanczyk, który odjechał, byli purbami, ale pozostali znali sekrety purbów.

Wielbłąd potrząsnął głową i zrzucił wodze z karku.

–No i świetnie – powiedział mężczyzna z krzywym nosem, klepiąc Jowę po plecach. – Dobra nasza!

Kiedy pochylił się, by podnieść wodze z ziemi, z kieszeni wypadł mu jakiś papier. Mapa.

Wiatr porwał ją w powietrze i upuścił na płamę słonecznego światła pośrodku otwartej przestrzeni między skałami, kilka kroków od Shana, który wyszedł z cienia i podniósł ją.

Zapadła cisza. Dwaj muzułmanie znieruchomieli – najwyraźniej dopiero teraz zauważyli, jakie ma rysy. Shan wyciągnął mapę ku mężczyźnie z krzywym nosem, ale ten nie drgnął nawet, wpatrując się w niego wściekłym wzrokiem. Akzu zaklął pod nosem. Shan wsunął mapę pod ramię uprząży wielbłąda i zamierzał wrócić po swój worek, zdążył jednak zrobić zaledwie dwa kroki, gdy mężczyzna ze złamanym nosem zastąpił mu drogę.

–Ato kto? – Warknął, zwracając się do Jowy, ale patrząc na Shana. Wycelował w niego niczym strzelbę gruby paluch, po czym uniósł go, strącając mu czapkę z głowy.

–Nazywam się Shan.

Shan podniósł czapkę i z powrotem włożył ją na głowę. Mężczyzna znów ją strącił.

–Jesteś Chińczykiem – rzucił oskarżycielskim tonem.

–W pewnym sensie – odparł spokojnie Shan. Znów podniósł czapkę. Gdy tylko naciągnął ją na uszy, mężczyzna strącił ją po raz trzeci.

–To właśnie on jest tym człowiekiem, który miał przyjechać – powiedział Jowa, ale nie ruszył się z miejsca. – W sprawie Lau.

–Nikt nie mówił, że to będzie Chińczyk.

–A ja nie spodziewałem się spotkać Ujgura – odpalił Jowa. – Mówiono mi, że tu będą Kazachowie.

Mężczyzna wskazał swego towarzysza.

–Kazachowie i Ujgurzy mają wiele wspólnych interesów.

A my obaj mamy wiele wspólnych interesów z purbami.

Między Shana i Ujgura wszedł Akzu. Czujnie spoglądał to na jednego, to na drugiego.

–Mamy teraz ważniejszą robotę – powiedział do Ujgura, ruchem dłoni nakazując, żeby odstąpił od Shana.

Shan przyglądał się nieznanym. Potrzebują Jowy, pomyślał. Jowy, który wie, jak sobie radzić z patrolami bezpieczeństwa.

–Trafimy sami – odezwał się spokojnie ktoś stojący za jego plecami. Lokesh. Podniósł z ziemi czapkę Shana i trzymał ją w rękach.

–Świetnie – oświadczył Ujgur, wskazując na pasmo niskich wzgórz w dole. – Kierujcie się na północny zachód. Wołajcie tylko, a duch Lau sam was znajdzie.

Nikt nie odezwał się słowem, gdy Shan i Lokesh podnieśli swoje worki i zarzuciwszy je na plecy, ruszyli we wskazanym przez Ujgura kierunku. Jowa, mruknąwszy coś pod nosem, poszedł za nimi.

Dziewczyna chwyciła cugle swego konia i podbiegłszy, zrównała się z Shanem.

–Mam na imię Jakli – odezwała się, odbierając od niego worek. – Zaprowadzę was do cioci Lau.

Shan podziękował jej skinieniem głowy.

–Muszę się dowiedzieć, jak zginęła – powiedział.

Jakli kiwnęła głową.

–Utonęła w rzece, tak sądzi prokuratorka. – Zerknęła niepewnie na starszego mężczyznę. – Ale to nieprawda – dodała szybko. – Lau strzelono w głowę, jak przy egzekucji. Prokuratorka zmyśliłaby coś na ten temat, gdyby dostała ciało. Więc je ukryliśmy. Tam właśnie musicie pójść najpierw. Zanim Shan zdążył odpowiedzieć, minął ich rozpędzony wierzchowiec. Dosiadający go Ujgur zagroził im drogę.

–Masz już dosyć kłopotów, Jakli – odezwał się do dziewczyny. – Nie wolno ci zdradzać tajemnic. Nie znasz tego Chińczyka.

–Skoro starzy kapłani przysłali tego człowieka, to znaczy, że właśnie jego potrzebujemy – odparła Jakli. Determinacja w jej głosie była ostra jak nóż.

–Starzy kapłani miękną – mruknął mężczyzna. Oczy Jakli zapłonęły.

–Miękną? Więzieli dziesiątki lat za to, że bronili swej wiary? Zmuszeni patrzeć, jak ich gomy są równane z ziemią? A może kiedy obcina im się kciuki, żeby nie mogli przesuwac paciorków różańca? Miękną? – Dotknęła ramienia Lokesha i spojrzała mu w oczy. – Dziadku – powiedziała – ty byłeś kapłanem.

–Przez jakiś czas – odparł Lokesh, przyglądając jej się z szerokim uśmiechem.

–Ile lat przesiedziałeś? Powiedz mu.

–Trzydzieści – odrzekł, nie przestając szczerzyć się w uśmiechu.

Jakli oburącz uścisnęła jego dłoń. Długo patrzyła na starca, który spoglądał na nią zaskoczony, po czym przeniosła wzrok na Ujgura.

–Oni nie miękną – powiedziała, nadal z wyzwaniem w głosie. – Oni nabierają mądrości. Uczą się dostrzegać pewne sprawy. A skoro straciliśmy własnych kapłanów, musimy korzystać z mądrości innych.

–Ja też dostrzegam pewne sprawy – odparł kwaśno mężczyzna.

–Nie. Ty jesteś ślepy. – Odwróciła się do Shana. – Ten człowiek nazywa się Gruby Mao – powiedziała, wskazując kościstego Ujgura. – On sądzi, że jego wrogami są Chińczycy. Ale naszymi wrogami są mordercy, tyrani, kłamcy, bez względu na to, jaką przyjmują postać.

W jej słowach czaiła się zimna furia, która zaskoczyła Shana. Ale najwyraźniej nie była zaskoczeniem dla jeźdźca. Ujgur skrzywił się, jakby rozpoznał ogień, który wzniecił. Ściągnął cugle i cofnął konia o parę kroków.

–Shan ma dar – oświadczył Lokesh. – Potrafi dojrzeć prawdę tam, gdzie inni są ślepi.

–Znakomicie – wypalił jeździec, wciąż trzymając się na dystans od Jakli. – Ludzie giną, klany są rozbijane, a wy sprowadzacie nam jakiegoś jasnowidza.

–On posłużył się prawdą, by uwolnić tego człowieka z więzienia – wtrącił Jowa, wskazując na Lokesha. – A zeszłej wiosny, kiedy pewien mnich został skazany na śmierć za morderstwo, Shan odkrył prawdę. Dzięki temu, co dostrzegł, mnicha uwolniono, a prawdziwi mordercy zostali straceni.

–Czyli sprawił, że przez niego stracono jeszcze więcej Tybetańczyków.

–Nie. Straconymi byli chińscy urzędnicy i chińscy żołnierze.

Ujgur zerknął na Jowę, potem na Shana, jak gdyby sam nie wiedział, czy wierzyć w te słowa. Lokesh z zapalem pokiwał głową.

–A jednak – odezwał się ktoś za nimi. Był to stary Kazach, ten, którego nazwano Akzu. Podszedł bliżej i stanął obok konia Ujgura. – Jednak w twoim głosie nie ma życzliwości dla tego człowieka – zwrócił się do Jowy.

Purba spuścił wzrok.

–Chińczycy rozbili moją rodzinę i zamordowali mojego lamę – powiedział krótko. Shan po raz pierwszy usłyszał, żeby Jowa wspominał o swych bolesnych przeżyciach. – Ale znam

lamów, którzy prosili, żeby go tu przywieźć. Dla nich zgodziłbym się eskortować samego Przewodniczącego.

Stary Kazach westchnął głośnie.

–Ale nie możemy zaprowadzić was do Lau. To już niemożliwe. Ona nam wybaczy.

–Ja ich tam zabiorę, Akzu – wtrąciła Jakli. – Obiecałam.

–Wiem, co obiecałaś, bratanico, ale sytuacja się zmieniła.

Potrzebujemy tego człowieka – odparł Akzu, wskazując Jowę ruchem głowy.

–To znaczy obiecałam cioci Lau – sprecyzowała dziewczyna. – Ślubowałam to po jej śmierci.

Jej słowa wywołały grymas na twarzy Akzu. Pogłaskał konia po chrapach i z

bólem w oczach spojrzął na Jakli, jakby chciał coś powiedzieć. Ale nie zdążył.

–Wojsko! – zawołał z przerażeniem Ujgur i w tej samej chwili Shan usłyszał dźwięk, który wywołał tę reakcję, dochodzący z góry niski, szybki, raptownie przybierający na sile warkot. Akzu rzucił się ku wielbłodom i chwyciwszy za cugle, zapędził je z powrotem w cień między skałami, podczas gdy Jowa z Uj-gurem zrobili to samo z końmi. Jakli zeskoczyła z wierzchowca i złapawszy Lokesha za rękę, pociągnęła go spiesznie między dwa wielkie głazy. Wciskając się obok nich w cień, Shan kątem oka dostrzegł helikopter, jedną ze smukłych szarych maszyn Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Leciąca wolno, trzymając się rzeźby terenu, i minęła ich, przytulonych do skał, na wysokości zaledwie dwustu metrów.

Nikt nie odzywał się jeszcze długo po tym, jak śmigłowiec zniknął za następnym grzbieciem.

–Sukinsyny – powiedział w końcu Ujgur, po czym zerknął na Akzu. – Wrócimy do domu na skróty.

Shan spostrzegł, że Jakli wciąż siedzi w bezruchu, wpatrzona w dal załęcznionymi zielonymi oczami, wyczuł jednak, że nie obawia się o siebie, lecz o innych, którzy mogli zostać zaskoczeni w górach, z dala od kryjówek.

–Przykro mi, bratanico – odezwał się Akzu, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. – Wiem, że obiecaliśmy pomoc w sprawie Lau, kiedy składaliśmy ją na spoczynek, ale sytuacja się zmieniła. Klan Czerwonego Głazu został zdradzony.

To oświadczenie wyrwało Jakli z odrętwienia.

–Zdradzony? – zapytała z twarzą ściągniętą lękiem. – Jak to zdradzony?

–Ta świnia, Bajys, wykorzystał naszą gościnność i okłamał nas. Zabił chłopca, który mu towarzyszył, i uciekł do Chińczyków. – Akzu zerknął znacząco na Grubego Mao. – Powie im wszystko, żeby kupić sobie ich ochronę.

–Zabił chłopca? – powtórzył Shan.

Wydawało się, że nikt go nie usłyszał.

Jakli, z twarzą bladą jak płótno, opadła na najbliższy głaz.

–Nie, nikogo z naszych – uspokoił ją Akzu. – Z gromadki

Lau. Miał na imię Khitai. Dobry chłopak, zaledwie dziewięcioletni. Konie go lubiły. Bajys strzelił mu w głowę.

Shan usłyszał za sobą stłumiony, bolesny jęk. Lokesh chwycił się za brzuch, jakby go kopnięto.

–Khitai? – zapytał. Oparł dłoń na ramieniu Shana, najwyraźniej musiał się przytrzymać, żeby nie upaść. Jego twarz

wydawała się zapadnięta. – Khitai był u was?

Jakli i Akzu spojrzeli na Jowę, potem na Shana, szukając wyjaśnienia. Chłopiec, który zginął pierwszy, przebywał z klanem Akzu. Kiedy dropka wspomniał o pierwszym zabójstwie, Lokesh pytał o imię chłopca. Teraz, w opowieści Akzu, rozpoznał to imię. Jak gdyby przybył tu właśnie z powodu Khitai.

–To był mały Kazach – powiedział Akzu, patrząc z zakłopotaniem na Lokesha.

Starzec zdawał się go nie słyszeć. Jęknąwszy cicho, oddalił się wolnym krokiem.

–Zaprowadzę cię do Lau – powtórzyła Jakli, zwracając się do Shana. – Akzu zabierze twojego przyjaciela Jowę do obozowiska Czerwonego Głazu.

Shan obejrzał się za Lokeshem, który klęczał teraz na skale zwrócony ku ośnieżonym szczytom, wodząc wzrokiem po ich sylwetkach rysujących się na tle nieba. Coś mówiło mu, że stary Tybetańczyk wypatruje Genduna, że nagle stał mu się bardzo potrzebny. To już się zaczęło, powiedział wtedy lama. Musiało mu chodzić o zabijanie dzieci, jak gdyby się tego spodziewał, może miał też nadzieję, że Shan to powstrzyma, gdy wyjaśni zagadkę śmierci Lau.

Podchodząc do Lokesha, zauważył, że jego dłonie są złączone, i w pierwszej chwili wziął to za mudrę. Ale to nie była mu-dra, zorientował się, kiedy uklęknął obok. Tybetańczyk po prostu wykręcał palce w jakimś niemym bólu, którego Shan nie potrafił zrozumieć. Położył dłoń na plecach starca, szepcząc słowa otuchy. Ale Lokesh jakby go nie słyszał.

–Czy ten chłopiec – odezwał się Shan, zwracając się znów do Jakli – należał do zheli?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

–Tak. Był jedną z sierot, z grupy, którą Lau utworzyła przy szkole w Yoktianie. Oni są więcej niż sierotami. Nie tylko nie

mają żadnej rodziny, ich klany też już nie istnieją. Ale zheli formalnie nie jest częścią szkoły. To raczej coś w rodzaju zaściankowego klanu, w miejsce tych, które utracili.

Shan odwrócił się do przyjaciela.

–Znałeś tego chłopca? A może Gendun go znał?

Lokesh powoli pokręcił głową, nie odrywając wzroku od gór. Jakli, dezorientowana, spoglądała to na jednego, to na drugiego.

–Khitai! – Wyrwał się z ust Lokesha żalony okrzyk, ale tym razem nie był to po prostu kolejny wyraz bólu. Wydawało się, jakby próbował przywołać martwego chłopca, niczym zboleły ojciec zaginionego syna.

–Dlaczego dziecko? – zapytał Shan udreńczonym tonem. – Dzieci są tylko... – Język odmówił mu posłuszeństwa. Spojrzał w twarz Jakli i ujrzał na niej narastający gniew.

–One są wszystkim, co pozostało – powiedziała. Wszystkim, jak odgadł Shan, co pozostało po fali krzywd i prześladowań, która zniszczyła ich klany.

–Nigdy nie wierzyłem w demony – odezwał się łamiącym głosem ktoś za plecami Shana. Był to Akzu. Spoglądał na Lokesha ze smutkiem i zrozumieniem, jakby dostrzegał w twarzy starego Tybetańczyka coś znajomego. – Mój dziadek mawiał, że demony śpią w ziemi i czasem budzą się głodne krwi, a ich głodu nic nie może zaspokoić, że podobnie jak są pory kwiatów i tworzenia, bywają też pory demonów i zniszczenia i że kiedy przychodzi czas demonów, nic ich nie powstrzyma, tak jak nie da się powstrzymać wschodzącego słońca, i można jedynie cierpieć i

czekać, aż się nasycą. Powiedziałem mu, że nie wierzę w demony, że wszystko to są tylko stare bajki.

Ale potem, kiedy dziadek nie zgodził się spędzić swoich stad z pastwisk, które nasz klan zajmował od pięciu stuleci, żeby chińscy rolnicy mogli przyjść ze swymi maszynami i rozorać ziemię, przekonałem się, że nie miałem racji. Demon zbudził się i wrzucił granaty do namiotu dziadka i babci, kiedy spali, i ostrzelał z karabinów maszynowych całe stado. Zabił wszystko, nawet jagnięta. – Shan rozejrzył się. Jowa i Gruby Mao podeszli bliżej, słuchali z ponurymi minami. – To ja znalazłem ciała, kiedy pojechałem tam, żeby śpiewać pieśni z dziadkiem. Ich dolina spływała krwią. Od tamtego dnia wierzę w demony – oświadczył Akzu spokojnym, rzeczowym tonem, który przejął Shana dreszczem. – Demon wy dostał się na wolność i ściga sieroty. Myślę, że chce dokończyć to, co zaczął z ich rodzicami. Było ich dwadzieścia troje pod opieką Lau – powiedział z niepokojem i spojrzał na północ, w stronę horyzontu. – Zostało dwadzieścia jeden – dodał szeptem.

Nie mówił po prostu o Bajysie, który ich zdradził, rozumiał bowiem, że w takich wypadkach winowajcą nigdy nie jest jeden człowiek. Demony współczesnych Chin objawiały się jako irracjonalne, nieprzewidywalne ataki politycznego szaleństwa, które uderzały i zarażały jednych nienawiścią, a innych strachem tak wielkim, że popychały ich do zdrady i morderstwa. Shan został wysłany, by wytropić demona, który zabił Lau, ale mógł to być ten sam demon, który teraz zabijał jej dzieci. Położył dłoń na ramieniu Lokesha i popatrzył najpierw na Jowę, potem na Akzu.

–Musicie zabrać nas do tego obozu – powiedział do starego Kazacha. – Musicie zabrać nas tam, gdzie zginął ten chłopiec.

Akzu spojrzał na niego twardo i odwrócił się do Jakli.

–Możliwe, że ten demon nie spocznie, dopóki nie zabije ich wszystkich. Nie poprowadzę naszego klanu jego szlakiem – oświadczył jej z wściekłym błyskiem w oku, po czym znów zwrócił się do Shana. – A jeśli ty staniesz mu na drodze – ostrzegł – on zabije także ciebie.

Rozdział trzeci

Dla Shana było pociechą, że są na ziemi miejsca takie jak to, przez które właśnie jechali, nieujarzmione. Niektórzy twierdzili, że są potrzebne światu, inni – że są potrzebne duszy. Ale Shan spotkał kiedyś starego lamę z małej, niemal wymarłej tybetańskiej sekty, który przekonywał, że takie rozróżnienia są mylące, że dusze nie mogą rozkwitać, jeśli ziemia cierpi, a tam, gdzie bóstwa ziemi zostały zakute w kajdany, dusze stają się bezbarwne i puste. Ów lama spędził całe życie w wysokich górach, mówił jednak, że widział, jak Chińczycy budują drogi z asfaltu i betonu. Twierdził z absolutną pewnością, że człowiek, sam o tym nie wiedząc, oplata asfaltowymi kajdanami całą kulę ziemską. Kiedy ostatni odcinek asfaltu zamknie ostatnie połączenie poprzez kontynenty, powiedział, nastąpi koniec świata.

Od trzech godzin to jechali w cieniu skalnych ścian, to przemykali spiesznie przez otwarte przestrzenie, gdzie zdradzało ich słońce. Okrążali po obwodzie rozległą trawiastą nieckę, gdyż jak uświadomił sobie Shan, przemierzając ją w poprzek, byłiby widoczni jak na dłoni.

Shan wypytywał Jakli o ciocię Lau. Była nauczycielką, odparła dziewczyna, i do niedawna członkinią miejscowej Rady Rolnej, organu doradzającego władzom lokalnym w sprawach polityki rolnej, wybieranego przez miejscowe gospodarstwa. Miała może pięćdziesiąt pięć lat, sama była sierotą, bez rodziny, ale „matką dla wszystkich”, powiedziała Jakli, popędzając konia, gdy Akzu odwrócił się, by jej posłać karcące spojrzenie. Głos, odbity od skalnych ścian, niósł się daleko, a uwagi Shana nie uszła czujność, z jaką stary Kazach przyglądał się okolicy.

Akzu i Gruby Mao jechali w ponurym milczeniu. Z początku Shan sądził, że wciąż jeszcze czują się urażeni jego obecnością,

62

ale potem, przy rozwidleniu szlaku, gdzie Akzu skierował ich na mniej wydeptaną z dwóch ścieżek, zorientował się, że była to nerwowość, wręcz strach. Nawet konie ociągały się przed wejściem na nią i jeźdźcy musieli się bardzo natrudzić, by zmusić je do przejścia między dwoma głazami znaczącymi jej początek. Akzu zsiadł, żeby odciąć dzwonki z uprzęży wielbłąda. Jakli wysunęła się przed Shana.

–To skrót! – zawołała do niego. W jej oczach dostrzegł ten sam lęk co u mężczyzn.

Gdy jechali w cieniu kolejnej skalnej ściany, przyglądał się uważnie długiej na osiem kilometrów dolinie rozciągającej się u jej podnóża. Nie była tak żyzna jak doliny w środkowym Tybecie, ale mimo wszystko było na niej dość roślinności i wody, by utrzymać małe stada należące do dropków. Powinny tu być stada, wiedział to. Powinny tu być owce, kozy albo jaki, nawet niskie wołokowe namioty pasterskiego obozowiska. Nie widział jednak nic, ani śladu życia, jak gdyby coś ją wyjałowiło.

Szlak wspinał się na grań wyznaczającą południowy skraj doliny. Między skałami na szczycie ukazał się wąski przesmyk. Akzu uniósł rękę, by zatrzymać pochód, po czym zsiadł z konia. Podprowadził zwierzę do otworu i przycisnąwszy się do skały,

wyrzwał na drugą stronę. Chwilę później, wyraźnie uspokojony, prześliznął się przez szczelinę, kiwając na nich, żeby poszli w jego ślady. Shan niezdarnie zsunął się z konia i ruszył za pozostałymi, jednak przekroczywszy przesmyk, stanął jak wryty.

Nad rozciągającym się po drugiej stronie gór krajobrazem dominował przedmiot ich obaw: kompleks budowli, którego rozmiary nawet z trzech kilometrów przedstawiały się imponująco. Długa wstęga wysokiego ogrodzenia z siatki, przerywana w regularnych odstępach wieżyczkami strażniczymi, otaczała zespół niskich, olśniewająco białych budynków i betonowych bunkrów.

–Kiedy byłam mała – rozległ się cichy głos za plecami Shana – na wzgórzu obok naszego letniego obozowiska było gniazdo skorpionów. Moi bracia zawsze chcieli je zabić.

Shan spojrzał na Jakli, potem znów na kompleks, nic nie rozumiejąc. Wiedział, jak wyglądają chińskie obozy, jednak to, co miał przed sobą, nie było obozem. Stały tu wprawdzie liczne

wieżyczki strażnicze, ale wszystko było zbyt nowe i czyste; zbyt wiele pekińskich pieniędzy włożono w ten obiekt, żeby miał on stanowić po prostu jedno z miejsc karni. Ale nie przypominał on też żadnej ze znanych mu dotąd baz wojskowych. Wszystko wydawało się zrobione z betonu. Nie widział nic, co wyglądałoby na koszary. Wewnątrz ogrodzenia, w regularnych odstępach, rozrzucone były małe budki wielkości szop na narzędzia.

–Ale mój ojciec powiedział: nie – ciągnęła Jakli. – Zostawcie je w spokoju. Nie pozwolę, żebyście chodzili po ziemi bez lęku.

Ośloniwszy oczy przed blaskiem słońca, teraz stojącego już wysoko na niebie, Shan dostrzegł pośrodku ogrodzonego terenu omiatającą niebo potężną antenę radaru. Za nią ciągnęły się rzędy oślepiająco białych kopuł. Anteny satelitarne. Małe budki nie były szopami, uświadomił sobie, ale wejściami do podziemnej części kompleksu.

–Nazywamy to Doliną Grzybów. Pewnej nocy widziałam, jak robią próbę – powiedziała Jakli. – Poszło hen, w niebo, jak spadająca gwiazda, która wraca do domu.

Ciarki przeszły Shanowi po plecach. Odwrócił wzrok, nie mogąc dłużej znieść tego widoku.

–Przepraszam – szepnął, sam nie wiedząc czemu.

Jakli spojrzała na niego z lekkim, mądrym uśmiechem.

–To tylko nasze gniazdo skorpionów.

Głównym zadaniem Tybetu i zachodnich Chin jest służyć jako bufor – usłyszał kiedyś Shan na jednym z bankietów w Pekinie od wysokiej rangi wojskowego – przeciwko kolejnej fali agresji. Co oznaczało, przede wszystkim, że rozległe pustkowia skrywają najważniejsze obiekty militarne kraju. Wielu polityków w stolicy przechwalało się, że Tybet otrzymał od Pekinu równowartość wielu miliardów dolarów. Wszystko poza drobną częścią tych sum poszło na drażnienie w górach schronów i umocnień oraz na budowę tajnych baz pocisków nuklearnych, jak ta, którą Shan miał właśnie przed sobą. Dolina Grzybów. Nazwana tak od białych kopuł, które wyrosły tu po inwazji Pekinu, a może także od widma głowic bojowych ukrytych w niej rakiet.

A więc ta dzika kraina została mimo wszystko ujarzmiona, pomyślał. Być może ów stary kapłan miał rację. Gdy uświęcona

ziemia została w taki sposób poddana ludzkiej woli, mogło to oznaczać koniec świata. Armia Ludowo-Wyzwoleńcza miała swoje tajemne, ukryte przed ludzkim wzrokiem sposoby na ocalenie świata, w każdym razie pekińskiego świata. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie niskie dudnienie, które nieprzerwanie wypełniało ich pustelnię w Lhadrung, odgłos ogromnego młyna modlitewnego, dniem i nocą utrzymywanego w ruchu przez dwóch mnichów, umieszczonego w małej izbie wykutej we wnętrzu bezimiennej góry, w odległym zakątku Tybetu. Tajemny, ukryty przed ludzkim wzrokiem sposób lamów na ocalenie świata.

Teraz rozumiał już, dlaczego trawiasta dolina jest pusta. Takie bazy były otoczone strefami bezpieczeństwa patrolowanymi przez specjalnie przeszkolone oddziały ALW. W czasach cesarstwa istniało wiele miejsc zarezerwowanych wyłącznie dla rodziny władcy oraz najwyższych dostojników państwowych. Dla plebejuszy wkroczenie tam, niekiedy nawet sam rzut okiem, kończyło się natychmiastową śmiercią. Chiny wciąż miały swe zakazane miasta. Nie byłoby żadnego usprawiedliwienia dla cywila schwytanego na takim obszarze.

Ponownie przeszedł go dreszcz. Wolałby nigdy nie widzieć tej bazy, żałował, że w ogóle spojrzął w tamtą stronę. Jej obraz odcisnął się zimnym, twardym, czarnym piętnem obok licznych ran w jego sercu. Skoro Pekin zbudował tu takie obiekty, jak mógłby kiedykolwiek opuścić Tybet?

Odwróciwszy wzrok, spostrzegł na zboczu w pobliżu rozpadliny pomalowany na czerwono wielki głaz, potem zauważył kolejny na stoku po przeciwnej stronie niecki. W taki sposób tradycyjnie oznaczano siedziby bóstw opiekuńczych, które żyły we wnętrzu gór, domostwa miejscowych bogów ziemi. Tybetańczycy z narażeniem życia pomalowali skały, jakby chcieli odgradzić bazę od świata pierścieniem czujnych bóstw.

–Takie ryzyko – odezwał się do Jakli – tylko po to, żeby zaoszczędzić trochę czasu. – Jego głos brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu, jak gdyby Dolina Grzybów kładła się cieniem na całej okolicy.

–Słyszałeś, co powiedział Akzu – odparła z powagą dziewczyna. – Będziemy szli na skróty, gdzie tylko się da, dopóki nie

powstrzymamy zdrady. – Spojrzała na nieckę. – Patrole się nie przemęczają. O tej porze roku żołnierzy interesuje głównie zwierzyna.

–Zwierzyna?

–Nie ma tutaj pasterzy, więc ta dolina jest jak jeden wielki teren łowiecki. Przyjeżdżają tu generałowie z Pekinu, żeby strzelać do koziorożców i antylop. Czasem zdarza im się upolować nawet irbisa.

–Ale mimo wszystko, jeśli was dostrzegą...

–Wtedy sami staniemy się zwierzyną – odparła z wymuszonym uśmiechem, ujmując szyję w rozpostarte dłonie, by głowa wyglądała jak wiszące na ścianie trofeum. – Zawiśniemy w salonie jakiegoś generała w Pekinie. Wymierający kontrrewolucjoniści schwytani na pustkowiu.

Shan spojrzał na Jakli, zastanawiając się, jakie jest jej miejsce w mozaice gromadki prowadzonej przez Akzu.

–Akzu jest twoim stryjem – powiedział. – Ale ty nie mieszkasz ze swoim klanem.

–Czasami tak. Ale teraz mieszkam w mieście. W Yoktianie. Mam pracę w fabryce. Robię kapelusze.

Zapytał ją o klan i o Akzu. Dziewczyna posmutniała. Po chwili wyjaśniła, że żyłasty stary Kazach jest ich naczelnikiem, nestorem niedobitków Czerwonego Głazu. Niegdyś Czerwony Głaz był potężnym klanem zajmującym rozległe pastwiska na północy. Ale wszystkie one przeszły w ręce władz, a ludzie zostali bez środków do życia. Przed trzydziestu laty Akzu i ojciec Jakli, wraz z setką pozostałych przy życiu członków klanu, przybyli na tereny graniczne u stóp gór Kunlun, gdzie ziemia i klimat były tak surowe, że nieliczna ludność żyła w niemal całkowitym zapomnieniu. Myśleli, że tu, na odludziu, będą mogli żyć w spokoju. Dziś jednak z klanu pozostał tylko jeden obóz, trzy rodziny z trudem walczące o przetrwanie na skraju pustyni. A ciocia Lau, jak wyjaśniła Jakli, nie była niczyją ciotką, ani nawet jedną z klanu, ale Kazaszką, która wzięła zheli pod swoje skrzydła, życzliwą, mądrą, kochaną przez wszystkich istotą.

Prawie przez wszystkich, niemal dodał Shan.

–W pierwszej chwili myślałem, że jesteś z Tybetu – powiedział.

–To tereny graniczne, od tysięcy lat. Mieszka się tu wiele ludów. Mój ojciec był Kazachem. Akzu to jego brat. Moja matka była Tybetanką. Umarła, kiedy byłam jeszcze całkiem małą. Ojciec zaginął dziesięć lat temu – wyjaśniła z lekkim wzruszeniem ramion. – Wędruję z jego klanem, kiedy tylko mogę. Wiosną lubię jeździć do oazy na pustyni, układać wielbłądy.

–Świetnie mówisz po tybetańsku.

–Ojciec bardzo kochał moją matkę. Zachęcał mnie, żebym pielęgnowała jej zwyczaje. Ciocia Lau pomagała mi w tym, kiedy dowiedziała się, kim była moja matka.

–Udzielała ci nauk buddyjskich? – zapytał Shan.

–Właściwie nie. Powiedziała, że sama muszę odkryć swojego własnego boga. Ale знаła tybetańskie zwyczaje, tak samo jak kazachskie i ugarskie. Twierdziła, że

trzeba zrozumieć, co władza mówi o nowych obyczajach, ale że nie wolno zapominać o starych.

Shan przyjrzał się jej uważnie, zastanawiając się, czy były to słowa Lau, czy samej Jakli. Zrozumieć, co mówi władza, nie było tym samym, co brać to sobie do serca.

–Nie wiedziałem, że Kazachowie żyją w Tybecie.

Jakli uśmiechnęła się i spojrzała na niego zielonymi oczyma.

–Przypuszczam, że paru ich tam mieszka. – Obróciwszy się w siodle, wskazała na pasmo gór, które właśnie opuszczali, ścianę, która oddzielała ich od bazy raketowej. – Ale tamten ostatni grzbiet jest granicą. Jesteśmy w Regionie Autonomicznym Xinjiang.

Shan zatrzymał konia, studiując suchy, poszarpany krajobraz. Niebo było jaskrawokobaltowe. Za jego plecami, na wschodzie i zachodzie horyzont spinały majestatyczne, pokryte śniegiem centralne szczyty Kunlun. W prześwicie między nimi wcześniej już migwały mu potężne łańcuchy Karakorum, które piętrząc się nad północnym krańcem Himalajów, tworzyły niemal nieprzekraczalną granicę z Indiami i Pakistanem. Na północy ciągnął się pas brązowej mgły, w której teraz rozpoznawał skraj rozległej pustyni, Takla Makan, zajmującej pokaźną część południowego Xinjiang.

Na tę właśnie pustynię przywieziono go przed blisko czterema laty i teraz z mgły wyłoniły się przed nim oderwane obrazy piasku,

drutów kolczastych i strzykawek. Dla Kazachów pustynia mogła być terenem, na którym układali wielbłądy, ale Urząd Bezpieczeństwa Publicznego wykorzystywał ją do innych celów. Bili go tu i wypytywali, odurzali i wypytywali, dopóki nie stał się pustą, wyschniętą powłoką, bardziej trupem niż żywym człowiekiem, po czym wyrzucili to, co z niego zostało, do lao gai, obozu pracy przymusowej w zapadłym kącie Tybetu.

–Byłeś już kiedyś w Xinjiang? – zapytała Jakli, jak gdyby dostrzegła coś w wyrazie jego twarzy.

–Nie znam tych stron – odparł szybko Shan i popędził konia, walcząc z nedorzecznym lękiem, że ludzie, którzy torturowali go w pustynnym więzieniu, lada moment pojawią się ponownie. Podczas pobytu wśród pałkarzy dzielił przez parę dni celę z innym więźniem, uciekinierem z jednego z cieszących się najgorszą sławą lao gai w tutejszych kopalniach węgla, schwytanym podczas ucieczki przez pustynię. Mężczyzna ten nie miał żadnych dokumentów, a pałkarze nie zadali sobie trudu, by – jak mawiali – prześledzić jego genealogię, czyli dowiedzieć się na podstawie wytatuowanego numeru obozowego, skąd uciekł, i dotrzeć do źródeł, czyli rejestru jego politycznych zrad. Jeden z oficerów oddał go „do zabawy” rekrutom. Gdy Shan widział go po raz ostatni, mężczyzna siedział w kucki w kącie celi, nagi, pokryty własnymi odchodami, i tłukł głową o ścianę.

O dwie godziny jazdy wierzchem od Doliny Grzybów ich koniom nagle jakby przybyło sił i przyspieszyły kroku. Zjeżdżali właśnie w niewielką zieloną dolinę obrzeżoną pasem sosen i topoli. Z oddali dobiegało szczekanie psa. Konie i wielbłądy przeszły w kłus. Gdy minęli zakręt na szlaku, ujrzeli obozowisko Czerwonego Głazu.

Na dnie żyznej doliny stały trzy okrągłe jurty z grubego wołoku. Za nimi, u stóp stromego zbocza, wznosiły się ruiny dwóch kamiennych budowli, nad którymi rozpięto płócienne przykrycia, tworząc schronienie dla zwierząt. Nie były to ruiny, do jakich Shan przywykł w środkowym Tybecie: osmalone, pokaleczone odłamkami bomb i podziurawione pociskami Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Były to pozostałości prastarych budowli pokonanych jedynie przez czas i przyrodę.

Pierwsza dostrzegła ich małą karawanę biegnącą ścieżką rozbrykana owieczka, potem goniąca za nią kilkunastoletnia dziewczyna. Na ich widok zwierzę zabeczało, a dziewczyna pisnęła z zaskoczenia, po czym obie zrobiły w tył zwrot i popędziły ku namiotom. Cztery wielkie psy, wśród nich duży czarny tybetański mastiff, szczeknęły ostrzegawczo, a następnie podbiegły przywitać zbliżających się ścieżką jeźdźców.

Nim Shan i Lokesh zdążyli zsiąść z koni, Akzu i Jowa zniknęli w stojącej pośrodku jurcie. Dziewczyna pojawiła się ponownie, przyglądając im się szeroko otwartymi oczyma. Trzy kobiety, jedna, najwyraźniej starsza od pozostałych, w czerwonej kraciastej chuście na siwych włosach, uniosły wzrok znad rozpostartych na ziemi kocy, gdzie kruszyły miękki ser, żeby wysechł na słońcu. Starsza kobieta zawołała radośnie na Jakli, podczas gdy jedna z młodszych zerwała się i pochwycając wiszącą na gałęzi drzewa białą suknię, zniknęła w środkowej jurcie, z której po chwili wynurzyli się dwaj mężczyźni o silnych, szorstkich twarzach i gęstych czarnych wąsach. Uśmiechnęli się do Jakli, po czym zerknęli podejrzliwie na Shana. Synowie Akzu, wyjaśniła Jakli, przywitawszy się z każdym z nich z osobna.

–Jakli! – Wykrzyknął z najbliższej zagrody dwunasto-, może trzynastoletni chłopak, gdy dziewczyna, prowadząc konia, weszła między jurty. Na ramionach trzymał małą kózkę. Delikatnie postawił ją na ziemi obok starszej kozy, po czym podbiegł do dziewczyny i uściskał ją.

–To mój najmłodszy kuzyn – wyjaśniła Jakli Shanowi. – Malik. Spędza ze zwierzętami tyle czasu, że nazywamy go czasem Seksek Ata. Opiekuńczy duch kóz – wyjaśniła.

Uśmiech znikł z twarzy chłopca, która ściągnęła się troską, gdy ponownie przytulił się do kuzynki. Tym razem, uznał Shan, nie z radości, ale najwyraźniej szukając pocieszenia.

Jakli przygarnęła chłopaka do siebie i delikatnie ucałowała go w czubek głowy.

–Khitai był twoim przyjacielem – powiedziała melancholijnie.

Z jurty po lewej rozległ się gniewny okrzyk. U wejścia do niej stała rozczochrana, ubrana w łąchmany kobieta o dzikich oczach. Wskazując Shana palcem, wrzeszczała coś po kazachsku. Jakli wysunęła się przed niego, jak gdyby chciała go obronie przed rozjuszoną Kazaszka, po czym popchnęła go w stronę zagród.

Kobieta wyszła z namiotu w blask słońca, nie przestając krzyczeć.

–Jest szalona – wyjaśniła ściszym głosem Jakli, gdy Shan zapytał ją, co znaczą te słowa. – To coś o dzieciach. – Zmarszczyła brwi, widząc, że Shan nie zamierza odwrócić wzroku. –

Ona mówi, że zawsze chodzi wam o dzieci. Że zabijacie dzieci. – Popchnęła go znowu, ale on nie ruszył się z miejsca. – Kiedyś, wiele lat temu, spodziewała się dziecka. Powiedzieli jej, że musi iść rodzić do rządowej kliniki. A tam dali jej zastrzyk, po którym zasnęła. Kiedy się obudziła, dziecko było już z niej wyjęte

i nie żyło. Później przekonała się, że została wysterylizowana. Oszałała kobieta zaczęła zbierać z ziemi kamyki i ciskać je w Shana.

–Po tym wszystkim zmieniła się – ciągnęła Jakli. – Zimą siada ze zwiniętym kocem i śpiewa mu besik zhyry.

–Besik zhyry? – zapytał Shan, przyglądając się kobiecie.

–Kazachowie mają pieśni na wszystko. Na wesela, narodziny dziecka, wyścigi konne, na śmierć przyjaciela, na śmierć konia – wyjaśniła. Zamyśliła się. – Ona śpiewa kołysanki – odezwała się po chwili.

Stali w milczeniu. Kilka kamyków trafiło Shana w nogę.

–Ileż umiera jakieś dziecko – dodała cicho Jakli – ona myśli, że to jej własne.

W świetle słońca Shan mógł dostrzec, że strój kobiety jest wybrudzony ziemią. Kawalki zeschniętych liści przyczepiły się do jej sięgających ramion warkoczy.

Gdy większy kamień uderzył go w kolano, Shan pozwolił Jakli odciągnąć się stamtąd. Ale chwilę później dziewczyna przystanęła. Na ścieżce prowadzącej na stok ponad zagrodami czekał na nich Malik. Jakli zerknęła przez ramię na oszałałą kobietę, jak gdyby wolała raczej mieć do czynienia z nią, niż iść z Malikiem, po czym westchnęła i skinęła na Shana, by poszedł za nią. Gdy zbliżyli się do chłopca, Shan spostrzegł w jego dłoni gałązkę wrzosu. Jakli pochyliła się i także zerwała sobie jedną. Shan zrobił to samo.

Gdy szli za Malikiem, obok nich przemknął ciemny kształt. Gniew kobiety najwyraźniej się już wypalił. Szlochała teraz, jakby beczała któraś z owiec.

Wspinali się milczącą procesją: z przodu ciemnowłosa kobieta o dzikich oczach, za nią Malik, dalej Shan i Jakli. Po jakichś stu krokach dotarli do małego zagłębienia pod szczytem wzgórza, osłoniętej przed wiatrem niszy zamkniętej od północy wielką skalną płytą, otwartej zaś na południe, z rozległym widokiem na Kunlun, w stronę Tybetu. W głębi, w cieniu pod kamienną płytą, usypany był półtorametrowej długości kopczyk.

W ubitej ziemi na lewo od niego widać było wyraźne wgniecenie. Shan uświadomił sobie, że kobieta o dzikich oczach sypiała przy grobie. W jego głowach, na paskach kory, złożono potrawy ofiarne dla zmarłego. U stóp kopczyka w ziemię wetknięte były dwa wielkie pióra i gałązki wrzosu. Idąc za przykładem Malika, Shan i Jakli dołączyli swoje gałązki do pozostałych.

Kobieta usiadła w głowach grobu. Kołysząc się w przód i w tył, z twarzą wykrzywioną smutkiem, śpiewała cicho jakąś piosenkę, nie zwracając najmniejszej uwagi na Shana.

Bezradny, nie wiedząc, co robić, Shan opadł na kolana u stóp grobu. Chwilę później Jakli w milczeniu uklękła obok niego i zaczęła niemal bezgłośnie szeptać kazachskie słowa. Malik stał za nią, trzymając dłoń na jej ramieniu. Shan kątem oka spostrzegł za sobą jakiś ruch i odwróciwszy się, ujrzał nadchodzących Lokesha, Jowę i Akzu.

Lokesh usiadł, kładąc dłoń na grobie.

–Khitai – szepnął żałośnie. Z otwartymi ustami wpatrywał się w świeżo wzruszoną ziemię. Pozostali przyglądali się w milczeniu, jak stary Tybetańczyk drugą ręką sięga po różaniec i prostując się, intonuje cichą mantrę. Jowa usiadł obok. Po chwili nieśmiało wyciągnął własny różaniec i przyłączył swój głos do głosu Lokesha.

Siedząca w głowach grobu kobieta zamrugowała kilkakrotnie i potarła oczy, jakby budziła się z transu. Rozejrzała się niepewnie, zdumiona tak licznym towarzystwem lub może niepewna, kto z nich jest śmiertelnikiem, a kto przybyszem z tamtego świata. Jej oczy spoczęły na paciorkach różańca, najpierw Jowy, potem Lokesha, i jej twarz się rozjaśniła. Odezwała się do Akzu w ich ojczystym języku. Naczelnik spojrzał na dwóch Tybetańczyków i odpowiedział jej, po czym odwrócił się do gości.

–Ona mówi, że to dobrze, że sprowadziliśmy wreszcie muł-
 łę. Wyjaśniłem, że nie jesteście mułłami, tylko buddystami,
 ale tak czy owak jesteście świętymi ludźmi.

Kobieta energicznie pokiwała głową, po czym pogładziła ziemię tak, jak mogłaby
 pogłaskać śpiące dziecko.

–Czyj był ten chłopiec? – zapytał Shan. – Był sierotą, ale gdzie jest reszta jego
 klanu?

–Nie ma. Pewnie wymarli. Nie znamy jego pochodzenia. On sam też nie wiedział.
 Był z zheli – odparł Akzu, jakby to starczało za wyjaśnienie.

Shan w milczeniu przyglądał się obszarpanej kobiecie. Wreszcie wstał,
 odpychając się od kopczyka ziemi.

–Chcesz powiedzieć, że on mieszkał tutaj, ale Lau była jego
 nauczycielką?

Akzu skinął głową.

–Mieszkał tu dość krótko. Niektórymi dziećmi muszą zajmować się wszyscy. Nie
 był żadnym ciężarem – dodał. – Często się zdarza, że jakieś dziecko z zheli spędza u
 nas miesiąc lub dwa. Lau nie chciała, żeby stale przebywały w mieście. W ciepłych
 porach roku umieszczala je w różnych klanach.

–Ale Khitai był nowy?

–Nowy dla nas. Nigdy wcześniej nie gościł w klanie Czerwonego Głazu. Ale
 widywaliśmy go czasem, odprowadzając nasze sieroty do Lau. Zawsze się uśmiechał.
 Miał więcej szczęścia niż większość z nich, bo przynajmniej miał towarzysza, tego
 Bajysa. – Wzdrygnął się, jak gdyby dostrzegł ironię tych słów.

–Więc Bajys też jest sierotą? – zapytał Shan.

–Tak. Ale był od niego sporo starszy, więc nie chodził już do szkoły. Podobno oni
 dwaj odkryli dawno temu, że pochodzą z tego samego klanu na północy, i przyrzekli
 sobie, że będą troszczyć się o siebie nawzajem. Bajys uczył Khitaia różnych rzeczy.

–Co stało się z ich klanem? – zapytał Shan, przypominając sobie, co powiedział
 Akzu, kiedy ruszali w drogę. Być może demon kończył coś, co zaczął przed wielu
 laty.

Akzu wzruszył ramionami i odsunął się od grobu, zbierając się do odejścia,
 przystanął jednak i spojrzał na południe, ku wzgórzom,

za którymi rozciągała się wysoko Wyżyna Tybetańska. Shan podszedł do niego.

–Nie ma klanu, który by nie ucierpiał, odkąd to się zaczęło – powiedział Akzu.

–Mówisz o morderstwach?

Akzu nie oderwał wzroku od wzgórz. Uśmiechnął się kwaśno, jak gdyby Shan
 powiedział jakiś dowcip.

–Jasne, o morderstwach. O wszystkich morderstwach. O aresztowaniach. O
 wszystkim, co widzę od dziecka, odkąd przybyły zielone koszule.

Akzu miał na myśli Armię Ludowo-Wyzwoleńczą i jej inwazję na tereny zachodnie
 przed pięćdziesięciu laty, kiedy to region ten został wchłonięty przez Chiny Ludowe.

Niektórzy z dawnych współwięźniów Shana, schwytani bojownicy, opowiadali o tym tak często, że opowieść przekształciła się w pieśń, którą gwizdali czasem w twarz strażnikom. ALW zajęła Xinjiang; potem, poćwiczywszy na muzułmanach, ruszyła na Tybet. Ujarmienie Xinjiang zabrało im rok. Ujarmienie Tybetu – prawie dziesięć razy dłużej.

–Wiele dawnych klanów zniknęło zupełnie bez śladu – powiedział Akzu. – Inne zostały rozbite, podzielone przez linie na chińskich mapach. – Spojrzał znów na Shana. – Cesarze z Pekinu nie raz przybywali do Xinjiang. Chcieli kupować nasze konie. Chcieli umieszczać tu garnizony, żeby strzegły chińskich granic. Ich wojska zostawały na parę lat i szły do domu. Wszystko to nie przeszkadzało Kazachom ani Ujgurom, którzy tu żyli. Ale Cesarz Mao był inny. – Pokręcił głową. – Zawsze byliśmy koczownikami. Zielone koszule przysłane przez Mao rysowały prostokąty na mapach i dały nam papiery pozwalające przebywać tylko w tych prostokątach. Śmialiśmy się. Najwyraźniej Chińczycy nie rozumieją zwyczajów stad ani naszych ludzi. Ale kiedy wychodziliśmy poza te ich prostokąty, zamykali nas w więzieniach. Albo jeszcze gorzej.

–Chcesz powiedzieć, że chłopiec został przesiedlony?

–Przesiedlony! – prychnął Akzu. – Gadasz jak ludzie z Pekinu. – Westchnął i spojrzał na Jakli, jakby przypominając sam sobie, że musi być w dobrych układach z Shanem. – Ograniczenia nie są już przestrzegane tak ściśle jak kiedyś – oświadczył ugodowo.

–Miewamy teraz gości, ludzi wędrujących w poszukiwaniu rodzin, których nie widzieli od dwudziestu-trzydziestu lat, bo zostali przypisani do różnych prostokątów na chińskich mapach. Lau z początku była właśnie kimś takim, ale postanowiła zostać w okręgu Yoktian, żeby pomagać wszystkim, którzy wędrują przez te strony.

–Tak właśnie trafili tu Khitai i Bajys? Szukając rodziny?

–Teraz sieroty zwykle próbują po prostu znaleźć dla siebie miejsce, urządzić sobie nowe życie. Ciocia Lau powiedziała, że może powinniśmy poznać Khitaia. Mówiła, że on lepiej czuł się w małych klanach, takich, które trzymają się wyżej położonych pastwisk, z dala od miasta. Powiedzieliśmy, że oczywiście przyjmujemy go razem z Bajysem. Wielu takich jak oni nigdy nie znajduje domu. Świat bardzo się zmienił. Dzieciom nie pozwala się poznawać dawnych zwyczajów. – Powoli pokręcił głową. – W zeszłym roku dostałem list od kuzynki, która wyszła za mąż w klanie na północy. Napisała, że sytuacja poprawiła się do tego stopnia, że Chińczycy odwiedzają ich obóz i płacą za to, by spać w ich jurtach i jeść potrawy z ogniska. Turyści. Odpisałem jej, że to wcale nie znaczy, że jest lepiej: jeśli cieszyć się z tego, że oni przyjeżdżają i traktują was jak tresowane zwierzęta, jak cyrk, to zapomnieliście już, po co to wszystko, zapomnieliście, co to znaczy być Kazachem. – Wzruszył ramionami. – Nie wysłałem tego listu. Bezpieka mogłaby przeczytać. Czasem jeszcze to robi.

Ale kiedy pojawiają się wędrowcy tacy jak Khitai – ciągnął -musimy zrobić dla nich miejsce. Podczas walk nasz klan stracił wielu ludzi. Być może niektórzy z nich wciąż żyją, może na północy, czy nawet w Kazachstanie – powiedział, mając na myśli niepodległe kazachskie państwo na zachód od Chin. – Czasem niedobitki klanów idą do miasta, żeby zacząć nowe życie, jak Lau. Ale niektórzy po prostu wędrują. Może są wśród nich także nasi krewni. Chcielibyśmy, żeby spotykali się z przyjaźnią. – Shan spojrział na Jakli. Jej ojciec zaginął, powiedziała mu. Brat Akzu. Naczelnik westchnął ciężko. – Już niedługo sami się dowiemy, jak to jest. Co to znaczy być sierotą.

Shan miał go właśnie zapytać, co ma na myśli, kiedy podeszła do nich Jakli.

–Stryju, jak długo ten chłopiec był tutaj? – zapytała.

–Prawie trzy tygodnie. Przyszedł przed ostatnią pełnią księżyca. To był spokojny chłopiec. Grzeczny. Czasami psotny. Raz wdrapał się na drzewo koło obozowiska i rzucał orzechami w każdego, kto przechodził dołem. Ćwierkał przy tym jak wiewiórka. Zawsze nosił czerwoną dopę, jak na dobrego muzułmanina przystało. Kiedy nie bawił się z Malikiem, pracował z Ba- jysem na wzgórzach. Cieszyliśmy się, że mamy ich do jesiennych prac. Kosiliśmy siano na zimę. – Przy tych słowach rzucił Jakli gorzkie spojrzenie, jakby koszenie siana na przyszłą zimę stanowiło okrutny żart.

–W jaki sposób on zginął? – zapytał nagle Shan.

Akzu znów westchnął.

–Tamtego dnia odwiedziła nas jedna ze starych rodzin. Nie klan, niedobitki klanu. Widmowe klany, jak ich nazywamy. Nie ufają nikomu, czujni jak jelenie. Unikają dróg, kiedy tylko można, hodują tylko tyle owiec, ile im trzeba, żeby się wyżywić. Zwykle trzymają się najwyższych pastwisk, blisko lodu, gdzie nikt oprócz nich nigdy się nie zapuszcza. Jeśli potrzebują jakichś towarów, schodzą do jednego z małych obozów, takich jak nasz, żeby handlować. Niektórzy z nich też brali dzieci od Lau. Ona twierdziła, że to pomaga widmowym klanom zachować kontakt ze światem – dodał, spoglądając na kobietę przy grobie. – Zjedliśmy z nimi i o zmroku odeszli. Malika nie było, więc Khitai bawił się z chłopcem z tamtej rodziny. To był jego kolega z zheli. Bawili się na wzgórzach przez większość dnia. Dla tamtego chłopca była to wielka radość, jak mi powiedział przy posiłku, bo jego widmowa rodzina nie mówiła dobrze ani po kazachsku, ani po mandaryńsku.

–To nie byli Kazachowie?

Akzu pokręcił głową.

–Dropkowie, Tybetańczycy. Jedna z rodzin z pogranicza. Wielu dropków po tej stronie granicy pomagało Lau.

Shan zamknął oczy, czując, jak ogarnia go nowa fala smutku. Stać przy grobach dwojga dzieci w ciągu zaledwie dwóch dni było przeżyciem nie mniej bolesnym niż to, czego doświadczył w lao gai.

–Widzieliśmy ich – odezwał się po chwili, z wysiłkiem wypowiadając słowa. – Pochowaliśmy ich chłopca – dodał i wyjaśnił,

co się zdarzyło na płaskowyżu.

Jakli cicho jęknęła. Akzu spuścił oczy i wypowiedział w ojczystym języku kilka słów brzmiących jak modlitwa.

–Gdzie był tamtego dnia Bajys? – Shan dawno już się nauczył nie wierzyć w zbiegi okoliczności. Zabójca namierzył obu chłopców i zabił jednego po drugim, w odstępie dwóch dni. – Czemu miałyby zaatakować Khitai? I czemu potem jeszcze Altę?

Akzu, nim odpowiedział, spojrzał z powagą na Jakli.

–Dzień wcześniej był tu Gruby Mao, żeby zapytać, czy pomożemy, kiedy ludzie z Tybetu przyjadą zająć się sprawą Lau. – Mówiąc, naczelnik zerknął na siedzącego przy grobie Lokesha, który sprawiał wrażenie kruchego starca, potem na Shana i wreszcie na Jowę. Zgrzybiały Tybetańczyk, chiński wyrzutek i ponury, nieszczęśliwy bojownik. Nie była to, jak podejrzewał Shan, pomoc, jakiej spodziewał się Akzu.

–Bajys był tutaj? Wiedział o śmierci Lau?

–Nie. Jej śmierć była utrzymywana w tajemnicy przed zhe-li. Sieroty mogły co najwyżej usłyszeć plotki z miasta o jej zniknięciu. Ale Bajys wszedł do namiotu i spojrzał na Grubego Mao. Zapytaliśmy go, czego chce, ale on tylko patrzył na niego, a potem odwrócił się i uciekł. Musiał się domyślić, musiał coś podsłuchać, może znał Grubego Mao z miasta. Taka informacja może odmienić człowiekowi życie. Są ludzie, dla których byłoby to jak znalezienie złota na drodze. Iść do prokuratoria, powiedzieć o ruchu oporu, podać parę nazwisk. Wziąć nagrodę, dostać gdzieś nową pracę, nowe życie. Myślę, że Bajys powiedział tamtego dnia chłopcu, co chce zrobić, a Khitai sprzeciwił się, zagroził, że powie Grubemu Mao, że go powstrzyma. Ale Bajys nie miał przed sobą żadnej przyszłości. To był największy uśmiech losu, na jaki mógł kiedykolwiek liczyć. A tamten drugi chłopiec był pewnie przy ich rozmowie.

–Czy Bajys miał broń?

–Najwyraźniej. Wielu Kazachów trzyma strzelby do polowań.

–Gdzie to się stało?

–Tu, w tym zakątku. Znaleźliśmy chłopca siedzącego pod skałą, niedaleko od miejsca, gdzie jest pochowany.

–Kto dokładnie go znalazł?

–Następnego dnia rano, kiedy nie pojawił się na śniadaniu, Malik poszedł go szukać. Chłopiec często przesiadywał tutaj. To spokojne miejsce. Miał tu lekcje z Bajysem. O świcie Malik wszedł na górę i wrócił biegiem, wołając nas. To musiał być jakiś straszliwy wypadek, pomyślałem w pierwszej chwili. Znalazł broń i bawił się nią.

–Tylko że broni nie było – dokończył Shan.

Akzu powoli pokręcił głową.

–Czy ktokolwiek obejrzał ciało? – pytał dalej Shan.

–Tu w okolicy nie ma żadnego świętego człowieka. Żadnego mułły. A my musimy chować naszych zmarłych szybko, przed zachodem słońca. Moja żona przyszła tutaj i umyła go, potem zawinęła go w całun. Nie знаła dobrze Khitaia – westchnął. – Ale wie, jak grzebać dzieci. Śpiewaliśmy pieśni, ale takie pieśni powinny mówić o życiu zmarłego i nikt nie wiedział, co śpiewać. – Popatrzył na Jakli, jakby chciał ją uspokoić. – Tak więc śpiewaliśmy o komach pędzących po górskich pastwiskach i o szybujących orłach. – Rzucił Shanowi znaczące spojrzenie. – Miał jedną ranę od kuli na środku czoła – wyjaśnił, zniżając głos. – To była broń małego kalibru. Kula nie miała dużej prędkości. Cicha. Nikt nie słyszał wystrzału. – Wpatrywał się w Shana, jak gdyby prowokując Chińczyka, żeby go zapytał, skąd zna się na broni. – Nie było rany z tyłu czaszki. Kula została w środku.

–Nic więcej? Żadnych śladów walki?

–Miał podarte ubranie. Rozerwaną koszulę, rozdartą nogawkę spodni. Brakowało mu buta. – Akzu przeniósł wzrok na wzgórze. Kiedy znów spojrzął na Shana, w jego oczach pojawił się cień troski. Coś jeszcze leżało mu na sercu. Akzu, przypomniał sobie Shan, zamierzał sprowadzić do swego obozu tylko Jowę. Dlatego, że Jowa znał się na sprawach bezpieczeństwa.

–Ale mówiłeś, że Bajys i Khitai byli krewniakami, ostatnimi niedobitkami swego klanu. Że trzymali się razem od dawna.

Akzu powoli pokręcił głową.

–Bajys był niezrównoważony. Niektórzy ludzie zawsze robią się nerwowi przy dzieciach. Czasami był dla chłopca jak wuj.

Kiedy jedliśmy, przypominał Khitaiowi o manierach. Czasem był dla niego jak nauczyciel. Ale czasami wyglądało na to, że boi się chłopca.

–Bał się?

–Właściwie nie. – Naczelnik zmarszczył brwi. – Nie wiem, jak to powiedzieć. Czasem się wydawało, że Khitai jest starszym bratem. Bajys wychodził ze skóry, żeby mu dogodzić. – Przez chwilę wpatrywał się w niebo, po czym wzruszył ramionami. – Kiedy źrebak dorasta bez stada, zawsze będzie zachowywał się dziwnie.

–Sieroty mają powody, żeby zachowywać się dziwnie – zauważył Shan.

Akzu skinął głową.

–Ale psy lubiły Bajysa – dodał z zakłopotaniem, jakby to właśnie było w tym wszystkim największą zagadką. Ponownie wzruszył ramionami. – Dopadniemy go, jeśli tylko opuści chińskie miasto. Klany nie zwrócą się z tym do rządu. Sami wymierzmy sprawiedliwość. Ale on wie, że nie możemy pójść po niego do miasta. Zbyt wielu pałkarzy.

–Wymierzycie sprawiedliwość?

–Znamy zabójcę – oświadczył naczelnik lodowatym tonem. – Prędzej czy później znajdziemy go i spotka go los, jaki czeka wszystkich zabójców.

Jego słowa zaskoczyły Shana. Ostatnie lata spędził w Tybecie, wśród buddystów, którym obce było pragnienie zemsty. Ale teraz znajdował się na muzułmańskiej ziemi, a muzułmanie wierzyli w karę za grzechy.

–A co z innymi dziećmi Lau, z resztą zheli? – zapytał. – Czy ktoś je ostrzegł? Dopóki nie znajdziemy zabójcy, dopóki nie zrozumiemy, dlaczego zabija, one wszystkie będą w niebezpieczeństwie. – Słowa Akzu ze szlaku wciąż brzmiały w jego uszach.

Być może demon nie spocznie, póki nie zabije ich wszystkich.

Było ich dwadzieścia troje. Zostało tylko dwadzieścia jeden.

Akzu i Jakli wymienili zatroskane spojrzenia.

–Rozesłaliśmy wieści – odparł zbolalym głosem naczelnik. – Robimy, co możemy.

–To nie jest łatwe – dodała Jakli. – Dlatego właśnie Lau nazywała je swoim zheli. Te dzieci są jak dzikie konie: rozproszone po górach, zawsze w ruchu, zawsze gotowe do ucieczki.

–Ale chyba wiadomo, w jakich są domach? U jakich rodzin?

Akzu pokręcił głową.

–W domach? One są z koczownikami. Aż do zimy wędrują

z ich stadami, schodzą się razem jedynie na lekcje u Lau. Czasami odbierają pocztę w gospodarstwach albo w mieście. Ludzie znają nazwy klanów, czasem pastwiska, z których zwykle korzystają. Wiemy, że dwie dziewczynki z zheli są w dolinie niedaleko stąd. Są teraz trzymane w jurtach, zawsze ktoś ich pilnuje. – Przesunął wzrok po odległych szczytach. – Odkąd Lau odeszła z Rady Rolnej na emeryturę, chodziła sama w góry, żeby robić dzieciom badania lekarskie, zanosić jedzenie najuboższym rodzinom, dawać dodatkowe lekcje. Myślę, że tylko ona wiedziała, gdzie każde z dzieci akurat się znajduje. Być może to je ocali, ich

tajemnica.

–Więc Lau wiedziała, że klan Czerwonego Głazu jest tu, w tej dolinie?

Akzu skinął głową.

–Wiedziała, że przybyliśmy tu jesienią, wiedziała, że to obozowisko jest naszą bazą, że tu spędzamy stada na zimę. Ale nie ma znaczenia, co wiedziała Lau. Bajys był tutaj. – Akzu zerknął w tył, na kopczyk świeżej ziemi. – Jedynymi dziećmi, które zginęły, było jedno z obozu Czerwonego Głazu i jedno, które odwiedziło obóz Czerwonego Głazu – powiedział posępnie, ruszając w dół ścieżką.

Kiedy wrócili do obozowiska, przednia klapa środkowej jurty była podwiązana i gdy podeszli bliżej, pojawiła się pod nią siwowłosa kobieta. Przyjrzała się im uważnie bystrymi, dumnymi oczyma i ruchem ręki zaprosiła ich do środka. Shan, idąc za przykładem Jakli i jej stryja, obmył ręce w misie z wodą przy wejściu, po czym usiadł obok nich na jednej z poduszek rozłożonych na grubym dywanie stanowiącym podłogę jurty, podczas gdy kobieta rozdała im wyszczerbione porcelanowe czareczki z parującym płynem.

–Moja żona dziś piecze – oświadczył Akzu, gdy kobieta po chyliła się nad paleniskiem, na którym perkotał czajnik. Obok paleniska stał gliniany dzbanek jogurtu i, na dużym, płaskim kamieniu, stos nan, płaskich chlebów, które jadają chińscy muzułmanie. – Będziecie spać z nami, w jurcie przy zagrodach.

Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało, gdy Shan podziękował jej skinieniem głowy i pociągnął mały łyk z czarki. Nie była to herbata, jak się spodziewał.

–Gorące mleko kozie – wyjaśniła Jakli.

Za pledu zawieszzonego w głębi jurty Shana dobiegły jakieś głosy. Dwie kobiety, te, które widział wcześniej, wystawiły głowy i spojrzały z wyczekującym uśmiechem na Jakli, po czym znów zniknęły za kotarą.

Mleko było zaskakująco gorzkie, ale wypełniło jego żołądek przyjemnym ciepłem.

–Czy Bajys oddalał się stąd? – zapytał Shan.

–Czy się oddalał? – powtórzył naczelnik. Opróżnił swą czarę, po czym sięgnął za siebie i wydobyl mały bukłak. Trzymając go oburącz, z lekkim skinieniem głowy wyciągnął go w stronę Shana.

Shan, nie patrząc, wziął bukłak.

–Ciocia Lau zginęła przeszło tydzień temu. Czy to też mógł zrobić Bajys? – Wyjaśnił Shan.

Jakli uniosła głowę z nagłym zaciekawieniem, jak gdyby dotąd nie brała po uwagę takiej możliwości.

–Nie – odparł po chwili Akzu. – On spędził ostatni miesiąc z naszym klanem. To miejsce na pustyni, gdzie ją zabito, Karaczuk, jest daleko stąd. Żeby tam pójść i wrócić, trzeba więcej niż jednego dnia. On nigdy nie odchodził na dłużej niż cztery czy pięć godzin, kiedy szedł z Khitaiem na wysokie pastwiska. – Naczelnik wskazał głową bukłak. – Kumys – powiedział. – Pij.

A więc było dwóch zabójców, pomyślał Shan. A Bajys stanowił tylko część odpowiedzi.

–Karaczuk? – zapytał. – Co ona tam robiła?

Jakli i Akzu, marszcząc brwi, spuścili wzrok na swoje czarki, a następnie wymienili spojrzenia.

–To po prostu oaza – odparł enigmatycznie naczelnik, po czym skierował rozmowę z dala od Lau i zabitego chłopca, zwracając się do Shana tak, jak zgodnie z kodeksem gościnności, który Shan poznał już w namiotach koczowników w Tybecie, gospodarz powinien zwracać się do gościa. Pokazał mu, jak wykręcić drewnianą zatyczkę z bukłaka i jak go unieść, by wtrysnąć zawartość do ust. Shan zrobił to niepewnie, gdyż nie spotkał się z takimi bukłakami w Tybecie, i niemal się udławił, kiedy płyn uderzył strugą w jego podniebienie.

Akzu uśmiechnął się szeroko.

–Sfermentowane mleko klaczy – wyjaśnił, po czym wziął bukłak od Shana i pociągnął długi łyk bladobiałego trunku. Westchnął z zadowoleniem i zaczął opowiadać o tym, jak koniom gęstnieje sierść, zapowiadając surową zimę. Po kwadransie Jakli wstała i weszła za kotarę oddzielającą dalszą część jurty, skąd zaraz dobiegł stłumiony, podniecony trajkot ukrytych za nią kobiet. Po kilku minutach pojawiła się ponownie, zarumieniona, jakby z zażenowania, po czym

podniosła leżący przy wejściu worek Shana. Podziękowawszy żonie Akzu za gościnę, Shan ruszył za Jakli do jurty przy zagrodzie.

Wynurzył się z niej Malik, przytrzymując odchyloną klapę, jak gdyby na nich czekał. Jakli jednak przystanęła z wahaniem, oglądając się w stronę jurty po przeciwnej stronie obozowiska. Wreszcie oddała worek Shana chłopcu i bez słowa poszła w tamtym kierunku. Shan stał zdezorientowany, zastanawiając się, czy Malik wytłumaczy jej zachowanie. Ale chłopiec tylko wrzucił ramionami i cofnął się za klapę. Shan ruszył za Jakli. Zbliżając się do jurty, do której weszła dziewczyna, usłyszał dziwny, nieregularny klekot. Kiedy wszedł do środka, zwróciło się ku niemu pięć twarzy, Jowy, Jakli, Grubego Mao i synów Akzu.

Jakli wraz z Jową siedzieli obok niewielkiego pojemnika z żarem. Ujgur i obaj Kazachowie klęczeli za nimi, z podnieceniem wpatrując się w mały przenośny komputer na kolanach Jowy.

Jakli zaskoczona spojrzała na Shana.

–Twój siennik jest w tamtej jurcie przy zagrodzie. Śpisz razem z Lokeshem.

Ale Shan wszedł głębiej. Jeden z Kazachów zaklął pod nosem. Jowa zachował obojętność. Zerknął na Shana i pracował dalej, stukając w klawisze i z natężeniem wpatrując się w ekran.

Jakli wstała, patrząc na niego niepewnie.

–To tylko dane na temat rolniczych jednostek produkcyjnych. Jowa pomaga nam przy komputerze.

Shan stanął obok Jowy i spojrzał na ekran. Purba powoli przeglądał plik. Dane były po chińsku, z tym samym nagłówkiem na każdym zestawieniu: „Rejestry produkcji rolnej, okręg, OKtian”. Były tam osobne wykazy zbiorów bawełny, wełny, jęczmienia i pszenicy. Przeszło siedemdziesiąt procent produkcji

przypisane było Ludowej Korporacji Budowy i Rozwoju. Kolejne, mniej znaczące pozycje dotyczyły rozmaitych spółdzielni i rodzinnych gospodarstw – pozostałych miejscowych producentów rolnych.

Jowa zatrzymał się na tabeli dotyczącej wełny. Jeden z zagląających mu przez ramię Kazachów wskazał na pozycję u dołu ekranu. „Czerwony Głaz”, widniało tam.

–To my – powiedział. – Przedsiębiorstwo Pasterskie „Czerwony Głaz”.
Przedsiębiorstwo naszego klanu.

Jowa podświetlił nazwę i wcisnął klawisz. Na ekranie pojawiło się zestawienie wyników Czerwonego Głazu z ostatnich pięciu lat, z wykresem u dołu. Produkcja wełny systematycznie spadała. Jowa wcisnął inny klawisz, przywołując zbiorcze zestawienie pięcioletniej produkcji wszystkich podmiotów w okręgu Yoktian. Czerwony Głaz miał najniższą wydajność w każdym roku i zdecydowanie najgorszy wynik łączny.

Jakli pochyliła się nad ramieniem Jowy i przetłumaczyła tekst z ekranu. Choć większość obecnych dobrze rozumiała po chińsku, najwyraźniej tylko nieliczni potrafili czytać w tym języku. Gdy skończyła, jeden z Kazachów zaklął głośno.

–To Brygada – powiedział. – Od lat zmuszają nas do obniżania cen, traktują nas jak niewolników na naszej własnej ziemi i wciąż jeszcze im mało.

–Brygada Ludowa, tak się to nazywa – wyjaśniła Shanowi Jakli. – Pierwsza faza osadnictwa z Pekinu. Wielu żołnierzom z tutejszych oddziałów okupacyjnych zaproponowano korzystne warunki do pozostania i zajęcia się uprawą roli. Utworzono dla nich spółdzielnię i przydzielono ziemię. Zabrali najlepsze pastwiska i zaorali je pod bawełnę i inne uprawy. Stopniowo wzrastali w siłę. Teraz Brygada jest praktycznie tak samo potężna jak władze. Podlegają jej szkoły. Podlegają jej miejscowe kliniki. W myśl umowy z Ministerstwem Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa Publicznego podlegają jej nawet niektóre z więzień. Tysiące pracowników. Setki przedsiębiorstw. Nie jesteśmy w stanie z nimi konkurować.

–Brygada i wojsko to jedno i to samo? – zapytał Shan.

Chińskie siły zbrojne od dawien dawna inwestowały w przedsiębiorstwa komercyjne.

–Pięć lat temu Brygada została sprywatyzowana – odparła Jakli – Ale wciąż jest zarządzana jak armia. Jej szefami są Chińczycy, dawni generałowie.

–Jak małe państwo – powiedział z goryczą ktoś za ich plecami. Do namiotu wszedł Akzu. – Państwo w państwie, wspierane przez Pekin.

–Ale co was... – zaczął Shan.

–Oni twierdzą, że trzeba zwiększać wydajność – odparł cierpko Akzu. – Mówią, że małe klany są już nierentowne.

–Nierentowne?

–Program Walki z Ubóstwem, tak to nazywają – powiedziała Jakli. – Polityka rządowa, wcielana w życie przez Brygadę.

–Ale co to ma wspólnego z waszym klanem?

Jowa przerwał im, z trzaskiem zamykając komputer.

–Najsłabsze przedsiębiorstwa są wykupywane – wyjaśnił. – Brygada ustala, którzy producenci mają najniższą wydajność, żeby włączyć ich do bardziej efektywnej produkcji. Wyższa wartość dodana, jak to nazywają.

–To znaczy, że klan dostanie nowe ziemie?

–Nie – odparł Akzu. – Nasz klan prowadzi działalność poprzez spółkę akcyjną, którą władze założyły kilka lat temu. Teraz Brygada kupuje wszystkie akcje.

–Ale jeśli się nie zgodzicie... – zaczął Jowa.

–Jest takie określenie, które słyszałam w mieście – wtrąciła się Jakli. – Wrogie przejęcie. Wszyscy to powtarzają, jakby to było coś śmiesznego, jak coś, o czym czyta się w amerykańskich czasopiśmie.

–Ale wykupienie akcji nie powinno chyba mieć wpływu na klan – zauważył Shan. Jakli skrzywiła się.

–Dla nich nie jesteśmy klanem, tylko potencjalnymi pracownikami. Brygada ma już plany co do Czerwonego Głazu.

Wszyscy zostaną wysłani do miast. Do różnych miast, żeby rozbić klan. Rodzice z dziećmi dostaną mieszkania. Pozostali będą

nueszkać w hotelach robotniczych. – Wzdrygnęła się. Przycisnęła dłoń do piersi, jakby zabrakło jej tchu.

Naczelnik usiadł przy synach i wyciągnął z za pazuchy złożoną kopertę.

–Tydzień temu otrzymaliśmy pismo. Do końca miesiąca mamy przekazać Brygadzie nasze stada, nasze konie, nasze psy, nawet nasze jurty. Za dziesięć dni, tuż po jesiennym święcie koni, po Nadamie. Wszyscy mają się zgłosić po przydział. – Wskazał stertę dokumentów obok komputera. – Każą nam sporządzić remanent końcowy. Każda owca, każde jagnię, każda pieprzona łyżka i garnek.

–Program Walki z Ubóstwem – mruknął głucho Jowa. – Sukinsyny likwidują klan. W ciężkiej ciszy, która zapadła w jurcie, słyhać było jedynie oddech uwiązanych na zewnątrz koni.

–Nikt jeszcze tego tak nie nazwał – powiedział Akzu.

Gruby Mao wstał.

–Ale to prawda. Ten Tybetańczyk ma rację. Tak zrobili z gospodarstwami Ujgurów. Tak zrobili z Kazachami na północy. –

Jego oczy zwęziły się, gdy spojrzał na Shana. – Program Walki z Ubóstwem – prychnął i skrzywił się. – Tu nie chodzi o gospodarkę. Tu chodzi o politykę. Ludzie w Pekinie zaplanowali to wszystko, żeby Ujgur nie mógł już być Ujgurem, a Kazach Kazachem. – Przeniósł wzrok na Jowę. – Chińczycy są bardzo sprytni. Badają, co ma dla jakiegoś narodu największe znaczenie, a potem szukają sposobów, żeby to zniszczyć; najpierw odbierają temu siłę, a w końcu usuwają to zupełnie. W Tybecie pozbawiają was kapłanów. Powiedz mi, przyjacielu, czy bez waszych świętych ludzi Tybetańczyk może być Tybetańczykiem?

Jowa odwrócił wzrok. Po chwili spojrzał w oczy Shana. Oni już stracili swego świętego człowieka. Purba zacisnął dłonie na obudowie komputera.

–Wychowywałem się na górskich pastwiskach, wśród stad – powiedział nagle. Wszyscy drgnęli i spojrzeli na niego, zaskoczeni bólem w jego głosie. – Tak właśnie wyglądało to w dolinie, gdzie mieszkała moja rodzina. Pewnego dnia przyjechali wielki mi ciężarówkami. Załadowali nas wszystkich, około pięćdziesiąt osób, na dwie z nich. Powiedzieli, że ponieważ nasza rodzina posiada ziemię, jesteśmy reakcjonistami. Powiedzieli, że ziemia wymaga chińskiej technologii, że sprowadzą traktory i będą uprawiać chińską pszenicę. Przetrzęsnęli na naszych oczach cały obóz. Wszystko, co służyło do pielęgnowania stad, cały sprzęt

obozowy, nawet dywany, które były w naszej rodzinie od ośmiu pokoleń, wrzucili do głównego namiotu. Wszystkie pozostałe namioty zwinęli i rzucili na ten duży. Potem podłożyli ogień.

Moja matka krzyczała. Jeden z żołnierzy uderzył ją kolbą karabinu i wybił jej cztery zęby. Moja siostra pobięła objąć swego kucyka. Zastrzelili kucyka. Ojciec zaczął recytować mantrę do Bodhisattwy Współczucia, a oni wyrwali mu różaniec, koralowy różaniec z czasów Siódmego Dalajlamy, i rozcięli go, tak że paciorki poginęły w trawie. Moja ciotka rzuciła się żołnierzowi na plecy, krzyczała i drapała go po twarzy... – Słowa uwięzły mu w gardle.

–Jeśli wróg zostawi ci tylko ręce – powiedział zimno Akzu – będziesz go drapał. Jeśli pozbawi cię rąk i zostawi ci tylko zęby, będziesz go gryzł. – Jego słowa pobrzmiwały jak stara pieśń wojenna.

Jowa powoli skinął głową.

–Ale kilku żołnierzy odprowadziło ją na pastwisko. – W jego głosie znów zabrzmiał ból. – Robili z nią różne rzeczy, aż umarła. Potem rzucili jej ciało w ogień i odjechali z nami. W ciężarówkach śpiewali pieśni na cześć Przewodniczącego. Bili nas karabinami, dopóki nie przyłączyliśmy się do ich śpiewu.

–Teraz nie jest tak źle – odezwał się jeden z Kazachów, ale jego głosowi brakowało pewności. – Nie ma takiej przemocy.

Jowa prychnął gniewnie.

–Teraz używają do tego komputerów i urzędników. I spółek. – Odwrócił się do Akzu. – Myślisz, że wyślą was wszystkich

w jedno miejsce, rodziców i dzieci razem? W Tybecie tak nie bywało. Rodzina wprowadza się do nowego mieszkania, a następnego dnia Chińczyk przychodzi po dziecko. Musi iść do specjalnej szkoły, powiada. Z internatem, w innej części kraju.

Tam dzieci uczą się śpiewać z małej czerwonej książeczki, a kiedy wracają, wszystkie noszą już chińskie imiona i wyśmiewają wasze stare zwyczaje.

Akzu wyglądał, jakby ktoś go kopnął w brzuch. Trzymając się za żołądek, wstał wolno, z wielkim wysiłkiem, i nie oglądając się za siebie, wyszedł z namiotu.

–Aż do ubiegłej nocy – odezwał się Shan w ciszy, która zapadła – towarzyszył nam święty człowiek. Potem zniknął.

Jakli westchnęła ciężko. Gruby Mao wyraźnie zeszywniał.

–Kto go zabrał? – zapytał ostro.

Ale Shan nie był w stanie odpowiedzieć. Samo wypowiedzenie tych słów sprawiło, że znów ogarnął go lęk. Chciał zerwać się i biec, wrócić w góry i odnaleźć Genduna. Lamowie nie rozumieli. Zbyt wiele od niego oczekiwali. Nie znał muzułmanów. Nie znał Xinjiang. Nie mógł nic zdziałać w sprawie tych nieszczęsnych mordowanych Kazachów. Ktoś popełnił błąd. To wszystko nie miało nic wspólnego z Tybetańczykami.

Jowa cicho wyjaśnił, co zdarzyło się poprzedniej nocy.

–Mundury? – zapytał Gruby Mao.

–Żadnych.

–Jaki kolor miała ciężarówka?

Jowa spojrzał na Shana.

–Hong – odparł purba. Czerwony.

Ujgur i Jakli wymienili zaniepokojone spojrzenia. Gruby Mao zaklął pod nosem. Jakli zerknęła na Shana.

–To Brygada – powiedziała wolno. – Oni jeżdżą czerwonymi ciężarówkami. – Spojrzała pytającym wzrokiem na Ujgura. –

Ale to niemożliwe, żeby byli w Tybecie. Nie mają upoważnienia. – Skrzywiła się, jakby uświadomiwszy sobie, że dla Brygady oficjalne upoważnienie nie ma najmniejszego znaczenia. – To znaczy nigdy dotąd się tam nie zapuszczali.

Shan wreszcie odzyskał głos.

–Jeśli to oni go zabrali – zapytał gorączkowo – jeśli czerwona ciężarówka wróciła z Gendunem Rinpocze do Xinjiang, dokąd by go zawieźli? Gdzie by go trzymali?

Ujgur powolnym ruchem sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął kopertę, z której wyjął dyskietkę komputerową.

–W Chwale – odparł z kwaśnym uśmiechem.

Shan przyglądał się, zdezorientowany, jak Jowa sięga po dyskietkę i wkładają do stacji. Gdy ekran rozjarzył się ponownie, widniały na nim wielkie chińskie znaki, które niegdyś, w pekińskim wcieleniu Shana, stanowiły część jego codziennej egzystencji. Nei Lou. Poufne. Wyłącznie do użytku wewnętrznego. Tylko dla władz. Jowa wpatrywał się w ekran z narastającym ogniem w oczach.

Ujgur pochylił się nad komputerem i wcisnął kilka klawiszy.

–Zakład Reedukacji „Chwała Ludowi” – przeczytał na głos Jowa, gdy pojawiła się nowa plansza. – 947. Obóz Lao Jiao. – Zakłady lao jiao były obozami reedukacyjnymi, więzieniami dla przestępców mniej groźnych niż ci, których kierowano do obozów pracy przymusowej, miejscami, gdzie karano za drobne przewinienia polityczne. Przyjęcie do lao jiao odbywało się w trybie administracyjnym, co oznaczało, że obywatel mógł zostać skazany na mocy decyzji jednego urzędnika, bez sędziego, bez procesu.

–Nefrytowa Dziwka – mruknął Gruby Mao.

Shan uniósł ku niemu wzrok.

–Prokuratorka z Yoktianu. Xu Li – wyjaśnił Ujgur. – Zimna i twarda jak nefryt. Obóz Chwały to jej prywatne więzienie. Pierdnij przy niej i idziesz na parę miesięcy jeść ryż w Obozie Chwały.

–Rejestr nowo przyjętych – odczytał Jowa z ekranu. – Ale to za wcześnie – powiedział. – Ta dyskietka jest...

–Wczorajsza, z szóstej wieczorem – oznajmił Gruby Mao konspiracyjnym tonem.

–Genduna zabrano dopiero wczoraj w nocy.

–Szukaj dalej – odparł Ujgur, wskazując głową ekran.

–Wolne numery – przeczytał Jowa, najwyraźniej zdumiony. – Właśnie. Ona zawsze rezerwuje kilka miejsc dla innych upoważnionych do korzystania z więźniów. Dla pałkarzy. Dla wojska. Dla służb bezpieczeństwa Brygady. Ma bzika na punkcie wydajności. Zakłada puste rekordy więźniów, bez nazwisk, opierając się na przewidywaniach liczby aresztowań. Na tej podstawie zamawiają jedzenie, przygotowują łóżka, dobierają personel. Brygada może po prostu przyprowadzić delikwenta i wpisać nazwisko przy bramie. Czasem jest już nawet przygotowana lista powodów zatrzymania. Gangi młodzieżowe. Recydywiści kulturowi.

–Kilka miejsc? – powtórzył Jowa. – Chciałeś powiedzieć: trzydzieści lub czterdzieści.

Ujgur z niepokojem pochylił się nad ekranem.

–Ta ma de! – zaklął. – Jasna cholera! Co ona planuje?!

Przewijali z góry na dół dane ostatnio przyjętych i puste rekordy. Po kilku minutach Gruby Mao wyprostował się z gniewem w oczach.

–Zazwyczaj do Chwały trafia może pięciu, sześciu nowych więźniów tygodniowo. Tydzień temu założyła czterdzieści pustych rekordów. Dziesięć przydzieliła Brygadzie, dziesięć pałkarzom. Dla siebie zatrzymała dwadzieścia. Trzy dni później

połowa była wypełniona. Dwudziestu nowych więźniów. Wczoraj następnych sześciu, potem... – Urwał w pół zdania i wskazał palcem środek ekranu. – A tu znów coś nowego – powiedział. – Wczoraj otworzyła jeszcze sześć rekordów. Zarezerwowanych dla Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

–Ale mówiłeś, że pałkarze dostali już... – wtrąciła Jakli.

–Nie. Tam chodziło o miejscowych pałkarzy – odparł Gruby Mao, zniżając głos. Zabrzmiało to jak warknięcie. – To jest coś innego. Tu jest napisane: Centrala Urzędu Bezpieczeństwa. Sztylpy. Sługusy pieprzonych kacyków z pieprzonego rządu. Wszystkich przebiegł dreszcz. W milczeniu wpatrywali się w ekran.

–Żadnej wzmianki o mnichach – szepnął wreszcie Jowa, zwracając się na boku do Shana. – Żadnej wzmianki o Gendunie lub o Tybetańczykach.

–Centrala – powtórzyła Jakli. – To może oznaczać centralę regionalną w Urumczy – powiedziała, mając na myśli leżącą tysiąc kilometrów na północny wschód stolicę Xinjiang. –

A może nawet Pekin. – Powiodła wkoło rozszerzonymi oczyma, jak gdyby ujrzała upiora. Tak czy inaczej oznaczało to, że ktoś jeszcze obserwuje okręg Yoktian. Ktoś z samej góry. Uniosła się, jakby chciała wstać, ale najwyraźniej opuściły ją siły.

Ciężko usiadła z powrotem i wbiła wzrok w ekran.

Shan wstał gwałtownie. Czuł, że brakuje mu tchu. Wyszedł z jurty i wciągnął do płuc chłodne powietrze. To pekińska centrala Urzędu Bezpieczeństwa wysłała go do obozu pracy. Zakładał, że najgorsze, co mogło przytrafić się Gendunowi, to dostać się w ręce miejscowych pałkarzy. Ale pałkarze z centrali mieli tytuły naukowe i wysokie stanowiska w partii. Sztylpy były ich specjalnie wyszkolonym wojskiem, na którego czele stał zawsze oficer polityczny. Ci traktowaliby Genduna inaczej. Stałby się ich królikiem doświadczalnym. Mogliby próbować wykorzystać go do własnych celów, złamawszy go technikami, którym nawet najbardziej zrównoważony umysł nie zdołałby się oprzeć. Robili to

już wcześniej, i to nie raz. Uwięzili nawet panczenlamę, najwyższego po dalajlamie ze wszystkich reinkarnowanych lamów, i przetrzymywali go przez dziesięć lat w najsilniej strzeżonym więzieniu pod Pekinem po tym, jak publicznie wystąpił w obronie niepodległości Tybetu. Gdy stamtąd wyszedł, był już innym człowiekiem. Ożenił się z rodowitą Chinką.

Shan wrócił do jurty przy zagrodzie. Malik klęczał obok jego worka, wygładzając posłanie sporządzone z trzech ułożonych jeden na drugim małych dywanów. Lokesh siedział ze skrzyżowanymi nogami na podobnym posłaniu, przed nim zaś, na malutkim czerwonym dywanie, muzułmańskim dywaniku modlitewnym, leżało kilka przedmiotów. Oczy starca były zamknięte. W dłoni, przed sobą, trzymał ogryzek ołówka.

Shan zahaczył stopą o stojące na skraju czerwonego dywanika blaszane pudełko, pełne drobnych kawałków szkła. Przewróciło się z brzękiem, który wyrwał Lokeshę z transu.

–Nie miał wiele – westchnął stary Tybetańczyk, wskazując leżące przed nim przedmioty.

–To rzeczy tego chłopca?

Lokesh skinął głową, badawczo przyglądając się przedmiotom. Blaszane pudełko ze szklanymi błyskotkami. Trzy ogryzki ołówka. Mały, podobny do lutni instrument o dwóch strunach. Warkocz z rzemyków, noszący ślady częstego splatania i rozplatania, jak gdyby dla wprawy. Dość spora nefrytowa kulka. Pięć kawałków suchego, kruchego drewna pokrytych czarnymi znakami, które mogły być pismem. Skarby małego chłopca.

Malik podniósł lutnię i z roztargnieniem trącił strunę.

–Dombra – powiedział smutno. – Przy jej dźwiękach śpiewa się stare pieśni klanów.

Shan uklęknął i wziął do ręki jedno z drewnienek.

–Znaleźliśmy je tamtego dnia – oświadczył Malik, przypatrując się im z zaniepokojoną miną. – Roztrzaskano ją, a odłamki rozrzucono wokół jego ciała.

Co roztrzaskano? miał już zapytać Shan, gdy jednak zaczął dopasowywać do siebie poszczególne kawałki, dostrzegł, że zniszczony przedmiot pierwotnie składał się z dwóch części: płaskiej ramki oraz wsuwanego w nią klina. Na górnej części klina

były dwie linijki tekstu zapisanego drobnym płynnym pismem przypominającym sanskryt, niemal wymarły język krain leżących na południe od Tybetu. Po wysunięciu klina ukazywała się płaska powierzchnia wewnętrzna, kompletna, jeśli nie liczyć brakującego długiego, wąskiego fragmentu pośrodku, pokryta pismem o tym samym kroju. List, pomyślał Shan, list z adresem na wierzchu.

Uniósłszy wzrok, spostrzegł, że Lokesh z natężeniem wpatruje się w pozostałe przedmioty. Jak detektyw, pomyślał. Nie, niezupełnie tak, uświadomił sobie, widząc, jak przyjaciel powoli wyciąga dłoń i muska opuszkami palców każdą z tych rzeczy, gdyż stary buddysta nigdy nie widziałby w nich jedynie przedmiotów, skąpego zapisu młodego życia. Widziałby w nich odpryski młodej duszy, sygnały dla ducha chłopca, ślad jego wewnętrznego boga. Lokesh sprawiał wrażenie, jakby przestał już dostrzegać obecność Shana, jakby nieobliczalny żar w jego wnętrzu znów rozpałił się w płomień. Utkwił wzrok w nefrytowej kulce, powoli nachylając się ku niej, jakby przyzywała go do siebie. Shan podniósł ją i wyciągnął ku niemu. Znajdowali się w krainie nefrytu. Chiny zawsze uzyskiwały nefryt od królestw Turkiestanu, leżących na północ od Kunlun. Nefrytowa Dziwka, powiedział Ujgur o prokuratorce. Shan spostrzegł, że kulkę pokrywają delikatnie rzeźbione maleńkie kwiaty lotosu, a przez środek biegnie przewiercony na wylot otwór. Paciorek. Upuścił go na otwartą dłoń starca.

–O co chodzi, przyjacielu? – zapytał. – Kim był ten chłopiec? Znałeś Khitaiia?

Lokesh westchnął.

–Nie tego – powiedział, jakby istniało wielu Khitaiów. Wpatrywał się w paciorek, a po policzku spływała mu samotna łza.

Zmierzchało już, gdy Shan mógł wreszcie wrócić na grób chłopca. Lokesha zostawił pod opieką Jakli. Jego przyjaciel zapadł, zdawało się, w jakiś dziwny trans: niemal przez godzinę nie odrywał wzroku od nefrytowego paciorka. Do ich jurty weszła kobieta o dzikim spojrzeniu – tym razem była w cichym, posępnym nastroju – i usiadła obok starego Tybetańczyka. Gdy Shan

wychodził, głaskała Lokesha po plecach, jakby był chorym dzieckiem, nucąc mu jedną ze swych kołysanek, podczas gdy Jakli próbowała go skłonić, żeby zjadł odrobinę owsianki.

Ostatnie promienie słońca muskały wewnątrz niszy, sprawiając, że grób jarzył się niesamowitym różowym blaskiem. Pomiędzy skałami powietrze było nieruchome. Gdzieś cykał samotny świerszcz.

Shan ruszył powoli wzdłuż skał. Zbliżywszy się do kopczyka, opadł na kolana. Położył dłonie na grobie, po czym przesunął je po luźnej ziemi. Po chwili zreflektował się, że powtarza gest szalonej kobiety, że gładzi grób tak, jak ojciec mógłby wygładzać koc śpiącego dziecka. On też miał syna, nie widzianego od lat. Z ukłuciem bólu uświadomił sobie, że nie wie nawet, czyjego syn jeszcze żyje. Nigdy nie brał pod uwagę, że mógłby umrzeć. Jednak fale szalonej przemocy, które przewalały się przez jego kraj, nie robiły rozróżnienia między młodymi i starymi. Dzieci ginęły za winy ojców, czasem szybko, niekiedy powoli, porzucone na łaskę losu. Nie, to już historia, upomniał sam siebie, a jego syn mógł liczyć na ochronę swej matki, wysokiej rangą funkcjonariuszki partyjnej. Potem znów spojrzał na grób pod swymi rękoma. Khitai na pewno również sądził, że z klanem Czerwonego Głazu może czuć się bezpieczny. Dzieci ginęły w dalszym ciągu.

Czy naprawdę właśnie dlatego się tu znalazł? zastanawiał się. Czy było coś doniosłego w śmierci tej kobiety, Lau, jakiś odczytany przez starych lamów znak zapowiadający nową falę destrukcji, wskazujący, że nowy demon represji zerwał się z uwięzi?

Machinalnie zgarnął z grobu nieco luźnej ziemi, po czym powoli rozsypał ją z powrotem na kopczyku i ponownie wygładził. Cóż mogło być takiego w tym bezdomnym kazachskim chłopcu, co uczyniło go nagle tak niebezpiecznym dla Bajysa, że musiał zginąć? Czy istotnie próbował powstrzymać Bajysa przed wydaniem klanu i tajemnic Grubego Mao? A może coś ukradł? Może to była kara? Psozny chłopiec wędrujący z klanu do klanu mógł się nauczyć różnych rzeczy, mogło skusić go coś, co z kolei skusiło Bajysa. Ale co? Skąpy dobytek zubożałych koczowników? I co mógł mieć takiego, czego nie miał również Bajys? On i ten drugi chłopiec, przypomniał sobie. Alta i Khitai bawili się razem

i obaj zostali zabici w odstępie dwóch dni. Jeden pobity i zastrzelony, drugi pobity i pchnięty nożem. Może chłopcy coś wiedzieli, może odkryli coś tak niebezpiecznego dla zabójcy, że nie mógł ich pozostawić przy życiu. To była ziemia tajemnic. Ukrywających się rodów. Utajonych opozycjonistów. Tajnych baz wojskowych.

Kiedy tak bezmyślnie gładził kopczyk, jego palce natrafiły na coś twardego. Pomacawszy w ziemi, wygrzebał zakrzywiony kawałek drewna, na tyle mały, że zmieścił się w jego dłoni. Była to prymitywnie wystrugana figurka lecącego ptaka. Mogła to być jedna z zabawek Khitaia. Mógł to być symbol religijny. Zagłębił palce w piaszczystą ziemię i przeciągnął je przez całą długość grobu. W głowach natrafił na coś jeszcze, dwunastocentymetrowej długości drewnianą drzazgę. Był to brakujący fragment dziwnego drewnianego listu, zawierający jedną jedyną linijkę podobnego do sanskrytu pisma. Co ona oznaczała? Czy to było epitafium? Czy zabójca potrafił odczytać dziwny tekst? Czy zawierał on wiadomość, która doprowadziła do śmierci chłopca? Ułożył przed sobą obydwie przedmioty, drewnienko z fragmentem tekstu i prymitywnego ptaka. Czy umieściła je w grobie ta sama osoba? Być może oba stanowiły po prostu ofiarę, a może pamiątkę. Czy zestawione razem niosły jakieś przesłanie?

Wpatrywał się w nie przez długi czas, wreszcie wygrzebał dwa małe zagłębienia i z szacunkiem odłożył ptaka i drewnienko z powrotem do grobu.

Znowu zacykał świerszcz. Powiadano, że świerszcze przynoszą szczęście. Ale nie przyniosły szczęścia Khitaiowi. Ani klanowi Czerwonego Głazu.

Wstał i w gęstniejącym mroku obszedł wkoło przestrzeń między skałami, traktując ją już nie jako cmentarz, ale jako miejsce zbrodni. Bajys mógł nadejść ścieżką z obozowiska lub zejść tu po skałach, wzdłuż grani. Przybył pod wieczór, pod koniec dnia, w którym Khitai bawił się z Altą, chłopcem od dropków. Strzelał, ale nikt nie usłyszał wystrzału.

Uświadomił sobie, że wiatr wyjący wśród skał mógł zagłuszyć ten odgłos. Gdy przystanął, by wsłuchać się w jego niski jęk, poczuł, że w jego wnętrzu wzbiera coś czarnego i zimnego jak lód. Nachodziło go to czasem, mroczny chłód ogarniający

całe jego jestestwo, zmuszając go, by stawił mu czoło. Czasami objawiało się to napadem dreszczy, innym razem pieczeniem przedramienia, tam, gdzie wytatuowany był jego obozowy numer, albo wzdłuż kręgosłupa, gdzie pałkarze przykładali mu elektryczne bicze na bydło. Było to czarne i bezkształtne uczucie, którego nie potrafił nazwać. Nie był to strach ani nienawiść, było to po prostu coś, co pozostało w nim po latach spędzonych w obozie, szczególnie z pierwszych tygodni, z których nie pamiętał nic prócz bólu i wrzeszczących na niego ludzi. Zamknął oczy i przypomniał sobie swe pierwsze spotkanie z jednym z lamów. Leżał wtedy, na wpół uduszony, pod rozwścieczonym strażnikiem, gdy stary Tybetańczyk wyciągnął jego twarz z błota. Mnich pochylił się nad ciałem Shana, żeby przyjąć przeznaczone dla niego ciosy. Przypomniał sobie pogodny uśmiech na twarzy lamy, gdy strażnik pałką okładał mu plecy, i słabość go opuściła. Oparł na chwilę dłoń o skalną ścianę, by odzyskać równowagę, po czym znów ruszył wokół zamkniętej skałami przestrzeni.

Idąc, natrafił w ścianie naprzeciw prowadzącej tu ścieżki na miejsce, gdzie z góry zwała się gruba kamienna płyta, tworząc małą, osłoniętą niszę. Wszedł w głąb i zapalił zapalkę. U podnóża skały, częściowo zasypany piaskiem, leżał biały cylindryczny przedmiot. Podniósł go. Była to świeczka. Zdążył ją zapalić, nim zgasła mu zapalka.

Na w miarę osłoniętym od wiatru piaszczystym podłożu małej wnęki wciąż znać było płytkie zagłębienia, ślad po dwóch osobach, które siedziały tu zwrócone twarzą do płaskiej tylnej ściany. Na ścianie tej widniał wyrysowany kredą okrąg o mniej więcej półmetrowej średnicy. Tylko okrąg, nic więcej. Mogła to być pozostałość dziecięcej gry. Umysł Shana powędrował ku innym okręgom, jakie widywał na ścianach, ku tym rysowanym na murach więzień, symbolizującym mandalę, która miała nakierować umysł na doświadczenie wewnętrznej przestrzeni i pustki. Inne okręgi pomagały w zogniskowaniu medytacji. Ale to było w Tybecie, nie w kazachskim obozie pasterskim.

Uniósł świeczkę wyżej i na sąsiedniej ścianie z ciemności wyłoniły się następne znaki. Dwie poziome linie przecięte przez dwie pionowe, z dwoma X i dwoma O w czterech spośród utworzonych w ten sposób pól. Popularna na Zachodzie gra, którą

Shan zabawiał się z ojcem, kiedy sam był w wieku Khitaia. Spojrzał jeszcze raz na okrąg. Nie ulegało wątpliwości, że on też służył do zabawy, być może po prostu jako cel do rzucania kamieniami. Odwrócił się do planszy z kresek. Gra została przerwana. Wzdrygnął się, gdy zobaczył w myślach małego chłopca oderwanego od tej niewinnej zabawy przez kogoś, kto chciał zadać mu śmierć. Czy to znaczyło, że Alta był przy tym, pozostawiony w niszy? Czy może, że zabójca sam grał z Khitaiem? Morderca tak bezduszny, żeby zabić dziecko, byłby zdolny do wszystkiego, nawet do tego, by zwabić je w pułapkę, udając zabawę. Co to było, zapytałby Lokesh, jaki demon opętał Bajysa? Hariti, powiedział dropka. Pożeraczka dzieci.

Gdy Shan zszedł ze wzgórza, zastał Malika siedzącego w wieczornej szarości przy małym ognisku obok zagród. Przy nim leżał ogromny mastiff. Chłopiec wpatrywał się w niebo i jakby nie zauważył, że Shan usiadł obok niego.

Niebo było spokojne i rozległe, zdominowane przez świetlisty półksiężyc. W oddali zawyło jakieś zwierzę. Po drugiej stronie ogniska Shan dostrzegł wbity w ziemię palik, od którego biegł znikający w ciemnościach powróż. Do powrozu uwiązanych było kilka młodych koni.

Gdy wypuszczono go z więzienia, spędził tak niejedną noc – pod gwiazdami, w tajemnych, służących medytacji zakątkach wskazanych mu przez starych lamów. Czasami jeden z nich, zwykle Gendun, siadywał z nim, usiłując, jak uświadomił sobie później, wysączyć udrękę, która mieszkała w jego duszy. Odtwarzali jego życie rok po roku, czasem miesiąc po miesiącu, każąc mu mówić nad starą ceramiczną urną ozdobioną prostym konturowym rysunkiem przedstawiającym Bodhisattwę Współczucia.

–Teraz jest pełna – oświadczył Gendun, kiedy skończyli, i zamknął naczynie ceramiczną pokrywką. Wręczył Shanowi kamień i jeden z małych, melodyjnych dzwonków, jakich używano w świątyni, po czym zostawił go pod gwiazdami, nie mówiąc nic więcej.

Shan siedział na odsłoniętej półce skalnej, tak wysoko, że nieba było niemal tyle samo pod nim, ile ponad nim. Spróbował poruszyć urnę, lecz wydawała się niezmiernie ciężka. Po kilku godzinach, w najgłębszej nocy, roztrzaskał ją kamieniem i ujął

dzwonek. Dzwonił nim, brzęczącym jak świetlisty, wibrujący kryształ, dopóki nie wzeszło słońce.

Wymacał maleńki okruch urny, który wciąż nosił w kieszeni. Wrócił wiele dni później, by go odszukać, gdyż było w jego poprzednim życiu coś, czego nie mógł zostawić za sobą. Jego syn.

Kiedy Malik pochylił się i trącił Shana w nogę, tak go to zaskoczyło, że aż podskoczył.

–Myślisz, że on tam jest? – zapytał cicho chłopiec. – W zeszłym roku, kiedy umarło dziecko, stryj powiedział, że one odchodzą do pięknej doliny na księżycu.

Shan podążył wzrokiem za jego spojrzeniem, ku księżycowi. Zabolało go, że chłopiec jest tak zaznajomiony ze śmiercią.

–Nie wiem – odparł. – Być może. Jest bardzo piękny.

–Jest tak biały – szepnęła Malik. – To musi być kolor ich piasku. – Zamyślił się. – Skąd biorą tam wodę? – zapytał po chwili.

–Może... nie potrzebują wody – podsunął Shan.

Ta uwaga najwyraźniej wprawiła chłopca w zakłopotanie. Spojrzał w płomienie.

–Woda to życie – odezwał się tonem mędrca. – Czy to po tym poznaje się, że przyszła śmierć? Że przestaje się odczuwać pragnienie? – Nie otrzymawszy odpowiedzi, powoli pochylił się i podniósł leżący u jego stóp przedmiot. Nóż. I wąski, rozszerzający się na jednym końcu w owal kawałek drewna. Zaczął strugać drewno, celując wiórami w ogień, gdzie zwiły się od żaru, po czym rozbłyskiwały nagłym, gorącym płomieniem.

–Łyżka – wyjaśnił nie pytany. – Prezent dla Jakli i... – Przerwał. – Prezent, na święto koni.

Shan przyglądał się, jak chłopiec zdecydowanymi, wprawnymi ruchami obrabia drewno.

–Widziałem ptaka, którego mu dałeś – powiedział cicho.

Chłopiec nie okazał śladu zaskoczenia.

–Kiedy rok temu umarło dziecko, matka prosiła mnie, żebym wyrzeźbił ptaka.

Żeby łatwiej mu było przebyć niebo, powiedziała. Tym razem nikt nie prosił, ale... – Wzruszył ramionami. – Zheli są młodszy ode mnie. Było mi smutno, kiedy się dowiedziałem, że ich dzieciństwo było ciągłą ucieczką. Khitai nigdy nie dostał siodła ashamai, nigdy nie miał konia sundet.

–Nie rozumiem.

–Te sieroty nie mają żadnego prawdziwego domu. Khitai mówił, że kiedy był mały, ludzie przekazywali go sobie z rąk do rąk, żeby go chronić. Czasami był w górach, czasem w mieście. Kiedyś mieszkał rok w jaskini. Powiedział, że z Bajysem i Lau jest lepiej, ale że przez takie dzieciństwo nie miał jak poznać starych kazachskich zwyczajów. Było mi żal, że on nie miał siodła. – Malik urwał i zerknął na Shana. – Kiedy chłopiec kończy pięć lat, może już sam jeździć konno – wyjaśnił – i dostaje specjalne miękkie siodło, siodło ashamai, ozdobione piórami i malowane czerwoną farbą. Później, kiedy muła uznaje, że jest gotowy wstąpić na drogę do męskości, odbywają się obrzędy i uroczystości i chłopiec dostaje konia sundet, swego pierwszego konia. Ale Khitai nigdy nie miał ani siodła, ani konia. Mówił, że to nic nie szkodzi, że kocha wszystkie zwierzęta, a one uczą go różnych rzeczy. Kiedyś wdrapał się na drzewo, żeby obejrzeć pisklęta. Biegał za motylami.

–Byliście dobrymi przyjaciółmi?

–Znaliśmy się krótko i spotykaliśmy się tylko dwa albo trzy razy w tygodniu. Czasem pomagał mi wiązać zheli na noc – powiedział chłopiec, wskazując linę z uwiązanyimi końmi. – Większość czasu spędzał z Bajysem, doglądając owiec na wysokich stokach, albo w ich ulubionym miejscu nad obozem.

–Co oni tam robili?

–Przeważnie rozmawiali. Myślę, że Bajys chciał przekazać Khitaiowi wszystko, co pamiętał z ich starego klanu, żeby ocalały chociaż wspomnienia.

–Dlaczego mieliby robić to tak na osobności?

–Klany mają tajemnice. Są wspomnienia, którymi nie można dzielić się przy obcych.

Shan pochylił się i wepchnął patyk w ogień.

–Co robiliście, kiedy byliście razem?

–Bawiliśmy się, kiedy mogliśmy. Czasem wchodziliśmy do zagród z jagniętami i śmiałyśmy się, bo one próbowały ssać nam palce. Czasem wędrowaliśmy, albo udawaliśmy różne rzeczy.

–Na przykład?

–Wiesz... żołnierzy, strzelanie.

Na te słowa Shan obejrzał się w stronę jurty, w której Jowa i Gruby Mao wciąż jeszcze siedzieli przy komputerze.

–Czy Gruby Mao często tutaj bywa?

–Raczej nie. On też jest żołnierzem – odparł Malik, jak gdyby rozumiejąc, dlaczego Shan pyta o to. – Takim specjalnym. Lung ma – szepnął z podziwem w głosie.

–Lung ma? – Było to określenie z prastarych legend. Oznaczało mityczne stworzenie, pół konia, pół smoka, które broniło prostych ludzi przed niesprawiedliwością.

–Właśnie. To coś jak twój tybetański żołnierz.

Jak Jowa. Lung ma, uświadomił sobie Shan, byli odpowiednikiem purbów.

–Oni wszyscy nazywają się Mao. Jakby dla żartu. Wiesz, Mao taki, Mao siaki. Zbyt niebezpiecznie używać prawdziwych nazwisk, powiedział mi kiedyś. Czasem przez nich władzy przytrafia się to i owo – oświadczył Malik z porozumiewawczym skinieniem głowy.

–Czy Khitai wiedział o nich?

–Nie. To tajemnica. Gruby Mao kazał mi obiecać. Mówi, że jeśli potrafię dochować tajemnicy, być może kiedyś sam będę mógł zostać jednym z nich – powiedział chłopiec i nie wiedzieć czemu zasmuciło to Shana. Czy Lau wiedziała o lung ma, chciał już zapytać, uświadomił sobie jednak, że nie musi. To Gruby Mao przesłał purbom wiadomość o jej śmierci. Jeśli Lau należała do lung ma, być może zginęła właśnie z tego powodu. Głównym zadaniem sztylp było tłumienie oporu, a nigdzie w Chinach opór nie był bardziej gwałtowny niż w Xinjiang.

–Znałeś Lau? – zapytał.

–Jasne. Przynosiła czasem lekarstwa dla zwierząt.

–Słyszałeś, że ona nie żyje?

–Dopiero wczoraj. Przedtem to była tajemnica.

–Myślisz, że zabito ją z powodu tego, co robiła dla sierot?

Malik nie odpowiedział od razu. Odwrócił się w stronę młodych koni.

–Nie robiła dla nich nic, czego ja nie robię dla naszego zheli – powiedział głosem, w którym pobrzmiwał lęk. Odezwał się do

koni po kazachsku, kilka uspokajających, rytmicznych jak pieśń słów, po czym nagle odwrócił się do Shana z wyrazem bólu na twarzy. – Jeśli zabiorą nas do miasta, nie będziemy wiedzieli, kim jesteśmy. Nie będziemy mieli koni. Nie będziemy mieli jurt,

może nawet psów. – Umilkł na dłuższą chwilę. – I co będzie, kiedy się zestarzeję? Nie będzie już klanu. Nie będzie nikogo, kto wyrzeźbiłby mi ptaka, kiedy umrę.

Shan zamknął dłoń chłopca w swojej dłoni.

–Jesteś silny. Silny duch zawsze znajdzie drogę.

Siedzieli w milczeniu. Jak wiele czasu minęło, odkąd rozmawiał tak ze swym synem? Lata. Nie, nigdy tak z nim nie rozmawiał. Żona Shana, oddana aktywistka partyjna, wychowywała ich syna setki mil od ojca i zazdrośnie strzegła chłopca, kiedy byli razem. Zawsze powtarzał sobie, że kiedyś, w przyszłości, nawiąże taki właśnie kontakt z synem, ale było to po prostu jeszcze jedno z kłamstw, jakie

utrzymywały go przy życiu w jego pekińskim wcieleniu.

Niebo przecięła spadająca gwiazda, mknęła w stronę księżyca. Może było to następne dziecko zmierzające do pięknej, białej doliny.

–To ty grałeś z Khitaiem w kółko i krzyżyk na skale?

–Czasami. On znał gry, o których nie słyszałem nigdy wcześniej. Ale tamtego dnia nie graliśmy. W zagajniku, trzy kilometry stąd, urodziło się późne jagnię. Muszę się opiekować noworodkami, inaczej mogłyby umrzeć. Musiałem zostać przy nim cały dzień. Dopiero wtedy byłem pewny, że zna już zapach swojej matki i jest dość silne, żebym mógł odprowadzić je do innych jagniąt.

–Byłeś tam aż do nocy?

–Wróciłem o zmierzchu i chciałem iść na górę poszukać Khitaia. Ale jeden z młodych baranów zaplątał się w pnącza i zranił się w nogę. Musiałem nałożyć maść. Płakał. Mówiłem do niego. Khoshakhan, khoshakhan, tak mówi się do jagniąt. To stare słowo, jak zaklęcie. Dzięki temu one wiedzą, że się je kocha – oświadczył chłopiec głosem starego człowieka. Westchnął. – Było ciemno. Siedziałem do późna, bo właśnie wtedy zacząłem im tłumaczyć, dlaczego niedługo będziemy musieli je zostawić. Brygada będzie dobrze dbać o owce, powiedziałem. Bo co mogłem powiedzieć? Wszystkie jagnięta i kózki dorastałyby razem ze mną w górach. A teraz i one, i ja odchodzimy stąd. Muszę przynajmniej zostawić im nadzieję. – Spojrzał na Shana z pustym wyrazem twarzy i pokręcił głową. – Na drugi dzień rano zapytałem

ciotkę, gdzie on jest, a ona powiedziała, że chyba na górze, w swoim ulubionym miejscu w skałach.

–Jak to wyglądało, kiedy go znalazłeś?

Malik spojrzał na księżyc.

–Był jeszcze świt. On siedział w cieniach pod skałą, niedaleko miejsca, gdzie jest pochowany. Wyglądał na zaskoczonego.

–Zaskoczonego?

–Potem już nie mogłem na to patrzeć. Ale kiedy go znalazłem, zdawało mi się, że on patrzy na coś za moimi plecami, z zaskoczeniem, jakby ktoś tam podkradał się do nas. Śmiesznie wyglądasz, powiedziałem. I masz troje oczu. – Spojrzał w ogień. – Ale w jego oczach nie było życia. Zawołałem Khitaia i uciekłem.

Gdy Shan powtarzał sobie w myślach słowa chłopca, pies poderwał nagle łeb. Shan przeniósł wzrok za jego spojrzeniem i ujrzał Lokesha, stojącego w mroku, wątego jak figurka z patyków. Tybetańczyk usiadł obok psa, który natychmiast oparł łeb na jego nodze.

–Nie rozumiem – powiedział Shan do chłopca. – Dlaczego wołałeś Khitaia?

Malik zmarszczył się i znów spojrzał na księżyc.

–Dlatego, że ten chłopiec – odpowiedział mu drżącym głosem Lokesh – ten chłopiec w grobie, to nie jest Khitai.

Malik westchnął z wielką ulgą i skinął głową.

Shan spoglądał to na chłopca, to na starego człowieka. Przez chwilę miał wrażenie, że nie jest to śledztwo, lecz nauki, że siedzi przed dwoma lamami, którzy każą mu godzić niemożliwe do pogodzenia sprzeczności.

–Mówiłem Akzu, że to nie jest Khitai! – wykrzyknął nagle

Malik. – Te rzeczy w jurcie, dombra i nefrytowy koralik, nie

należały do Khitaia. Były tego drugiego chłopca z zheli, Suwana, tego, który odwiedził tamtego dnia nasz obóz. Tyle że miał

na głowie czerwoną czapkę Khitaia. Akzu nie był pewny. Twarz

chłopca była bardzo posiniaczona i spuchnięta. Akzu nie znał

dobrze Khitaia, w ostatnich tygodniach często wyjeżdżał. Powiedział, że chłopiec, którego przysłała Lau, miał na imię Khitai, że bez względu na to, który to był chłopiec, zabił go Bajys,

że jeśli Khitai odszedł z tamtym klanem, aby uciec przed Bajysem, to niech Bóg ma go w opiece. Mówił, że nie mam opowiadać

o tym nikomu, bo to tylko jeszcze bardziej zasmuci moje ciotki. Że tak czy inaczej zabito sierotę, że dobry kazachski chłopiec spoczął w grobie, i na tym koniec. Miałem to trzymać w tajemnicy.

Ale teraz, uświadomił sobie Shan, Lokesh domyślił się prawdy i pierwszy powiedział, jak było, zwalniając Malika z danego słowa.

Pies znów poderwał łeb i zamerdał ogonem. Shan obejrzał się przez ramię. Przy uwiązanych koniach stała Jakli. Przysłuchiwała się ich rozmowie.

–Znałeś Khिताia? – zapytał Malik Lokesha.

Stary Tybetańczyk pokręcił wolno głową.

Malik spojrzał na niego okrągłymi oczyma. Shan domyślił się, że chłopiec czuje to samo co on, podziw i zdumienie dziwną magią, która najwyraźniej objawiła się w Lokeshu. Shan się mylił. To nie Alta odwiedził obóz, ale inna rodzina, inni dropkowie z chłopcem o imieniu Suwan, który przyniósł swój dobytek do jurty Czerwonego Głazu, jak gdyby się tam wprowadzał. Khitai zmienił pozycję w szeregu zheli, zamienił się miejscami z tym chłopcem, który żalił się, że rodzina, która go przygarnęła, nie zna jego ojczystego języka.

–Czy Khitai mówił po tybetańsku? – zapytał Shan.

–Nie. Był Kazachem – odparł zdziwiony Malik. – Ale on chciał iść wyżej.

–Wyżej?

–Dalej w góry, wyżej niż zapuszcza się nasz klan. Sezon prawie się już skończył, a wtedy pasterskie rodziny przenoszą się na zimę bliżej miasta. Ale rozeszła się plotka, że Brygada rozbija wszystkie klany, że może zlikwidują zheli, a dzieci roześlą po całych Chinach. Khitai bardzo się bał Chińczyków. Myślę, że oni musieli zrobić coś złego jego rodzinie, kiedy był mały. Mówił o ucieczce, na ostatnią górę, jak to nazywamy. W najwyższą część Kunlun, tam gdzie lodowce.

W milczeniu wpatrywali się w ogień.

–To ty włożyłeś ten kawałek drewna do jego grobu? – zapytał wreszcie Shan.

Jego słowa wprawiły Malika w popłoch. Ścisnął mocniej dłoń Shana, jakby chciał mu przypomnieć, że nie jest przecież starcem,

tylko małym chłopcem, któremu raz po raz przypada w udziale grzebać inne dzieci.

–Znalazłem go na drugi dzień – odparł. – Resztę tych drewnienek ciotka pozbiierała już wcześniej i położyła je z jego rzeczami. Ten kawałek też chciałem zanieść do jurty. Ale bałem się go dotykać, więc wepchnąłem go patykiem do grobu.

–Dlaczego?

–Kto wie, czy to nie on przywołał demona? Zabójca roztrzaskał tajemny tekst na kawałki. Może to właśnie on go tak rozgniewał.

–Mówisz o Bajysie?

Shan dostrzegł, że Malik w ciemności kiwa głową.

–O tym, czym stał się Bajys, jak powiedział mój stryj. – Chłopiec milczał dłuższą chwilę, wpatrując się w dogasający płomień. – Wiem, że są bóstwa opiekuńcze, jak

te, które troszczą się o zwierzęta. Wiem, bo widziałem, jak zaginione jagnięta odnajdują matki po drugiej stronie gór. A jeśli są bóstwa opiekuńcze, to musi być także ich przeciwieństwo – oświadczył z zupełną pewnością, jak gdyby często rozmyślał o tych sprawach. Bóstwo zagłady, pomyślał Shan. Demon. – I ono wciąż tu krąży – dodał z udręką Malik. – To coś, co zabija dzieci.

–Musimy natychmiast ruszać w drogę – odezwał się nagle Lokesh słabym głosem. – Musimy porozmawiać z ciocią Lau.

Shan spojrzał z troską na przyjaciela. W Lokeshu, odkąd po raz pierwszy usłyszał imię Khitaia, jakby się coś załamało.

–Słyszałeś o lamach w tych okolicach? – zapytał Malika. – Może któryś z nich był przyjacielem Lau? A teraz zaginał?

–Święci ludzie? – zapytał chłopiec. – Nie. Xu, ta prokuratoria z Yoktianu, nigdy by na to nie pozwoliła. Czasami wygłasza przemówienia. Ona nienawidzi Tybetańczyków. Mówi, że oni wszyscy są zdrajcami. – Przez chwilę milczał zamyślony. – Chociaż ona by ich nie zabiła – oświadczył z pewnością, która zmroziła Shana. – Zabrałaby ich tylko tam, gdzie świętemu człowiekowi nietrudno jest umrzeć.

Rozdział czwarty

Wschodzące słońce zalewało szczyty złocistoróżową łuną. Jechali w dół poszarpanymi północnymi stokami gór Kunlun. Światło zdawało się przywracać Lokesha do życia i stary Tybetańczyk podjął jedną ze swych podróży pieśni, sławiącą bóstwa, które ochraniają góry. Akzu i Jowa jechali na przedzie, poza zasięgiem słuchu, rozmawiając tym samym podnieconym tonem, jakim poprzedniego dnia dyskutowali w jurcie z Grubym Mao. Jowa co kilka minut unosił się w strzemionach, patrząc przed siebie, jakby czegoś szukał. Grubego Mao, być może. Gdy się obudzili, Ujgura nie było już wśród nich.

Nagle Akzu ostrzegawczo uniósł dłoń. Gdy przystanęli, z góry, od strony szlaku, który biegł szczytem wznoszącego się nad nimi grzbietu, doleciał ich tętent kopyt. Po chwili dostrzegli sylwetkę drobnego jeźdźca na sadzącym długimi susami siwym koniu. Shan usłyszał, jak Akzu klnie, po czym woła na jeźdźca, który piętnaście metrów od nich ściągnął wodze i zawrócił konia w miejscu. Był to Malik.

–Trzeba ostrzec zheli! – wrzasnął chłopak do stryja. – Khitai wciąż żyje! Ten demon, którym stał się Bajys, przyjdzie po niego, a może i po innych!

Akzu spojrzał z niepokojem na Jakli.

–Potrzebujemy cię, chłopcze! – odkrzyknął w odpowiedzi. –

Nie wiesz, gdzie ich szukać! To nie jest właściwa pora! – W miarę jak mówił, w jego głosie narastał gniew. – Jestem głową klanu Czerwonego Głazu i mówię ci: nie!

Młody Kazach zwrócił na chwilę wzrok ku górcom. Gdy znów spojrzał na stryja, Shan dostrzegł w jego oczach ból.

–A ja ci mówię, że mam już dość kopania grobów! – odkrzyknął i ostro spiął konia, pogonił go do galopu.

Shan obserwował rozsierdzonego Akzu. Z twarzy naczelnika, który patrzył za oddalającym się chłopcem, ustąpił gniew i odmalował się na nim lęk, a wreszcie duma.

–Jedź z Bogiem, chłopcze – szepnął stary Kazach, po czym mruknął coś do konia, który znów ruszył szybkim klusem w dół szlaku.

Pół godziny później, gdy wspięli się ostrymi zakosami na opadający stromo grzbiet, Jakli wskazała na wstęgę szarości na północy, przy samym horyzoncie.

–Szosa – powiedziała. – Siedemset kilometrów na zachód leży Kaszgar.

Shan pochylił się w siodle i wskazał potężną formację skalną wznoszącą się na zachodzie, pięćset metrów od miejsca, w którym stali. Wyglądała jak masywna warownia górująca sto metrów nad granią. Na jej szczycie, przytwierdzony do długiego pala wetkniętego w stertę kamieni, łopotał wielki poszarpany kwadrat czerwonej tkaniny, o boku może dwóch metrów. Była to wielka lungta, tybetańska chorągiew modlitewna. Lokesh, jadący na przedzie, przestał śpiewać i osłoniwszy dłońmi oczy, wpatrywał się w kamienny kopiec. Rozpoznawszy flagę, zaczął machać rękoma, najpierw do Shana, potem w stronę flagi.

Shan przyjrzał się uważnie wyniosłej skale. Wydawała się nie do zdobycia. A jednak ktoś wspiął się na nią, jakby rzucał wyzwanie Chińczykom, żeby zaryzykowali życie i spróbowali ją ściągnąć. Nie zwyczajnie ktoś. Buddysta. To był teren graniczny. Jak mówiła Jakli, żyło tu wiele różnych ludów. Ale Tybetańczyków, ostrzegł Malik, prokuratora traktowała wyjątkowo. Tereny nadgraniczne zamieszkiwali ludzie mieszanej krwi. Jak sama Jakli, na pół Kazaszka, na pół Tybetanka. Mieszanej Krwi, a może i z mieszanym poczuciem tożsamości. Jak Lau, być może – tajemnicza kobieta o chińskim nazwisku, której śmierć tak poruszyła lamów, nieboszczka, do której prowadziła go w odwiedziny Jakli.

–Lha gyal lo! – Wykrzyknął Lokesh na całe gardło, aż Jowa obrócił się ku niemu z gniewnym spojrzeniem. Stary Tybetańczyk nie zwrócił na to jednak najmniejszej uwagi. – Lha gyal lo! – zawołał raz jeszcze. – Niech zwyciężą bogowie!

–Czy twojemu przyjacielowi – odezwała się Jakli do Shana,

patrzając na Lokesha, który znów wymachiwał rękoma w stronę flagi – coś dolega? Przepraszam... nie jest czasem trochę zdziecinniały ze starości?

–Zdziecinniały? – Shan uśmiechnął się, przyglądając się staremu przyjacielowi. – Jeśli rozumieć przez to otępienie i zagubienie, niezdolność do powiązania przyczyn i skutków, to Lokesh jest przeciwieństwem zdziecinniałego staruszka. Zbyt wiele widział. Jego jedynym pragnieniem było zostać mnichem, mnichem uzdrowicielem. Ale tak bardzo wyróżniał się w nauce, że jego gompa skierowała go do pracy dla rządu. Potem przyszli ludzie z Pekinu i powiedzieli, że nie może już być mnichem. Po paru miesiącach ożenił się, z mniszką, którą także wydaloną z klasztoru. Dwa tygodnie później wtrącono go do więzienia za to, że był urzędnikiem rządowym.

–Na trzydzieści lat – przypomniała sobie Jakli.

Shan skinął głową.

–Każdego dnia odwiedzin jego żona pojawiała się w obozie.

Z reguły nie dopuszczano jej dość blisko, by mogli rozmawiać, więc tylko machali do siebie, po prostu machali całymi godzinami. A dwa dni po tym, jak wrócił do domu, umarła.

Oczy Jakli zwilgotniały. Spojrzała na Lokesha, odwróciła się w drugą stronę, pod wiatr, i popędziła konia.

Przez następną godzinę jechali wciąż niżej i niżej, dopóki nie dotarli do zbiegu kilku szlaków konnych przy długim wąskim budynku stojącym u wylotu żwirowej drogi. Otwarta z jednej strony konstrukcja zbudowana była z pustaków, które zaczynały się już kruszyć. Na jednym końcu, gdzie zawaliła się część ściany, zapadł się dach z blachy falistej. Aby uniknąć całkowitej katastrofy, zewnętrzne ściany obłożono płytami sklejki i podparto grubymi balami. Gdy zsiadli z koni i przeszli na drugą stronę budynku, Shan dostrzegł pół tuzina mniej lub bardziej zdezelowanych ciężarówek stojących pod wiatą. Warsztat samochodowy i garaż, służące okolicznym drobnym przedsiębiorstwom rolniczym i pasterskim, wyjaśnił Akzu, były utrzymywane z dotacji Ministerstwa Rolnictwa.

W głębi budynku, tam gdzie ściana pozostała nienaruszona, stał w kącie niewielki kantorek ze sklejki. Na prymitywnych drzwiach skleconych z drewna i tektury wisiał wyblakły plakat

przedstawiający gromadkę młodych ludzi reprezentujących niektóre spośród dziesiątków grup etnicznych „wyzwolonych” przez Pekin. Przyodziani w granatowe mundurki proletariatu, wszyscy radośnie unosili ku niebu młoty i klucze do nakrętek. *Pomnażajcie bogactwo mniejszości*, głosił napis.

Za drzwiami siedział wynędzniały krótkowłosy pies oraz niski mężczyzna z kilkudniowym zarostem i plamami po oleju silnikowym na rękach. Gdy Akzu zbliżył się, mężczyzna uniósł wzrok znad gazety rozłożonej na zardzewiałym metalowym biurku, chrząknął na powitanie i wskazał tablicę z pięcioma gwoździami, na których wisiało po kółku kluczyków.

–Uciekaj, stryjku – szepnęła Jakli, podchodząc do drzwi. – Klan cię potrzebuje. Na dźwięk jej głosu mężczyzna drgnął. Spojrzał na dziewczynę ze zmarszczonymi brwiami i znów przeniósł wzrok na Akzu.

–Posterunki kontrolne – mruknął. – Sześć kilometrów stąd na drodze do Yoktianu, potem na głównej szosie, w kierunku na zachód.

–Jakli zabiera ich... – zaczął Akzu.

Mężczyzna przerwał mu, unosząc dłoń.

–Nie chcę wiedzieć dokąd, przyjacielu. Ostatnio zbyt wielu ludzi zadaje zbyt wiele pytań. Ja chcę być tylko mechanikiem, nic więcej. – Podniósł gazetę, odsłaniając leżący pod nią otwarty rejestr, po czym zamknął go z trzaskiem i spojrzał na tablicę z kluczykami.

–Weź „żółwia” – powiedział, wskazując ostatni komplet w rzędzie. – To nieoficjalny nabytek, więc nie ma go w rejestrach. Nie muszę nic odnotowywać.

Akzu rzucił Jakli kluczyki i wskazał na ostatnie stanowisko. Stała tam nieduża przysadzista ciężarówka wyglądająca, jakby zmontowano ją z elementów należących do różnych pojazdów. Miała szerokie opony, krótką platformę skleconą z nierówno przyciętych desek, ogromny, ciągnący się przez całą ramę zbiornik paliwa oraz długą kabinę kierowcy, tak obszerną, że mieściło się w niej nawet wąskie tylne siedzenie. Wysoka, zaokrąglona karoseria szoferki istotnie przypominała skorupę żółwia.

–Kto? – zapytał Akzu.

Mężczyzna znów się zmarszczył. Zbyt wiele pytań, dał do zrozumienia.

–Szarzy – odparł zrezygnowany i Shan uświadomił sobie, że

Akzu chciał wiedzieć, kto wystawił posterunki. Szary był kolorem oddziałów Urzędu Bezpieczeństwa, pałkarzy. Wojsko nosiło zielony, drogówka ciemnoniebieski. – Ale jej tu nie ma. Jest zbyt zajęta gdzie indziej. Wczoraj zgarnęła czterech. Przedwczoraj, jak słyszałem, trzech. Z miasta. Jakichś nauczycieli. Potem z garażu. Stąd o tym wiem. Zabrali kierowcę.

Jakli, która właśnie kiwnęła na Shana, żeby poszedł z nią do ciężarówki, słysząc te słowa, zatrzymała się gwałtownie. Ruszyła z powrotem do kantorka.

–Na jakiej podstawie? – zapytała podniesionym głosem.

Shan zaczynał już po trosze rozumieć zachowanie śmiałej Kazaszki. Jeśli Lokesh

czasami niespodziewanie pogrążał się w smutku, to Jakli miewała podobnie nieprzewidywalne napady przekory.

–Na tej podstawie, że ona jest prokuratorem – odparł mężczyzna, patrzył jednak na Akzu, jak gdyby nie miał ochoty rozmawiać z Jakli. – Ktoś powiedział, że chodzi o tę kobietę, o Lau. Zatrzymują ich, by złożyli zeznania w sprawie jej zniknięcia. Ty znałaś Lau. Mogą przyjść także po ciebie.

–Przecież ona utonęła – wtrącił Akzu, wymieniając z Jakli zaniepokojone spojrzenia. – Ludzie mówią, że utonęła.

–Tak słyszałem. Ale nie znaleziono ciała. Tak czy inaczej, w mieście musi być niewesoło.

–Co masz na myśli? – zapytał Shan.

Mechanik spojrzał na niego z tą samą niechęcią, jaką wcześniej okazał Jakli.

–Jeśli wojsko kogoś zastrzeli, to jest obrona narodowa. Jeśli zrobią to pałkarze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, to jest w imię bezpieczeństwa publicznego, z definicji. Jeśli my zastrzelimy kogoś z nich, to jest zamach. Proste. Jak dwa dodać dwa. Mają na to gotowe formularze. Ale zaginięcie jakiejś starej Kazaszki? Jeden Kazach czy Ujgur więcej, jeden mniej... zwykle jej to nie obchodzi.

–Jednak tym razem prokuratorka rozstawia posterunki i zbiera świadków – zauważył Shan.

–Nie świadków – sprostował mechanik. – Aktorów do swego najnowszego przedstawienia. Galeria polityczna.

Shan przyjrzał mu się uważniej. Zaczynał podejrzewać, że nie zawsze był on mechanikiem.

–Chce wykorzystać to, co się stało – powiedział, kiwając głową.

Mechanik ponownie uniósł dłoń, dając do zrozumienia, że nie zamierza już prowadzić tak niebezpiecznej rozmowy. Gdy znów pochylił się nad gazetą, Akzu delikatnie wypchnął Jakli z kantorka.

Parę chwil później dziewczyna stała w drzwiach ciężarówki, oglądając wyciągniętą zza osłony przeciwsłonecznej mapę, na której Akzu wskazywał jej kilka kropkowanych linii przecinających raz po raz ciemną krechę przedstawiającą szosę na Kaszgar.

–Pędź, bratanico – powiedział naczelnik. – Potem wracaj do miasta. W fabryce zauważą, że cię nie ma. Zbyt wiele ryzyku jesz. Pamiętaj o Nikkim. Pamiętaj o swoich ciotkach.

Nikki. Shan przypomniał sobie, jak Malik się zająknął, opowiadając o prezencie, który rzeźbił. Było jeszcze jedno imię, którego nie chciał wymieniać.

–Zawsze – odparła Jakli z nieśmiałym uśmiechem, skierowanym tak do Akzu, jak i do Shana. – Pilnuj Malika, stryju –

dodała. – Pilnuj dzieci. – Krótko uściskała Akzu i nagle zastygła w bezruchu.

Przed garaż zajęchała jaskrawoczerwona terenówka, hamując z poślizgiem na luźnym żwirze. Shan rozpoznał w lśniącym samochodzie jeden z pojazdów z napędem na cztery koła, produkowanych przez amerykańską spółkę joint venture w Pekinie, której działalność kontrolował kiedyś w swym poprzednim wcieleniu. Na przednich drzwiach terenówki widniał wielki złoty emblemat przedstawiający głowy i ramiona mężczyzny i kobiety, których ręce, jedna trzymająca młot, druga klucz do nakrętek, krzyżowały się na tle wschodzącego słońca. Pod słońcem znajdowała się wieża wiertnicza, traktor i zwierzę wyglądające na owcę. Shan uświadomił sobie, że już to widział: przed dwoma dniami, nocą, na ciężarówce, która zatrzymała ich w górach Kunlun. Przyjechała Brygada.

Akzu czym prędzej wyszedł spod wiaty na słońce, przed czerwony samochód, jak gdyby chciał ściągnąć na siebie uwagę no wo

przybyłych. W tej samej chwili otworzyły się tylne drzwi terenówki i wysiadł z niej około trzydziestoletni Chińczyk w czerwonej nylonowej kurtce z miniaturową wersją tego samego emblematu na piersi, okularach słoneczne oraz czapce z daszkiem w amerykańskim stylu. Postukał kłykciem w boczne okienko od strony pasażera i wskazał na kantorek pod wiatą. Dwaj siedzący z przodu mężczyźni, kierowca z notatnikiem, drugi z małym kalkulatorem w ręce, żwawym krokiem ruszyli w stronę kantorka.

Shan poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw. To Jakli odciągała go w tył, za „żółwia”. Pozwolił odprowadzić się w głąb wiaty, oglądając się na trzeciego pasażera terenówki, który właśnie z niej wysiadł. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o chudej twarzy i wystających kościach policzkowych, ubrany w brązową dyplomatkę, co najmniej o dwa numery za małą, spod której wystawały granatowe spodnie, takie same, jakie nosili robotnicy w fabrykach. Shan zerknął na Lokesha. Błysk zainteresowania w oczach starego przyjaciela powiedział mu, że on również rozpoznał rysy przybysza. Wysoki mężczyzna z całą pewnością był Tybetańczykiem.

– Akzu – odezwał się człowiek w czapce, gdy naczelnik podszedł bliżej. – Cóż za nieoczekiwana przyjemność! – Głos miał równie gładki i szlachetny jak twarz. Wschodni głos. Głos szkolony na uniwersytecie.

– Ko Yonghong – szepnęła Shanowi Jakli. – Dyrektor okręgowy Brygady.

Akzu przywitał się przyjaźnie z młodszym mężczyzną, potem jednak wolnym krokiem przeszedł na drugą stronę czerwonej terenówki, mimo że Ko położył mu dłoń na ramieniu. Chciał odciągnąć go od garażu, od Jakli i jej towarzyszy.

Wiatr szarpnął kurtkę Ko, rozchylając jej poły. Ukazała się pod nią biała koszula. Dopiero teraz Shan uświadomił sobie, że dwaj mężczyźni, którzy zniknęli w kantorku, byli w jasnobrązowych koszulach, czystych koszulach z kołnierzykami i mankietami, jak mundury, jak te, które nosili ludzie na szosie w górach Kunlun. Zerknął w okna czerwonego samochodu, jakby miał nadzieję wypatrzeć tam Genduna, po czym uważnie przyjrzał się dyrektorowi oddziału. Ko Yonghong. Ko Na Zawsze Czerwony.

Imię, które z upodobaniem nadawali swoim dzieciom ambitni członkowie Partii. To więc był człowiek, który likwidował klan Czerwonego Głazu.

Nagle, nim Shan lub Jakli zdążyli go powstrzymać, Lokesh wyszedł z cienia, wyciągając dłoń do wysokiego nieznanego.

–Tashi delek – powiedział przyjaźnie. Po tybetańsku znaczyło to cześć.

Choć wypowiedziane cicho, jakby w obawie przed podsłuchaniem, na stojącego sześć metrów dalej Ko Yonghonga słowa te podziały piorunująco. Obrócił się na pięcie i przez chwilę wpatrywał się w Lokesha z niezwykłym zainteresowaniem, po czym zapalił papierosa złotą zapalniczką i uśmiechnął się szeroko do Akzu, jak gdyby naczelnik zrobił mu nieoczekiwany prezent.

–Ni zao. Ni hao ma? Dzień dobry, jak się masz? – odparł Tybetańczyk po mandaryńsku, uśmiechając się z zakłopotaniem, i szybko zerknął na Ko. – Nazywam się Kaju. Kaju Drogme.

Na te słowa Jakli jak burza wypadła z ukrycia. W tej samej chwili Ko podszedł do Kaju, w dalszym ciągu nie odrywając wzroku od Lokesha. Zaciągnął się głęboko papierosem, po czym powoli rozejrzał się po stojących pod wiatą samochodach, jakby sprawdzał, jakie jeszcze niespodzianki kryją się w cieniach garażu.

To nie on zatrzymał ich dwie noce wcześniej w Kunlunie, Shan był tego pewien, ale być może on siedział wtedy w samochodzie, paląc papierosa w ciemnościach. Co Brygada robiła w Tybecie, skąd wzięła się na opustoszałej drodze w środku nocy? Co zrobiliście Gendunowi?! chciał zawołać. Ale dlaczego, zastanowiło go nagle, jeśli Brygada była tak zainteresowana Tybetańczykami, po prostu nie zabrali ich wszystkich, Jowy i Lokesha także? Wyszedł przed ciężarówkę, na słońce, nagle czując, że musi chronić Lokesha.

–Klan Czerwonego Głazu nie ma żadnych pojazdów – odezwał się nagle Akzu i Shan zrozumiał, po co ludzie Brygady Przyjechali do garażu. Spis inwentarza.

Dwa strumienie dymu wiły się z nozdrzy Ko, gdy minąwszy Kaju, zatrzymał się przed czerwoną terenówką, skąd mógł widzieć ich wszystkich.

–Na pewno ucieszy was wiadomość, że program rozwoju

został rozszerzony. Prywatyzujemy również park samochodowy.

–Program rozwoju? – zapytał krótko Akzu. Shan widział, że naczelnik walczy ze sobą, by nie narazić się szefowi Brygady.

–Walka z Ubóstwem to poniżające określenie – powiedział Ko tonem raczej oficera politycznego niż biznesmena. – Pomyślcie, towarzyszu, o wszystkich udziałach w przedsiębiorstwie, które otrzymacie. Teraz będziecie także właścicielami garażu. Wkrótce wchodzimy na giełdę. Pracują nad tym nasi specjaliści doradcy. Z Pekinu, a nawet z Ameryki.

Jeden z przybyłych, kierowca Ko, wypadł nagle pędem z tego garażu. W ślad za nim poleciał ciężki klucz do nakrętek. Ko udał, że nic nie zauważył. Kierowca zatrzymał się, przez chwilę spoglądał wściekle w głąb wiaty, wreszcie podszedł do bagażnika swego samochodu i otworzył klapę. Pogmerał w wielkim tekturowym pudle, skąd wydobył karton papierosów, i ponownie zapuścił się do garażu.

–Z przyjemnością stwierdzam, że postaraliście się o własnych doradców, towarzyszu – oświadczył z chłodnym uśmiechem Ko, wskazując Shana i jego towarzyszy.

Shan przyjrzał się oczom mężczyzny, który z niepokojąco zadowoloną miną taksował ich wzrokiem. Uznał, że Ko Yonghong jest człowiekiem, który wszędzie doszukuje się osobistych korzyści, który każdą nową znajomość analizuje pod kątem zysków lub wpływów, jakie może mu ona przynieść. Dyrektor leniwie przeciągnął ramiona i powoli pokiwał głową, jak gdyby podkreślając, że nie chce dochodzić, kim są towarzysze Akzu. Jakby już wcześniej ocenił, co to za jedni, i uznał, że bardziej opłaci mu się zostawić ich w spokoju.

–Ty jesteś tym nowym nauczycielem – odezwała się nagle Jakli, patrząc na Kaju.
– Na miejsce cioci Lau.

Wydawało się, że Tybetańczyk przyjął to pytanie z ulgą.

–Tak, rozszerzamy jej pożyteczną działalność – odparł cienkim głosem, zerkając nerwowo na Ko. – Brygada przydzieliła

pewne fundusze. Towarzysz dyrektor Ko chce objąć sieroty programem zgodnym z zasadami nauczania. Oficjalny program

integracji kulturowej w szkole w mieście. Z przydzieloną salą lekcyjną.

–Tego, co ona dla nich robiła, nie zapewni im żadna szkoła – odparła Jakli.

Ko podszedł do nich, unosząc ręce w geście poddania.

–Nie chodzi o tradycyjną szkołę – wyjaśnił żarliwie. – Chcemy tylko udostępnić im środki Brygady.

–To nie środków Brygady im potrzeba – odparła Jakli z błyskiem w oczach.

Ko przekrzywił głowę, przyglądając się z uwagą dziewczynie. Nachylił się ku niej.

–Jesteś bardzo ładna – powiedział, wciąż z tą samą żarliwością. – Mógłbym ci dać pracę.

Jakli zignorowała tę uwagę.

–Kazachowie i Ujgurzy sami potrafią się zatroszczyć o swoje sieroty.

Ko znów uniósł dłonie na znak kapitulacji.

–Proszę. Jestem przyjacielem waszego narodu – oświadczył

z uśmiechem. – Moglibyśmy zorganizować dla nich drużynę sportową, dopilnować, żeby przechodziły wymagane badania.

Umożliwić im ubieganie się o przyjęcie do naszych specjalnych programów dla młodzieży. – Poklepał Kaju po plecach. – Ale to

wszystko zależy od naszego nowego nauczyciela. Nie chcemy

ich odstraszyć. Zależy nam, żeby czuły się swobodnie. Co najważniejsze,

wszystko musi odbywać się za obopólną zgodą.

Z początku to będzie dla nich głęboki wstrząs, kiedy dowiedzą się o naszej stracie.

–Naszej stracie?

–Z pewnością zdajesz sobie sprawę, jak bardzo wszyscy ceniliśmy Lau. Była jak skarb. Jeśli będzie trzeba, zapewnimy dzieciom opiekę psychologa.

–Mamy zamiar kontynuować lekcje – dodał cicho Kaju. – Nie chcę, żeby przepadło im któreś ze spotkań. One muszą wciąż się rozwijać, muszą uczyć się o nowym społeczeństwie. Ona tego właśnie by sobie życzyła.

Jego słowa najwyraźniej zbiły Jakli z tropu. Chciała się gniewać, wyczuł Shan, chciała oburzać się na następcę Lau. Ale ten młody nerwowy Tybetańczyk wydawał się szczerze zatroskany o dzieci.

–Szybko przyjechałeś – zauważyła.

–Byłem tu od początku.

Mechanik wynurzył się na światło dzienne, niosąc karton papierosów. Podniósł klucz z ziemi i usiadł pod drzewem na końcu budynku. Z wyraźną lubością otworzył karton i zapalił papierosa.

–Nie rozumiem – powiedziała Jakli.

–Kaju ukończył specjalny kurs na uniwersytecie w Chengdu. Animator kontaktów międzykulturowych – wyjaśnił Ko. – Jesteśmy bardzo dumni z jego pracy. To droga przyszłości. Prywatyzacja, integracja, budowa silnych więzi narodowych.

Shan zaczął rozpoznawać w Ko nowy gatunek. On sam dorastał w świecie, w

którym wszystko obracało się wokół stanowisk partyjnych, w świecie, w którym pozycja polityczna odgrywała tak wielką rolę, że zdarzało się, iż funkcjonariusze dla zademonstrowania swej rangi przychodzili na zebrania ze swoimi służbowymi krzesłami, gdyż nawet meble biurowe były przydzielane w zależności od pozycji zajmowanej w dwudziestoczerostopniowej partyjnej hierarchii. Ale Ko nie był członkiem władz. Chłodna arogancja funkcjonariusza partyjnego zdawała się czaić w każdym jego słowie, był jednak biznesmenem.

Akzu patrzył w ziemię. On wiedział już, dokąd prowadzi droga, o której mówił Ko. Do likwidacji klanu Czerwonego Głazu. Shan przypomniał sobie, jaki ból odmalował się na jego twarzy, gdy usłyszał, że ich dzieci zostaną wysłane, by uczyć się na pamięć świętych ksiąg Partii.

–Przekonacie się, towarzyszu, że chcemy tylko pomóc. Jeśli Program Walki z Ubóstwem nie zdaje egzaminu, przyjdźcie i porozmawiajcie ze mną – powiedział Ko, znów opierając dłoń na ramieniu naczelnika, po czym podszedł do „żółwia”. Otworzywszy drzwi, gestem zaprosił Shana do środka. – Tymczasem – dodał, patrząc wyłącznie na Jakli – na was i na waszych szanownych przyjaciół czekają z pewnością ważne sprawy. Nie będziemy was dłużej zatrzymywać.

Uśmiech nie schodził z jego twarzy. Ko wydawał się bardzo zadowolony z tego, że odkrył Shana, Jowę i Lokesha. Zadowolony, a przy tym zupełnie nie zainteresowany tym, żeby ich powstrzymać lub zastraszyć. I to właśnie przeraziło Shana najbardziej.

Gdy Jakli i Jowa skierowali się do ciężarówki, tybetański nauczyciel ruszył za nimi z niepewnym, nerwowym wyrazem twarzy.

–Co ty tu robisz? – Warknął do niego Jowa po tybetańsku.

–Jestem nauczycielem. Mówiłem wam – odparł Kaju po mandaryńsku.

–Chodzi mi o to, co robisz teraz, tu, w tym garażu.

Kaju obejrzał się na Ko.

–Poprosiłem, żeby zabrali mnie z sobą – powiedział znów po mandaryńsku, wyraźnie nie chcąc odpowiadać w języku, w którym zwracał się do niego Jowa. – Tutaj, w cieniu Kunlunu, jest wiele kryjówek. Chcę wytłumaczyć ludziom, że ukrywanie się nikomu nie pomoże.

Oczy Jowy zwęziły się, bardziej podejrzliwe niż kiedykolwiek.

–Kto się ukrywa? – zapytała Jakli, obserwując Ko, który stał teraz oparty o swój samochód, poza zasięgiem słuchu, wciąż z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

–Może się nie ukrywają. Może raczej uciekają. Może wy moglibyście pomóc.

–Kto? – nie ustępowała Jakli.

–Dzieci, oczywiście. Sieroty – odparł Kaju. – Dzieci Lau. Teraz moje dzieci. Musimy do nich dotrzeć, pomóc im zrozumieć, dlaczego mają nowego nauczyciela, dlaczego nie mogą przerywać nauki. Śmierć bliskiej osoby także jest pouczającym doświadczeniem.

Błysk gniewu w oczach Jakli nie dawał się pomylić z niczym innym.

–Chcę im pomóc – ciągnął Kaju. – Nie wolno nam przerwać lekcji, w przeciwnym razie je stracimy, zaprzepaścimy wszystko, czego dokonała. Ale tylko połowa przyszła na ostatnie spotkanie po jej zniknięciu. Wszyscy musimy zмагаć się z nieufnością.

Specjalny kurs uniwersytecki, przypomniał sobie Shan słowa Ko, przyglądając się Tybetańczykowi. Nie ulegało wątpliwości, że Kaju doskonale opanował słownictwo. Zastanawiał się, czy młody nauczyciel potrafi prowadzić rozmowę bez uciekania się do politycznych sloganów.

Jowa wepchnął Jakli na fotel kierowcy i zamknął za nią drzwi. Utkwił wzrok w Kaju.

–Bo ktoś je morduje, ty dupku – mruknął pod nosem po tybetańsku, tak cicho, że Shan ledwie to dosłyszał.

Ale Kaju usłyszał. Poblądł, otworzył usta i stał tak osłupiały, gdy Jowa i Lokesh wdrapywali się na platformę ciężarówki. Jakli wyprowadziła pojazd spod wiaty i przejeżdżała już przez plac przed warsztatem, nagle jednak zahamowała gwałtownie. Z ciągnącego się wzdłuż drogi szpaleru topoli wyłonił się następny pojazd, pudełkowaty czarny sedan. Z ukłuciem przerażenia Shan rozpoznał tę sylwetkę. Była to limuzyna Hong Qi, Czerwony Sztandar, model sprzed może piętnastu lat, z tych, które przekazywano wysokiej rangi urzędnikom w odległych zakątkach Chin, kiedy wysłużyły się już w miastach na wschodzie. Jakli jęknęła cicho i złapała za klamkę od

drzwi, jakby chciała uciec.

Kierowca limuzyny zatrzymał ją tuż przed terenówką Brygady – wyglądało na to, że rozmyślnie zatarasował jej drogę. Zza kierownicy wysiadł muskularny młody Chińczyk. Otworzył tylne drzwi i z samochodu wynurzyła się kobieta w granatowym kostiumie. Była po czterdziestce, miała wystające kości policzkowe i szeroką twarz mieszkanki północnych Chin. Jej oczy patrzyły twardo, usta ułożone były w najwyraźniej utrwalony już grymas pogardy, a włosy, zebrane w ciasny węzeł z tyłu głowy, podkreślały jej surowe rysy.

Shan przyglądał się Ko Yonghongowi. Dyrektor obrzucił nowo przybyłych kwaśnym spojrzeniem, po czym powiedział do Kaju coś, co sprawiło, że Tybetańczyk zniknął w cieniu pod wiatą. Potem, gdy kobieta odwróciła się w jego stronę, rozciągnął usta w chłodnym uśmiechu i lekko skinął jej głową na powitanie.

Shan zerknął na Jakli. Wciąż spięta, nie odrywała wzroku od kobiety. Nie musiał pytać, kogo ma przed sobą. Była to Nefrytowa Dziwka. Prokurator Xu Li.

–Powiedziałeś, że ona chce wykorzystać śmierć Lau – szepnęła Jakli. – Co miałeś na myśli?

–Zatrzymuje znajomych Lau. Rozstawia punkty kontrolne. To kampania, nie śledztwo. W Pekinie znałem pewnego wysokiego funkcjonariusza Partii, który mawiał, że do przestępstwa nie powinno się nigdy podchodzić jak do problemu społecznego,

ale jak do szansy politycznej, a morderstwo jest dla urzędników organów ścigania wprost wyjątkową okazją.

–Okazją?

Rozmawiając, nie odrywali wzroku od prokurator Xu. Stała obok swego samochodu, spoglądając wyczekująco na Ko Yonghonga, jakby czekała, aż do niej podejdzie.

Z limuzyny wysiadła jeszcze jedna postać, szczupły mężczyzna o ospowatej twarzy ubrany w schludny szary mundur z czterema kieszeniami na kurtce. Oficer Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

–To Sui – syknęła Jakli. – Porucznik Sui. Z garnizonu w Yoktianie.

–Wiele lat temu w Pekinie doszło do morderstwa – ciągnął Shan, przyglądając się pałkarzowi. – Chłopak bez pracy zabił nożem ulicznego sprzedawcę, starego dziadka, który sprzedawał makaron. Zabójca został aresztowany na miejscu zbrodni, w zakrwawionej koszuli, gdy jadł makaron obok zwłok. Ale po tygodniu analiz Urząd Bezpieczeństwa oświadczył, że sprzedawca pochodził z rodziny posiadaczy ziemskich i że zataił to, gdy ubiegając się o zezwolenie na handel, odpowiadał na pytanie o pochodzenie społeczne. Przeprowadzono dochodzenie polityczne i stwierdzono, że sprzedawca pasożytniczo oszukiwał na społeczeństwie, kłamiąc, by uzyskać zezwolenie na handel, oraz że jego aspołeczne oszustwo nieuchronnie ściągnęło na niego przemoc. Obywateli zachęcano do korygowania danych w swych kwestionariuszach osobowych i do informowania o wszelkich znanych im byłych posiadaczach ziemskich, którzy usiłowali zataić swoje pochodzenie klasowe. Długie artykuły w gazetach partyjnych, przemówienia w telewizji. Trzydzieści lub czterdzieści osób zostało zaaresztowanych i trafiło do więzień.

Jego spojrzenie powędrowało w stronę Ko. Kwaśna mina zniknęła. Dyrektor wpatrywał się w oficera pałkarzy z wyraźną odrazą. Ko nie pałał sympatią do Urzędu Bezpieczeństwa, a w każdym razie nie do porucznika Sui.

Pałkarz stał przez chwilę u boku Xu, lustrując otoczenie oczyma drapieżnika, po czym wszedł pod wiatę.

–Ale zabójcę spotkała chyba jakaś kara? – powiedziała Jakli.

–Rok pobytu w obozie, za brak prawa stałego pobytu.

–To coś innego. Śmierć Lau nie była polityczna.

–Śmierć? – powtórzył Shan. – Powiedziałaś, że prokuratorka nie wie nawet na pewno, że ona nie żyje. Wszystko, co ma, to powiadomienie o jej zaginięciu. – Jego wzrok przyciągnął ruch przy końcu budynku. Akzu ukradkiem prowadził swego konia wokół garażu, za plecami Xu. – Co uważa za największy polityczny problem?

–Klany z pogranicza. Twierdzi, że są nieodpowiedzialne. Wzniesają niepokoje. Są ostoją reakcji. Shan ponuro pokiwał głową.

–Lau była nauczycielką. Miała łagodzący wpływ. Próbowła włączyć sieroty klanów w życie społeczeństwa. Tak więc klany z pogranicza uznały ją za wroga.

–Skąd znowu! Ona była jedną z nas! My nigdy...

–Uchylając się od zaangażowania w postępowe procesy społeczne – ciągnął Shan, przedstawiając prawdopodobny tok myślenia prokuratora – klany z pogranicza dobrowolnie odcięły się od moralnych fundamentów państwa. Stały się siedliskiem animozji i nieodpowiedzialności społecznej. – Mówiąc, wciąż patrzył na Xu. – Ona liczy na to, że Lau nie żyje. To jest jej dowód, że klany dezorganizują społeczeństwo i muszą zostać zlikwidowane.

Jakli nie odezwała się. Spojrzał na nią. Dziewczyna przygryzała wargę, wilgotnymi oczyma wpatrując się w prokuratorkę.

Ko także chciał, aby klany przestały istnieć. Temu właśnie służył Program Walki z Ubóstwem. A jednak prokuratorka i Ko zdawali się mieć ze sobą niewiele wspólnego, jak gdyby życzyli sobie zniknięcia klanów z zupełnie odmiennych powodów, lub może całkowicie odmiennie były metody, którymi zamierzali osiągnąć swój cel. Wizja prokuratorki, jak podejrzewał Shan, była znacznie bardziej radykalna. Ko mógł być nieco więcej niż dobrym żołnierzem w dawnej brygadzie wojskowej, ale prokuratorka miała więcej władzy. Ko odpowiadał przed zarządem spółki w Urumczi. Xu Li odpowiadała przed Pekinem.

Nagle ktoś zastukał w drzwi kierowcy. Jakli odwróciła się i wydała stłumiony okrzyk. Zza szyby patrzyła na nią surowa, ostra jak topór twarz porucznika Sui. Dziewczyna nagłym ruchem sięgnęła do klamki, by zablokować drzwi, ale Shan powstrzymał jej

dłoń. Opierała się przez chwilę, wreszcie jednak ustąpiła i otworzyła drzwi, gdy Sui wskazał ręką na ziemię przed ciężarówką.

Parę chwil później Lokesh, Shan, Jowa i Jakli stanęli rzędkiem przed pałkarzem. Nie kazał im się wylegitymować, a tylko z triumfalnym wyrazem twarzy notował coś w bloczku, od czasu do czasu unosząc wzrok i uważnie przyglądając się każdemu z nich z osobna, jak gdyby sporządzał drobiazgowy rysopis. Shan odwrócił głowę i spostrzegł, że Akzu, z pobladłą twarzą, stoi wraz z koniem przy końcu garażu. Mechanik siedział obok, ponuro kręcąc głową.

–Urząd Bezpieczeństwa usprawnił Program Walki z Ubóstwem – oświadczył nagle Sui. W jego głosie było coś pustego, metalicznego. – Dzikie stada zostaną spędzone razem. Konie stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa. – Omiótł ich zimnym, powolnym spojrzeniem, które wydawało się znakiem rozpoznawczym każdego funkcjonariusza bezpieki, jakiego Shan kiedykolwiek spotkał. – Zostaną spędzone razem i sprowadzone do Yoktianu wraz z resztą żywego inwentarza. – Jego badawczy wzrok spoczywał przez chwilę na Shanie, drobiazgowo rejestrując jego krótko ostrzyżone szpakowate włosy, zwisający luźno koniec wystrzępionego, o parę numerów za dużego paska od spodni, a wreszcie popękane, oblepione ziemią tanie buty ze sztucznej skóry.

–One nie są wasze – powiedziała Jakli drżącym głosem, patrząc na pierś Sui, jakby usiłowała doszukać się w niej serca. – Konie są własnością kazachskich rodów. Tak było zawsze, od czasów wielkich chanów.

–Otóż to – odparł Sui z zimnym uśmiechem, jakby Jakli dowiodła jego racji. – Wiemy, co chanowie zrobili Chinom.

Shan spojrzał na niego z niedowierzaniem. Minęło już przeszło siedemset lat od czasu, gdy przodkowie współczesnych Mongołów i Kazachów pod wodzą swoich chanów najechawszy Chiny, pokonali dynastię Sung i założyli własną – Yuan. Kątem oka dostrzegł ruch. Odwrócił się i zobaczył, że Akzu, wciąż trzymając konia za uzdę, zmierza powoli w stronę pałkarza. W oczach żyłastego starego Kazacha płonął ogień, jak gdyby chciał rzucić się na Sui.

–Nigdy nie znajdziecie wszystkich naszych koni – wysyczał, stanąwszy o trzy metry od porucznika.

–Z pomocą helikopterów nie będzie to wcale takie trudne -odparł Sui z drwiącym uśmiechem, który odsłonił rząd pożółkłych zębów.

–Chińczycy nie znają się na koniach – zaprotestował Akzu. Wypuścił z dłoni cugle, które opadły na ziemię, i zaciskając pięści, zrobił krok ku pałkarzowi.

–Wykorzystywanie niespożytkowanych zasobów rolnych -rozległ się za nim lodowaty głos – od dawna stanowi politykę władzy ludowej. – Prokuratorka wolno ruszyła w ich stronę. Tuż za nią, niczym cień, szedł jej potężny kierowca.

Ramiona Akzu obwisły bezsilnie. Nagle Ko Yonghong wysunął się naprzód i stanął obok Kazacha, jakby chciał go bronić.

–Ci ludzie są objęci Programem Walki z Ubóstwem, towarzyszo prokurator – oświadczył nerwowo.

Xu zdawała się go nie słyszeć. Dotknęła ręką czoła, na co Sui podszedł do Shana oraz Lokesha i dwoma szybkimi ruchami strącił im czapki z głów, po czym cofnął się, żeby Xu mogła się przyjrzeć obu mężczyznom.

–Macie na myśli Kazachów, towarzyszu dyrektorze – zauważyła, idąc dalej ze swym gorylem trzymającym się wciąż krok za nią. Małymi, czarnymi oczami zerknęła na Jakli, która stała ze spuszczoną głową, jakby niezdolna spojrzeć jej w twarz, po czym z cierpką miną przyjrzała się badawczo Jowie i Lokeshowi. Xu nienawidziła Tybetańczyków, powiedział Malik. Uważała ich wszystkich za zdrajców. Na koniec jej wzrok spoczął na

Shanie.

Ko wycofał się, wykrzykując polecenia do swych ludzi. Kopnął leżący kamień, który wyleciał w powietrze i spadł obok mechanika, ten jednak siedział z maską obojętności na twarzy, paląc kolejnego papierosa. Akzu stał bez ruchu, w milczeniu przyglądając się prokuratorce.

Xu przechadzała się przed nimi w tę i z powrotem, nie odrywając wzroku od Shana. W końcu ruchem ręki odesłała swego goryla do limuzyny i poszła za nim. Przez chwilę naradzali się ściszym głosem, wreszcie mężczyzna podbiegł do Sui i szepnął mu coś do ucha. Pałkarz zmarszczył brwi, po czym się wycofał,

bacznie obserwując ich małą grupkę, jak gdyby spodziewał się zasadzki.

–Władza ludowa docenia wasz wkład – oświadczył goryl Xu przymilnym tonem i zapraszająco wskazał ręką „żółwia”.

Jakli szybko podniosła czapki z ziemi i popchnęła Lokesha ku kabinie, podczas gdy Jowa i Shan wdrapali się na platformę.

Gdy silnik ruszył z rykiem, Ko podszedł do Akzu i objąwszy naczelnika ramieniem, poprowadził go do jego konia. Jakli odczekała, aż stryj zniknie za budynkiem, po czym wrzuciła bieg i na pełnym gazie minęła topole rosnące przy wjeździe na teren warsztatu. Shan obserwował we wstecznym lusterku, jak zabudowania nikną w oddali. Po chwili poczuł na sobie wzrok Jakli. Nikt za nimi nie jechał. Prokuratorka i bezpieczeństwa gorliwie zapewniali Obóz Chwały, a mimo to pozwolili im odejść.

Jechali przeszło godzinę, dwa razy robiąc objazdy wyschłymi łożyskami potoków, żeby uniknąć punktów kontrolnych. Gdy minęli znak informujący, że do Yoktianu pozostało jeszcze osiem kilometrów, Jakli zwolniła, przyglądając się uważnie wierzdom rosnącym wzdłuż drogi. Wreszcie niemal zupełnie zatrzymała ciężarówkę i upewniwszy się, że w zasięgu wzroku nie ma żadnego innego pojazdu, gwałtownie skręciła w przerwę między drzewami. Szlak, którym teraz jechali, był raczej szeroką ścieżką niż drogą i ich przysadzisty pojazd podskakiwał i kołysał się, gdy pokonywali koleiny i dziury, które zatrzymałyby mniej solidne samochody. Po kilku minutach ścieżka dotarła do małego, płynącego z południa strumyka i dalej biegła jego brzegiem w stronę gór. Mieli teraz przed sobą rozległą panoramę Kunlunu i Shan widział doskonale wysokie szczyty wyznaczające granicę Tybetu.

Nagle Jakli zatrzymała wóz.

–Myślisz o swoim lamie, prawda? – zapytała, przenosząc wzrok za jego spojrzeniem. Milczała przez chwilę. – Jeśli chcesz, mogę pojechać inną drogą. Mogę cię podwieźć do granicy Tybetu, najbliżej, jak tylko się da. On jest twoim przyjacielem. Twoim lamą. Lau może poczekać.

Shan uśmiechnął się z wdzięcznością i pokręcił głową.

–Pójdę spotkać się z Lau. Po to właśnie mnie wysłał.

Jakli błędziła wzrokiem po ośnieżonych szczytach.

–Kiedy byłam mała, ludzie trzymali się z dala od wysokich gór. Nazywali je krańcem ziemi, tak jakby po drugiej stronie był zupełnie inny świat albo świat po prostu się tu kończył. Później dowiedziałam się, że ten świat po drugiej stronie był światem mojej matki. Teraz... – Powoli pokręciła głową. – Wysoki płaskowyż, gdzie żyją dropkowie, jest jednym z ostatnich miejsc, które nie zostały zniewolone, których nie dosięgło zło. Jak gdyby słowo „kraniec” oznaczało bezpieczeństwo. Często myślę, że to jedyne miejsce, gdzie chciałabym żyć. – Milczała przez chwilę, wreszcie wrzuciła bieg i ruszyła dalej.

–Kraniec ziemi – Shan powtórzył te słowa jak modlitwę. To była prawda. Gendun, jak zawsze, był na granicy świata.

Kwadrans później Jakli wskazała na kępę drzew w zakolu strumienia i niecierpliwie pochyliła się nad kierownicą, po czym zatrzymała ciężarówkę w topolowym zagajniku. Obok, tuż nad wodą, stała drewniana chatka bez okien, z gankiem i zbitymi z desek drzwiami.

–Kiedyś był to szalas pasterski, na lato, kiedy wysokie pastwiska się zielenią – wyjaśniła Jakli, kiedy wysiadali. – Jedno z ulubionych miejsc cioci Lau.

–Mieszkała tutaj?

–Czasem. Przez wiele lat miała pokój w Yoktianie, w kwaterach dla samotnych nauczycieli. Oficjalnie to właśnie był jej adres. Ale kiedy robiło się ciepło, przenosiła się tutaj, odkąd stada stały się tak małe, że tutejsze pastwiska przestały być potrzebne. To było jak... nie wiem. Jak ustronie. Swego rodzaju azyl. Trafiła tu kiedyś, dawno temu, lecząc stado chorych owiec. Potem stale wracała. Nie jest stąd tak daleko od szosy, by nie dało się tu dotrzeć samochodem lub ciężarówką, ale wystarczająco daleko, żeby było zacisznie, żeby można się poczuć jak w zupełnie innym świecie.

Shan zauważył, że Jakli z sympatią spogląda na chatkę i na ciągnącą się za nią łąkę, pełną wrzosów i astrów w żywych jesiennych barwach, okoloną krzewami różaneczników o szkarłatnych liściach. Miejsce to wyglądało jak oaza w wysokich, suchych górach. Leżało na zwróconym na południe stoku, dzięki czemu było tu więcej ciepła i wody niż na okolicznych terenach.

–Ty też miałaś tu swój azyl – domyślił się. Skinęła głową.

–Ciocia Lau uczyła mnie tu wielu rzeczy.

–O zwierzętach?

–O zwierzętach. O przyrodzie. O medycynie. O ludziach.

O gwiazdach. Była pełna wiedzy. Tryskała wiedzą. Nigdy nie znałam nikogo podobnego. Wszyscy, Kazachowie i Ujgurzy, uwielbiali ją. Nie miała rodziny, ale była ciocią dla wszystkich. Dlatego wybrano ją do Rady Rolnej.

–Przyprowadzała tu zheli?

Jakli ponownie skinęła głową.

–Kilka razy do roku. Czasami urzędowała tu, jak to nazywała, dzień skupienia.

–Dzień skupienia?

–Coś w rodzaju całodziennego medytacji. Każde dziecko mogło wybrać sobie dowolne ciche zajęcie, jakie mu odpowiadało. Niektóre rysowały. Inne pisały listy. Jeszcze inne podziwiałały kwiaty.

–A co robił Khitai?

Dziewczyna przez chwilę zastanawiała się nad tym pytaniem.

–Ostatnim razem przyszedł tu pod wieczór. Wydaje mi się, że wspiął się na górę i usiadł pod szczytem. Tak, pamiętam go. Siedział na półce skalnej – powiedziała, wskazując sterczącą ze zbocza skalną płytę. – Jak stary kozioł spoglądający na góry. Nie z dumą, po prostu zachwycony.

Shan spojrzał na pustą półkę. Czy Khitai siedział teraz na jakiejś innej skale, podziwiając góry? Czy wiedział w ogóle o krążącym w pobliżu mordercy? Czy Malik go znalazł? Ze zgrozą uświadomił sobie, że poszukując zheli, Malik sam mógł wpaść w ręce zabójcy.

Jakli weszła na wąski ganek chatki.

–Ta chatka była jak sanktuarium, gdy ona tu przyjeżdżała.

–Sanktuarium?

–Jak meczet. Świątynia. Właściwie nie, po prostu panowała tu jakaś nabożna atmosfera. Chciało się myśleć o wzniosłych sprawach tylko po to, by zrobić jej przyjemność. – Odsunęła drewniany skobel na drzwiach i wprowadziła Shana do chatki.

Wnętrze istotnie urządzone było skromnie niczym kaplica. Jedyne umeblowanie stanowił mały stół, krzesło, dwie ławy oraz łóżko zbite z ręcznie wyciosanych desek. Nie obrobionych bali tworzących ściany izby wciąż jeszcze trzymały się resztki kory. Na krześle stała blaszana miska oraz dwa kubki, na łóżku zaś leżał złożony w kostkę filcowy koc. Pośrodku stołu ktoś zostawił samotną szyszkę sosny.

Na ścianie wisiała przypięta pinezką kartka. Shan podszedł do niej. Na grubym papierze widniały, umieszczone jeden pod drugim, dwa zamaszyste chińskie ideogramy, elegancko odmalowane pędzelkiem i tuszem. Płynne pociągnięcia

układały się w wizerunek ptaka wlatującego w niebo oraz symbol dwóch dłoni wyciągniętych po jeden przedmiot. Razem znaczyło to „nie walczyć” i wiązało się z ustępem ósmym *Tao Te Ching*, największej z nauk tao, której uczył się jako dziecko. Widok tych znaków sprawił mu przelotny ból, gdyż ustęp ósmy był ulubionym werselem jego ojca. Shan dobrze znał ten fragment:

*Największe dobro jest jak woda,
Która wszystkim służy
I z nikim nie walczy,
Trzyma się nizinnych miejsc, którymi inni gardzą,
W czym bliska jest drodze prawdy.*

Ustęp ten interpretowano zwykle jako opis oświeconej jednostki, która znajduje zadowolenie w unikaniu zmagania, trzymając się ustronnych, cichych miejsc, gdzie prawda skupia się na dnie niczym woda. Niekiedy ostatnie słowa wersetu odczytywano jako „droga życia”. Prawda lub życie. Być może, pomyślał, jeszcze raz spoglądając na ideogramy, dla Lau nie stanowiło to większej różnicy.

Musnął róg kartki koniuszkami palców, po czym szybko je cofnął, jak gdyby gest ten naruszył spokój Lau.

–Ona była właśnie taka – odezwała się Jakli za jego plecami.

Odwrócił się i skinął głową.

–Musisz mi coś wyjaśnić – powiedział, gdy ona krążyła po izdebce, przeglądając rzeczy Lau. – Wczoraj, kiedy dołączyłaś do nas, Akzu powiedział, że po tym, co ci zrobiła Lau, nie masz wobec niej żadnych zobowiązań.

Jakli spojrzała na niego zza stołu.

–Nigdy tego nie zrozumiałam. To było jakieś nieporozumienie, jak przypuszczam.

Odbywałam reedukację w obozie, a Lau

napisała do prokuratora, żeby nie wypuszczali mnie w przewidzianym terminie, że
powinnam spędzić jeszcze jakiś czas pod

nadzorem w fabryce w Yoktianie, gdzie zatrudniają byłych więźniów. W wytwórni
kapeluszy. Kiedy powiedzieli mi, dlaczego

nie mogę wrócić do klanu, nie chciałam wierzyć. Ale pokazali

mi list Lau. – Usiadła na krześle i objęła dłońmi szyszkę sosny. –

Wszystko w porządku – dodała z zakłopotaniem, wpatrując się

w szyszkę, jak gdyby za jej pośrednictwem mogła przemówić

do Lau. – To zwykła pomyłka, wiem. Była ostatnio nerwowa.

Shan usłyszał za sobą stuknięcie drzwi.

–Nie ma żadnego śladu. Nic, co by o niej mówiło – dobiegł ich od wejścia głos
Jowy.

–Może to właśnie o niej mówi – podsunął Shan, patrząc na kartkę na ścianie. –
Prostota.

Jakli poprowadziła ich ku ścieżce na przeciwległym krańcu łąki. Gdy zniknęła w
zaroślach, Lokesh, idący przed Shanem, zatrzymał się nagle. Na skraju lasu widać
było niewielki wodospad. Śpiewały ptaki.

–W takim miejscu mogłaby się zatrzymać dusza chłopca – westchnął, po czym z
podnieceniem zawołał na Shana, żeby pokazać mu wielkiego żuka maszerującego w
poprzek ścieżki.

Przez jakieś półtora kilometra szli w górę strumienia dróżką wijącą się wśród kęp
rózaniczników oraz wysokich, wiecznie zielonych krzewów i drzew. Shan przyglądał
się uważnie ścieżce. Nie różniła się zbyt wiele od wydeptanych przez dzikie zwierzęta,
ale liczne świeżo połamane rośliny i młode drzewka na jej obrzeżach wskazywały, że
niedawno często chodzili nią ludzie.

Ścieżka zaprowadziła ich na niewielką polanę, zamkniętą po drugiej stronie
pionową, wysoką niemal na piętnaście metrów skalną ścianą. Na dolnych gałęziach
sędziwej sosny, której wierzchołek wznosił się ponad szczyt ściany, wiatr kołysał
czymś wykonanym ręką człowieka. Była to romboidalna ramka z patyków
powiązanych sznurkiem, między którymi rozciągnięte były pasma przędzy w
jaskrawych barwach. Pułapka na duchy, talizman

używany przez wiele koczowniczych ludów do chwytania latających demonów.

Jakli zatrzymała się u stóp ściany i wskazała im coś po drugiej stronie drzewa. Shan podszedł tam. W rzucanym przez sosnę cieniu czernił się głębszy cień. Był to otwór w skale, szczelina wysoka może na metr osiemdziesiąt i szeroka na tyle, że można było wcisnąć się w nią bokiem.

Kierując się spojrzeniem Lokesha, przeniósł wzrok na stosik chrustu obok szczeliny. Nie, zorientował się, to nie chrust. To były kwiaty, całe pęki. Głównie astry, jesienne kwiaty, które kwitły właśnie na stokach. Niektóre wyglądały tak świeżo, jakby zerwano je zaledwie przed godziną, inne były zwiędnięte i kruche. Obok nich stało kilkanaście prymitywnych figurek zwierząt z gałązek powiązanych brązowym sznurkiem i łądzkami roślin. Były tam stworzenia o długich nogach, które Shan uznał za konie, i inne, krótkonogie, które mogły być owcami lub kozami. Obok patykowych zwierząt znajdowało się kilka niewielkich glinianych przedmiotów w kształcie dzwonków i garnków. Gdy się pochylił, by przyjrzeć im się z bliska, powietrze gwałtownie się ochłodziło. Lodowaty podmuch zjeżył mu włosy na rękach. Wypływał z jaskini.

Jakli zatrzymała się obok. Stała na zimnym wietrze z zamkniętymi oczyma, z nabożnym skupieniem na twarzy, jak gdyby pogrążona w modlitwie. Słyszał o takich jaskiniach. Niektórzy mówili, że w tych mroźnych jamach mieszka śmierć, a ten wiatr jest jej oddechem. Starzy Tybetańczycy twierdzili zaś, że są to bramy prowadzące do ośmiu poziomów zimnych piekieł, o których nauczały najstarsze z tybetańskich sekt.

Po chwili Jakli wyjęła z kieszeni małą latarkę na baterie, którą podała Shanowi. Podniosła leżące za stertą kwiatów dwa kije o nasączonych żywicą końcach. Wręczyła je Jowie, wyciągnęła pudełko zapalek i zapaliła pochodnie, po czym ująwszy jedną z nich, przecisnęła się przez szczelinę. Shan ruszył tuż za nią, z nagle dziwnie zaschniętym gardłem. Już za chwilę mieli się spotkać z ciocią Lau.

Po sześciu krokach korytarz rozszerzył się do trzech metrów, ale zarazem strop opadł tak nisko, że musieli posuwać się zgięci w pół, z pochodniami wyciągniętymi w bok. Zimny powiew

wzmagał się, tłumiąc płomienie. Po dłuższej chwili dotarli do obszernej komory, szerokiej może na piętnaście metrów i trzy razy tak długiej, ze stropem na wysokości sześciu metrów. Nie wiało tu już tak bardzo, lecz było mroźniej. Jowa uniósł pochodnię nad głowę i jęknął ze zdumienia. Strop iskrzył się światłem. Z góry zwisały długie kryształowe stalaktyty. To lód, zorientował się Shan. Całe sklepienie pokrywała warstwa lodu.

–Nie minęło zbyt wiele czasu, odkąd lodowce odeszły z tych gór – wyjaśniła Jakli, zniżając głos. – Ich korzenie wciąż jeszcze tu są. – Poprowadziła ich na drugą stronę pieczary, do szerokiego na półtora metra otworu, za którym znajdowała się mniejsza komora, tak samo wysoka, lecz zaledwie sześciometrowej długości. Tu, w ciemności i zimnie, czekała ciocia Lau.

Leżała w głębi, na wysokim do kolan płaskim glazie, z dłońmi złożonymi na brzuchu, z takim spokojem na twarzy, że zdawała się jedynie drzemać.

Jakli uklękła u boku zmarłej. Shan przyglądał się, jak wyciąga z kieszeni gałązkę wrzосу i kładzie ją na płycie obok zwłok.

–Poznałam ją, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, latem tego roku, kiedy pojawiła się u nas. Miałam wtedy może

osiem albo dziewięć lat. Mój koń chorował na żołądek. Usłyszałam, że w obozie owczarzy jest uzdrowicielka, więc chciałam zaprowadzić go do niej. Ale po trzech czy czterech godzinach mój koń nie mógł już iść dalej. Zarżał przeciągle i stanął, słaby i zbolący. Usiadłam, rozpałam ognisko i nagle zjawiała się ona. Powiedziała, że usłyszała wołanie chorego zwierzęcia. Ale nie dała mu lekarstwa. Nie od razu. Wypytała mnie dokładnie o niego, o to, jak długo się znamy i kiedy się urodził, i jak zachowuje się w czasie deszczu. Potem dotykała go w wielu miejscach i mówiła do niego. Wreszcie wymieszała jakieś zioła i powiedziała, żebym została tam na noc i śpiewała mu. Rano koń czuł się już dużo lepiej. Był tak silny, że chciał biec całą drogę do domu.

Lokesh, który usiadł obok glazu, lekkim skinieniem głowy zachęcił ją, by mówiła dalej.

–Jeden z moich kuzynów, kiedy o tym usłyszał, palnął, że to musiała być jakaś czarownica – ciągnęła Jakli. – Ale powiedziałam

mu, że jak na czarownicę zbyt często się śmiała. Potem spotykałam ją jeszcze wiele razy, często nieoczekiwanie, w górach, na pustyni, wszędzie. Kiedyś leczyła małą wiewiórkę, którą upuściła sowa. Mówiła, że jej obowiązkiem jest leczyć wszystkich cierpiących, ale największym obowiązkiem uzdrowiciela jest troszczyć się o najmniejszych i najsłabszych.

–Co to znaczy, że się u was pojawiła? – zapytał Shan.

–Wiesz, jak bezdomni. Jej rodzina także zginęła. Lau była kimś w rodzaju wędrownego uzdrowicielki. Mieliśmy szczęście, że postanowiła osiedlić w Yoktianie.

Włosy Lau, czarne, przetkane kilkoma pasmami siwizny, splecione były w dwa krótkie warkocze związane ciemnoczerwoną wstążką. Ubrana była w długą szarą suknię o rąbku haftowanym w kwiaty. Na nogach miała czerwone wełniane onuce, zakrywające cholewki małych, bardzo już znoszonych skórzanych butów. Głowę osłaniał nasunięty nisko na czoło czerwony szal, haftowany w kwiaty i skaczące jelenie. Ubrano ją ciepło, jak na mróz.

–Jak daleko stąd jest to miejsce, gdzie zginęła? – zapytał Shan.

–Karaczuk? Na pustyni, wiele kilometrów przez piaski. Żeby sprowadzić jej ciało, musieli wieźć je konno, a potem ciężarówką. To pół dnia jazdy.

–Byłaś przy tym?

Jakli skinęła głową.

–Od szosy. Mao przyszli do fabryki i powiedzieli mi o wszystkim. Spotkałam się z nimi na szosie.

–Więc Mao byli tam, w Karaczuku, kiedy ją zabito?

–Nie. Byli inni, którzy wezwali Mao. – Z chłodnym, stanowczym wyrazem twarzy odwzajemniła jego nieruchome spojrzenie. Niektórych tajemnic nie zamierzała zdradzić.

–I ona powiedziała ci, że chce spocząć właśnie tutaj? Czy to kazachski zwyczaj?

–Nie. Ale ona miewała pomysły. Chcę powiedzieć, że żyła po swojemu. Myślę, że odejść też chciała po swojemu. Prosiła, żeby zabrać ją do tej groty nad chatką.

–Kogo? – zapytał Shan. – Kogo prosiła?

–Swoich przyjaciół. Jakies trzy miesiące temu powiedziała im, że tu właśnie chce być pochowana.

Panujący w grocie ziąb utrzymał zwłoki w znakomitym stanie. Mogłyby tak przetrwać wiele miesięcy, pomyślał. Może nawet lata.

–To poważna prośba.

Jakli spojrzała na Lau i uśmiechnęła się smutno.

–To nie był żaden kłopot.

–Ale z tego, co o niej mówisz, wynika, że nie lubiła obarczać przyjaciół jakimś ciężarem.

Dziewczyna ściągnęła brwi, jak gdyby zastanawiając się, do czego Shan zmierza.

–Umrzeć miała tylko raz – odparła powoli.

Ale dlaczego ta grota? zapytał sam siebie Shan. Było to tak, jakby sama jaskinia

coś znaczyła. Ale co? Miejsce, w którym mieszkają demony. Lub może miejsce, które wzbudza w nich lęk. Okrążył wolnym krokiem płaski głaz, przyglądając się martwej kobiecie.

–Jeśli nie pochodziła stąd i nie miała skierowania do tutejszej jednostki roboczej, jak to możliwe, że wybrano ją do lokalnej rady?

Jakli wzruszyła ramionami.

–Sprawdzano ją, bez wątplenia. Była Kazaszka, a pasterze ją uwielbiali. Jak powiedziałam, była ciocią dla wszystkich. I chodziło tylko o Radę Rolną. A ona nie ma żadnej realnej władzy.

–Ale jednak to jakaś władza. Nawet do takiej rady nie przyjęto by osoby o nie sprawdzonej przeszłości.

Spostrzegł po jej oczach, że zrozumiała. Lau mogła stracić rodzinę na wiele sposobów, z rozlicznych powodów. Jeśli klan został uwięziony, oficjalnie rozwiązany albo wymordowany, jego członkowie z definicji stanowili w oczach państwa wrogi element. Dla takich zaś zasiadanie nawet w nic nie znaczącej Radzie Rolnej było przywilejem niedostępnym. Shan wspomniał słowa Akzu, wypowiedziane przy grobie chłopca pochowanego przez klan Czerwonego Głazu. Demon chce dokończyć to, co zaczął z rodzicami sierot. Lau także pochodziła z nie istniejącego już klanu. Tajemnica, która wiązała ofiary, mogła mieć dziesiątki lat, mogła sięgać czasów, gdy Kazachów i Ujgurów poskramiała Armia Ludowo-Wyzwoleńcza.

–Została zrehabilitowana. Nie wiem. Ludzie ją wybrali.

Władze są teraz bardziej pobłażliwe. – Ostatnie słowa Jakli wypowiedziała bez przekonania, wpatrując się w warstwę lodu, która pokrywała większą część ściany za ciałem Lau.

Shan uklęknął obok Lokesha przy głowie kobiety. Światło pochodni rzucało na jej bezkrwistą twarz pomarańczowy poblask, pogłębiając wrażenie, że Lau tylko śpi. Wydawało się, że lada chwila może się podnieść i zbesztać ich za to, że ją obudzili.

–Musieliśmy przekonać ludzi, że to był wypadek – odezwała się Jakli. – Trzeba było przedstawić jakieś wyjaśnienie. Nie mogliśmy zgłosić, że została zamordowana, i wmieszać w to władz.

Shan uniósł wzrok. Odniósł wrażenie, że dziewczyna czekała dotąd z wyjaśnieniami, aby nie było żadnych tajemnic przed Lau.

–Nieszczęśliwy wypadek – ciągnęła, patrząc na martwą kobietę. – Zorganizowaliśmy to na wasz... – Urwała i wzięła głęboki oddech. – Zorganizowaliśmy to tak, by jej koń został znaleziony na szosie, która biegnie wzdłuż rzeki Yoktian. Następnego dnia ktoś ze szkoły zgłosił jej nieobecność. Lau miała kurtkę, którą dostała od Rady Rolnej, z wypisanym nazwiskiem. Gruby Mao wrzucił ją do rzeki. Jakaś kobieta wyłowiła ją w pobliżu miasta.

Powoli, z całym szacunkiem, na jaki było go stać, odsunął szal z jej czoła. Na linii włosów ziała przeszło półcentymetrowej średnicy dziura. Przysunąwszy latarkę, dostrzegł ciemne smugi wokół rany. Lau została zastrzelona z bliskiej odległości, jak podczas egzekucji.

–Myślisz, że będzie go przybywać? – zapytała Jakli, znowu wpatrując się w płat lodu. – Może urośnie tak, że pokryje ją całą. Pod nim mogłaby przetrwać bardzo długo. Tysiące lat.

Shan skłonił z szacunkiem głowę i podniósł się z klęczek. Dopiero teraz spostrzegł Jowę. Purba stał u wejścia do komory, niczym na straży. Albo jakby obawiał się wejść głębiej.

Na ścianie, której lewa część wyginała się w stronę wejścia, Shan dostrzegł na warstwie lodu jakieś ciemne plamy. Skierował tam światło latarki. Były to odcisnięte ślady kilkunastu dłoni, niczym pożegnalny salut.

Lodowy grób, pomyślał. Przedsiónek zimnych piekieł. Jakie było ostatnie piekło cioci Lau? Jej śmierć nie była przypadkowa. Ktoś tropił ją, póki jej nie dopadł. Ale dlaczego?

–Może chodziło o kradzież? – zastanowił się głośno.

–Ona prawie nic nie miała – odparła Jakli. – Szkoła Brygady przydzieliła jej pokój i gabinet.

Shan uklęknął w nogach głazu.

–Kiedy ją ubierano przed złożeniem jej tutaj, czy ktoś widział...? – Powoli, ostrożnie odwijając onuce, dostrzegł odpowiedź na pytanie, które chciał zadać. – Ach! – jęknął głucho. Na stopach Lau widniały obrzęki i wylewy podskórne. Była bita wystarczająco długo przed śmiercią, by zdążyły wystąpić sińce.

–Widzieliśmy to – powiedziała Jakli. Do oczu napłynęły jej łzy. – Musiała bardzo cierpieć. – Nagłym ruchem uniosła dłoń do ust i odwróciła się. – Ale nic nie powiedziała. Na pewno.

Była silna.

Shan skinął głową, nie dlatego, że znał Lau, ale że znał się na przesłuchaniach. Albo zaczęłaby mówić, kiedy tylko oprawca zabrał się do pierwszej stopy, albo milczałaby cały czas, nawet wtedy, gdy zaczęłby ją bić po obydwu. Pospiesznie okrył jej nogi i podszedł do dłuższego boku głazu. Wolno podciągnął rękaw na prawej ręce Lau. W zgięciu ramienia znalazł kolejny siny obrzęk, pośrodku którego widniała drobna czerwona plamka.

–To też widziałam – odezwała się ponad jego ramieniem Jakli. – To zwykły siniak, nic więcej – dodała łamiącym się głosem, który powiedział mu, że dziewczyna dobrze wie, co to oznacza.

Kątem oka spostrzegł jakiś ruch. To Jowa podszedł do kamienia, żeby przyjrzeć się odkryciu Shana.

–Zastrzyk – oświadczył z powagą. – Wstrzyknięto jej coś, kiedy bicie nie przyniosło rezultatów. – Purba i Shan spojrzeli po sobie. To znaczyło, że zabójca znał techniki przesłuchań i miał dostęp do narkotyków, którymi posługiwała się w tym celu bezpieka. A więc jednak Lau zginęła z powodu czegoś, co posiadała. Zginęła z powodu informacji. Torturowano ją, by wydobyć z niej jakiś sekret.

Lau wydawała się teraz jeszcze bardziej zagadkowa niż przedtem, zanim Shan tu przyszedł. Odwrócił się w stronę wyjścia, zawahał się jednak i tknięty nagłym impulsem, skręciwszy w lewo, podszedł do ściany ze śladami dłoni, by odcisnąć w lodzie własny.

–Dlaczego odeszła z rady? – zapytał, czując, jak palce drętwieją mu z zimna. Oderwał dłoń od lodu i przyjrzał się odciskowi, jaki zostawiła. Był głębszy niż inne.

–Kiedy to robiliśmy – odezwała się Jakli, wskazując głową ścianę – Akzu powiedział, że jeśli lód nie narośnie, te znaki mogą przetrwać wieki. Powiedział, że to będzie jedyny dowód na to, że kiedykolwiek istnieliśmy. – Przyjrzała się odciskom, po czym wpasowała dłoń w jeden, leżący w pobliżu środka, jakby chciała zaznaczyć, że należy do niej. – Nic więcej, tylko pustka w lodzie, w mrocznej jaskini na zapomnianej górze.

Shan spojrział na dziewczynę, zaskoczony jej słowami. Jakli wciąż stała twarzą do ściany.

–To ja myłam ją w strumieniu – wyszeptała. – Wciąż myślę, jak straszliwie cierpiała, umierając. – Przycisnęła mocniej dłoń do lodu, pogłębiając pustkę. – Została usunięta – ciągnęła szeptem, jakby obawiając się, że Lau może usłyszeć jej słowa. –

Cztery miesiące temu ktoś powiedział, że ona nie nadaje się już do pełnienia tej funkcji.

–Ktoś?

Wzruszyła ramionami.

–Prawo ciągle się zmienia. Brygada przejęła wiele obowiązków dawnych rad.

–Ale ktoś zdecydował, że Lau musi odejść.

–Nie wiem, tak myślę. Ona po prostu zniknęła. Ktoś inny zaczął przychodzić na zebrania zamiast niej.

–Kto?

Milczała, póki nie dotarła do przejścia prowadzącego do większej pieczary.

–Ko Yonghong – odparła łamiącym się głosem. – Towarzysz dyrektor naczelny.

–Czy poinformowano ją, jaki był powód?

–Jeśli nawet, zachowała to tylko dla siebie.

–Ta zbieżność w czasie nigdy nie wydała ci się dziwna?

Dziewczyna pokręciła głową, wyraźnie dezorientowana.

–Niedługo potem poprosiła, żeby pochować ją w tej jaskini –

przypomniał jej Shan. – Jakby dopiero wtedy zaczęła się niepokoić. Dlaczego, jak sądzisz?

Jakli, przygryzając dolną wargę, obejrzała się na zmarłą.

Sprawiła wrażenie, jakby chciała zapytać o to samą Lau. Po chwili wzruszyła ramionami i odwróciła się znów do Shana.

–Zadawała się z niepożądanymi elementami.

Miała na myśli, jak wiedział Shan, siebie samą, Akzu i innych koczowników. Być może także Mao.

–Ale kto był z nią związany najbliżej? Może ktoś jej pomagał? A może kogoś szkoliła? Muszę wiedzieć, jaka była jej reakcja, kiedy dowiedziała się, że nie może już pracować. Gniew? Przerazenie? Ulga?

–Nie miała nikogo.

–Nikogo? Czy nikogo, z kim chciałabyś mnie poznać?

Jakli zdawała się zastanawiać nad jego słowami, gdy skinieniem głowy pożegnała Lau i przeszła do większej sali.

–To nie takie proste – powiedziała wreszcie. – Chciałabym, żebyś znalazł zabójcę. Ale żyjemy w krainie tajemnic. Chińczycy do tego doprowadzili. Wyjawienie ci pewnych spraw mogłoby się okazać niebezpieczne.

–Niebezpieczne dla kogo?

–Dla mnie. Dla ciebie. Dla innych.

–Chcesz powiedzieć: dla ruchu oporu? Dla lung ma?

–Ruch oporu? Nie ma żadnego prawdziwego oporu. Po prostu wywiad. Jak moglibyśmy stawić opór Armii Ludowo-Wyzwoleńczej albo Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego? Tybetańczycy próbowali tego, ze strzelbami skałkowymi i mieczami przeciwko karabinom maszynowym. Zginęły tysiące. Nie ma mowy o żadnym oporze. Najlepsze, na co możemy liczyć, to ruch ocalenia. Lau setki razy mówiła o tym dzieciom z zheli. Zachowajcie to, co dobre, na dzień, kiedy zło przeminie.

Minutę później byli już przy wejściu do jaskini. Na zewnątrz widać było Jowę i Lokesha, którzy porządkowali ofiarne figurki z patyków pod starą sosną. Shan zatrzymał się w przejściu, zbliżając latarkę do ściany. Było tu coś, czego nie zauważył wcześniej: wykonany białą kredą rysunek, kilka kresek w kręgu piętnastocentymetrowe średnicy. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak jajko z małym talerzem na czubku, zwieńczone czymś w rodzaju ozdobnego guza, z którego wyrastał jakby kwiat. Poniżej jajowatego kształtu po obu stronach widniały płynnie wygięte linie przypominające rozwiewane wiatrem chorągwie.

W przeblysku rozpoznania Shan przysunął światło jeszcze bliżej. Kredowy rysunek wyglądał na zupełnie świeży. – Wiesz, co to jest? – dobiegło go z tyłu pytanie Jakli.

–Bumpa, tak się to nazywa po tybetańsku. Waza na wodę życia. Jedna z Ośmiu Drogocенności, świętych symboli buddyjskich.

–Waza?

–Święte naczynie – wyjaśnił zdezorientowany, marszcząc brwi. – To oznacza ukryty skarb.

Dziewczyna wpatrywała się przez chwilę w rysunek, wreszcie wolnym krokiem wyszła z jaskini, zostawiając go samego. Silniejszy od innych podmuch zimnego powietrza uderzył go w plecy. Oddech Lau.

Gdy wyszedł z pieczary, zobaczył, że Lokesh klęczy przy starej sośnie. Stary Tybetańczyk, nucąc jedną ze swych starych pieśni, podnosił poprzewracane zwierzęta z patyków i ustawiał je półkolem, zwrócone na zewnątrz, przed wejściem do jaskini. Od czasu do czasu przerywał pracę, by podziwiać wykonanie tej czy innej figurki.

Jakli pochyliła się, żeby pomóc Lokeshowi, ale Shan trącił ją w ramię, wskazując Jowę, który stał nieopodal ze wzrokiem utkwionym w zaroślach po drugiej stronie polany. Jedną rękę wyciągnął w tył, uniesionym palcem dając Shanowi znak, żeby się nie ruszał. Druga dłoń zawisła nad rękojeścią noża.

Wiatr ucichł i nagle Shan zrozumiał, co zaalarmowało Jowę. Był to odgłos wydobywający się z gąszczu, przypominający głuche warczenie dźwięk, jaki mogłoby wydawać zwierzę. Podeszedł do Jowy. Nie, to nie było warczenie, uświadomił sobie. Teraz, z bliska, brzmiało to bardziej jak jęk.

Coś poruszyło się w chaszczach. Jowa rzucił się biegiem w tę stronę.

Stworzenie wypadło z zarośli, ukazując się na mgnienie oka w prześwicie między dwoma głazami – niski ciemny kształt umykający pod osłonę skalnej ściany. Jowa zniknął w gąszczu różaneczników. Shan ruszył za nim. Jakli przemknęła obok niego z szybkością i czujnością wytrawnego łowcy.

Stworzenie pędziło co sił w nogach. Shan dostrzegł je znowu, gdy przedzierało się przez zalane światłem skały, pięćdziesiąt metrów od niego. Było całe czarne, tylko tylne łapy odcinały się

jaskrawą czerwienią. Teraz wydawało inny odgłos, przejmujące wycie, dźwięk przerażenia. Shan przyspieszył biegu, nie zwracając uwagi na chłozzące go po twarzy gałęzie. Dwa razy potknął się na luźnych skałach, ale pędził dalej, przeskakując kępy mchu. Na chwilę przystanął, nasłuchując, po czym dostrzegłszy Jakli, rzucił się w jej stronę, nim na powrót zniknęła w gęstych zaroślach.

Nagle ciszę lasu rozdarł nowy dźwięk. Jowa pochwycił stworzenie i wołał ich ku sobie.

Dyszząc ciężko, Shan dotarł na małą polankę, gdzie znalazł Jowę i Jakli spoglądających na ciemną postać, która kulila się u ich stóp. Zastanawiał się, skąd wzięli, wielką czarną chubę, która okrywała ich zdobycz, wreszcie uświadomił sobie, że stworzenie miało ją na sobie.

Jakli uniosła skraj kozucha, odsłaniając dwie ludzkie stopy w jaskrawoczerwonych sportowych butach do kostek. Ujrawszy je, wydała stłumiony okrzyk. Z płonącym gniewem oczyma zaczęła ciągnąć chubę. Przez chwilę mocowała się z ciężkim kozuchem, wreszcie silnym szarpnięciem zdarła go, odsłaniając drobnego, drżącego ze strachu człowieczka. Zamarła na moment, mierząc go wściekłym wzrokiem, po czym rzuciła się na niego i zaczęła go tłuc pięściami po plecach.

Jowa i Shan spojrzeli po sobie z zaskoczeniem i pochylili się, żeby odciągnąć ją od mężczyzny. Nie pozwoliła na to.

–Zdrajca! – Wrzeszczała, nie przestając zasypywać go gradem ciosów. – Morderca!

Musieli podnieść ją siłą, ująwszy za ramiona. Odciągnięta od pleców leżącego, wierzyła nogami, kopiąc go po rękach i nogach.

Człowieczek nie bronił się. Sprawiał wrażenie, jakby nie zauważał ciosów. Leżał skulony, wydając ten sam cichy jęk, który przyciągnął ich uwagę w zaroślach przy jaskini.

–Nie rozumiecie?! – krzyknęła w bezsilnej złości Jakli. – To Bajys! Dzieciobójca!

Shan przewrócił mężczyznę na plecy. Twarz, która spojrzała ku nim, była wykrzywiona strachem. Bajys zaciskał dłoń w dłoni, jak gdyby nawet leżąc na ziemi, musiał się czegoś trzymać, jakby potrzebował oparcia. Mrugał oczami. Łzy strumieniami spływały mu po twarzy.

Jakli krzyczała do niego po kazachsku. Shan nie rozumiał jej słów, ale ostry, oskarżycielski ton mówił sam za siebie. Leżący mężczyzna chwilę przyglądał się jej zdezorientowany, po czym przeniósł wzrok na Jowę.

–Pomóż mi. Pomóż mi, bracie – powiedział, wstrząsany łkaniem. – Potwór wyrwał się na wolność. Wszędzie jest tylko śmierć. Świat się skończył. Nie mogę znaleźć drogi.

Coś było nie tak. Shan, Jakli i Jowa wymienili zdumione spojrzenia. Bajys mówił po tybetańsku.

Jakli odezwała się do niego jeszcze raz, w mowie ich klanu, nie krzycząc już, jednak wciąż gniewnie. Bajys w odpowiedzi spojrzał tylko błagalnie na Jowę. Wściekłość Jakli ulotniła się, ustępując miejsca bezbrzeżnemu zdumieniu.

–To niemożliwe – powiedziała do Shana po mandaryńsku. – On jest Kazachem. Nigdy nie mówił po tybetańsku. – Ponownie zwróciła się do Bajysa po kazachsku, ale on popatrzył na nią tępym wzrokiem i znów odwrócił się do Jowy.

–Powiedz tej kobiecie – odezwał się drżącym głosem – że jej nie rozumiem. Ona myli mnie z kimś innym. Powiedz jej, żeby nie traciła czasu na gniew. Teraz jest czas jedynie na modlitwę. Możemy tylko się modlić, nic więcej.

Twarz Jakli zwiotczała. Dziewczyna spojrzała na Shana, jakby spodziewała się od niego wyjaśnień, on jednak pokręcił tylko głową i pomógł drobnemu mężczyźnie wstać. Ruszyli wolno w stronę polany, przodem Jowa i Shan, podtrzymujący Bajysa, za nimi, z tępą, zdezorientowaną miną, Jakli.

Kiedy pojawili się z człowieczkiem na polanie, Lokesh nie okazał śladu zaskoczenia. Ujął go za rękę i poprowadził do leżącej pośrodku polany kłody, posadził go na niej, po czym sam usiadł obok niego w jasnym, ciepłym słońcu.

–Jesteś kapłanem? – zapytał żałośnie Bajys.

Stary Tybetańczyk skinął na Jowę, by przysiadł się do nich, po czym wsunął swój różaniec w dłonie człowieczka.

–Obaj szkoliliśmy się w gompach – powiedział, wskazując głową purbę. Ale Jowa stał w miejscu, jak gdyby nie potrafił, lub

nie chciał, pocieszyć mężczyzny. – Widziałem je – dodał z westchnieniem. – Ja też widziałem w swoim życiu demony. – Głos

Lokesh brzmiał pogodnie, jakby stary człowiek się modlił.

–On nie znał... – odezwała się Jakli do Shana, wraz z nim przyglądając się tej scenie. – Czasami ćwicyłam swój tybetański, śpiewałam tybetańskie piosenki. Bajys nigdy nie rozumiał.

On jest Kazachem, muzułmaninem. Nie mówi po tybetańsku. –

Głos zamarł jej w gardle, gdy spojrzała na drobnego mężczyznę. Owinął różaniec ciasno wokół palców lewej ręki i zacisnąwszy na nim prawą dłoń, kołysał się w przód i w tył, mamrocząc tybetańską mantrę.

Ale dziewczyna nie zamierzała zrezygnować.

–Gdzie byłeś? – zapytała, tym razem po tybetańsku. – Dlaczego uciekłeś? Oni są pewni, że to ty zabiłeś chłopca... – Zakłopotanie odebrało jej mowę.

–Ona często jeździła do dawnego miasta na pustyni – odezwał się nagle człowieczek po tybetańsku. – Kiedy zobaczyłem, że Khitai nie żyje, musiałem ją znaleźć. – Jego głos brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. – Nie było jej w chatce, więc poszedłem na pustynię. Szedłem przez cały dzień i część nocy. Poszedłem do lhakang, świętego miejsca. – Uniósł dłonie, jakby chciał się osłonić przed czymś niewidzialnym dla innych, po czym przycisnął różaniec do czoła, tak mocno, że na skórze zostały mu ślady paciorków.

–Khitai nie zginął – wtrąciła Jakli. – To był inny chłopiec.

Ale Bajys chyba jej nie słyszał.

–Zaglądałem do chałup za lhakang – ciągnął. – Ale tam były tylko trupy. Same trupy. Jak na starych thankach – wyjaśnił drżącym głosem, mając na myśli religijne malowidła ozdabiające często wnętrza tybetańskich świątyń – z demonami pożerającymi ludzkie członki. – Spojrzał w ziemię nieprzytomnym wzrokiem. – Ludzie w kawałkach. Noga. Ręka. Martwe ręce.

Wpatrywali się w niego z przerażeniem.

Drobny Tybetańczyk zdawał się ich nie zauważać, jak gdyby pogrążony w swej koszmarnej wizji. To musiała być tylko wizja, pomyślał Shan. Nie wspomnienie.

–Pójdziemy na dół – powiedział cicho do Jowy i Lokesha. –

Rozpalimy ogień. Przyjdźcie, kiedy on będzie gotów.

Ale Bajys odezwał się znowu.

–Potem przypomniałem sobie o ukrytej sali we wnętrzu góry – przemówił słabym, głuchym głosem. – Więc wróciłem tutaj.

Czułem, że ona tu jest. Wołałem ją, pełen nadziei. Ale nie było jej tam. Była dalej, w lodowej komorze, i kiedy ją znalazłem, nie mogła już się do mnie odezwać.

Shan zerwał się na równe nogi i chwyciwszy latarkę, popędził z powrotem do jaskini. Wkrótce stał u wylotu wielkiej groty, przed komorą grobową Lau. W czeluściach góry Lau miała nie tylko grobowiec, gdzie znalazł ją Bajys. Miała też kryjówkę, ukrytą salę. Powiódł światłem wzdłuż ścian, tuż przy ziemi. Po prawej stronie lita skała opadała gładko ku glinianemu, zasłanemu kamieniami podłożu. Ruszył wzdłuż lewej ściany, której dolną część zasłaniały w kilku miejscach oderwane od stropu skalne płyty. Zaglądał za każdą z nich, świecąc latarką w cień. Po kilkunastu metrach przystanął. Coś snuło się w powietrzu, lekka, niemal nieuchwytna woń kadzidła i przypalonego masła, zapach świątyni. W następnej kieszeni między skałami nie było śladu szczeliny, ale zapach stał się silniejszy. Wreszcie za kolejną płytą znalazł niewielki otwór tuż nad ziemią, wystarczająco obszerny, by można było się przezeń przeczołgać. Gliniane podłoże przed otworem było gładko wyszlizgane. Położył się i wsunął w szczelinę. Po trzech metrach tunel otworzył się na komorę nieco większą od tej, w której złożono Lau.

Shan widywał już wcześniej święte groty, gdzie ukryte były liczące niekiedy setki lat buddyjskie zabytki i relikwie, i kiedy światło jego latarki padło na stojący pod przeciwległą ścianą złoty posążek Buddy, pomyślał, że znalazł kolejną. Jednak miejsce, do którego dotarł, nie było buddyjskim skarbcem. Budda spoczywał na małym ołtarzyku z ręcznie obrobionych, łączonych na kołki desek. Wokół niego stało siedem naczyń służących za siedem wymaganych buddyjskim rytuałem czarek ofiarnych. Ale czarki nie stanowiły kompletu. Niektóre nie były nawet czarkami. Była wśród nich i wyszczerbiona filiżanka, i blaszany kubek w rodzaju tych, jakich Shan używał w obozie. Mimo to znajdowały się w nich tradycyjne buddyjskie ofiary. Pierwsza, druga i szósta były wypełnione wodą, trzecia kwiatami, czwarta kadzidłem, piąta masłem, ostatnia strużynami wonnego drewna. Na ramieniu Buddy udrapowany był szal ofiarny. Obok wysokiego na trzydzieści centymetrów posążku znajdował się mały ceramiczny stojak na laseczki kadzidła, częściowo pokryty popiołem. Dwa

metry przed ołtarzem leżała wielka obszarpana poduszka, a półtora metra dalej druga, mniejsza. Dla nauczyciela i ucznia. Obok mniejszej poduszki stało naczynie na żar z dwoma zwęglonymi kawałkami drewna.

W szczelinę w jednej ze ścian wetknięty był drąg, z którego zwisało malowidło na tkaninie, tybetańska thanka, tak stara, że miejscami aż przetarta na wylot. Shan zbliżył ku niej latarkę. W centralnym polu znajdował się wizerunek dosiadającej konia gniewnej kobiety w jakby rozwianych wiatrem szatach. Było to przedstawienie małego znanego bóstwa, rzadko widywanego w świątyniach. Lecz w obozowych barakach, gdy zimowe zamiecie uniemożliwiały więźniom pracę, starzy lamowie uczyli o takich istotach i o nie istniejących już gompach, które je czcili. Była to bogini opiekuńcza, w postaci znanej jako Armia Magicznej Broni.

Za jego plecami zamigotało następne światło. To Jakli, z pochodnią w ręce, wyłoniła się z tunelu. Dziewczyna stanęła oniemiała, nie wierząc własnym oczom, po czym ze zdumieniem na twarzy ruszyła niepewnie w stronę małego Buddy. Długo rozglądała się po sali, nim się odezwała.

–Dziesiątki razy bywałam z Lau w chatce – powiedziała. W jej głosie znów znac było zakłopotanie. – Raz weszliśmy nawet do jaskini, żeby zobaczyć lód. Ale nigdy... – Słowa uwięzły jej w gardle. Usiadła na poduszce ucznia i podniosła leżący obok kawałek kredy. Obracając go w palcach, rozglądała się po grocie.

Shan skierował światło na tylną ścianę. Dostrzegł tam słomianą matę, stertę poskładanych w kostkę kocy, kilka glinianych garnków i stosik porąbanego drewna na opał. Wyżej, gdzie ściana była gładka i równa, widniały nakreślone kredą słowa zapisane znakami eleganckiego tybetańskiego alfabetu. Choć Shan wciąż jeszcze się uczył tego pisma, rozpoznał kilka prostych słów, umieszczonych z boku, jedno przy drugim. Chig, nhi, soom, shi, nga, trook, doon, gyay, gu, ju, przeczytał. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć.

–Kiedy byłem mały – powiedział do Jakli, zaskoczony wrażeniem, jakie wywarła na nim ta sekretna sala – ilekroć transmitowano przemówienia Przewodniczącego, ojciec zamykał się ze

mną w komórce. Matka nastawiała radio na cały regulator, a on

wyciągał zakazane książki, stare, trzymane w ukryciu podręczniki, i uczył mnie różnych rzeczy. Angielskiego. Historii Ameryki i Europy. Deklaracji Niepodległości. Kazał mi nauczyć się na pamięć Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych.

–Mógł za to trafić do więzienia.

–Już siedział. Był profesorem, wykladał historię Zachodu. Śmierdząca dziewiąta – odparł Shan, mając na myśli najbardziej pogardzaną spośród dziewięciu kategorii szkodliwych elementów, w których Przewodniczący Mao upatrywał wrogów ludu. – Najgorszego rodzaju, bo miał przyjaciół wśród Amerykanów. To było potem, po jego zwolnieniu. Nawet po tym, jak naszą rodzinę skierowano na reedukację w spółdzielni rolnej. – Westchnął i ponownie rozejrzał się po sali. Lau prowadziła tu lekcje. Bajys wiedział o tym. Co oznaczało, że wiedział o tym i Khitai. Być może także inne sieroty. To było zakazane miejsce. Kryjówka buddystów.

–Jak wielu Tybetańczyków jest w zheli? – zapytał. Spojrzał na poduszki. Jedna dla nauczyciela, jedna dla ucznia. Tylko jednego ucznia naraz.

–Wśród widmowych klanów, które pomagają, są też rody tybetańskie, dropkowie. Ale wśród dzieci najwyżej dwoje lub troje. Zheli to Kazachowie i Ujgurzy. Może jeden albo dwóch Tadżyków.

–Tacy Kazachowie jak Bajys?

Jakli w odpowiedzi jedynie zmarszczyła z zakłopotaniem brwi. Zaczęła przechadzać się po grocie, dotykając przedmiotów czubkami palców.

–Tajemna sala – szepnęła. – Dla utajonych buddystów.

–Dla dzieci – uściślił Shan, patrząc na wypisany na ścianie ciąg cyfr. A może dla jednego dziecka.

–Ona uczyła mnie buddyjskich zwyczajów – powiedziała Jakli. – Po kryjomu, w ustronnych miejscach. Ale nie tutaj. – Na jej twarzy odmalował się smutek.

–Przypuszczam, że to było coś innego. Myślę, że tu przychodził ktoś inny – stwierdził Shan. – Nie Bajys. Być może nawet nie Lau. Może inny nauczyciel. Buddysta. Sądzę, że właśnie dlatego Lau prosiła, żeby przynieść ją tutaj. Na ostatnie spotkanie.

–Ale ona przecież nie żyje – zauważyła zdezorientowana Jakli.

Shan ruszył wokół sali. Stał przed Buddą, kładąc dłonie na prowizorycznym ołtarzu, po czym wrócił do znaków na ścianie. Tym razem rozpoznał więcej słów. Dostrzegł wśród nich sześciosylabową mantrę, *OM MANI PADME HUM*, odwołanie do Bodhisattwy Współczucia, a niżej dwunastosylabową, *OM AH HUM WADŻRA GURU PEME SIDDHI HUM*, błogosławieństwo świętego nauczyciela Guru Rinpocze. Górne wiersze były zapisane bardzo wysoko, kilkanaście centymetrów poza jego zasięgiem. Wyciągnął rękę, żeby się co do tego upewnić, po czym jeszcze raz rozejrzał się po grocie.

–Nie ma nic, na czym można by stanąć – zauważył. – Żadnego stołka, żadnej ławy.

–Co masz na myśli? – zapytała Jakli.

–Lau nie była wyższa ode mnie. Nie sądzę, żeby ona to napisała.

Jakli przez chwilę przyglądała się znakom.

–Rzeczywiście, to nie ona. Znam jej charakter pisma. Ona uczy mnie... uczyła mnie pisać po tybetańsku. – Spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma, jak gdyby teraz dopiero uświadomiła sobie, co to znaczy. – Ktoś inny był tutaj – szepnęła. – Ktoś inny prowadził tu lekcje.

Shan pokiwał głową. Nie odnalazł zaginionego lamy, ale znalazł jego dom. Podszedł do grupki prostych, znajomo wyglądających rysunków na sąsiedniej ścianie. Jakli wskazała mu przez ramię pierwszy obrazek po lewej stronie, pionową linię zakończoną u góry czymś, co wyglądało jak rozdęta ósemka.

–Kostur mnicha – powiedziała.

–Kij. – Shan skinął głową. – Kij żebraczy – dodał i wyjaśnił, że rysunki przedstawiają przepisowe wyposażenie wyświęconego mnicha. Wskazał po kolei każdy przedmiot. Kostur do wspierania się w marszu i potrząsania w ściśle określony sposób przy prośbach o jałmużnę. Dzbanek na wodę i sitko zapobiegające topieniu się w niej niewinnych owadów, dalej miseczka na jałmużnę, koc, trzy szaty wierzchnie, dwie szaty spodnie, mata do siedzenia i sandały.

Przyglądał się rysunkom, potem znów przeniósł wzrok na cyfry na ścianie i na thankę. Sala była przeznaczona dla dziecka, a zarazem nie dla dziecka. I była tybetańska, ale tybetańska w bardzo

dawnym stylu, jak gdyby nauczyciel wywodził się z jednej z najstarszych spośród buddyjskich sekt. Podeszedł do siennika. Na posłaniu leżała złożona w równą kostkę bordowa szata. Podniósł ją ostrożnie. Odzienie mnicha. Było czyste. Shan spojrzął w stronę tunelu. Na szacie nie dostrzegł śladów gliny. Była używana jedynie w tej sali. Obok niej spoczywała para ogromnych sandałów, zbyt dużych na Shana, zbyt dużych na Lau.

Jakli usiadła na poduszce ucznia, a on uklęknął obok niej, uświadamiając sobie, że oboje wpatrują się w pustą poduszkę przy ołtarzu. Zaginiony nauczyciel. Czekali na naukę, ale miejsce nauczyciela było puste.

–Wiadomości – odezwał się wreszcie, dając wyraz swym domysłom. – Rozwiązanie zagadki tkwi w wiadomościach. – Poczuł na sobie spojrzenie Jakli, nie odwrócił jednak wzroku od poduszki. – Sprowadzenie tu zwłok Lau było wiadomością, jej sposobem na przesłanie ostrzeżenia komuś, kogo nie znał nikt poza nią. Chciała, aby w razie jej śmierci nauczyciel, który korzystał z tej sali, został ostrzeżony przed niebezpieczeństwem. Ale nie mogła ryzykować ujawnienia jego imienia komukolwiek, nawet tobie. A gdyby nawet zdecydowała się podjąć to ryzyko, komu miałyby powiedzieć? Nie mogła przewidzieć, gdzie i kiedy dosięgnie ją śmierć.

–Ale ona wiedziała – powiedziała powoli Jakli, wpatrując się z natężeniem w kawałek kredy, jakby chciała go zmusić, żeby sam wypisał odpowiedź na jej pytania. – Wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie, prawda? Od miesiący wiedziała, że grozi jej śmierć. Nigdy o tym nie pomyślałam.

–I wiedziała, że bez względu na wszystko, bez względu na to, jak i gdzie zakończy życie, ma przyjaciół, którzy uszanują jej ostatnią wolę – dodał Shan, a dziewczyna odpowiedziała mu smutnym uśmiechem.

–Były też inne wiadomości – ciągnął. – To purbowie przynieśli lamom wieść o Lau. Mao znali ją albo ktoś związany z nią znał Mao. Być może buddysta, który nauczał w tej sali. Ale dlaczego? – Odwrócił się do niej, tknięty nagłą myślą. – A może to byłaś ty? Znasz purbów. Znasz lung ma.

–Nie. Ja robiłam kapelusze w mieście. Gruby Mao posłał po mnie.

Shan skinął głową. Gruby Mao wiedział. Ponieważ lung ma przekazali wiadomość purbom.

–Ale dlaczego? – powtórzył. – Nie chodziło tylko o to, że to, co odbywało się w tej grocie, miało związek z Tybetem, ani nawet o to, że było nielegalne. Musiała być jeszcze jakaś tajemnica, coś tak ważnego, że wiadomość trafiła do Lhadrung. – Dlaczego do Lhadrung? Dlaczego do Genduna i Lokesha? zapytał sam siebie. Nie chodziło po prostu o to, że Gendun urodził się w tych stronach. Lama był wtajemniczony w sekret, stanowił element większej zagadki.

–Lau – odparła Jakli. – Lau była tą tajemnicą.

–Nie. Była jej częścią, zgoda. Ale morderstwa nie zakończyły się na niej. Jest coś jeszcze, wciąż działające zło, które musimy powstrzymać. Coś, co ma związek z dziećmi.

Jakli pochyliła się i wyskubała coś z brzegu poduszki. Uniosła to w palcach. Była to mała kępka brązowych włókien.

–Wełna – oświadczyła, pocierając ją między palcami. – Pełna lanoliny. Nie oczyszczona. Jak z kamizelki pasterza. Albo derki z owczej skóry. – Powiedziało im to niewiele, pozwoliło jednak wyobrazić sobie ucznia na poduszce, otulonego owczą skórą dla ochrony przed zimnem, wpatrującego się w nauczyciela, który siedział przed nim odziany w szatę mnicha.

–Nauczyciel – odezwała się nagle Jakli. – Być może zabójcy chodzi o nauczyciela. Od Lau dowiedział się, gdzie są uczniowie. Dzieci zheli. Tak więc atakuje uczniów, żeby znaleźć Tybetańczyka, który naucza w tej sali.

Shan powoli skinął głową. Pierwszy zginął Suwan, muzułmanin. Ale następnym zabitym był Alta, mały Kazach wychowywany przez Tybetańczyków, chłopiec uczący się buddyjskich obyczajów, chłopiec, którego różaniec został skradziony przez zabójcę. Potem był Khitai, którego imię było Lokeshowi w jakiś sposób znane, a jednak nie znane. Shan wstał i jeszcze raz ruszył wzdłuż ściany. Zatrzymał się przed długą mantrą zapisaną na skale przez tajemniczego nauczyciela.

–Była jeszcze inna wiadomość – powiedział. – Nie tak tajna.

„o zabójstwie w obozie Czerwonego Głazu rozesłane zostały ostrzeżenia. I wieść o naszym przybyciu. Dropka, którego spotkaliśmy na drodze, znał ją.

–Wielu ludzi mogło słyszeć o tym zabójstwie – potwierdziła Jakli. – Klany mają własne sposoby rozpowszechniania wiadomości. Pasterze spotykają się w odludnych miejscach. Czasem zostawia się notatki na drzewach. Niektóre stare klany wysyłają psy z listami w obrożach. Ludzi ostrzegano, żeby mieli się na baczności przed zabójcą.

–Ale to nie było po prostu ogólne ostrzeżenie. – Powtórzył jej, co powiedział dropka na szosie prowadzącej w głąb gór Kun-lun: „Przychodźcie ratować dzieci”. – Zginęła Lau, potem zginął Suwan, i ktoś uznał, że dzieci są w niebezpieczeństwie. Nauczyciel, który korzystał z tej sali. Być może ostrzegł kogoś z pasterzy. To wystarczyłoby, żeby ostrzeżenie poszło w świat, wystarczyłoby, żeby dropkowie zaszyli się w kryjówkach.

–Mnóstwo ludzi wiedziało o Lau, o zheli – odparła dziewczyna. – Kiedy owca osieroci jagnięta, młode zawsze są w niebezpieczeństwie. A niektórzy mówili, że los zheli zawsze wisiał na włosku, że we władzach są ludzie, którzy sprzeciwiali się temu.

–Czy to dlatego usunięto ją z rady?

–Nie wiem. Nie sądzę. Słyszałeś dzisiaj Ko. Ludzie przyzwyczaili się do tego. Program zheli ma teraz poparcie.

Ludzie, pomyślał Shan. Czyli Hanowie, którzy po cichu budowali sobie małe królestwo w Yoktanie. Jakli wstała i ruszyła w stronę wyjścia.

–Czy oni nigdy nie nakryli twojego ojca? – zapytała, klękając u wylotu tunelu. – W waszej tajemnej klasie?

Shan zatrzymał się i spojrzał na zapisaną ścianę. W jakim świecie żyją, że aby zdobyć wiedzę, muszą zaszywać się w kryjówkach?

–Nie – odparł sztywno, nie odrywając wzroku od ściany. –

Nakryliby go prędzej czy później, ale pewnego dnia zjawiała się Czerwona Gwardia, po prostu dlatego, że był profesorem. Bili go i uszkodzili mu organy wewnętrzne. Mnie i moją matkę trzymali i zmuszali, żebyśmy przyglądali się temu. Nie umarł wtedy, ale kiedy oddychał, na wargi wychodziły mu banieczki krwi. Następnego dnia wrócili i rozpalili na ulicy ognisko z wszystkich jego książek. Patrzył na to z okna, bo był zbyt obolały, żeby się ruszać. Przyglądał im się ze zgrozą i na moich oczach po prostu powoli przestał oddychać.

Stali w milczeniu, wpatrując się w tajemne znaki na ścianie.

–A te książki z komórki? – zapytała cicho Jakli. – Też je znaleźli?

Shan spojrzął na nią ze smutnym uśmiechem. Powoli pokręcił głową.

–Potem brałem świeczkę i po prostu chodziłem tam sam.

Kiedy dziewczyna zniknęła w tunelu, Shan zawahał się, po czym podniósł kredę, którą zostawiła na ławie. Pospiesznie nakreślił obok wejścia kilka drobnych chińskich znaków. *Droga, o której mówią nauki, nie jest wytyczonym szlakiem*, napisał. Jego wiadomość dla Genduna, który miał dar odkrywania ukrytych skarbów. Przyglądał się swoim słowom i nagle doznał olśnienia. Być może dla Genduna istnienie tej sali nie było tajemnicą. Pustelnia w Lhadrung pełna była utajonych nauczycieli. Ta grota była domem utajonego nauczyciela. Nikt nie wiedział o człowieku, który w niej nauczał. Ale Gendun powiedział Shanowi, że Lau została zabita i że zaginął lama. Purbowie wiedzieli jedynie, że Lau nie żyje. To, że ta informacja dotarła w ten sposób, samo w sobie stanowiło wiadomość, oznaczającą, że lama, który korzystał z tej sali, nie mógł sam skontaktować się z Lhadrung. Tak więc Gendun wydedukował stąd resztę, a mianowicie, że ktoś uprowadził lamę.

Przeszli przez polanę, bez słowa minąwszy Jowę i Lokesha, którzy w dalszym ciągu siedzieli z kołyszącym się w przód i w tył Bajysem, recytując wspólnie mantry. Dotarli do chatki i rozpalili ognisko w kręgu z kamieni.

–Nikt nie uwierzy w tę historię z Bajysem – odezwała się

Jakli, przyrządzając herbatę w wyszczerbionym garnku, który znalazła pod gankiem. – Nie wiem, czy ja sama w nią wierzę.

To nie trzyma się kupy.

–Chcesz powiedzieć, że oni nadal będą go ścigać jako zabójcę?

Skinęła głową.

–Możliwe, że naprawdę jest zabójcą. Znam ludzi, którzy twierdzą, że można zostać opętanym – powiedziała, wspominając słowa Malika. – Być może kiedy zabijał chłopca, coś w niego wstąpiło, a potem go opuściło.

–Coś, co nauczyło go mówić po tybetańsku? – zapytał Shan. – Coś, co każe mu teraz recytować buddyjskie mantry?

–Tak czy owak, mógł zabić chłopca.

–Ten człowiek, którego znaleźliśmy, nie jest zabójcą. – Ale okłamał nas. Nie jest Kazachem.

–Okłamał? Czy po prostu nie mówił całej prawdy? Sama to powiedziałaś. Są tajemnice zbyt niebezpieczne, by je wyjawiać- przypomniał jej Shan.

–To nie on zabił chłopca – oświadczył stanowczo Lokesh. – To nie on zabił ciocię Lau.

–Myślisz, że to był jeden i ten sam człowiek? To znaczy jeden zabójca? – zapytała Jakli, spoglądając to na Lokesha, to na Shana. – On musi z nami porozmawiać, wyjaśnić nam, co zaszło.

–Być może on sam tego nie wie – zauważył Shan. – Może to właśnie widok martwego chłopca doprowadził go do tego stanu. On otoczył swoje tybetańskie ja kazachską skorupą. A teraz ta skorupa została strzaskana, zniszczona bezpowrotnie, gdy zobaczył martwego chłopca.

–Stary szaman opowiadał mi kiedyś, że dusze są zdezorientowane, kiedy śmierć jest blisko – powiedziała Jakli. – Wyrrywają się, kotłują, po czym wracają do niewłaściwych ciał.

–I czyją duszę on miałby teraz? Zabójcy?

–Nie wiem. Wiem tylko, że to nie jest Bajys, chociaż ma ciało Bajysa. – Jakli westchnęła i spojrzała Shanowi w oczy. – A oni zabiją go, tak czy inaczej. Nie znasz starych klanów. One mają własną sprawiedliwość. Władze nie pomogą, nawet gdyby ktoś poprosił. Skoro klany są przekonane, że Bajys jest zabójcą, ukarzą go. Kiedy byłam mała, niedaleko naszego obozowiska schwytano dwóch koniokradów. Powieszono ich na dwóch gałęziach tego samego drzewa. Wyszłam szukać jagniąt i zobaczyłam ich, całych sinych i obrzmiałych. – Wzdrygnęła się.

–Którzy z przyjaciół Lau byli Tybetańczykami? – zapytał Shan.

–Nie było takich – odparła. – O mnie można powiedzieć, że jestem w jakiejś mierze Tybetanką. Znałam ją przez te wszystkie lata i nigdy nie widziałam jej w towarzystwie Tybetańczyka, jeśli nie liczyć dropków, którzy opiekowali się dziećmi. Ale oni zwykle trzymali się z dala. Przyprawdzali dzieci, po czym ukrywali się, dopóki Lau nie skończyła zajęć.

–Była Kazaszką – podsumował Shan z nutą sceptycyzmu w głosie – zaprzyjaźnioną z Chińczykami i Ujgurami. Ale nie miała

żadnych przyjaciół wśród Tybetańczyków. Chociaż tybetańscy pasterze wędrują po wzgórzach u stóp gór Kunlun.

–Tybetańczycy nie dostają zezwoleń na wizyty w Xinjiang.

Bardzo nieliczni są tu zarejestrowani jako stali mieszkańcy.

Traktuje się ich... – Urwała, jak gdyby z obawy, że dokończenie tego zdania byłoby zbyt bolesne, i zajęła się herbatą.

–Podle – dokończył za nią Shan.

Dziewczyna skinęła głową.

–W przemówieniach prokuratoria i funkcjonariuszy bezpieczeństwa Tybetańczycy zawsze są podawani jako przykład mniejszości niechętniej do współpracy, przez którą asymilacja kraju zabrała tak wiele czasu. Pewien znajomy z Yoktianu pokazał mi coś na komputerze, obraz ściągnięty za pośrednictwem linii telefonicznych. Był to film pochodzący skądś spoza Chin, przedstawiający płonąca chińską flagę państwową. Na ekranie pojawiała się tybetańskie dziecko i podpałało ją. Kiedy spaliła się na popiół, film zaczynał się od nowa. I tak w kółko.

–Chcesz powiedzieć, że przyjaźń z Tybetańczykami byłaby dla Lau niebezpieczna politycznie?

Ponownie skinęła głową.

–W takim razie dlaczego uczyła się tybetańskiego?

–Nie wiem. Znała wiele języków. Tadżycki. Ludowy mandaryński. Partyjny mandaryński. Angielski.

–Angielski? Dlaczego angielski?

Jakli uniosła głowę, zaskoczona tym pytaniem.

–To są Chiny – odparła z lekkim karcącym uśmiechem. – Ludzie siedzą w komórkach i uczą się różnych rzeczy. – Spojrzała na piętrzący się nad nimi stok. – Lau uczyła ludzi tego, co było im potrzebne. Czasem uczyła o Buddzie. Ale uczyła też o Mahomecie. Gdyby miała w zheli małych Chińczyków, uczyłaby ich o Konfucjuszu i Lao-tsy. Taka właśnie była.

–Nie. Te lekcje w jaskini to było coś innego.

–Nie wydaje mi się. Dlaczego tak uważasz?

–Dlatego, że nigdy cię tam nie zabrała – odpowiedział.

Z ust Jakli wyrwał się cichy, niemal niesłyszalny jęk. Kiedy weszła do ukrytej sali i siedziała w osłupieniu na poduszce ucznia, Shan widział w jej oczach wiele rzeczy. Zdumienie. Zakłopotanie. Szacunek. Smutek. Ale także ból.

–Byłaś jej przyjaciółką i uczennicą. Uczyła cię o Tybecie i buddyzmie. Lecz to miejsce ukrywała nawet przed tobą.

–Ale powiedziałaś, że tam był ktoś inny. Inny nauczyciel. Shan skinął głową.

–Przyjaciel, który był Tybetańczykiem, a jednak nie wyglądał na Tybetańczyka.

Kto jeszcze tu bywał? – Sala ta nie była

po prostu miejscem, w którym rozmawiano o buddyzmie. Nauczano tu języka i innych tybetańskich spraw. Spraw utraconych, lub niemal utraconych, dla dwóch pokoleń zrodzonych

po chińskiej inwazji.

Jakli długo wpatrywała się w ogień.

–Czasem pasterze, jeśli było im po drodze. Szalony Xibo, który sprawuje nadzór nad wodą. Ma może po pięćdziesiątce. Mówią, że jest obłąkany. – Xibowie byli ludem z Mandżurii, który przed niemal trzystu laty wysiedlono z rodzinnych stron i wysłano na zachód, żeby walczył za cesarza przeciwko muzułmanom.

–Nadzór nad wodą?

–Rada Rolna przeznaczca niewielkie fundusze na zapewnienie drożności i czystości najważniejszych strumieni. Wiele z naszych strumyków płynie tylko wiosną. Tylko nieliczne są stałe. Tak więc rada zatrudnia ludzi, zwykle emerytowanych pasterzy, którzy ich doglądają: usuwają martwe zwierzęta, wylawiają powalone drzewa.

–Kto jeszcze?

–Jej kierowcy. Znajomi ze szkoły w Yoktianie, od czasu do czasu. Ludzie z Rady Rolnej, być może.

–Kierowcy?

–Czasami. Ona nie umiała prowadzić, więc kiedy podróżowała w sprawach rady, korzystała z samochodów służbowych.

–Ale tylko do czasu, aż odeszła z rady?

–Potem też jeden z kierowców czasem jej pomagał. Kazach z garażu.

–Czy on mógłby wiedzieć, gdzie ona była tego dnia, kiedy zginęła, albo z kim podróżowała?

–Nie wiem. Być może.

–Wiesz, gdzie on mieszka?

–W mieście, jak sądzę. Ale w tej chwili w Obozie Chwały.

–W Obozie Chwały?

–Słyszałaś, co mówił Gruby Mao. Prokurator Xu zjawiała się w garażu w Yoktianie.

Shan przyjrzał się jej uważnie.

–Nie zgarnęła cię. Mimo że byłaś przyjaciółką Lau. A to dla tego, że wie doskonale, gdzie byłaś, kiedy zabito Lau. – Urwał i spojrzał na Jakli. Nie wyglądała na zbytnio przejętą swą nie

obecnością w zakładzie pod nadzorem. – Byłaś tam, w swojej fabryce?

Dziewczyna skrzywiła się i skinęła głową, wciąż wpatrując się w ogień.

–Wyrwałam się na jeden dzień, kiedy sprowadzaliśmy ciało

Lau do grotty. Potem urwałam się, kiedy usłyszałam, że przyjeżdżacie. Tam pracują prawie sami Kazachowie i Ujgurzy. Mam

przyjaciół, którzy mnie kryją. Na ogół dyscyplina nie jest zbyt surowa, jeśli tylko produkcja utrzymuje się w normie.

–Widziała cię dzisiaj prokurator Xu. Czy ona zna twoją twarz?

Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami, nim jednak zdążyła odpowiedzieć, od strony ścieżki rozległo się wołanie Jowy. Na łękę wkroczył Bajys, wsparty na Lokeshu i Jowie. Wyglądał, jakby się ledwie trzymał na nogach.

–Trzeba mu będzie zapewnić ochronę – stwierdził Shan.

–Jest pewne miejsce w górach Kunlun – odparła Jakli bez wahania, jakby myślała o tym samym. – Tybetańska kryjówka. Jowa musi ją znać.

Shan spojrzał na nią badawczo.

–Chcesz powiedzieć, że to kryjówka purbów?

–Po prostu kryjówka.

–Jesteś jedną z nich? – zapytał szybko Shan, nie chcąc, by nadchodzący mężczyźni to usłyszeli.

–Czy jestem purbą? Oni walczą o Tybet.

–A ty nie?

–Ja walczę za swój lud – odparła z westchnieniem. – Za Kazachów. Za Tybet... kiedy mogę. – Zerwała się, by pomóc Bajysowi wejść na ganek, po czym z miną gospodyni wysłała Shana po wodę, Jowę po drewno na opał, a Lokesha po siano na posłanie dla obdartego, wynędzniałego człowieczka.

Bajys siedział bezwolny, z nieprzytomnie błędzącymi oczyma, kiedy ściągała mu koszulę, by obmyć go zimną wodą z rzeki. Zdawało się, że nie dostrzega nikogo z nich.

Dzieląc się dwoma kubkami znalezionymi w chatce, wypili herbatę i czekali, aż Bajys dojdzie do siebie. W końcu zaczął rozglądać się dookoła, jak gdyby wreszcie uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

–To ja, Bajys – odezwała się Jakli po tybetańsku. – Z obozu Akzu.

Popatrzył na nią tępym wzrokiem.

–Co się stało tamtej nocy, wśród skał? – Mówiła powoli i niepewnie, jak gdyby odczuwała już nie gniew, lecz strach. – Byłeś tam z chłopcami? Musimy poznać prawdę. Wiesz, że to nie był Khitai?

–Dokąd mógł uciec Khitai? – Wtrącił Lokesh. – Dokąd poszedłby szukać ratunku? Bajys poruszył głową. Przyjrzał się Jakli, a potem Lokeshowi.

–Usłyszałem strzał. Zobaczyłem, że leży tam, w swojej czerwonej czapce, i uciekłem. On nie żyje. – Drobny Tybetańczyk wpatrywał się w drzwi chatki, jakby dostrzegł tam kogoś nie

widzialnego dla pozostałych. – To był ten, którego kochałem – powiedział głucho. – Ten, którego miałem chronić. On znów przejdzie przez śmierć. Ale teraz go znałem.

Shan wpatrywał się w niego, usiłując wyłowić sens z jego dziwnych słów.

–Dlaczego przyszedłeś tutaj? – zapytał. – Kiedy chłopiec zginął, uciekłeś do Lau. Dlaczego?

Bajys błędził wzrokiem po obozowisku.

–Czasami to nadchodzi właśnie tak – odezwał się w końcu – jak ciemna chmura. I ludzie po prostu giną. Nie da się tego powstrzymać.

W ciszy dał się słyszeć delikatny grzechot. Dłoń, w której drobny człowieczek trzymał różaniec, dygotała.

–Wangtu wie – powiedział nagle cichym, drżącym głosem. – Wangtu mi mówił. Ktoś tropi Lau, powiedział.

Jakli zmarszczyła brwi.

–Wangtu nic nie wie – rzuciła, nagle rozdrażniona. – Gada tylko, co mu ślina na język przyniesie.

Bajys spojrział na nią i pokręcił głową.

–Wangtu wie – oświadczył żałośnie. – Świat się kończy. –

Zdawał się kurczyć na ich oczach, jakby zapadał się w sobie.

Shan widywał to już, nawet u dzielnych ludzi, i wzdrygnął się na myśl o ohydzie, która była tego przyczyną. Przerażony widokiem martwego chłopca, Bajys uciekał, by szukać pociechy

u mądrej, łagodnej Lau, a zamiast niej znalazł rozrzucone ludzkie członki, grozę i

śmierć.

–Znasz tego Wangtu? – zwrócił się Shan do Jakli.

Znowu zmarszczyła brwi.

–Mówiłam ci o nim. To kierowca Lau. Znaliśmy się, kiedy byliśmy dziećmi.

–To ten, który siedzi w Obozie Chwały?

–Nie na długo. Ona będzie go przesłuchiwać, on poda parę nieistotnych informacji i wyjdzie na wolność.

–Co masz na myśli?

–Nie rozumiesz? To jest jej gra. Wpakować, ilu tylko się da, do obozu, potrzymać, aż zmiękną. Zawsze mogą przypomnieć sobie cudze grzechy.

–Ale jak długo to potrwa? – zapytał Shan. – Kiedy go wypuszczą, żebym mógł z nim porozmawiać? – Prokuratorka, uświadomił sobie, być może pozbawiła go jedyne go świadka, który mógłby wyjaśnić śmierć Lau.

–Za tydzień, może dwa.

–To za długo.

Spojrzała na niego i westchnęła.

–Chcesz iść do Obozu Chwały? Jedź do miasta, stań na placu i spal zbiór przemówień Przewodniczącego.

–Nie chodzi mi o bilet w jedną stronę.

–Nie ma rady. Jeśli chcesz się z nim zobaczyć, musisz trafić za druty.

Po lewej ręce Shana przebiegł dreszcz. Jego prawa dłoń zacisnęła się na lewym przedramieniu, na numerze, który tam nosił, numerze wytatuowanym mu na skórze przez strażników w Tybecie. Wzmianka o obozie, nawet o słabo strzeżonym lao Jiao, zmroziła wszystkich obecnych. Shan przysunął się do ognia.

W górze krzyknął jastrząb. Czerwone i złote liście zatańczyły po ziemi, targane późnym popołudniowym wiatrem.

–To wcale nie miałem być ja – odezwał się nagle Bajys głosem niewiele donośniejszym od szeptu. – Wysyła się najstarszego, zawsze tak bywało.

Shan i Lokesh wymienili spojrzenia. Od setek lat tradycja, teraz zerwana, jak wiele innych, za sprawą Pekinu, nakazywała, by najstarszy syn z każdej tybetańskiej rodziny został mnichem.

–Ja byłem zwykłym dropką, chciałem po prostu żyć wśród stad. Ale mój brat odwiedził nas po miesiącu w gompie – ciągnął Bajys głosem wciąż słabym, ale już pewniejszym. – Miał

tam wrócić na sześćoletnie studia. Obchodziliśmy Losar, święto nowego roku, i żegnaliśmy się, ostatni raz bawiąc się na śniegu. Na stoku góry był strumień, który zimą zmieniał się w długą lodową zjeżdżalnię. Siadaliśmy na owczej skórze i sunęliśmy tamtędy w dół, sto, dwieście metrów, aż do płaskiego lodu na rzece. Mój brat zjeżdżał, a ja patrzyłem i śmiałem się. Ale kiedy dotarł na dół, w lodzie otworzyła się czarna dziura, a on wpadł w tę dziurę i zniknął. Nigdy więcej go nie zobaczyliśmy. Nie było żadnej walki. Nie było ciała. Nie było nawet plusku. Z początku myślałem, że to jakaś sztuczka, i śmiałem się. Ale to nie była sztuczka. On zniknął. Śmiał się razem ze mną, a chwilę później już go nie było. Jakby nigdy nie istniał. Jeszcze przed końcem bardo, zanim odprawiano obrzędy pogrzebowe, obcięli mi włosy i wysłali mnie do gomy na jego miejsce.

Z twarzą wykrzywioną bólem Bajys po kolei spoglądał na każde z nich, jak gdyby prosząc, by ktoś mu wyjaśnił, dlaczego to się stało. Ale nikt się nie odezwał. Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w ogień.

Shan przyjrzał się swym towarzyszom. Nie musiał pytać, by wiedzieć, że wszystkich ich łączy jedna myśl. Zabójcę trzeba powstrzymać. Khitaia i resztę zheli trzeba ratować przed śmiercią. Zaginionego lamę trzeba odnaleźć. Ale najpierw Bajys musi zostać odprowadzony w bezpieczne miejsce przez Lokesha, który otoczy opieką jego duszę, i przez Jowę, który otoczy opieką jego ciało. Odejdą daleko w góry. A Shan zostanie, gdyż Shan musi dostać się za druty.

Rozdział piąty

Przed nim wznosiła się góra, a na górze siedziała wiewiórka, a na wiewiórce pchła, a pchła jednym okiem spoglądała w niebo, bo marzyła o skrzydłach. Shan wpatrywał się w linię horyzontu. Góra wznosiła się tam istotnie, ale reszta była jedynie tworem jego wyobraźni, sztuczką pozwalającą mu zająć czymś myśli, gdy ciężarówka sunęła w głąb długiej płaskiej doliny wrzynającej się w północne stoki gór Kunlun. Przeniósł wzrok z horyzontu na podłogę ciężarówki, bo nie miał odwagi spojrzeć na rozległy, otoczony drutem kolczastym teren, ku któremu zmierzali.

Wiedział, że musi porozmawiać z Wangtu, kierowcą Lau, i z wszelkimi innymi zatrzymanymi ostatnio przez Xu osobami, które Jakli zdoła odszukać. Ale gdy wjechali w jałową dolinę, w której był Obóz Chwały, do serca Shana znowu wpełzła ta czarna, bezkształtna rzecz – jego spuścizna gułagu – i nagle opanowało go przemożne pragnienie, żeby wyskoczyć z ciężarówki. Nie, to tylko obóz reedukacyjny, powiedział sobie, nie lao gai, gdzie edukuje się za pomocą wstrząsów

elektrycznych i młotków, dokąd wysyła się odmieńców takich jak Shan, by miażdżyć im dusze i okaleczać ciała. To nie jest prawdziwy obóz. To obóz reedukacyjny, nic więcej, powtórzył sobie raz jeszcze, kiedy zbliżyli się do długiego na półtora kilometra ogrodzenia z drutu kolczastego, za którym zaczynał się obóz. Ale gdy spojrzał w dół, spostrzegł, że trzęsą mu się ręce. Zacisnął prawą dłoń na lewym przedramieniu, starając się opanować drżenie. Potem zorientował się, co nakryła jego dłoń, i zacisnął ją jeszcze silniej.

–Coś cię boli? – zapytała Jakli, dając Grubemu Mao znak, żeby zwolnił.

Nie, miał ochotę powiedzieć, nic mnie nie boli, po prostu się boję. Gdyby go schwytali i odkryli ten tatuaż, uznaliby go za uciekiniera. Co takiego powiedział Jowa do Genduna? Odprowadzą go za skałę i zastrzelą. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a straci panowanie nad swoim ciałem i rzuci się do ucieczki. Tymczasem jednak siedział, wciąż wpatrzony w podłogę. Na podłodze leżał kamyk, a na kamyku rósł porost, a na poroście żył roztocz.

Jakli zawiozła go z chatki Lau na jedną ze stacji benzynowych przy szosie kaszgarskiej. Stała tam budka strzegąca rzędu dystrybutorów, większy od niej warsztat otoczony wrakami pojazdów w różnych stadiach rozkładu, a po przeciwnej stronie drogi pudełkowaty, pomalowany żółtą farbą budynek z pustaków. Wyróżniał się wielkim oknem i ręcznie wypisanym szyldem, na którym widniało tylko jedno słowo: *Herbata*. Z telefonu na stacji dziewczyna przeprowadziła kilka rozmów i godzinę później przed budynkiem zajęła ciężarówka dostawcza zmierzająca do Obozu Chwały. W środku siedziało trzech mężczyzn: Gruby Mao za kierownicą i dwóch wąsatych Kazachów, w których Shan rozpoznał synów Akzu. Kazachowie wdrapali się na stertę płóciennych worków na odkrytej platformie pojazdu, robiąc Shanowi i Jakli miejsce w kabinie. Z worków zszedł jeszcze jeden człowiek, ponury, barczysty mężczyzna o zimnym spojrzeniu, z długą blizną na szyi, która mogła być jedynie śladem po kuli. Jakli przedstawiła go jako Woła Mao. Wół Mao bez słowa wszedł do „żółwia” i odjechał wraz z Jową, Lokeshem i Bajysem.

Jakli w milczeniu położyła dłoń na zbiegających palców Shana. Powoli oderwała je jeden po drugim i odsunęła jego rękę. Podciągnąwszy rękaw koszuli, przesunęła palcem po rządkiem wytatuowanych cyfr.

–Mam więcej przyjaciół, którzy przeżyli obóz – powiedziała z westchnieniem. – Ale u nich wszystkich widać to na twarzy. U ciebie nigdy tego nie dostrzegłam. Udało ci się.

–Nikomusię nie udaje – szepnął Shan, patrząc na tatuaż. Musiało go trzymać czterech strażników, gdy wyrywał się przed igłą z tuszem. W końcu stracili cierpliwość i zatkali mu nos i usta, żeby zemdłał. Kiedy się ocknął, tatuaż był gotowy, a oficer polityczny stał nad nim z triumfalnym uśmiechem.

–Noś go dumnie – warknął. – To dowód, że państwo wciąż troszczy się o ciebie.

Jakli powiedziała coś po kazachsku, na co Gruby Mao sięgnął pod siedzenie i podał jej małą apteczkę. Wyjęła z niej spory plaster z opatrunkiem i przykleiła go na tatuażu.

–Masz – powiedziała, obciągając mu rękaw. – Teraz jesteś taki jak my.

Co dziwne, chłód zdawał się ustępować. Przypomnił sobie jej słowa. Mam więcej przyjaciół, powiedziała. Jakby on także się do nich zaliczał.

Samotny wartownik w małej budce rozpoznał ciężarówkę i zaczął otwierać bramę, zanim dotarli do ogrodzenia. Przejechali, nie zatrzymując się, tylko zwolnili, by Gruby Mao mógł rzucić żołnierzowi jabłko. Między dwoma słupami rozpięty był spłowiały, wystrzępiony na brzegach transparent. *Zerwijcie okowy feudalizmu*, żądał.

Przez chwilę więzienne nawyki Shana wzięły w nim górę, gdy rozglądał się po otoczeniu. Brama była w fatalnym stanie. Obluzowane zawiasy były przeżarte rdzą. Metalowa siatka, zarówno w bramie, jak i ogrodzeniu, także w większości sprawiała wrażenie zardzewiałej. Sam wartownik, w średnim wieku, z nadwagą, w ogóle nie przypominał żołnierzy doborowych oddziałów Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i bezpieczeństwa, którzy pełnili straż w obozach pracy przymusowej, a jego karabin wyglądał na jeszcze starszy od niego.

Wangtu będzie traktowany ulgowo, wyjaśnił Gruby Mao, ponieważ zatrzymano go tylko na przesłuchanie. Oznaczało to, że zostanie zwolniony z obozowych zajęć i będzie pomagał w rozładunku cotygodniowej dostawy żywności do obozowego magazynu. Jakli pokazała Shanowi magazyn, wielki prostokątny budynek pomiędzy ogrodzeniem zewnętrznym a wewnętrznym pierścieniem drutów, za którym znajdowały się baraki więźniów. Jechali powoli w jego stronę, mijając niski budynek w kształcie litery L, mieszczący biura Zakładu Reeducacji „Chwała Ludowi”. W drzwiach stało kilku mężczyzn w brązowych koszulach i spodniach, przyglądając się ich ciężarówce. Nigdy przedtem nie natknął się na tych ludzi, ale widział brązowe ubrania. W górach, tej nocy, kiedy zniknął Gendun.

–Strażnicy Brygady – wyjaśniła Jakli. – Zostało trochę żołnierzy, ale w ubiegłym roku Brygada przejęła zarząd nad obozem.

Za magazynem Shan dostrzegł potężną stertę węgla i mały budynek kotłowni zwieńczony piętnastometrowym kominem. W Xinjiang, wiedział o tym, istniały obozy pracy przymusowej, których więźniowie, mężczyźni i kobiety, harowali w gigantycznych kopalniach. W potwornych warunkach wydobywali za pomocą młotów i dłut węgiel dla siostrzanych obozów, nadwyżki zaś wysyłane były do miast na wschodzie kraju.

Za kotłownią znajdował się cmentarz.

Shan wysiadł z ciężarówki i spojrzał na długie rzędy zbielejących od słońca desek, które służyły za nagrobki, z dziwnym uczuciem uświadamiając sobie, że nie widział cmentarza od lat. W Pekinie ziemi było zbyt mało, żeby marnować ją dla zmarłych. Jedynie najwyżsi członkowie Partii i ludzie wyjątkowo zamożni mieli prawo do stałego grobu. Pozostali mogli za opłatą uzyskać pozwolenie na złożenie zwłok w ziemi na kilka lat, by dać rodzinie możliwość odwiedzania grobu, ale po tym czasie ciała były wykopywane i palone. Buddyści zaś, których znał w Tybecie, wciąż praktykowali podniebne pochówki, zostawiając zmarłych sępom, żeby jak najszybciej zwrócić ciało do kręgu życia.

Nagle z głośników, rozmieszczonych w regularnych odstępach na słupach wokół baraków, rozległ się skrzekliwy głos obwieszczający po mandaryńsku, że za dziesięć minut ma się rozpocząć zebranie ku czci bohaterów Partii. Shan przyglądał się, jak teren za wewnętrznym ogrodzeniem budzi się do życia. Baraki – w większości zbudowane z cementowych bloków, kryte dachami z blachy, inne sklecone z łuszczącej się sklejki – otaczały z trzech stron kwadratowy plac o boku długości przeszło pięciuset metrów, otwarty na budynki administracyjne, przed którymi zatrzymała się ich ciężarówka. Przy drugiej, wewnętrznej bramie, która prowadziła do baraków, widać było dwóch wartowników; jeden opierał się o słup, jak gdyby spał. Barak stojący najbliżej wewnętrznej bramy miał w oknach solidną siatkę z drutu. Na ławce przed drzwiami siedziało czterech strażników. Shan uważnie przyjrzał się barakowi, nagle uzmysławiając sobie, że tam właśnie może być Gendun.

W głębi obozu Shan dostrzegł pola, gołe, jeśli nie liczyć pojedynczego zagonu kapusty. Za drutami na południe i wschód ciągnęły się brązowe, porośnięte trawą wzgórza, na których pasły się z rzadka rozsiane stada owiec.

Nękany bolesnymi wspomnieniami przyglądał się, jak setki więźniów w szarych uniformach pędzą na zajęcia reedukacji politycznej. Spóźnienia były niedopuszczalne. Więzień lao jiao miał lżejsze życie niż więźniowie gułagu, ale dyscyplina była mimo wszystko surowa. Wzrok Shana powędrował znów w stronę cmentarza, przesuwając się po długich szeregach nagrobków. Wyroki w lao jiao były z reguły krótkie, od kilku miesięcy do roku. To pozwalało przypuszczać, że niewielu więźniów umiera podczas odbywania kary.

– Czasem wybuchają tu epidemie – wyjaśniła Jakli, patrząc tam gdzie on. – A dwa lata temu była susza. Pierwszeństwo w zaopatrzeniu w żywność mieli ludzie z miast. Następne w kolejce były spółdzielnie rolnicze, potem żywy inwentarz. Obozy na samym końcu. Starsi więźniowie marli z niedożywienia. Pozjadali swoje paski od spodni, buty, jedli chrabąszcze i robaki. Ale nic im to nie pomogło – westchnęła. – Poza tym Brygada przysyła tutaj więźniów lao gai, którzy nie mogą już pracować, przysyła ich po prostu, żeby tu umarli. Oni nie życzą sobie, żeby nieproduktywni pracownicy wylegiwali się w kopalniach. Czasami sztylpy przywożą tu więźniów specjalnych, bo obóz jest na odludziu.

Ciężarówka wycofała się pod wielką drewnianą szopę z rampą wyładowczą. Gdy samochód stanął, z budynku administracyjnego wybiegł człowiek w białej koszuli z krawatem, machając w ich stronę notatnikiem. Jakli skinęła na Shana, by wszedł na platformę.

Wcześniej już uzgodnili, że Shan zajmie miejsce na samej górze, gdzie nie rzucając się w oko strażnikom, będzie podawał worki innym, dopóki Jakli nie uda się odwołać Wangtu na stronę. PRODUKT PROWINCJI GUANGDONG, przeczytał Shan na płóciennych workach, wspinając się na górę. Był to jeszcze jeden z okrutnych żartów Pekinu. Dla Tybetańczyków i Kazachów, podobnie jak dla wielu innych mniejszości narodowych zamieszkujących zachodnie rejony kraju, podstawą pożywienia tradycyjnie

były jęczmień i pszenica. Ale Pekin zarządził, by znaczną część miejscowej produkcji zbożowej kierować na wschód jako paszę dla zwierząt, w zamian za ryż, podstawowe pożywienie Chińczyków. Wśród miejscowej ludności rozprowadzano materiały opracowywane przez władze centralne, w których wykazywano, że ryż jest zdrowszy. Autorzy niektórych z nich utrzymywali nawet, że to właśnie dzięki ryżowi Chińczycy są inteligentniejsi niż inne nacje. Kiedyś w Pekinie znajomy Shana, Amerykanin, wybuchnął śmiechem, gdy ten zdenerwował się na widok plakatu głoszącego: *Ryż jest pożywieniem patriotów*. Zwyczajny slogan reklamowy, oświadczył.

Usadowiwszy się na szczycie worków z ryżem, Shan ponownie rozejrzał się po obozie. Miał stąd doskonały widok na cmentarz, włącznie z kilkoma świeżymi mogiłami na jego dalszym końcu, i naprędce obliczył, że jest tam co najmniej dwieście nagrobków. W zasięgu wzroku pojawił się nowy budynek – prawdopodobnie szopa na narzędzia – usytuowany między kotłownią a cmentarzem. Z boku szopy dostrzegł jakiś ruch. Zza rogu wyłoniła się postać, na której widok po plecach znów przebiegł mu dreszcz. Był to żołnierz, lecz nie jeden z owych ospałych, źle wyekwipowanych strażników, którzy pilnowali ogrodzenia. Nawet z pięćdziesięciu metrów Shan rozpoznał mundur i postawę. Ten człowiek był z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a broń, którą trzymał w rękach, nie była przedpotopowym karabinem, ale nowoczesnym pistoletem maszynowym.

– Źle się czujesz?! – zawołała Jakli po raz drugi tego dnia i Shan zreflektował się, że przywarł płasko do worków. Instynktów więźnia niełatwo się wyzbyć. – Musimy jechać – wyjaśniła, gdy wstał, kręcąc przecząco głową. Wyciągnąwszy rękę, pomogła mu zejść z platformy.

Kiedy ponownie znalazł się w kabinie ciężarówki, jego dłonie splotły się w mudrę, środkowe palce wskazywały w górę. Diament Mądrości. Jasność celu. Pamiętaj, dokąd zmierzasz. Zachowaj czujność. Uniósł wzrok znad swych dłoni w chwili, gdy ciężarówka wjeżdżała przez wewnętrzną bramę.

– Myślałem, że odjeżdżamy! – Wykrztusił.

– Magazyn jest dzisiaj zamknięty – odparła Jakli, oglądając się z zakłopotaną miną na rampę. – Kazali nam wyładować połowę

od razu przy kuchniach, a resztę jutro rano na rampie. Znajdziemy Wangtu – zapewniła go. – Jeśli nie tu, to tam.

Ale w tej chwili Shan nie martwił się, czy odszukają kierowcę Lau. Gdyby nie to, że język zdrętwiał mu tak, iż nie mógł wydobyć słowa, protestowałby głośno. A więc jednak wieziono go z powrotem do obozu. Czyżby wszystko to było tylko jakąś potworną sztuczką jego dawnych strażników, by zwabić go na kolejnych parę lat za druty?

Jakli znów dotknęła jego przedramienia.

–Co mieliśmy zrobić? Byłoby bardziej podejrzane, gdybyśmy odmówili. Będziesz bezpieczny, obiecuję.

Uświadomił sobie, że obsuwa się w dół w fotelu, jak gdyby jego ciało samo instynktownie szukało kryjówki. Znowu miał się znaleźć w obozie, a tym razem nie będzie już buddyjskich mnichów, którzy uleczyliby go, gdy oprawcy z nim skończą.

Uścisk dłoni Jakli przywołał go do rzeczywistości.

–Więźniem jest tylko ten, kto postępuje jak więzień – stwierdziła spokojnym, trzeźwym głosem.

Jej mądrość uderzyła go jak ożywczy, chłodny wiatr. Zawstydził się. Powoli podciągnął się w górę i nie odezwał się więcej, dopóki nie zbliżyli się do długiego budynku w przedniej części kompleksu, gdzie mieściła się kuchnia oraz stołówka.

–Przepraszam – powiedział wreszcie, siłą woli powstrzymując się, by znów nie zacisnąć dłoni na tatuażu.

Wypowiedziawszy to słowo, poczuł się pewniej, zarazem jednak jeszcze bardziej się zawstydzził. „Nie ma się czego lękać za drutami”. Słowa te wróciły do niego tak wyraźnie, jak wówczas, gdy przed laty usłyszał je z ust pogodnego starego mnicha odsiadującego trzydziesty piąty rok w gułagu. „Gdyż żaden strażnik, jaki kiedykolwiek żył, nie zdoła uwięzić prawdy”.

Wysiadł z kabiny i przyjrzał się pierwszemu z budynków, oddalonemu o dwieście metrów barakowi dla więźniów specjalnych.

–Czy oni wyprowadzają tych ludzi na spacer? – zapytał.

–Nie. Tutaj mówi się o nich: niewidzialni – odparła z westchnieniem Jakli. – Przypadki specjalne. Z reguły nie mają nic wspólnego z Yoktianem.

Shan wpatrywał się z natężeniem w budynek, jak gdyby chciał przeniknąć wzrokiem jego ściany.

–Chodzi o twojego lamę – domyśliła się nagle dziewczyna. – Sądzisz, że on tam jest. – Patrzyła na niego przez chwilę, wreszcie pociągnęła go za rękaw. – Niebezpiecznie okazywać zbyt dużą ciekawość – ostrzegła.

Shan zmagał się z przemożnym pragnieniem, żeby popędzić do zamkniętego na głucho baraku i łomotać w drzwi, wołać Genduna. Przez chwilę nic nie wydawało mu się tak ważne, jak to, by mógł usłyszeć głos lamy.

Z boku stołówki otworzyły się drzwi i wyszło z nich kilku mężczyzn w luźnych szarych bluzach. Jakli wyskoczyła z ciężarówka i zniknęła w budynku. Shan rozejrzał się po terenie, znowu opustoszałym, odkąd więźniowie pognali na zajęcia polityczne, po czym zszedł z platformy i dołączył do ludzi ustawiających się po worki ryżu. Wpatrywał się w barak o zadrutowanych oknach, daremnie szukając jakiegokolwiek znaku, który powiedziałby mu, kto znajduje się w środku, wreszcie wziął na plecy jeden z ciężkich worków i ruszył za innymi do kuchni, gdzie zrzucił go na stertę pod nadzorem gdaczącej kobiety w brązowej sukni, która z władczą miną wymachiwała drewnianą warząchwią. Wysoki mężczyzna z blizną na policzku stał przy zlewie, zmywając naczynia. Robił to tylko jedną ręką. Gdy Shan podszedł bliżej, odkrył przyczynę. Mężczyzna mruczał pod nosem, drugą ręką przesuwając wiszący u pasa sznur żółtych plastikowych paciorków. Drugi, starszy więzień stał za nim, wycierając naczynia, choć najwyraźniej sprawiało mu to pewną trudność. Wycierał je na otwartej dłoni, po czym ściskając środkowymi palcami, odkładał na półkę ścienną. Nie miał kciuków. Następny Tybetańczyk. Shan widywał to już. Podczas pobytu w lao gai nie było tygodnia, w którym nie słyszałby okrutnych żartów strażników na temat „przyciętych” Tybetańczyków. Przez kilka lat jedną z ulubionych kar pewnych oficerów bezpieczeństwa, stosowaną wobec tybetańskich mnichów, było obcinanie sekatorami kciuków, żeby uniemożliwić im odmawianie różańca.

Shan spojrział przez podwójne drzwi na długie rzędy pustych stołów zбитych z desek. Na drugim końcu stołówki jedna z grup odbywała zajęcia. Potężnie zbudowana Chinka, podobnie jak kobieta w kuchni ubrana w brązową suknię, przechadzała się z

założonymi na plecy rękoma pośród siedzących w krąg więźniów. Na krótką chwilę odwróciła się do podwójnych drzwi i Shan usłyszał, jak woła, tak głośno, że przez moment myślał przerażony, że zwraca się do niego.

–Kto jest wielkim żywicielem narodu?! – zapytała ostrym, przenikliwym głosem.

–Partia jest wielkim żywicielem narodu! – odparli chórem więźniowie. W ich śpiewnej recytacji pobrzmiwało coś znajomego. Mantra dla Przewodniczącego.

Shan ponownie spojrział na Tybetańczyka przy zlewie, który pozornie nieświadomy wszystkiego, co działo się dookoła, ciągnął swój własny cichy zaśpiew. Mantrę dla Bodhisattwy Współczucia.

Na zewnątrz, gdy Shan wziął kolejny worek z ciężarówką i ruszył znów w stronę budynku, usłyszał za sobą głos powtarzający hasło, które skandowała instruktorka. Po chwili jednak zorientował się, że mężczyzna, powtarzając zaśpiew, za każdym razem odmienia nieco słowa.

–Kto jest wielkim szewcem narodu? – mruczał. – Partia jest

wielkim szewcem narodu. – Jego głos był cichy, jednak wystarczająco donośny, żeby zapewnić rozrywkę tym, którzy stali najbliżej. – Kto jest wielkim golibrodą narodu? Partia jest wielkim golibrodą narodu. – Niektórzy parsknęli śmiechem. Inni rozglądali się nerwowo, by sprawdzić, kto jeszcze może to słyszeć.

Shan musiał przystanąć przy kilku schodkach prowadzących do drzwi, czekając, aż idący przed nim starszy człowiek wtaszczy na nie swój worek. Obejrzał się, chcąc zobaczyć więźnia, który drwił ze szkolenia politycznego. Wysoki, solidnie zbudowany mężczyzna z obfitym, dobrze utrzymanym wąsem i kwaśnym uśmiechem odwzajemnił jego spojrzenie.

–Kto jest wielkim dozorcą narodu? – zapytał, kiwając głową do Shana.

Shan milczał i mężczyzna powtórzył pytanie. Shan również skinął głową, nie odwracając wzroku od szyderczych oczu wąsacza.

–Partia jest wielkim dozorcą narodu – odparł cicho.

Na twarz nieznanego wypłynął uśmiech i Shan zorientował

się, że patrzy on ponad jego ramieniem na Jakli, która pojawiła się właśnie na szczycie schodków.

–Chwała Allahowi – mruknął pod nosem wąsacz.

Jakli kiwnęła mu głową i gestem skierowała ich obu w cień po drugiej stronie ciężarówki.

–A więc poznaliście się już – stwierdziła, dochodząc do nich.

–Niezupełnie – odparł Shan.

–Wangtu – oznajmiła dziewczyna, kładąc dłoń na ramieniu wąsacza. – A to Shan. Przyszedł w sprawie Lau i dzieci.

Ale Wangtu nie zwracał już uwagi na Shana. Patrzył na palce Jakli, wciąż spoczywające na jego ramieniu.

–Myślałem, że już cię nie ma – powiedział głosem, z którego

znikła nagle cała pewność siebie. – Mówili, że Nefrytowa Dziwka
uwzięła się na ciebie. – Zerknął na ciężarówkę z dostawami. –
Jesteś wolna? Wypuścili cię?

–Prawie – odparła, po czym wyjaśniła powód przybycia Shana.
Wangtu wzruszył ramionami.

–Nic nie wiem o dzieciach – oświadczył prosto i szczerze. Widocznie dzieci nie
zamieszkiwały jego świata. Przyglądał się badawczo Shanowi, przesuając język po
wewnętrznej stronie policzka, jakby szukał czegoś w ustach. – Gdy chłopcy giną, to
sprawa ich rodziców.

–Ci nie mieli rodziców – rzuciła zniecierpliwiona Jakli. – Chodzi o sieroty Lau.
Jeden mieszkał z Bajysem. Znasz Bajysa.

–Mógłbym ci załatwić różne rzeczy – powiedział Wangtu. – Mógłbym cię
odwiedzać. Mieszkam w mieście.

–Na razie mieszkasz w Obozie Chwały.

–To? – Wangtu lekceważąco machnął ręką w stronę baraków. – To wakacje.
Śpiewam sobie piosenki, spotykam starych przyjaciół. – Przy ostatnich słowach
spowaźniał i rzucił dziewczynie znaczące spojrzenie.

–Jak poznałeś Bajysa? – zapytał Shan.

Wangtu westchnął.

–On i ten chłopiec przynoszą czasem wełnę do miasta. Raz
od jednego klanu, raz od innego. Wiesz, oni mieszkają u różnych klanów. Parę
tygodni tu, parę tam. Taki był system Lau. A ja widuję się z różnymi ludźmi. Kiedy
Brygada nie ma dla mnie zajęcia w szkole, pracuję dla przetwórci wełny. Oni ją
oczyszczają

i belują, a ja rozwożę ją do fabryk dywanów w Hotanie – wyjaśnił, mając na myśli wielkie miasto leżące przeszło sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód, które niegdyś stanowiło ważny ośrodek handlowy na Jedwabnym Szlaku. Shan spojrział na Jakli.

–Szkoła jest prowadzona przez Brygadę?

–Szkoła, ten obóz, niedługo cały świat – oświadczył słabym głosem Wangtu.

–Ale powiedziałeś mu coś – naciskała Jakli. – Powiedziałeś Bajysowi, że Lau ma kłopoty.

–A co z twoim ojcem? – zapytał Wangtu. – Czy on w ogóle wrócił?

To pytanie najwyraźniej zaskoczyło dziewczynę. Nie odwzajemniła jego spojrzenia, lecz odwróciła się do Shana.

–Wangtu i ja chodziliśmy razem do szkoły – wyjaśniła.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Wyglądało na to, że ta wzmianka sprawiła mu przyjemność.

Jakli zerknęła na rozładowywaną w błyskawicznym tempie ciężarówkę.

–Szybko, Wangtu. Dlaczego ostrzegłeś Bajysa?

Kazach w skupieniu rozglądał się po obozie, jakby usiłował sobie to przypomnieć.

–Właściwie go nie ostrzegałem. Powiedziałem mu tylko, że

za Lau chodzi niebieski wilk – odparł, strzelając oczyma ku Jakli.

Twarz dziewczyny stężała.

–Dżinn – wyjaśniła Shanowi, nie odrywając wzroku od Wangtu. – Niebieski wilk to paskudny rodzaj dżinna. Zły duch.

–Dla Kazachów – dodał Wangtu. – W każdym razie dla starych Kazachów.

–Wytłumacz nam to – rzuciła niecierpliwie. – Dlaczego mu powiedziałeś, że śledzi ją niebieski wilk?

Wangtu zdawał się nie słuchać. Wpatrywał się w coś za jej plecami.

–Mógłbym ci go załatwić – odezwał się, tęsknie wskazując głową w stronę drutów.

Jakli odwróciła się i zamarła. Jej twarz zapłonęła zachwytem. W sznurowej zagrodzie między wewnętrznym i zewnętrznym pierścieniem drutów stał wspaniały biały koń.

–Kiedyś chodziliśmy ze sobą, Jakli – powiedział Wangtu z dziwną melancholią w głosie. – Śpiewałem pieśni w twoim obozie.

Ale dziewczyna go nie słuchała. Zrobiła krok naprzód, jak gdyby przyciągana przez pełne wdzięku zwierzę tańczące w prowizorycznej zagrodzie.

–Mógłbym załatwić twojemu klanowi białe konie – oświadczył Wangtu.

–Dlaczego powiedziałeś to Bajysowi? – naciskał Shan.

Jakli wyrwała się z transu i cofnęła się za plecy Shana, jakby propozycja Wangtu ją przeraziła. Kazach westchnął.

–Słyszę różne rzeczy, wystarczy? Obiło mi się o uszy, że przyjeżdża nowy nauczyciel. Któregoś dnia słyszałem, jak porucznik Sui na tylnym siedzeniu mówi dyrektorowi szkoły, że jakiś nauczyciel złożył donos na Lau. Twierdził, że na jednej z

lekcji odczytała listę nazwisk z dwudziestego dziewiątego maja i tych z dziewięćdziesiątego siódmego.

–Dysydenci – rzuciła Jakli do Shana i zerknęła na ciężarówkę. – Ale nie aresztowano jej. Zamordowano.

Wangtu prychnął i otworzył usta, jakby miał zaraz wybuchnąć śmiechem.

–Zamordowano? Nie. Ona zniknęła, gdzieś nad rzeką. Jeszcze może wrócić.

–Zniknęła z kulą w głowie – oświadczył Shan. – Widzieliśmy jej zwłoki.

Wangtu spojrzał na Jakli, która potwierdziła to skinieniem głowy. Skrzywił się, po czym podejrzliwie przyjrzał się Shanowi.

–Kto cię przysłał? – zapytał.

–Kapłani – odparła szybko Jakli, jakby się obawiała, że Shan może się odezwać pierwszy. – Kapłani powiedzieli, że ma przyjść.

–Kapłani? Kapłani? – Tym razem to Wangtu wydawał się zbity z tropu. – Masz na myśli mułłów?

–Nieważne – ucięła niecierpliwie Jakli. – Nie ma złych kapłanów.

–Oczywiście, że są. Ci, którzy kierują tym obozem. – Słowa Wangtu zabrzmiały głucho, a w jego oczach coś błysnęło. – Jak to powiedział Przewodniczący? Religia zatruwa naród. Więc pozbył

się innych religii i rozesłał własnych kapłanów. – Spojrzał na Shana. – Prokuratorka twierdzi jedynie, że Lau zniknęła. Przemawiała do nas, do wszystkich aresztowanych. Powiedziała, że być, może to robota reakcjonistów, że mogli ją porwać. Robią tak czasem, mówiła, w nadziei, że wymienią zakładnika na kogoś z własnych ludzi, którzy siedzą w więzieniu. Może komuś z nas przyjdzie do głowy coś użytecznego, powiedziała.

–Widziałam Lau – oświadczyła spokojnie Jakli. – Ona nie żyje, Wangtu, ale prokuratorka nie ma prawa o tym wiedzieć. To nikomu nie pomoże.

Wangtu gwizdnął cicho przez zęby i powoli pokręcił głową.

–Lubiłem Lau. – Przeniósł wzrok na starego człowieka, który z wysiłkiem wspiąwszy się na schody, stał oparty o ścianę przy drzwiach, z trudem łapiąc oddech.

Shan przyjrzał się mężczyźnie.

–Jest za stary jak na ryżowy obóz – zauważył. Środki przeznaczone na reedukację rzadko marnowano na ludzi, którzy nie mogli już w istotnej mierze przyczynić się do powodzenia wysiłków proletariatu.

Wangtu spojrział na Shana spode łba, jakby to on, a może wszyscy Chińczycy, był odpowiedzialny za to, że ten stary człowiek znalazł się w tym miejscu.

–To nauczyciel. Przeżył czterdzieści lat w wiosce pod Kasz-garem, a potem zabrali go stamtąd, kazali mu iść do jakiegoś domu dla emerytowanych nauczycieli. Zamiast tego zaczął prowadzić nieoficjalne lekcje dla klanów. Wędrował od obozowiska do obozowiska, jako zapłatę przyjmując jedzenie i posłanie. Zadenuncjowano go za nauczanie historii starożytnej.

–Historii starożytnej? – zdziwił się Shan.

–No wiesz, sprzed 1949 roku. Republika Wschodniego Turkiestanu, królestwa Jedwabnego Szlaku. Z czasów, kiedy te ziemie były niepodległe. Tłumaczę mu, że musi z tym skończyć. Tłumaczę mu, że jest za stary. To jego trzecia miska.

–Trzecia miska? – zapytał Shan.

Wangtu rzucił Jakli zaskoczone spojrzenie.

–Trzecia odsiadka w lao jiao. Za każdym razem, gdy przyjmują człowieka do obozu, dostaje blaszaną miskę, do mycia, do

jedzenia, do picia, do wszystkiego. – Jego oczy znów spoczęły na starym człowieku. – Po trzeciej misce, jeśli zgarną cię znowu, wędrujesz do obozu ciężkich robót.

Shan spojrzał na byłego nauczyciela.

–Nie przeżyłby nawet miesiąca w gułagu – powiedział.

Wangtu przestąpił z nogi na nogę, powoli przeciągając wzrokiem wzdłuż ogrodzenia. Jakiś samochód, wyglądający jak przestarzały pojazd opancerzony, jakich używano jeszcze w latach trzydziestych w VIII Armii, sunął wolno wzdłuż drutów.

–On nie przeżyje miesiąca w Obozie Chwały. Nie tym razem. Życie tu staniało, odkąd Brygada przejęła nadzór nad obozem. – Zdawało się, że nie mówi już do nich, lecz do kogoś stojącego pomiędzy nimi a budynkiem biurowym. Shan przeniósł wzrok za jego spojrzeniem. Kazach patrzył na cmentarz.

–Pewien Mongoł – ciągnął – ledwie nastolatek, miał czasopismo z kolorowymi zdjęciami koni. Wbrew przepisom, ale co z tego? Po prostu konie, nic więcej. Codziennie oglądał te zdjęcia i mówił, że kiedyś będzie miał stado koni. Na zajęciach instruktorka przydzielona do jego baraku wyciągnęła chłopakowi czasopismo zza portek, gdzie chował je w dzień. Powiedziała, że jest im potrzebne, bo w latrynie nie ma już papieru. Mongoł rzucił się na nią, a instruktorka uderzyła go w głowę łopatą. Chrupnęło tylko, jakby ktoś stąpnął na spróchniałą kłodę. Chłopak usiadł na ziemi z głową w dłoniach, a instruktorka chodziła wokół niego, wygłaszając mowę o szkodliwości gromadzenia dóbr. Kiedy skończyła, wrzasnęła, żeby przeprosił wszystkich. Mongoł nie odpowiedział, więc kopnęła go, a on po prostu się przewrócił. Był sparaliżowany. Teraz leży wciąż na swojej pryczy. Instruktorka zabrała jego czasopismo do latryny.

Jakli zakryła dłonią usta, jakby chciała powstrzymać szloch. Wangtu skrzywił się, zły na siebie, że wytrącił ją z równowagi.

–Ale dlaczego ostrzegłeś Bajysa? – zapytał Shan. – Dlaczego podejrzewałeś, że Lau będzie miała kłopoty? Kim był zły duch, który ją śledził?

–Lau i ja byliśmy przyjaciółmi. Tylko ona siadała obok mnie na przednim siedzeniu. Przynosiła mi lekarstwa i mieszanki ziół, które zbierała w górach. – Wangtu jeszcze raz wskazał dziewczynie palcem białego konia, jakby widok zwierzęcia mógł

ją pocieszyć. – Ostatnio przytrafiały jej się różne rzeczy. Wyleciała z Rady Rolnej. Złożono na nią donos do bezpieczeństwa. – Jakli odwróciła się od niego. Patrzyła na twarze innych więźniów. – Ten Tybetańczyk... – mówił dalej do jej pleców. – Powiedziałem jej o nim.

Dziewczyna obróciła się gwałtownie.

–O Kaju. Nie znałem wtedy jego nazwiska, ale powiedziałem jej, może trzy miesiące temu, że dyrektor Ko sprowadza do opieki nad zheli jakiegoś Tybetańczyka. Nic o tym nie wiedziała. Wyjaśniłem jej, że słyszałem któregoś dnia, jak Ko rozmawia na ten temat w samochodzie. Powiedziałem: oni chyba myślą, że odchodzisz.

A właśnie trzy miesiące temu, przypomniał sobie Shan, Lau zaczęła wyjaśniać, gdzie chce być pochowana po śmierci.

–A co ona na to? – zapytał.

–Najpierw po prostu uśmiechnęła się i poklepała mnie po ramieniu. Potem powiedziała: tak, chyba tak myślą. Westchnęła i dodała, że nigdy nie powinna była jechać do Urumczy. Zawsze rozmawiała ze mną, ale tamtego dnia nie odezwała się już więcej przez całą drogę.

–Jechać do Urumczy? – zapytał Shan. – Co miała na myśli?

–Nie mam pojęcia – Wangtu wzruszył ramionami.

–Co jeszcze mówiła? – spytała Jakli.

–Kiedy rozstawaliśmy się tamtego dnia, powiedziała, że może nie powinna już więcej przynosić mi ziół, bo później ludzie mogą uznać, że byliśmy przyjaciółmi. Powiedziała, że w głębi duszy możemy w dalszym ciągu być przyjaciółmi, ale nie chce, żeby spotkało mnie przez to coś złego. Odparłem, że nie obchodzi mnie, co ludzie mówią, a ona na to, że powinno mnie obchodzić, bo to są Chiny. – Wangtu ze zboląłą miną spojrzał na białego konia. – Od tego dnia zawsze wyglądała na zabieganą, nie miała czasu porozmawiać. Nie wozilem jej potem zbyt często. Nie widziałem jej od miesiąca. – Zamyślony przeniósł wzrok na horyzont. – Kto był tam, gdzie zginęła?

–Tego właśnie chcemy się dowiedzieć – odparła Jakli.

–Nie, chodzi mi o to, kogo pojechała odwiedzić. To ważne. Lau miała ledwie garstkę zaufanych osób. Zatrzymywała się tylko tam, gdzie mieszkała któraś z nich. Wędrowała od jednej do

drugiej, jak z oazy do oazy. Powinniście pytać tam, dokąd pojechała.

Shan i Jakli wymienili spojrzenia. Lau zginęła na pustyni, w miejscu, o którym Jakli wyraźnie nie miała ochoty rozmawiać, w miejscu, gdzie Bajys oglądał swą koszmarną wizję poćwiartowanych ludzi.

–Prokuratorka nic nie wie – powiedziała Jakli.

–Ja wiem tylko – odparł Wangtu z wymuszonym uśmiechem – że Lau nie umiała pływać. – Rzucił dziewczynie spojrzenie pełne nadziei. – Nie powiedziałbym tego wszystkiego byle komu. Ale tobie powiedziałem, Jakli.

Spojrzała na niego zakłopotania.

–Wychodzę za mąż, Wangtu – oświadczyła szybko. Nachyliła się, musnęła wargami jego policzek i podeszła do innego więźnia, w którym najwyraźniej rozpoznała znajomego.

Wychodzi za mąż. Shan patrzył za nią, czując się jak głupiec. Jak mógł nie zorientować się wcześniej? Ściszone, podniecone rozmowy w obozie Czerwonego Głazu. Suknia ukryta pospiesznie przez starsze kobiety. Tajemniczy prezent Malika dla Jakli i kogoś jeszcze, kogoś, czyjego imienia chłopiec nie chciał wymienić. Nikki, tak brzmiało imię, które wspomniał Akzu, rozstając się z nią przy garażu. Inna kobieta z radością rozgłaszałaby taką nowinę. Ale małżeństwo Jakli było trzymane w tajemnicy. Shan rozumiał to. On także dorastał w świecie, w którym najmniej mówiło się o tym, co uważało się za najważniejsze, z obawy, że się to utraci.

Wangtu stał zawiedziony, przyglądając się, jak dziewczyna rozmawia z niskim, pulchnym Chińczykiem.

–Musisz trzymać ją z dala od tego – powiedział, po czym powtórzył te słowa bardziej natarczywie, jakby się obawiał, że Shan mógł nie dosłyszeć.

–Od czego? – zapytał Shan. Ponownie spojrzał na dziewczynę. Co za dziwna pora na małżeństwo, kiedy klany przestają istnieć, a dzieci są mordowane. Ale Shan od dawna już wiedział, jak trudno zrozumieć język serca innego człowieka.

–Z dala od Obozu Chwały. Z dala od drutów. Niektórzy ze strażników nienawidzą jej, bo na nich pyskuje, bo się opiera. Ona

nie jest stworzona do klatki. Jak ten mały Mongoł. – Jego rozczarowanie najwyraźniej przemieniło się w troskę. Ponownie otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Spojrzał na Shana, po czym spuścił wzrok ku ziemi. – Odsiedziałbym karę za nią, gdybym mógł – powiedział cicho. – Jej miejsce jest w górach, na koniu. – Nie mówiąc nic więcej, oddalił się, jakby zapomniał o obecności Shana.

–Towarzysz Hu – oznajmiła Jakli, prowadząc do Shana niskiego Chińczyka. – Przewodniczący komisji oświatowej szkoły w Yoktianie.

Hu dotknął swych okularów w grubych oprawkach i uśmiechnął się bez przekonania.

–Raczej były przewodniczący – sprostował.

–Niekoniecznie – odparła uspokajająco Jakli. – Prokurator Xu lubi po prostu

zastraszać świadków.

–Tłumaczyłem jej to – powiedział Hu. – Nie jestem żadnym świadkiem. Lau nie należała do naszego oficjalnego personelu. Nie byliśmy za nią w żaden sposób odpowiedzialni. Kiedyś dostawała niewielką pensję, ale to się skończyło już wiele lat temu. Po prostu przydzieliliśmy jej gabinet i informowaliśmy ją o naszym rozkładzie zajęć, żeby mogła skoordynować z nim swoje plany. Czasami pozwalaliśmy jej korzystać z naszych kierowców.

–Więc rozmawialiście już z Xu?

–Dzisiaj rano. Kiedy powiedziałem jej, że nic nie wiem, kazała mi się jeszcze nad tym zastanowić. Jak stwierdziła, w Yoktianie o dobrą pracę nie jest łatwo. Zajrzała do moich akt i przypomniała mi, że mam rodzinę. Powiedziałem jej, że Lau nic nie ukrywała. Była otwartą księgą. Może zbyt otwartą. To wystarczyło, musiała być zbyt szczerą wobec niewłaściwej osoby. Pasterze bywają porywczy. Niektórzy wciąż jeszcze tkwią jedną nogą w czasach chanów, kiedy toczyły się krwawe waśnie rodowe. – Rozejrzał się po obozie. – Zaproponowałem, że podczas pobytu tutaj będę prowadził zajęcia – oświadczył, jakby nagle przyszło mu na myśl, że Shan może być oficerem politycznym.

Zainteresowanie Shana przygasło. Nie potrzebował wiele czasu, by stwierdzić, że towarzysz Hu nie jest człowiekiem, którego Lau obdarzyłaby zaufaniem.

Wyczuwał, że Wangtu miał rację, mówiąc, że Lau potrafiła poznać się na ludziach i wędrowała od jednej zaufanej osoby do drugiej. A ludziom, którym się ufa, powierza się tajemnice. Pojechała na pustynię, w miejsce zwane Karaczuk, nie po to, by umrzeć, ale by powierzyć tam komuś tajemnicę.

Shan zwrócił uwagę na człowieka, który siedział w cieniu pod ścianą stołówki. Patrzył w stronę otwartego placu obozowego, zerkał jednak od czasu do czasu na Shana i Jakli. Był niemal łysy, a pod cienką skórą twarzy nie miał chyba odrobiny ciała, bo wyraźnie widać było przez nią zarys czaszki.

Gdy Shanowi na krótką chwilę udało się spojrzeć mu w oczy, powieki mężczyzny opadły lekko, palce zaś czubkami dotknęły ziemi, jak gdyby ogarnęła go senność.

–Strata czasu – oświadczyła Jakli, która również przeniosła wzrok na łysego mężczyznę. – Proszę bardzo – wzruszyła ramionami – ale nie spodziewaj się znaleźć sensu w tym, co on mówi – ostrzegła i wróciła do rozmowy z Hu.

Shan popatrzył na nią zdziwiony.

–To ten Xibo – wyjaśniła mu, zniżając głos. – Nadzorca strumieni.

–Jak on się nazywa?

–Nie wiem. Zawsze mówiło się na niego po prostu nadzorca strumieni. Mamrocze bzdury i ślini się, nic więcej. Zna tylko język klanów i parę starych słów Xibo.

Upewniwszy się, że Jakli zostanie z Hu, podszedł do łysego mężczyzny.

Nadzorca strumieni nie zareagował, gdy Shan kucnął przed nim. Zakołysał się tylko w prawo i w lewo, jak gdyby intruz zasłaniał mu widok. Shan dopasował się do jego ruchu, po czym usiadł na ziemi. Nie odezwali się słowem. Shan przyglądał się nadzorcy. Nadzorca patrzył ponad ramieniem Shana, jakby go nie dostrzegał. Obracał coś w ustach, być może łupinę orzecha albo kamyk. Z kącika warg zwiślała mu cienka nitka śliny.

Shan spędził dzieciństwo w Mandżurii. Znał lud Xibo i wiedział, że człowiek, który siedzi przed nim, nie jest jednym z nich. Nie miał też pięćdziesięciu lat, jak twierdziła Jakli. Był starszy, być może dużo starszy, choć jedyną tego oznaką były łzawe oczy i przyżółcone bruzdy na paznokciach. Mężczyzna patrzył na ziemię

przed sobą i postękiwał, jak to starcy. Ale Shan w to nie wierzył. Ani w nieprzytomne oczy pod opadającymi powiekami, ani w mamrotanie.

To palce pierwsze przyciągnęły jego uwagę, jeszcze wtedy, gdy stał obok Jakli. Nie zwisały po prostu bezwładnie. Ręce były precyzyjnie ułożone: lewa spoczywała na podołku wnętrzem dłoni do góry, prawa oparta na prawym kolanie, dłoń zwrócona do wewnątrz, z palcami skierowanymi w dół. To była mudra symbolizująca dotykane ziemi, wezwanie jej na świadka. A między palcami prawej dłoni tkwił mały, zasuszony kwiat.

Istniał związek, który Jakli najwyraźniej przeoczyła. Nadzorca strumieni był zatrudniany przez Radę Rolną. A Lau przez wiele lat była jej członkiem.

Shan starannie ułożył własne dłonie w sposób, którego nauczył się w Lhadrung: jedna wnętrzem do drugiej, palce zetknięte czubkami, kciuk przyciśnięty do kciuka.

Oczy nadzorcy strumieni ponownie prześlizgnęły się po postaci Shana, jak gdyby stary człowiek nikogo przed sobą nie widział. Ostatnie worki zostały już rozładowane i mężczyźni zaczęli się gromadzić przy schodach, wpatrując się w megafony, jakby oczekiwali od nich nowych poleceń.

Shan nie poruszył się. Utkwił wzrok w oczach nadzorcy strumieni.

Wreszcie spojrzenie mężczyzny padło na dłonie Shana. Jego głowa podskoczyła lekko, jak gdyby sam jego umysł szarpnął się z zaskoczenia. Jeden rzut oka powiedział Shanowi wszystko. Nadzorca strumieni spostrzegł znak, który tworzyły jego dłonie, mudrę drogocennej wazy, symbol świętego naczynia. Rozpoznał go i zorientował się, że Shan to zauważył.

Opadnięte powieki mężczyzny powędrowały w górę. Gałki oczne nie poruszyły się, jedynie głowa uniosła się powoli, dopóki jego wzrok nie napotkał spojrzenia Shana.

–Byłem w twojej grocie, rinpocze – szepnął Shan po tybetańsku. – Pomogę ci. Pomogę dzieciom.

Nadzorca strumieni nie odpowiedział, po chwili jednak ujął dłonie Shana i uścisnął je, powoli, ale mocno.

–Nawet jeżeli go znajdziesz, nie możesz go zwrócić. – Tybetańskie słowa nadeszły tak niespodziewanie, wyszeptane tak cicho,

że Shanowi zdawało się niemal, że usłyszał je tylko w wyobraźni. – Możesz tylko przekazać go dalej – powiedział ochryple mężczyzna. Jego wzrok powędrował w stronę gór Kun-lun i Tybetu.

Jak echo powróciło nagle wspomnienie słów Bajysa. „To był ten, którego kochałem”, powiedział o Khitaiu, jak gdyby istniało wielu Khitaiów. „Ten, którego miałem chronić”. Bajys nie rozumiał, albo jeśli rozumiał, nie dbał o to, że Khitai wciąż żyje. Tym, co go złamało, co kazało mu pędzić, skomlać i bredząc, ku Lau, było zawiedzione zaufanie. Ktoś odkrył doniosłą tajemnicę Bajysa, a skoro tajemnica ta została poznana, świat Bajysa zawalił się w gruzy. Teraz nauczyciel, stary lama nadzorujący strumienie, mówił takimi samymi zagadkami. Może Bajys nie miał jednak na myśli chłopca, ale przedmiot. „Nie możesz go zwrócić. Możesz tylko przekazać go dalej”.

Nagle silnik ciężarówki ożył z rykiem. Starzec wstał. Jego oczy na powrót przybrały senny, głupkowaty wyraz. Potykając się o własne nogi, lama poczłapał w stronę stołówki. Zebrani przy drzwiach więźniowie parsknęli śmiechem.

Chwilę później megafony znów zatrzeszczały. Mężczyźni zgromadzili się wokół stołówki i poprawiwszy bluzy, włączyli się w tłum więźniów, który zaczął wypełniać plac. Teraz oni mieli otrzymać błogosławieństwo politycznych kapłanów.

Wkrótce potem Gruby Mao wyprowadził ciężarówkę poza wewnętrzny pierścień drutów. Lecz kiedy chcieli opuścić Obóz Chwały, okazało się, że główna brama jest zamknięta na łańcuch i kłódkę, a w zasięgu wzroku nie ma żadnego wartownika. Czekali nerwowo przez dziesięć minut, wreszcie Gruby Mao wolno wycofał ciężarówkę pod budynek administracyjny. Zza drzwi wynurzył się jakiś człowiek, nie wartownik, ale chiński urzędnik w białej koszuli o wystrzępionych mankietach.

–Powiedziano wam, co robić – oświadczył piskliwym głosem. – Reszta transportu ma być rozładowana jutro.

–Więc będziemy tu jutro – odparł Gruby Mao. – O świcie, jeśli chcecie.

Na twarzy urzędnika pojawił się przebiegły uśmiech. Mężczyzna wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i rozprostował ją.

–My mamy prawo przyjąć jedną dostawę tygodniowo – zapiszczał. – Wy macie prawo do zapłaty za jedną dostawę w tygodniu. W kuchni pokwitowano przyjęcie całego ładunku. – Pomachał papierem przed twarzą Grubego Mao. – Myślicie, że wrócicie tu jutro i weźmiecie pieniądze za dwie dostawy? Nie ma mowy.

–Nie bądźcie śmieszni. Płaci się nam tylko za dostarczone transporty.

–Właśnie – odparł triumfalnie urzędnik. – I proponujecie, że dostarczycie jutro tylko na pół załadowaną ciężarówkę. – Zadarł nos, jak gdyby celował nim w Grubego Mao. – Są kampanie przeciwko korupcji.

Shan widział, jak Ujgur zaciska zęby, próbując opanować gniew.

–W takim razie wyładujemy worki na rampę. Jutro możecie sami wnieść je do środka.

–Otrzymujecie zapłatę za dostarczenie towaru do magazynu, a nie przed. Oszukiwanie na pracy także jest formą korupcji – odwarknął urzędnik.

–Więc otwórzcie magazyn.

–Magazyn został zamknięty na rozkaz majora Bao z Urzędu Bezpieczeństwa. Macie pozwolenie na skorzystanie dziś w nocy z wiatry remontowej. – Wskazał na wysoką budowlę za budynkiem biurowym, zwykły dach wsparty na czterech słupach, ze stołem roboczym na jednym końcu. – Ale ostrzegam was – dodał piskliwie – mamy dokładny wykaz wszystkich narzędzi.

–Powinniśmy wrócić na noc do domu – zaprotestował Gruby Mao. – W Yoktianie czekają na nas rodziny.

–Wszyscy musimy ponosić ofiary. Wpojenie tego jest zadaniem Obozu Chwały – oświadczył radośnie urzędnik, szczęśliwy, że może udzielić politycznej nauki, i okręciwszy się na pięcie, wmaszerował do budynku.

Gruby Mao popatrzył za nim ze złością, po czym zerknąwszy na Jakli, wrzucił bieg i podjechał pod wiatę remontową.

–Kampanie przeciwko korupcji – mruknął. – Może przeprowadziliby raczej kampanię przeciwko głupocie.

Shan przypomniał sobie pałkarza, którego widział w obozie.

–Kim jest ten major Bao? – zapytał Ujgura. Brygada zarządzała obozem, prokuratora wypełniała go, ale pałkarze najwyraźniej korzystali z niego wedle uznania.

Gruby Mao skrzywił się.

–To szef Urzędu Bezpieczeństwa w Yoktianie. Szef porucznika Sui. Dwie osoby w tym okręgu, którym nie chciałoby się nadebrać na odcisk, to major Bao i prokurator Xu.

Ujgur i Kazachowie zrobili sobie na platformie ciężarówki legowiska z worków z ryżem i natychmiast położyli się spać. Shan podszedł do Jakli, która stała przy jednym z podtrzymujących dach słupów, wpatrując się w plac obozowy.

–Nie spodziewałam się tego. Przepraszam – powiedziała. – Jowa powiedział mi w chatce Lau, że pracują nad wywiezieniem cię z Chin, że w ONZ są ludzie, którzy

zajmą się tobą, gdy tylko przekroczysz granicę. Nie zastanawiałam się. Większości z nas nigdy nie trafia się taka szansa. Nie powinniśmy byli narażać cię na takie ryzyko.

–To tylko miłe słowa, nic więcej – odparł Shan. – Mówią mi tak czasem, żeby podtrzymać mnie na duchu. To potrwa lata. A najprawdopodobniej nigdy do tego nie dojdzie. – Spojrzał w stronę stołówki, gdzie po raz ostatni widział nadzorcę strumieni, potem na barak z zadrutowanymi oknami, gdzie trzymano więźniów specjalnych. Zapomniał zapytać nadzorcę, czy znał Genduna. – I nikt nie ciągnął mnie tu siłą – dodał, próbując zmusić się do uśmiechu.

Jakli znów spojrzała na plac. Nie na plac, zorientował się po chwili, lecz na ogrodzenie, albo na przylegającą do niego sznurową zagrodę.

–Kiedyś było więcej koni – powiedziała ze smutkiem. – Te raz wywożą je pociągami z Kaszgaru na wschód. Tam są fabryki, w których zabijają konie. Pakują mięso do puszek. Żeby władza mogła się przechwalać, jak dobrze żywi ludzi. Teraz zachciało im się wszystkich stad, nawet dzikich.

Jowa miał rację, pomyślał Shan. Program Walki z Ubóstwem był programem likwidacji. W imię pozbywania się nierentownych aktywów władza niszczyła cały koczowniczy styl życia. Prywatny, politycznie słuszny program, który miał doprowadzić do końca to, co Pekin zaczął dziesiątki lat wcześniej.

–Dlaczego biały koń? – zapytał.

–Białe konie są na podarunki.

–Chcesz powiedzieć: prezenty ślubne? – zapytał, odwracając się, by spojrzeć jej w oczy.

–Nie tylko ślubne. Z okazji nadania imienia, ważniejszych świąt – odparła, ponownie przenosząc wzrok na konia. – Ale głównie ślubów – dodała z łagodnym, lecz zdecydowanym uśmiechem, który mówił, że nie powie już nic więcej na ten temat.

–Wangtu wspomniał, że Lau odczytywała nazwiska tych z dwudziestego dziewiątego maja i...

–I z dziewięćdziesiątego siódmego – dokończyła. – Demonstracje polityczne. Dwudziestego dziewiątego maja 1962 roku wybuchło powstanie. W Yining Kazachowie i Ujgurzy wystąpili przeciwko rządowi. Wielu zginęło. Władze nigdy nie ujawniły listy ofiar. Ale my znamy nazwiska. Składamy im hołd, odczytując je głośno na zgromadzeniach klanów. Potem, w 1997 roku, były następne walki. Wezwano ALW Wojsko użyło karabinów maszynowych. W Urumczi eksplodowały bomby.

–Czy Lau była dysydentką?

–Czy ktoś, kto czyta dzieciom nazwiska bohaterów, jest dysydentem?

–Wiesz, o co mi chodzi. Czy notowano ją za krytykowanie władzy?

–Nie. – Jakli z trudem oderwała wzrok od konia. Wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru. – W przeciwnym razie nie byłoby

nas tutaj. Nie byłoby morderstwa do wyjaśniania. Byłoby może

oświadczenie o reedukacji politycznej. Być może kłamstwo

o jej przeniesieniu. Ale nie byłoby już Lau. – Wyjęła z kieszeni

złożoną w pół wyświechtaną kopertę, podeszła do kabiny ciężarówki i wsiadła do środka, jak gdyby chciała przeczytać w spokoju to, co było w kopercie.

Shan uświadomił sobie, że gdyby wdrapał się na worki, które pozostały na platformie, w głęboki cień rzucany przez dach szopy, miałby znakomity widok na kompleks administracyjny, a sam nie byłby widoczny z zewnątrz. Umościł się na stercie worków i zajął się tym, co potrafił najlepiej. Obserwowaniem.

Magazyn, najwyraźniej zazwyczaj otwarty, z jakiegoś powodu zamknięto. W trzech ścianach, które miał okazję widzieć do tej pory, nie było okien, a jedyne, podwójne drzwi znajdowały się przy rampie. Teren opustoszał. Była to pora popołudniowych zajęć. Coś się działo tylko przed kotłownią, do której kilku mężczyzn wozilo taczkami węgiel, oraz przy małej szopie, gdzie stał na warcie samotny pałkarz – od czasu do czasu obchodził ją dookoła,

niekiedy przystawał i mierzył z broni w stronę horyzontu. Budynek administracyjny był pogrążony w ciszy, jedynie z otwartego okna dochodziła muzyka. Był to marsz wojskowy, odtwarzany w kółko z fatalnie porysowanej płyty.

Shan zasnął. Gdy się obudził, przed budynkiem biurowym zobaczył limuzynę Czerwony Sztandar, która tam przedtem nie stała. Muzyka ucichła, ale nie było widać tego, kto przyjechał tym samochodem. Za wewnętrznym ogrodzeniem kilku więźniów kręciło się wokół stołówki. Jedna z edukowanych politycznie grup siedziała teraz na środku placu obozowego, wokół masztu, na którym powiewała czerwona flaga Chin Ludowych. Drzwi magazynu wciąż były zamknięte. Robotnicy ciągle wozili węgiel do kotłowni. Ale wartownik przy budce ustawił przed nią krzesło. Siedział na nim bezwładnie, jak gdyby spał, z bronią przewieszoną przez oparcie.

Powoli, spoglądając to na pałkarza, to na budynek biurowy, Shan zsunął się ze sterty worków. Jakli poszła w ślady Grubego Mao oraz kuzynów i spała, zaciskając ręce na wyświechtanej kopercie, jakby się nad nią modliła.

Ruszył w kierunku magazynu, walcząc z pokusą, by puścić się biegiem. Idąc, obserwował drzwi przy pustej limuzynie i, po przeciwnej stronie, śpiącego wartownika. Magazyn istotnie był zamknięty, lecz gdy Shan nacisnął klamkę, zdawało mu się, że słyszy czyjś głos.

–Kto tam jest? – szepnął, najpierw po tybetańsku, potem po mandaryńsku.

Wydawało się, że nadeszła odpowiedź, cichy dźwięk, ale czy było to słowo, czy tylko jęk, nie potrafił stwierdzić.

Nie mógł ryzykować, że ściągnie na siebie uwagę. Pospiesznie cofnął się od drzwi i przeszedł za róg budynku w nadziei, że po drugiej stronie znajdzie okno. Nie było żadnego. Odwrócił się w stronę kotłowni i leżącego za nią cmentarza. Od szopy i budynku administracyjnego nie dochodziły żadne oznaki życia, brama nie była strzeżona. Ruszył w stronę szopy. Dziesięć metrów przed nią, wystarczająco blisko, by móc słyszeć głębokie chrapanie strzegącego jej pałkarza, skręcił w stronę kotłowni.

Z komina unosił się niewielki słup tłustego dymu, który sunął w stronę gór. Pół tuzina mężczyzn pracowało przy usypanej pod

ścianą budynku hałdzie węgla, ładując go na wielkie taczki, które pchali przez otwartą przednią ścianę pod dach i opróżniali przy kotle, gdzie inny mężczyzna łopata wrzucał węgiel do ognia.

Ta szóstka różniła się od innych więźniów. Nie nosili zgrzebnych szarych uniformów, jak ludzie za wewnętrznym pierścieniem drutów, i choć ich ubrania pokrywał pył węglowy, barwy koszul i kamizelek wciąż były dość żywe, by zdradzić w nich niedawnych przybyszów. Być może, pomyślał Shan, to kolejni z więźniów specjalnych Xu. A jednak było w nich coś osobliwego. Wangtu i inni otrzymali lekkie obowiązki. Ci ludzie wykonywali najcięższą pracę w całym obozie, jak gdyby już z góry skazani byli na najsurowszy los. Ich twarze jednak zdawały się mówić coś innego. Nie było w nich uległości, nie było nawet śladu zgorzkniałej zgody na oddanie oficerom politycznym części własnego życia. Byli to twardzi mężczyźni o wyrobionych mięśniach. Żaden z nich nie był Chińczykiem. Wydawało się, że nie traktują swej harówki poważnie, jakby w każdej chwili mogli zostać od niej uwolnieni lub nawet wypuszczeni na wolność. Ale nie spodziewali się pomocy od Shana. Trzech z nich spojrzelo na niego z wściekłością i natychmiast odwróciło wzrok. Pozostali nie przerwali pracy, tylko w milczeniu zerkali na niego spode łba. Potem przypomniał sobie dane z komputera, które pokazał im Gruby Mao. W Obozie Chwały zarezerwowano miejsca także dla innych, dla Brygady oraz dla specjalnych oddziałów pałkarzy zwanych sztylpami, których zadaniem była walka z reakcjonistami i buntownikami.

Wszedł w cień pod dachem i obejrzał się za siebie. Nic się nie zmieniło. Limuzyna nadal stała przed biurem. Pałkarz wciąż spał. Shan rozejrzał się po kotłowni. Była tu wyłącznie maszyna, kocioł i napędzany wytwarzaną w nim parą mały stary turbogenerator. Obok generatora stał warsztat z narzędziami mechanika. W budynku nie było nikogo, jeśli nie liczyć człowieka przy otwartych drzwiach kotła, czarnej sylwetki na tle buzującego ognia, który na widok Shana przerwał pracę i wyprostował się wsparty na łopacie.

Gdy Shan niezdarnie skinął głową i zrobił krok do środka, mężczyzna grzbietem dłoni otarł sadzę z czoła. Shan stanął jak

wryty. Skóra nieznanego była biała. Mężczyzna zsunął na tył głowy brudną czapkę, ukazując długie jasne włosy. Kiedy Shan zbliżył się, przez twarz palacza przemknął cień zainteresowania. Kopnięciem ciężkiego, zachodniego w stylu buta turystycznego zamknął drzwiczki kotła, uciszając ryk płomieni.

–Witaj, ekscelencjo – odezwał się drwiąco. Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem. – Masz dla mnie herbatę i ciastka?

Shan zrobił jeszcze jeden krok naprzód, gdy nagle na jego ramieniu zacisnęła się aż do bólu czyjaś dłoń i szarpnęła go w tył tak silnie, że omal nie upadł. Obróciwszy się, ujrzał przed sobą twarz muskularnego strażnika z Urzędu Bezpieczeństwa, który najwyraźniej obudził się w fatalnym nastroju. Jego palce spoczywały obok języka spustowego broni, wiszącej na ramieniu lufą do przodu.

–Nie ma wstępu, do cholery! – Warknął pałkarz. – Dla nikogo! Nigdy! – Wrzasnął, brutalnie wypychając Shana na światło.

–Hej! – zawołał na pożegnanie wysoki Amerykanin, salutując drwiąco. – Może zjemy kiedyś razem lunch?

Shan pozwolił się prowadzić w stronę środka placu, oglądając się za siebie. Amerykanin, zwróciwszy się w stronę pracujących przy stercie węgla, z udawanym rozczarowaniem wzruszył demonstracyjnie ramionami. Mężczyźni parsknęli śmiechem, a on nasunął czapkę na czoło i znów zaczął dorzucać węgiel do ognia.

Gdy Shan ponownie spojrzął na strażnika, twarz stężała mu z przerażenia. Nie chodziło po prostu o to, że nie pozwolono mu patrzeć na ludzi pracujących w kotłowni. Został zdemaskowany. Był eskortowany przez pałkarza. Pałkarze nie prowadzili człowieka tam, gdzie sam chciał się znaleźć. Prowadzili go tam, gdzie chciała go mieć bezpieka.

Ale gdy tak szli przez pusty plac, determinacja pałkarza zdawała się gasnąć. Jego kroki stawały się coraz krótsze. Puścił ramię Shana. Spojrzął na szopę, przy której postawiono go na straży, potem zerknął w tył, na budynek administracyjny, i odwrócił się niepewnie do Shana. Nagle szybkim ruchem zwrócił głowę z powrotem w stronę biur. Na schodach pojawiła się kobieta w czarnym kostiumie. Prokurator Xu Li.

Strażnik ponownie przeniósł wzrok na Shana.

–Nikom nie wolno się zbliżać do personelu kotłowni, to wszystko – powiedział nerwowo. Nieśmiało, z szacunkiem otrzepał ramiona wyświechtanej kurtki Shana i pobiegł z powrotem do swej szopy.

Kobieta patrzyła na Shana. Najwyraźniej czekała na niego. By go wezwać, nie potrzebowała strażnika z pistoletem maszynowym. Jej surowe spojrzenie samo w sobie stanowiło wystarczającą broń.

Kątem oka dostrzegł, że pod wiatą remontową panuje bezruch i spokój. Czy będzie przynajmniej miał szansę pożegnać się z Jakli, przekazać wiadomość dla Lokesha? Nie, zreflektował się, nie wolno mu zrobić nic, co mogłoby narazić dziewczynę i pozostałych. Jego umysł pracował jak szalony. Będzie musiał powiedzieć, że oszukał Jakli i Grubego Mao, że nie mieli pojęcia, kim jest.

Położył dłoń na piersi, na zawieszonym na szyi gau, po czym wziął głęboki oddech i drobnymi, lecz pewnymi krokami poszedł oddać się w ręce prokurator Xu. Zmagając się z zimną ręką strachu, która ścisnęła mu trzewia, dał się ponieść instyktom więźnia. Czy odwiozą go z powrotem do Tybetu? Czy wyślą go, jak poprzednio, do specjalnego miejsca przesłuchań na pustyni? Czy może uznają, że nie jest wart fatygi i pozbędą się go na miejscu? Przynajmniej, odezwał się w jego mózgu obojętny głos, będziesz miał prawdziwy grób.

Idąc, przyglądał się szczupłej, surowej twarzy kobiety. Co dziwne, nie dostrzegał na niej pogardy strażnika więziennego wobec więźnia. Jej twarz nie zdradzała podejrzliwości, jedynie zniecierpliwienie.

Był już niemal na schodach, kiedy odwróciła się i weszła do środka, zostawiając mu otwarte drzwi. Podążył za nią.

Wewnątrz budynek nie różnił się niczym od setek innych biur rządowych, jakie miał okazję oglądać. Większość powierzchni zajmowała wielka sala z dwoma rzędami metalowych biurek, za którymi mało kto siedział. Młoda kobieta kazachskiej lub ujgurskiej krwi, z włosami splecionymi w dwa mysie ogonki, uniosła głowę znad terminala komputerowego, lecz zaraz nerwowo odwróciła wzrok. Ktoś szepnął ostrzegawczo i Shan zobaczył, jak

dwaj następni urzędnicy czmychają od swych biurku ku innej kobiecie, która gestem skierowała ich na zaplecze. Jak gdyby dostrzegli u Xu oznaki aktywności wulkanicznej i lada moment oczekiwali erupcji.

Xu Li czekała na niego w drzwiach sali konferencyjnej, wskazując mu krzesło przy ogromnym metalowym stole.

Usiadł. Xu podeszła do termosu i nalała herbatę do dwóch kubków, jeden postawiła na stole na skraju zasięgu rąk Shana, po czym usiadła naprzeciw niego.

–Wiem, co tu robicie – oświadczyła szorstko.

To był koniec, zanim jeszcze cokolwiek się zaczęło. Dzieci wciąż ginęły. Gendun był nie wiadomo gdzie. Lama, nadzorca strumieni, siedział w obozie. A Shan nigdy już nie zdoła im pomóc, nigdy nie wyjedzie z Chin. Zaciśnął dłonie wokół parującego kubka. Więźniowie znali różne sztuczki, które pozwalały im przetrwać. Wiele z nich po prostu pozwalało przebrnąć przez kolejną chwilę, nie myśleć o cierpieniu, które miało nadejść, zając się jedynie cierpieniem doznawanym tu i teraz. Czy jego dłonie instynktownie podjęły tę starą grę, zastanawiał się, szukając parzącego gorąca kubka, koncentrując się na jednym zmyśle, aby odsunąć na tak długo, jak to tylko możliwe, zalew bólu, który go czekał? Mnisi, z którymi dzielił obozowy barak, uczyli go, że to nie jest najlepsze rozwiązanie, że nie powinien się koncentrować, ale dążyć do pełni świadomości, co pozwoli mu skierować swój umysł tam, gdzie przesłuchujący nie mają dostępu. Był jednak nie przygotowany, i jeśli taka koncentracja stanowiła jedyną podporę, na jaką mógł liczyć, zamierzał z niej skorzystać. Wpatrywał się w kubek, aż zaczął go widzieć nieostro. Z roztargnieniem zastanawiał się, jak wiele lat minie, nim znów będzie miał okazję pić prawdziwą herbatę, jeśli na powrót trafi do gułagu. Czasami, gdy dawano im gorącą wodę, wrzucał do niej jakieś zielsko i nazywał to herbatą.

–Nazywam się Xu Li – oświadczyła kobieta. – Jestem prokuratorem tego okręgu.

Nefrytowa Dziwka. Niewiele brakowało, by Shan wypowiedział te słowa. Była jeszcze jedna sztuczka na czas przesłuchań, której nauczył się nie od mnichów, ale od wojowniczych Khampów

ze swego baraku. Uprzedzić strach. Uprzedzić ból. Jeżeli grożą ci czymś strasznym, wyobraź sobie jeszcze większe okropności. Jeżeli chcą cię zranić, spróbuj zadać sobie jeszcze większy ból. Uniósł kubek do ust i przełknął połowę jego parzącej zawartości, czując, jak struga bólu spływa od języka aż do żołądka. Odstawił kubek i z obojętną twarzą wpatrywał się w prokuratorkę.

Jego zachowanie najwyraźniej ją zaniepokoiło. Uniósła do ust własny kubek, lecz natychmiast go odstawiła, gdy gorąca herbata sparzyła jej język. Zmarszczyła brwi.

–Wiem, że jesteście z Pekinu. Nie znam waszego prawdziwego nazwiska. – Mówiła ze spokojem i niezwykłą pewnością

siebie, jak osoba od dawna nawykła do bezwzględnego sprawowania władzy. – Nie chcę znać waszego nazwiska.

Nie wierzył własnym uszom. Jak to możliwe, że już poznała jego przeszłość? Czy był aż tak nieostrożny? Czy wszystko, co się wydarzyło, odkąd przybył do Xinjiang, było tylko wymyślną pułapką?

–Nikt mnie nie pytał, czy akceptuję to, co robicie. Nikt o to nie zapyta. To Pekin, czuję w tym wszystkim rękę Pekinu – dodała, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

Shan rozejrzał się po pokoju. Na jednej ze ścian wisiała szkolna tablica. U góry ktoś nabazgrał szereg cyfr. Tysiąc dziewięćset czterdzieści osiem, niewątpliwie liczba więźniów odbywających reedukację w Obozie Chwały. Obok dostrzegł wyblakły plakat, mozaikę uśmiechniętych promiennie, młodzieńczych chińskich twarzy, z nagłówkiem *Zniszczyć Cztery Przeżytki*. Była to jedna z najdłużej trwających kampanii rozpoczętych wiele lat temu przez Czerwoną Gwardię, fala obłędu, która zmiotła jego ojca. Zniszczyć starą kulturę, stare obyczaje, stare poglądy, stare nawyki. Szczególnie bolesne ciosy dosięgły wówczas Tybetańczyków, ludy wyznające islam i inne mniejszości narodowe. Do ognia trafiały stare księgi, tradycyjne stroje i obiekty kultowe. Bywały ogniska, w których płonęły wyłącznie warkocze zaplecione na dawną modłę.

Ogień. Gdyby podłożył ogień, pomyślał, patrząc na wypełniony papierami kosz na śmieci, być może w zamieszaniu Jakli i Kazachów wypuszczono by z obozu bez zadawania pytań.

–Ale mimo wszystko to ja jestem prokuratorem – rzuciła krótko Xu Li.

Shan ponownie spojrział na kobietę. Dlaczego wyrażała się tak niejasno?

–Widziałem wasz obóz – powiedział ostrożnie.

–Moja pieczęć jest tu jedną z wielu. Obóz Chwały to obiekt wykorzystywany przez kilka okręgów Xinjiang i Tybetu.

O co jej chodziło? Chciała go zachować dla kogoś innego? Podrażnić się z nim, zanim ruszy do morderczego ataku?

–Nie wątpię, że jesteście gorliwą strażniczką ludu, towarzyszeko prokurator. – Odwzajemnił jej nieruchome spojrzenie.

Uniosła kubek, jak gdyby salutowała Shanowi, po czym upiła nieco herbaty, przyglądając mu się uważnie.

–Od wielu lat służbę mieszkańcom tego okręgu. Nie wstydzę się tego, co robię. Kiedy mój pierwszy okres służby dobiegł

końca, mogłam wrócić do Pekinu. Poprosiłam jednak o zgodę na pozostanie. Partia i ministerstwo wielokrotnie nagradzały mnie za postęp, jaki tu wprowadziliśmy.

Powtórzył jej gest, unosząc kubek. Jak mierzysz postęp? zapytał w duchu. Liczbą wysłanych za druty? Wielkością więziennego cementarza?

–Wierzę w prawo i porządek – ciągnęła Xu. – Wiem, że macie zadanie do wykonania. Ale informuję was, towarzyszu, że

nie boję się robić tego, co do mnie należy. Pociągnę do odpowiedzialności każdego, kto narusza prawo. – Utkwiła w nim

złowrogie spojrzenie, po czym nagle wstała i wyszła z pokoju, zostawiając otwarte drzwi.

Shan patrzył za nią kompletnie oszołomiony. Buddyjskie mity wspominały o duchach, które można było napotkać w podróży. Przemawiały dziwnymi słowami i obnażały zęby, ale jeśli odchodziły, nie pożerając wędrowca, spotkanie z nimi uważane było za pomyślny znak.

Pracownicy w sali biurowej nie unieśli wzroku, kiedy ich mijał. Nie nadszedł żaden strażnik. Nie pojawili się żadni lekarze ze strzykawkami. Wciąż w szoku, zatrzymał się, żeby ochłonać. Po chwili jednak urzędnicy zaczęli mu się przyglądać, więc szybkim krokiem ruszył ku drzwiom.

Gdy wyszedł przed biuro, limuzyny już tam nie było. Jakli i

jej kuzyni wciąż spali. Zajrzał do schowka pod deską rozdzielczą ciężarówki, by się upewnić, że jest tam latarka, po czym wspiął się na platformę i znowu ułożył się na workach z ryżem. Stopniowo zapadł w sen zakłócany wizjami martwych dzieci.

Kiedy się obudził, była noc. Blade żarówki zamontowane pod głośnikami układu nagłaśniającego stanowiły jedyne oświetlenie kompleksu biurowego. Jakli i pozostali siedzieli w kucki przy małym ognisku z połamanymi desek. Nadziali na śrubokręty kilka małych jabłek i przypiekali je nad płomieniami. Jakli zsunęła jedno na

zatłuszczoną szmatę i podała Shanowi.

Wziął jabłko i przerzucał je z ręki do ręki, żeby ostygło.

–Powiedzieli wam, dlaczego magazyn jest zamknięty? – zapytał.

–Z polecenia Urzędu Bezpieczeństwa, nic więcej. Czasami odkażają go gazem.

Może to trujące.

–Ja myślę, że trzymają tam kogoś.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

–To w końcu obóz. Wskazał głową komin.

–Co się stało z tamtymi ludźmi? Z tymi, którzy nosili węgiel? – Przy kotłowni nikogo nie było widać.

–Nie mam pojęcia – odparł Gruby Mao. – Spaliśmy.

–Dlaczego musiała ich pilnować bezpieka?

Jakli gwałtownie uniosła głowę.

–Pałkarze? Pałkarze są tutaj? – Cofnęła się o krok, tak że jej twarz znalazła się w cieniu. Pozostali, nagle zaniepokojeni, unieśli wzrok. Jej zachowanie nie wymagało komentarzy.

–Widziałem jednego. – Shan zerknął w stronę szopy. Wyglądała na opuszczoną. – Przy kotłowni. – Z komina unosiła się smuga dymu. Podsypano węgla do kotła i zmniejszono dopływ powietrza, żeby palił się wolno. Nocą zapotrzebowanie na elektryczność i ciepło było niższe. Jakli podeszła do jednego ze słupów podtrzymujących dach i oparłszy się o niego, omiotła wzrokiem teren.

Shan stanął obok niej.

–I widziałem prokuratorkę – dodał.

–Ma tu sporo spraw – odparła, nie kryjąc goryczy.

–To znaczy rozmawiała ze mną. – Opowiedział o swym dziwnym spotkaniu z Xu.

Gruby Mao podszedł do nich i poprosił, żeby Shan powtórzył słowa prokuratoroki.

–Ona wzięła cię za kogoś innego – sapnął z niedowierzaniem.

–Ściślej – rzekł Shan, czując dreszcze – wzięła mnie za kogoś, kto mógłby zadawać się z Kazachami i Ujgurami, za Chińczyka pracującego wśród pasterzy. – Mówiąc, patrzył w twarz Grubego Mao. – Chińczyka, któremu sama prokuratoroka nie ośmiela się rzucić wyzwania.

–Z Pekinu – dodała cicho Jakli.

Gruby Mao zaklął.

–Zarezerwowano sześć miejsc na użytek centrali bezpieczeństwa – przypomniał jej. – Centrala wykorzystuje czasem szpiegów. Tajnych agentów.

–Co to oznacza? – zapytała.

–Nie mam pojęcia – odparł Shan. – Ale najwyraźniej klany z pogranicza są w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż sądziliśmy. Pałkarze nie wysyłałoby szpiega po prostu do pomocy we wdrażaniu Programu Walki z Ubóstwem. Gdzie jeszcze gromadzą się klany? Gdzie obcy mógłby do nich dotrzeć?

Jakli zastanowiła się.

–W Karaczuku – odparła po chwili. – Tam, gdzie zginęła Lau. Shan pokiwał głową. Lau udała się ze swą tajemnicą na pustynię, ale jej bezpieczne miejsce zostało zinfiltrowane.

–Powiedz mi, jak się tam dostać.

–Zawiozę cię.

–Nie. Ty musisz wrócić do miasta. Do pracy.

–Przysięgam to Lau.

–Lau nie chciałyby widzieć cię znów w więzieniu.

–Jasne, pójdę robić kapelusze – prychnęła dziewczyna. –

Czerwone kapelusze z paciorkami. Fioletowe kapelusze z cekinami. Kiedy dzieci giną, a klan Czerwonego Głazu przestaje istnieć. – Odwróciła się i odeszła w głąb szopy. Oparła się o jeden ze słupów, patrząc w mrok.

Po chwili Shan zorientował się, że Jakli nie patrzy na plac obozowy, ale dalej, na skrawek cienia znaczący zagrodę, w której trzymany był biały koń. Aż tu dobiegał go odgłos nerwowo uderzających o ziemię kopyt. Gdy podszedł bliżej, dziewczyna zaczęła nucić cichą pieśń w języku swego klanu. Shan rozpoznał

powtarzające się raz po raz słowo. Khoshakhan. Tak mówi się zwierzętom, że się je kocha.

–To dla konia, prawda? – zapytał Shan, kiedy skończyła.

Drgnęła, jak gdyby dopiero teraz spostrzegła, że Shan stoi obok niej.

–Tak. To pieśń o tym, jak... – Zastanowiła się. – Jej słowa mówią: zdradził cię pędzący wiatr. Wplotę w twoją grzywę sowie pióra i pomkniemy jak strzała w górskie chmury. Nauczyłam się jej od stryjecznego dziadka. On był synshy, znawcą koni. Potrafił rozmawiać z końmi.

–Powiedziałaś: sowie pióra?

–Pióra sowy przynoszą szczęście. I mądrość.

Shan uświadomił sobie, że jego dłoń spoczywa na gau.

–W dniu, w którym nadano mi imię, urodził się piękny czarno-biały żrebak i ojciec obiecał mi go. Dorastaliśmy razem. Miał na imię Zharya. Wygrywaliśmy wyścigi, wiele wyścigów. Jeździliśmy na górskie łąki i grałam na dombrze, a on słuchał. –

Za ich plecami rozległy się szepty i Shan odwróciwszy się, spostrzegł, że inni także przysłuchują się opowieści.

–Czy on wciąż jest w obozie Czerwonego Głazu? – zapytał.

Znów zaczęła swą pieśń, tym razem jedynie mruczając ją bez słów.

–Nie – odparła sztywno, akurat gdy Shan uznał, że musiała nie dosłyszeć pytania. – Kiedyś dowiedziałam się, że szosą będzie przejeżdżać wojskowa ciężarówka. Razem z Zharyą przeciągnęliśmy w poprzek drogi ciężką kłodę. – Umilkła i zrobiła krok w ciemność, po chwili jednak znów się odezwała: – Wjechaliśmy na szczyt góry i obserwowaliśmy z urwiska, gdzie żołnierze nie mogliby nas dosięgnąć. Staliśmy obok siebie i śmialiśmy się obydwój, gdy żołnierze próbowali odsunąć kłodę.

Nagle Zharya zarżał i upadł, a z dołu dobiegł trzask. Zastrzelili go z karabinu. – Znów zapatrzyła się w mrok. – Umierał przez całe popołudnie. Po prostu leżał tam z głową na moich kolanach, patrząc na mnie takim wzrokiem, jak gdyby wszystko to było tylko kiepskim żartem.

Zapadła cisza. Uderzył w nich wiatr, suchy, chłodny podmuch niosący woń węglowego pyłu. – Ale teraz masz nowego konia – odezwał się wreszcie Shan.

–Tego? To tylko jeden z klanowego stada. Moje końskie życie skończyło się – powiedziała smutno i wdrapała się na stertę worków, żeby pospać.

Shan oparł się o słup i stał tam, rozglądając się po okolicy, wreszcie po kwadransie za przykładem innych ułożył się na workach. Nie spał jednak. Obserwował.

Plac obozowy był pusty, ale na wieżach strażniczych paliły się lampy, a w nieregularnych odstępach czasu włączały się reflektory, omiatając ogrodzenie snopem światła. Nie było mowy o tym, by przedostać się przez druty i odnaleźć nadzorcę strumieni, nie było mowy o szukaniu Genduna w baraku dla więźniów specjalnych. Shan jeszcze raz spojrzął na kotłownię. Wciąż korzystano z elektryczności. Ktoś będzie musiał dołożyć węgla do kotła.

Przyjrzał się wschodowi księżycy i wysłuchał puszczonego przez megafony hymnu państwowego, który obwieścił początek ciszy nocnej. Zastanawiał się, jakie zasady obowiązują podczas ciszy nocnej w lao jiao. Z pewnością nie mogły być tak surowe jak w obozie pracy przymusowej. Więźniów lao gai przyłapanych w tym czasie poza barakiem o nic nie pytano – byli rozstrzeliwani na miejscu.

Musiał przysnąć na chwilę, bo kiedy uniósł wzrok, zauważył, że dym z komina wyraźnie zgęstniał. Ogień został podsycony. Po robotnikach nie było jednak ani śladu. Odczekał jeszcze kwadrans, po czym cicho zsunął się z worków i minąwszy śpiących towarzyszy, wśliznął się do kabiny po latarkę. Baterie były niemal wyczerpane, snop światła sięgał zaledwie na metr. Doskonale odpowiadało to jego potrzebom.

Powoli, z sercem walącym jak młotem, przeszedł przez plac i okrążył małą szopę przy kotłowni. W tylnej ścianie było okienko. Zamknięte. Przycisnął twarz do szyby, nic jednak nie dostrzegł. Wyglądając zza przedniego narożnika szopy, rozejrzał się po terenie. Wzdłuż zewnętrznego pierścienia drutów sunął samotny pojazd o oślepiająco jasnych reflektorach. Wóz patrolowy.

Odczekał, aż samochód minie przednią część kompleksu i zniknie za zakrętem, po czym sprawdził, czy drzwi szopy są otwarte. Były. Wewnątrz znajdowały się dwa małe pomieszczenia. W pierwszym zobaczył łopaty, grabie i miotły oraz leżący na

podłozie długi pakunek owinięty w workową tkaninę. Shan widywał już takie toboły, na targach dywanów. Warsztaty tkackie Xinjiang, szczególnie w tym odległym, południowo-zachodnim zakątku regionu, od czasów Jedwabnego Szlaku dostarczały dywanów Chinom oraz reszcie świata.

Przeszedł do tylnego, większego pomieszczenia. Piętrzyły się tu, ustawione po pięć lub sześć jedne na drugich, kartonowe pudła, w większości fabrycznie zaklejone. W bladym świetle latarki dojrzał etykiety z angielskimi i japońskimi napisami. W pudłach znajdowały się radia, magnetofony i kamery wideo. Dostrzegł też przeszło trzydzieści mniejszych kartonów, zawierających urządzenia opisane jako odtwarzacze płyt kompaktowych. Dwie hermetyczne metalowe skrzynki na amunicję wypełnione były fiolkami leków w oryginalnych, fabrycznych opakowaniach. W niektórych rozpoznał antybiotyki, inne nosiły nic mu nie mówiące angielskie nazwy handlowe. Wyciągnął z kieszeni mały bloczek i spisał w nim przedmiot po przedmiocie, po czym szybko nabazgrał u góry strony: *Obóz Chwały, towary czarnorynkowe.*

Zastanawiając się, dlaczego pałkarze pilnowali tego, co zgromadzono w szopie – zabezpieczali po prostu materiał dowodowy czy strzegli własnej inwestycji? – Shan wrócił do mniejszego pomieszczenia i uklęknął przy dywanie, który bez wątpienia należał do tej samej partii dóbr. Gdy nachylał się nad nim, latarka wypadła mu z ręki i potoczyła się po podłozie. Nie zadając sobie trudu, żeby ją podnieść, wsunął palce pod płótno, chcąc sprawdzić, jak gęsty jest splot, by ocenić wartość dywanu. Cofnął je z przerażeniem.

Z jego ust wyrwał się słaby jęk. Gwałtownie rzucił się w tył. Dysząc ciężko, przeczołgał się do drzwi, uchylił je i leżał pod nimi, wdychając wielkimi haustami chłodne nocne powietrze, żeby się uspokoić. Minęło kilka minut, nim ochłonął na tyle, by móc wrócić do tobołu.

To nie był dywan. Odszukał latarkę, rozchylił płótno i przyjrzał się swemu odkryciu. Z worka, zdumionym, martwym wzrokiem, patrzył na niego młody człowiek o pokrytej sadzą twarzy i kruczoczarnych włosach. Śmierć musiała nastąpić niedawno, gdyż ciało nie zdążyło jeszcze ostygnąć. Shan poczuł wilgoć na

swej dłoni i nachylił się nad trupem. Lewe ucho mężczyzny zostało odcięte. Była to prastara forma tortur, z upodobaniem stosowana w czasach „rewolucji kulturalnej”. Kiedy więzień odmawiał składania zeznań, nie chciał wmieszać do sprawy innych, zdradzając, co od nich usłyszał, odcinano mu ucho. Jeśli nie chcesz dzielić się z nami tym, co ci wpadło w ucho, to jaki z niego pożytek, wrzeszczeli przesłuchujący z Czerwonej Gwardii. Na twarzy wciąż jeszcze widać było ślad uśmiechu. Wielki smutek, który ogarnął Shana, na powrót zmienił się w przerażenie, gdy zbliżył przygasającą latarkę do otwartych oczu mężczyzny. Były niebieskie.

Przeciągnął rogiem worka po włosach trupa. Na materiale pojawiła się tłusta, czarna smuga. Powąchał ją. Pasta do butów. Otarł dokładniej głowę mężczyzny, odsłaniając włosy koloru słomy. To był cudzoziemiec z kotłowni, Amerykanin, który drwił z niego, dorzucając węgiel do kotła.

Usiadł w pozycji lotosu i zgasił światło. Ciemności rozświetlał teraz jedynie wpadający przez uchylone drzwi blask księżyca. Nie śmierć tak nim wstrząsnęła, ale to, że śmierć stała się tak znajoma. Odkąd musiał porzucić swe poprzednie, pekińskie wcielenie, wydawało się, że natyka się na nią wszędzie. Być może to miał na myśli jeden z jego nauczycieli, mówiąc, że śmierć jest ostateczną miarą wielkości duszy. Może niepokoiło go właśnie to, że śmierć jakby podkreślała, ile brakuje ludziom do doskonałości, i że im bardziej się do niej zbliżał, tym bardziej niedoskonały czuł się sam.

Nie wiedział, jak długo siedział w świetle księżyca przy martwym człowieku. Gdy wrócił do rzeczywistości, uświadomił sobie, że recytuje buddyjską modlitwę za przejście duszy. Westchnął i ponownie włączywszy latarkę, odwinął ciało cudzoziemca z workowej tkaniny. Na palcu lewej dłoni dostrzegł jaśniejszy, czysty pasek skóry, ślad po pierścieniu. Prawą dłoń jednak nadal ozdabiał jakiś pierścień. Shan zsunął go. Było to proste stalowe kółko, na którym wydrapano prymitywną kratkę, pozostawione zapewne jedynie z powodu znikomej materialnej wartości. W kieszeniach koszuli mężczyzny Shan nic nie znalazł. Rozpiął ją. Prawy bark trupa przecinała blizna. Nad prawym biodrem widniało duże owalne znamię.

Dżinsy mężczyzny miały amerykańską metkę. Levi's. Ich kieszenie wyglądały na puste. Drogie amerykańskie buty turystyczne zabrano. Wepchnął palce w kieszenie spodni, najgłębiej, jak tylko się dało. W prawej tylnej wymacał wciśnięty na samo dno zwinięty skrawek papieru, najwyraźniej przeoczony przez tych, którzy przeszukiwali trupa. Widniało na nim kilkanaście dużych liter alfabetu łacińskiego zestawionych w pięciu wierszach. FBP, potem SBRF, SSCF, TBLF, a w ostatnim tylko C.

Uklęknął przy głowie Amerykanina, wpatrując się z natężeniem w jego oczy, jak gdyby mógł siłą woli na powrót tchnąć w nie życie. Nie wiedział nic o tym człowieku, poza tym, że był młody, silny i zuchwały. I że znajdował się daleko od jakiegokolwiek miejsca, które można by nazwać jego domem.

To było dzieło pałkarzy. To pałkarze zabili Amerykanina, uświadomił sobie nagle. Co takiego zrobił ten człowiek, że stał się aż tak niebezpieczny? Nawet pałkarzom zabicie cudzoziemca mogło grozić poważnymi konsekwencjami. I co takiego robił, że było to aż tak ważne, by ryzykować życie na takim odludziu, w takiej zapomnianej okolicy? Czasami sztylpy sprowadzają tu więźniów specjalnych z dalekich stron, mówiła Jakli. Tajnych więźniów.

Powoli okrył zwłoki i wstał, zamierzając odejść. Zrobił dwa kroki i przycisnął dłoń do piersi. Czuł się zupełnie bezradny. Wybiegł z szopy, okrążył ją i oparł się ciężko o tylną ścianę, łykając rześkie nocne powietrze, próbując oczyścić płuca z woni śmierci. Kiedy osunął się na kolana, w uszach znowu zadźwięczał mu nawiedzający go głos, tak wyraźnie, jakby zrozpaczony dropka stał tuż za jego plecami. Spiesz się. Śmierć jest w pobliżu.

Rozdział szósty

„Żółw” parł przez pustynię, kolebiąc się i podskakując na pofałdowanym piasku jak łódka na wzburzonym morzu. Jakli pracowała ciężko za kierownicą, często skręcając, by wjechać pod odpowiednim kątem na wydniętą, ominąć płat jasnego piasku, zawsze jednak wracała na kurs północno-wschodni, wiodący ku sercu pustyni. Gdy zjeżdżali z szosy, zatrzymała samochód i z powagą spojrzała na Shana.

–Takla Makan – powiedziała, wskazując bezkresny obszar piasku. – To stara nazwa, jeszcze z czasów przed wynalezieniem pisma. Pochodzi stąd, że tak wielu ludzi straciło tam życie. To znaczy: jeśli tam pójdziesz, nigdy nie wrócisz.

Ale Shan już teraz miał wrażenie, że utkwiał w miejscu, z którego nie ma ucieczki. Śmierć Amerykanina to nie moja sprawa, powtarzał sobie raz po raz, wpatrując się w pustynię, i nie moim zadaniem jest ją wyjaśnić. Miał już na karku Lau, Genduna i martwych chłopców, a teraz także nadzorcę strumieni, i nie było tam już miejsca dla martwego obcokrajowca. Jedynie ponury zbieg okoliczności sprawił, że natknął się na zwłoki. Amerykanin nie miał nic wspólnego z Lau i Khitaiem. Być może zginął w wyniku dziwnych rozgrywek między pałkarzami a prokuratorką, może nawet miało to jakiś związek z Ko Yonghongiem, który przechwalał się swymi doradcami z Ameryki. Najprawdopodobniej jednak była to robota sztylp, którzy sprowadzali wywrotowców z całych Chin do takich miejsc jak Obóz Chwały. Ale mimo wszystko śmierć Amerykanina szła za Shanem jak mroczny cień. Zaczął dostrzegać prawdę w tym, co

mówili mu rdzenni mieszkańcy tego regionu: że to widmowa kraina, zapomniana przez

wszystkich, zagubiona pomiędzy światami, gdzie ludzie kryją się w cieniu niczym duchy, a życie nie jest wiele warte.

–Mam wrażenie, że widzisz rzeczy, których ja nie dostrzegam – odezwał się, niepewny, czy napięcie w oczach Jakli oznacza gniew, czy jest po prostu skutkiem wyężenia uwagi. Nawet kiedy już zgodziła się zawieźć Shana tam, gdzie zginęła Lau, Gruby Mao sprzeciwił się temu, gderając, że dziewczyna musi wracać do fabryki, że miejsce, które nazywali Karaczukiem, jest dla Shana zbyt niebezpieczne. Do tego czasu zdążył już odwieźć ich do garażu, gdzie czekał Akzu, dzieląc się z opryskliwym mechanikiem kumysem z bukłaka. Naczelnik klanu, unosząc głos, machał ręką w stronę wysokich szczytów. Wreszcie, gdy Jakli obiecała, że odstawiwszy Shana do Karaczuku, wróci do fabryki, uściskał bratanicę i uklęknął do modlitwy z twarzą zwróconą na zachód, w stronę świętego miasta muzułmanów.

–Prawdę mówiąc, nie powinniśmy w ogóle wjeżdżać na pustynię ciężarówką – powiedziała po chwili. – Jedyne bezpieczne środki lokomocji to wielbłąd, ale niedoświadczony wędrowca często nawet on nie uratuje od śmierci. Mamy jednak do pokonania niedużą odległość, a tak blisko gór przez większą część drogi możemy jechać dawnym łożyskiem rzeki – wyjaśniła, sprowadzając pojazd z krótkiej wydmy na ciągnącą się niżej szeroką, równą wstęgę zwartego piasku. – Najważniejsze, żeby omijać miękkie miejsca.

–A jeśli tego nie zrobimy?

–Pustynia połknie ciężarówkę równie łatwo jak człowieka czy wielbłąda. – Jakby na potwierdzenie tych słów na brzegu martwej rzeki ukazał się stos zbieleiałych kości: z piasku sterczała długa czaszka i masywne żebra, zwrócone ku okrytym czapami śniegu górcom. – Tak było zawsze, odkąd wytyczono Jedwabny Szlak. Niektórym pustynia przyniosła bogactwo. Niektórym tylko śmierć.

Niemal godzinę później Shan dostrzegł ciemną smugę na horyzoncie. Nieregularne potężne kształty sprawiały wrażenie to nieforemnych budowli, to znów zerodowanych formacji skalnych. Przez chwilę Shanowi zdawało się, że jest to sznur jucznych zwierząt uginających się pod brzemieniem.

Na zakręcie łożyska rzeki Jakli dodała gazu i pomknęła na wprost w górę stoku, kierując się ku skałom. Przejechawszy pół mili, skręciła pod kątem prostym na południe, trzymając się równolegle do nich.

–Jedwabny Szlak... – odezwała się nagle. – Wiesz coś o nim?

–Tyle co z czytanek szkolnych – odparł Shan, wzruszając ramionami.

Skrzywiła się.

–Tam możesz wyczytać, że były to tereny zaciekłych walk

klasowych, wielkiego ucisku, świątyni kultu bogactwa budowanego na grzbietach niewolników – powiedziała, zwalniając nieco, żeby zerknąć na tajemnicze kształty. – Nasze podręczniki historii – wolno pokręciła głową – przypominają piękne malowidła oglądane od tyłu. – Wskazała nieregularne formy na horyzoncie. – Wspaniały Karaczuk. Pomijany milczeniem przez naszych nauczycieli, gdyż nie był dziełem Chińczyków. Ale właśnie z powodu miejsc takich jak to nauczyłam się nie przeklinać Takła Makan. Te same żywioły, które sprawiają, że pustynia jest tak zdradliwa, zachowały jej skarby.

Twarz Jakli złagodniała, gdy dziewczyna skierowała ciężarówkę w stronę niskiego, płaskiego grzbietu. Przeniósłszy wzrok za jej spojrzeniem, Shan dostrzegł starożytny mur.

–Karaczuk był oazą na południowej odnodze Jedwabnego

Szlaku – wyjaśniła – w czasach, gdy górskie lodowce zasilaly

jeszcze rzekę dość obficie, by zapewnić w niej wodę przez cały

rok. Niegdyś było to wielkie miasto, opiewane przez starożytnych za żyzność

okolicznych ziem i gościnność ludzi. Mieszkali

tu Ujgurzy i Kazachowie, i Tybetańczycy. Życie było tak przyjemne, że wielu podróżnych zatrzymywało się tutaj na całe

miesiące lub lata, czasem nawet na całe życie. Stare teksty

wspominają o nim, ale przestało istnieć przed wiekami, pogrzebane przez potężną burzę piaskową, karaburan. Potem, dziesięć lat temu, inna burza odsłoniła jego wyższe partie.

Teraz Shan mógł już dostrzec zupełnie wyraźnie, że dziwne formy są pozostałościami czegoś, co wzniosła ludzka ręka. Wał z ubitej ziemi o barwie piasku wznosił się gdzieniegdzie aż do płaskiej korony, w innych zaś miejscach się rozsypał, a przez wyrwy widać było małe wzgórki, których równomierne rozmieszczenie

kazało się domyślać, że niegdyś były to domy. Gdy Jakli wjechała na wydnię, która ciągnęła się na południe od muru niczym olbrzymia zaspą, ich oczom ukazał się potężny kształt o zdecydowanie ludzkich cechach. Był to posąg leżącego Buddy, wysoki w ramionach na sześć metrów, oparty na łokciu, zwrócony twarzą ku leżącym na południu gór, w stronę Tybetu. Większa część jego głowy zniknęła. Nad szyją pozostały jedynie wygięte w pogodnym uśmiechu usta.

– Zapomniałem, że tu żyli buddyści – odezwał się wolno Shan. Buddyści. Być może mimo wszystko natrafił na pewien trop, na trop utajonych buddystów. Mały muzułmanin noszący buddyjski różaniec. Sekretna tybetańska klasa w jaskini Lau. Nadzorca strumieni w obozie ryżowym. Bezgłowy Budda na pustyni.

– Cały ten teren, setki mil na północ i na wschód, był zamieszkały przez buddystów. Potem z zachodu przybyli tu muzułmanie, a ze wschodu Chińczycy – wyjaśniła Jakli. – Czytałam relację z podróży pewnego chińskiego mnicha – dodała po chwili. – Nazywał się Xuan Zang. Wędrował przez królestwo Karaczuk, pielgrzymując do Indii. Było to trzysta lat temu. Spis ludności królestwa wykazywał pięć tysięcy dusz, żyjących tu w luksusie i pokoju nieznanym w ówczesnych Chinach. Winogrona zwisały z altan nad każdym progiem. Wzdłuż ulic, w przydomowych ogródkach, rosły brzoskwinie i granaty, a król zarządził, że każdy przechodzień ma prawo dla pokrzepienia zerwać z drzewa dojrzały owoc, ale tylko jeden. – Odwróciła się ku niemu z cierpkim uśmiechem. – Oto oświecony komunizm co się zowie. – Wskazała na południe, gdzie na horyzoncie dało się dostrzec szczyty wysokich pasm górskich. – Ale zawdzięczali wszystko górskim lodowcom, które zasilają tutejsze rzeki i kanały nawadniające. Potem lodowce zaczęły się kurczyć. Gdy zabrakło wody, mieszkańcy zaczęli przenosić się bliżej gór. Zanim nadeszły burze piaskowe, miasto było już niemal zupełnie wyludnione. Pamiętam, jak burza wydobyła je spod piasków. Ludzie mówili, że sprawił to Bóg, aby nam przypomnieć, kim jesteśmy. Inni twierdzili, że to dzieło pustynnych duchów, które wzywają nas, byśmy tu powrócili.

Przed nimi wznosiła się jeszcze jedna wydma, mniejsza. Biegła wzdłuż południowego skraju ruin, przesłaniając widoczną

obok posągu Buddy wyrwę w starym wale. Jakli dodała gazu i wjechała na niskie wzniesienie. Przednie koła „żółwia” uniosły się nad piach i z potężnym zrywem ciężarówka wyładowała w wymarłym mieście.

Ruiny rzuciły na Shana czar, ledwie wysiadł z kabiny. Znajdowali się na niewielkim dziedzińcu otoczonym przez rozpadające się budynki wzniesione z suszonej na słońcu cegły mułowej, o barwie i fakturze przypominającej piasek do tego stopnia, że cały krajobraz stanowił mozaikę beżów, brązów i szarości. Tu i ówdzie z piasku wynurzały się poskręcane, uschnięte kikuty drzew. Dziesięć metrów dalej sterczał dumnie nad pustynią wierzchołek sklepionej bramy.

Jakli ruszyła w stronę prześwitu między zewnętrznym murem a największą, najlepiej zachowaną budowlą: pozbawionym dachu prostokątnym budynkiem z kamiennych bloków, o wąskich, zajmujących niemal całą wysokość ścian oknach. Być może były to koszary, pomyślał Shan. Krótkie pniaki grubości jego ramienia, spalone na kamień przez stulecia pustynnego żaru, sterczały z piasku w regularnych odstępach wzdłuż niższych murów, które mogły być ruinami prywatnych domostw. To tu rosły niegdyś darmowe brzoskwinie dla spragnionych wędrowców.

Gdy mijali wielką kamienną budowlę, Shan dostrzegł pozostałości drewnianych belek sterczące rzędem z zewnętrznej ściany, podpory od dawna nie istniejącego dachu. Mury jednej z ruin zachowały się do wysokości wystarczającej, by utrzymać belki w pierwotnym położeniu, dając pojęcie o wyglądzie ulicy przed ośmioma lub dziewięcioma wiekami. Shan ostrożnie przestąpił próg, jednak spostrzegłszy dwoje wielkich, wpatrujących się w niego oczu, drgnął i uskoczył w tył. Jakli parsknęła śmiechem. Jeszcze raz zajrzał do środka i stwierdził, że przestraszył się malowidła ściennego. Mimo spękań i ubytków w miejscach, gdzie odpadł tynk, bez trudu rozpoznał naturalnej wielkości sylwetkę lamparta pożerającego nieduże brązowe zwierzę. Kolory wyblakły, ale dzikie spojrzenie kota wydawało się równie żywe jak przed wiekami, kiedy artysta ukończył swoje dzieło.

Wychodząc, usłyszał dobiegający gdzieś z bliska ryk zwierzęcia,

a może tylko zawrozenie wiatru w ruinach. Po stu krokach ścieżka, którą ruszyli, wyprowadziła ich na dziedziniec, gdzie stało w krąg kilka niekształtnych kamiennych kolumn. Jakli zatrzymała się i wskazała na nie. Gdy podszedł bliżej, w nadgryzionych zębem czasu głazach dostrzegł znajome kształty, tu dłoń, ówdzie zgrabną nogę. Był to ogród posągów.

Po sześciu kamiennych schodkach wyszli zeń na szczyt niewielkiego wzgóрка, najwyższy punkt w obrębie murów. Za ich plecami widok przesłaniał górujący nad okolicą posąg leżącego Buddy. Postać wydawała się tak odprężona, tak wtopiona w falujący pejzaż, iż mogło się zdawać, że lada chwila wstanie i ruszy w stronę gór Kunlun. Po przeciwnej stronie wymarłego miasta, na północy, jakieś trzysta metrów od nich, wśród piasków stało rzędem więcej zerodowanych rzeźb.

–Wartownicy – wyjaśniła Jakli, zwracając na nie uwagę Shana. – Bronią północnego wejścia do miasta. Rozstawieni na murach obronnych. – Odwróciła się i wskazała coś znajdującego się bliżej, na długiej, niskiej wydmie, która pokrywała zachodnią część wału. Z piasku wyłaniała się głowa wojownika w hełmie. Obok sterczała część dłoni, jakby uniesionej w geście ostrzeżenia.

Na ten widok Shan niespodziewanie poczuł, jak uśmiech wypływa mu na twarz. W obliczu tego pradawnego piękna i tajemnicy ogarnął go dziwny spokój. Widywał już podobne posągi wśród ruin w Chinach i w Tybecie. Ale tamte zawsze były podziurawione pociskami lub osmalone od materiałów wybuchowych. Armia z upodobaniem wykorzystywała je jako cel do ćwiczeń. Większość starożytnych fortec została zburzona, gdyż symbolizowały imperializm lub mogły się stać ostoją rebelii. Olbrzymie biblioteki, niektóre wypełnione manuskryptami liczącymi sobie przeszło dwa tysiące lat, padły ofiarą rewolucjonistów. Świątynie, nie tylko w Tybecie, spotkał ten sam los. Gdy Shan chodził do szkoły, został kiedyś zawieszony autobusem do jednego ze starych cesarskich grobowców na proces wytoczony przez Czerwoną Gwardię ekshumowanemu cesarzowi z dynastii Ming. Władcę uznano za winnego długiej listy zbrodni przeciwko ludowi, a jego ciało spalono razem z całym wyposażeniem grobowym.

Ale Karaczuk, śpiąc pod piaskami, uchronił się przed ręką Pekinu. Shan mógłby go kontemplować godzinami. Dostrzegł na twarzy Jakli własny uśmiech i wiedział, że ona także czuje podobnie. Uświadomił sobie, że największą radość sprawiały mu w życiu te rzeczy, o których, jak się zdawało, nowoczesne chińskie społeczeństwo zapomniało, które przeoczyło. Utajeni tybetańscy mnisi. Stare taoistyczne teksty, których uczył go ojciec. Dłoń starożytnego wojownika wznosząca się ponad piaski.

Ruszyli dalej oddalającą się od wału ścieżką, powoli schodząc na dno sporej niecki u stóp długiej, wysokiej skały wyznaczającej wschodni kraniec miasta. Shan przystanął, by przyjrzeć się uważnie grupce budynków przytulonych do skały w połowie jej długości. Był to może tuzin niewielkich domków, zachowanych w stanie wyraźnie lepszym niż pozostałe. Zbudowane były z tej samej ubitej ziemi i cegły mułowej co inne budowle, ale ich ściany, choć spękane, były wciąż całe, wszystkie też miały dachy, kryte szarą, suszoną na słońcu dachówką, na której ścieliła się warstwa piasku i zbutwiałych odłamków drewna. Za domkami znajdował się większy budynek, nakryta kopułą rotunda z kwadratową przybudówką, której także, jak się zdawało, upływ czasu nie zdołał wyrządzić poważniejszej szkody. Albo może, przyszło mu do głowy, kiedy przyglądał się budowli, ona i mniejsze domki zostały sprytnie odbudowane tak, żeby wyglądały na ruiny w oczach przypadkowego lub odległego obserwatora. Za zwieńczonym kopułą budynkiem, w zagrodzie, z trzech stron ograniczonej przez kamienne murki, z czwartej zaś przez lico skały, stało kilka długowłosych koni, należących do niskiej, krępej rasy, która niegdyś niosła wojowników mongolskich i tureckich chanów przez dwa kontynenty. Przed budowlą Shan dostrzegł niewielki kamienny krąg, nad którym wznosił się trójnóg z podniszczonych belek. Studnia.

Nagle zreflektował się, że Jakli stoi z dala od niego, przyglądając mu się niepewnie.

–Nie wiem, co oni robią. Jak mówił Akzu, to niebezpieczne miejsce.

–Ale Lau zginęła, gdy przyjechała tu z wizytą?

Dziewczyna skinęła głową.

–Co oznacza, że miała tu przyjaciół – dodał Shan. – Jak powiedział Wangtu, ludzi, którym ufała.

Ponownie pochyliła głowę.

–Jeśli Lau miała tu przyjaciół, to ja się nie boję – oświadczył, starając się, żeby w jego głosie nie było słycać niepewności.

Otworzyła usta, jak gdyby chciała odpowiedzieć, lecz nagle gwałtownie obróciła głowę.

Jakiś człowiek wyszedł z dużego budynku i zmierzał w stronę zagrody niepewnym krokiem, zataczając się jak pijany. Przyglądali się z cienia, jak szybko siodła jednego z koni i odjeżdża kłusem ścieżką biegnącą północnym skrajem ruin.

Gdy Jakli wciąż jeszcze śledziła wzrokiem jeźdźca, Shan ruszył w dół, obok lepierek, kierując się ku skleconym z desek drzwiom dużego budynku. Konie przyglądały mu się w ciszy. W powietrzu unosiła się nikła woń dymu. Przy drzwiach przystanął, spoglądając na Jakli, która została na wzgórzu, nerwowo rozglądając się po małej wiosce, jakby mimo wszystko uznała poniewczasie, że błędem było sprowadzać go tutaj.

Nagle otworzyły się pchnięte gwałtownie drzwi, i wypadł zza nich jakiś człowiek, zderzając się z Shanem. Obaj zwałili się na piasek. Nieznajomy obiema rękami chwycił Chińczyka za gardło i zaczął dusić. Shan, z trudem łapiąc oddech, próbował rzucić z siebie napastnika, który wprawdzie puścił jego gardło, ale zaczął okładać drobnymi, twardymi pięściami pierś przeciwnika. Shan wił się i wykręcał, usiłując się wyrwać.

–Złodziej! – krzyknął ostrym głosem mężczyzna.

Do bójki włączyła się trzecia para rąk, chwytając napastnika za ramiona. Shan, korzystając z okazji, odturlał się na bok. Chwilę później nieznajomy zdołał wywinąć się z uścisku Jakli i z dzikim, morderczym błyskiem w oczach rzucił się na czworakach w jego stronę.

–Kopyto! – Wrzasnęła dziewczyna. – Uspokój się! – Kopnęła napastnika w zadek, bez skutku, potem jeszcze raz, mocniej, powalając go twarzą w piasek.

Ostatni kopniak przywiódł mężczyznę do opamiętania. Podźwignął się na rękach, tępy wzrokiem potoczył dookoła, po czym powoli przewrócił się na drugą stronę i usiadł, z konsternacją spoglądając to na Shana, to na Jakli.

–Ach, to ty – mruknął do dziewczyny, zwracając wzrok w stronę drzwi. – Nie zauważyłem cię – wymamrotał. Jego zakłopotanie zdawało się mijać, ustępując miejsca czemuś, co zdaniem Shana mogło być rozczarowaniem.

Shan poczuł coś mokrego na ręce, którą odpychał mężczyznę.

–Krwawisz! – rzucił stłumionym głosem, przerażony, że nie chcący zranił napastnika.

Nieznajomy zerknął na swe broczące krwią prawe ramię nie z trwogą, ale z niesmakiem.

–Okradziono mnie i dźgnięto nożem na dokładkę – poskarżył się cienkim głosem.

– Przeklęta nora! – Miał wydatny nos i bladą cerę naznaczoną przypominającymi piegi plamkami na policzkach. Jego twarz o drobnych rysach ożywiła się, gdy usiadł, uważnie przyglądając się Shanowi. – A ciebie nikt tu nie prosił – dorzucił z dziwnym cieniem nadziei w głosie.

–Powinieneś oczyścić tę ranę – odparł Shan, szukając po kieszeniach czegoś, czym mógłby zatamować krew.

–Wynoś się, zanim... – zaczął nieznajomy, lecz urwał, gdy w drzwiach pojawiła się następna postać, wysoki mężczyzna w haftowanej czapeczce i jaskrawozielonej koszuli z oderwanymi rękawami. W dłoniach trzymał szklankę, którą wycierał kawałkiem szmaty.

–Niech cię diabli, Osman! – Wrzasnął Kopyto. – Jakaś psia

dziwka ukradła mi sakiewkę! – Po chwili, jakby przypomniawszy sobie, pokazał zakrwawioną dłoń. – I dźgnęła mnie. Człowiek nie jest tu bezpieczny!

Mężczyzna nazwany Osmanem chrząknął. Oczy mu rozblęły, kiedy spostrzegł Jakli. Uśmiechając się szeroko, uniósł głowę, gdy nagle zauważył Shana. Uśmiech zniknął. Osman rzucił szmatę Kopytu i z powrotem zniknął w mroku panującym we wnętrzu budynku.

–Świńskie syny! – zaklął Kopyto, ciskając szmatą w drzwi.

Shan oddał pas od swego podkoszulka i obwiązał nim ranę mężczyzny. Wyraz twarzy nieznajomego złagodniał.

–Musisz stąd odjechać. Mogę ci pomóc – odezwał się tym razem ufnym tonem. – Mam na imię Kopyto. Jestem dobrym Tadżykiem. Znam pustynię. Mam przyjaciół wśród Chińczyków. Zabiorę cię do miasta. Tam będziesz bezpieczny.

–On jest bezpieczny tu, gdzie jest – odparła Jakli. Stała nad Kopytem, który wciąż siedział tam, gdzie upadł, na piasku.

–Jasne, jasne, jeżeli jest z tobą. – Kopyto wycofał się na czworakach, niczym rak, poza padający na niego cień Jakli, po czym zerwał się na nogi i popędził z powrotem do budynku.

Shan patrzył za nim.

–On ma na imię Kopyto? – zapytał dziewczynę.

Westchnęła, z niepokojem w oczach wpatrując się w drzwi.

–To zwyczaj niektórych ze starych pasterskich klanów.

Dziecku nadaje się imię od pierwszej rzeczy, jaką matka zobaczy rankiem po porodzie. – Ruchem ręki przywołała go do siebie, jakby chciała go odciągnąć od budynku.

Ale Shan wszedł za Kopytem.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że wkracza do ciemnej pieczary. Znalazł się w nie oświetlonym, długim na pięć kroków korytarzu. Plamy głębszego cienia zdradzały rozmieszczone po obu stronach nisze. W bladym świetle przyglądał się zapiaszczonej podłodze, zastanawiając się, co stało się z Tadżykiem. Na końcu korytarza była ślepa kamienna ściana. Przegroda przeciw duchom. Dłońmi, które wznosiły tę budowlę, kierował geomanta, niezbędny przy budowie choćby najprostszej stajni w dawnych królestwach tej części Azji, ważniejszy nawet niż architekt. Biegły w sztuce feng shui, geomanta w zamierzchłych czasach nakazał postawić ścianę naprzeciw drzwi, ponieważ złe duchy latały jedynie w linii prostej. Samo główne wejście, uświadomił sobie Shan, zwrócone było na południe, gdyż owe duchy miały swoją siedzibę na północy.

W powietrzu unosiła się woń oliwy do lamp i cynamonu. Usłyszał śmiechy i tubalny głos kogoś, kto opowiadał po mandaryńsku sprośny dowcip.

Przy przegrodzie przeciw duchom skręcił w lewo, w krótki korytarz zakończony niewielkim, sklepionym przejściem. Przystanął w nim, rozglądając się po wypełnionym kłębam dymu tytoniowego pomieszczeniu, które wyglądało na główną salę gospody. Wnętrze oświetlało dwanaście wielkich świec i cztery lampy naftowe, z których dwie wisiały nad wielkim stołem umocowane do drewnianych belek czymś, co wyglądało na kabel telefoniczny. Pod nogi stojącego trzy metry dalej stołu podłożono

płaskie kamienie, tak że jego blat znajdował się na wysokości pasa człowieka, który na krótko ukazał się w drzwiach, rosłego mężczyzny zwanego Osmanem. On sam stał oparty o prowizoryczny kontuar obok koszyka suszonych fig, stosu płaskich chlebków nan oraz kolekcji butelek, których zawartość mieniła się rozmaitymi odcieniami brązu. Na skraju stołu piętrzyła się ryzykownie piramida szklanek, w większości wyszczerbionych i brudnych. Za Osmanem drzemał na podłodze wielki kudłaty pies szarej maści.

Na sali znajdowało się kilkunastu mężczyzn, siedzących grupkami wokół sporych drewnianych skrzyń służących za stoliki. W najdalszym kącie trzymający się za zranione ramię Kopyto dzielił się butelką z kompanem, zerkając spode łba na Osmana i mamrocząc coś, co doprowadzało jego towarzysza do śmiechu. Na środku pomieszczenia stał, nie zajęty przez nikogo misternie rzeźbiony stoliczek, na którym spoczywał ozdobny komplet szachów, przy nim zaś potężny, brudny, wyściełany fotel wyglądający jak poduszka do szpilek z powodu sterczącej zeń słomy, którą pozapychano dziury w tapicerce.

Gwar ucichł raptownie, kiedy Shan wszedł do sali.

Był tu jedynym Chińczykiem.

Czując na sobie wzrok połowy obecnych, Shan podszedł niepewnie do ustawionej pionowo skrzyni przy barze. Gdy usiadł i sięgnął po jedną z fig, obserwujący go odwrócili się. Zgiełk rozmów wrócił do poprzedniego poziomu. Dwaj mężczyźni wstali i ruszyli do baru, by napełnić sobie szklanki, omijając wyściełany fotel wielkim łukiem. Shan spostrzegł, że rękaw jaskrawoczerwonej koszuli jednego z nich wygląda na pusty. Przyjrzał się dokładniej. Mężczyzna nie miał przedramienia.

Poprzez kłęby dymu Shan przypatrywał się malowidłu ozdabiającemu ścianę za Osmanem. Widniały na nim postacie o pociągłych brodatych twarzach, Europejczyków lub może Persów. Jechali na objuczonych ciężkimi pakunkami osłach w stronę człowieka oczekującego ich pod altaną obwieszoną kiściami winogron. Jedna z postaci miała wydrapane oczy, widok dość częsty na ziemiach muzułmańskich, gdzie święte prawo zabraniało tworzenia wizerunków istot ludzkich. Powyżej malowidła z tynku sterczał gwóźdź, na którym zawieszono małe, oprawione w

ramki, czarno-białe zdjęcie konia. W niszy obok zasłony, która wisiała przy drugim końcu baru, stał fatalnie poobijany kamienny posążek Buddy z niedopałkiem papierosa wetkniętym między wargi. Wyżej widniał ręcznie wypisany szyld, obwieszający: *Ten bar jest nei lou*. Na ścianie po przeciwnej stronie zasłony wisiała rozpostarta biała flaga z półksiężycem i gwiazdą.

–Jest herbata? – zapytał Shan.

–Jest to, co widać. – Osman uniósł skórzany bukłak. – Kumys – powiedział, po czym wskazał bukłakiem rząd butelek. – Bai jin. Mao-tai. Piwo. Wódka. – Jego głos był chropawy i zniecierpliwiony. – Dwa juany.

–Dwa juany? – powtórzył z niedowierzaniem Shan.

W wielu częściach Chin za dwa juany można było kupić posiłek dla całej rodziny.

–Nasza specjalna cena dla gości ze wschodu.

–W takim razie proszę o zwykłą wodę.

–Trzy juany.

Shan poczuł, że ktoś staje tuż przy nim.

–Dwie herbaty, Osman – powiedziała Jakli. Barman zmarszczył brwi. – On jest z tobą?

–Ze mną. To przyjaciel cioci Lau.

–Ręczysz za niego?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym podeszła do niszy, wyciągnęła niedopałek papierosa z ust Buddy i rzuciła go na podłogę.

–Dwie herbaty.

Osman jakiś czas przyglądał się jej bez słowa, wreszcie pochylił się i podniósł z podłogi duży czarny termos. Napełnił dwie szklanki parującą czarną herbatą.

–Co z Nikkim? – usłyszał Shan zadane pospiesznym, nie spokojnym tonem pytanie. Jakli rozglądała się po sali. – Nie widzę jego ludzi.

Osman wyraźnie się odprężył.

–Jeszcze nie. Być może jutro. To ostatnia karawana. Już nie długo, możesz być pewna. – Wysoki Kazach przyjrzał się uważnie twarzy Jakli, na której nagle odmalowała się troska. – Wszystko

w porządku, mała. Masz moje słowo. Nikt nigdy nie schwycił Nikkiego – dodał z uśmiechem, ukazując srebrny ząb. – Nikt poza tobą. – Napełnił herbatą jeszcze jedną szklankę, po czym uniósł ją w toaście. – Za ciemne noce i śpiących pograniczników – powiedział, uśmiechając się lekko.

Shan obejrzał się za jednorękim mężczyzną, który z pełną szklanką wracał właśnie do swego stolika. W więzieniu słyszał o ludziach, którzy uciekli z obozu i odcinali sobie ręce nad tatuażem, żeby zniszczyć ślady swej przeszłości.

Jakli przysunęła się ze stołkiem do Shana, jakby chciała go osłonić. Oboje spiesznie popijali herbatę. Osman przeszedł na drugi koniec baru i zajął się

wycieraniem szklanek. Podczas gdy Shan rozglądał się po obecnych, dziewczyna cicho wyjaśniła mu zasady panujące w tej społeczności. Nikt nie wygrzebywał staroci z piasku, chyba że miały pozostać w Karaczuku i służyć praktycznym celom. Nikt nie budował niczego, co widziane z powietrza mogłoby wyglądać jak współczesna konstrukcja. Nikt nie budował niczego, kropka, bez pozwolenia Osmana. Nikt nie palił drewna pochodzącego z ruin, z obawy przed zdradzieckim dymem i z potrzeby ochrony tego, co znajdowało się w mieście. Zapytał o flagę. Był to sztandar Republiki Wschodniego Turkiestanu, wyjaśniła Jakli, w której dziadek Osmana pełnił funkcję wicegubernatora Yoktianu.

–Więc to jest miasto Osmana? – zapytał ściszym głosem Shan, nie odrywając wzroku od mężczyzny stojącego za barem.

–Tu mieszkali moi przodkowie – wtrącił się głośno Osman, podchodząc do nich. – To moje prawo. – Utkwił wzrok w oczach Shana, jakby czekając na sprzeciw Chińczyka, wreszcie po dłuższej chwili odwrócił się do Jakli. – Gdzie Akzu? – zapytał.

–Z klanem. Program Walki z Ubóstwem. Zostały już niecałe dwa tygodnie.

Osman skrzywił się.

–Sukinsyny. Mówiłem mu, żeby sprowadził klan tutaj. – Zaciśnął dłonie na jednej z butelek i wpatrywał się w nią przez chwilę. – Tak właśnie się to kończy – oświadczył ponuro. – Korporacje i mowy wygłaszane przez Chińczyków. – Znów spojrzał na dziewczynę. – Mówiłem mu: najlepiej sprowadź mi dyrektora Ko. Już my go urządzimy. – Mężczyźni przy najbliższym stoliku

zarechotali. Osman odwzajemnił się im nikłym uśmiechem, po czym przyjrzał się Shanowi. – Masz sprawę do Nikkiego? – zapytał podejrzliwie. – Jakiś specjalny zakup?

–Przyjechałem z powodu cioci Lau – odparł Shan. – Ona była... -Urwał, gdy się zorientował, że Osman nie słucha. Barman wyczuł coś, jakiś cień, jakiś ruch w pobliżu. Powoli odwracał się w stronę zasłony przy drugim końcu baru, przesuwając ręką pod stołem, jakby tam czegoś szukał. Szary pies zerwał się na nogi, warcząc głucho.

W sali ponownie zapadła cisza. Rozeszły się ostrzegawcze szepty i wszyscy zamarli, spoglądając niespokojnie na zasłonę. Nad tkaniną pojawił się palec, olbrzymi palec, który powoli odsunął ją na bok.

Osman natychmiast się rozluźnił. Wyciągnął rękę spod stołu. Kilku spośród obecnych wydało radosny okrzyk. Łysy człowiek w kamizelce z owczego runa wstał i złożył przesadny ukłon w stronę zasłony. Inni unieśli szklanki nad głowy. Pies rzucił się naprzód, merdając ogonem.

–Marco! – Wykrzyknęła Jakli z nagłą radością i rzuciła się w wyciągnięte ramiona nieznanego.

Shan byłby w kłopotcie, gdyby kazano mu opisać nowo przybyłego. Wielu mogłoby określić go po prostu jako potężnie zbudowanego cudzoziemca. Ale nazwać tego brodatego mężczyznę potężnym znaczyłoby tyle samo, co nazwać potężnym niedźwiedzia. Miał on twarz, rysy, budowę ciała człowieka z Zachodu, a jednak było w nim coś, co nie pochodziło z Zachodu. Jego oczy były niebieskie, ale rozglądały się po sali z tą samą twardą, czujną inteligencją, którą Shan dostrzegał u Akzu i innych ludzi z klanów. Jego twarz żłobiły takie same szorstkie bruzdy, jakie Shan widywał u pasterzy. Była jednak pewna istotna różnica. Siateczka zmarszczek wokół oczu nieznanego wskazywała, że jest człowiekiem, który często się uśmiecha.

–Towarzysze! – ryknął gromkim, kpiącym tonem mężczyzna. Wypuściwszy Jakli z objęć, pociągnął ją w stronę baru. –

Wasz komisarz przybył! Nauczę was prawideł słusznego socjalistycznego myślenia! Zasznurowuję wam co trzeba, żebyście nie mieli dzieci! Będę wydzielać wam beknęcia, butelki i oddechy! Wciągnę do rejestru wasze wszy i opodatkuję szczyiny waszych

koni! A wy będziecie mnie o to błagać, bo wszystko to jest dla naszych ukochanych Chin Ludowych. – Mówił doskonałym mandaryńskim; ostatnie słowa wyrzucił z siebie niczym wystrzał armatni. Jego słuchacze zarechotali.

Mężczyzna, którego Jakli nazwała Markiem, rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Zapucił ręce do głębokich kieszeni obszernego płaszcza i wyciągnął dwie butelki wódki z wypisanymi cyrylicą etykietami.

–Ale najpierw się napijemy! – Butelki były zakorkowane.

Wyjął z kieszeni kosztowny szwajcarski scyzoryk i wysunął korkociąg.

Osman rzucił mu szklankę.

–Co świętujemy tym razem, stary niedźwiedziu?

–Co świętujemy?! To, że ja żyję i że wy żyjecie! To, że Jakli jest taka piękna, a Nikki tak śmiały. To, że wszyscy przetrwaliśmy przeciwności losu i zobaczyliśmy kolejne żniwa. To, że wiozę na święto koni dość wódki, żebyśmy nie wytrzeźwieli przez tydzień!

Wszyscy mężczyźni, nawet nadąsany Kopyto ze swym kompanem, wstali i skupili się przy barze, gdy Marco napełniał im szklanki.

–Za szmuglerów! – Wzniósł toast, gdy we wszystkich szklankach znalazło się na cał wódki. – Wan sui! – Od jego okrzyku zatrzęsyły się lampy. – Sto razy po sto lat!

Wan sui dla wszystkich szmuglerów, ludzi najbardziej szacownej ze wszystkich profesji. – Przez chwilę przyglądał się swojej szklance. – Nie udajemy, że przestrzegamy reguł, w które nie wierzymy – oświadczył z udawaną powagą. – I zawsze dajemy ludziom to, czego chcą. – Mężczyźni przy barze klepali olbrzyma po plecach, parszając śmiechem, gdy drażnił się z nimi dwiema sponiewieranymi kostkami do gry.

Wreszcie jego wzrok padł na Shana.

–Cóż to za mały obszarpaniec, Jakli, kochanie? – zapytał z uśmiechem, który stracił blask.

–Przyjechał na pomoc. W sprawie zabójstw.

Nozdrza Marca rozszerzyły się.

–Na tchnienie Boga, dziecko! – ryknął basem. – Nie sprowadziłaś chyba...?

–On nie jest z bezpieki – wtrąciła szybko Jakli. – Jest z Tybetu.

Marco zmarszczył brwi. Chłodno przyglądał się Shanowi.

–Tybet to nieprzyjazna kraina – powiedział po chwili.

Shan skinął głową.

–Szczególnie dla Tybetańczyków.

Marco uśmiechnął się gorzko i skinął głową na znak uznania.

–Skąd z Tybetu?

–Głównie z Lhadrung. Czteryście Czwarta Ludowa Brygada Budowlana.

–Lao gai. – Marco wyrzucił te słowa jak przekleństwo. Przełknął to, co zostało w jego szklance, po czym podszedł do Shana, potężną dłonią chwycił go za

przedramię, podciągnął rękaw i obejrzał jego tatuaż.

Ponaciskał go i ponaciągał, po czym z aprobatą pokiwał głową, jak jakiś koneser.

–A przedtem?

–Pekin.

Oświadczenie Shana uciszyło wszystkich w zasięgu jego głosu.

Olbrzym nalał sobie następną kolejkę wódki, ale zostawił szklanke na barze.

Przyglądał się Shanowi z uwagą.

–Jedwabna szata! – Wykrzyknął z fałszywym ciepłem, robiąc aluzję do mandarynów, którzy za czasów cesarstwa zarządzali krajem. Jego głos brzmiał drwiąco, ale w jego oczach nie było uśmiechu. Uniósł brwi w udawanym zdumieniu. –

A może

pałacowy eunuch? – Mężczyźni zawyli ze śmiechu.

–Nazywam się Shan Tao Yun – odparł spokojnie Shan.

Marco uniósł szklanke.

–Witajcie w Pałacu Narodów w Karaczuku, towarzyszu Shan – powiedział, nawiązując do przepastnych sal wznoszonych w stolicach poszczególnych prowincji na chwałę licznych nacji zamieszkujących kraj. Przy stolikach rozległy się ciche chichoty.

–Wy... wy także, jak widzę, jesteście tu gościem – odezwał się niepewnie Shan, wciąż zbity z tropu europejskim wyglądem mężczyzny.

Kilku mężczyzn znów parsknęło śmiechem.

–Na ducha Wielkiego Sternika, obrażasz mnie! – zagrzemiał Marco. – Jestem najlepszym pieprzonym socjalistą w kraju! Gdyby kiedykolwiek wydano mi paszport, do czego nigdy nie dojdzie, byłby czerwony. Zjedna wielką i czterema małymi żółtymi gwiazdami – powiedział, mając na myśli chińskie godło państwowe. – Jestem najbardziej oddanym obywatelem, jakiego można znaleźć w Xinjiang.

–Niewiele mi to mówi – odparował Shan. Była to niebezpieczna gra, tym bardziej że nie wiedział, co łączy Marca i Jakli i czy w razie czego dziewczyna go wybroni.

Uśmiech ponownie rozjaśnił twarz olbrzyma.

–Jedwabna szata z poczuciem humoru. – Nachylił się ku mężczyźnie za barem. – To musi być prawda, co mówią, Osman – powiedział poważnym tonem, z błyskiem w oczach. – W rajku mas pracujących dzieje się coraz lepiej. – Poruszył się na stołku, przy czym rozchyliła się jego gruba, wełniana bluza, odsłaniając przed Shanem dwa przedmioty. Jednym z nich był ciężki srebrny łańcuch, na którym wisiał wielki kieszonkowy zegarek. Drugim – największy rewolwer, jaki Shan kiedykolwiek widział, wyglądający, jak gdyby pochodził jeszcze z dziewiętnastego wieku.

–Nie dosłyszałem reszty twojego nazwiska – powiedział Shan do Marca.

Olbrzym spojrzał na niego twardym wzrokiem. Wyraźnie nie przywykł, by go ponaglano.

–Różnie mnie nazywają. Ale otrzymałem chrzest, towarzyszu – oświadczył szyderczo. Wydawało się, że zakłopotanie, które odmalowało się na twarzy Shana, sprawia mu przyjemność. –

Tak, chrzest. Z rąk starego popa, który niegdyś udzielał komunii carowi. To matka wybrała dla mnie imię, marząc o podróżach do wielu obcych krajów, jakie miałem odbyć. Marco Polo Aleksiej Miagow. Członek jednej z szacownych mniejszości naszego kraju. Najbardziej lojalny biały Chińczyk.

Eluosi. Shan nieomal zapomniał o ich istnieniu. Większość Rosjan, którzy przed osiemdziesięciu laty umknęli przed bolszewikami na wschód przez Pamir lub Tienshan, powędrowała dalej do Szanghaju i w końcu wyemigrowała do Europy lub Ameryki. Jednak jakieś dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy zostało w Turkiestanie, nawet gdy kolejne pokolenie komunistów

przyłączyło go do Chin jako Xinjiang. Słyszał kiedyś, że na dalekiej północy Xinjiang są wioski, w których przybysz może poczuć się tak, jakby znalazł się w carskiej Rosji. Kilka tysięcy Eluosich nadal żyło w rozproszeniu wśród ludności prowincji i otrzymało nawet specjalne przywileje, zezwalające na polowanie i połów ryb na terenach zakupionych niegdyś przez ich przodków od miejscowych gubernatorów wojskowych. Poza tym jednak byli narodem straconym dla świata.

–Założę się, że wieki minęły, odkąd w Karaczuku po raz ostatni widziano gościa z Chanbałyku – zauważył Marco. Użył nazwy Pekinu, której Shan nie słyszał od czasów szkolnych, nadanej miastu za panowania dynastii Yuan, kiedy mongolscy chanowie, spokrewnieni z rodami panującymi tureckich ludów Xinjiang, sprawowali władzę w całych Chinach. Była to, jak uświadomił sobie Shan, nazwa, której użyłoby przed wiekami wielu mieszkańców Karaczuku. Głos Marca stał się cieplejszy, lecz w jego oczach wciąż kryła się podejrzliwość. – Co tam robiłeś, zanim zasłużyłeś na swój tatuaż?

–Pracowałem dla Ministerstwa Gospodarki – odparł skrępowany Shan. – Byłem inspektorem.

–Ale zabrałeś się do inspekcji niewłaściwych osób.

–Na to wygląda.

Śmiech Marca zdawał się rozsadzać salę, aż zabrzęczały spiętrzone szklanki. Olbrzym nalał sobie następną wódkę i wskazał wciąż nie tkniętą szklankę Shana.

–Cóż, towarzyszu inspektorze, tutaj wszyscy jesteśmy po prostu anonimowymi członkami wspaniałego proletariatu. Gan bei – wznosił toast i spełnił go do dna.

Shan wpatrywał się w swoją szklankę, po czym podniósł ją do nosa. To był najbliższy kontakt z alkoholem, na jaki pozwoliłby sobie z własnej woli, nie dlatego, że pijąc, złamałby śluby zakonne, których nie składał, ale dlatego, że wydawało mu się, iż sprzeniewierzyłyby się wtedy swym nauczycielom, którzy wciąż siedzieli za drutami obozu w Lhadrung.

Marco, popijając, rozglądał się po sali. Nagle jego szklanka zatrzymała się w połowie drogi do ust. Eluosi zaklął głośno, po czym dwoma długimi krokami przyskoczył do stolika szachowego. Wydał kolejny dźwięk, który nie był słowem, ale rykiem.

–Nie ma jej! – Warknął.

Osman przytruchtał do stolika.

–Niemożliwe. Jeszcze wczoraj twoja caryca była na miejscu. Siedziałem tu wieczorem, obmyślać swój następny ruch.

Kołysząc głową niczym rozjuszony byk, Marco rozglądał się po sali.

–Od pół roku rozgrywamy z Osmanem tę partię – oświadczył głośno w przestrzeń. – Zimą, gdy przynosiłem czasem jedzenie i opał, spędzałem cały tydzień przy tym stoliku.

Shan podszedł do Marca i stanął obok niego. Szachy, wyraźnie starej roboty, wykonane były z brązu. Jedna armia była czerwona, druga zielona, kolory oznaczono małymi rubinami i szmaragdami osadzonych na czubku każdej figury. Kamienie były bardzo porysowane. Shan nie musiał pytać, by wiedzieć, że szachy zostały wydobyte z piasków pustyni.

–Moja caryca! – ryknął znów Marco.

Shan zauważył, że na szachownicy brakuje zwieńczonej rubinem odpowiedniczki zielonej królowej Osmana.

Osman nachylił się do ucha Marca i szepnął coś cicho, wskazując głową Kopyto.

–Matko Boska! – Wybuchnął olbrzym, gdy Shan wracał na swoje miejsce obok Jakli. – Dwie kradzieże! Wy świnię! – Wrzasnął pod adresem wszystkich obecnych w sali. – Ciało Lau jeszcze dobrze nie ostygło, a teraz to! Tego już za wiele! Miałbym chęć kopnąć was, jednego po drugim, aż trafilibyście do piekła, w jakie kto wierzy. Jesteśmy ludźmi honoru. Pasterze. Poganiacze wielbłądów. Przemytncicy. Traktujemy was jak braci i synów. U diabła, jak wam się wydaje, gdzie jesteście? W Urumczy? W Yoktianie?

–Ten Xibo z Kaszgaru był tutaj – podsunął niepewnie Osman. – Właśnie wypuścili go z aresztu. To musiał być on. Nikt nie poszedł za Kopytem. Ale Xibo wyszedł pięć minut przed nim. Pewnie zabrał królową, a potem rzucił się na Kopyto, żeby mu ukraść sakiewkę. Teraz może być już daleko stąd.

–Złodziej wciąż jest tu, na tej sali – szepnął cicho Shan.

W pierwszej chwili zdawało się, że Marco go nie usłyszał. Eluosi podszedł do baru i pociągnął długi łyk prosto z butelki, po czym odwrócił się do Shana, ocierając rękawem krople wódki z brody.

–Powtórz.

–Sądzę, że człowiek, który to zrobił, jeszcze tu jest – oświadczył Shan tym samym cichym, nieśmiałym głosem.

Marco mierzył go wzrokiem, milcząc złowieszczo.

–Inspektor, powiedziałaś. Więc ot tak, po prostu, inspektor wie, kto jest przestępcą. – Rozejrzał się po obecnych. – To nie jest Pekin, pamiętaj. Tu nie uznaje się ludzi za winnych na podstawie dekretu.

–To tylko kwestia zrozumienia, co się kryje za faktami -odparł Shan. – Gdy się tego dokona, sprawiedliwość powinna znaleźć właściwą drogę.

–Sprawiedliwość? – zapytał z niedowierzaniem Marco, unosząc grube brwi. – Sprawiedliwość, powiedziałaś?

Shan zerknął na Jakli, licząc na jej pomoc, dziewczyna jednak niespokojnie wpatrywała się w olbrzyma.

–Oto coś, co cię może zaciekawić, Osman – rzucił Marco głosem ostrym jak brzytwa. – Jedwabna szata troszcząca się o sprawiedliwość. – Zaciśnął dłoń na niemal pustej butelce i odwrócił się w stronę stolików. – Wysoki trybunale! Mamy rozrywkę. Przesławny detektyw Shan Tao Yun z sądu w Chanbałyku już za chwilę zaprezentuje nam zdumiewający pokaz logicznego myślenia i dedukcji! Bez wątplenia jest on potomkiem wielkiego Sędziego Di – perorował, nawiązując do postaci legendarnego detektywa z czasów dynastii Tang, którego przygody od stuleci stanowiły kanwę ludowych opowieści.

Szepnął coś do Osmana, który wyciągnął z kąta za barem długą pałkę z czarnego drewna, po czym stanął u wylotu korytarza prowadzącego do drzwi wejściowych.

–Ale nie mogę przecież... – zaprotestował Shan, zastanawiając się, czy sam nie powinien rzucić się ku drzwiom.

–Popelniono wśród nas więcej przestępstw – oświadczył Marco tonem wyraźnie dającym do zrozumienia, że żarty się skończyły. – Jakby mało było tego, co się stało z naszą Lau. Położę temu kres – oświadczył z głuchym warknięciem.

Shan uświadomił sobie, że nie pozostawiono mu wyboru. Podeszedł do baru, ze wzrokiem utkwionym w małym Buddzie.

–Poproszę – odezwał się niepewnym głosem – jeszcze jedną herbatę.

Osman uśmiechnął się, jakby cieszyło go zakłopotanie Chińczyka, po czym opuścił swój posterunek przy drzwiach na chwilę potrzebną, by napęlić mu szklanę.

–Nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda – powiedział Shan, upiwszy łyk gorącego płynu. To jest Turkiestan, przypomniał sobie, a tu kara zawsze była szybsza niż wybaczenie.

Marco patrzył na niego bez słowa. Shan westchnął.

–Parę minut przed moim przybyciem coś się tutaj zdarzyło. Było jakieś

poruszenie? Coś, co mogło być sygnałem? Zjawił się nowy gość?

–Nie – odparł zniecierpliwiony Osman.

–Sophie! – zawołał łysy mężczyzna w kamizelce z owczego runa. – Powiedziałem, że wydaje mi się, że słyszę Sophie!

Marco, unosząc brwi, zerknął na Osmana.

–To prawda – przyznał barman. – Ale nikt więcej niczego nie słyszał. Nie spodziewaliśmy się ciebie.

Shan spojrzał na Marca. Eluosiemu towarzyszył ktoś jeszcze, ktoś o nieprawdopodobnym imieniu Sophie.

–Możliwość, że się tu zjawisz, przeraziła Kopyto – stwierdził.

–Dlaczego? – zapytał Marco.

Shan odtworzył w myślach przebieg wydarzeń. Kopyto nie próbował po prostu uciec. Został ranny, potem kłamał, usiłując rzucić winę na Shana, ale zrezygnował, gdy zobaczył Jakli. Shan dopiero teraz zrozumiał, dlaczego na twarzy Tadżyka malowało się rozczarowanie.

–Może dlatego, że coś zabrał. Ponieważ musiał się tego pozbawić, albo to ukryć, przed twoim przybyciem. Miał tylko parę minut.

Kopyto wstał i powoli zaczął się do nich zbliżać. Jego kompan szedł za nim jak cień.

–Jeździłem z Nikkim – wypalił mały Tadżyk. – Oporządzałem twoje zwierzęta. Ten Chińczyk mnie obraża. On nienawidzi nas wszystkich.

Marco uciszył go uniesioną dłonią, i znów odwrócił się w stronę Shana.

–W porządku, tai tai – powiedział. Tai tai, dostojny, było zwrotem grzecznościowym zarezerwowanym dla najczcigodniejszych mandarynów.

–Gdzie Kopyto nosił sakiewkę, którą mu skradziono? – zapytał Shan Osmana.

Kopyto przywarł plecami do ściany, zerkając na swego kompana, który chyłkiem wycofywał się do stolika.

–Była duża – odparł Osman. – Wisiała mu u pasa. Po lewej stronie.

Shan skinął głową.

–Przypuszczalnie to było tak. Kopyto miał carycę w sakiewce. Kiedy usłyszał, że Marco nadchodzi, musiał się jej pozbyć, ponieważ kto jak kto, ale Marco z pewnością by zauważył, że zniknęła. Pozbyć się jej, nie pozbywając się jej. Ukryć ją, żeby móc zabrać ją później. Odciął sakiewkę i ukrył ją na korytarzu. Przez szparę w drzwiach zobaczył, że zbliża się jakiś Chińczyk, czyli ja. Sądząc, że zdoła na mnie zrzucić winę, zaciął się nożem i skoczył na mnie, kiedy otworzyłem drzwi.

–Ktoś mógł czekać z nożem w korytarzu – zasugerował Marco. – Ten Xibo.

–Właśnie – przytaknął z ożywieniem Kopyto. – Stał przede mną, ponaglał mnie – dodał, nie odrywając oczu od Marca.

Shan pokręcił głową.

–Na podłodze w korytarzu leży grubo ponad centymetr piasku – zauważył. – Byłoby widać na niej ślady walki. Ale przyjrzyjcie się. Nie ma żadnych. Poza tym, przechodząc przez korytarz, zdmuchnął kaganki, żeby upozorować zasadzkę. Były świeżo wygaszone, kiedy tu wszedłem. Wciąż jeszcze czułem olej.

–To prawda – dodał Osman. – Nie paliły się, kiedy wyszedłem zobaczyć, kto krzyczy.

–Ale chyba sam się nie zranił? – zaoponował Marco.

–Nie poważnie, tyle tylko, żeby pokazała się krew – odparł Shan, spostrzegł jednak, że Marco wciąż nie jest przekonany. – Już tłumaczę. Rana jest na jego prawym ramieniu. Złodziej, żeby odciąć sakiewkę, poprowadziłby nóż nisko, do lewego boku Kopyta, a nie w górę i na prawo. Kopyto trzymał nóż w lewej ręce i zaciął się w prawe ramię. Przyglądałem się, jak wszyscy piją. Kopyto jest jedynym mańkutem na tej sali.

Osman skinął głową.

–Złe wychowanie. Dobry muzułmanin zawsze posługuje się w tym celu prawą ręką.

–Więc co? – zapytał Marco.

Shan wyprostował wskazujący oraz środkowy palec lewej dłoni i niczym nożem przeciągnął nimi po prawym ramieniu.

–Zrobił to tak. Złodziej machnąłby nożem nisko, być może

drasnąłby go przy okazji w brzuch, ale nie w ramię. – Wzruszył

ramionami i spojrzął w mrok korytarza. – Tam muszą być półki albo nisze na kaganki.

Osman skinął głową, zdjął latarnię z haka i poprowadził ich na korytarz. W ścianach znajdowały się wykonane przez dawnych budowniczych cztery głębokie wnęki na lampy. W pierwszych dwóch przestrzeń za kagankiem niemal całkowicie wypełniały pajęczyny. W trzeciej pajęczyny zostały niedawno zerwane. Marco wsunął tam rękę i wyciągnął sakiewkę. Z gniewnym pomrukiem wrócił do sali i ostro rzucił imię Kopyta.

Tadżyk stał pod ścianą, sam, opuszczony przez towarzysza. Marco podsunął mu sakiewkę pod nos, po czym sięgnął do niej i wyjął szmaragdową królową.

Dłonie Kopyta zaczęły dygotać.

Marco podszedł do baru i wyrzucił sakiewkę na drugą stronę. Wypadły z niej dwa duże okrągłe przedmioty, oba tej samej wielkości, każdy zawinięty w biały papier. Marco potrząsnął jednym z nich. Z papieru wyturlało się jabłko.

–Okradłeś mnie! – ryknął, wymachując królową przed nosem Tadżyka. – Kradłeś w Karaczuku. Kradłeś, kiedy wciąż jeszcze oplakiwaliśmy naszą zmarłą ciotkę!

Kopyto obejrzał się na swego kompana, który patrzył na niego lodowatym wzrokiem.

–Przyznaj się! – huknął Marco. – Przyznaj się, że ukradłeś.

–U...ukradłem – wymamrotał Kopyto.

–Dlaczego?

–W zeszłym roku mnie pobiliś. Godzinę leżałem nieprzytomny. Głowa pękała mi przez miesiąc.

–Obraziłeś moją wielbłądzicę – odpalił Marco.

Nikt się nie roześmiał.

Shan podniósł drugi kulisty przedmiot. Pociągnął za brzeg papieru i ze środka wytoczyła się piłka, siedmiocentymetrowej

średnicy skórzana piłka zszywana grubą czerwonawą nicią. Choć nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego, wydawała się dziwnie znajoma. Nie odrywał od niej oczu, gdy Osman sięgnął po nią, kręcąc z dezaprobatą głową, spojrzawszy na Kopyto i wetknął ją do jednej ze szklanek, po czym cisnął zmięty papier do kosza, niemal po brzegi wypełnionego pustymi butelkami.

Mężczyźni wypełniający gospodę zaczęli się wymykać na zewnątrz, odwracając głowy, starając się nie rzucać w oczy, jak gdyby dostrzegali w twarzy Marca coś, co obudziło w nich lęk. Tylko sześciu pozostało w sali, nim wielki Eluosi zorientował się, co się dzieje.

–Nie! – ryknął. – Zostańcie tu i patrzcie!

Wskazał na podłogę przed barem i Kopyto stanął, gdzie mu kazano, kuląc się, z lekko uniesionymi rękami, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się ciosu.

–Oto, co zrobisz, złodzieju Kopyto – oświadczył Marco, krążąc wokół Tadżyka. – Wuj Osmana ma obóz pod górą Dzikiego

Niedźwiedzia, przy brodzie na Wątłym Strumieniu. Pojedziesz tam. Powtórzysz im moje słowa. Tej wiosny choroba zabrała im syna. Mieszkają poza okręgiem, więc nie obejmuje ich Program Walki z Ubóstwem. Co oznacza, że wkrótce ruszą na zimowe obozowisko. Będą potrzebowali pomocy przy gromadzeniu paszy, przy dojeniu kóz. Jeśli opuścisz ich, zanim przepędzą stada na wiosenne pastwisko, usłyszę o tym. Wszyscy o tym usłyszą i będziemy wiedzieli, że naprawdę jesteś człowiekiem bez honoru. A wtedy nic cię już nie uratuje. Rozumiesz?

Kopyto opuścił ręce i skinął głową, najpierw powoli, potem z większym zapalem, wdzięczny za okazaną mu łaskę.

Shan przyglądał się temu z niedowierzaniem. Marco wydał na tego człowieka wyrok tak nieodwołalny, jakby działo się to na sali sądowej, w obecności uzbrojonych strażników.

Na korytarzu Osman rozmawiał z kompanem Kopyta, który w końcu ponuro skinął głową i wyprowadził przyjaciela z budynku. Shan wpatrywał się w puste drzwi wejściowe. To, co zrobił Tadżyk, było głupie, niemal niewiarygodnie głupie, chyba że miał po temu jakiś inny motyw, którego nie potrafili dociec. Sięgnął po piłkę i przerzucał ją z ręki do ręki, dopóki nie zauważył wytłoczonych na niej angielskich słów.

–Wyprodukowano w Ameryce – przeczytał, przełożywszy to dla Jakli na mandaryński. Użył tradycyjnego chińskiego określenia Ameryki: Mei Guo, Piękny Kraj.

–Piękna piłka dla pięknego kraju – odezwał się niskim głosem ktoś za jego plecami. Powiedział to po angielsku. Shan odwrócił się, zaskoczony, i ujrzał wysokiego, mniej więcej czterdziestopięcioletniego mężczyznę o rudawozłoty, lekko siwiejących włosach. Zza okularów w złotych drucianych oprawkach patrzyło na niego dwoje jasnoniebieskich oczu. Mężczyzna uniósł lewą dłoń, na której miał wielką skórzaną rękawicę, wbił w nią prawą pięść, po czym wyciągnął rękawicę w stronę Shana. – Ta jest dla mnie – powiedział z wyzwaniem w oczach.

Shan jeszcze raz zważył piłkę w dłoni, przypominając sobie wreszcie, co to takiego, po czym wrzucił ją do rękawicy.

–Baseball – powiedział po angielsku, zacinając się. Ostatni raz wypowiadał to słowo w rozmowie z ojcem, przeszło trzydzieści lat temu. Odwzajemnił nieruchome spojrzenie nieznanego. – Pan jest Amerykaninem – dodał. Było to spostrzeżenie, nie pytanie.

–Cholera, Deacon – mruknął Marco. – Nie znasz go.

–Jest z Jakli – odparł mężczyzna. – To wystarczy.

Co to oznacza? zastanowił się Shan. Że Amerykanin zwykle ukrywa się przed obcymi. Ale także to, że Jakli znała się z tymi dwoma mężczyznami o wiele lepiej, niż przypuszczał. Przyglądał się Deaconowi. Widział już jednego Amerykanina ukrytego przed ludzkim wzrokiem. W całunie z worka.

–Jacob Deacon – przedstawił się Amerykanin, wyciągając dłoń do Shana. – Mów mi po prostu Deacon. Jesteś przyjacielem Nikkiego? Shan niepewnie odwzajemnił uścisk dłoni, zerkając na Jakli.

–To przyjaciel pewnych tybetańskich mnichów – wyjaśniła dziewczyna.

–W porządku. – Deacon uśmiechnął się lekko. – W tybetańskich mnichów też wierzę. – Spojrzał na Marca. – A ty?

Eluosi zmarszczył brwi.

–Znałem mnichów i mułłów. I znałem komisarzy. Z komisarzami łatwiej sobie poradzić.

Deacon parsknął śmiechem i walnął Marca w ramię, po czym

wyciągnął z kartonu za barem butelkę wody. Napełnił szklanę Shanowi, potem sobie.

–Prawdziwa. I za darmo – powiedział.

Shan spojrzał na niego z uwagą. Czyżby Amerykanin przez cały czas podsłuchiwał ich z tylnego korytarza?

–Kiedy wraca Nikki? – Pytanie to wyrwało się Jakli tak gwałtownie, że Shan obejrzał się na nią.

–Karawany są nieprzewidywalne – wzruszył ramionami Marco. – Może postanowił zaszyć się na parę dni w Ladakhu, ze względu na patrole. – Wielką dłonią musnął głowę dziewczyny, jak ojciec mógłby pogłodzić córkę. – Przywiezie ci coś ładnego i błyszczącego. A może coś miękkiego i powiewnego.

Dziewczyna zarumieniała się. Figlarnym klapssem odtrąciła dłoń Marca, lecz szybko znowu spoważniała.

–Shan chce się dowiedzieć czegoś o cioci Lau. Dwoje z jej dzieci też już nie żyje.

Osman zaklął. Marco mruknął, unosząc głowę. Zrobił się śmiertelnie poważny, gdy Jakli opowiedziała im o Suwanie i Alcie.

–Shan sądzi, że wszystko zaczęło się od Lau – ciągnęła dziewczyna. – Musi wiedzieć, komu mogło zależeć na jej śmierci. Co się stało, zanim zginęła.

–Dobra kobieta – powiedział z całą powagą Marco. – Marna śmierć.

–Dlaczego ktokolwiek miałby zamordować w ten sposób niewinną kobietę? – zapytał Shan.

–Niewinną? – zdumiał się Marco. – Pierwsze słyszę.

–Uważasz, że nie była niewinna?

–Oczywiście, że nie. Ty jesteś niewinny? Ja na pewno nie. Osman nie jest niewinny. Moja wielbłądzica nie jest niewinna. Udowodnili, że Jakli nie jest niewinna, i to trzykrotnie. – Te słowa wywołały na twarzy dziewczyny gorzki uśmiech. Marco spojrzał na Osmana. – Spotkałeś kiedyś niewinnego człowieka, przyjacielu? Ja nie. Do diabła, Osman ma sześciomiesięczną bratanicę, matka trzyma ją jeszcze przy piersi. Nawet ta mała nie jest niewinna. Jest Kazaszką.

–Chcesz powiedzieć, że Lau zginęła, ponieważ była Kazaszką? – zapytał Shan.

–Nie. Ale może koniec końców to właśnie było powodem. To, co robiła, ponieważ była Kazaszką. Sukinsyny.

–Co za sukinsyny?

Marco nalał do szklanki resztkę wódki.

–Tak ogólnie, sukinsyny – mruknął.

Shan odwrócił się w stronę tylnego korytarza. Amerykanin zniknął. Poczul na sobie wzrok Marca.

–Mądrze byś zrobił, gdybyś też stąd poszedł – powiedział groźnym tonem Eluosi, ocierając usta rękawem. – To nie jest dobre miejsce do zadawania pytań.

–Gdybyś z nim porozmawiał, może nie musiałbyś zadawać tak wielu –

zasugerowała Jakli.

Marco westchnął. Przeszedł za bar i ściągnął ze stosu trzy płaskie chlebki nan. Rzucił po jednym Jakli oraz Shanowi i usiadł na stołku, żując w zamyśleniu trzeci, podczas gdy Osman zbierał szklanki ze stołów.

–To było krótko przed tym, jak Nikki wyruszył z ostatnią karawaną – odezwał się.
– Musieliśmy zebrać paru ludzi. Lau przyjechała wieczorem cała w nerwach.

–Sama? – zapytał Shan.

–Sama. Jej koń był tak wyczerpany, że baliśmy się, aby nie padł. Osman zajął się nim. Masował go, oprowadzał, żeby ochłonął, zanim go napoił.

–Z kim wtedy rozmawiała?

–Z nikim. Ze wszystkimi. – Marco, który wpatrywał się dotąd w chleb, teraz wreszcie uniósł wzrok. Z oczu znowu wзираł mu smutek. – Powiadają, że była uzdrowicielką, ale niewielu rozumiało, na czym naprawdę polega jej dar uzdrawiania. – Przerwał, by odgryźć i przeżuć kęs. – Na pustyni żyje mała brązowa mysz – podjął po chwili zamyślony. – Gromadzi różne rzeczy, jak chomik. Ale żyje w miejscach tak niegościnnych, że zwykle zbiera tylko ciernie, ostre odłamki skał i wyschnięte truchełka. Taka właśnie była Lau, tyle że gromadziła cudze problemy. Ludzie opowiadali jej o swoich koszmarach, bolesnych wspomnieniach, lękach, i odczuwali po tym ulgę, jak gdyby ona zbierała je i zatrzymywała w sobie, żeby mogli ozdrowieć.

–Chcesz powiedzieć, że ludzie spowiadali się jej z różnych spraw?

Jakli skinęła głową.

–To prawda. Tak sobie myślę. A jeśli ktoś powiedział jej coś, zdradził jakiś sekret, którego nie powinna była poznać? A potem zmienił zdanie i uznał, że trzeba ją uciszyć? Czasami ludzie gadają po pijanemu. Ona miała w sobie coś, co skłaniało do zwierzeń.

–Nie – sprzeciwił się Marco. – Nie widziałaś, jak wyglądała tamtej nocy. Jak pokiereszowane były jej nogi. Jeśli chcesz po prostu powstrzymać kogoś przed ujawnieniem twoich sekretów, to tylko strzelasz mu w głowę. Jeśli chcesz z niego wydobyć cudze sekrety, najpierw go bijesz.

Shan odgryzł kęs i uniósł wzrok.

–To znaczy, że ją widziałeś.

Marco spojrział na swój chleb.

–To znaczy, że ją znalazłem. Ja i Nikki. Nikki pierwszy, w zakątku, który lubiła odwiedzać. Nie chodził tam prawie nikt poza nią i Jakli. – Zerknął na dziewczynę. – Nikki tęsknił za tobą. Myślę, że poszedł tam, bo to miejsce przypominało mu o tobie. Ale kiedy wszedł do środka, znalazł ją przywiązaną do starego posągu. Wrócił i sprowadził mnie tam, ze łzami w oczach. – Potężny Eluosi utkwiał spojrzenie w swoich dłoniach. – Jego matka nauczyła go, że czasami dobrze jest płakać. – Uniósł wzrok ku Jakli, która też z trudem powstrzymywała łzy.

–Widywałem to często, kiedy Czerwona Gwardia grasowała po tych terenach – ciągnął z goryczą. – Najpierw łamali młotkiem kości stóp. Jeśli zrobi się to jak należy, skóra rozdzierają co boli przy każdym dotknięciu. Wtedy uderzali w stopy i łydki kijem. Nie trzeba dużo siły, by wywołać wielki ból. Czasami używali do tego zwykłych pałeczek do jedzenia, bębnilo po nogach pałeczkami. Zaczynali od jednej stopy, a gdy ktoś nie chciał mówić, zabierali się do drugiej. Potem widywało się takich ludzi na ulicy. Pałkarze śmiali się z nich. Nazywali ich pijackimi stopami, tak się zataczali. Opornym obrabiali obie. Po czymś takim nikt nie mógł już wiele chodzić. Myślę, że ten, kto ją zabił, postanowił, że nie wyjdzie stamtąd żywa, bez względu na to, co mu powie.

Jakli zerwała się ze szlochem i wybiegła tylnym korytarzem.

Po chwili podszedł za nią Osman.

–Może ona nie mówiła – podsunął Marco. – Była twarda. – Nalał im obu herbaty do szklanek.

–Mówiła – odparł Shan i powiedział mu o sińcu w zgięciu łokcia, w miejscu, gdzie wbito strzykawkę.

Marco westchnął ciężko.

–W takim razie po co było ją bić? – zapytał, patrząc w głąb szklanki.

Shan spojrzał na niego. Wiedział, że nie musi wyjaśniać. To, że zabójca zrobił Lau zastrzyk, oznaczało, że znał też inne techniki przesłuchań. Ci, którzy do tego nawykli, nabierali niekiedy upodobania do przyglądania się ludzkim cierpieniom.

Marco milczał.

–Zauważylibyśmy pałkarza albo żołnierza – stwierdził wreszcie gniewnym głosem.

–Nie, jeśli był dobrze wyszkolony. Albo jeśli był w przebraniu – odparł Shan.

Opowiedział o swej rozmowie z prokurator Xu w Obozie Chwały, kiedy to wzięła go za agenta pałkarzy.

–Na tchnienie Boga! – stęknął Marco. Obrócił się w stronę pustych stolików, jak gdyby chciał zapamiętać twarze ludzi, którzy siedzieli przy nich jeszcze przed chwilą. – To fatalna pora.

Shan przyglądał się zachmurzonemu mężczyźnie. Fatalna pora z powodu zdrady, czy fatalna pora na zdradę z jakichś innych względów?

–Dlaczego tutaj? – zapytał. – Ty tu byłeś. Byli też inni. Ta osada nie jest duża, niełatwo się tu ukryć. Myślę, że zabójca podjął wielkie ryzyko, mordując Lau właśnie tutaj. Widocznie musiał to zrobić, gdyż nagle sprawa stała się pilna. Nie mógł czekać.

–Nic się nie zmieniło.

–Jeszcze nie – odparł Shan i spostrzegł, że Marco zaciska zęby. – A jeśli sekret, za który zginęła, był twoim sekretem?

Marco jednym długim haustem dopił herbatę i spojrzał twardo na Shana.

–Wracaj do domu, towarzyszu inspektorze. Sam dopadnę sukinsynów.

–Mówisz, jakbyś wiedział, kto to zrobił.

–Nie wiem jeszcze. Ale tak właśnie robię. Dopadam sukinsynów. – Cedził te słowa obojętnym, niesamowitym tonem, jak gdyby była to groźba rzucona całemu światu, z Shanem włącznie. – To moje hobby – dodał z zimnym uśmiechem. – Pamiętam. Obserwuję. Pilnuję, żeby inni nie zapomnieli.

Shan spojrzał na niego z uwagą. Zapomniany członek zapomnianej społeczności, bez legalnych papierów podróżnych, bez szans na otrzymanie legalnych dokumentów w bliższej lub dalszej przyszłości. Nie inaczej niż Shan. Być może i on chciał tego samego. Dopaść sukinsynów, kimkolwiek są. Przypomniał sobie, co Marco zrobił z Kopytem. Dopadł sukinsyna.

Eluosi nagle wydał się ogromnie zmęczony. Przeciągnął się i dźwignął swoje potężne ciało ze stołka, po czym przeszedł na środek sali i opadł na wyściełany fotel. Zamknął oczy i wkrótce jego głęboki, powolny oddech zdradził, że odpłynął w sen.

Shan siedział w ciszy, usiłując rozwiązać zagadkę śmierci Lau, usiłując odsunąć od siebie pytanie, które czaiło się wciąż w zakątku jego umysłu, pytanie o Genduna i jego bezpieczeństwo. Wyciągnął z kosza papier, w który owinięta była piłka, rozprostował go i na czystej, odwrotnej stronie naszkicował schematyczny plan Karaczuku, chcąc wstępnie ustalić, w jakim terenie dokonano zbrodni, by oznaczyć miejsce śmierci Lau, kiedy Jakli w końcu mu je pokaże. Lau nie zginęła tu, w gospodzie, ani w pobliskich lepiankach. Przypomniawszy sobie słowa Bajysa. Tybetańczyk poszedł szukać jej na pustynię, do tutejszego lhakang, świętego miejsca, które – jak się domyślił Shan – musiało być owym zakątkiem wspomnianym przez Marca, gdzie znaleziono jej ciało. Ale przybył za późno. Nie znalazł Lau. Znalazł jedynie poćwiartowane ludzkie zwłoki. Jak powiedział Marco, Lau zginęła przywiązana do posągu w świątyni. Shan usiadł na podłodze obok baru, krzyżując nogi w pozycji lotosu, i przez długą chwilę wpatrywał się w plan. Wreszcie wstał i tylnym wyjściem opuścił salę.

Biegnący łukiem korytarz prowadził do niewielkich drzwi zbitych z desek. Wychodziły na wschód, na tyły osady. Szeroki pas piasku oddzielał budowlę od sterczącej skały wyznaczającej wschodnią granicę starożytnego miasta. Słońce stało nisko nad horyzontem. Wiał chłodny wiatr. Shan nigdzie nie dostrzegł żadnych oznak życia, jeśli nie liczyć zagrody dla zwierząt. Do koni

dołączyło teraz pół tuzina wielbłądów, w tym jeden wielki srebrzysty baktrian, który zdawał się śledzić Shana wzrokiem.

Shan ruszył w górę po skale. Gdy wspiął się tuż ponad nakryty kopułą budynek, usiadł i oparł się o nagrany kamień. Był wyczerpany psychicznie i fizycznie. Ktoś torturował tu kobietę, uzdrowicielkę i nauczycielkę. Zginęła z powodu jakiegoś sekretu, ale szukając jej, zabójca odkrył inny sekret, sekret Karaczuku. Wszystko dlatego, że Lau nie była zwykłą uzdrowicielką i nauczycielką. Zdawała się żyć w wielu światach, tak jak Shan przemierzył wiele światów, by dotrzeć do tego widmowego miasta na pustyni, gdzie łagodną Lau spotkała gwałtowna śmierć.

Wyciągnął papier znaleziony przy martwym Amerykaninie i wpatrzył się w dziwne kombinacje liter. FBP, widniało w pierwszej linijce. Czy były to zaszyfrowane liczby, gdzie F oznaczało szóstkę, od szóstej litery angielskiego alfabetu? Szybko obliczył, że FBP odczytywałoby się jako sześć, dwa i szesnaście. Cóż by to było? Adres? Numer telefonu? A może skróty nazw geograficznych? FBP mogło oznaczać Frankfurt, Berlin i Pekin albo tysiące podobnych kombinacji. Westchnął, pocieszając się myślą, że notatka nie była przeznaczona dla niego, a szyfr nie ma nic wspólnego z zagadką, którą on miał rozwiązać.

Zamrugnął, gdy ogarnęła go senność. Przez chwilę widział Karaczuk taki, jaki był niegdyś, wdychał woń korzeni wiezionych przez karawany, słyszał skrzypienie lin u studni, śmiech dziewcząt i chłopców martwych od stuleci. I wciąż, po tylu wiekach, miasto było oazą, wciąż przyciągało uchodźców z surowego świata, który leżał poza jego granicami. Być może samo to, że jego obecni mieszkańcy żyli odcięci od polityki i techniki, sprawiało, że niewiele różnili się od ludzi, którzy je wzniesli. Gdzieś zaszczekał pies. Czy był to dźwięk z jego snu o przeszłości, czy z teraźniejszości? Nie umiał stwierdzić. Podmuch wzbił tuman piasku wokół ramion jednego z kamiennych wartowników na odległym murze. Wyglądało to jak łopocząca na wietrze peleryna.

Na twarz Shana wypłynął nikły smutny uśmiech, gdy spoglądając na ruiny, zastanawiał się nie nad sekretem śmierci Lau, lecz nad sekretem życia. Zamknął oczy, pozwalając, by przeniknął

go ponadczasowy duch tego miejsca. Zapach korzeni rozchodził się po wyimaginowanym mieście karawan niczym woń imbiru, którą czuł w każdej z tych rzadkich, doskonałych chwil, gdy udawało mu się przywołać obraz ojca. Lecz kiedy otworzył oczy na pociągnięte cynobrem wieczorne niebo, zapach był tak wyraźny, że wstał, by poszukać jego źródła. To nie były korzenie, uświadomił sobie po chwili, ale kadzidło. Kierując się jego wonią, ruszył ku szczytowi skały.

Okazała się szersza, niż sądził. Jej wierzchołek mierzył w poprzek co najmniej trzydzieści metrów, a w cieniu w pobliżu środka kryły się schody niknące w skalnej szczelinie. Shan ruszył w dół po kamiennych stopniach, wygładzonych i wyżłobionych przez tysiące stóp, a schodząc, usłyszał płacz kobiety.

Rozdział siódmy

Szczelina między skałami wkrótce zamknęła się w górze, tworząc korytarz – nie naturalny, lecz dzieło rąk ludzkich, które dawno temu nakryły rozpadlinę dachem i wyrównały ściany, obrzuciwszy je tynkiem. Pierwsze dziesięć metrów Shan przeszedł w ciemnościach. Obawiając się upadku w niewidoczną przepaść, miał się właśnie wycofać, kiedy korytarz skręcił łukiem i w głębi ukazała się niewielka plamka światła rzucanego przez migoczącą lampkę oliwną. Płomyk oświetlał wyblakłe malowidło na ścianie, głowę byka o wściekłym spojrzeniu, okoloną naszyjnikami z czaszek. Była to postać z buddyjskich wierzeń, Jamantaka, Pogromca Pana Śmierci. Shan ruszył ku kolejnej lampce, umieszczonej trzy metry dalej, potem ku następnej, przyglądając się z nabożnym podziwem wizerunkom dzikich zwierząt i pejzażom, które ukazywały się na ścianach. Od czwartej lampki, za gołą skałą w miejscu, gdzie wykruszył się tynk, malowidła zmieniły charakter. Pojawił się łagodnie wyglądający jeleni, znany Shanowi z gomp, symbol indyjskiej ojczyzny Buddy, a za nim ciąg scen z życia Przebudzonego.

Kręty tunel otworzył się na obszerną komorę, która – jak sobie uświadomił Shan – była naturalnym zagłębieniem w skale przykrytym dachem. Kilkanaście lamp stojących w ściennych niszach oświetlało coś, co niegdyś było wspaniałym malowidłem: pokrywającą nieprzerwanie ściany panoramą pradawnej krainy. Po lewej stronie widział stada owiec pod wierzbami rosnącymi wzdłuż drogi, która odgrywała rolę łącznika poszczególnych scen. Wiła się ona wśród niskich zalesionych wzgórz, gdzie pojawiły się postacie konnych łuczników. Malowidło niknęło w mroku w głębi sali, lecz wylaniało się ponownie po prawej stronie,

gdzie Shan zauważył karawanę wielbłądów wędrującą przez piaski w stronę okrytych śniegiem gór.

Za masywnym stołem na środku sali leżał stary dywan, na którym rozmieszczono kilka prostych ław i poduszek do siedzenia. Na jednej z poduch siedziała Jakli, wpatrując się w trzymaną w dłoniach lampkę. Zdawała się nie dostrzegać Shana, który zbliżył się do stołu. Na blacie spoczywało sześć długich wąskich pudełek z drewna sandałowego, prostych, bez ozdób, lecz o precyzyjnie dopasowanych spojeniach zdradzających robotę mistrza. Były to peche, tybetańskie księgi składające się z luźnych kart z jedwabiu lub pergaminu. Jedno z pudełek było otwarte, a kilka stron wyjęto i rozłożono przed nim, jak gdyby do lektury. Za książkami stał wysoki na trzydzieści centymetrów brązowy posążek Buddy, obok zaś kilka mniejszych figurek ze złota, żadna nie przekraczająca ośmiu centymetrów wysokości. Pod stołem stała drewniana skrzynia przykryta zakurzoną narzutą. Shan uniósł róg tkaniny. Ujrzał bezładny stos wałków i bębnow, elementów młynków modlitewnych.

Usiadł obok Jakli.

–To stało się tutaj, prawda?

Pląkała. Nie były to już rozpaczliwe łkania, jakie słyszał z zewnątrz, nie było w jej płaczu nawet silnego wzburzenia, ale gdy w milczeniu wpatrywała się w lampkę, dostrzegł wyraźnie dwie łzy toczące się po jej policzkach. Bez śladu zażenowania uniosła wzrok i ruchem głowy wskazała mu siennik pod ścianą, w najciemniejszym kącie sali. Podniósł lampę i ruszył w tamtą stronę. Siennik został przysunięty do wielkiego, osłoniętego tkaniną przedmiotu. Pociągnął za róg i materiał zsunął się powoli, ukazując niemal metrowej wysokości kamiennego Buddę. Na ścianie, tuż ponad lewym ramieniem posągu, widniał niewielki otwór w tynku, od którego rozchodziła się siatka spękań. Wzdłuż lewego boku Buddy ciągnęła się aż do podłogi rdzawa smuga.

–Zaczęła mnie tu przyprowadzać wiele lat temu, kiedy tylko razem byliśmy w Karaczuku.

–Czytała z tobą buddyjskie księgi?

–Czasami. Ale przeważnie tylko siedziałyśmy i rozmawiałyśmy. To było po prostu zaciszne miejsce. – Z czułym, lecz smętnym

wyrazem twarzy rozejrzała się po wnętrzu. – Niektórzy, gdy je poznali, zawsze do niego wracali.

Shan rozumiał to. Czuł dostojeństwo tej sali. Sam chętnie by tutaj wracał.

Jakli znowu spojrzała w płomień.

–Czasami uczyła mnie uzdrawiania. Czasami, po zebraniu rady, opowiadała mi o głupstwach, jakimi ludzie zajmują się w miastach. Odkąd dowiedziała się, że moja matka była Tybetanką, pomagała mi pielęgnować jej pamięć.

–Chciałaś zostać buddystką?

Wzrok Jakli powędrował znowu ku plamie na posągu.

–Lau nie nadawała temu nazwy. Miałam po prostu czcić swoje wewnętrzne bóstwo, tak właśnie mawiała. – Uniosła lampkę, jakby chciała lepiej widzieć oczy Shana. – Nic w tym złego, że człowiek jest buddystą.

–Nie, nic – odparł Shan, uśmiechając się smutno. Przeniósł wzrok za jej spojrzeniem ku swej dłoni, zaciśniętej na zwisającym mu z szyi gau.

–Czyżbyś sam był jednym z nich? – zapytała zdziwiona.

Myślał przez chwilę.

–Kiedy byłem mały, ojciec zabierał mnie do starych taoistycznych świątyń. Zanim zostały zniszczone. Kiedy dorosłem – westchnął, wspominając sekretne ołtarze z patyków w obozowych barakach, różańce z pestek i paznokci oraz młynki modlitewne wykonane z puszek – pobierałem nauki u lamów. Ale taoistyczne wersety zachowuję żywe w pamięci, ze względu na ich mądrość oraz na mego ojca. – Spojrzał na malowidło na ścianie. A buddyjskie wersety zachowuję w sercu, powiedział nieomal, bo gdy byłem martwy, one przywróciły mnie do życia. – Myślę, że jestem taki jak ty – dodał. – Wszystkim po trochu. – Spojrzał na małego Buddę. Kiedyś, w więziennym baraku, widział ołtarz, który tworzyło jedynie kilka wydrapanych na ścianie linii, zarys postaci siedzącego Buddy.

–Zawsze miałam wątpliwości. Bałam się, że zdradzam matkę lub ojca – wyznała nieobecny głosem Jakli. – Ale wizyty

tutaj... To Marco pokazał mi Karaczuk, kiedy Nikki i ja byliśmy dziećmi.

Siadywaliśmy na skale i wypatrywaliśmy duchów. Nie baliśmy się. Przez stulecia Karaczuk zamieszkiwały tylko duchy.

W dawnych czasach było tu inaczej. Spójrz... – wstała i podeszła z lampką do malowidła ściennego po drugiej stronie stołu, w pobliżu sceny z karawaną na pustyni. Przedstawiono tam przykryty kopułą budynek przypominający meczet, przed którym stali mężczyźni w bordowych szatach buddyjskich mnichów, najwyraźniej pogrążeni w rozmowie z mułłami. – Tutaj buddyści i muzułmanie uczyli się żyć razem, dzielić się wiedzą.

Odwrócił się znów w jej stronę i spostrzegł, że dziewczyna wpatruje się w siennik, na którym umarła Lau.

–Mówiłam jej tyle rzeczy – odezwała się. Kolejna łza spłynęła jej po policzku. – A jeśli Lau zginęła z powodu moich sekretów?

–Czy twoje sekrety są tak niebezpieczne? – zapytał zaskoczony Shan.

–Może.

Shan przypomniał sobie słowa Marca przy barze. „Udowodnili, że Jakli nie jest niewinna, i to trzykrotnie”.

–Chodzi o sprawy, za które trafiłaś do ryżowego obozu? – zapytał cicho, patrząc na spękany tynk nad posągami. Kula, która zabiła Lau, nie zostawiła rany wylotowej. Zabójca oddał inny strzał, ponad jej głową, w tynk. Żeby ją uciszyć i być może zmusić, aby się nie szamotała, kiedy przywiązywał ją do Buddy. Jakli wzruszyła ramionami.

–Wiesz, jak to jest. Chińska walka ze szkodnikami. Wystarczy parę mocnych słów, i już jesteś w lao jiao.

–Trzykrotnie – odezwał się. Trzy miski, pomyślał, przypominając sobie słowa Wangtu.

–Za pierwszym razem powiedziałam chińskiej nauczycielce, że nie ma racji, bo powiedziała, że Kazachowie i Ujgurzy pochodzą od Chińczyków. Zabrała mnie do dyrektora. On uderzył mnie bambusową laską i przeprosił. Ale kiedy wychodziłam, muzułmańscy uczniowie urządzili na zewnątrz demonstrację. Dyrektor powiedział, że to moja wina, że organizuję protesty polityczne. Przesiedziałam jedenaście miesięcy w Obozie Chwały, wkuwając złote myśli Przewodniczącego. Nie pozwolili mi już potem wrócić do szkoły.

–Ale to był dopiero pierwszy raz.

Dziewczyna znów utkwiała wzrok w płomieniu kaganka.

–Na zebraniu spółdzielni chińscy inspektorzy urodzeń zapowiedzieli nowe ograniczenia. Wstałam i zapytałam ich, jakim prawem. Produkuje się dość żywności, by wykarmić nasze rodziny, mówiłam. Ziemi też nie brakuje. Powiedziałam, żeby zachowali swoją kontrolę urodzeń i swoich doktorków dla Hanów. Naszych dzieci umiera o wiele więcej niż ich. To po prostu powolne ludobójstwo, dodałam.

–Tak powiedziałaś? – zapytał z niedowierzaniem Shan. – Ludobójstwo?

–Dostałam za to dwanaście miesięcy, w obozie na pustyni. Wszędzie tam było pełno piasku. A to, co mówiłam, to prawda.

–Wiem – odparł ponuro Shan. – Ale nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek powiedział to publicznie.

–Potem była kampania przeciwko przemytnikom. W jednym z namiotów w obozowisku naszego klanu znaleziono skrzynki zachodnich leków i przenośne magnetofony. Wiesz, takie z małymi słuchawkami. Nie mieli żadnych dowodów, nie wiedzieli, czyj to był namiot. Powiedziałam im, że mój.

–Ale ty nie zajmowałaś się przemytem.

–Nie. Lecz to był namiot mojego stryja, a towary przemycił Nikki. Nie mogłam pozwolić, żeby aresztowano kogoś z nich. Mój stryj ma na głowie cały klan. A Nikki... potraktowałoby go bez litości. Za drutami czułby się tygrys w klatce. Mnie mogli tylko oskarżyć o ukrywanie dowodów. Tak więc dostałam jeszcze dziesięć miesięcy reedukacji.

–Ale po trzech wyrokach są ciężkie roboty – zauważył Shan. – Obóz pracy. – Przypomniał sobie, co powiedział Akzu, gdy dziewczyna dołączyła do nich na szlaku. To zbyt niebezpieczne dla ciebie, ostrzegał ją.

Jakli powoli skinęła głową. Odrzuciła w tył luźny kosmyk włosów.

–Ale do tego już nie dojdzie. Nikki mnie obroni.

–Nikki. On jest synem Marca?

Jeszcze raz skinęła głową. Spojrzała na niego i niespodziewanie uśmiechnęła się przez łzy. Odrzucony kosmyk włosów znów opadł jej na twarz. Z miną nieśmiałej dziewczynki nawinęła go na palec.

–Pobieramy się... podczas Nadamu, święta koni.

Shan, zakłopotany, odwrócił wzrok. Nie wiedział, co powiedzieć. Małżeństwo było dla niego czymś tak odległym, że wydawało się jedynie mglistym pojęciem, o którym czytał w jakiejś starej księdze. Długo milczał, nie patrząc na nią.

–Ale on jest daleko – odezwał się w końcu.

–Po drugiej stronie granicy. To ostatnia wyprawa.

Shan pokiwał głową. Syn przemytnika Marca również był przemytnikiem.

–A Lau wiedziała, że wychodzisz za męża.

Przytaknęła, wciąż bawiąc się kosmykiem włosów.

–Bardzo się cieszyła, kiedy jej powiedziałam. Nikki zawsze

był jednym z jej ulubieńców – dodała. Jej wzrok znów powędrował ku płomykowi kaganka.

Jakli miała poślubić młodego Eluosi, tygrysa, dla którego dała się zamknąć w więzieniu. Przyjrzał się jej uważnie. Im dłużej tak siedziała wpatrzona w płomień, tym większy lęk zdawał się ją ogarniać.

Jeszcze raz rozejrzał się po sali. Lau była tu sama, w migotliwym świetle, kiedy Nikki znalazł jej ciało.

–Kto był tu, w Karaczuku, tamtej nocy? – zapytał, patrząc na poplamionego krwią Buddę. Ruszył powoli wzdłuż ściany, to czerpiąc otuchę ze szlachetnej prostoty starego malowidła, to znów czując zgrozę na myśl o okrutnej śmierci, którą tu zada no Lau. Wędrowała od jednej zaufanej osoby do drugiej, powie dział Wangtu, niczym z oazy do oazy.

Jakli westchnęła.

–Był Marco, Nikki i Osman. I paru gości w gospodzie. Kiedy zabieraliśmy jej ciało do groty, zadaliśmy wszystkie oczywiste pytania. Rozmawialiśmy o tym godzinami. Nie było tu żadnych obcych. Nikt nie widział nawet obcego konia czy wielbłąda. Nie słyszano żadnego pojazdu. Osman powiedział, że to były duchy. Wszyscy się śmiali, ale on nie żartował.

–Zabójca mógł jednak przyjechać konno – stwierdził Shan. – Może zostawił konia po drugiej stronie murów, gdzie nikt go nie zauważył. Albo uwiązał go za skałą i wspiął się na górę, nie wchodząc do starego miasta.

Powoli skinęła głową.

–Lau przyjechała konno. Słyszałeś, co mówił Marco. Jej koń był cały spieniony. Pędziła przez pustynię jak burza.

–Dlatego, że spieszyła się na jakieś spotkanie? – Zatrzymał się obok stołu i jeszcze raz zajrzał do skrzyni z częściami młynków modlitewnych. Coś połyskiwało w świetle. Zagłębił dłoń w pudle i wyciągnął cylindryczny przedmiot zakończony igłą. Jednorazową strzykawkę.

–Nie – odparła cicho Jakli. Patrzyła na niego poważnym, przerażonym wzrokiem. Zobaczyła strzykawkę. – Nikt nie wiedział, że Lau tu jest.

–Zabójca wiedział. – Lau uciekała przed kimś, pomyślał. I przyjechała do Karaczuku, szukając schronienia. Spojrzał znów na posąg. W bladym świetle wydawało się, że to Budda został trafiony kulą i broczył krwią na podłogę.

Wpatrując się w strzykawkę, nagle ją wypuścił, jakby przerażony, że sama mogłaby go ukłuć. Upadła na ziemię i zniknęła w cieniu. Stał, spoglądając na swoją pustą dłoń, wreszcie ruszył wokół sali, by po raz kolejny obejrzeć stare malowidło. Miał wrażenie, że wyczuwa obecność Lau. Pewien stary mnich powiedział mu, że kiedy umierający człowiek bardzo cierpi, czasem od duszy odrywa się jakaś maleńka cząstka, która błąka się po świecie bez celu.

–Wiesz już teraz, dlaczego napisała ten list do prokuratorki? – zapytał.

–Ona tego nie chciała – odparła Jakli.

–Nie. Chciała. Myślę, że zrozumiałem. To był jej prezent, jak wtedy, gdy przestała przynosić Wangtu zioła, aby go chronić. Ona martwiła się o ciebie. Trzy miski w lao jiao. Niedługo wesele. Chciała mieć pewność, że jesteś bezpieczna, pod kuratelą, że nie będzie ci groziło ponowne aresztowanie. To musiało być dla niej bolesne, ale zrobiła to dla ciebie. Poświęciłaby wiele, nawet twoje uczucia do niej, byle ci tylko zapewnić bezpieczeństwo. – A jednak, mimo poświęcenia Lau, Jakli drwiła sobie z nadzoru, jakby o to nie dbała, jakby była, albo wkrótce miała się znaleźć, poza zasięgiem prokuratorki. Spojrzał na dziewczynę. Przygryzając dolną wargę, wpatrywała się w lampkę. Po policzkach znów spływały jej łzy. Westchnął i wymknął się na zewnątrz.

Słońce zniknęło już, kiedy wyszedł z groty, ale niebo rozświetlone było mrowiem gwiazd i wschodzącą, widoczną w dwóch trzecich tarczą księżyca. Dął mroźny wiatr, jeden z tych, które niektórzy mnisi nazywają otrzeźwiaczami duszy, bo ożywiają ducha i wyostrzają zmysły. Gdzieś z pustyni dobiegało wycie nocnego zwierzęcia i, znacznie bliższe, cykanie świerszcza.

Odnalazł miejsce, z którego wcześniej spoglądał na Karaczuk, i uniósł kołnierz, by osłonić się przed zimnym wiatrem. Nie było widać żadnego ruchu, żadnego śladu życia, z wyjątkiem paru światełek migoczących spoza cienkich zasłon rozwieszonych w kilku oknach. Z roztargnieniem przeciągnął palcami po białym piasku tuż przy nodze. Marzył, by znów zapaść w ów senny stan, jaki go ogarnął, gdy pierwszy raz siedział na skałach, ale wizja Lau umierającej w ramionach Buddy zbyt głęboko wryła mu się w pamięć. Jego palce kreśliły przypadkowe kształty w chłodnym, oświetlonym przez księżyc piasku. Nagle przerwał, wygładził dłonią piach i narysował dwuczęściowy ideogram. U góry widniał niewielki krzyż o ramionach wygiętych łukiem na prawo, z długim jakby ogonem skierowanym w lewą stronę. Symbolizował on jałowy płaskowyż, oznaczający pustkę. Dolna część zawierała dwie figury w kształcie litery Y, stojące na łukowatej linii, przedstawiające dwoje ludzi zwróconych plecami do siebie na wzgórku. Ideogram ten znaczył „otwartość”. Tym właśnie znakiem jego ojciec opisywał zawsze jedenasty ustęp *Tao Te Ching*. *Użyteczność nieistniejącego*, nazywano go.

Trzydzieści szprych zbiega się w piaście -

Użyteczność koła tkwi w tym, czego nie ma.

Gliniana skorupa tworzy garnek -

Użyteczność garnka tkwi w tym, czego nie ma.

W ścianach izby wycina się drzwi i okna -

Użyteczność izby tkwi w tym, czego nie ma.

Bezgłośnie szeptał te słowa. Nagle ostatnie wersy rozbrzmiały w jego umyśle tak wyraźnie, jakby odczytał je przed nim jeden z taoistycznych kapłanów jego dzieciństwa:

Czerp przeto korzyść z tego, co istnieje,

Robiąc użytek z tego, czego nie ma.

Tym, czego nie było, wiedział to, był motyw, gdyż motyw krył się w powiązaniach, które przywiodły Lau do Karaczuku, gdzie ukrywali się przemytnicy, gdzie czekał Amerykanin – w powiązaniach, które zaprowadziły zabójcę od Lau do małego Suwana i klanu Czerwonego Głazu, potem zaś do małego Alty wśród szczytów Kunlunu. A dalej dokąd? Z powrotem do Karaczuku? Jeśli motywem było po prostu wykrycie utajonych buddystów, kolejnym celem zabójcy mógłby być nadzorca strumieni. Jeśli motywem było odszukanie i zgładzenie konkretnych dzieci, to tropem, który prowadził zabójcę, było zheli – łańcuch, którego ogniwa niszczył, posuwając się naprzód. Nie dokończona sprawa, powiedział Akzu. Być może klany tych czy innych dzieci z zheli zostały obrane za cel już przed wielu laty, a teraz zabójca powrócił, jak przebudzony z długiego snu, żeby ścigać i tępić niedobitków. Klany Kazachów i Ujgurów stawiały niegdyś zbrojny opór chińskim żołnierzom i poniosły za to karę, wybite lub rozproszone po kraju. Ale zadały armii dotkliwe straty i być może rozpały gdzieś żądzę zemsty, która przetrwała, tłąc się w ukryciu, przez dziesięciolecia. Lau żyła w tych straszliwych latach, ale nie dzieci. Za cóż takiego mścił się zabójca, że ścigał nawet potomstwo swojego wroga?

Z zamyślenia wyrwał go jakiś ruch w dole. Pod ścianą przykrytej kopułą budowli dostrzegł ciemny zwalisty kształt, niewiele jaśniejszy niż cienie, w których się poruszał. Nie wydawał żadnego dźwięku, a zwierzęta w zagrodzie ignorowały go, jakby był dla nich niewidzialny. Po Takla Makan snuły się widma. Jak mówiła Jakli, przez wieki Karaczuk był miastem zamieszkanym jedynie przez duchy.

Zjawa przemykała się teraz w stronę skał, przystając co chwila, być może nasłuchując lub obserwując. Tak właśnie mógł się skradać ten, kto zabił Lau, nie dostrzeżony wśród nocy. A Lau nie została zabita przez ducha. Być może to ten zabójca, pomyślał, albo złodziej. Ale kto by się odważył narażać na gniew Marca?

Ciemna postać była już u podnóża skały, więc Shana powinien dobiec chrzęst żwiru pod jej stopami, nie było jednak słyhać nic oprócz cykania świerszczy. Zjawa opadła na kolana i na czworakach podpełzła do skały, zaledwie piętnaście metrów od Shana. Nagle wytrysnął z niej snop jasnego światła. Chwilę później

rozległ się okrzyk satysfakcji, po czym światło zgasło i postać pomknęła tam, skąd przyszła – ku zabudowaniom.

Shan zerwał się i pognął skalną ścieżką w dół, po czym zeskoczył w piach i dopadł cieni na tyłach gospody Osmana w tej samej chwili, w której zjawa zniknęła za lepianką po drugiej stronie zagrody.

Konie cofnęły się, spłoszone, gdy zbliżył się do zagrody, choć nie okazywały lęku przed ciemną postacią, która mijała je wcześniej. Rosły wielbłąd o sierści lśniącej w świetle księżyca tak srebrzyście, że sam wyglądał jak zjawa, wydał odgłos, który zaczął się parsknięciem, a zakończył cichym, gardłowym pomrukiem, jak gdyby zwierzak najpierw się zaniepokoił, a potem oburzył, że zakłócono mu spokój.

Lepianka nie miała okien. Zbliżywszy się, Shan spostrzegł, że zbite z desek drzwi są lekko otwarte. Delikatnie popchnął je, uchylając na kilkanaście centymetrów. Od wewnątrz w drzwiach wisiała gruba kotara przesłaniająca blade światło, które sączyło się z leżących dalej pomieszczeń. Wśliznąwszy się do środka, Shan ujrzał zaskoczony wstawioną zręcznie zaledwie metr od wejścia ścianę ze starannie przyciętych desek. Wąskie, zamykane na skobel drewniane drzwi były lekko uchylone i przepuszczały smugę olśniewająco białego światła żarówki.

Stał w milczeniu przez kilka minut, wreszcie dotknął palcem drewnianych drzwi. Uchyliły się do środka na parę centymetrów, wystarczająco, by mógł ujrzeć zavalony książkami stół z surowych desek.

–Otwarte – odezwał się ktoś po mandaryńsku.

Shan pchnął drzwi i wszedł. Przy stole, oświetlonym gołą żarówką, stał Deacon, Amerykanin. Oglądał coś leżącego pod wielką lupą na wysięgniku umocowanym zaciskiem do blatu. Nie odwracając się, machnął ręką w stronę butelki na stole.

–Nalej sobie wódki.

Shan, milcząc, rozglądał się po pokoju. Kabel, na którym wisiała żarówka, biegł do stojącej w kącie drewnianej skrzynki baterią potężnych akumulatorów. Leżące na stole książki, wydane po angielsku, niemiecku i chińsku, wyglądały na podręczniki antropologii kulturowej i archeologii. Pomiędzy nimi stał przenośny komputer. Na drugim końcu blatu leżał jakiś grubszy

tom, dotyczący innych spraw. Był otwarty na stronie przedstawiającej schemat ludzkiego szkieletu. Utrzymał go w tym położeniu okazałych rozmiarów klips do papieru.

–Jeśli zrobisz się wybredny, w szafce nad drzwiami znajdziesz czystą szklanę – dodał Deacon. Obejrzał się przez ramię. Zastygł w bezruchu, z uniesioną brwią, zaraz jednak wrócił do pracy. – A, to ty – stwierdził obojętnie. – Myślałem, że przyszedł Rusek.

Shan nie odpowiedział, gdyż jego wzrok padł na półkę nad stołem, przy którym pracował Deacon. Stało na niej kilka małych klatek, każda inna, ale wszystkie wykonane z misternie obrobionego drewna. Co do jednej lśniły patyną starości. Największa, długa może na piętnaście centymetrów, a wysoka i głęboka na dziesięć, była wykonana z cieniutkich listewek drewna sandałowego. Najmniejsza wyglądała na zrobioną z litego kawałka jakiegoś drewna owocowego, wydrążonego i rzeźbionego na kształt świątyni.

Najokrutniejszą rzeczą, jaką uczyniono mu w gułagu, było pozbawienie go wspomnień. Męki wielokrotnych przesłuchań, pałki, narkotyki i elektrowstrząsy przytłumiły mu pamięć, sprawiły, że pewne partie jego mózgu wydawały się niedostępne. Na tym właśnie polegał plan Partii, wyjaśnił mu pewien towarzysz z celi: znieczulić mózg tak, aby nie pamiętał już, że kiedyś sprawy wyglądały lepiej. Ale na widok klatek zaczęło mu się tłuc po głowie jakieś mgliste wspomnienie.

Co najmniej trzy klatki miały lokatorów.

Deacon przeniósł wzrok za spojrzeniem Shana.

–Marco śmieje się ze mnie, ale tłumaczę mu, że każde porządne miasto powinno mieć własną orkiestrę.

–Był pan na dworze. – odezwał się Shan, po czym dodał w nagłym olśnieniu: – Zbierał pan grajków.

Deacon z uśmiechem satysfakcji spojrział na klatki.

–Złapałem go, wreszcie. Stary żelaznonogi, tak go nazywają. Zgrzyta, jakby jego odnóża były zrobione z metalu. – Odwrócił się do Shana. – Znasz się na świerszczach? – zapytał po angielsku.

Shan spojrział na niego bez słowa i powoli się uśmiechnął. Było to znakomite pytanie.

–Kiedy byłem mały – zaczął, radośnie zdumiony, że utracone od tak dawna wspomnienie powraca do niego i formuje się

w słowa – ojciec zabierał mnie do starego taoistycznego kapłana, który uciekł w góry, by uniknąć cierpień, jakie dotykały ludzi w miastach. Żył sam i spędzał większość czasu na wyplataniu koszy i rozmyślaniu nad taoistycznymi pismami. Pamiętam jeszcze tylko, że zbierał grajków. Uczył mnie o nich. – Jakie to niezwykle, pomyślał, znaleźć się na pustyni w poszukiwaniu zabójcy, rozmawiać z nieznanym Amerykaninem, i nagle poczuć, że otwierają się jedne z zatrzaśniętych na głucho drzwi własnej pamięci.

Deacon uśmiechnął się.

–Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Chin, poszedłem na targ i zobaczyłem człowieka, który sprzedawał grające owady.

Miał może z piętnaście gatunków. Koński dzwoneczek. Piecu-chę, z wielkimi czułkami. Kilka czarnych, tych, które nazywają kałamarzykami. I tkaczkę.

Shan poczuł, że robi mu się ciepło na sercu na dźwięk tych słów, nazw, które po raz pierwszy słyszał w towarzystwie ojca, dziesiątki lat temu.

–Pamiętam, że był też taki, którego nazywano cao zhong -usłyszał z zaskoczeniem swój głos. Nagle zalała go fala wspomnień. – Donośny głos, ale o bardzo miłym brzmieniu. Nie wiem, jak to jest po angielsku.

–Świerszcz trawny – odparł Deacon. – Boże, jak ja bym chciał go mieć. Tu jest zbyt sucho. – Amerykanin z lubością przeciągnął wzrokiem po kłatkach. – Siedziałem z tym ulicznym sprzedawcą dwie godziny, a on opowiadał mi, że każdy świerszcz śpiewa odmiennie, że dieta może wpływać na ich pieśni, że cesarze kazali robić maleńkie mebelki dla swych ulubieńców. Gdy przyjechałem następnym razem, odwiedziłem go znowu, razem z Micahem, z moim synem. Micah tylko się uśmiechał, był to największy, najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem na jego twarzy. Obaj dostaliśmy bzika. – Deacon spojrzał z dumą na swoją kolekcję klatek. – Sprzedawca powiedział nam, że one przynoszą szczęście.

Shan skinął głową.

–To dlatego, że ich pieśń jest taka pełna życia, taka radosna.

Żywa muzyka, jak mawiał tamten stary kapłan. Bo nie da się nad nimi panować. Jeśli świerszcz postanowi wnieść tę swoją żywą muzykę do twojego domu, możesz się poczuć, jakby pobłogosławiła cię natura. – Otwierał coraz szerzej drzwi swej pamięci. – Pamiętam, że był też błękitny dzwoneczek, i zwierciadełko. – Wyrzucał słowa w pośpiechu, jakby się bał, że znowu zapomni. – I bambusowy dzwoneczek.

–Z żelaznonogim mój chór jest w komplecie. On jest dyrygentem. Pang t'ou, jak na niego mówią. Kołatka stróża. Za dziesięć dni będzie pełnia księżyca. O północy razem z synem wyniesiemy je na dwór i w ciemnościach posłuchamy, jak grają. Będziemy wypatrywać spadających gwiazd. Pewien stary Kazach powiedział mojemu synowi, że niektóre świerszcze to potrafią, potrafią przywołać spadające gwiazdy.

–Twój syn...? – zapytał Shan. – Twój syn jest tutaj?

–Tu nie, ale jest w Xinjiang.

Przez krótką, pełną grozy chwilę umysł Shana pracował jak szalony. Nie. Deacon był chyba za młody, żeby mógł być ojcem martwego Amerykanina z Obozu Chwały.

–Ile ma lat?

–Dziesięć. – Amerykanin odsunął lupę i jeszcze raz powiódł wzrokiem po klatkach. – Walczyłyby ze sobą, gdyby nie trzymać ich osobno – powiedział, jakby nie chciał już rozmawiać o synu.

–Ten stary kapłan miał mnóstwo zabytkowych klatek, takich jak te – wspominał Shan. – Inne robił sam, z tykw, bambusowych listewek, trzciny.

–Takie stare klatki to rarytas. Co się z nimi stało?

Shan uśmiechnął się smutno, gdy przypomniał sobie, co było dalej. Ojciec zostawił go kiedyś na noc u starca i siedzieli, słuchając świerszczy, aż do świtu, gdy przestały grać.

–Jedną z niewielu osób, które wiedziały o tym kapłanie, był pastuszek, który w święta zanosił mu ryżowe ciastka. Ale chłopiec wstąpił do Czerwonej Gwardii i musiał wyrobić normę aresztowań.

–Chryste – szepnął Deacon. Widocznie wiedział, jak się kończyły takie historie.

–Pewnego dnia przyszedł do kapłana i powiedział, że będzie

musiał donieść na niego dowódcy swojego oddziału i że na drugi dzień oni przyjdą go zabrać.

–Jezu. Co ten człowiek zrobił chłopakowi?

–Podziękował za okazany mu szacunek – odparł Shan z westchnieniem. – A ponieważ klatki pochodziły z okresu cesarstwa i starzec wiedział, że czerwonogwardziści je rozbiją, tamtej nocy uwolnił swoich grajków. Potem zczekał, aż wszędzie księżyc, i spalił wszystkie klatki. Wiem o tym, gdyż cała moja klasa musiała iść na proces. Gwardia była wściekła, bo zamiast potępić taoizm, wciąż opowiadał pogodnym głosem o tej wspaniałej chwili, jak to świerszcze zostały i grając tak pięknie jak jeszcze nigdy przedtem, przyglądały się swoim płonącym klatkom. Kazano nam odejść, ponieważ ten stary człowiek zachowywał się niezgodnie ze scenariuszem. – Był też inny proces, przypomniał sobie, później, kiedy

Czerwonej Gwardii zaczęły się już wyczerpywać zasoby łatwych ofiar. Aresztowano sprzedawcę świerszczy i postawiono owady przed sądem pod zarzutem wspierania wstecznictwa i reakcji. Na koniec upieczono wszystkie świerszcze na małych rożnach i zmuszono tego człowieka, żeby je zjadł.

Nagle zapiszczał laptop i jego ekran pociemniał. Deacon podszedł do stołu i zamknął pokrywę.

–Nie wiedziałem, że macie tu prąd – zauważył Shan. – U Osmana w barze go nie było.

–Tylko tutaj. Przenośna bateria słoneczna. Ładuje akumulatory na tyle, że starcza na cztery, pięć godzin pracy.

Baterie słoneczne i świerszcze. Komputer w prastarej lepiance na Jedwabnym Szlaku. Ukrywający się na chińskiej pustyni Amerykanin pijący wódkę z rosyjskim renegatem. Jakli zabrała go w inny świat, a może raczej do wielu światów, z których żaden nie miał, zdawało się, nic wspólnego z Lau, Gendunem ani z martwymi dziećmi.

Shan widział teraz dokładnie stojący w głębi stół, przy którym pracował Deacon. Pod szkłem powiększającym leżał kawałek materiału, stara, wyblakła tkanina z krzyżujących się brązowych, żółtych i czerwonych nitek. Deacon zrobił krok naprzód, znów zasłaniając stół przed wzrokiem gościa.

–Co pan tu robi, panie Deacon? – zapytał Shan.

–Deacon. Po prostu Deacon. Mówiłem ci. Zbieram świerszcze.

–Chodzi mi o to, co robisz tu, w Karaczuku. Na Takla Makan. W Xinjiang. Deacon uśmiechnął się lekko i uniósł wzrok ku świerszczom.

–Może jestem tu z powodu tego uśmiechu na twarzy mojego

chłopca. W kraju nie było o to łatwo. – Spojrzał na Shana. – A może z tych samych powodów co Marco i Osman, i Jakli, i Nikki.

–Chcesz powiedzieć, że się ukrywasz?

Amerykanin z powagą pokręcił głową.

–Wręcz przeciwnie. Przyjechaliśmy tu, żeby przestać się ukrywać. Tutaj nikt się nie ukryje.

–My? – zdziwił się Shan. – To znaczy ty i twój syn? Deacon zmarszczył brwi.

–Moja żona i ja.

–Sądziłem, że w Karaczuku chodzi właśnie o ukrywanie się.

Przemytnicy, wyrzutkowie... oni wszyscy szukają tu kryjówek.

–W takim razie nic nie zrozumiałeś. Byłem wszędzie, na wszystkich kontynentach, nawet na Antarktydzie. To jest jedyne znane mi miejsce na Ziemi, gdzie człowiek jest całkowicie zdany sam na siebie. Żadnej policji. Żadnego wojska. Żadnego pieprzonego rządu, który mówiłby ci, co myśleć, albo pozwalał nie myśleć w ogóle. Tu musisz być kimś. Musisz ufać innym i sam zdobywać ich zaufanie.

Shan ruszył w stronę stołu. Deacon zagroził mu drogę.

–Musisz ufać innym – powtórzył Shan jego własne słowa.

Deacon zmarszczył brwi.

–Nie powiedziałaś, co się stało z tym starcem ze świerszczami.

Shan spojrzał w stronę klatek.

–Po procesie bili go. Potem zmusili innych kapłanów, żeby też go bili. Umarł w końcu, a oni spalili jego zwłoki, wszystko tego samego dnia, kiedy zabrali go z gór. – Westchnął i znów spojrzał na klatki dla świerszczy. – Mój ojciec zabrał trochę popiołu ze stosu, na którym go spalono, i jeszcze raz poszliśmy tam, gdzie mieszkał. Zrobiliśmy w ukryciu kapliczkę na popioły.

Kiedy odchodziliśmy o zmierzchu, świerszcze grały dla niego.

Amerykanin przepuścił Shana do stołu. Gęsto tkana, czerwonawobrazowa materia wyglądała na bardzo starą. Owinięta była wokół jakiegoś walcowatego przedmiotu osłoniętego na jednym

końcu kawałkiem płótna. Obok, po prawej, stał mały dwuokularowy mikroskop.

–Podręczniki mówią, że można farbować jedynie białą wełnę, bez naturalnego pigmentu – powiedział Deacon ponad jego

ramieniem. – Ale na Takla Makan nigdy nie czytano tych książek. To jest wełna z brązowej owcy, częściowo zafarbowana czerwono-fioletowym barwnikiem w procesie, którego nie rozpracowaliśmy jeszcze do końca. – Deacon wskazał kratkowany wzór. – Tu jej nitki przeplatają się z nitkami nie barwionej białej wełny i białej wełny zafarbowanej na czerwono.

Shan spojrział na niego, zbity z tropu. Amerykanin nie przebył chyba pół świata po to, żeby w ukryciu badać techniki tkackie i farbiarskie.

Nagle panującą na zewnątrz ciszę przerwał gwar licznych głosów, krzyki, tupot stóp. Ktoś wołał Marca. Deacon spojrział na drzwi, jakby chciał sprawdzić, co się za nimi dzieje, wydawało się jednak, że nie ma ochoty zostawiać tu Shana samego.

Ktoś wykrzyknął imię Amerykanina. Drzwi otworzyły się na oścież, lecz nikogo za nimi nie było. Gdy Deacon podszedł do nich, Shan spiesznie odsunął płótno zakrywające z jednego końca walcowaty przedmiot.

Patrzył, nie wierząc własnym oczom, walcząc z ogarniającą go falą mdłości. Tkanina była fragmentem nogawki. Wystawała z niej ludzka stopa, mała i wysuszona, ale niewątpliwie stopa.

–Cholera – mruknął Amerykanin, przenosząc wzrok to na Shana, to na drzwi.

Znów rozległ się okrzyk i na progu ukazał się Marco. Potężny Eluosi ruchem ręki nakazał im wyjść, po czym cofnął się i Shan dostrzegł stojącego za nim Akzu. Naczelnik ledwie trzymał się na nogach. Biegła do nich Jakli, przytrzymując narzucony na ramiona pled.

–Ktoś zabił oficera bezpieczeństwa – wysapał ostatkiem tchu Akzu. – Porucznika Sui. Za parę godzin w całym okręgu będzie się roiło od pałkarzy. Ogłoszą stan wyjątkowy. – Kazach wypowiedział te słowa niczym wyrok śmierci, po czym odwrócił się do Shana i Amerykanina, jak gdyby potrzebowali szczegółowych wyjaśnień. – Będą aresztowania, wiele aresztowań. Żołnierze przetrząsną każdy zakątek. Musicie uciekać. Będą zabierać naszych krewnych.

Rozdział ósmy

We wczesnoporannym świetle kamienni strażnicy Karaczuku zdawali się prężyć mięśnie, gotować do walki, jakby czuli, że zbliża się wróg. Wieści przyniesione przez Akzu wyraźnie odmieniły też większość mieszkańców osady. Barwne stroje, które Shan widział poprzedniego dnia, ustąpiły miejsca brązowym i szarym, w kolorach pustym. Za wieloma pasami pojawiły się długie noże, a niektórzy z Kazachów obnosili się z przewieszonymi przez ramię karabinami. Shan poczuł się na ten widok nieswojo.

Przy zagrodzie znalazł Akzu i Osmana. Rozmawiali ściszymi, podnieconymi głosami.

–Gdzie zginął Sui? – zapytał. – Takie rzeczy zwykle zdarzają się w miastach. Nie powinni podejrzewać pasterzy.

–Na szosie kaszgarskiej – westchnął Akzu – trzydzieści kilometrów od Yoktianu. Nikt tam nie mieszka, tylko pasterze, Kazachowie i Ujgurzy. Wiesz, co zrobią pałkarze. Przetrzęsą obozowiska, szukając niepożądanych elementów. Wprowadzą godzinę policyjną. Cztery lata temu, po śmierci pewnego sierżanta, przez pół roku obowiązywał stan wyjątkowy. Podejrzanych wysyłało prosto do kopalń węgla, a ich rodziny do Obozu Chwały. Ci głupcy, którzy to zrobili, nie pomyśleli nawet, jakie cierpienia tym spowodują.

–Jacy głupcy? – zapytał Shan. – Wiesz, kto to zrobił?

Akzu utkwiał wzrok w odległych górach.

–Malik wciąż jest w drodze. Sprowadził do nas jednego z chłopców i zaraz odjechał znowu. Moi synowie też niedawno wyruszyli, żeby zebrać wszystkich wychowanków zheli, których da się jeszcze odnaleźć. – Odwrócił się do Shana, jakby dopiero teraz usłyszał jego pytanie, i wzruszył ramionami. – Mao. To oni

236

robią takie rzeczy. Oni właśnie zrobili to cztery lata temu. Gorące głowy. Myślą, że zmiana może przyjść z dnia na dzień.

–Myślą? – rozległ się za plecami Shana donośny głos Marca. – Oni nie myślą. To po prostu aroganccy drapieźcy, czasem wcale

nie lepsi od pałkarzy. Pojawia się łatwa zdobycz, bach. Zaspokajają swoją żądzę mordy i idą dalej. – Eluosi nie wyglądał na

wystraszzonego, jak inni. Był tylko wściekły. – Pętaki! Jak śmieli nam to zrobić!

Oczywiście morderstwo musiało na nich ściągnąć nowe represje bezpieczeństwa. Jednak wydawało się, że wściekłość Marca ma konkretniejszą przyczynę. Być może śmierć pałkarza pokrzyżowała Rosjaninowi jakieś plany.

Eluosi spojrzał na skałę i nagle się uspokoił. W ciszy, która zapadła, słyhać było tylko jego byczy oddech. Shan przeniósł wzrok za jego spojrzeniem. Na szczycie, obejmując ramionami kolana, siedziała Jakli, wpatrzona w zachodnią część horyzontu.

–Matko Boska – jęknął Marco cicho i boleśnie.

–Ona boi się o swego... o twojego syna? – zapytał nieśmiało Shan.

–To nie to – mruknął Marco. – Nikkiemu nic nie grozi. Nikki jest niepokonany. – Kopnął ścianę budynku, aż odpadł od niej płat starego tynku.

–Chodzi o coś innego – wyjaśnił Osman. – Jeśli pałkarze zostaną postawieni w stan gotowości, będą sprawdzać wszystkie podejrzane elementy. Ona powinna być teraz w mieście, w fabryce. Porzucenie nadzorowanej pracy jest wykroczeniem. Przyjaciele ją kryją, bo wiedzą, że to dla cioci Lau. Wszyscy kochali ciocię Lau. W normalnych warunkach pałkarzy zbytnio nie interesuje, co się tam dzieje. Ale teraz, kiedy Sui nie żyje, mają obowiązek zajrzeć wszędzie. Nie ma mowy o żadnym kryciu, kiedy przyjdą jej szukać. Jeśli ją zaarrestują ciągnął, spoglądając na odległe góry – nie wróci na święto koni. Nie wyjdzie za męża. Zabiorą ją do kopalni węgla. Byłem kiedyś w takim kopalnianym obozie, przyjechałem z transportem żywności. Dostają tam tylko młoty i dłuta, nic więcej. Żadnych rękawic. Żadnych maszyn górniczych. Głodowe racje żywności. Widziałem więźniów, którzy wyglądali jak szkielety, sama skóra i kości. – Znów spojrzał na Jakli. – Taka młoda – dodał niemal szeptem – pełna życia. Parę

miesiący w kopalni węgla, i będzie starą, wypaloną kobietą.

Srebrny wielbłąd w zagrodzie zaryczał. Shan stanął przy narożniku budynku i zobaczył, że Osman prowadził za najbliższą lepiankę dwa konie, jednego osiodłanego, drugiego objuczonego ciężkimi, owiniętymi płótnem skrzyniami. Dokąd szedł? Ostrzec rodzinę? Na samobójczy skok przez granicę? Przyjrzał się pozostałym ludziom przy zagrodzie. Niemal wszyscy dosiedli już koni. Wyglądali bardziej na oddział bandytów niż na grupę uchodźców.

Z podmuchem wschodniego wiatru dobiegł go jakiś dźwięk. Odwróciwszy się, spostrzegł, że Jakli stoi i macha do kogoś. Był to mężczyzna na koniu, kłusującym żwawo w stronę północnego skraju zabudowań, ku sercu bezkresnej pustyni. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch – to wrócił Osman. Właśnie kiwał głową, przywołując Marca. Shan znów spojrzał najeźdźca. Poznał Deacona. Amerykanin zmierzał samotnie w głąb pustyni, prowadząc jucznego konia.

Shan popędził do lepianki, w której pracował Deacon. Dwóch mężczyzn zgarniało łopatami piach na oparte o drzwi zbiegające od słońca deski. Wejście zostało na dodatek przegrodzone ciężką belką, ułożoną tak, by sprawiała wrażenie, jakby spadła z dachu. Budynek na powrót obracał się w ruinę.

Shan okrążył lepiankę. Oprócz jedynych drzwi nie było w jej ścianach żadnych otworów, jeśli nie liczyć małej dziurki tuż nad ziemią, którądy, jak przypuszczał, biegł kabel łączący baterię słoneczną z akumulatorami. Stał, wpatrując się w dziurkę, gdy jeden z mężczyzn sypnął na nią łopatę piasku. Nie! chciał krzyknąć Shan. W środku są grajkwie! Stary żelaznonogi musi dostać jeść. Nagle jednak coś powiedziało mu, że Deacon zabrał świerszcze ze sobą. W ciągu kilku minut rozmowy z Amerykaninem wyczuł, że niewiele spraw było dla niego ważniejszych niż spotkanie, na które umówił się z synem, Micahem, by wspólnie słuchać grajków przy pełni księżyca.

Ale czy tamta druga rzecz, ta wyschnięta noga, została w środku? Co Amerykanin z nią robił? Przeprowadzał sekcję? Napawał się jej widokiem? Czyja to była noga? Shan uświadomił sobie, że być może nie była tak stara, jak wydawało się na pierwszy

rzut oka. To była pustynia, gdzie zwłoki wysychały na wiór niemal z dnia na dzień. Mogła należeć do kogoś, kto zmarł całkiem niedawno. Być może Deacon prowadził własne śledztwo. Dopiero wtedy przypomniał sobie, co Bajys mówił o swoich rozpaczliwych poszukiwaniach w Karaczuku. O ludzkich szczątkach, które tu znalazł, poćwiartowanych jak na przedstawiających demony malowidłach.

Zauważył, że wszystkie zabudowania w kotlinie doprowadzono za pomocą piasku i starych desek do stanu pozornej ruiny, upodabniając je do reszty Karaczuku. Kiedy przyglądał się ewakuacji, znowu popadł w przygnębienie. Mylił się, sądząc, że przybył do innego świata. To był ten sam świat, świat pałkarzy oraz zbryzganych krwią Buddów.

W miarę jak wieść o śmierci Sui docierała do jego świadomości, ogarniało go coraz większe poczucie pustki, klęski. Oznaczało to, że jest uziemiony, że wszyscy, z mordercą włącznie, zaszyją się w norach, starając się ze wszystkich sił zniknąć na najbliższe tygodnie, może nawet miesiące.

Gdy wyszedł z za rogu budynku, zobaczył Marca stojącego ze srebrnym wielbłądem u drzwi gospody Osmana. Nie przyglądał się wcześniej zwierzęciu zbyt dokładnie, lecz teraz, patrząc na nie, uświadomił sobie, że nie przypomina żadnego ze stworzeń, które widział dotąd w Xinjiang. Jego oczy skrzyły się inteligencją, sierść miała połysk jedwabiu. Wielbłąd odwzajemnił jego spojrzenie, przechylając głowę, jak gdyby zaciekawiony. Ku swemu zaskoczeniu Shan spostrzegł w jego lewym uchu mały elegancki srebrny kolczyk.

Podszedł bliżej. Marco kładł właśnie między garby zwierzęcia proste siodło o drewnianym szkielecie. Wielbłąd pochylił głowę, po czym wsunął nos w dłonie Shana i polizał je.

Marco przyglądał się temu niepewnie.

–Sophie! Ty ładniczko! – burknął i podrapał zwierzę za uszami. – Ona tego nie robi – dodał ze zdumioną miną. – Tylko

rodzinie. Mnie i Nikkiemu. I Jakli – dodał.

–Jest ładna.

Marco objął wielbłądzicę.

–Jest piękna. Jak piękna kobieta. Ostatni emir Buchary –

powiedział, mając na myśli władcę jednego z prastarych, otoczonych

murem miast Azji Środkowej – miał stajnię z dwoma setkami wielbłądów wyścigowych, dopóki bolszewicy nie obiegli jego miasta. Przez trzy lata emir walczył z murów miejskich. Przyglądał się bezradnie, jak pieprzeni bolszewicy budują linię kolejową aż do murów. Musiał zabić większość wielbłądów, by wyżywić swoich żołnierzy. Ale kiedy zaczęły przyjeżdżać pociągi z posiłkami dla bolszewików, zanim się poddał, kazał sukinsynom obiecać, że pozwolą bezpiecznie opuścić miasto dwudziestu pozostałym przy życiu wielbłądom i stajennym, którzy się mmi opiekowali. Nie wpuścił najeźdźców, dopóki nie zobaczył, że wielbłądy są wolne. Sophie pochodzi od jednego z tych ocalałych.

Shan niepewnie położył dłoń na szyi wielbłądzicy. Sophie przysunęła się do niego, jakby prosząc, żeby ją pogłaskał. Zrobił to.

–Myślałem, że Karaczuk to bezpieczne miejsce.

W drzwiach pojawił się Osman. Niósł dwa wielkie kosze wypakowane różnymi pudełkami i tobołkami.

–Najbezpieczniejsze pod słońcem – zgodził się Marco. – Zaraz po moim domu. Dlatego właśnie nie chcemy go narażać.

Pałkarze nigdy nie zapuszczają się tak daleko w pustynię. Ale kiedy pojawia się tego rodzaju problem, wzywają helikoptery. Zobaczą nas tu w dole i... – Wzruszywszy ramionami, spojrzął na Osmana. – I koniec z wielodniowymi partiami szachów, nie, stary? – Podeszedł do stojącej za Sophie mniejszej wielbłądzicy i pomógł Osmanowi przytroczyć kosze do jucznego siodła na jej grzbiecie.

Za Sophie wyłoniła się Jakli, wyraźnie zmęczona i spięta. Niosła podróżny worek Shana.

–Musisz wracać do domu, Chińczyku – zauważył Marco.

–Nie mam domu.

–No dobra. Z powrotem do Tybetu.

–Jeszcze nie skończyłem.

–Oczywiście, że skończyłeś. Pałkarze zrobią resztę. – Eluosi spojrzął w oczy Shana i chyba dostrzegł w nich determinację. – Pękło gniazdo szerszeni. Nie chcesz chyba mieć z nimi do czynienia?

–Nie mogę przerwać, dopóki nie pozwolą mi na to ci, którzy mnie wysłali – odparł cicho Shan.

Marco pokręcił głową.

–Oni nie znają tego kraju. Ty też go nie znasz. – Spojrzął ponad karkiem Sophie w stronę pustyni. – Tak było zawsze. Co jakiś czas zjawia się bestia. Nadchodzi niczym przyływ na wielkim morzu. Ludzie budują sobie znośne życie wokół stada, oazy, małej doliny w górach. Co kilka lat przychodzi temu kres. Oni wiedzą o tym. Przyzwyczaili się do tego. Dawno temu, kiedy Karaczuk był żyzną oazą, przybywała szarańcza, pożerając całą zieleń w promieniu tysięcy mil. Zanim pustynia pochłonęła

w końcu wszystko na wieki, co jakiś czas nadciągała potężna burza piaskowa, karaburan, z rodzaju tych, które szaleją całymi dniami, niszcząc wszystko, co jest mniej twarde niż kamień. Niekiedy bywa to armia. Najeżdżali te ziemie Mongołowie. Najeżdżali Chińczycy. Najeżdżali Persowie. Powiadają, że kiedyś wkroczyli tu Rzymianie. Jeśli wierzyć starym opowieściom, mieliśmy nawet najazd armii małąp dosiadających tygrysy. – Spojrzał znów na swoje toboły, poprawił je raz jeszcze i wziął cugle z szyi Sophie.

–Małpy na tygrysach, pałkarze w czołgach... żadna różnica. Jeśli cenisz życie swoje i tych, którzy nie są ci obojętni, znikasz. Stajesz się niewidzialny. Schodzisz do podziemia. Odchodzisz w góry. Po prostu schodzisz bestii z drogi.

Shan dobrze wiedział, jaką bestię ma na myśli Marco. Spędził w jej trzewiach trzy długie lata.

–Bestia nie zawsze musi zwyciężyć – oświadczył z uporem.

Obok niego stanęła Jakli, wyraźnie zniecierpliwiona, że Shan opóźnia wymarsz. Marco spojrzał na Shana z powagą.

–To zależy od tego, co rozumiesz przez zwycięstwo – odparł po chwili. – Odwrócił się i wtulił twarz w gęstą sierść na czole Sophie. Wyglądało to, jakby się naradzał ze zwierzęciem. –

Spójrz, towarzyszu inspektorze – powiedział, unosząc głowę –

Jakli mówi, że nie masz żadnych papierów. Pozwól, żeby odprowadziła cię w bezpieczne miejsce. Odczekaj przynajmniej

tydzień albo dwa. Jedź do klanu Czerwonego Głazu. Licz owce.

Shan nawet nie drgnął. Nie odrywał oczu od Marca.

–Czerwony Głaz ma dość własnych problemów.

Eluosi zmarszczył brwi i przeniósł wzrok na Jakli.

–Musisz się ukryć, dziewczyno – powiedział, gładząc się po brodzie. – Jedź ze mną. Nie daj się schwytać, nie teraz, przed samym świętem.

Jakli uśmiechnęła się. Wspiąwszy się na palce, pocałowała Marca w policzek.

–Zostaję z Shanem – oświadczyła pogodnie. – Obiecałam to Lau.

Ale obiecałaś coś także Nikkiemu, pomyślał Shan, jednak gdy spojrzał w jej oczy, uświadomił sobie, że nie chodzi tu o zwykłą przekorę. Złożyła obietnicę nie tylko Lau, ale i sobie. Że nim wyjdzie za mąż, doprowadzi do końca sprawę Lau.

Marco cofnął się, pocierając dłonią policzek tam, gdzie musnęły go jej wargi. Przez chwilę zdawało się, że buńczuczny Eluosi zapomniał języka w gębie.

–Do diabła – mruknął. – W takim razie zabierz go do Senge Drak – powiedział dziewczynie. – Shan to ich problem, nie nasz.

–Senge Drak? – zapytał Shan, zwracając się do Jakli.

–To w górach Kunlun – wyjaśnił Marco. Nagle urwał, rzucając dziewczynie znaczące spojrzenie. – Ten, kto załatwił Sui, może tam być – oświadczył z namysłem, jakby właśnie teraz przyszło mu to do głowy. Odwrócił się znów do Shana. – Chcesz powstrzymać bestię? Odstaw zabójcę Sui do pałkarzy...

Przerwało mu ciche rżenie. Odwróciwszy się, spostrzegli, że pozostali mieszkańcy osady dosiedli już koni i jadą gęsiego ścieżką, którą Shan i Jakli przybyli poprzedniego dnia. Jeźdźcy na czele kolumny zatrzymali się, machając rękoma.

Jak gdyby rozumiała ten odległy gest, Sophie uklękła na piasku, żeby Marco mógł jej dosiąść. Gdy tylko znalazł się w siodle, zerwała się do biegu. Eluosi roześmiał się gromko.

–Niech bóg wszystkich stworzeń ma cię w swej opiece, Chińczyku! – zawołał. – Boja nie mogę! – Parę sekund później był już na czele kolumny.

Gdy Shan przyglądał się, jak jeźdźcy i zwierzęta opuszczają osadę, ogarnęło go dziwne uczucie. Był to widok z przeszłości, z Jedwabnego Szlaku, z Karaczuku takiego, jaki był przed wiekami. Karawana awanturników zmierzająca ku znanym i nieznanym przygodom.

Wyprowadziwszy ciężarówkę z miasta ruin, Jakli skierowała

ją w inną stronę, prosto na południe, ku wysokim szczytom stanowiącym mury Tybetu. Ku krańcowi ziemi. Shan wpatrywał się w jałowy krajobraz, to przysypiając, to się budząc, gdy kolebiąca się ciężarówka jechała suchym łożyskiem rzeki. Po godzinie Jakli zatrzymała samochód w kępie wierzb i topoli przy szosie kaszgarskiej i poprosiła Shana, żeby wysiadł i sprawdził, czy w zasięgu wzroku nie ma innych pojazdów. Pomachał do niej na znak, że droga wolna, i przez półtora kilometra znów jechali suchym korytem, tym razem potoku. Wreszcie, dodawszy ostro gazu, Jakli wjechała na skarpę i ruszyli traktem szerokim akurat na tyle, by zmieściła się na nim ich niewielka ciężarówka. Shan studiował mapę.

–Jesteśmy blisko Obozu Chwały – zauważył.

–Nie możemy ryzykować po raz drugi – odparła, kręcąc głową. – Nie teraz, kiedy są tu pałkarze. Nie po tym, jak potraktowała cię Xu.

–Na wzgórzach za obozem widziałem owce – powiedział i wyjaśnił, co ma zamiar zrobić.

Jakli westchnęła i zatrzymała wóz, by jeszcze raz przestudiować mapę. Pół godziny później, zostawiwszy ciężarówkę w kępie drzew, wspinali się na niski grzbiet ciągnący się wzdłuż wschodniej granicy ryżowego obozu. W połowie drogi Jakli zatrzymała Shana, kładąc mu dłoń na ramieniu, i zagwizdała krótko. Pół minuty później zza szczytu wzgórza wyłonił się wielki pies, za nim zaś nadszedł mężczyzna, na którego twarzy nie było widać żadnych oznak radości ze spotkania. Gdy zbliżyli się do niego, powitał ich ostentacyjnym zmarszczeniem brwi, po czym pochylił się nad psem i odprawił go cichą komendą.

Pasterz zdjął z szyi silną lornetkę i podał ją Jakli, a następnie odwrócił się i poprowadził ich ścieżką pod górę. Gdy mijali wielką topolę tuż pod szczytem wzgórza, ich przewodnik mruknął jakieś słowo w języku klanów i tym samym słowem odpowiedziano mu z góry. Uniósłszy wzrok, Shan ujrzał w gałęziach drzewa drugiego mężczyznę z lornetką. To nie byli pasterze. To byli Mao.

Gdy Obóz Chwały pojawił się w zasięgu wzroku, Jakli podała szkła Shanowi i gestem skierowała go w cień wielkiego krzewu.

Rozglądając się po obozie, słuchał, co Mao mówi do Jakli. Nie działo się nic nadzwyczajnego. Nie pojawiły się tłumy nowych aresztantów. Więźniowie mieli właśnie szkolenie. Dziedziniec był pusty. Przy budynku z celami dla więźniów specjalnych panował spokój.

–Nic – rzucił Mao ze zniecierpliwieniem do pleców Shana.

A jednak było coś nowego. Przy maszcie flagowym na środku placu tkwił szary kształt, który łatwo można było wziąć za głaz. Shan wskazał go palcem.

–Ten? – zdziwił się Mao. – Siedzi tak cały dzień. Myślisz, że coś mu dolega? Nic mu nie jest.

Shan oddał lornetkę Jakli. Czy ten człowiek odbywa karę? zastanawiał się. Czy też sam postanowił siedzieć godzinami na słońcu i wietrze?

–On się nie liczy – stwierdził Mao. – Z tej odległości i tak nie da się nikogo rozpoznać – dodał na odchodnym.

Ale Shan rozpoznał tego człowieka. Po kilku krokach Mao się odwrócił.

–Nie dasz rady ich wyrwać – rzucił opryskliwie. – Ludzie giną, kiedy się tego próbuje – ostrzegł i znów ruszył ścieżką w dół stoku.

–Nie rozumiem – odezwała się Jakli. – Znasz go?

–Nie wiedziałaś, że on mówi po tybetańsku, prawda? Nie wiedziałaś, że bywa w jaskini.

Pochyliła się, próbując lepiej przyjrzeć się mężczyźnie.

–Kiedy wstał tamtego dnia, zauważyłaś, jaki jest wysoki?

Opuściła lornetkę i spojrzała w oczy Shana. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

–Nadzorca strumieni – jęknęła. Przygryzając dolną wargę, ponownie uniosła lornetkę do oczu. – Tyle razy – szepnęła – mogłam go prosić o błogosławieństwo.

Przyglądał się jej zatroskany.

Bez słowa wrócili do wozu i ruszyli w dalszą drogę.

Jechali długimi, pokrytymi żwirem stokami, stanowiącymi zapowiedź gór. Jakli zaczęła się rozpogadzać. Opowiadała o znajomej okolicy, pokazując Shanowi miejsca, gdzie obozował kiedyś jej klan, gdzie uratowała niegdyś zabłąkane jagnię, gdzie Lau pokazała jej gniazdo wiewiórek ziemnych. Raz zatrzymała

samochód i z zapartym tchem wskazała coś poruszającego się na jednym z odległych wzgórz. Stado dzikich koni. Wysiadła i zaczęła krzyczeć ku nim w języku swego klanu. Wiatr porywał jej słowa. Była to końska modlitwa, wyjaśniła z zażenowanym uśmiechem, wróciwszy do kabiny. Modlitwa mająca je chronić je przed Brygadą.

Dotarli do następnej szosy. Jakli ostrożnie wprowadziła na nią ciężarówkę, niespokojnie wypatrując nadjeżdżających pojazdów, po czym powoli ruszyła ku ośnieżonym szczytom. Shan wciąż to budził się, to zapadał w sen. Raz, ocknąwszy się, stwierdził, że ciężarówka stoi u podnóża wysokiego szarego urwiska. Po drugiej stronie szosy ciągnęła się łąka porośnięta astrami. Jakli klęczała na poboczu, z

naręczem kwiatów w dłoniach, spoglądając w górę, na zadrzewiony szczyt urwiska. Pochyliła głowę i złożyła pod nim kwiaty. Kiedy wróciła, Shan udawał, że twardo śpi.

Znów zapadł w sen, a kiedy się obudził, było późne popołudnie. Jechali przez nie znaną mu okolicę, pośród szczytów ostro rysujących się na tle ciemnofioletowego nieba. Przyglądał się górskim stokom opadającym fałdami w tajemnicze doliny, graniom wznoszącym się ku niebu niczym olbrzymie dłonie. Otworzył okno i smakował mroźne, rozrzedzone powietrze, rześkie od leżącego w górze lodu. Jego pamięć nie знаła tych miejsc, ale jego serce je rozpoznało.

–Od jak dawna jesteście w Tybecie? – zapytał.

–Granica nie jest tu dokładnie wytyczona. Jakies osiem, szesnaście kilometrów.

–Musisz być wyczerpana. Daj, ja poprowadzę.

–Ty nie znasz drogi. To już niedaleko.

Wjechali na wysoki grzbiet i zwolnili, by podziwiać roztaczający się z niego widok na ciągnący się kilometrami płaskowyż Czangtang. Daleko w oddali po trawiastym obszarze sunął, falując, wielki brązowy kształt, stado dzikich zwierząt, być może antylop, albo nawet kiangów, rączych, podobnych do muła stworzeń, które wciąż jeszcze zamieszkiwały te tereny. Parę minut później Jakli zatrzymała ciężarówkę i wyszła na wiatr.

–Nie byłam tu od czterech lat – powiedziała. – Tego miejsca nie ma na mapach. Widzisz to?

–Nigdy tu nie byłem – odparł Shan. Odwrócił wzrok ku północy. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Opuścił nadzorcę strumieni i dzieci z zheli, i Genduna.

–Senge Drak – wyjaśniła. – To znaczy Lwia Skała. Bo przypomina lwa.

Przez chwilę stali, patrząc na okoliczne szczyty, i wrócili do ciężarówki. Jakli sprowadziła wóz na wąską dróżkę, która długim, łagodnym podjazdem wspinała się na kolejną górę. Na szczycie znów zahamowała, wskazując coś palcem. Grzbiet, na który właśnie wjechali, wyginał się na południe w wydłużoną podkowę. Znajdowali się w jej centralnym punkcie i mieli przed sobą jedno z ramion – długą nagą grań zakończoną potężnym urwiskiem przypominającym zarys twarzy. Na jego szczycie, niczym para uszu, wznosiły się dwie sterczące skały. Dużo niżej, wzdłuż podnóża grani, ciągnął się mniejszy grzbiet, przywodzący na myśl leżącą nogę.

Sto metrów dalej dróżka się skończyła i Jakli zaparkowała ciężarówkę pod potężnym nawisem skalnym. Przykryli samochód brudnym szarym płótnem, które dziewczyna znalazła na platformie, po czym ruszyli wąską kozią ścieżką biegnącą w poprzek stromego zbocza. Po paru krokach dziewczyna przystanęła i rzuciła kamyk w cień pod następnym nawisem. Kamyk odbił się z metalicznym brzękiem. Jeszcze jedna ciężarówka stała ukryta u wylotu drogi.

Gdy podeszli bliżej, Shan zaczął dostrzegać subtelną regularność cieni na licu urwiska. Nie wszystkie ciemne plamy były naturalnymi szczelinami, niektóre wyglądały na okna, bramy wykute w skale. Zrozumiał nagle, że Lwia Skała to forteca, dzong, jedna z tych, które w dawnych czasach strzegły granic Tybetu. Wtopiona w skałę, stanowiła jedność z wyniosłą górą, która zapewniała stąd rozległy widok na Czangtang oraz na przełęcz wcinającą się w góry Kunlun.

–Jest tak oddalona od centrum Tybetu, że Chińczycy ją przeoczyli – wyjaśniła Jakli. – Albo może ALW uznała po prostu,

że nie warto nią sobie zaprzętać głowy. Nie dało się jej zbombardować z powietrza, jak innych. A poza tym od wieków stoi

opuszczona. Nie spodziewano się od tej strony żadnej napaści. Nie mogłaby służyć za bazę wypadową jakimkolwiek większemu

oddziałowi ruchu oporu. Nie zawadza nikomu i niczemu.

W zapadającym szybko zmierzchu dotarli do końca ścieżki. Jakli przystanęła, by spojrzeć na ostatni odblask szkarłatu na zachodzie, jakby wznosząc w ten sposób milczącą modlitwę, po czym poprowadziła Shana w plamę ciemniejszego cienia, która skrywała wejście do fortecy. Kierując się bladym światłem lampek maślanych, rozmieszczonych z rzadka wzdłuż korytarza, dotarli do masywnych wąskich drzwi z ciosanego drewna. Gdy Jakli je pchnęła, żelazne zawiasy jęknęły głośno.

–To ich system alarmowy – powiedziała, schylając się, i poprowadziła Shana do środka.

Coś więcej niż system alarmowy, pomyślał Shan, uważnie przyjrząwszy się drzwiom. Otwór był tak niski, że większość wchodzących musiała pochylić głowę, wystawiając kark na cios obrońcy, i tak wąski, że nie mogła nim przejść więcej niż jedna osoba naraz. W czasach, gdy walczono na miecze i strzały, kilku obrońców mogło powstrzymać w takich drzwiach atak całej armii. Po dwóch krokach Jakli dotknęła ramienia Shana. Zaczekają tutaj.

Znawali się w pustej sali, może na dwanaście metrów szerokiej, którą w drugim końcu oświetlał tuzin lampek maślanych ustawionych na długim stole z ręcznie obrobionych desek. Ściana po prawej była nachylona i nierówna, jakby sala niegdyś była jaskinią, a ludzka ręka tylko ją powiększyła. Ścianę za stołem pokrywały stare kobierce, które kołysały się powoli. Po przeciągu wprawiającym w drżenie płomyki lamp Shan domyślił się, że tkaniny zakrywały wykute w skale okna, które widział ze ścieżki.

Przeszedł powoli wzdłuż nich. Niektóre kobierce okazały się thankami przedstawiającymi sceny z życia klasztoru. Były niemal zupełnie wytarte, zniszczone przez wiatr. W jednym miejscu wisiał zwykły czarny filcowy koc. Nagle włos zjeżył się Shanowi na karku. Ktoś obserwował go z drugiego końca sali. Nie widząc tam nic prócz cieni, Shan podniósł jedną z lamp i zapuścił się w mrok.

Po pięciu krokach zamarł ze zgrozy. Z ciemności wpatrywało się w niego dwoje wielkich nieruchomych oczu znajdujących się

na tej samej wysokości co jego własne, osadzonych w pogodnej twarzy. Głowa była lekko przechylona w bok, jak gdyby pytająco. Postać w jednej dłoni ścisnęła dzwonek. Był to siedzący Budda, wyrzeźbiony tak, by sprawiał wrażenie wynurzającego się z żywej skały. Głowa wychylała się z niej niemal w całości, podwinięte, spowite szatą nogi były niewiele więcej niż płaskorzeźbą.

Zbliżywszy się, Shan dostrzegł, że skała, na której siedzi Budda, została ociosana na kształt ołtarza, na którym postać zdawała się spoczywać. Po obu stronach wykuto wielkie nisze, przeznaczone na ofiary. Ich sklepienia pokrywała czarna sadza z torma, maślanych figur, które palono w świąteczne dni.

Jakli minęła go i w jednej z nisz postawiła lampkę.

–Żołnierze, którzy zbudowali tę fortecę – wyjaśniła – żyli w mocarstwowej epoce Tybetu. Mnisi wojownicy. Czasem walczyli pod rozkazami tych samych lamów, którzy byli ich duchowymi mistrzami. Znaleźliśmy stare pismo o życiu w Senge Drak. – Mówiąc, uniosła dłoń do głowy Buddy i nie dotykając go, obwiodła palcami delikatne rysy jego twarzy. – Tutejsi mnisi byli znakomitymi łucznikami. Nie ćwiczyli, jak inni, strzelając do ptaków, jeleni albo innych żywych stworzeń, ponieważ wierzyli w świętość życia. Stawiali w otwartych oknach, a nauczyciele rzucali na wiatr papierowe ptaki, które były ich celem.

–Gdyby wszystkie armie były takie – rozległ się znajomy głos – wojny stałyby się niepotrzebne.

Shan odwrócił się. Był to Lokesh, ze swym krzywym uśmiechem na twarzy. Z błyskiem w oku Tybetańczyk ruszył naprzód, żeby objąć Shana.

–Ale nie każda armia strzela tylko do papierowych ptaków – odezwała się inna postać, wychodząc z cienia. Jowa. Wydawał się mniej uszczęśliwiony widokiem Shana.

Lokesh skrzywił się, jakby niezadowolony z uwagi purby.

–Oni są tutaj? – zapytała nagle Jakli. – Przyszli świętować, kiedy wszyscy tam w dole ponoszą karę?

Jowa spojrział na nią zmieszany. Wydawało się, że chce ją o coś spytać, ale nie zdążył, bo z mroku wyłoniła się następna postać, Gruby Mao, i Jakli w jednej chwili znalazła się przy nim,

rozpoczynając gwałtowną tyradę w ich własnym języku. Uniosła ręce i zaczęła wymachiwać pięściami przed zaskoczonym Ujgurem.

–Sui był sukinsynem pracującym dla większego sukinsyna -odpowiedział jej Gruby Mao po mandaryńsku, przysuwając się do Shana i Jowy, jakby szukał u nich pomocy. Shan spojrział uważnie na Ujgura. Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, a jego ubranie było brudne i podarte w wielu miejscach. On także był w drodze. Być może uciekał. – Zasługiwał na śmierć. Ale to nie ja go zabiłem.

–Może nie ty – warknęła Jakli – ale inni Mao. Wybraliście najgorszy moment. Nie jesteście wojownikami, jesteście po prostu drapieżnikami. Zabijacie i uciekacie. Niech inni zapłacą za wasze... – Głos jej się załamał ze wzburzenia.

–Nie zrobił tego żaden Mao – oświadczył stanowczo Ujgur.

–Nie możesz tego wiedzieć – odpaliła Jakli.

–Mogę – odparł Gruby Mao. – Wiem o wszystkim, co się dzieje w okręgu Yoktian. Sui był obserwowany, kiedy to tylko było możliwe. Ale nikt, powiadam, nikt z nas go nie zabił. Wiem, co myślisz. Pałkarze pomyślą to samo.

–Ocalenie klanu Czerwonego Głazu. Odszukanie zabójcy Lau, zabójcy dzieci... – Urwała, jak gdyby chciała dodać coś jeszcze, ale nagle zmieniła zamiar. – Teraz to niemożliwe.

Czy właśnie o to chodziło? zastanawiał się Shan. Czy ktoś zabił Sui, żeby odwrócić uwagę pałkarzy, czy może, wiedząc, jaka będzie reakcja bezpieki, żeby zahamować prowadzone przez ich grupkę śledztwo w sprawie zniknięcia Lau?

Ktoś jeszcze poruszył się w ciemności. Pojawił się niski, smukły mężczyzna, który niósł czarke na drewnianej tacce.

–Jah – oznajmił po tybetańsku. Herbata. Był to Bajys. Nie ten przerażony, bredzący Bajys, ale inny Bajys, albo początek innego Bajysa, gdyż w jego twarzy wciąż jeszcze była pustka, zagubienie, które Shan dostrzegł w jaskini Lau. Przyjmując od niego czarke, Shan spostrzegł, że ręka mężczyzny jest pewna, ale w jego oczach pozostał niepokój.

Jowa wziął czarke i usiadł na stole, z dala od pozostałych. Wyciągnął z kieszeni jakiś papier i wczytał się weń, jakby nie był zainteresowany dalszą rozmową.

Shan poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw.

–Mao powinni coś wiedzieć, skoro obserwowaliście Sui – powiedział do Grubego Mao. Odwróciwszy się, ujrzał obok siebie Lokesha. Stary Tybetańczyk usiłował go zaciągnąć w stronę cieni.

–Trupa znalazł ujgurski kierowca ciężarówki – wyjaśnił Gruby Mao. – Jechał sam z ładunkiem wełny do Kaszgaru. Ciało Sui było oparte o skałę na skraju drogi.

–Zabójca nie zrobił nic, żeby je ukryć?

–Raczej zrobił wszystko, żeby rzucało się w oczy. Kierowca spostrzegł je wyraźnie w świetle reflektorów, pomyślał, że to ktoś chory albo ranny, więc się zatrzymał. Ale Sui został postrzelony w serce. Dwa razy. Szybka śmierć.

–Chcesz powiedzieć, że jego ciało ułożono tam później?

–Właśnie. Na piasku obok trupa było napisane palcem *lung ma*. Niemożliwe, żeby zrobił to Sui. Musiał paść jak kłoda.

–I tak znaleźli go pałkarze?

–Niezupełnie – odparł Mao. – Kierowca nie wiedział, co robić, nie wiedział, kim jest Sui.

–Sui należał do pałkarzy. Każdy zna ich mundury.

Gruby Mao pokręcił głową.

–Sui nie był w mundurze. – Przeniósł wzrok z Shana na Jakli, czekając, aż dotrze do nich znaczenie tych słów. – Ale u pasa miał pistolet. A potem na drodze pojawił się ktoś, kto pomógł.

–Ktoś, kto znał Sui? – zapytał Shan. Odwrócił się w stronę cieni. Lokesh zniknął.

–Ktoś, kto szukał Sui. Kto zatarł słowa na piasku. Jeden z Mao. Chciał ukryć ciało, ale nie było na to czasu. Na szosie zaczynał się już ruch. Mógł tylko odciągnąć Sui za skały.

–Chcesz powiedzieć, że ten Mao śledził Sui? – zapytał Shan.

Ujgur skinął głową.

–Jeden z nas, ale zgubił go w Yoktianie. Sui miał się spotkać z prokuratorem Xu w Obozie Chwały, więc człowiek, który go śledził, pojechał w tamtą stronę.

Gruby Mao patrzył na Jakli ponurym wzrokiem. Być może Xu postanowiła spotkać się z Sui wcześniej, na szosie, żeby pozbyć się go z takich czy innych względów.

–Jaki pistolet miał Sui? – zapytał Shan. Pałkarz zginął z bronią u pasa, być może zaskoczony przez zabójcę.

–Nie służbowy. Mały kaliber, jak do ćwiczeń.

–Taki, z jakiego zabito Lau i Suwana w klanie Czerwonego Głazu – westchnął Shan i spojrzął na Jakli, która usiadła ciężko przy stole. – Co się stało? Dlaczego śledziliście Sui?

–Kiedy kierowca ciężarówki dowiedział się, kim jest Sui, nie miał najmniejszej ochoty tam zostać. Odjechał. Przedtem jednak splunął na ciało.

–Dziękuję za tę istotną informację – mruknął Shan.

Gruby Mao wzruszył ramionami.

–Śledziliśmy go, bo to właśnie robimy, kiedy tylko można. Żeby ostrzegać ludzi. Żeby dowiedzieć się tego i owego. – Przycisnął nadgarstek do skroni. Shan uświadomił sobie, że Ujgur cierpi na ból głowy. Nie był przyzwyczajony do takiej wysokości.

–Program Walki z Ubóstwem – odezwała się Jakli.

Gruby Mao spojrzął na nią z wyrzutem, dziewczyna jednak nie umilkła. – Bezpieka w jakiś sposób macza w tym palce. Tamtego dnia, kiedy Ko przyjechał robić spis inwentarza, w garażu zjawiał się Sui.

–Chcesz powiedzieć, że Sui współpracował z Brygadą? – zapytał Shan.

Ujgur usiadł przy stole, oparł łokcie na blacie i objął dłońmi głowę.

–Tak przypuszczam – odparła Jakli. – Może chodziło po prostu o zapewnienie, że wszystko odbędzie się bez tarć, że klany przeniosą się, kiedy dostaną takie polecenie, że nikt nie wymknie się programowi.

–To właśnie Sui powiedział, że Brygada będzie wyłapywać dzikie konie – przypomniał jej Shan.

Gruby Mao uniósł głowę.

–Sui jeździł za dyrektorem Ko – oświadczył.

–Do Obozu Chwały? – zapytał Shan.

–Do wielu miejsc. Co najmniej od trzech tygodni. Jak gdyby Ko był pod nadzorem bezpieczeństwa. – Znowu przycisnął dłoń do skroni i wyciągnął się na ławie.

Shan rozejrzył się dookoła. Lokesh nie wrócił. Bajys również zniknął. Zrobił krok w ciemność i dostrzegł w niej zarys drzwi.

Prowadziły do następnego korytarza czy tunelu, oświetlonego przez małe lampki. Wszedł tam, lecz po dziesięciu metrach przystanął, zaskoczony nowym dla siebie doznaniem. Nie było to właściwie doznanie, lecz przebłysk świadomości, iskra zrozumienia. Oparł się ręką o skalną ścianę i zamknął oczy, po czym nagle otworzył je i puścił się biegiem.

Trzydzieści metrów dalej korytarz rozdawał się przed wielkim drewnianym postumentem, na którym spoczywał niemal metrowej wysokości młynek modlitewny. Shan bez wahania poszedł w lewo i dotarł do drewnianych drzwi, uchylonych na tyle, że widać było za nimi kwadratową salę o boku mierzącym może dziewięć metrów, łagodnie oświetloną kręgiem stojących pośrodku lampek maślanych. Było to przytulne, ciche pomieszczenie, całkowicie, łącznie z sufitem, wyłożone wonnym drewnem, jedno z tych, jakie budowano w świątyniach, by służyły za skarbiec. Shan wszedł do środka.

Lokesh siedział przy lampkach obok człowieka w mnisiej szacie, spoczywającego nieruchomo w pozycji lotosu, z łokciami na kolanach, z pochyloną głową opartą na rozpostartych palcach. Shan z wysiłkiem uspokoił walące mu jak młotem serce. To był Gendun.

Dołączył do dwóch Tybetańczyków przy kręgu światła i usiadł w milczeniu, wdychając zapach starego drewna. Utkwił wzrok w płomyku jednej z lamp, usiłując się skoncentrować, oczyścić umysł na przyjęcie Genduna. Jeśli wybrany obiekt jest wystarczająco czysty, wystarczająco pełny, można pogрузić się w nim bez reszty, może on stać się tarczą chroniącą przed wytrąceniem z równowagi. Nadaje się do tego wszystko – grudka błota, kropla krwi, kwiatek wrzosu – musi tylko być czyste.

–Spotkałem kiedyś pustelnika – dotarł do jego świadomości głos – który twierdził, że w poprzednim wcieleniu był drzewem jałowca. Utrzymywał, że słyszy mowę drewna. – Głos rozbrzmiewał echem w jego sercu, napełniając go ciepłem. – Powiedział, że kiedyś każdy z nas był drzewem. Odparłem, że sądzę inaczej, gdyż ja wciąż pragnę stać się cedrem.

Shan, mrugając, oderwał wzrok od płomienia i ujrzał szeroki uśmiech Genduna. Lama na powitanie przycisnął obie dłonie do serca, po czym,

nie odrywając łokci od kolan, wyciągnął je w stronę Shana. Był to gest, który uchodził u niego za uścisk.

–Rinpocze – odezwał się wolno Shan – zawędrowaliśmy daleko od twojej góry w Lhadrung.

–Jeśli tylko jest dla mnie miejsce we wnętrzu gór – odparł Gendun – tam jest mój dom. – Jego głos brzmiał niczym szelest piasku padającego na gładką skałę.

Shan uśmiechnął się. Gendun od tak wielu lat medytował w swej skalnej pustelni, że wszyscy, którzy go znali, twierdzili, iż potrafi on wyczuć ukryte życie gór.

–Jak ci się wiodło? – zapytał Shan.

–Byłem zagubiony. Gendun uśmiechnął się.

–Ja także, mój przyjacielu. – Znów umilkł, lecz jego uśmiech nie zgasł, gdy przeniósł wzrok z Shana na Lokesha.

–Sądziłem, że ci ludzie zabrali cię tamtej nocy – powiedział Shan.

–Te góry – odezwał się Gendun z zachwytem – mają inny głos. Zauważyłeś to? Oglądam je oczyma obcego przybysza, ale moje serce zna je, pamięta je sprzed tylu lat.

Shan mógł tylko uśmiechnąć się w odpowiedzi.

–Czy byłeś tu przez wszystkie te dni, rinpocze? – zapytał po chwili.

–Wymknął się z ciężarówki, kiedy zatrzymała nas Brygada – wyjaśnił ktoś za jego plecami. Shan, odwróciwszy się, ujrzał stojącego w drzwiach Jowę.

–Ja przyjechałem tu dwa dni później – odezwał się ktoś inny, młody purba, który odprowadził ich ciężarówkę po spotkaniu z Kazachami. Chłopak wyminął Jowę i wszedł do sali, ze zdumieniem wpatrując się w Genduna. – Siedział dokładnie w tym miejscu, był sam. Nie chciał odejść.

Jowa wciąż stał przy drzwiach, jak gdyby wolał się nie zbliżać do lamy.

–Jak daleko jest stąd do miejsca, gdzie nas zatrzymano? – zapytał Shan.

–Dwadzieścia pięć, może trzydzieści kilometrów. – Młody Tybetańczyk pokręcił głową. – Ale nikt nie wie, że Senge Drak jest naszą kryjówką – powiedział tonem, w którym pobrzmiwało

pytanie, jakby chciał, żeby Shan mu to wyjaśnił. – On nigdy tu nie był. Żadna ścieżka nie prowadzi tu z miejsca, w którym wszedł z drogi.

Gendun nie dał po sobie poznać, że słyszy tę rozmowę. Wytłumaczył już Shanowi: góry przemawiają własnym głosem.

Shan nie patrzył na młodego Tybetańczyka, lecz na Jowę. Purba wyglądał nie tyle na zmęczonego, ile na skrępowanego. Gendun, jeden ze świętych ludzi, za których walczył, z jakiejś przyczyny go onieśmiał.

–Powiedzieliśmy mu o drugim chłopcu – odezwał się Lokesh, nagle posępniejąc.

Co mu powiedzieliście?! – chciał wykrzyknąć Shan. Jak Lokesh mógł opisać morderstwo popełnione na Suwanie?! Jeszcze jedna młoda dusza została uwolniona od smutku, być może.

Ale potem odezwał się Gendun.

–Daleko dotarłeś? – zapytał Shana.

Tak mi się zdaje, niemalże powiedział, myśląc o grobie w obozowisku Czerwonego Głazu, o grocie Lau, o obozie ryżowym i Karaczuku. Mam wrażenie, że moja podróż trwała nie cztery dni, ale cały rok.

–Spotkałem ciocię Lau – stwierdził jednak tylko.

–Spodobała ci się, jak na razie? – zapytał lama z błyskiem w oczach.

–Myślę, że była darem dla wszystkich światów, w których żyła.

Gendun skinął głową. Powoli otworzył i zamknął oczy.

–Spotkałem też starego nadzorcę strumieni – dodał Shan.

Gendun ponownie skinął głową i lekko poruszył brwią.

Shan odgadł jego pytanie.

–Wciąż jest pośród żywych – zapewnił go. – W obozie, ale

nie cierpi. – Przeniósł wzrok z Genduna na płomyk najbliższej

lampki. – Wydostanę go stamtąd.

Niektóre rzeczy nabierają realności dopiero wtedy, gdy zostaną wypowiedziane.

Gendun spojrzał na niego z uwagą, lecz nie aż tak wielką jak ta, z jaką Shan przyglądał się sobie samemu. Jego słowa, choć niespodziewane, niezamierzone, rozbrzmiały jak dzwon. Wystarczyła mu chwila, by zrozumieć to, co pewna nieświadoma część jego istoty zrozumiała już dawno: że wśród

kłębowiska ludzi i zdarzeń, w którym znalazł się, gdy przybył do Xinjiang, jedyną pewną rzeczą było to, iż nadzorca strumieni, stary lama, z którym spędził nie więcej niż dwie minuty, musi zostać uwolniony z obozu. A Shan był jedyną osobą, która mogła to zrobić, gdyż jedynie on o tym wiedział.

Znów usłyszał dzwon w swoim umyśle, dźwięczał coraz donośniej. Nie, to nie dzwon, uświadomił sobie, ale delikatne pobrzękiwanie tsinghi, okrągłych dzwoneczków z brązu, których używano w tybetańskich świątyniach.

W drzwiach pojawił się Bajys. Uśmiechając się nieśmiało, brzęknął tsinghą jeszcze dwa razy, jak gdyby dla czystej przyjemności.

–Jedzenie gotowe – oświadczył i zawrócił w głąb tunelu.

Idąc za dźwiękiem dzwoneczków, przeszli do kolejnej obszernej sali wykutej w żywej skale, niemal tak wielkiej jak wejściowa, z podobnymi oknami, otwierającymi się na niebo. Shan uświadomił sobie, że byli teraz po przeciwnej stronie urwiska, po drugiej stronie Iwiego łba. Sala była rzęsiście oświetlona lampami naftowymi i maślanymi kagankami, a obok zbitego z desek stołu znajdowało się naczynie na żar, w którym tliły się kawały jaczego łajna. Gruby Mao i Jakli siedzieli już przy stole w towarzystwie jeszcze jednego Tybetańczyka, potężnie zbudowanego mężczyzny o mocno pokiereszowanej twarzy, który przywitał Jowę i młodego purbę poufałym skinieniem głowy. Shan spojrzał na Grubego Mao. Ujgur przebył długą drogę, odkąd zginął Sui. Ale niewątpliwie miał inne, dostępne kryjówki. Popędził do Senge Drak, aby spotkać purbów.

Bajys zaczekał, aż Gendun usiądzie na centralnym miejscu, po czym wyciągnął z żaru gar jęczmiennej papki. Nikt nie przedstawił nowo przybyłych.

Gdy jedli, trzech purbów i Gruby Mao rozmawiali ściszymi głosami o śmierci Sui. Shan wyjaśnił sprawę Gendunowi.

–To smutne, że ten urzędnik państwowy musiał zginąć. Musimy modlić się za jego duszę – powiedział cicho lama.

Gruby Mao zareagował na słowa lamy demonstracyjnym grymasem. Kręcąc głową, przeciągnął wzrokiem po twarzach purbów, jakby chciał dać wyraz niechęci, że muszą znosić między sobą Genduna.

–Powinniśmy modlić się za tych wszystkich, którzy będą teraz cierpieć. Za niewinnych. Za rodziny. Za starców. Modlić się, żeby dobrze się ukryli. Modlić się, żeby bestia nasyciła się prędko i zostawiła nas w spokoju.

–Tak, przyjdą cierpienia – przyznał Jowa. – Dlatego właśnie wracamy do domu. Kiedy szakal dobiera się do żółwia, żółw chowa się w swojej skorupie. Musimy się chronić. Musimy chronić rinpocze.

Lama spojrział na niego, przekrzywiając głowę.

–Nie rozumiem, co masz na myśli. Chronić?

–Możemy zrobić więcej dobrego żywi i wolni. W Lhadrung – odparł Jowa. – Niebezpieczeństwo minie. Jeżeli zechcesz wrócić, gdy znów będzie tu bezpiecznie, obiecuję, że cię przywiozę. Za miesiąc, może dwa.

Jakli odepchnęła swoją miskę na środek stołu.

–Ktoś spośród purbów albo Mao dobrze wie, co przydarzyło się Sui – oświadczyła ostro. – Niewielu odważyłoby się tknąć takiego człowieka. Ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy, kiedy widzą, że ktoś taki idzie w ich stronę. Odwracają oczy. Ludzie

tacy jak Sui są jak smoki, które w zamierzchłych czasach wędrowały po ziemi, budząc lęk i przerażenie. Ludzie nie zbliżali

się do smoków z własnej woli. Jedynie szczególnego rodzaju żołnierze, pobłogosławieni przez kapłanów, mogli z nimi walczyć. –

Zerknęła na Shana. – Mnisi wojownicy. Tylko oni wyruszali na smoki. A jeśli zabijając jednego, podburzyli całe ich gniazdo, stawali pomiędzy smokami i ludźmi.

Na twarzy Grubego Mao pojawił się szydery uśmiech.

–A kto jest takim głupcem, by mierzyć się z tymi smokami? To smoki z Pekinu. Odetniesz jedną głowę, a odrosną dwie.

–Nie ma żadnej magicznej broni – odezwał się Shan w ciszy, która zapadła. – Jest tylko prawda. Ktokolwiek zabił Sui, musi przyjąć odpowiedzialność za ten czyn.

–Chcesz powiedzieć, że musi iść do gniazda smoków i dać im się pożreć – odparł Gruby Mao.

–Jeśli tego właśnie trzeba, żeby ocalić niewinnych...

Jowa wstał z kwaśną miną i skinął na pozostałych dwóch purbów.

–Wyjeżdżamy stąd. Wszyscy. Moim zadaniem jest zapewnić nam bezpieczeństwo. Nam wszystkim, lb oznacza, że wszyscy

wracamy do Lhadrung. Nie będziemy ginąć za cudzą sprawę. Ja walczę za Tybet. Walczę za Tybetańczyków. Gendun utkwiał w nim wzrok.

–Tylko przypadek sprawił, że w tym wcieleniu urodziłeś się Tybetańczykiem – powiedział niepewnie, najwyraźniej zdumiony słowami purby. – W następnym możesz być Chińczykiem. W poprzednim mogłeś być Kazachem.

–Starczy mi, że troszczę się o to jedno życie – odparł ostro Jowa, ale ledwie wymówił te słowa, w jego oczach pojawił się wstyd. Na chwilę zapomniał, do kogo się zwraca. – Rinpocze -szepnął nieśmiało. Jego dłoń powędrowała do sztyletu u pasa, jakby zawstydzony chciał ukryć broń.

Gendun zmarszczył brwi. W sali znów zapanowała cisza. Lama wstał i napełnił wszystkim czarki herbatą. Podszedł do Jowy, który wciąż stał bez ruchu, powoli uniósł dłoń purby i położył ją na swoim sercu. Shan widział to już wcześniej, wśród bardziej ortodoksyjnych buddystów. W ten sposób niektórzy lamowie przekazywali uczniowi prawdę.

–Nie walczymy za Tybet ani za Xinjiang, ani za jakiegokolwiek inne linie na mapie. Nie walczymy za Tybetańczyków ani za Kazachów. Walczymy za tych, którzy kochają swoje wewnętrzne bóstwo i za tych, którzy mogą się tego nauczyć. – Gendun cofnął dłoń i spojrzał w patrzące twardo oczy Jowy, a potem kolejno w oczy Shana i Jakli. Przeszedł przez salę ku jednemu z okien, gdzie zasłona została odchylona i podwiązana, i stanął tam, zwrócony twarzą ku otwartemu niebu. Wiatr poruszał jego szatą.

–Gdybym to ja zabił kogoś takiego jak Sui – odezwał się błagalnie Jowa do pleców lamy – nie ukrywałbym się. Z podniesioną głową oddałbym się w ich ręce. Ale nie ja to zrobiłem, więc nie złożę siebie w ofierze. – Spuścił wzrok. Przez jego twarz przemknął cień rozpacz, potem jego spojrzenie znów stwardniało. – Musimy wracać do Lhadrung. Są inne bitwy, które trzeba stoczyć. Bitwy, w których mamy szansę zwyciężyć. – Spojrzał na Shana, po czym znów zerknął na Genduna i z wahaniem wyciągnął z kieszeni papier, ten sam, który czytał wcześniej. – A ty –

zwrócił się do Shana z miną, w której uraza zdawała się walczyć o lepsze z dumą – ty zostałeś wyzwolony. Masz wyznaczone spotkanie na granicy z Nepalem. – Westchnął głośno i pomachał kartką w stronę Chińczyka. – Zespół inspektorów ONZ dostał zezwolenie na krótki objazd gomp na południe od Lhasy. Mamy możliwość przerzucenia cię z nimi przez granicę, kiedy będą odjeżdżać, a odbiorą cię właśnie stamtąd. – Rozłożył kartkę i wyciągnął ją do Shana. – Wygrałeś – ciągnął z nutką goryczy. – Szansa jedna na milion. Ale mamy tylko osiem dni na to, żeby cię tam dostarczyć. Nie ma czasu do stracenia, jeśli chcemy się wyrobić. – Rozejrzał się po sali, przyglądając się twarzom Mao i Jakli, po czym znów spojrzął na Shana. – Nie musisz się już martwić o cudze sprawy.

Shan spojrzął na swoich towarzyszy. Jakli uśmiechała się do niego promiennie. Lokesh pokiwał głową.

–To wszystko, czego ci trzeba – powiedział stary Tybetańczyk. Gendun tylko uśmiechnął się do niego.

–Nasza ciężarówka czeka u wylotu drogi – wyjaśnił Jowa. – Na platformie są beczki i koce, tak jak poprzednio. Jedziemy wszyscy, z Bajysem włącznie. Kiedy wszędzie księżyc, pójdziemy do samochodu i będziemy tam spać dziś w nocy. Wyruszymy przed świtem. – Dopił herbatę i patrząc na Shana, położył papier na stole. – Jeśli po drodze zobaczymy jakieś smoki, na pewno cię obudzimy – dodał drwiąco. Jego towarzysze zawtórowali mu śmiechem i w ślad za nim opuścili salę.

Gendun odszedł w mrok korytarza. Chwilę później ruszył za nim Bajys. Shan dolał Jakli i Lokeshowi herbaty.

–Miałem kiedyś nauczyciela – odezwał się po chwili Lokesh – który uważał, że ludzkie wcielenie nie jest wcale szczególnie

istotnym ogniwem w łańcuchu egzystencji. Mawiał, że ludzie przychodzą i odchodzą, zrzucają twarz jedną po drugiej, że całym sensem ich istnienia jest pielęgnowanie cnoty, bycie naczyniem cnoty. Powiedział, że jeśli przeżyjesz w ten sposób wystarczająco wiele wcieleń, stajesz się cnotą, a wtedy masz szansę na prawdziwe oświecenie.

Jakli, Shan i Gruby Mao siedzieli w milczeniu, rozważając jego słowa. Z pewnością Lokesh miał rację co do jednego, pomyślał Shan. Ludzie zrzucali twarz jedną po drugiej. W jakiś sposób zdawało się, że w okręgu Yoktian ludzkie życie znaczy

jeszcze mniej niż w gułagu. Jakli sięgnęła po kartkę i przeczytała ją, po czym z szeroko otwartymi z podniecenia oczyma popchnęła ją w stronę Shana. Przebiegł ją wzrokiem. To była prawda. Ktoś przygotował dla niego nowe życie. Miał się odrodzić po raz kolejny. Społeczność chińskich uchodźców w Anglii oczekiwała go z otwartymi ramionami. Miał mieszkać u pewnego profesora historii Chin, dopóki się nie urządzi. Osiem dni. Sześć dni ostrej jazdy, by dotrzeć do umówionego miejsca na granicy z Nepalem.

Z korytarza dobiegł ich niski, dudniący odgłos. Shan rozpoznał go natychmiast. Dźwięk młynka modlitewnego.

–To Bajys – wyjaśnił Lokesh. – Tamtej nocy, kiedy tu przybyliśmy, wciąż bredził bez związku i ledwo miał siłę iść. Potem

nagle zobaczył młynek i zaczął go obracać. Z początku płakał, potem się śmiał i kręcił nim bez przerwy całą noc – opowiadał stary Tybetańczyk z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczyma, niczym o jakimś cudzie.

Przez kilka minut słuchali dudnienia w milczeniu. Może wszystko się uda, jeśli tylko Bajys będzie wytrwale obracał młynek. Niektórzy ze starych lamów powiedzieliby pewnie, że zadanie Shana zostało doprowadzone do końca, gdyż znalazł kogoś, kto poruszył młynek modlitewny, który milczał od wieków.

W końcu Lokesh wstał.

–Muszę zanieść do ciężarówki koce dla rinpocze – oświadczył i wyszedł tylnymi drzwiami.

Shan znalazł Genduna w sali wyłożonej wonnym drewnem.

–Dobrze, że wracasz z nami – powiedział lama. – To wszystko było pomyłką. Nie rozumieliśmy. Wrócimy razem do Lhadrung. Będziemy, jak przedtem, obserwować księżyc z ciężarówki, a potem odejdziesz do swego nowego życia.

–Dopiero tu zacząłem – odparł sztywno Shan. To działa się zbyt szybko.

Lama pokręcił głową.

–Nawet bez listu, który przekazał ci Jowa, powinieneś był wrócić na południe. Ta rzecz, która mieszka w dole, jest jak chmura zasłaniająca piękny księżyc. Nie mam dla niej innej nazwy niż śmierć. Ale to zbyt proste słowo. Gdybyśmy cię stracili,

Shan, kiedy twoja dusza nie jest w równowadze... – Na chwilę utkwiał wzrok w swych złożonych dłoniach, po czym znów spojrzął na niego rozszerzonymi oczyma. – To byłoby gorsze niż strata Lau.

–Dlatego, że ona była przygotowana? – zapytał Shan.

Lama skinął głową.

–Nie tylko przygotowana – domyślił się Shan. – Ona się tego spodziewała. Spodziewała się, że umrze za swój sekret. – Gendun odwrócił ku niemu głowę, jakby miał zamiar go poprawić.

W milczeniu wymienili długie spojrzenie. – Właściwie nie za

swój sekret – sprostował Shan. – Za swoją wiarę. Była Tybetanką, ale to jeszcze nie wszystko. Myślę, że pobierała nauki religijne. Muszę wiedzieć na pewno, rinpocze.

–Wydaje się, że już wiesz, mój synu.

Shan powoli skinął głową.

–Była ani, mniszką.

Usłyszał za sobą cichy pomruk potwierdzenia. Wydał go Lokesh. Stary Tybetańczyk usiadł obok nich. Gendun uśmiechnął się smutno.

–Kiedyś była mniszką, ale jej klasztor został zniszczony.

–Znałem wielu mnichów, których gompy padły ofiarą chińskich bomb – zauważył Shan. – Niektórzy mówili: nie ma mojej gompy, więc nie jestem już mnichem. Inni twierdzili, że to, czy jest się mnichem, nie ma nic wspólnego z budynkiem. Stary mnich, którego poznałem w obozie, wyraził to najlepiej. Swoją gompę noszę w sobie, stwierdził. Wszystko sprowadza się do tego, żeby służyć swemu wewnętrznemu bóstwu, powiedział, a żadne bomby nie mogą go zniszczyć. Myślę, że Lau znalazła sposób, by służyć swemu wewnętrznemu bóstwu w Yoktianie.

Gendun przyglądał mu się, lecz nie ot tak, po prostu. Zdawało się, że obserwuje go, jakby coś ważnego działo się z Shanem.

–Przez te wszystkie lata żyła jako Kazaszka i została pochowana w kazachskim stroju – ciągnął powoli Shan. – Ale prosiła, żeby złożyć ją na spoczynek niedaleko groty, w której

nauczał stary lama udający nadzorcę strumieni. Uczyła Jakli dawnych tybetańskich zwyczajów. Pomagała lamie w tajnym nauczaniu.

Od drzwi dobiegł jakiś odgłos i Shan poczuł ruch za plecami. Nie odwrócił się, kiedy ktoś usiadł obok niego. Wiedział, że to Jakli.

–Spotykaliśmy się w dni świąt – powiedział Lokesh nieobecny tonem. – Mnisi z naszej gomy i te mniszki. Lau pochodziła z małej sekty, z maleńkiej gomy w pobliżu lodowca, na północ od Shigatse. Rozwijaliśmy na zboczu góry olbrzymią thankę, trzydziestometrowej długości. Były zawody w strzelaniu z łuku i akrobaci, którzy wspinali się na wysokie słupy, żeby ściągnąć chorągiewki modlitewne przybite na ich wierzchołku. Mniszki śpiewały i robiliśmy z tej okazji specjalną tsampę, przyprawianą kardamonem. – Wyciągnął długą, kościstą, upstrzoną starczymi plamami rękę w stronę światła. Jakli ujęła ją w dłonie, jak gdyby mu dziękując, a może by go pocieszyć. – Później – ciągnął z westchnieniem – przyszli ludzie i spalili jej gompę. – Zaczął nucić jakąś starą pieśń. W milczeniu wpatrywali się w płomyki lamp. Węszcie starzec przerwał. – Przeszła długą drogę – dodał – nim umarła w ten sposób na pustyni.

–Teraz wysłali innego Tybetańczyka, żeby uczył sieroty – powiedział Shan.

–A więc czy jemu również nie grozi niebezpieczeństwo? – zapytał Gendun.

Nie, ponieważ Kaju pracuje dla Brygady, miał już na języku Shan.

–Nie, bo zabójca znalazł już sieroty – powiedział zamiast tego.

–Mówisz o tym w obozowiska kazachskiego klanu?

–I o następnym, o chłopcu, którego pochowaliśmy przy drodze. Pierwsza była Lau, gdyż to ona musiała powiedzieć mu o dzieciach. Być może – dodał ponuro – chodzi mu o wszystkie sieroty. Stary Kazach powiedział, że to dawny zabójca, który wraca, żeby zgładzić potomstwo swych wrogów.

Lokesh pokręcił głową, lekko, niemal niedostrzegalnie. Ale Shan to zauważył.

–Lub może pytał Lau o konkretnego chłopca, ale się okazało, że się pomylił, że znalazł nie tego, kogo szukał – podsunął. –

Obaj chłopcy mieli rozerwane koszule. Rozdarte nogawki u spodni. Najpierw Suwan, potem Alta. – Spojrzał na Lokesha, wciąż

nie rozumiejąc, o co chodzi przyjacielowi. – Zabójca poszedł po chłopca, który był z klanem Czerwonego Głazu, ale ten chłopiec nie miał tego, o co mu chodziło. Być może szukał czegoś, co należało do Lau, a co powierzyła sierocie. Gdyby to znalazł, po co atakowałby drugiego chłopca?

–Być może – powiedział powoli Lokesh – dzieci zrobiły coś, czego ani Lau, ani ten, kto ją zabił, zupełnie się nie spodziewali.

Shan spojrzał na starego przyjaciela i skinął głową.

–Jeśli to prawda, to może demon nie ściga wszystkich dzieci – wtrąciła się Jakli. – Po prostu zabija i będzie zabijał jedno

po drugim, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka. Demon albo demonica – dodała, zerkając na Shana.

Wpatrywali się w płomyki lamp. Znikąd zdawał się dobiegać głęboki jęk. Mógł to być wiatr. Mógł to być głos góry próbującej przemówić do ich uszu.

–Odkryliście sekret Lau – powiedział Gendun. Powoli skinął głową, popatrując w stronę Jakli. – Być może to wystarczy.

Ujawnienie jej potajemnych nauk.

Jakli z westchnieniem wymówiła imię Lau i uniosła wzrok. Pokiwała głową.

–Poznaliśmy jej drogę – przyznała. – Ci, którym była bliska, mogą teraz usłyszeć prawdę o niej, żeby zamknąć krąg jej życia. Była zakonspirowaną buddystką. Ta wiedza powinna wystarczyć. – Spojrzała na Shana i wzruszyła ramionami. – Wiemy, kto jest wrogiem zakonspirowanych buddystów. Myślę, że to wystarczy, by przekonać następnych pasterzy do zapewnienia ochrony dzieciom z zheli, do ukrycia ich przynajmniej przez zimę. – Demonem są władze, mówiły jej słowa, a władz nikt nie zdoła powstrzymać. – To wszystko, co możemy zrobić – powiedziała do Shana, przygryzając wargę, jakby z bólu. – Możesz już zacząć swoje nowe życie.

Gendun opuścił wzrok, a jego twarz przybrała nieobecny wyraz pojawiający się przy głębokiej medytacji. Lokesh zaczął przesuwając paciorki, recytując mantrę do Bodhisatwy Współczucia.

Obaj Tybetańczycy nie usłyszeliby Shana, choćby nawet wykrzyczał im w twarz pytania, które cisnęły mu się na wargi. Jakli także wydawała się pogrążona w swego rodzaju transie:

wpatrywała się w Tybetańczyków z takim natężeniem, że nie zareagowała nawet, gdy Shan wstał, podniósł swoją lampkę i opuścił salę.

Szedł ciemnymi, cichymi korytarzami Senge Drak. Marzył o tym, by zwiedzić dokładnie ów niezwykły dzong, i żałował, że ma na to jedynie parę godzin. Mijał wykute w skale maleńkie izdebki, niektóre ze strzębami tkaniny wiszącymi w wejściu. Cele medytacyjne. Szedł tak przez ponad pięćdziesiąt metrów, nie widząc ich końca, wreszcie przystanął, czując podziw dla samej liczby cel. W niektórych fortecach żołnierze mieli place do ćwiczeń. W Senge Drak mieli cele medytacyjne.

Podszedł do celi, której zasłona zachowała się lepiej niż inne, wśliznął się do wnętrza i postawiwszy lampkę na podłodze, usiadł w pozycji lotosu. Zamknął oczy. Być może nie umiał rozmawiać z górą, potrafił jednak wyczuć jej pogodną moc. W jego umyśle kłębiły się podejrzenia i lęki, przeczucia i możliwości. Czuł się bardziej zagubiony niż kiedykolwiek. Wszystko było zbyt rozmyte. Zbyt wiele nie powiązanych ze sobą osób, zbyt wiele oderwanych sił ciągnęło go każda w swoją stronę. Ktoś zamierzał go ocalić, dać mu nowe życie. To wszystko, czego mu trzeba, powiedział Lokesh. Ale nie było w tym miejsca na sprawiedliwość dla Lau i jej chłopców. Kto znajdzie jej zabójcę? Kto ocali nadzorcę strumieni?

Ułożył dłonie w mudrę Diament Mądrości. Musiał wyjaśnić Jakli i Mao, co zaszło, ale sam tego nie rozumiał. Musiał uprościć sprawę, skupić się na najprostszycy wyjaśnieniach, gdyż to one zwykle okazywały się trafne. Prokurator Xu nienawidziła Tybetańczyków. Mogła odkryć, że Lau jest tybetańską mniszką, a jeśli tak, tropić wszystkich jej wychowanków o tybetańskich korzeniach. Xu, lub wysłany przez nią człowiek, poszła do obozowiska Czerwonego Głazu i zabiła pierwszego chłopca, który zadawał się z Khitaiem. Mówiono, że Khitai nie miał żadnych tybetańskich korzeni, ale to samo mówiono o Bajysie. Albo może Khitai, obrany za pierwszy cel, gdy zabójca wydobył od Lau informację, był po prostu małym Kazachem, który miał pochodzącą z Tybetu rzecz będącą przedmiotem troski Genduna i Lokesha – skarb Lau, wędrujący teraz od sieroty do sieroty, coś, czego tropem szedł zabójca.

Kiedy Shan otworzył oczy, zauważył w kącie celi długi kawałek zgrzebnej wełny, który mógł być niegdyś pokrowcem na poduszkę medytacyjną. Podniósł go i z zaskoczeniem stwierdził, że przykrywa on relikwiarz dawnego Senge Drak, elegancki łuk bez cięciwy. Odsunąwszy materiał do końca, znalazł małe okrągłe pudełko z drewna kamforowego, rzeźbione w zawiłe geometryczne wzory. Uniósłszy pokrywkę, ujrzał zwiniętą schludnie cięciwę, leżącą dokładnie tak, jak zostawił ją właściciel – kiedy? Sto lat temu? Nie. Jakli powiedziała, że dzong był opuszczony od wieków. Dwieście albo trzysta lat, być może. Podniósł łuk i położył go sobie na kolanach.

Sięgnął po pudełko. Zdobiły je cztery rzędy powtarzających się wzorów, dwa na pokrywce, dwa na dolnej części. Niegdyś wraz z ojcem całymi godzinami zgłębiali *Tao Te Ching*, wykorzystując do losowania rozdziałów patyczki lub kostkę. Ale ich ulubioną metodą było odszukiwanie wzorców w otoczeniu i wyznaczanie na ich podstawie tetragramów, czteroliniowych układów, które, znane na pamięć wszystkim zgłębiającym tao, odsyłały do jednego z osiemdziesięciu jeden rozdziałów księgi.

Shan odliczył po sześć maleńkich trójkątów w najwyższym rzędzie. Po ostatniej szóstce pozostały trzy trójkąty. Trójce przypisał w tym systemie linię przerwana pośrodku. Była pierwsza, stanowiła więc podstawę tetragramu. Nakreślił ją palcem w kurzu na podłodze. W drugim rzędzie, złożonym z drobnych kwiatków, po odliczeniu pozostały dwa, co oznaczało, że następnym elementem tetragramu jest linia ciągła. Trzeci rząd, z maleńkich kółek, liczył dziewięćdziesiąt siedem elementów, reszta wynosiła więc jeden, czemu w tym improwizowanym systemie również odpowiadała linia ciągła. Ostatni rząd małych kwadracików dał na końcu pięć, co oznaczało, że ostatnia, górna linia złożona jest z trzech odcinków. Tetragram, który narysował w kurzu, odsyłał do pięćdziesiątego szóstego rozdziału *Tao Te Ching*. Shan uśmiechnął się smutno. Rozdział ten był wypisany na drzwiach tajnej świątyni w Pekinie, do której chadzał w czasach, gdy władze zamknęły przybytki religijne. Wyrecytował go szeptem, tak jak mnich wojownik, siedząc w tej celi, mógł szeptać, przesuwając paciorki różańca:

*Ci, którzy wiedzą, nie mówią,
 Ci, którzy mówią, nie wiedzą.
 Zamknij przejścia,
 Zatrzaśnij drzwi,
 Stęp, co ostre,
 Rozplącz splątane,
 Zestrój się z jasnością,
 Bądź jednym ze ścieżką świata.*

Gdy skończył, długo jeszcze siedział nieruchomo, kontemplując sędziwą broń. Potem, powoli, drżącymi dłońmi rozwinął wiekową cięciwę i założył ją na łuczysko. Dlaczego łuków nie używano we wszystkich medytacjach? – zastanawiał się. Tak doskonale giętkie, tak doskonale napięte, tak doskonale zogniskowane. Przypomniał sobie pewien dzień w lao gai, kiedy śnieżycza zatrzymała ich w barakach, a jeden z lamów rozdał wszystkim więźniom wyimaginowane łuki i kazał godzinami wypuszczać z nich wyimaginowane strzały, aż nikt z nich nie wiedział już, czy to oni napinają łuk, czy też łuk napina ich. Napiął łuk i trzymał go tak, recytując w kółko ów rozdziałik *Tao Te Ching*. Trzymał go, aż zaczął odczuwać ból, aż stało się jasne, co musi zrobić, aż myśl o związanych z tym niebezpieczeństwach opuściła jego umysł i nie on napinał już łuk, lecz łuk napinał jego. A wtedy zamknął oczy i w myślach wycelował w papierowego ptaka.

Rozdział dziewiąty

Ciężarówka zmierzająca ku środkowemu Tybetowi odjechała, kiedy świt był zaledwie odrobiną szarości na horyzoncie. Jeden z purbów siedział na masce, oświetlając drogę małą latarką, by nie zdradził ich blask reflektorów. Shan przyglądał się z góry, jak wóz zjeżdża na luzie po długim stoku, powoli wspina się na następny grzbiet i niknie w dali na rozległych przestrzeniach płaskowyżu Czangtang, po czym przewiesił worek przez ramię i ruszył w drogę.

Dzień zapowiadał się pogodny i rześki. Shan szedł żwawym krokiem, wyczuwając stopami ścieżkę, podczas gdy oczy obserwowały gasnące powoli gwiazdy. Powietrze zdawało się szemrać, choć nie czuł żadnego wiatru. Gdzieś krzyknął lelek. W skałach przed nim jakieś stworzenie zerwało się do ucieczki, postukując maleńkimi kopytkami.

W głowie wciąż słyszał ów rozdziałik z *Tao Te Ching*, wyraźnie niczym okrzyk ptaka. Ci, którzy wiedzą, nie mówią. Ci, którzy mówią, nie wiedzą. Ciocia Lau wiedziała, lecz nie mogła już mówić. Być może martwy Amerykanin coś wiedział, coś na temat rozleglejszej konspiracji, która sięgała do Yoktianu. Zabici chłopcy nie mogli mówić, ale – co smutne – podejrzewał, że nie wiedzieli zupełnie, dlaczego musieli zginąć. Purbowie i Mao mówili bez oporów, lecz ich słowa zbyt często zmaczone były zgorzknieniem i nienawiścią.

Idąc, ze słońcem wschodzącym nad prawym ramieniem, odtwarzał w myślach pamięciową mapę drogi, którą Jakli jechała przez góry. Była frustrująco krótka. Zbyt długo spał w ciężarówce poprzedniego dnia. Tam, gdzie jego mapa się urywała,

będzie po prostu kierował się wciąż na północ, ku mgielce unoszącej się nad pustynią.

Po dwóch godzinach marszu dotarł do szosy i od godziny już szedł poboczem, nim pojawił się pierwszy pojazd. Uskoczył za skałę i przyglądał się przejeżdżającemu minibusowi o bokach fatalnie powgniatanych i porysowanych, jak gdyby o włos uniknął lawiny. W jego oknach dostrzegł owce stojące na fotelach dla pasażerów. Pół godziny później, mijając stromy zakręt okrążający wysoką skalną ścianę, usłyszał niosący się echem warkot kolejnego silnika. Wcisnął się w skalną rozpadlinę i zobaczył nieduży samochód, który charcząc i pluąc tłustym dymem, mozolnie posuwał się drogą. Gdy wóz zniknął za zakrętem, wyszedł z kryjówki i z zaskoczeniem ujrzał tuż przed sobą ciężarówkę, którą musiał zagłuszyć hałaśliwy mały samochód. Gdy zatrzymała się, rozpoznał jej pokracczną sylwetkę.

Westchnął i usiadł na kamieniu, kładąc sobie worek na kolanach. Jakli zgasła silnik, zeskoczyła na ziemię i nie odzywając się, usiadła obok niego. Zerwał się wiatr. Ponad szczytami płynęło kilka małych, jasnych jak kłębki waty chmurek.

–Czasami w dni takie jak ten – odezwała się po dłuższej chwili – kiedy niebo jest równie czyste i głębokie niczym jezioro, można usłyszeć jęki i dudnienia, odgłosy ziemi. Kiedy by

łam mała, mój tybetański dziadek powiedział, że to głos rosnących gór. Patrzyli na przepływające chmury.

–Odpowiedziałam, że jeśli tylko urosną wystarczająco wysoko, może wszyscy wreszcie zostawią nas w spokoju.

Na ziemi usiadł mały szary ptaszek. Przyglądał się im.

–Dlaczego nie chcą zostawić nas w spokoju? – zwróciła się Jakli do ptaka głosem, w którym niespodziewanie zabrzmiało znużenie wiekowej kobiety. Podała Shanowi butelkę z wodą. Napił się i oddał ją, obserwując obserwującego ich ptaka.

–Ta droga – powiedziała, wskazując szerokim gestem zakręt – prowadzi na północ, poza Tybet. Nie do Nepalu, po prostu z powrotem do Xinjiang.

Shan skinął głową.

–Mam osiem dni na to, żeby dotrzeć do Nepalu. Najpierw wracam do Xinjiang – odparł cicho, by nie przestraszyć ptaka.

–Masz dwa dni – poprawiła go Jakli. – Potem już żaden samochód nie dowiezie cię tam na czas.

–Nie wybieram się daleko. Tylko do Yoktianu. Do biura prokurator Xu. Jakli przez dłuższą chwilę rozważała jego słowa. Wreszcie westchnęła.

–Jeśli przyznasz się do zamordowania Sui – oświadczyła rzeczowo – po prostu po to, żeby uspokoić pałkarzy, to ja stanę na środku placu i powiem, że kłamiesz. Powiem, że ja to zrobiłam. Rzucił jej nikły uśmiech wdzięczności.

–Wiele bym poświęcił, aby odciągnąć pałkarzy – odparł. –

Ale nigdy nie poświęciłbym prawdy. – Shan uświadomił sobie po prostu, że ze wszystkich tych, którzy wiedzą, lecz nie mówią, prokuratora i jej akta wiedzą prawdopodobnie najwięcej. –

Jeśli Xu odkryła, że Lau była tybetańską mniszką, wiele by to tłumaczyło. Tłumaczyłoby, dlaczego zareagowała tak surowo,

dlaczego dokonała tak wielu aresztowań. To oznaczałoby kampanię nie przeciwko jej tradycyjnym celom, ale przeciwko Tybetańczykom. I dowodziłoby, że Kaju, nowy nauczyciel, jest jednym z jej tajnych agentów.

–Ale nawet jeśli tak jest, co możesz zrobić?

–Znaleźć dowody i zdemaskować Kaju. Wtedy, nawet jeśli nie zdołamy znaleźć dzieci, one będą trzymać się z dala od niego. Będzie musiał odejść.

Patrzyli na chmury. Słońce wyłoniło się zza gór i oświetliło najbliższe z okrytych śniegiem szczytów tak mocno, że blask raził w oczy.

W końcu Jakli westchnęła.

–Zabiorę cię tam – powiedziała, odgarniając z twarzy rozwiane przez wiatr włosy.

– Znajdziemy sposób, żebyś mógł odjechać w ciągu dwóch dni.

–Nie. Ty masz pracę. Przy kapeluszach. Powinnaś wrócić do fabryki, to dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce.

–To miejska praca. Nie lubię jej. Nikt mnie nie pytał, czy chcę pracować w mieście. Odsiedziałam swoje za drutami. Nie mają prawa więzić mnie jeszcze w mieście. – Przeciągnęła się, jakby podpierała rękami niebo. – Poza tym ja naprawdę wrócę na jakiś czas do fabryki, jeśli tylko patroli nie staną nam na drodze. Zamelduję się, zrobię parę kapeluszy, ot tak, dla zabawy. – Ściągnęła worek z kolan i wstała.

–To dla ciebie zbyt niebezpieczne – sprzeciwił się Shan, uświadamiając sobie, że powtarza, co mówił jej Akzu. – Nie chcę, żebyś angażowała się jeszcze bardziej. Proszę. Masz zaplanowane nowe życie.

Jakli najwyraźniej uznała te słowa za zabawne.

–Mogłabym powiedzieć to samo o tobie – odparła z błyskiem w oku, podchodząc do ciężarówki.

Niechętnie ruszył za nią i usiadł na fotelu pasażera.

–Czy jeśli napiszę list – odezwał się, gdy ruszyli – będziesz

mogła dostarczyć go Lokeshowi? Zostawiłem swój koc wypchany workami, żeby oszukać purbów. On już wtedy spał.

–Jasne – odparła ochoczo. – Po prostu napisz i daj mi go.

Shan wyciągnął notatnik i otworzył go na czystej stronie.

–On nie ma adresu – dodał. – Purbowie będą wiedzieli, gdzie go szukać.

–Prawdę mówiąc, nie będą. Ale ja znam adres. Kerriya

Shankou – powiedziała.

–Kerriya Shankou?

Machnęła ręką, wskazując poszarpany, smagany wiatrem krajobraz.

**–To ta przełęcz. Brama do Xinjiang. Kod pocztowy to tylne
siedzenie.**

Shan odwrócił się, nic nie rozumiejąc. Tylne siedzenie było przykryte brezentem.

Uniósł róg. Pod spodem, śpiąc głęboko, leżał Lokesh.

–Powiedział, że ma nadzieję, że nie weźmiesz mu za złe jego oszustwa z kocem.

Wygląda na to, że wy wszyscy splataliście psikusa purbom.

**–Co masz na myśli? – zapytał Shan, patrząc na przyjaciela z uśmiechem, ale i
nieco zawiedziony.**

**–Odjechali w ciemnościach, myśląc, że wy wszyscy leżycie pod kocami, jak wam
kazali. Ale kiedy wstałam po świcie, usłyszałam, że ktoś zamyka ciężkie drzwi na
górze. Między uszami lwa jest płaska skała, nazywana głazem wartownika. Znalazłam
tam Genduna. Godzinę później przyszedł Bajys. Powiedział, że wyskoczył z
ciężarówki, bo zauważył, że nie ma Genduna.**

–Ale dlaczego Lokesh nie został z Gendunem? – zdumiał się Shan.

–Twierdził, że musi jechać do szkoły w Yoktianie. Powiedział, że będzie szedł całą drogę, jeśli będzie musiał. – Jakli nie

odrywała oczu od drogi, Shan zauważył jednak, że się uśmiecha. – Powiedział, że nie chce, byś angażował się jeszcze bardziej, i czuje się lepiej, gdy wie, że jesteś bezpieczny, w drodze do nowego życia.

–Dlaczego do szkoły?

Wzruszyła ramionami.

–Z powodu Lau. Z powodu mojej przyjaciółki, tybetańskiej mniszki. – Wymówiła te słowa powoli, jakby przyzwyczajając się do ich brzmienia.

Budynek prokuratury w Yoktianie był gmachem o iście pałacowych wymiarach. I faktycznie, uświadomił sobie Shan, gdy z ławki na miejskim placu przyglądał się balkonom i krytemu dachówką dachowi, prawdopodobnie pierwotnie, w początkach ubiegłego wieku, był właśnie pałacem. Przypomniawszy sobie flagę z półksiężycem, którą widział w gospodzie Osmana. Yoktian był stolicą regionu w Republice Wschodniego Turkiestanu.

Siedząc i czekając, przyglądał się ekipie porządkowej posuwającej się wzdłuż tynkowanego muru otaczającego budynek prokuratury. Trzech mężczyzn w niebieskich kombinezonach atakowało jakieś plakaty, najwyraźniej niedawno przyklejone do wiszących na murze wielkich tablic ogłoszeniowych. Po chwili zorientował się, że to co najmniej dwadzieścia egzemplarzy tego samego plakatu. Przedstawiał on rudowłosą kobietę o jasnej cerze i wielkich okrągłych oczach. Po jednej stronie widniał rząd chińskich ideogramów, po drugiej ten sam tekst zapisany tureckim alfabetem. *Niya Gazuli*, głosił napis. A poniżej *Niya naszą matką*.

Ekipa porządkowa zdierała plakaty. Tam, gdzie klej trzymał mocno, przyklejała na wywrotowym plakacie inny. *Jedno serce, wiele ciał*, mówiły kobylaste chińskie znaki, bez tureckiego odpowiednika, a dalej: *Kroczmy do sukcesu, budując socjalizm o chińskim obliczu*. Jeden z robotników, przykleiwszy plakat do muru, rozejrzał się nerwowo dookoła, jakby obawiał się kogoś lub czegoś w kłębiącym się tłumie. Shan powiódł wzrokiem po

placu. Serce mu zamarło, gdy spostrzegł w głębi dwa szare mundury, dwóch pałkarzy z bronią automatyczną obserwujących ekipę porządkową. Albo może osłaniających ją.

Nigdzie więcej on i Jakli nie widzieli pałkarzy. Nie dokonywano żadnych aresztowań. Nie zrobiono żadnych blokad na drogach. Żadne obozowisko nie zostało przetrząśnięte w poszukiwaniu niepożądanych elementów. Nieunikniona, zdawałoby się, reakcja na zamordowanie Sui nie nastąpiła. A przecież ciało musiało zostać znalezione. Sępy z pewnością ściągnęłyby na nie uwagę. Sui wybierał się na spotkanie z prokuratorem Xu. Ona pierwsza więc powinna była zauważyć jego nieobecność, ona właśnie najprawdopodobniej znalazłaby ciało. A jednak nie wszczęła alarmu.

Ktoś przysiadł się do Shana, odwrócony tyłem, kładąc na ławce między nimi plastikową torbę.

–Buty – szepnął wyraźnie. Shan zerknął na niego niepewnie. Nieznajomy był w zsuniętej na tył głowy fioletowej dopie, spod której wystawały gęste czarne włosy. W ustach lśniły mu dwa złote zęby. – Jestem Mao – oświadczył. – Droga wolna – dodał pospiesznie. Jakli obiecała Shanowi, że da mu znać, czy samochód Xu jest zaparkowany gdzieś w pobliżu budynku prokuratury.

Pojechali najpierw na przedmieścia. Jakli zatrzymała wóz przed rozchwierutanimi barakami z blachy falistej i wbiegła do jednego z nich pod wystrzępionym transparentem z napisem *Kapelusze dla proletariatu, kapelusze dla świata*. Wróciła po kilku minutach, z białą koszulą i popielatymi spodniami. Pospiesznie przebrał się w ciężarówce, ale gdy byli już przed budynkiem prokuratury, dziewczyna spostrzegła jego sponiewierane buty i oświadczyła stanowczo, że one go zdradzą. Zostawiła go na ławce i odjechała. Teraz, dwadzieścia minut później, miał już nowe, czarne buty. Włożył je i nie oglądając się za siebie, przeszedł na drugą stronę ulicy. Pod pachą trzymał grubą kopertę, w rodzaju tych do akt. Jakli kupiła ją na poczcie i wypchała gazetami.

Wszedł do obszernego, wysokiego na dwie kondygnacje holu ze sklepieniem sufitem, z którego tu i ówdzie odpadały płyty tynku. Po jednej stronie pięły się spiralą eleganckie drewniane schody

prowadzące ku dwuskrzydłowym drzwiom zwieńczonym ozdobionym sztukateriami łukiem. Dolne części bocznych ścian pokrywały malowidła przedstawiające promiennie uśmiechniętych proletariuszy. Farba była popękana i łuszczyła się, tak że niektóre postaci straciły głowy, pięści jednak zachowały się dobrze, wzniesione w salucie ku czerwonemu sztandarowi Chin Ludowych. Po najbliższym z malowideł pełził brązowy żuk.

W rewolucyjnym zapale oszczędzono posadzkę holu. Była to stara, misterna mozaika przedstawiająca górskie pejzaże z postaciami łuczników i koni. Choć gdzieniegdzie porysowane, nie straciły one nic ze swego uroku. U stóp schodów stało biurko, zza którego wystawała para nóg. Na podłodze leżał, chrapiąc, łysy mężczyzna w średnim wieku, z głową spoczywającą na złożonej marynarce. Zgodnie z oczekiwaniami Shana, tak daleko od Pekinu nie przejmowano się zbyt nakazami władz, by zerwać z tradycją poobiedniej drzemki. Były to najbardziej sensne godziny dnia.

Niespiesznym, dostojnym krokiem wszedł po schodach. Nim zapuścił się za łukowate drzwi, rozejrzał się po pustym korytarzu. Dwie toalety. Komórka dozorczy. Dwie małe sale konferencyjne, obie puste. Tylne wyjście.

Otworzywszy zwieńczone łukiem drzwi, Shan znalazł się w obszernej kwadratowej sali. Stały tu cztery biurka, po dwa z obu stron przejścia wiodącego do ozdobnych drewnianych drzwi. W bocznych ścianach sali znajdowało się dwoje mniejszych drzwi. Widać było tylko jednego pracownika, szczupłą młodą kobietę siedzącą przy biurku ustawionym najbliżej ozdobnych drzwi. Trzymając szminkę przy ustach, przyglądała się swemu odbiciu w małym lusterku. Shan szybko dostrzegł to, czego szukał, małą tabliczkę na pierwszych drzwiach po lewej. Archiwum.

Stanął pomiędzy pierwszą parą biurek i podparłszy się pod boki, czekał, aż kobieta odwróci się w jego stronę. Spostrzegła go w lusterku i okręciła się, czerwieniejąc gwałtownie. Podbiegła do niego i powitała go szybkim, pełnym szacunku ukłonem. Była to Chinka, o włosach splecionych z tyłu w wymyślny warkocz. Ubrana była w czerwoną, jedwabną bluzkę, na której spoczywał złoty naszyjnik. Trzy z jej palców zdobiły złote pierścionki. Kosztowne ozdoby jak na pracownicę biurową państwowej instytucji.

–Ktoś miał być tutaj do pomocy – odezwał się Shan, starając się odtworzyć arogancki, niecierpliwy ton pekińskiej biurokracji. Czy to wy? – Gendun powiedział mu kiedyś, że nikt nie wyzbywa się całkowicie wcześniejszych wcieleń, że coś z nich pozostaje, ukryte, na dnie obecnego jestestwa. Zaniepokoiło go, że odegranie tej roli przyszło mu z taką łatwością, że dawne wcielenie wydawało się tak bliskie. Niższa forma życia, z której, wydawało mu się, już wyrósł.

Kobieta zerknęła na jedne z bocznych drzwi, za którymi, jak podejrzewał, drzemała reszta pracowników biura.

–Prokuratorka wyszła – stwierdziła potulnie.

–Więc co? Więc inspektorzy z Pekinu muszą czekać, aż raczy się pojawić? Na wzmiankę o Pekinie oczy kobiety otworzyły się szeroko.

–Nie... nie! Oczywiście że nie, towarzyszu. Przepraszam. Jestem tylko sekretarką towarzyszką prokurator. Jestem pewna, że ona życzyłaby sobie, aby ktoś... ale ja nie mogę zostawić biura bez nadzoru.

Shan niecierpliwie poklepał kopertę.

–Nie mam czasu na czekanie. Proszę przynieść mi herbatę do archiwum.

Kobieta skrzywiła się, ale skłoniwszy głowę, ruszyła szybkim krokiem do stołu w kącie sali, na którym stały dwa wielkie termosy.

Shan uznał, że nie może ryzykować i zabawić tu dłużej niż kwadrans. Pierwszych parę minut poświęcił na rozpracowanie schematu, według którego uporządkowano dokumenty trzymane w szafach stojących pod trzema ścianami pomieszczenia. Segregatory oznaczone jako „Raporty do Centrali”, uszeregowane chronologicznie, zawierały, jak się zdawało, miesięczne raporty do Urumczy i Pekinu z okresu ostatnich kilku lat. Większość pozostałych szaf mieściła dokumenty zaszeregowane do dwóch innych kategorii: „Akta personalne” i „Sprawy w toku”.

Nie było akt Khitaia. Nie było akt Bajysa, Alty ani Suwana. Nie było akt Kaju Drogme. Lau miała jedynie grubą na centymetr teczkę wśród akt personalnych, zawierającą podstawowe dokumenty, jakie gromadzi się, gdy osoba, której dotyczą, pełni funkcję publiczną, nawet tak niewiele znaczącą, jak członek Rady

Rolnej. Przejrzał je szybko, zaczynając od końca, od najwcześniejszego materiału. Najobszerniejszą jego część stanowił standardowy formularz, wypełniony na podstawie rozmów z Lau oraz tuzinem jej znajomych, podpisany przez przedstawiciela Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, z kopią dla prokurator Xu. Zapisał w notesie nazwisko przedstawiciela, po czym przebiegł wzrokiem treść. Lau twierdziła, że została osierocona podczas, jak nazwał to wypełniający formularz, „poprzedzającego asymilację okresu gwałtownej anarchii”, co zdaniem Shana musiało oznaczać przybycie chińskiej armii, po czym przydzielono ją do spółdzielni rolniczej na północy, w Kazachskiej Prefekturze Iii. Jej metryka urodzenia zaginęła w roku 1963 w jednym z pożarów, które strawiły wiele gmachów publicznych w „okresie korekcji”. Shan zatrzymał się przy tym określeniu. Różnie już nazywano krwawe lata „rewolucji kulturalnej”, które odebrały mu ojca i wujów, ale to było coś nowego. Okres korekcji. W myślach zobaczył przemierzających kraj bezwzględnych korektorów poprawiających to, co zapisało się w ludzkich głowach.

U dołu formularza był wykaz pytań, z kratkami do zakreślenia odpowiedzi na tak lub nie. Czy badany odbył służbę patriotyczną w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej? Nie. Czy badany czyta regularnie publikacje Partii Komunistycznej informujące o postępach myśli socjalistycznej? Tak. Czy badany brał udział w praktykach religijnych? Nie. Czy badany ma krewnych za granicą? Nie. Określić cheng fen, pochodzenie klasowe badanego. Nie-weryfikowalne, choć nie ma podstaw, by negować oświadczenie badanej, że pochodzi z rodziny robotników rolnych, zapisano. Robotnicy rolni byli najbardziej szanowaną z klas społecznych. Lau dobrze rozumiała swoje audytorium. Wśród najświeższych dokumentów znajdowała się krótka notatka, z datą zaledwie sprzed trzech miesięcy. Był to list prokurator Xu do porucznika Sui z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego:

Nie przywiązuję żadnego znaczenia do niekompletności dokumentów towarzyszkii Lau. Towarzyszka Lau, jak wielu z nas, jest ofiarą nieładu w administracji państwowej, który nękał Pekin aż do ostatnich lat. Jej akta z ostatnich dziesięciu lat są

kompletne i zostały zweryfikowane. Tam, gdzie brak jest dokumentów, dotychczasową, stosowaną od lat praktyką naszego urzędu było dokonywanie doraźnej weryfikacji wiarygodności politycznej, co zostało zrobione także w jej przypadku. Dodatkowa weryfikacja będzie przeprowadzona w ramach rutynowych działań. Nie ma podstaw do uznania towarzyszkii Lau za agitatorkę kulturową.

Shan przeczytał notatkę dwukrotnie. Słowa były wystarczająco jasne, lecz ważniejsze było to, co nie zostało napisane. List oznaczał, że Sui zakwestionował wiarygodność Lau, wkrótce po tym, jak Lau dowiedziała się, iż pozbawiono ją funkcji w Radzie Rolnej. Ktoś przekazał Urzędowi Bezpieczeństwa obciążające Lau informacje, z których zapewne wynikało, że należałoby ponownie zweryfikować jej wiarygodność polityczną, być może przeklasyfikować ją jako niepożądany element, nie przestępczynię, ale osobę wystarczająco podejrzaną, by odsunąć ją od odpowiedzialnych stanowisk. Xu zaś postanowiła interweniować, bronić jej. Prokuratorka zdawała się nie mieć najmniejszych podejrzeń co do Lau. Ponownie przeczytał list. Sui sugerował, że Lau należy poddać lustracji, a Xu mówiła nie. Być może miała jakieś inne zamiary wobec zakamuflowanej mniszki, jakieś inne cele, a Sui mógł przeszkodzić w ich realizacji. Akta Lau nie zawierały żadnych dokumentów pochodzących sprzed dziesięciu lat, które spędziła w okręgu Yoktian. Zamordowani chłopcy mieli około dziesięciu lat. Czy to możliwe, by całe życie Lau w Yoktianie stanowiło jedynie przykrywkę dla opieki nad sierotami? A może nad określonymi sierotami? Kopia pisma została przekazana komuś o nazwisku Bao Kangmei. Słyszał już to nazwisko. Magazyn w Obozie Chwały został zamknięty na rozkaz majora Bao, który musiał być przełożonym Sui. Przeczytał jeszcze raz dwa ostatnie zdania. Brzmiały jak wyrzut, jakby Xu strofowała pałkarza.

Ostatnim dokumentem włączonym do akt była kopia innego formularza, z nagłówkiem i *Raport o zaginięciu osoby*, podpisana przez prokurator Xu Li i wskazująca, że drugi egzemplarz raportu również został przesłany Bao Kangmei. Shan przebiegł wzrokiem formularz. Pierwsze zawiadomienie o nieobecności

Lau przybyło ze szkoły, wkrótce potem znaleziono jej konia, wędrującego samopas na drodze biegnącej wzdłuż rzeki, a z wody wyłowiono jej kurtkę. Tylko ostatni paragraf zawierał nowe informacje. Dowód tożsamości Lau został przekazany przez pewnego obywatela porucznikowi Sui, który osobiście potwierdził, że dokument ów znaleziono w błocie na brzegu rzeki, niedaleko miasta. Sui, który kwestionował wiarygodność polityczną Lau, został włączony w dochodzenie w sprawie jej zniknięcia.

Shan zamyślił się na chwilę, po czym znów zaczął szukać akt Kaju. Nic. Wyciągnął teczkę Wangtu. Dziesięć stron, wyłącznie rutynowe pozycje. Przetrzęsał dalej akta personalne. Była tam teczka Akzu, grubsza niż ta, którą założono dla Lau. Na okładce widniała pieczętka. *Agitator kulturowy*, głosił czerwony stempel. Przejrzał dokumenty. Opisywały historię wiejskiego właściciela ziemskiego, któremu – jak tysiącom innych -odebrano jego własność, po czym stopniowo rehabilitowano. Notatka pochodząca sprzed sześciu miesięcy informowała, że podczas zebrania krytyki zarzucono Akzu, iż produkcja wełny jego klanu nie osiągnęła wymaganego poziomu. Specjalista rolnictwa zaświadczył nawet, że uparte trzymanie się przez Akzu przestarzałych technik produkcyjnych pozbawia społeczeństwo cennego mięsa i wełny. Najświeższym dokumentem, datowanym przed miesiącem, było pismo nadesłane z głównej siedziby Brygady w Urumczy, zawierające wykaz przeszło pięćdziesięciu nazwisk Kazachów skierowanych na specjalne roczne szkolenie polityczne w ramach wdrażania Programu Walki z Ubóstwem. Nazwisko Akzu widniało w połowie listy.

Odłożył teczkę i stał, popijając herbatę, którą przyniosła mu zdenerwowana sekretarka. Liczył na więcej, ale właściwie na co? Na akta anonimowego Amerykanina straconego w Obozie Chwały? Otworzył szufladę z aktami personalnymi i znalazł, ku swemu zaskoczeniu, teczkę opisaną po prostu *Mei guo ren*. Amerykanie. W środku znajdowało się pół tuzina kartek, wystawionych przez prokuratorkę krótkich oficjalnych zezwoleń na pobyt dla amerykańskich grup turystycznych. Nie, zauważył, jedna z nich nie była grupą turystyczną, ale delegacją naukową. Przed dwoma laty grupa amerykańskich archeologów i antropologów przybyła do

regionu na zaproszenie Muzeum Archeologicznego w Urumczi. Do notatki dołączona była lista nazwisk i referencji oraz garść fotografii. Nic, co mogłoby mieć związek z młodym jasnowłosym Amerykaninem, którego widział w Obozie Chwały. Rozpoznał jedno nazwisko. Deacon. Ale to była kobieta, Abigail Deacon z Oklahomy, autorka książki na temat starożytnych tkanin. Najświeższy dokument w teczce pochodził sprzed roku. Do przedniej okładki przypięte było lakoniczne pismo z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, informujące, że wszelkie raporty dotyczące Amerykanów mają być odtąd przekazywane, bez sporządzania kopii, do Bao Kangmei.

W „Sprawach w toku” znalazł akta Jakli. Na krawędzi teczki przyklejono pasek żółtej taśmy, żeby łatwo było ją dostrzec podczas przeglądania szuflady. Zauważył jeszcze kilka podobnie oznaczonych akt. Pobieźnie przejrzał parę z nich. Jedne dotyczyły człowieka, który otrzymał wyrok dożywocia za napaść na inspektora urodzin i uciekł z więzienia przed rokiem. Inne dotyczyły skazanego na dziesięć lat lao gai za zorganizowanie uroczystości upamiętniających Lui Si. Lui Si, „Sześć Cztery”, nazywano wydarzeniami, do których doszło czwartego czerwca 1989 na placu Tiananmen. Żółta taśma oznaczała szczególnie niebezpiecznych przestępców politycznych.

Zajrzał do teczki Jakli. Zawierała kopie raportów szkolnych dotyczących naruszenia dyscypliny lekcyjnej. Znalazł też obszerne sprawozdanie, sporządzone przez oficera politycznego, który stwierdzał, że Jakli była wzorową uczennicą, typowaną do wyjazdu na komunistyczny obóz młodzieżowy. Potem jednak coś się zmieniło. W wieku dwunastu lat, pisał oficer, dostała się pod wpływ reakcjonistów kulturowych, co oznaczało kazachskich pasterzy. Kiedy Jakli miała dwanaście lat, przypomniał sobie Shan, żołnierze zastrzelili jej konia. Historia urywała się przed dwoma laty. Nie było kopii listu Lau do prokuratoria. Spojrzał jeszcze raz na etykietę. *Część pierwsza*, nabazgrał ktoś na okładce teczki. Ale części drugiej nie było w szufladzie. Poszukał wśród teczek rozłożonych na stole, potem w aktach personalnych, sądząc, że mogła trafić tam przez pomyłkę. Na próżno. Ktoś jeszcze interesował się bieżącymi aktami Jakli.

W pośpiechu przetrząsnął ponownie akta personalne, szukając jeszcze jednej osoby, Marca Miagowa. Nic. Potem na końcu szuflady spostrzegł oznaczoną na czerwono teczkę, opisaną po prostu *Eluosi*. Sześć stron dotyczyło innych osób: były to odrzucone podania o wydanie paszportu. Resztę grubej na centymetr teczki wypełniały akta Marca. Kilka podań o zezwolenie na podróże wewnętrzne i podjęcie pracy. Przeczytał pierwsze, pochodzące sprzed niemal szesnastu lat. Marco ubiegał się o przepustki dla siebie i swego małego syna na podróż na południe, do Yining, w odwiedziny do umierającego wuja. U góry przybito wielką czerwoną pieczęć. Załatwiono odmownie. Kolejne, pół roku później, na udział w pogrzebie. Załatwiono odmownie. I następne, na wizytę w szkole specjalnej, do której skierowano jego syna. Załatwiono odmownie. Podanie o zezwolenie na pracę. Załatwiono odmownie. Kilkanaście dalszych próśb, w najrozmaitszych sprawach, wszystkie odrzucone. Ostatnia pochodziła sprzed dziesięciu lat. Potem były już tylko raporty Urzędu Bezpieczeństwa, sugerujące jego niewiarygodność polityczną, a nawet działalność przemytniczą. Ale żaden z dokumentów nie wskazywał na to, by Marco został skazany, choćby nawet na obóz ryżowy, ani nie zawierał jakichkolwiek poważnych dowodów przeciwko niemu. Shan spojrzął na najświeższy dokument, sporządzoną na użytek prokurator Xu kopię raportu porucznika Sui. Informacje uzyskane z przesłuchań sugerowały, że Marco zorganizował jedną z karawan, które w dalszym ciągu zaopatrywały górskie wioski w najwyższych partiach Kunlunu i dalej, w Aksai Chin. Aksai Chin. Shan wpatrywał się w te słowa. Była to sporna strefa graniczna, nagie, smagane wiatrami terytorium, do którego prawa rościły sobie zarówno Indie, jak i Chiny, znajdujące się pod kontrolą ALW. Ale w karawanie Marca wyruszyło ośmiu jeźdźców, zgłaszał informator, wróciło zaś tylko czterech.

Shan pospiesznie skończył notować i otworzył drzwi. Nerwowa sekretarka pracowała teraz na komputerze przy najbliższym biurku. Przy innym biurku czytał jakieś czasopismo młody człowiek, który mimo garnituru wyglądał na żołnierza. Łysy mężczyzna, który wcześniej spał w holu, stał pod ścianą, pijąc herbatę. Shan zawahał się, po czym wyciągnął bloczek i napisał

na czystej kartce nazwisko Kaju Drogme. Podszedł do komputera i pochylając się nad ramieniem sekretarki, pokazał jej kartkę.

–Muszę wiedzieć, dla kogo pracuje ten człowiek – powiedział.

Twarz kobiety poczerwieniała, a jej oczy strzeliły ku mężczyźnie przy sąsiednim biurku.

–On jest z Brygady – szepnęła zakłopotana. – Z Urumczy, jak sądzę. Ale tu, u nas, jego bezpośrednim zwierzchnikiem jest Ko. Ko Yonghong. – Uniosła wzrok i nagle przybrała ton wyższości. – Wszyscy znają Ko. Wozi mnie czasem swoim nowym czerwonym samochodem, takim bez dachu. Wiecie, jak na amerykańskich filmach.

Nagle otworzyły się gwałtownie drzwi zewnętrzne i w ich łukowatym obrysie ukazała się prokurator Xu. Shan pochylił się niżej, starając się ukryć twarz za monitorem komputera.

–Loshi! – zawołała Xu, zmierzając w stronę sekretarki. –

Potrzebuję... – Urwała w pół zdania. Spostrzegła Shana.

Powoli się wyprostował. Przez chwilę patrzyła na niego lodowatym wzrokiem, po czym zerknęła w stronę młodego człowieka przy biurku, który odłożył czasopismo i wstał, nagle czujny, obserwując Shana oczyma drapieznika. Shan uświadomił sobie, że widział go już wcześniej, za kierownicą samochodu prokuratorki podczas jej wizyty w garażu.

–Dziękuję, panno Loshi – powiedział. Bez drgnienia powiek odwzajemnił spojrzenie mężczyzny, który, jak się domyślał, musiał być prawą ręką prokuratorki, i stał nieruchomo, gdy Xu skierowała się ku ciężkim drewnianym drzwiom w głębi sali i otworzyła je. Odwrócił się i w milczeniu wszedł do jej gabinetu. Xu usunęła się na bok, żeby go przepuścić, po czym podeszła do biurka Loshi i zadała pytanie, którego Shan nie dosłyszał. Sekretarka odpowiedziała nerwowo, zasłaniając sobie usta kartką papieru. Xu wróciła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Niegdyś była tu sypialnia. Biurko Xu stało na niewysokim podeście w środkowej części pokrytej mozaiką podłogi, ciągnącym się szerokim prostokątem, akurat rozmiarów dużego łóżka, aż do tylnej, obitej boazerią ściany. Na podeście, przed biurkiem, rozstawiono półkolem kilka krzeseł. Właściwie nie było to biurko,

zauważył Shan, ale ciężki stół z ciemnego drewna, o krawędziach rzeźbionych w ptaki i kwiaty nawiązujące do wzorów na podłodze. Kolejny relikw z przeszłości budynku, pozostałość z gatunku tych, jakie przed laty, odkryte we wschodnich miastach, zostałyby wrzucone w ogień. Shan usiadł na środkowym krześle.

Xu zasiadła za stołem, opierając na blacie splecione dłonie.

– Nawet inspektor z Pekinu nie ma prawa korzystać z mojego biura, jeśli na to nie pozwolę – warknęła.

– Wasze biuro, towarzyszo prokurator, jest własnością Ministerstwa Sprawiedliwości – odparł Shan, znów zaskoczony łatwością, z jaką te słowa wyszły z jego ust. Czy raczej, pomyślał po chwili, nie tyle zaskoczony, ile przerażony, że dawny Shan, niegdysiejszy generalny inspektor Ministerstwa Gospodarki, czai się wciąż tak blisko. Zaciśnął szczęki i postukał w kopertę. – Przedstawiciele ministerstwa mają zawsze prawo dostępu do akt, jeśli szukają, powiedzmy, dowodów korupcji albo nadużycia stanowiska.

Słowa odniosły pożądaný skutek, uciszając Xu na moment. Shan nie liczył zbytnio na to, że uda mu się rozładować jej gniew, ale mógł go odwrócić, a przynajmniej odroczyć w nadziei, nikłej co prawda, że tymczasem pojawi się szansa ucieczki. A jeśli nie zdoła uciec, może chociaż, wykorzystując jej arogancję, zmusić ją do przyznania, że wie o zabójstwach.

Górna warga Xu uniosła się we wściekłym grymasie, prokuratorka nie patrzyła jednak na Shana. Utkwiła wzrok w swoich dłoniach.

– Nie mam nic do ukrycia. Nie muszę obawiać się niczego ze strony... – Urwała, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadł z impetem tęgi, zwałisty mężczyzna.

– Odwołajcie ich! – ryknął na Xu. – Odwołajcie swoich cholernych gnojów albo zawiadomię Pekin! Narażacie na szwank moje śledztwo! – Jego tłuste policzki płonęły czerwienią. Przy każdym słowie tryskały mu z ust kropelki śliny.

Nawet gdyby grubas był bez szarego munduru, Shan wiedziałby, kim on jest. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego wkroczył do akcji i jeśli chwilę wcześniej istniała jeszcze znikoma szansa ucieczki, teraz nie miał już żadnej. Walcząc z supłem, w

który zaciskał mu się żołądek, powoli wstał, w milczeniu odsunął sobie jedno z bocznych krzeseł i usiadł znowu, twarzą do pałkarza, jak gdyby był z Xu. Prokuratorka nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Ten manewr pozwolił Shanowi zejść z linii ognia i pozwolił bez przeszkód przyjrzeć się rozwścieczonemu przybyszowi.

Włosy nieznanego były krótko ostrzyżone i poprządkane siwizną, podobnie jak u Shana. Jego szeroka twarz miała płaskie rysy, znamionujące mieszkańca południowo-wschodniego wybrzeża, słynącego ze swych rybaków i piratów, a także z trudności odróżnienia jednych od drugich. Gdy jego wydatny tors podnosił się i opadał, Shan dostrzegł wybrzuszenie pod lewą pachą. Pistolet, przytroczony na szelkach pod bluzą munduru.

–Musicie wyrażać się konkretniej, majorze Bao – odparła lodowato Xu.

Major Bao. To właśnie był człowiek, który zażądał, by wszystkie raporty o Amerykanach trafiały do jego rąk, to był człowiek, o którym wspomniano w Obozie Chwały. Dowódca porucznika Sui. Shan przypomniał sobie słowa Grubego Mao. Dwie osoby w tym okręgu, od których należy trzymać się z dala, to prokurator Xu i major Bao.

–Konkretniej, do diabła?!

–Towarzyszu majorze, ponoszą was nerwy. – Xu najwyraźniej była już przyzwyczajona do jego furii. – Usiądźcie.

Shan przyglądał się obojgu zbity z tropu. Już dawno powinni rzucić się na niego, rozrywać go na strzępy. Ale Xu i Bao wyglądali na niezbyt zainteresowanych współpracą. Xu podczas wizyty w garażu towarzyszył porucznik Sui, który bez wątpienia był podwładnym Bao. Nazwisko Bao Kangmei widniało na notatce Xu w sprawie Lau. Shan jeszcze raz spojrział na pałkarza, ^{na} jego dłonie jak łopaty i oczy o barwie brudnego lodu. Bao Kangmei. Bao Wrogi Ameryce. Było to imię popularne w czasach walk przeciwko Amerykanom w Korei.

Bao warknął i opadł na środkowe krzesło, dopiero co zwolnione przez Shana.

–Wasi pieprzeni śledczy płoszą wszystkich – oświadczył lodowato. – Ludzie zaszywają się w różnych dziurach. Karawany przestają kursować. Jeśli zawalicie moją operację, zniszczę was.

Shan przyglądał się pałkarzowi. Bao nie chciał wstrzymać karawan, chciał, żeby kursowały nadal. Przypomniał sobie czarnorynkowe towary w strzeżonej przez pałkarza szopie w Obozie Chwały. Szopie, w której znalazł trupa Amerykanina. Czy o to właśnie chodziło w tym wszystkim? Czy Bao to po prostu czarnorynkowy biznesmen? Być może Amerykanin był tylko pechowym handlarzem, który pojawił się w Xinjiang, aby kupić dywany na czarnym rynku, może nawet przywiózł ten sprzęt elektroniczny na wymianę.

Xu westchnęła, jak gdyby współczuła majorowi. Ale w jej twarzy nie było życzliwości.

–Mój zespół nigdy nie był bliższy decydującego rozwiązania. Program Walki z Ubóstwem jest tym, na co czekaliśmy przez te wszystkie lata. Nie odwołam ludzi od rzeczywistych zadań po to, żebyście wy mogli ścigać widma.

–Nie widma, towarzyszeko prokurator. Wrogów państwa. Wrogów Pekinu.

–To wasz wytrych, prawda, majorze? – Shan z zaskoczeniem uniósł wzrok. Nigdy nie słyszał, by ktoś zwracał się takim tonem do pałkarza. – Nikt prócz was nie mówi tak często o Pekinie. Ale to ja łapię przestępców. Pekin o tym wie.

Bao wpatrywał się w nią wściekłym wzrokiem. Zdobywszy nad nim przewagę, Xu nieco złagodniała.

–Z pewnością drobne dochodzenie w górach nie może narazić na szwank wielkiej operacji Urzędu Bezpieczeństwa, towarzyszu majorze.

Ale Bao już nie słuchał. Jego bycza głowa powoli odwróciła się w bok, wzrok przyniósł się na odsunięty pod ścianę potężny stół, większy nawet od tego, który służył prokuratorce za biurko. Wydawał się demonstracyjnie wielki, gotowy w każdej chwili, zależnie od potrzeby, służyć za stół bankietowy lub na zwłoki.

Na środku blatu stało samotne kartonowe pudło. Na pudle, wypisane grubym, czarnym pisakiem, widniało imię. Lau.

Bao bez słowa rzucił prokuratorce znaczące spojrzenie, po czym wstał i podszedł do stołu. Xu patrzyła za nim lodowato. Nim zdążyła do niego dołączyć, major wyrzucił zawartość pudła na stół. Shan wstał, żeby lepiej widzieć, zerknął jednak w stronę

drzwi. Mogłoby mu się udać, gdyby wyszedł po cichu, nie zwracając na siebie uwagi osób pracujących w sali. Odwrócił się jednak z powrotem, by przyjrzeć się przedmiotom, które Xu zebrała u Lau. Trzy książki. Krótki, wąski, podobny do sztyletu nóż. Drewniana skrzynka wielkości pudełka na buty, choć o połowę niższa. Kilka notatników. Mała nefrytowa figurka konia. Proste pudełko z białego metalu, poobijane, z pokrywką ozdobioną rzędem kwadratów inkrustowanych różowym korałem – piórnik, w rodzaju tych, jakie często widuje się w tybetańskich salach lekcyjnych.

Co dziwne, odkrycie to najwyraźniej otrzeźwiło Bao. Napatrzywszy się na dowody, znów odwrócił się do Xu.

–Nie wątpię, że dzielicie się rezultatami waszego śledztwa z moim urzędem.

–Nie mamy jeszcze żadnych oficjalnych wyników, towarzyszu. Ostatecznie prowadzimy tylko poszukiwania zaginionej osoby. A to po prostu rzeczy osobiste. Na wypadek, gdybyśmy kiedyś zlokalizowali jej rodzinę. Rzeczy z jej pokoiku w domu nauczycielskim, który został opróżniony dla nowego nauczyciela.

–Niemniej trafiły tu, na wasz stół – odparł Bao z szyderstwem w głosie.

Shan ukradkiem zbliżył się do stołu. Stał za Bao, zachowując dystans, ale dość blisko, by wyraźnie widzieć przedmioty. Książki były tomikami poezji. Leżącą na wierzchu Shan rozpoznał od razu. Była autorstwa Su Tungpo, skompromitowanego dostojnika z czasów dynastii Sung, który pisał piękne wiersze o życiu na wygnaniu.

–Nawet po śmierci traktujecie ją zbyt łagodnie – oświadczył Bao. Podniósł leżący na blacie nóż i wymachiwał nim, jakby stanowił potwierdzenie słuszności tych słów.

–Nożyk do papieru – odpaliła Xu, nawet nie starając się ukryć zniecierpliwienia.

Major położył potężną dłoń na drewnianej skrzynce. Shan dopiero teraz spostrzegł, że wykonana była z drewna różanego, a wzdłuż krawędzi biegł pas misternie rzeźbionych kwiatów. Bao podniósł pudełko i potrząsnął nim. Coś zagrzechotało w środku. Obrócił je dookoła, szukając zamka.

–Pudełko-łamiągłówka – wyjaśniła zwięźle Xu. – Dynastia Qing.

Ku swej radości Shan stwierdził, że miała rację. Był to bardzo

stary przedmiot, jedno z drewnianych pudełek-łamiągówek popularnych w Chinach przed dwustu laty. Nie było wśród nich dwóch takich samych, a każde otwierało się po naciśnięciu określonego punktu lub przesunięciu w odpowiedniej kolejności szeregu elementów. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że Xu mogła je zatrzymać, jak zrobiłby on sam, by drogą prób i błędów odkryć właściwą kombinację ruchów, która ujawniłaby jego sekrety.

–Nic nie rozumiecie, prawda? – stwierdził triumfalnie Bao.

Spojrzał na prokuratorkę z dziwną satysfakcją w oczach, po czym odłożył skrzynkę na stół i roztrzaskał ją uderzeniem pięści.

Nic sobie nie robiąc ze wściekłego spojrzenia Xu, poszperał w odłamkach drewna. Skrzynka zawierała dwa metalowe przedmioty: pięciocentymetrowej długości brązowy trapez z otworami na obu końcach i wygrawerowaną postacią ptaka w locie, oraz błyszczącą złotą monetę.

Bao wydobył złoty krążek spomiędzy drzazg i wyciągnął go przed siebie jak trofeum. Była to „panda”, złota moneta o wadze jednej uncji, bita w Pekinie z przeznaczeniem na międzynarodowy rynek kolekcjonerski. Major rzucił Xu triumfalne spojrzenie i wciąż trzymając monetę w wyciągniętej ręce, powrócił na swoje krzesło. Gdy Xu odwróciła się i ruszyła za nim, Shan szybko wsunął do kieszeni brązowy medalion.

Bao kazał prokuratorce czekać. Niespiesznie położył monetę przed sobą na blacie biurka, po czym, wyraźnie rozkoszując się zakłopotaniem Xu, powoli wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego.

–Może – odezwał się, wypuszczając z ust wąską smugę dymu – nie zawsze łapiecie przestępców, towarzyszeko prokurator.

–Lau przez wiele lat ciężko pracowała – odparła Xu tonem, w którym pobrzmiwała tłumiona wściekłość. – Była wzorową pracownicą. Oszczędzanie zarobionych pieniędzy nie uchodzi za przestępstwo.

Shan stanął przy stole, spoglądając na leżącą przed Bao monetę. Była warta więcej, niż niektórzy pasterze zarabiali przez rok.

–Wasza wzorowa pracownica miała sekrety. Dobrzy obywatele nie miewają sekretów. Szczery wyznawca imperatywu socjalistycznego nie miewa tajemnic. – Uśmiechnął się zimno,

ukazując rząd pożółkłych zębów. – Są w Yoktianie ludzie, którzy chcieliby spruć tkaninę społeczeństwa. Wszystko zaczyna się od paru wystrzępionych nitek.

–Co sugerujecie? – rzuciła krótko Xu. – Ona należała do tych, którzy je scalają. Potrzebowaliśmy jej.

Bao pokręcił głową, robiąc przy tym wydech, co sprawiło, że otoczyły go kłęby dymu. Wtem jego wzrok padł na nakryty kartką papieru przedmiot leżący na biurku Xu. Pochyliwszy się, pochwycił go nagłym ruchem. Shan poznał go w mgnieniu oka. Była to klinowata tabliczka, taka jak ta, którą widział wśród rzeczy Suwana. Nie ta sama, gdyż miała kratkowany wzór na górnej krawędzi, ale pokryta tym samym, podobnym do sanskrytu pismem. Bao wysunął wierzchnią listewkę, gwałtownie wsunął ją z powrotem i wstał.

–Gdzie to znaleźliście? – zapytał ostro.

–W rzeczach Lau. – Prokuratorka zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła strumień dymu w stronę Bao. Jak pojedynek smoków, pomyślał Shan. Zreflektował się, że przysuwa się do stołu wpatrzony się w drewnianą tabliczkę.

Oczy Bao rozszerzyły się na chwilę. Jeszcze raz przyjrzał się rozrzuconym na stole przedmiotom, mrużąc coś pod nosem jadowitym tonem, tak cicho, że Shan nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Brzmiało to jak: „Dziwka, zdradziecka dziwka”. Wreszcie odwzajemnił zdumione spojrzenie Xu.

–Dzwoniliście do kogokolwiek w tej sprawie? – Warknął. –

Do ministerstwa? Do Instytutu Starożytności?

Xu zerknęła niepewnie na Shana, po czym wolno pokręciła głową.

–To tylko drewniana zabawka zrobiona przez dziecko.

Oczy Bao zwęziły się.

–Świetnie. Myślcie tak dalej, towarzyszeko – prychnął. – Dookoła sami zdrajcy, a wy widzicie tylko zabawki. – Mówił teraz

do drewnianego klina. – Pomyślcie o całej pracy, która została

wykonana, o tym, jak się poświęcaliśmy, aby stworzyć najwspanialsze społeczeństwo na świecie. Państwo daje nam wszystko.

Zawdzięczamy mu wszystko. Myśl, że w mogą tu żyć ludzie, którzy chcieliby je rozerwać na strzępy, przyprawia mnie o mdłości – warknął. – Mylicie się co do niej, towarzyszeko prokurator.

Ona nie była osobą, za którą się podawała. Nie ma niższej formy życia niż wywrotowcy, którzy dążą do podkopania państwa. Robactwo. Gnidy, wszyscy co do jednego, a zwłaszcza ludzie z Zachodu, którzy sieją ferment. Zmiażdżymy ich. A ja zmiażdżę też wszystkich, którzy stają nam na drodze. – Wepchnął drewnianą tabliczkę do wielkiej dolnej kieszeni kurtki.

Shan zorientował się, że stoi przy biurku. Szybko usiadł z powrotem na krześle obok Xu, ze ściągniętą twarzą wpatrującej się w kieszeń, w której zniknęła tabliczka.

–Sądziłam, że rozmawiamy o karawanach.

Czy rozpoznaje niebezpieczny teren, na który spychają Bao? zastanowił się Shan. Czy tylko reaguje na dziki błysk w jego oczach?

Major sięgnął do kieszeni na piersi, skąd wyciągnął złożoną kartkę ryżowego papieru.

–Przypuszczam, że nigdy tego nie widzieliście? – Rozprostował i przez chwilę trzymał w wyciągniętej dłoni, po czym odwrócił na drugą stronę. Był to długi na czterdzieści centymetrów pasek, na którym dziecięca ręka zapisała jakiś wiersz, po mandaryńsku na jednej stronie i po tybetańsku na drugiej. *Mistrz wyszedł, by zbierać kwiaty, przeczytał pierwszą linijkę, I ubrudził pyłkiem szatę.*

–Znaleziono to ukryte w jej mieszkaniu – oświadczył Bao. – Na szczęście natrafił na to Urząd Bezpieczeństwa, a nie inna instytucja – dodał znacząco, po czym złożył kartkę i z powrotem wepchnął ją do kieszeni.

–Dziecięca wyobraźnia – odparła sztywno Xu, choć widać było, że jest wstrząśnięta odkryciem.

Shan wpatrywał się w podłogę, unikając kontaktu wzrokowego z obojgiem. Wiersz dotyczył nadzorca strumieni. Bao podejrzewał, że gdzieś krył się lama, nielegalny lama, i że Lau była z nim jakoś związana.

–Byłem też w Turfanie – oświadczył major, nie dając po

znać, że usłyszał jej słowa. – Słyszałem przemówienia. Niektórzy stracili z oczu swoje podstawowe obowiązki. Jeśli zaniedbujecie swoje podstawowe obowiązki, choćbyście pracowali najciężej, jesteście ciężarem dla państwa. – Bao mówił teraz cytatami z politycznych sloganów.

Spojrzenie majora po raz pierwszy spoczęło na Shanie.

–Znacie swoje podstawowe obowiązki, towarzyszu? – zapytał z zimnym, ponurym uśmiechem. – Potraficie rozpoznać zdradę, jeśli natkniecie się na nią?

–Nigdy nie zapominam, co jestem winien państwu – odparł sztywno Shan. Walczył z niemal wszechogarniającym pragnieniem ucieczki. Za drzwiami był ochroniarz Xu, potem łysy mężczyzna przy schodach, być może jeszcze inni, którzy wrócili z drzemki. Przy odrobinie szczęścia zdołałby może przemknąć się między nimi. Ale major nie należał do ludzi, którzy podróżują bez obstawy. Na zewnątrz z pewnością czekało więcej pałkarzy.

Bao wypuścił dym z ust, pozwalając, by kłębił mu się wokół policzków.

–Powiedzcie swojej prokuratorce, żeby robiła to samo.

Shan zacisnął szczęki tak mocno, że aż zaboląły go zęby.

–Nie jestem jego... – zaczęła Xu. Shan odwrócił się ku niej z pustym wyrazem twarzy, zrezygnowany godząc się z losem. Prokuratorka przez chwilę patrzyła mu w oczy, po czym nie dokończywszy zdania, znów zwróciła się do Bao.

–Nie uważam, aby prokurator Xu zapominała o swoich obowiązkach – powiedział Shan.

Bao rzucił mu kolejny zimny uśmiech i nachylił się ku niemu.

–Myślałem, że znam tu wszystkie tresowane psy. Jesteście nowi?

Niewiarygodne szczęście Shana zawiodło. Przez chwilę była nadzieja, że Xu i Bao rozstaną się, żywiąc mylne wyobrażenia co do jego osoby. Ale teraz zostały tylko dwa sposoby na opuszczenie tego pomieszczenia. Z Xu albo z Bao. Nie mógł powiedzieć, że pracuje dla pałkarzy, jak przypuszczała Xu. Nie mógł powiedzieć, że pracuje dla niej, bo gdyby zaprzeczyła, wydałaby go natychmiast w ręce Bao. Jedyną nadzieją Shana było podrzucić coś Xu, zagrać dla niej, zaciekawić ją na tyle, żeby chciała go kryć.

Bao przyglądał mu się z nagłym zainteresowaniem.

–Jestem nowy – przyznał Shan. – Przyjechałem z Pekinu.

–Kim jesteście? – drażył Bao. – Wasze nazwisko.

–Kimś, kto zastanawia się, dlaczego bardziej interesujecie

się przemytnikami niż zamordowaniem jednego z waszych oficerów.

Oczy Bao zapłonęły, a górna warga zaczęła unosić się z jednej strony, odsłaniając wielki żółty ząb wyglądający niczym kieł dzika. Major wstał i cisnął palącego się papierosa na biurko Xu.

–Nie wiecie tego.

–Na szosie. Dwa dni temu.

Bao nie odrywał wzroku od Shana.

–Na szosach zdarzają się wypadki – mruknął.

–Nazywał się Sui. Porucznik. – Shan usłyszał, że Xu, za jego plecami, gwałtownie wciąga powietrze. Czy to możliwe, żeby nie wiedziała o Sui? – Dwie kule w serce. Z

pewnością to zgłosiliście. Pekin bardzo interesuje się atakami na oficerów Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Bao pobladł. Jego warga uniosła się wyżej, pod sam nos. Nie był to grymas pogardy. Major wyglądał raczej jak drapieżne zwierzę, które obnaża zęby, zanim zagłębi je w ciele swej ofiary. Shan czuł, że Xu spręży się, nie odrywał jednak oczu od Bao. Pałkarz przyskoczył do niego, uniósł otwartą dłoń i wymierzył mu siarczysty policzek.

–Żaden oficer nie został zabity – warknął. I zaraz potem, jak tylko potrafią szkoleni w osobliwej logice oficerowie polityczni, zapytał: – Skąd o tym wiecie?! To sprawa Urzędu Bezpieczeństwa! – Wściekłe pytanie skierowane było do Shana, ale oczy

Bao spoczęły na Xu. Potem, jakby te słowa wymagały dodatkowego podkreślenia, major uniósł swą wielką dłoń i spoliczkował Shana raz jeszcze.

Shan poczuł w ustach smak krwi. Mógłby tak siedzieć, pozwalając, żeby Bao tłukł go po twarzy, choćby cały dzień, ale nie odezwałby się więcej. Odnalazł w sobie miejsce, pełen przedziwnego spokoju zakątek, małą izdebkę, jaką zbudował sobie w więzieniu i do której od tamtego czasu nie zaglądał. Niektórzy więźniowie nazywali go Chińskim Głazem, bo żadną cielesną karą nie można go było złamać. Niektórzy z Tybetańczyków twierdzili, iż to dlatego, że jego dusza już dojrzała i w każdej chwili gotowa jest opuścić ciało. Nigdy nie uważał, by mieli rację. Wiedział tylko, że dojrzał wystarczająco, aby bez względu na wszystko, nawet pod groźbą śmierci, nie kulić się ze strachu przed

takimi jak Bao. Nie miało to większego znaczenia dla świata, bo jeśli tacy ludzie nie mogli uzyskać tego, czego chcieli, za pomocą tortur fizycznych, zwykle mogli to osiągnąć dzięki chemikaliom. Ale miało to ogromne znaczenie dla Shana.

Czekając na następny cios, Shan przypomniał sobie tybetańskich więźniów, którzy pośród wszystkich tortur, cierpiąc głód, zimno, nawet amputacje, dziękowali Buddzie za możliwość wypróbowania swej wiary.

Przez mgłę bólu usłyszał, że Xu odsuwa krzesło i odchodzi od biurka. Przegrał. Idzie przyłączyć się do zabawy Bao, pomyślał tępo.

–Mówi prokurator Xu Li z okręgu Yoktian – usłyszał jej do nośny głos. Mówiła, jakby stała przed trybunałem. – W imieniu Ministerstwa Sprawiedliwości żądam, aby major Bao natychmiast się uspokoił.

Bao również odnalazł pewne miejsce w swym wnętrzu. Ale nie był to zaciszny zakątek. Raczej jego przeciwieństwo. Spojrzawszy na Xu, warknął z odrazą. Shan również obrócił oczy na prokuratorkę. Musiał kilkakrotnie zamrużyć, nim udało mu się skupić na niej wzrok, nim w pełni pojął, co się dzieje. Xu trzymała w rękach kamerę wideo. Rejestrowała poczynania Bao.

Major chwycił kubek z herbatą i cisnął nim w ścianę za pro-kuratorką, Xu jednak wciąż filmowała. Bao złapał złotą monetę, odwrócił się na pięcie i wypadł z gabinetu, zatraskując za sobą drzwi.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Z papierosa Bao, wciąż leżącego na blacie biurka, unosiła się cienka smużka dymu. Xu podeszła do biurka i przez chwilę wpatrywała się w drzwi, po czym przeniosła wzrok na Shana. Podniosła tłętego się papierosa wraz z papierem, na który upadł, i wrzuciła go do kubka na skraju blatu, a następnie chwyciła słuchawkę telefonu i kazała przynieść Loshi dwie herbaty.

Skrzyżowała ramiona na piersi i dwukrotnie okrążyła biurko, nie odzywając się ani słowem.

–Mogłam jeszcze dziś wysłać was do Obozu Chwały – powiedziała wreszcie, gdy Loshi wyszła, przyniósłszy herbatę.

–Bywałem już w obozach – odparł cicho Shan, patrząc na nią znad parującego kubka. – Dobra gimnastyka, podłe jedzenie.

–Kiedy spotkałam was po raz pierwszy, sądziłam, że pracujecie dla Urzędu Bezpieczeństwa. Że jesteście jednym z nowych agentów, sprowadzonych w związku z programem.

–Programem Walki z Ubóstwem?

Nie odpowiedziała.

–Powiedzmy, że nie jesteście z Urzędu Bezpieczeństwa. Po wiedzmy, że nie jesteście z Ministerstwa Sprawiedliwości, nie prowadzicie tu śledztwa w sprawie korupcji. Tylko teoretycznie.

Ale wiecie, że Sui został zabity, co ukryto nawet przede mną.

Xu nie kwestionowała tego, co Shan powiedział na temat porucznika. Reakcja Bao, uświadomił sobie, była wystarczającym potwierdzeniem. A Shan się mylił: Xu nie wiedziała o śmierci Sui, był tego pewien. Ale Bao wiedział. Pałkarze wiedzieli, że jeden z nich został zamordowany, a jednak nic w tej sprawie nie robili.

–Przejdźcie się po targowisku i posłuchajcie przez dwadzieścia minut.

Przekonacie się, jaki to sekret.

Zignorowała tę uwagę.

–Więc powiedzmy, że zadawaliście się z nieprawomyślnymi elementami. Powiedzmy, z uchylającymi się od współpracy pasterzami. Może z siejącymi niepokoję społeczne kapelusznikami.

Te słowa uderzyły Shana mocniej niż dłoń Bao. Xu w garażu widziała Shana w towarzystwie Jakli, być może też sprawdziła w Obozie Chwały nazwiska wszystkich znanych wartownikom osób w ciężarówkach z ryżem. Rozejrzał się po jej biurku, szukając drugiej części akt Jakli, części właśnie analizowanej.

–Nie noszę kapeluszy – powiedział słabo.

–A więc może z przemytnikami. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby to ustalić.

–Nie zadaję się z nikim.

–Ale jesteście z Pekinu. Tyle mogę stwierdzić. Może to wasz akcent. Albo arogancja, z jaką wtargnęliście do mojego biura.

–Jak już mówiłem, jestem inspektorem. Nazywam się Shan. I jestem z Pekinu.

–Ale nie prowadzicie śledztwa dla Pekinu. Czyżby prywatny detektyw? Wybaczcie, towarzyszu, to nie jest jakiś amerykański film.

–Odszedłem z zawodu.

Xu przyjrzała mu się uważnie znad kubka. – I powiadacie, że siedzieliście już w obozie? Być może wasza rezygnacja nie była dobrowolna.

Shan uniósł kubek.

–Wznoszę toast za wasze zdolności dedukcyjne.

–I co? Prowadzicie śledztwo, bo macie takie hobby?

–Przyjaciele prosili mnie, żebym zajął się pewną sprawą. Nic, co miałoby związek z wami – dodał, chociaż sam w to nie wierzył.

–Poza tym, że bezprawnie wtargnęliście do Obozu Chwały, a teraz jeszcze grzebiecie w moich aktach.

Shan zajrzał do kubka.

–Mam interesujących przyjaciół.

Przez twarz Xu przemknęło coś jakby rozbawienie, natychmiast jednak na powrót przybrała twarde wyraz.

–Gdybym nie była tak przepracowana, mogłabym godzinami układać listę zarzutów przeciwko wam. Wtargnięcie do Obozu Chwały, państwowego obiektu chronionego, bez upoważnienia, bezprawne korzystanie z moich akt... to już daje parę lat. Ale myślę, że nie będziemy komplikować sprawy. – Wystarczyłoby, żeby poprosiła go o dokumenty, o dowód tożsamości, którego nie miał, albo o zezwolenie na podróż. Potem kazałaby mu podwinąć rękawy i znalazłaby tatuaż na jego ramieniu.

Utkwił wzrok w rzeźbionym ptaku na skraju stołu.

–Jestem tu z powodu dzieci – powiedział cicho. – Dzieci, które ktoś zabija. Dzieci Lau.

Xu wpatrywała się w niego w milczeniu. Kilka razy zdawało się, że chce coś powiedzieć, za każdym razem jednak zmieniała zamiar. Wreszcie wstała powoli i podeszła do regału za biurkiem.

Ku swemu przerażeniu Shan spostrzegł tam maleńkie czerwone światełko, świadczące, że spoczywająca teraz na półce kamera wideo wciąż pracuje. Xu rejestrowała ich rozmowę. Teraz podniosła kamerę, wyłączyła ją i odłożyła z powrotem na półkę, obiektywem do ściany.

Wróciwszy, usiadła nie przy biurku, lecz na drewnianym krześle obok Shana.

–Jakie dzieci? – zapytała. Jej głos w dalszym ciągu brzmiał twardo i podejrzliwie.

–Chłopiec imieniem Suwan, dziewięcioletni, postrzelony w głowę. Chłopiec imieniem Alta, pobity i zadźgany na śmierć w górach Kunlun. W tym samym wieku. Oboje należeli do jej klasy sierot.

Xu zmarszczyła brwi.

–To beznadziejne, towarzyszu. – Najwyraźniej postanowiła mu nie wierzyć. – Nie było żadnych raportów.

–Oni mieszkali z rodzinami koczowników.

Oczy Xu zdawały się wwiercać w jego czaszkę. Oderwał od nich wzrok i znów zapatrzył się w ptaka.

–Niemożliwe. Powinniście byli poinformować się nieco dokładniej, zanim zaczęliście wymyślać te swoje historie. Sieroty mają nowego nauczyciela. Wszystko toczy się jak dotychczas. Ale oczywiście wiecie o tym. Pytaliście o niego moją sekretarkę.

–A jednak, towarzyszeko prokurator – powiedział bardzo powoli – sprawa Lau was niepokoi. Chcielibyście wiedzieć, jak umarła. – Zerknął znów na stół z dowodami. – Została zamordowana. A teraz ten, kto ją zamordował, zabija jej dzieci.

Xu ponownie zmarszczyła brwi i westchnęła.

–Bajka. Wymyślona przez reakcjonistów, żeby odstraszyć ludzi od asymilacji. Lau poniosła śmierć w nieszczęśliwym wypadku. Kiedy zimą wody rzeki opadną, znajdziemy jej ciało. – Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła bloczek papieru. – Napiszcie swoje oświadczenie, towarzyszu – powiedziała. – Robiliście to z pewnością już nie raz. Weźmiemy je pod uwagę podczas waszego procesu. – Umilkła na chwilę i rzuciła mu bloczek. –

Może naprawdę sądziliście, że dzieci są w niebezpieczeństwie.

Napiszcie to. To mogłoby być użyteczne. Nieprawomyślne elementy stwarzają zagrożenie dla dzieci. Podtrzymują feudalne

schematy. Nieufność wobec władz. Krwawe waśnie rodowe. Obsesja na punkcie symboli ginących kultur – podpowiadała, podając mu bloczek. – To wszystko reakcyjniści. Ci, którzy opierają się naszym wysiłkom, by doprowadzić do integracji wszystkich narodów.

Shan nie dotknął bloczku.

–Czy to możliwe, że ona była waszą przyjaciółką? – zapytał niepewnie. Prokuratorka napisała notatkę w obronie Lau.

Xu nie odpowiedziała.

–Widziałem jej ciało – oświadczył. – Była bita po nogach. Torturowano ją, potem odurzono narkotykami i zastrzelono. – Przerwał, czekając, aż jego słowa dotrą do jej świadomości. – Co zamierzacie zrobić w sprawie jej dzieci?

Tym razem, gdy Xu spojrzała na niego, zamrużyła powiekami i spuściła wzrok. Przez krótką chwilę Shanowi zdawało się, że na jej twarzy pojawił się cień niepewności.

–Ona się starzała – stwierdziła prokuratorka. – Miała kłopoty z sercem.

–Kto wam to powiedział? – Uświadomił sobie, że nie odpowiedziała na żadne z jego pytań.

–Było zebranie Rady Rolnej, kiedy uznaliśmy już, że ona nie żyje. Napomknięto o tym w mowie pośmiertnej.

Patrzyła na niego, gdy powoli pokręcił głową. – Może powinniście zapytać o sieroty swojego przyjaciela Bao – podsunął.

–Co sugerujecie?

–Miałem w Pekinie przyjaciela. Przepracował czterdzieści lat w Ministerstwie Sprawiedliwości. Twierdził, że powinienem przyjąć za pewnik, iż Urząd Bezpieczeństwa wie dziesięć razy więcej, niż przekazuje do publicznej wiadomości, pięć razy więcej, niż zdradza swym kolegom z innych urzędów państwowych, i dwa razy więcej, niż mówi Przewodniczącemu.

Xu skwitowała puentę kwaśnym uśmiechem, po czym z pliku papierów leżących na biurku wyciągnęła formularz i zaczęła w nim pisać ogryzkiem ołówka.

–Może znajdę kiedyś czas, żeby dokładniej poznać waszą wyobraźnię, towarzyszu. Ale nie dzisiaj. Później, w Obozie Chwały Zostaniecie umieszczeni w odosobnieniu, żebyście mogli dobrze rozważyć wszystko, do czego powinniście się przyznać.

–Mam lepszy pomysł. Pozwólcie mi odejść.

Uśmiechnęła się chłodno i nadal wypełniała formularz.

–Shan – powiedziała, nie unosząc wzroku. – To pospolite nazwisko. Nic mi ono nie mówi.

–Wiecie, że Bao was okłamuje – oświadczył Shan. – Nie wiecie tylko jak bardzo. Sądzicie, że powinniście zrobić coś w sprawie Lau. A jeśli to, co spotkało Lau, miało jakiś związek ze śmiercią Sui? Pozwólcie mi odejść, a dowiem się tego. Obiecuję,

że wkrótce spotkamy się znowu. Tutaj. Sądzicie, że ponieważ Bao jest z Urzędu Bezpieczeństwa, nic nie możecie zrobić. Ale to nieprawda. Możecie mi pozwolić na kontynuowanie śledztwa.

Ołówek Xu zatrzymał się.

–Być może myliłam się co do was – powiedziała. – Brygada ma do dyspozycji obóz lao gai, daleko w głębi pustyni. Może tam właśnie powinnam... – Jej słowa przerwał nagle kobiecy krzyk.

Z sąsiedniej sali dobiegły podniesione głosy i tupot stóp. Rozległ się kolejny przenikliwy okrzyk, potem jeszcze jeden. Xu wstała

od biurka, szybko podeszła do drzwi i otworzyła je. Sala była pusta. Po następnym wrzasku wybiegła na korytarz i popędziła po schodach w kierunku, z którego dochodził hałas. Shan ruszył za nią, lecz nie skręcił na schody, ale pobiegł korytarzem aż do końca, gdzie pospiesznie odnalazł tylne schody.

Niespełna minutę później pędził już bocznym zaułkiem. Wydostał się na ulicę trzydzieści metrów od gmachu prokuratury. Ruch na ulicy został zatrzymany. Kierowcy powysiadali z samochodów. Przed frontonem budynku prokuratury mrowił się tłum. Shan przecisnął się do porzuconej ciężarówki i stanął na stopniu, by rzucić okiem ponad głowami ludzi.

–Morderstwo! – krzyknął ktoś.

Zobaczył, że z budynku wychodzi prokuratorka wychodzi w towarzystwie panny Loshi i szczupłego mężczyzny z biura. Przed nią, na stopniach gmachu, stało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta w pasterskich strojach. Mężczyzna trzymał w uniesionych ramionach zawiniątko, zakrwawiony koc spowijający małego chłopca. Chłopiec był martwy.

Rozdział dziesiąty

Ktoś chwycił go za ramię i pociągnął ku sobie. Shan opierał się, nie odrywając wzroku od martwego chłopca. Stojąca obok pasterza kobieta krzyczała na Xu. Potem odwróciła się i zaczęła wołać coś do szybko rosnącego tłumu. Niektórzy, spostrzegł Shan, czmychali, gorączkowo lawirując wśród ciżby, żeby wydostać się z placu. Chińczycy. Uciekali Hanowie.

–Niya! – krzyknął ktoś i tłum zaczął głośno skandować to imię. – Niya! Niya! Niya! – Imię z plakatów, imię rudowłosej kobiety, którą widział na afiszach.

Pałkarze, przypomniał sobie nagle. Na placu byli pałkarze z bronią automatyczną. Odwróciwszy się, dostrzegł dwa szare mundury na balkonie wychodzącym na przeciwległy koniec placu. Jeden z pałkarzy najwyraźniej rozmawiał przez krótkofalówkę. Drugi trzymał broń w pogotowiu.

Pasterz wciąż stał na schodach prokuratury. Nie poruszając się, w milczeniu trzymał zwłoki chłopca, jakby przekazywał je Xu. Płakał. Oczy martwego dziecka były na wpół otwarte, jak gdyby chłopiec mrużył je, próbując dostrzec coś w dali. Jego koszula była podarta i zakrwawiona. Na środku czoła widniał otwór po kuli.

Intruz uchwycił ramię Shana oburącz i nie puszczał. Była to Jakli. Jeszcze raz spojrzął na martwego chłopca, po czym pozwolił odciągnąć się od ciężarówki i odprowadzić z placu.

Szli szybko, choć nie tak szybko, by zwracać na siebie uwagę, przez cztery kwartały mniej lub bardziej walących się budynków z ubitej ziemi i pustaków: utrzymujących Yoktian przy życiu sklepów, warsztatów, restauracji i ponurych biur z szarymi metalowymi żaluzjami w oknach. Zapytał Jakli, kim był ów chłopiec, ale nie odezwała się. Zapytał, kim jest Niya, i spostrzegł, że

dziewczyna jest wstrząśnięta do głębi. Z wilgotnymi od łez oczyma zaciskała szczęki, powstrzymując szloch.

Zaprowadziła go przed cztery parterowe budynki otoczone wysokim do pasa ogrodzeniem z siatki. Betonowy chodnik, tak wypaczony i popękany, że dziewczyna wolała iść po ziemi obok niego, prowadził do centralnego budynku o ścianach z cegły mułowej, otoczonego z trzech stron przez identyczne budowle. Shan przystanął w wejściu i spojrzał na przybitą nad drzwiami drewnianą tablicę. Niegdyś widniało na niej hasło, ale pół tablicy odpadło, porwane wiatrem, i pozostały jedynie słowa *siłę dzieciom*.

Nim Jakli zorientowała się, że Shan nie idzie za nią, zdążyła już odejść na sześć metrów w głąb mrocznego korytarza. Odwróciła się i oparła ręce na biodrach. Czekala, aż Shan do niej dołączy.

–Czy ten chłopiec należał do zheli? – zapytał głośno.

Z niepokojem rozejrzała się po korytarzu i podeszła do Shana.

–Tak, był sierotą – odparła z napięciem i przygnębieniem w głosie. – Miał na imię Kublai. Mieszkał z klanem obozującym jakieś trzydzieści kilometrów w głąb gór. Pilnował owiec i nie wrócił. Kiedy poszli szukać, zobaczyli jego ciało na dnie przepaści, z martwą owieczką w ramionach. Pomyśleli, że spadł, ratując jagnię. Ale kiedy wydobyli ciało, okazało się, że został zastrzelony. Jagnię... – dodała z nagłą, głęboką rozpaczą – jagnię też zostało zastrzelone.

–Kim jest Niya? – powtórzył pytanie Shan. – Co ona ma wspólnego z tym chłopcem?

–Moi kuzyni dotarli do czterech rodzin zheli i ostrzegli je -ciągnęła Jakli, wpatrując się w podłogę. – Malik przyprowadził do Czerwonego Głazu następnego chłopca. Dzieciak przywiązał do siebie dwa mastiffy, jakby one mogły powstrzymać zabójcę. W obozowisku Akzu jest kilku Mao, pilnują chłopców. Inni pomagają szukać dzieci w górach. Tak trudno je znaleźć...

–Czy chłopcy mają jakiś związek z tą Niya?

Ale Jakli znów zdawała się go nie słyszeć. Odwróciła się i ruszyła, wolniejszym krokiem, w głąb korytarza. Zatrzymała się przed drzwiami, przy których ktoś siedział na podłodze. Mao ze złotym zębem, który przyniósł Shanowi buty. Gdy Jakli pochyliła się, żeby z nim porozmawiać, Shan pchnął drzwi.

Za nimi siedział Lokesh. Uniósł wzrok znad prostego drewnianego stołu i w milczeniu powitał Shana skinieniem głowy. Znajdowali się w małym pokoiku z oknem wychodzącym na południe, na szkolne podwórko i dalej, na ośnieżone szczyty Kunlunu na horyzoncie. Ściany były obwieszane zdjęciami, co najmniej dwoma tuzinami. Większość przedstawiała konie. Była tam też fotografia wielkiego posągu Buddy, zdjęcia meczetów, a nawet reprodukcja starego malowidła przedstawiającego Lao-tsy jadącego na wole. Na szczycie wysokiego metalowego regału na książki przytwierdzono sznur flag modlitewnych, który zwisał wzdłuż bocznej ścianki mebla.

Lokesh trzymał w dłoniach dzwonek, stary, odlany z brązu, z rączką zakończoną znajomym, podobnym do berła kształtem. Był to drilbu, używany w tybetańskich obrzędach.

– Zapomniała swojego dzwonka – powiedział ponuro, zerkając znacząco na Shana. Powiadano, że dźwięk drilbu odpędza złe moce. Na stole leżał kłębek czerwonych, zielonych i żółtych pasm przędzy o średnicy może siedmiu centymetrów. Shan wiedział, że to święte nici, którymi niektórzy z buddystów oplatali rytualne przybory w celu przywołania mądrości. Lokesh wypuścił dzwonek i pogłaskał kłębek. Nieco dalej na stole leżała wielka księga, Koran, oraz czarna dopa, muzułmańska jarmułka.

– Czego szukasz, przyjacielu? – zapytał Shan starego Tybetańczyka. Jego słowa zabrzmiały niemal jak westchnienie, płynące jednak na fali wzburzenia, które targało nim, odkąd ujrzał trzeciego chłopca. Wiedział, że Lokesh przybył tu z Senge Drak, że zrezygnował z powrotu do bezpiecznej kryjówki w Lhadrung, ponieważ czegoś szukał. Czegoś, co miał nadzieję znaleźć właśnie w szkole.

– Trudno ująć to w słowa – odparł Lokesh ochryłym głosem, kręcąc głową, jakby coś nakazywało mu milczeć. Zaciśnął obie dłonie na dzwonku. – Jego fizyczną emanacją jest Nefrytowy Koszyk. Ale powiada się, że w razie potrzeby może on przybrać inną postać, dla ochrony.

– Dla ochrony czego? – zapytał Shan. Lokesh zmarszczył brwi.

– Od zewnątrz – powiedział z trudem, jakby sprawiało mu to

ból – kiedy widziano go po raz ostatni, wyglądał jak srebrne gau. Po otwarciu ukazywał się misternie rzeźbiony nefrytowy koszycek z miejscem na modlitwę.

Koszula ostatniego chłopca, Kublaia, była rozdarta, przypomniał sobie Shan, odtwarzając w myślach scenę przed gmachem prokuratury. Podobnie jak u Alty i Suwana.

–Czy po to właśnie przyszedłeś? – zapytał. – Po Nefrytowy Koszyk? Czy to właśnie musisz zabrać z powrotem? – Czy za to właśnie umarła Lau? cisnęło mu się na usta pytanie. Za martwy przedmiot? Istniały symbole, wiedział o tym, przedmioty obdarzone wielką mocą, otoczone czcią, które pobożni buddyści gotowi byli chronić za cenę swego życia. Oddać życie za taki przedmiot byłoby ogromną zasługą, liczącą się w następnym wcieleniu.

–Niebezpiecznie jest mówić o tym – odparł Lokesh, wciąż kręcąc głową. – Jeśli nie wiesz, jak go osiągnąć, to im bardziej się zbliżasz, tym bardziej on się oddala. – Uniósł wzrok na Shana, wyraźnie tocząc jakąś bolesną wewnętrzną walkę. – Nie... - Głos uwiązł mu w gardle. Jego oczy, smutne i zakłopotane, znów spoczęły na dzwonku.

–Czy Lau go miała? Dlatego tu przyszedłeś? – dopytywał się Shan.

Ale Lokesh patrzył tylko nieruchomym wzrokiem na dzwonek w swoich dłoniach, ślepy i głuchy na wszystko inne.

Shan okrążył pokój, po czym stanął w drzwiach, by jeszcze raz mu się przyjrzeć. Xu była tutaj. Prawdopodobnie była tu też bezpieka. Z pewnością był tu dyrektor Ko. Xu zabrała stąd wszystko, co wyglądało na rzeczy osobiste Lau. Ale Lokesh znalazł, jak sądził, jeszcze dwie: kłębek przędzy i dzwonek. Leżały, nie dostrzeżone przez nikogo, na samym wierzchu, ukryte wśród materiałów do edukacji kulturowej. Z korytarza dobiegł go głos Mao, który pokazywał coś Jakli w gabinecie mieszczącym się naprzeciw pokoju Lau. Shan przeszedł na drugą stronę korytarza, żeby zobaczyć, co to takiego. Mao wskazywał na jakąś kartkę przyklejoną taśmą do szyby na drzwiach. Wysokimi na pięć centymetrów znakami ktoś zapisał jedną z najsłynniejszych złotych myśli Wielkiego Sternika. *Religia to opium ludu*. Na drzwiach znajdowała się tabliczka. *Przewodniczący Komisji Oświatowej Hu,*

widniało na niej. Shan przypomniał sobie pulchnego zatroskanego Chińczyka, którego spotkał w Obozie Chwały.

Wrócił do gabinetu Lau. Na stole leżała kartka papieru. Podniósł ją. Był to wydruk z komputera, lista nazwisk.

–To zheli – wyjaśniła Jakli, stając za jego plecami. – Wykaz wszystkich sierot, z którymi pracowała, i rozkład ich zajęć. –

Wskazała trzy nazwiska na liście. Suwan, Alta i Kublai.

–Czy Lau używała komputera? – zapytał Shan. Dziewczyna milczała. Przynęła sobie listę.

–Nie. Ona nie lubiła komputerów – odparła po chwili.

–A przynajmniej nie ufała im – podpowiedział. Skinęła głową, przeglądając listę.

–Ktoś inny to zrobił.

–Łatwa sprawa – powiedział cicho Shan. Dostrzegł pytające spojrzenie Jakli. – Dla zabójcy. – Zabójca miał listę, którą mógł ściągnąć z dowolnego komputera Brygady, i potrzebował jedynie informacji o miejscu pobytu poszczególnych dzieci. Dlatego właśnie torturował Lau. Shan przejrzał terminarz. Na bieżący rok przewidziano jeszcze tylko dwa spotkania, jedno za tydzień, następne pięć dni później, oba w miejscu nazwanym Kamiennym Jeziorem. Pokazał Jakli te pozycje.

–To na skraju pustyni – wyjaśniła. – Lau tradycyjnie kończyła cykl zajęć dwoma spotkaniami właśnie tam. Żeby dzieci nauczyły się lepiej rozumieć pustynię, mawiała. Latem jest zbyt gorąco, żeby się tam zapuszczać.

–Chłopcy... – powiedział Shan. – Które z tych dzieci to chłopcy? Wcześniej nie byłem pewien, ale teraz wydaje się to jasne. Zabójca atakuje tylko chłopców.

Jakli przejrzała listę i wskazała dziewięć dalszych nazwisk. Wyłamując palce, wpatrywała się w wydruk, jakby zobaczyła ducha. To nie był wykaz uczniów. To była lista skazańców.

Do ściany przypięte były zapisane kartki wyrwane z zeszytów uczniów. *Dziękuję ci, ciociu, wyczytał z jednej, za to, że pokazałaś mi, że pustynia jest wciąż żywa. Mój ptaszek zaśpiewał dziś piosenkę, mówiła inna. Dwa teksty wyglądały na wiersze. Kiedy poilem konia, dostrzegłem starego wieśniaka. Spał tak twardo,*

że mysz skubała mu wąsy. Drugi został kunsztownie wykaligrafowany: W górach czekają starcy, mądrzy mądrością śniegu.

Shan wyjrzał przez okno. Wzdłuż ścian budynku po drugiej stronie podwórza, od południa, ciągnęły się zwały nawianego piasku. Jego wzrok pobiegł dalej, ku szczytom Kunlun, ku Senge Drak. Rankiem Jakli zostawiła tam Genduna, siedzącego na wierzchołku góry samotnie jak wartownik.

Wyczuł za sobą jakiś ruch. Nie odwrócił się, ale kątem oka dostrzegł burzę długich, ciemnych włosów. Jakli w milczeniu podeszła do ściany i zdjęła z niej kartkę z wierszem, który podziwiał przed chwilą, z tym o mądrych starcach. Złożyła ją i schowała pod koszulę. Przyglądał się, jak dziewczyna sięga po krzesło i studiuje kolekcję zdjęć na ścianie. Po chwili postawiła krzesło pod ścianą i wspiąwszy się na nie, ściągnęła zdjęcie Wielkiej Hali Ludowej w Pekinie. Podała mu je ze smutnym uśmiechem i zeszła. Fotografia wydawała się sztywna i ciężka. Odwrócił ją. Po drugiej stronie przyklejone było zdjęcie ubranego w czerwoną szatę łysiejącego, pogodnie uśmiechniętego mężczyzny w okularach. Dalajlama. Jakli paznokciem rozcięła taśmę, odrywając ukryte zdjęcie, i włożyła je do kieszeni.

Nagle światło w pokoju zgasło. W drzwiach pojawił się Mao ze złotym zębem i bez słowa wskazał okno. Na podwórzu coś się działo. Jacyś ludzie wychodzili gęsiego, ustawiając się wzdłuż muru przeciwległego budynku. Jakli zamarła, po czym rzuciła się do ściany i przywarła do niej, jakby chciała się ukryć.

To pałkarze wyprowadzali dzieci ze szkoły. Trzydzieścioro lub czterdzieścioro uczniów najwyraźniej wyciągnięto z klas wraz z nauczycielami, którzy kulili się ze strachu w bramie. Dzieci były ustawiane w pojedynczym szeregu wzdłuż ściany. Jeden z pałkarzy krzyczał, żeby były cicho, inny stał z kamerą wideo, przesuwając obiektywem po twarzach. Wkrótce potem najmłodsze, do siedmiu lat, odesłano biegiem do nauczycieli. Kolejna grupa, nastolatki, została zwolniona chwilę później. Pałkarze zaczęli rozmawiać z piętnaścioro, może dwadzieścioro pozostałych dzieci: jeden mówił do nich, podczas gdy drugi rejestrował rozmowę kamerą.

–Wszystko w porządku – powiedział Mao. – Po prostu siedźcie cicho.

–Oni wiedzą, że zheli tu nie ma – odezwała się Jakli.

–Jasne – przytaknął Mao. – Ale inne dzieci wiedzą być może, jak je znaleźć.

Pałkarze tłumaczą im pewnie, że to w związku z Programem Walki z Ubóstwem. Że muszą zgarnąć sieroty dla ich własnego dobra. Jak dzikie konie – dodał z goryczą.

Shan obejrzał się. Lokesh przyglądał się dzieciom z błyskiem w oczach, jak gdyby miał ochotę wstać zza stołu i wyjść do nich. Czy Mao powiedział mu o trzecim chłopcu? zastanawiał się Shan.

Jakby czytając w jego myślach, Jakli podeszła do stołu i usiadła naprzeciw starca. Położyła dłoń na jego dłoni i potrząsała nią, dopóki Lokesh nie spojrzał na nią.

–Następny chłopiec... – powiedziała łagodnie. – Następny chłopiec został zabity w górach.

Powtórzyła mu wszystko, co wiedziała o tym wydarzeniu. Gdy skończyła, Lokesh siedział ze wzrokiem utkwionym w dzwonku, pogrążony w myślach, bardziej żaloszny niż kiedykolwiek. Shan pochylił się nad Jakli.

–Czy temu chłopcu brakowało buta?

–Nie wiem. A to ma jakieś znaczenie?

–Obu pozostałym brakowało buta na jednej nodze.

–Jakiego buta?

Wzruszył ramionami.

–Po prostu buta. – Zamyślił się na chwilę, po czym powiedział jej o drewnianej tabliczce, którą znalazł Bao, oraz o jego reakcji. – Suwan też miał taką – przypomniał. – Została roztrzaskana przez zabójcę.

Jakli spojrzała na niego z lękiem. Wstała i podeszła do regału, by zdjąć z górnej półki zdjęcie konia w drewnianej ramce. Nie, to nie była ramka, zorientował się Shan, gdy dziewczyna wyciągnęła je do niego, ale deseczka, do której zdjęcie zostało starannie przyklejone taśmą, żeby wyglądało na oprawione w ramki. Jakli odwróciła ją, żeby pokazać zarys klina na spodniej stronie. Kolejna tabliczka ze starożytnym pismem.

–To pismo nazywa się kharoszthi. Od ludu, który żył tutaj dwa tysiące lat temu. Od czasu do czasu znajduje się takie tabliczki na pustyni.

Opowiedział jej, jak zareagował Bao, gdy znalazł jedną z tabliczek na biurku prokuratora, i wspominał przy okazji, że Xu miała także parę rzeczy osobistych Lau. Lokesh uniósł wzrok.

–Co? Co tam było? – zapytał nerwowo.

–Nie gau – uspokoił go Shan. – Książki. Mały nefrytowy konik. Piórniki.

–Piórniki? – zapytał niecierpliwie Lokesh, pochylając się. – Miedziany? Z turkusowymi kólkami?

Shan pokręcił głową, zdezorientowany przyglądając się przyjacielowi.

–Z białego metalu. Z koralem.

Lokesh skrzywił się boleśnie i znów spojrzał na dzwonek.

Shan ponownie przeniósł wzrok na drewnianą tabliczkę w dłoni Jakli. Zapytał, co mógł mieć na myśli Bao, pytając o Instytut Starożytności. ‹

–Ludowy Instytut Starożytności – wyjaśniła. – To grupa naukowców pracujących dla rządu. Archeologów z legitymacjami partyjnymi.

–Nie rozumiem – stwierdził Shan. – Dlaczego według niego miałyby to mieć związek z ludźmi z Zachodu?

Spojrzała na niego z przerażeniem.

–Z ludźmi z Zachodu? On tak powiedział? – Powoli pokręciła głową. – To Amerykanie dali Lau te tabliczki, żeby mogła je rozdać dzieciom z zheli. Tak między innymi pomagała im zrozumieć, kim jesteśmy.

–Ale major Bao uważa to za zdradę – stwierdził Shan. Jego umysł pracował jak szalony. Mylił się co do Xu. Prokuratorka nie miała pojęcia o Sui ani o dwóch martwych chłopcach. Być może wszystko to było sprawką Bao, Bao i sztylp poszukujących tych, których major uważał za zdrajców Chin. Przypuszczalnie odkrył związek między Lau i Amerykanami i teraz podążał tropem zheli, by ich osiągnąć. Shan przypomniał sobie wierszyk o lamie i reakcję Bao na drewnianą tabliczkę na biurku Xu. Dowód zdrady. Jeśli schwywanie zdrajców było dla Bao, przynajmniej chwilowo, ważniejsze niż schwywanie zabójcy Sui, mogło to oznaczać, że niewiele go od tego dzieli. Shan i Jakli wymienili przerażone spojrzenia.

–Trzeba ostrzec Amerykanów – rzuciła dziewczyna. – Oni przychodzą czasem na zajęcia zheli.

–Na zajęcia zheli? – powtórzył z niedowierzaniem Shan. – To chyba byłoby dla nich zbyt ryzykowne.

–Byłam tam z Grubym Mao, kiedy Lau próbowała im to wyperswadować. Amerykanie twierdzili, że chcą porozmawiać o swojej pracy z dziećmi, z następnym pokoleniem, aby wiedziały, że są na świecie ludzie, których obchodzi ich los.

Ich praca. Czym zajmowali się Amerykanie, że doprowadzało to Bao do takiej wściekłości? Wykopywaniem starożytnych tabliczek? Badaniem starych tkanin?

–Powiedzieli, że warto ponieść ryzyko – dodała Jakli – aby dzieci mogły to usłyszeć.

Shan przypomniał sobie dziwne słowa Deacona. Przyjechał z żoną do Xinjiang, by już się nie ukrywać.

–Może powinnaś pojechać do tych Amerykanów – podsunął. – Ja muszę pomóc dzieciom.

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma, jak gdyby nagle dotarła do niej cała prawda.

–Ale z tego, co powiedziałaś o Bao, wynika, że w tym wszystkim chodzi o Amerykanów, że zheli jest tropem, który ma go doprowadzić właśnie do nich. Dzieci są w kryjówkach. Nigdy

ich nie znajdziesz. Ale jeśli nie możemy dotrzeć do dzieci, musimy zacząć od drugiego końca. Odszukać Amerykanów i stamtąd prześledzić ich powiązania z dziećmi. Przeciąć szlak, którym podąża Bao. To właśnie powinniśmy zrobić. A potem – dodała z błyskiem w oku – potem czym prędzej wrócimy, żebyś zdążył się zabrać do Nepalu.

Nagle w drzwiach pojawiła się szczupła młoda kobieta w szarym mundurze pałkarza. Wszyscy zamarli, wszyscy z wyjątkiem Lokesha, który wstał i ruszył ku niej, potrząsając drillbu, który odpędzał demony. Dzwonił głośno, raz za razem, wyciągając go ku pałkarce, a z każdym jego krokiem kobieta cofała się, aż wreszcie odwróciła się i uciekła korytarzem. Jakli pochwyciła zanoszącego się śmiechem Lokesha i wszyscy razem wybiegli z pokoju i pognali w drugi koniec korytarza, ku wyjściu.

Tym razem Karaczuk jest jakiś inny, pomyślał Shan. Odczuwał znów to samo podniecenie, poczucie wkraczania w dawno

minioną epokę, ale pojawiło się też coś nowego. Nie strach, ale coś bliskiego strachu. W powietrzu wisiało coś złego.

Jakli chyba też to czuła. Przez większą część drogi do zaginionego miasta trwała w ponurym milczeniu, a teraz, gdy wyszli z uliczki wśród ruin i zobaczyli nakryty kopułą budynek, w którym Shan spotkał Marca, przystanęła nieufnie. Spojrzawszy w niebo, szare i nienaturalnie ciemne jak na popołudnie, zmarszczyła brwi, po czym głową wskazała małą spiralę pyłu, drobną trąbę powietrzną pędzącą w stronę wału za ich plecami.

–Natknij się na takiego wietrznego demona w nocy przy księżycu – powiedziała –

a będziesz pewien, że widziałeś ducha. –

Mówiąc to, uśmiechnęła się półgębkiem, co jednak niewiele złagodziło napięcie malujące się na jej twarzy.

Lokesh stał przed nimi, wpatrując się w wirujący kłęb piasku.

–Kiedy byłem chłopcem – odezwał się z powagą – pewien

stary człowiek powiedział mi, że trąby powietrzne są jedną

z tysiąca form, jakie mogą przybierać duchy. Tak właśnie wędrują niektóre dusze.

W samym środku tkwi świetliste jądro świadomości. – Przyglądał się wirowi z natężeniem, jakby próbował dostrzec coś w jego wnętrzu. – Mogą pojawić się nagle, jak myśl, a potem po prostu... – wzruszył ramionami, gdy spirala minęła sterczącą skałę i zniknęła im z oczu – po prostu nas mijają.

Shan patrzył na ścieżkę trąby powietrznej. Wydawała się streszczać w sobie wszystko, co wydarzyło się, odkąd opuścił swoją górę w środkowym Tybecie. Mijające go jądro świadomości.

Mimo wzburzenia Lokesh zrozumiał, że muszą działać szybko. Nie było już wątpliwości, że zabójca jest na tropie i że pozostałych chłopców z zheli trzeba odnaleźć i otoczyć opieką. Mao ze złotym zębem zrozumiał to także, i gdy tylko wydostali się ze szkoły, popędził biegiem do miasta. Ale Jakli miała rację. Jeśli Shanowi zostało niecałe dwa dni, musiał się skoncentrować na Amerykanach. Jeśli Bao był zabójcą, zheli i Nefrytowy Koszyk interesowały go jedynie jako trop prowadzący do wywrotowców. Jego głównym celem byli ukrywający się Amerykanie i ci, którzy im pomagali. A jeśli tak, to tam właśnie, u Amerykanów, należało szukać odpowiedzi.

Ruiny były opuszczone. Skradali się niczym złodzieje, zważając na najdrobniejszy dźwięk i ruch, wzdrygając się, gdy Lokesh od czasu do czasu, rozglądając się po ruinach, wydawał stłumiony okrzyk podniecenia. Stawiając drobne, niepewne kroki, Jakli wprowadziła Shana do gospody Osmana, Wyściełany fotel i stoliki, a nawet szachy, wciąż były na miejscu, ale wszelkie ślady świadczące o niedawnym użytkowaniu tego pomieszczenia zostały zatarte. Na blatach stolików rozsypano piasek. Ekipa poszukiwawcza wiedziałaby, że gospoda została opuszczona znacznie później niż reszta miasta, ale czy nastąpiło to przed tygodniem, czy przed dziesięcioma laty, nie mogłaby stwierdzić.

Nikt nie zawładnął Karaczukiem od czasu pospiesznego exodusu sprzed zaledwie czterdziestu ośmiu godzin.

–Na nic. Cała wyprawa na nic – jęknęła zniechęcona Jakli, gdy wyszli na zewnątrz. – Nikt nie... – Przerwała, gdy Shan pociągnął ją za ramię, wskazując zagrodę. Lokesh, który stał przy ogrodzeniu, z triumfalnym uśmiechem trzymał w dłoni ciemnobrązową grudkę.

–Świeże! – Wykrzyknął, zbliżywszy grudkę do nosa. – Dzisiejsze! – Było to łajno wielbłąda.

Kiedy podbiegli do niego, stary Tybetańczyk, przekrzywiwszy głowę, wpatrywał się w skały za zagrodą.

–To miejsce jest tak cudownie pełne duchów! – oświadczył z tym samym entuzjazmem.

Shan dopiero po dłuższej chwili zdołał dostrzec w cieniach, tuż pod wierzchołkiem skały, to, co przyciągnęło uwagę przyjaciela. Przyglądające im się ciekawie ogromne szare stworzenie.

–To nie duch – wyjaśniła Jakli z ożywieniem. – To pies Osmana. – Niecierpliwie omiotła wzrokiem skały. – Osman nie odszedł. Jest strażnikiem Karaczuku.

Właściciela psa znaleźli w świątyni, leżącego na sienniku pod topornym ołtarzem. Jedyne dwie świece rozjaśniały obszerną salę. Wielki pies, wetknąwszy na powitanie pysk w dłonie Jakli, wszedł za nimi, po czym wysunął się naprzód i trącił Osmana nosem.

–Dobrze, już dobrze – mruknął Osman do zwierzęcia, siadając na posłaniu. Przetarłszy oczy, gwałtownie sięgnął po coś leżącego u jego boku, ale się rozluźnił, gdy poznał przybyłych.

–Przepraszamy, że zakłóciliśmy ci sen – powiedział Shan.

–Nie spałem, ściśle mówiąc – odparł szorstko Osman. – Nasłuchiwałem. – Szepnął coś psu do ucha i zwierzę odbiegło truchtem w głąb tunelu. Z powrotem na swój posterunek.

–Nasłuchiwałeś? – zapytał Shan.

Osman skinął głową i spojrzał w głąb słabo oświetlonego korytarza.

–Wiatru. Helikopterów. Duchów. – Był w ponurym nastroju. Zdawało się, że czeka na jakieś nadciągające zło.

–Nikki się nie pojawił? – zapytała cicho Jakli.

–Oczywiście, że nie, dziewczyno – Osman chrząknął, pocierając twarz. – On jest zbyt sprytny, żeby schodzić teraz z gór. Prawdopodobnie przyjedzie prosto na końskie święto – dodał, rzucając dziewczynie lekki, wyczekujący uśmiech.

Lokesh podszedł do ołtarza i zapalił świeczką jedną z lampek maślanych, po czym skinął na Shana, żeby zrobił to samo, ku czci Buddy. Gdy Shan przechodził nad posłaniem Osmana, jego wzrok przyciągnął błysk światła. Na podłodze, obok siennika, leżał długi nóż kuchenny wielkości miecza.

–Za wcześnie wróciliście – warknął Osman. Mówił do Jakli, ale wpatrywał się podejrzliwie w Shana. – Pałkarze mogą się jeszcze pojawić.

–Nie zostajemy tu – wyjaśniła Jakli. – Przyszliśmy się dowiedzieć, jak trafić do Amerykanów. Do Deacona. Pojechał na pustynię. Do której oazy?

–Do żadnej.

–On musi być w którejś z oaz – powiedziała niecierpliwie. – Musimy go znaleźć, Osman. Nie ma czasu na spory.

Shan rozejrzał się po sali, wypełniającej się coraz większym blaskiem, w miarę jak Lokesh zapalał kolejne lampki. Posąg Buddy został ponownie przykryty płótnem. Na podłodze stały drewniane skrzynki wypełnione butelkami alkoholu, kosz ze szkłem, a w najdalszym, najciemniejszym kącie coś jeszcze. Kartonowe pudła. Shan ruszył w ich stronę, lecz nim zrobił trzy kroki, Osman powstrzymał go uniesioną dłonią.

–Nadmierna ciekawość bywa niebezpieczna – powiedział siwowłosa Kazach.

Jednak Shan zdążył zobaczyć dość, by rozpoznać pudła. Już takie widział, identyczne, fabrycznie nowe kartony ze sprzętem elektronicznym, w Obozie Chwały. W szopie z martwym Amerykaninem. Na kartonach leżał przenośny nadajnik radiowy o dużym zasięgu.

–Wracajcie – powiedział Osman. – Zaczekajcie parę dni. Deacon tu wróci.

–Być może nie ma czasu na czekanie – odparła Jakli podniesionym głosem. – Być może Amerykanie są w niebezpieczeństwie.

–Nikt nie ucieszy się z waszego przybycia, nawet jeżeli ich znajdziecie. A jeśli ich nie znajdziecie, pustynia was zje. Nikki by mnie zabił, gdyby coś złego spotkało cię w drodze.

–I dlatego właśnie musisz dać nam bardzo dobre wskazówki – skwitowała Jakli, patrząc na niego twardo, i skrzyżowała ramiona na piersi.

Mrucząc pod nosem, Osman wyciągnął spod siennika butelkę wódki. Sięgając po szklanki, jeszcze raz przyjrzał się swoim gościom, po czym schował wódkę i wyciągnął butelkę wody. Napełnił wszystkim szklanki i wskazał ręką, by usiedli na podłodze.

–Pojedziecie szesnaście kilometrów na wschód, pilnując, że by cień mieć wciąż przed sobą, potem prosto na północny wschód, do Studni Łez, pomiędzy ścianami. Za Studnią pięć kilometrów na północ. To miejsce nazywa się Piaskowa Góra... –

Zaczął rysować palcem na pokrywającym podłogę piasku, opisując punkty orientacyjne, jakie zobaczą po drodze. Była to stara metoda, uświadomił sobie Shan, stosowana przez pasterzy,

którzy przekazywali informacje ustnie w obecności wszystkich zainteresowanych, tak by łącznie zapamiętane zostały wszystkie szczegóły. –

Gdybyście mieli konie, powiedziałbym, żebyście nie jechali dzisiaj. Może być źle. Czuję coś niedobrego

w powietrzu. Ciężarówką? Może. Nie wiem. Nie najlepszy piasek na ciężarówkę. – Wzruszył ramionami i pokręcił głową. – Nie. Przeczekajcie tu noc. Jutro będzie lepiej.

Jakli spojrzała na Shana. Zanim opuścili Yoktian, umówiła się z Mao, że ciężarówka odbierze ich z szosy za miastem najpóźniej wieczorem następnego dnia, by zdążyli wyprawić go do Nepalu. Było to wszystko, na co mogli liczyć, wyjaśniła w drodze do Karaczuku, aby ochronić chłopców i przestrzec zagrożonych Amerykanów. Potem Shan będzie mógł zacząć nowe życie. Osman,

dostrzegając błysk w oczach Jakli, uniósł wzrok ku sklepieniu świątyni i westchnął, po czym wyciągnął z jednego z koszy stary kompas.

–Wyróbcie się z tym w dwie godziny – ostrzegł Kazach, podając kompas Shanowi.
– Jedźcie jak wariaci. Po drodze nie ma żadnych bezpiecznych miejsc.

Początkowo nie rozumieli, dlaczego Osman tak ich straszył. Ich dzielny samochód od czterdziestu minut brnął przez piaski, gdy nagle, kiedy Jakli przyhamowała lekko, by dla sprawdzenia kursu rzucić okiem najpierw na kompas, a potem w lusterko, wyrwał jej się cichy okrzyk rozpacz. Kierując się jej spojrzeniem, Shan odwrócił się na północny zachód. Małeńki fragment nieba zniknął. Na horyzoncie, w otoczce ciemnych chmur, nad pustynią unosiła się zielonoczarna dziura.

Jakli dodała gazu.

–Burza – rzuciła nerwowo. – Ten kolor... To załazek śmiertelnej burzy. Karaburan.
–Ale ona jest daleko – zaprotestował Shan. – Nie musi wcale pójść w naszą stronę. Nie trzeba... – Urwał, gdy spostrzegł ponury wyraz jej oczu. Bez słowa wziął kompas, kiedy dziewczyna ujęła kierownicę w obie dłonie.

Parę minut później Lokesh zaczął nucić. Ale nie była to modlitwa, uświadomił sobie po chwili Shan. Starzec nucił wskazówki Osmana, jak dojechać do Piaskowej Góry. Mieli przebyć długi, zdradliwy żleb, Studnię Łez, potem rzucić się pięciokilometrowym sprintem na północ, do Szponów.

Gdy Shan w Karaczuku zapytał Osmana, po czym poznają Studnię Łez, Ujgur roześmiał się tylko, jak gdyby uznał to za głupie pytanie.

–To tylko burza – powiedział Shan bez przekonania. Nigdy nie widział takiego nieba jak to na północy. Nie wyglądało już jak zwykła dziura na horyzoncie. Przypominało teraz raczej olbrzymią paszczę, wyraźnie się przybliżającą, niczym drapieźnik, który wyczuł ich obecność.

–To dlatego kazał nam się spieszyć – powiedziała Jakli. – Osman ma nosa do pustyni. Wyczuł coś w powietrzu. – Tak mocno

ściskała kierownicę, że aż zbieleły jej kostki palców. pedał gazu przyciskała do samej podłogi. Tylna oś zarzucała, natrafiając na łaty miękkiego piasku. Wjechali na małą wydnię i przednie koła straciły styczność z podłożem. Kręciły się jakiś czas w powietrzu, aż nagle opadły na piasek z przyprawiającym o mdłości łomotem. Solidny wóz zachybotał się, po czym znów szarpnął do przodu. Przy takiej prędkości mógł wylądować krzywo i przewrócić się na burtę. A unieruchomiona ciężarówka w czasie burzy piaskowej byłaby jak wyciągnięta na brzeg łódź podczas tajfunu.

–Studnia! – Wykrzyknął z tyłu Lokesh, wyciągając rękę pomiędzy Jakli i Shanem, by pokazać ciągnący się przed nimi

niski grzbiet przedzielony pośrodku szczeliną. – Prosto na północny wschód, do Studni Łez – wyrecytował śpiewnie. – Za

Studnią pięć kilometrów na północ – ciągnął, powtarzając słowa, które słyszeli od Osmana.

Studnia Łez okazała się żlebem pomiędzy dwiema ścianami skał i żwiru, tak że

gdy się do niej zbliżali, podłoże robiło się stabilniejsze. Koła nie buksowały już tak bardzo. Ale ściany zdawały się ciągnąć bez końca, aż po horyzont. Czy Osman powiedział, jak długo mają jechać? Nie, po prostu aż do końca.

–Może burza minie nas od zachodu – napomknął Shan.

–Może – odparła Jakli, ale w jej głosie nie było śladu nadziei. Krew powoli odpływała jej z twarzy.

–Ten wąż na pewno da nam jakąś osłonę – odezwał się Shan, gdy wjechali między ściany.

–Burza nadchodzi z północnego zachodu – powiedziała Jakli unosząc głos. – Nabiera sił u stóp zachodnich gór, po czym rośnie, wchłaniając żar pustyni. Coraz większa i coraz szybsza. Przy odpowiednim wietrze karawana w takim miejscu jak to mogłaby ujść z życiem. Jeśli wiatr jest zły, fala piasku przełamuje się w górze. Wąż działa jak komin, jak wąska zatoka w czasie sztormu, do której nagle wdziera się wał wody. W ciągu paru minut zostaliby pogrzebani bez śladu.

Zamknięci między ścianami nie widzieli już burzy. Ale pojawiło się coś innego. Shan opuścił nieco szybę. Był to cichy, nieustający jęk, ponad którym niosły się krzyki i zawodzenia licznych głosów.

–Aj-aj! – Wykrzyknął Lokesh. – Nieszczęście!

Z pewnością to tylko wzmagający się wiatr grał na przedziwnie uformowanych iglicach i szczelinach piaskowca, które wieńczyły ściany, ale dźwięki wydawały się tak ludzkie, że dreszcz przebiegł Shanowi po plecach. Studnia Łez.

–One wszystkie trafiają tutaj – szepnęła Jakli, pochylając

się na kierownicę, jakby mogła tym zmusić ciężarówkę do szybszej jazdy. – Dusze tych, którzy od niepamiętnych czasów ginęli na pustyni. Słabych, młodych, którzy nie mieli wskazówek,

nie mieli sił, żeby znaleźć drogę do następnego życia. Gromadzą się tutaj, popychane przez wiatr, na zawsze schwywane w pułapkę.

Shan spojrział na dziewczynę i poczuł się nieswojo.

–Masz na myśli dawne legendy – powiedział. A może to tylko pomyślał? Jego język wydawał się dziwnie gruby, usta tak suche, że nie mógł poruszyć wargami. Jakli nie była pewna, czy istotnie to tylko legendy. Lokesh, siedzący na skraju fotela, z twarzą przyciśniętą do szyby, zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości. Wiedział, że to nie legendy.

–Czujecie to? – jęknął stary Tybetańczyk głosem, jakiego Shan nigdy u niego nie słyszał, bezmiernie udręczonym. Lokesh zaczął przesuwac jedną dłonią paciorki różańca, drugą przycisnął do szyby, jakby chciał dosięgnąć zagubionych dusz. Nie nucił już wskazówek Osmana, ale mantrę, coraz głośniej i głośniej. Chciał, aby Bodhisattwa Współczucia dosłyszał go poprzez wycie wiatru, aby przybył i ocalił wszystkie pozostawione własnemu losowi dusze, te utracone w przeszłości i te, które miały zostać utracone obecnie.

Jakli nie kryła już strachu. Trzęsły jej się dłonie. Nad żlebem zaczęła snuć się cieniutka warstwa piasku, tworząc niesamowite ruchome sklepienie trzy metry nad ciężarówką. Dziewczyna jednak zawzięcie prowadziła dalej.

–Przygotuj go! – Wrzasnęła, przekrzykując narastający huk wiatru.

Shan spojrział na nią zdezorientowany, potem spostrzegł, że jego ręce zrozumiały ją same, zbliżając kompas do deski rozdzielczej. Zdesperowani mieli tylko jedną szansę: szybko przemknąć dystans dzielący ich od Piaskowej Góry, od miejsca, którego

nigdy nie widzieli i mogli go nawet nie rozpoznać, od miejsca, które mógł pogrzebać piach, nim do niego dotrą.

Czy kompas będzie działał podczas burzy? zastanawiał się. Czy skalne ściany nie zakłócą wskazań? Czy zagubione dusze, spragnione towarzystwa, nie obrócą igły w złą stronę?

Igła obracała się w tę i z powrotem jak szalona, dopóki nie uświadomił sobie, że to dlatego, iż trzęsą mu się ręce. Mocno ścisnął kompas i igła się uspokoiła.

Nagle piaskowe sklepienie obniżyło się, sięgając niemal dachu ciężarówki, po czym ściany zniknęły. Ciężarówka zadrżała, gdy uderzył w nią podmuch wiatru, i Jakli zmagala się przez chwilę z kierownicą, by ustawić wóz w kierunku, który wskazywało wyciągnięte ramię Shana. Shan zerknął na licznik. Musieli przebyć jeszcze tylko pięć kilometrów. Pięć kilometrów, by wyprzedzić burzę i uniknąć śmierci.

Głowa Jakli zaczęła odwracać się w stronę burzy.

–Nie! – krzyknął. – Nie patrz! – Nie chciał, żeby zobaczyła to, co on sam teraz widział, nie chciał, by dosięgła ją zgroza, która ogarnęła go, gdy patrzył na kłębowisko chmur. Burza pokrywała od zachodu całe niebo, a gigantyczna czarnozielona

paszcza sunęła, rozdziawiona, prosto na nich. Nie, spostrzegł, to nie burza pokrywała niebo, gdyż wszystko, ponad i pod nimi, przybrało tę samą przerażającą barwę. Nie było już nieba, nie było już ziemi. Cały świat utonął w chaosie kotłującego się piasku. Tak właśnie, odezwał się głos w zakamarku jego umysłu, czułby się człowiek czekający na falę przyływu na maleńkiej wysepce pośrodku oceanu.

Lokesh wykrzykiwał swoją mantrę głośniej niż kiedykolwiek, jak gdyby chciał przepłoszyć burzę.

–Jeszcze trzy kilometry! – Wykrzyknął Shan, zerkając na licznik. Ramię, wyciągnięte wciąż w kierunku, który wskazywała igła, bolało go z napięcia. Po policzku Jakli spłynęła łza. Dwa i pół kilometra. Może im się uda, może pokonają potwora. Dwa kilometry.

Nagle Jakli zaczęła szlochać i Shan uświadomił sobie, że wóz stoi. Pędzący wiatr dawał wrażenie ruchu, ale wielkie koła ciężarówki ugrzęzły w świeżo nawianym piasku i kręciły się bezużytecznie, obracając licznik. Potem silnik zakrzuszył się i zgasł.

Gdy mechaniczne odgłosy ucichły, słycać było tylko wycie wiatru. Ciężarówka kołysała się niczym łódka na wzburzonym morzu. Jakli patrzyła przez chwilę na kłębówisko za szybą i odwróciła się do Shana z dziwnym spokojem na twarzy.

–Możesz mi pożyczyć ten mały bloczek? – zapytała cicho.

Podał jej swój notes i ołówek, a ona szybko coś napisała, wyrwała stronę, włożyła ją do poszarpanej koperty, którą widział u niej w Obozie Chwały, po czym schowała kopertę pod koszulę, przy ciele.

Shan nie widział, co napisała, ani nie chciał tego widzieć. Ale pisząc, przyciskała ołówek tak mocno, że gdy ze smutnym uśmiechem oddawała mu notes, mimo woli spostrzegł odcisnięty wyraźnie ślad na czystej stronie. *Nie zostawaj tu, Nikki. Będę razem z tobą w pięknym kraju. Kocham cię* zapisała po angielsku i Shan zawstydził się, że to przeczytał.

–Moglibyśmy przebiec ten kawałek – powiedział. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że go ostrzegła. Takła Makan znaczy: jeśli tam pójdziesz, nigdy nie wrócisz.

Lokesh przestał recytować mantrę.

–Tylu dobrych ludzi jest tutaj – odezwała się Jakli głuchym głosem, wciąż z tym samym nikłym uśmiechem na twarzy. – Mnisi wojownicy. Kupcy z Jedwabnego Szlaku. Pielgrzymi. Nigdy nie sądziłam... –

Umilkła. Odchyliła się na oparcie fotela, przyglądając się małej strużce ziarenek piasku, która zaczęła wnikać do szoferki przez szczelinę w gumie uszczelniającej przednią szybę. Zaczęła nucić tybetańską pieśń. Shan słyszał ją już dawniej. Była bardzo stara, zwano ją pieśnią weselną duchów. Pieśń dla ukochanych rozdzielonych przez śmierć.

Patrzył na rozwartą paszczę burzy i ogarniało go dziwne uczucie, jak gdyby znajdował się nie tu, lecz gdzieś obok, obserwując tę scenę niczym widz. Otworzył notatnik na pustej stronie przy końcu. *Tusz rozlany na niebie*, zapisała jego dłoń, *wzbiera, by mnie zatopić*.

Przyglądał się, jak jego ręka wydziera kartkę z notesu i chowają do kieszeni. Nagle znów znalazł się tu i teraz.

–Nie! – krzyknął do burzy, odsuwając na bok tę część siebie, która była gotowa umrzeć. Nie zamierzał spędzić wieczności w Studni Łez. Drzwi pasażera znajdowały się po stronie osłoniętej

od wiatru. Przywiązał sobie worek do ręki, po czym otworzył drzwi i wysiadł. Piasek sięgał już niemal górnej krawędzi kół. Próbował odczytać wskazania kompasu, nie mógł jednak utrzymać go nieruchomo, postanowił więc kierować się z grubsza w stronę, w którą zwrócona była ciężarówka. Wiatr odepchnął go z powrotem po dwóch krokach. Ziarnka piasku kąsały w twarz jak stado szerszeni. Słyszał niegdyś opowieści o burzach tak gwałtownych, że piach zdierał ludziom żywcem skórę z twarzy, aż do kości. Przypomniawszy sobie posągi z Karaczuku. Być może tak właśnie skończy, jako ogryziony przez wiatr i piasek szkielet, ledwo rozpoznawalny cień istoty ludzkiej.

Coś wciskało mu się do nosa i ust. Chrząściło w zębach i miało smak soli. Uświadomił sobie z dziwnego oddalenia, jak gdyby przyglądał się komuś innemu, że upadł. Jego głowa, pulsująca bólem, znajdowała się tuż przy zderzaku ciężarówki. Dotknął jej ręką. Na dłoni pozostał wilgotny, czerwony ślad. Potem odkrył z lekkim zaskoczeniem, że jego nogi zniknęły. Nie, nie zniknęły, stwierdził po namyśle, po prostu przykryła je fala piasku sunąca w szybkim tempie wzdłuż karoserii wozu. Pół grobu. Czy istnieje coś takiego jak pół grobu? zastanawiał się smętnie. Z jego gardła wyrwał się dźwięk przypominający skrzek konającej żaby. Gwałtownie pokręcił głową.

–Nie! – krzyknął. – Gendun!

Wlókł się wzdłuż ciężarówki, dopóki nie namacał drzwi, i z wielkim wysiłkiem otworzył je na tyle, by wślizgnąć się do środka.

Lokesh nucił teraz razem z Jakli, nie mantrę, lecz pieśń weselną duchów, a Shan leżał, dysząc ciężko, na fotelu pasażera, i słuchał. Nagle w kabinie zapadła dziwna cisza.

–Przodkowie – szepnął Lokesh, zniżając głos nie z obawy, lecz z szacunku. – Przychodzą, by zabrać nas do Studni Łez. – Znów zaczął nucić, lecz w jego głosie pojawił się spokój. Gumowa uszczelka zaczęła się kruszyć, wyżarta przez wiatr, i kłęby piasku wtargnęły do kabiny. Ale Shan nie słyszał już wiatru. Wokół niego rozbrzmiewał chór cichych głosów, a on poznawał każdy z nich, głosy lamów, którzy ocalili jego duszę. Nie zmierzał do nowego życia. Powracał do dawnych wcieleń. „zez jego umysł przemknął obraz niczym senne marzenie.

Wędrował Jedwabnym Szlakiem i tracił cesarski skarb. Poczował zapach imbiru. Jego ojciec był blisko.

Potem usłyszał za sobą dziwny dźwięk, jakby śmiech. Zamrugał, żeby oczyścić oczy z piasku, i ujrzał jaśniejącą zachwytem twarz Lokesha.

–Zawsze miałem nadzieję, że to będzie właśnie tak – powiedział starzec. – Że będę ich widział, kiedy po mnie przyjdą.

I rzeczywiście, z paszczy burzy wylaniały się dwie spowite w czerń zjawy, bez twarzy, z ramionami wyciągniętymi w stronę ciężarówki, sięgającymi ku nim. Przodkowie przybywali, żeby zabrać ich dusze.

Jest wiele rodzajów piekieł, nauczali starzy Tybetańczycy, ale wszystkie wypełnia najbardziej nieprzenikniona czerń. Drobną, ledwo tłąca się iskra świadomości będąca wszystkim, co pozostało z Shana, przywarła do tej myśli. Jest wiele rodzajów piekieł, podobnie jak wiele rodzajów grzechów, ale najgorsze są zimne piekła, a to, do którego trafił Shan, było z pewnością najzimniejsze i najczarniejsze ze wszystkich.

Nie było nic, jedynie zimno i czerń, i cisza, w której mógł wciąż na nowo rozpamiętywać swe klęski. Opuścił dzieci, które teraz zginą. Opuścił Genduna, którego pochwyca i zmiażdżą pałkarze. Opuścił nadzorcę strumieni, który szczególnie wśród politycznych kapłanów, którzy go uwięzili.

Katusze nasilały się i słabły wraz z przyływami i odpływami jego świadomości. Kiedy odczuwał cokolwiek, odczuwał ból. A kiedy usiłował przywołać w myślach twarze, były to zawsze twarze martwych dzieci.

Raz coś miękkiego dotknęło jego głowy. Otworzywszy oczy, zobaczył rozmyty płomień i przez krótką chwilę zdawało mu się, że widzi pochylającą się nad nim kobietę o mądrych zielonych oczach. Jej twarz, oświetlona płomieniem, wydawała się zrobiona z delikatnej porcelany. Wiedział, że zawibrowałaby dźwięcznie, gdyby przeciągnął po niej palcem. Potem światło zgasło i na powrót pograżył się w swoim zimnym piekle.

Po pewnym czasie – czy były to godziny, dni, czy lata, nie umiał powiedzieć – zaczęły nawiedzać go także piękne wizje,

twarze świętych posągów, czasem jednego z licznych buddów, jakich oglądał w Tybecie, czasami Lao-tsy, który przed wiekami sam zaginął na zachodniej pustyni. Czasem zdawało mu się, że jest w wielkim karawanseraju na Jedwabnym Szlaku i słyszy wokół siebie ryki wielbłądów oraz wielojęzyczny gwar podnieconych głosów, potem skazywano go na śmierć za doprowadzenie do zagłady cesarskiej karawany i przywiązywano do słupa, by pociąć go na tysiące plasterków.

Raz śnił, że siedzi przed nim mężczyzna o jasnej skórze i przy świetle latarni czyta głębokim, niskim głosem z wielkiej księgi, a słowa, które czyta, są angielskie.

–Pawilon – mówił ów mężczyzna – pawilon Wielkiego Chana, gdzie przebywa jego dwór, jest tak wielki, że pomieścić może tysiąc rycerzy. Każda sala ma trzy kolumny z drogiego wonnego drzewa, bardzo pięknie rzeźbione i złocone. Od zewnątrz pokryte są całe skórami lwimi. Wnętrze wyścielone jest skórami gronostajów i soboli... – Słowa były obce, a jednak zdawały się znajome, jakby słyszał je już kiedyś, ale w innym języku, w innym życiu.

Jakie są fazy, usiłował sobie przypomnieć, fazy bardo, kiedy duch błąka się, póki nie odnajdzie ścieżki wiodącej do ponownych narodzin? Najpierw ignorancja, uparte trzymanie się złudzenia, że ciało wciąż żyje, potem uświadomienie sobie własnej śmierci – faza przebłyskującej rzeczywistości, jak nazywali to lamowie, kiedy niepewność i wspomnienia z poprzednich wcieleń mogły zwodzić zmarłego, odwlekając ostateczne zrozumienie, że ponowne narodziny są koniecznością.

Zapadł znów w mroczne, milczące piekło. Pośród omamów Poczł woń imbiru. Jego ojciec szedł przed nim w ciemnościach, podniecony, gdyż szli oglądać wschód słońca ze starej taoistycznej świątyni. Po drodze przyłączył się do nich miły starszy pan, Anglik, którego ojciec przedstawił jako profesora historii Chin. Potem ojciec przystanął, pytając, czy nie jest zmęczony. Poglaskał Shana po policzku. Jego dłoń była wilgotna. Była szorstka. Była cuchnąca.

Otworzył oczy i krzyknął z przerażenia. Srebrny wielbłąd lizał go po twarzy. Shan usiadł, przebudzony w swym starym ciele, a zwierzę przekrzywiło głowę i spojrzało na niego z nie dowierzaniem

w oczach. Shan z nieoczekiwaną radością uświadomił sobie, że skądś zna imię zwierzęcia: Sophie.

W wejściu ukazała się jakaś postać. Przystanęła na chwilę, po czym wybiegła, wołając z podnieceniem.

Chwilę później do pomieszczenia wpadła Jakli, a za nią Lokesh. Stary Tybetańczyk uklęknął i z szerokim uśmiechem na twarzy zacisnął wątlą dłoń na dłoni Shana. Jakli przytknęła wielką chochlę do jego warg i nalegała, żeby pił, łyk za łykiem.

–Jak? – Wychrypiał. Gardło miał wyschnięte na wiór.

Jakli i Lokesh zaczęli opowiadać jednocześnie, i powoli dotarło do niego, że to nie przodkowie przybyli po nich, lecz Marco i Deacon, owinięci w grube filcowe koce, przywiązani do Sophie, która leżała jak kotwica na szczycie najbliższej wydmy. Była to stara sztuczka pustynnych klanów. Kotwica musiała tkwić w najwyższym punkcie, gdzie wiatr dął najsilniej, gdyż w dole, w miejscach bardziej zacisznych, gromadził się piach, grzebiąc wszystko. Marco i Amerykanin wzięli ich pod swoje koce, po czym wrócili po linach do Sophie, gdzie czekali przez trzy godziny, kryjąc się za wielbłądzicą jak za wiatrochronem, cała piątka otulona kocami niczym gigantycznym kokonem. Gdy wycie wiatru ustało, wyjrzeli na zewnątrz i przekonali się, że otacza ich płaskie jak stół morze piasku, a najbliższa wydma oddalona jest o pół kilometra. Po ciężarówce nie było nawet śladu.

–Dziękujcie każde swemu bogu – powiedział Marco – że to było maleństwo, jedna ze słabszych burz.

Jakli poliała wodą szmatkę i otarła nią głowę Shana.

–Uderzyłeś się o zderzak ciężarówki – wyjaśniła. – Wstrząs mózgu.

–Jak długo? – zapytał zdezorientowany. Westchnęła, kręcąc głową.

–Prawie dwa dni. Tak mi przykro – odparła z bólem w oczach. Przez chwilę zastanawiał się, za co go przeprasza, wreszcie uświadomił sobie, że jej słowa znaczą, iż jest już o dzień za późno. Otworzył usta i wpatrzył się w nią tępo. Więc nie pojedzie do Nepalu i nie zacznie nowego życia, więc jednak nie spotka się ze starym profesorem.

–A to miejsce? – zapytał w końcu.

–To jest Piaskowa Góra. Marco był już tutaj. Osman wezwał go przez radio i powiedział, żeby nas wypatrywał z powodu burzy.

–Przez radio? – Wychrypiał Shan. Mimo że wypił mnóstwo wody, w dalszym ciągu czuł, że ma sucho w gardle.

Ale oni go nie słyszeli. Patrzyli na wejście, w którym pojawił się Marco, obok niego zaś szczupły mężczyzna o rudawozłotych włosach. Jacob Deacon.

–Czy wielki detektyw jest gotowy do rozmów?! – ryknął Eluosi z odległości dziesięciu metrów.

–Jest zbyt zmęczony – zaprotestowała Jakli.

–Wszystko w porządku – oświadczył Shan, wyciągając dłoń do Lokesha. Ale gdy zaczął wstawać, zakręciło mu się w głowie i padł na kolana.

Marco podszedł do jego posłania i stanął nad nim, głaszcząc Sophie po szyi.

–Niech odpocznie jeszcze parę godzin – powiedziała Jakli. –

Do popołudnia.

Marco niechętnie skinął głową.

–Skoro Sophie i Jakli mówią, żeby czekać, zaczekam. Ale tylko kilka godzin – powiedział i wyszedł.

–Do popołudnia? – zdziwił się Shan. – Przecież teraz jest noc.

–To jest pieczara – wyjaśniła Jakli. – Wodociąg. Kiedyś, dawno temu, był tu nawet klasztor.

–Wodociąg?

–Podziemny akwedukt. Karez. Kanały pod piaskiem sprowadzały wodę z gór, kiedy były tam jeszcze potężne lodowce.

Chińskie podręczniki twierdzą, że zbudowali je inżynierowie z Nankinu i Xianu, ale stare opowieści i mury mówią coś innego. Za czasów waszej dynastii Tang przybyli tu budowniczowie z Persji, którzy zbudowali je w zamian za drogie kamienie i owoce naszej ziemi. Przedstawiają to malowidła na ścianach.

Obok posłania leżała gruba, postrzępiona księga.

–Ktoś mi czytał – powiedział Shan. Podniósł ją. Było to angielskie wydanie *Opisania świata* Marca Polo.

–Ja – odparł Deacon. – To pomysł Nitki. Ona twierdzi, że to pomaga przywrócić uszkodzonemu mózgowi kontakt ze światem.

–Nitki?

Jakli uniosła palec do warg.

–Później będzie czas na wyjaśnienia. – Znów podała mu chochlę.

Shan napił się. Jego pragnienie wydawało się niezaspokojone.

–Czy woda wciąż jeszcze dociera tu z gór?

–Odrobina, akurat tyle, by utrzymać Piaskową Górę przy życiu.

–Ale ten system musi mieć tysiąc lat!

Jakli skinęła głową i delikatnie popchnęła go na posłanie.

–Teraz prześpij się jeszcze. Będziemy w pobliżu.

Ale gdy się obudził, nie było nikogo. Ostrożnie, uważając, by gwałtownym ruchem nie przywołać nowej fali bólu, podniósł stojący przy posłaniu gliniany kaganek i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu.

Mierzyło mniej więcej dwanaście metrów w każdą stronę. Dwie ściany zostały otynkowane i pokryte malowidłami przedstawiającymi groźnie wyglądających mężczyzn o niebieskich oczach, długich, rudawych włosach i kwadratowo przyciętych u dołu brodach. Ich twarze, nie wiedzieć czemu, przypominały mu Niyę, kobietę z plakatów. Mężczyźni przekazywali dary innym postaciom, za którymi stało stado koni, dziesiątki maleńkich, bo przedstawionych w mniejszej skali, koników. Wyjście z pomieszczenia prowadziło do tunelu, przy którym znajdowało się pół tuzina cel medytacyjnych. Zajrzał do jednej z nich i wycofał się szybko. Na podłodze spały dwie postacie okryte kocami z szorstkiego workowego płótna.

Tunel rozwidlał się. Po prawej stronie Shan dostrzegł światła i usłyszał kilka głosów. Ruszył w lewo i wkrótce dotarł do kolejnej wielkiej sali. Stała tam Sophie oraz dwa inne wielbłądy. Na pokrytej piaskiem podłodze za nimi widniała jasna plama, odbłask światła padającego z korytarza na drugim końcu pomieszczenia. Sophie przywitała go cichym parsknięciem, a on podrapał ją po szyi, po czym zagłębił się w biegnący łukiem tunel. Sześć metrów dalej wynurzył się z niego na jaskrawy blask słońca.

Oslaniając dłonią oczy, wyszedł na pustynię. Bezchmurne niebo miało barwę jasnego kobaltu. Szybko odkrył, że Piaskowa Góra jest potężną piaskowcową skałą, o wiele większą niż ta, która

skrywała świątynię w Karaczuku. Mogła mieć około sześćdziesięciu metrów wysokości i niemal osiemset metrów długości. W pobliżu wierzchołka wznosiły się ruiny dawnej wieży wartowniczej z ciosanych głazów. Shan zaczął wspinać się prowadzącą do wieży ścieżką. W połowie wysokości zatrzymał się i usiadł na skale, po czym przeciągnął się i odetchnął głęboko. Powietrze było czyste i przejrzyste, wolne od zapachu śmierci, który wypełniał je dwa dni wcześniej. Daleko na południu nad horyzontem ciągnęła się długa biała wstęga. Nie były to chmury, jak wiedział, ale wysokie szczyty Kunlunu, gdzie, w głębi jednej z gór, czekał Gendun.

Dwa dni, pomyślał. W ciągu dwóch dni zabójca mógł znaleźć kolejnego chłopca.

Gdy przez małą, ukrytą w cieniu szczelinę powrócił do środka, przy wejściu natknął się na Jakli. Dziewczyna siedziała pochylona nad drewnianą miską, szorując coś szczotką z mosiężnego drutu. Nie zauważyła go, dopóki nie ukląkł obok niej.

–Przepraszam – powiedziała, opuszczając szczotkę. – Powinnam była zabrać cię z powrotem do Senge Drak. Czekają na ciebie nowe życie. To moja wina.

–Myślę, że w czasie tej burzy – odezwał się po chwili, spoglądając przez szczelinę w stronę pustyni – wtedy, gdy ogarnęła nas czerń, zrezygnowałem z tamtego życia.

Uniosła wzrok i z powagą skinęła głową, jakby zrozumiała wszystko, jakby to był układ zawarty przez Shana z bóstwami pustyni, cena, jaką zapłacił, żeby zachować ich wszystkich przy życiu.

Pytającym gestem wskazał miskę. Dziewczyna westchnęła z irytacją, po czym potarła trzymany w dłoni przedmiot natłuszczoną szmatką i uniosła go, żeby Shan mógł mu się przyjrzeć.

–Medaliony cnoty – powiedziała. – Deacon odkrył je przy jednym z ołtarzy.

Shan zobaczył, że w misce leży kilkanaście takich przedmiotów, niektóre pokryte warstwą brudu, inne oczyszczone już, połyskujące jasno w świetle. Jakli trzymała ten, nad którym właśnie pracowała, w otwartej dłoni. Był to pięciocentymetrowy trapez z

brązu, lekko wygięty na końcach, w których przewiercono niewielkie otworki. Powierzchnię metalu pokrywały misterne ideogramy.

–Dla mnichów wojowników – wyjaśniła. – Znaleźliśmy wzmianki o tym w pewnych starych księgach. W naszych czasach żołnierze dostają medale za męstwo. Ale dawniej, w szeregach mnichów, męstwo uważane było za coś oczywistego. Dążono do cnoty. Być może jakiś wojownik poświęcił się za swych rodziców. Może poświęcił życie doskonaleniu się w łucznictwie. Może spędzał cały swój wolny od służby czas, spisując dziewięć milionów imion Buddy, albo dokonał wielkich czynów w imię prawdy. Ktoś taki w nagrodę otrzymywał od swego wodza medalion cnoty.

–One muszą mieć setki lat – zauważył Shan z podziwem w głosie.

–Pozostały po tybetańskich garnizonach, które tu stacjonowały. Jedenaście, może dwanaście wieków temu.

–Ich miejsce jest w muzeum.

Dziewczyna nieoczekiwanie zareagowała na te słowa wzburzeniem. Zaciśnęła dłoń na medalionie.

–Nie u komunistów – oświadczyła gwałtownie. – Cnoty nie można zamykać w muzeum – dodała już spokojniej.

–Nie – zgodził się Shan, sam nie wiedząc, co przez to rozumie. Ukłęknął i wyciągnął z miski dwa z odnowionych medalionów. Wszystkie już oczyszczone powiązane były parami woskowanym sznurkiem. Każdą parę tworzyły dwa identyczne medaliony. Komplet, który trzymał w ręce, składał się z dwóch prostokątów ozdobionych kwiatami lotosu. W misce dostrzegł też parę okrągłych medalionów z głową orła, i inną, z koniem w galopie.

–Ciocia Lau powiedziała mi kiedyś – dodała Jakli – że takie skarby nie należą do nikogo, że od czasu do czasu bywają powierzane nielicznym wybrańcom i znów przekazywane dalej, niczym siły natury.

Shan przypomniał sobie, że Lokesh użył podobnych słów, mówiąc o cnotcie.

–Ale dokąd trafiają takie rzeczy? – zapytał. Sięgnął do kieszeni i wymacał spoczywającą tam plakietkę, uświadamiając sobie nagle, że Lau miała wśród swoich rzeczy jeden ze starożytnych medalionów. Zaczął go wyciągać, żeby pokazać Jakli.

–To mieszkańcy pustyni decydują, jak korzystać z tego, co ona kryje – odezwał się po angielsku kobiecy głos na skraju cieni.

Shan wypuścił z palców medalion Lau i wyciągnął rękę z kieszeni.

–Nitka! – Wykrzyknęła Jakli na widok kobiety, która wynurzyła się z mroku. Nieznajoma miała czarne włosy splecione

z tyłu w długi warkocz, na nosie zaś grube okulary w czarnych oprawkach. Była starsza od Jakli i niższa, tak drobna, że zdawała się ginąć w obszernym zielonym kitlu, który miała na sobie. Był to kitel w rodzaju tych, jakie noszą lekarze albo pracownicy laboratoriów.

–I umarli chodzić będą – powiedziała kobieta, lekko uśmiechając się do Shana. Gdy podniósł się z klęczek, wyciągnęła do niego dłoń. – Bardzo się o pana martwiliśmy – dodała płynnie po mandaryńsku. – Abigail Deacon.

–Profesor antropologii kulturowej – rzucił po angielsku.

Miała mocny uścisk. Trzymając jego dłoń, wpatrywała się w niego z uwagą. Jej cera była z lekka oliwkowa, a oczy, choć błękitne, miały kształt migdałów, ślad azjatyckiego dziedzictwa.

–Shan Tao Yun – odpaliła Amerykanka. – Były wysoki urzędnik państwowy. Shan powoli skinął głową, zerkając na Jakli.

–Tak jest – przyznał. – Nie ma czasu na nic poza prawdą.

–Czy on zawsze jest taki poważny? – Abigail Deacon zwróciła się do Jakli, unosząc brwi.

Jakli uśmiechnęła się do Shana, który stał zakłopotany pomiędzy dwiema kobietami.

–Sophie liże go po twarzy – oznajmiła w odpowiedzi.

Amerykanka z namysłem pokiwała głową, jakby rozumiała tę uwagę, po czym przetarła okulary połą fartucha i uważnie przyjrzała się Shanowi.

–Jakli wspomniała, że przybywając tu, by nas ostrzec, straciłeś szansę na nowe życie.

Shan wzruszył ramionami.

–Na pewno wiem tylko to, że oszczędziłem sobie męczącej tygodniowej jazdy na platformie ciężarówki.

Amerykanka uśmiechnęła się.

–Możemy ci to zrekompensować przynajmniej zaproszeniem na obiad – powiedziała, po czym odwróciła się i zniknęła w mroku.

–W swojej lepiance w Karaczuku Deacon badał starą tkaninę – przypomniał sobie po chwili Shan. – Czy tym właśnie zajmuje się tu jego żona? – Przemilczał pytanie, które cisnęło mu się na usta. Co robił Deacon z ludzką nogą?

Jakli skinęła głową, szorując kolejny medalion.

–Abigail świetnie się zna na tkaninach. Dostrzega w nich rzeczy, których nie potrafi zobaczyć nikt inny.

–Dlaczego właśnie tu? Dlaczego w tak wielkiej tajemnicy?

–Tutaj są tkaniny. Na pustyni. W ruinach. Żle znoszą transport, lepiej więc je badać na miejscu.

–Ale są przecież zbiory w muzeach. W Lhasie. W Urumczy.

–Ona prowadzi dość specyficzne badania – stwierdziła enigmatycznie Jakli.

–Chcesz powiedzieć: polityczne – zasugerował Shan. Był zbity z tropu. Nie ulegało wątpliwości, że Amerykanie przebywali w Chinach bez zezwolenia. Z pewnością nie narażali się na schwytanie przez kogoś takiego jak Bao dla paru skrawków starożytnych tkanin.

Dziewczyna w milczeniu czyściła medalion.

–Co może być politycznego w tkaninach? – naciskał.

Zmarszczyła brwi, nie unosząc wzroku.

–Wysłano mnie tropem zaczynającym się od morderstw. Dotrę do jego końca jedynie wtedy, gdy zrozumiem wszystko, co napotykam po drodze.

Zirytowana zerknęła na niego spode łba, po czym przykryła miskę starym ręcznikiem i wstała, opierając ją o biodro. Poprowadziła go w głąb tunelu, minąwszy korytarz wiodący do pomieszczenia, w którym spał. Odsunęli zawieszony w przejściu gruby filcowy koc, potem drugą, lżejszą tkaninę, lepłą, jak gdyby jej zadaniem było wyłapywać kurz oraz latające owady, i znaleźli się w jasno oświetlonej sali wyglądającej jak skrzyżowanie laboratorium z biblioteką. Stało tam w dwóch rzędach osiem stołów, zwykłych desek na kozłach. Na jednym z nich, pod ścianą, spiętrzone mniejsze deski i podpórki, tworząc półki wypełnione dziesiątkami książek. Na dwóch stołach Shan ujrzał dwuokularowe

mikroskopy, takie jak ten, którego Jacob Deacon używał w Karaczuku. Przy jednym z nich leżał wysokiej klasy aparat fotograficzny. Wszędzie dookoła wały się torebki ze sztywnego przezroczystego plastiku, zawierające kawałki tkanin. Nad jednym z mikroskopów pochylał się łysiejący mężczyzna z kilkuniedniowym zarostem, robiąc coś ze skrawkiem materii dwoma metalowymi manipulatorami. Abigail Deacon siedziała przy komputerze obłożonym próbkami tkanin w podłużnych przezroczystych torebkach. Z rozpiętych pod sufitem przewodów zwisały gołe żarówki. Shan prześledził wzrokiem, dokąd prowadzą, i stwierdził, że do zespołu akumulatorów, większego, lecz poza tym identycznego z tym, który stanowił element układu zasilania słonecznego w Karaczuku.

Mężczyzna uniósł gwałtownie głowę. Mruknął coś ostrzegawczo i Abigail Deacon odwróciła się. Zmarszczyła brwi, nie tyle z gniewu, ile z irytacji, że jej przerwano. Odwróciła się do komputera, nacisnęła parę klawiszy, wyjęła z niego dyskietkę i włożyła ją do plastikowego etui. Shan naliczył na stole tuzin podobnych pudełek, wszystkie z dyskietkami. Powiedziała coś po kazachsku do łysawego mężczyzny, po czym zwróciła się do Shana.

–Mąż uprzedził mnie, że będziesz miał pytania. Mnóstwo pytań – westchnęła. Przez chwilę tarła oczy, a następnie podeszła do wielkiego termosu, z którego nalała herbatę do trzech kubków. Dwa postawiła na stole przy drugim mikroskopie. – Przepraszam – powiedziała. – Z krzesłami jest u nas krucho. Mamy tu tylko to, co najpotrzebniejsze. Proszę, weź moje – zaproponowała, wskazując stołek przy komputerze.

Shan pokręcił głową.

–Włada pani zarówno mandaryńskim, jak i językiem klanów – zauważył pytająco. Amerykanka skinęła głową.

–Moja babka była Kazaszką. Wyszła za mąż za amerykańskiego archeologa, który w początkach zeszłego stulecia przyjechał tu badać Jedwabny Szlak. Pielęgnowała znajomość tych języków w rodzinie.

Wzrok Shana spoczął na najbliższej torebce ze skrawkiem tkaniny paskiem nieregularnych, przypominających błyskawice

czerwonych, żółtych, brązowych i niebieskich linii. Materiał był wystrzępiony na brzegach i lekko podziurawiony, ale kolory były intensywne, a tkanina wyglądała na mocną.

–Szuka pani tkanin, pani Deacon – stwierdził niepewnie. – Dokumentuje pani typy tkanin.

–Nitka – powiedziała kobieta. Uśmiechnęła się, widząc zakłopotanie Shana. – Deacon to mój mąż. Ja nie jestem panią Deacon. Ani doktor Deacon. Ani Abigail. Po prostu Nitka, jak w tkaninie. Przewisko z uczelni. – Falującym ruchem dłoni zademonstrowała pracę krosien.

–Nitka – powtórzył powoli Shan.

Amerykanka uśmiechnęła się.

–Zanim zwróciliśmy uwagę na Takla Makan – zaczęła – tylko w jednym miejscu na świecie można było znaleźć godne uwagi próbki równie starych tkanin. W Egipcie. Było to ciąglą bolączką archeologów, gdyż oznaczało olbrzymią lukę w naszej wiedzy o starożytnych kulturach. Tkaniny odgrywają bardzo ważną rolę w życiu. Tkactwo zawsze stanowiło główną dziedzinę wytwórczości. W typowym starożytnym społeczeństwie produkcja tkanin pochłaniała więcej pracy niż produkcja żywności, i zawsze odzwierciedlała religię i kulturę. Analiza tkanin staroegipskich pozwala określić pozycję społeczną noszącej je osoby, jej zawód, czasem nawet to, jak często się myła.

–Ale egipskie znaleziska, o których mówisz, muszą mieć dwa, trzy tysiące lat – wtrącił Shan. Spojrzał znów na próbkę. – To wygląda na znacznie młodsze. – Wodząc wzrokiem po laboratorium, zwrócił uwagę na górną półkę z książkami. Jeden jej koniec opróżniono, by zrobić miejsce dla kilku klatek ze świerszczami. Rozpoznał je: bezcenne klatki Deacona z Karaczuku. Na innej półce dostrzegł stosy klinowatych drewnianych tabliczek.

–Datujemy metodą radiowęglową, używając drewnianych artefaktów znajdujących razem z próbkami tkanin. Szpilki do włosów, narzędzia. Drewniana biżuteria. Czasami drewniane listy – dodała, wskazując głową sterty tabliczek. Zwróciła uwagę Shana na najbliższej leżącej próbkę. – Ta jest mniej więcej z tysięcznego albo tysiąc dwusetnego roku.

–Dynastia Sung – powiedział Shan ze zdumieniem w głosie.

Amerykanka pokręciła głową.

–Z tysięcznego przed naszą erą. To wasza dynastia Shang.

Shan spojrział na nią z niedowierzaniem.

–Piasek. Suchy klimat. Jak w Egipcie – wyjaśniła. Popchnęła ku niemu inny skrawek, pokazując mu subtelny wzór: owieczki w kilku kolorach. – Lamówka szaty – powiedziała.

–Ale o czymś takim powinno być głośno – stwierdził Shan. – Nigdy nie słyszałem... – Urwał, zmieszany, gdy Jakli i Amerykanka wymieniły smutne spojrzenia.

–Te tkaniny i inne, które mamy, pochodzą z okresu obejmującego przeszło dwa tysiące lat – ciągnęła Nitka. – Nie mają nic wspólnego z terenami leżącymi na wschód od tego miejsca. Wiele wzorów jest zbieżnych z tymi, które spotyka się w Persji, nawet w Macedonii. A to... – wskazała na niebiesko-żółto-brązową kratę – ta próbka jest bliźniaczo podobna do fragmentów znajdujących w kopalniach soli na terenach obecnej Austrii, wykonanych przez przodków Celtów.

–Doktor Najan – dodała, wskazując głową łysiejącego mężczyznę przy mikroskopie – jest emerytowanym pracownikiem muzeum w Urumczy. Przeanalizował sploty kilku fragmentów i może opowiedzieć wam dokładnie, jak były zbudowane krosna, na których zostały utkane. Były to prymitywne krosna w rodzaju tych, jakie do dziś używane są w Turcji i w Afganistanie. – W jej oczach pojawił się błysk wyzwania. – Dowody są nie do obalenia. Kiedy je opublikujemy, będziemy mieli dość, żeby zapełnić pięć tomów.

Chiny Ludowe, Shan dobrze o tym wiedział, same stanowiły najdziwniejszą z tkanin, mozaikę narodów, kultur i dziejów, splecionych ze sobą i utrzymywanych razem za pomocą siły i doktryn. W partyjnych warsztatach opracowywano książki historyczne mające uprawomocnić tę mozaikę, a aneksję rozległych ziem Xinjiang i Tybetu uzasadniano oświadczeniami, że ludy zamieszkujące te tereny zawsze stanowiły część narodu chińskiego. Co parę miesięcy nagłówki gazet donosiły o kolejnych sponsorowanych przez Partię badaniach dowodzących wspólnych korzeni Chińczyków i Tybetańczyków, lub też Chińczyków i koczowników z Xinjiang. Oczkiem w głowie partyjnych bonzów był nieustający program badań chińskiego genomu, mający dowieść

naukowo, że Tybetańczycy i pozostałe mniejszości narodowe wywodzą się od Chińczyków. Shan wiedział o takich badaniach, znał nawet niektórych działających w Pekinie naukowców, gdyż ci sami uczeni pracowali niekiedy w zespołach medycyny sądowej. Na pierwszym miejscu stała doktryna, a nauka musiała być z nią zgodna. Nie różniło się to zbyt od jego własnej pracy w Pekinie, gdzie do każdego śledztwa przydzielano mu politycznego mentora i gdzie zdarzało się nawet, że inspektora, który sprzeciwił się doktrynie, oskarżano o przestępstwa, które sam tropił. Abigail Deacon zdawała się czytać w jego myślach.

–Partyjni naukowcy oświadczyli z wielką pompą, że Tybetańczycy i Chińczycy mają wspólnych 99,9 procent DNA – powiedziała z kwaśnym uśmiechem. – Tak samo jak Kazachowie

albo Ujgurzy. Zapomnieli tylko dodać, że Chińczycy mają 99,9 procent wspólnego DNA także z Nigeryjczykami, Indianami z Amazonki i szkockimi góralami. Bo tak się składa, że wszyscy należymy do tego samego gatunku.

Shan spoglądał w milczeniu to na Abigail Deacon, to na Jakli, to na doktora Najana, który patrzył teraz na niego wyzywającym wzrokiem, po czym uniósł swój kubek w salucie. Ich mrówcza praca służyła nauce. Tajemnica służyła ruchowi niepodległościowemu.

–Ta kobieta... – odezwał się, przypominając sobie plac w Yoktianie – kobieta na plakatach. Niya.

–Niya Gazuli? – zapytała Jakli. – To znaczy Piękność Niyi, od ruin starożytnej Niyi, gdzie została znaleziona. Na pustyni, niecałe trzysta kilometrów stąd. Jej zmumifikowane szczątki odkryto w odsłoniętym przez burzę grobie. Doktor Najan był w zespole poszukiwawczym. Żyła co najmniej dwa tysiące pięćset lat temu. Rude włosy. Szata ozdobiona sylwetkami koni i ptaków. I ani kropli chińskiej krwi w żyłach. Stała się symbolem, zewem bojowym. Plakaty. Pieśni. Matka Niya, która nauczyła nas, że władze kłamią. Władze przejęły kontrolę nad badaniami, gdy wieść o tym wydostała się na zewnątrz – dodała, zerkając znacząco na doktora Najana. – Od tamtej pory... – wzruszyła ramionami.

–Wiemy, że co najmniej raz – podjął opowieść Najan – władze skonfiskowały mumie i zniszczyły je. Teraz nadzór nad badaniami jest znacznie surowszy. Udział zagranicznych ekip jest podejrzany. Niektórzy naukowcy z Kazachstanu i Europy wygłaszali przemówienia i zostali potępieni przez Pekin jako wywrotowi agenci usiłujący wtrącać się do wewnętrznych spraw Chin. – Bao miał określenie na takich naukowców, przypomniał sobie Shan. Robactwo. Gnidy, które zamierzał zmiażdżyć.

–Ale Pekin nie ma żadnych praw do tych skarbów – wtrąciła Amerykanka. – Wiedza nie jest niczyją własnością. Nie należy ani do Amerykanów, ani do Europejczyków czy Chińczyków. Zabieramy małe próbki i zwracamy znaleziska pustyni, w miejscach, które znają tylko Kazachowie i Ujgurzy.

–Czy ktoś oprócz was działa w Xinjiang? – zapytał Shan, przypominając sobie stalowy pierścionek w kieszeni, gdzie trzymał go od owej nocy w Obozie Chwały. – Inni naukowcy z Ameryki?

Amerykanka ściągnęła brwi, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

–Prawdopodobnie. Słyszeliśmy plotki o innych. Kilka lat temu pewnego Niemca przyłapano na nielegalnych wykopaliskach z grupą ujgurskich kolegów. Zniknął, nigdy więcej o nim

nie słyszano, ani tu, ani w Niemczech. Teraz wszystko jest tajne, rozczłonkowane ze względów bezpieczeństwa. Wiemy tylko o własnych pracach – powiedziała.

Shan jeszcze raz spojrział na laboratorium, potem na dwoje naukowców, uginających się pod ciężarem prac i ryzyka. Bao zwęszył trop. Gdyby Amerykanie wpadli w jego ręce, nie czekała ich deportacja. Byli nielegalnymi przybyszami, niewidzialnymi dla biurokracji. Bao uznałby, że najlepiej usunąć ich bez śladu. Jak innego Amerykanina, który został pojmany przez pałkarzy i sprowadzony do Obozu Chwały.

Czy naprawdę zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa? – zastanawiał się. Ze zgrozą przypomniał sobie o specjalnych oddziałach pałkarzy z centrali. Sztylpy nie zjawiły się w Yoktianie z powodu zamordowanych chłopców lub zaginionej nauczycielki. Ich celem byli zagraniczni wywrotowcy. Mogli tu przylecieć helikopterem w każdej chwili – za godzinę, za minutę. Przyjrzał się odważnym naukowcom, którzy wrócili znów do swej pracy.

Jakli rozumiała to. Z pewnością Najan rozumiał to także. Gdyby pałkarze przybyli helikopterami, mieliby bomby paliwowe, które mogą wyssać z miejsca takiego jak to cały tlen. Mogliby zadać sobie trud i przyjść tu, by strzelić każdemu z nich w głowę. Lub mogliby po prostu zatkać pieczarę, skazując ich wszystkich na powolną śmierć. Odkrywszy Piaskową Górę, pałkarze mieliby do wyboru wiele rozwiązań, ale żadne z nich nie przewidywałoby uwięzienia.

–Wasz syn... – przypomniał sobie nagle. – Wasz syn jest tutaj – powiedział i natychmiast pożałował, że w jego głosie zabrzmiał niepokój.

Abigail Deacon spojrzała mu głęboko w oczy.

–O co chodzi? – zapytała po chwili.

–On jest tutaj, w Piaskowej Górze?

Amerykanka zerknęła na Jakli.

–Jest bezpieczny. Nie ma go tu, jest w górach Kunlun.

–Jak to? – zapytał Shan.

–U pasterzy. Lau to załatwiła, jakby był jedną z jej sierot. Jest u pewnej rodziny z pogranicza, widmowego klanu, jak je nazywała Lau. Twierdziła, że to dla niego najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem.

–Zheli? – Wykrztusiła Jakli. – Wasz syn jest z zheli?

Abigail Deacon nie wiedziała, uświadomił sobie ze ściśniętym sercem Shan, gdy Amerykanka spojrzała na nich zdezorientowana. Wysłała swego syna w góry, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Ale teraz mały Amerykanin znajdował się na liście skazanych na śmierć.

Rozdział jedenasty

Shan przycisnął palcem lewą skroń, w której znów odezwał się tępy, pulsujący ból. Nim zdążył coś powiedzieć, Jakli oparła mu dłoń na ramieniu i poprowadziła go ku pomieszczeniu, w którym się obudził.

–Oni muszą zrozumieć. Ich syn jest w poważnym niebezpieczeństwie – mamrotał zboląły, kiedy szli tunelem.

–Ci ludzie, którzy się nim opiekują, są czujni jak irbisy. Nikt ich nie zobaczy, jeżeli tego nie zechcą – odparła Jakli, ale nie brzmiało to zbyt przekonująco. Podała mu wody, zapaliła małą lampkę przy posłaniu, powiedziała, żeby zasnął, i zostawiła go samego.

Zasnął istotnie, a przynajmniej zdawało mu się, że zasnął, ale nie na długo. Przebudziły go dobiegające z tunelu dźwięki. Pulsujący ból nie minął, ale nieco zelżał. Shan podniósł glinianą lampkę i wstał. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym odstawił lampkę na podłogę. Jacyś ludzie rozmawiali w języku pasterzy. Nie mógł rozpoznać słów, ale ich głosy były nerwowe i natarczywe, jakby robili coś wymagającego pośpiechu.

Ruszył w stronę, z której dochodziły dźwięki. Ostrożnie wyjrzał zza narożnika przy wylocie tunelu prowadzącego do jego sypialni, kiedy dostrzegł dwóch mężczyzn w wełnianych kamizelkach i czapkach pasterzy, wnoszących coś do jednej z cel medytacyjnych. Trzeci, w takim samym stroju, trzymał jasną lampę naftową. Toból,

który taszczyli dwaj pierwsi, był długi i wąski. Nieśli go ostrożnie, jakby mógł się złamać.

Mężczyźni zniknęli w celi, po czym szybko z niej wyszli, już bez tobołu, i pobiegli korytarzem. Shan miał właśnie ruszyć ku celi, by zobaczyć, co przynieśli, gdy w tunelu znowu zamigotało światło. To Jacob Deacon nadchodził w towarzystwie doktora

Najana. Amerykanin dźwigał torbę podobną do lekarskiej. Najan, wciąż w fartuchu laboratoryjnym, niósł jasną latarkę na baterie. Rozmawiając ściszymi głosami, weszli do tej samej celi. Shan powoli przesunął się wzdłuż ściany, żeby mieć lepszy widok. Deacon, z wielką strzykawką w dłoni, klęczał przy zawiniętym w koc tłumoku, który zostawili pasterze. Wbił igłę przez otwór w kocu, wyciągnął strzykawkę i przekazał ją Najanowi, który podał mu następną. Amerykanin powtórzył całą procedurę, po czym obaj wstali szybko i wycofali się w mrok tunelu.

Shan uświadomił sobie, że podłużnym pakunkiem był człowiek, chory człowiek, który potrzebował pomocy, leków Amerykanina. Odczekawszy pięć minut, poszedł po swoją lampkę i wrócił pod celę. Przypomniał sobie, że tu właśnie widział poprzednim razem dwie śpiące postacie. Czy ci ludzie także byli chorzy? Być może były to ofiary karaburanu, jak on sam? Wszedł do celi i zobaczył leżące na podłodze trzy ściśle opatulone kształty.

Każdy zawinięty był w gruby koc, a pod głową, zamiast poduszki, miał mały rulon filcu. Na każdym kocu leżał starannie rozłożony haftowany szal, wygładzony tak, że wyraźnie widać było zdobiący go motyw skaczących koni i potężnych drzew. Ostrożnie, by nie obudzić śpiących, Shan podszedł do pierwszej postaci i oświetlił ją. Zamarł. Z jej twarzą było coś straszliwie nie tak. Nie miała nosa. Drżącą ręką zbliżył lampkę do samej głowy. Nie miała oczu. A oczodoły tego człowieka, uświadomił sobie, przyglądając się uważnie zmumifikowanej twarzy, były puste od setek lat. Piasek i suchy klimat działały konserwująco, powiedziała Abigail Deacon. Sądził, że mówi jedynie o tkaninach. Delikatnie rozchylił koc, odsłaniając brązowy strój, i zrozumiał, skąd brała próbki tkanin. Z szat pogrzebowych okrywających mumie z pustyni Takla Makan.

Odkąd minął pierwszy moment przerażenia, Shan nie odczuwał już żadnego strachu, żadnej odrazy. Szybko spojrzał na dwie pozostałe postacie, kobietę o długich brązowych włosach splecionych w dwa warkocze na modłę Niyi Gazuli, oraz mężczyznę zachowanego w tak znakomitym, tak kompletnym stanie, że w nikłym świetle wydawał się pogrążony we śnie. Mężczyzna był niezwykle, niczym gość z dawno zaginionego świata.

Skóra jego twarzy, choć wysuszona, była jasnego koloru, a jego gęste, długie, ciemne włosy miały wyraźnie rudawy odcień, podobnie jak jego rzadka broda. Sznur spleciony z wielobarwnej przędzy łączył jego nadgarstki, utrzymując długie delikatne palce w nabożnej pozycji. Mężczyzna ubrany był w grubą wełnianą koszulę z mankietami, których wzór przypomniał Shanowi oglądaną w laboratorium próbkę. Na nogach miał buty z cienkiej, być może jeleniej skóry oraz sięgające kolan filcowe getry.

Shan chciał już wyjść, żeby nie przyłapano go tutaj, a także by nie zakłócać już dłużej spokoju mumii, jednak coś go powstrzymało. Opadł na kolana obok brodatego mężczyzny i powolnym, niepewnym ruchem dotknął tkaniny jego rękawa. Być może ten człowiek był budowniczym Karaczuku, pomyślał z podnieceniem. Być może zerwał brzoskwinie i usiadł, by ją zjeść, w cieniu spoczywającego Buddy. Pogodna twarz martwego mężczyzny zdawała się kryć wielką mądrość, jak gdyby rzucała Shanowi wyzwanie, by ją przeniknął.

Nie wiedział, jak długo klęczał wpatrzony w mumie. Wreszcie do jego świadomości dotarła woń papierosowego dymu. Uniósł wzrok i ujrzał obok siebie doktora Najana.

–Więc poznałeś już naszych cichych współników – szepnął naukowiec.

–Jak to możliwe? Skąd...

–Wiemy, któredy przebiegały koryta wyschniętych rzek. Wszystkie dawne osady znajdowały się nad rzekami. Tam właśnie zawsze szukamy. Najstarsze cmentarzyska łatwo rozpoznać, ponieważ groby są wewnątrz kręgów z bali, budowanych jak mała forteca. Niekiedy silne burze odsłaniają takie kręgi. Jest paru starych Kazachów i Ujgurów, którzy znają pustynię i nie boją się na niej obozować nocą.

–Trzy mumie pozwoliły wam ustalić aż tyle?

–Trzy? To są tylko najnowsze znaleziska, odsłonięte przez karaburan. Zgromadziliśmy ich ponad pięćdziesiąt. Trzydzieści innych zbadaliśmy in situ.

–Trzymacie tu pięćdziesiąt mumii?

–Pobieramy próbki, robimy zdjęcia i filmy, po czym zwracamy je pustyni. Jeśli mamy wrażenie, że dotychczasowy grób stał

się znany szabrownikom, grzebiemy je w innym, ukrytym miejscu. – Gdy naukowiec wpatrywał się w trzy mumie, Shan dostrzegł w jego oczach dziwną, smutną dumę. – Mamy teksty, które odczytujemy nad nimi, by przeprosić za to, że zakłócamy ich spokój, by im powiedzieć, że nie zapomnieliśmy. Shan przypomniał sobie strzykawki Deacona.

–Pobieracie próbki tkanek – stwierdził. – Nie tylko tkanin.

–Jeśli to tylko możliwe. Jedynie małe próbki tkanek, żeby wysłać je do laboratoriów w Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii, które pomagają nam w tajemnicy. Potrzebujemy statystycznie znaczącego zestawu danych DNA. – Najan kucnął i oparł się o ścianę, patrząc na odsłoniętą przez Shana mumię. Na niego także działał ten czar. – Nie sądzimy, żeby oni mieli nam to za złe. Kiedy dokonaliśmy pierwszych znalezisk, był tu pewien Kazach, potomek dawnych mieszkańców Karaczuku. Wszedł do środka, sam, podczas gdy jego szary pies trzymał straż na zewnątrz. Wypowiedział nad zmarłymi właściwe słowa i wytłumaczył im wszystko. Powiedział potem, że przodkowie będą dumni, mogąc się przyczynić do tego, co robimy.

Shan uśmiechnął się. Znał człowieka, który przemawiał do zmarłych. Znał Osmana.

–To, czym się tu zajmujecie, jest bardzo niebezpieczne – odezwał się Shan po długim milczeniu. – Oni nazwaliby cię zdrajcą. Powiedzieliby, że kolaborujesz z cudzoziemcami na szkodę państwa. Masz rodzinę?

Na twarzy naukowca pojawił się smutny uśmiech.

–Pochodzę z ujurskiego klanu. Kiedy byłem mały, miałem stryjów, bardzo wielu. Kochałem swoich stryjów, ciotki i kuzynów. Stryjowie siadywali wokół ogniska, pili kumys i snuli opowieści o dziejach klanu, sięgające czasów wielkich chanów.

W dni świąt ścigaliśmy się na szybkich koniach i odprawialiśmy obrzędy liczące tysiąc lat. Oni uczyli mnie imion duchów, które opiekują się zwierzętami, uczyli mnie, jak układać orły.

–Orły?

–Orły myśliwskie. Mój klan słynął ze swych orłów do polowań. Były wychowywane od pisklęcia, jak członkowie rodziny. – Ujgur zaciągnął się głęboko papierosem. – Ale nie ma już stryjów i ciotek. Mam tylko jedno dziecko, ponieważ tak nakazały

władze. Moja córka dostanie od państwa pozwolenie tylko na jedno dziecko. Bez braci i sióstr nie ma już wujów i ciotek, nie ma kuzynów. Święta nie są już takie same, niektóre zupełnie popadają w zapomnienie. Moi stryjowie nie żyją. Nie ma już orłów myśliwskich. Nikt nie pamięta dawnych opowieści. Chyba robię to dla nich. – Najan zaciągnął się papierosem, po czym wskazał głową mumię brodatego mężczyzny. – Ten człowiek był czyimś stryjem.

Razem wrócili do tunelu. Najan pokazał Shanowi drugi szereg cel, w których spoczywało kilkanaście mumii. Były uporządkowane według wieku. W jednej z cel złożono mumie pochodzące z miejsca pochówku sprzed dwóch tysięcy lat, w innej jeszcze starsze, kompletne lub nie, gdyż w większości zachowały się jedynie fragmenty ciał – burze piaskowe i czas zrobiły swoje. W pierwszej celi, tej, w której siedzieli, rozmawiając, znajdowały się ciała ze znanego tybetańskiego miasta garnizonowego, pochodzące z końca pierwszego tysiąclecia.

–Początkowo byłem przerażony – wyznał Ujgur. – Teraz po prostu przychodzę tu czasem posiedzieć przy nich. Jestem pewien, że nie mieliby mi tego za złe.

–Wiesz coś o starych tabliczkach? – zapytał po chwili Shan.

Najan położył dłoń na dłoni i przesunął jedną po drugiej, jak gdyby otwierał jeden z drewnianych listów.

–O tekstach kharoszthi? Jasne. Po raz pierwszy odkryli je przed stu laty europejscy archeolodzy pracujący w ruinach Niyi. Tutaj, w Piaskowej Górze, znaleźliśmy ich całe stosy.

–Urząd Bezpieczeństwa wie o nich – powiedział mu Shan.

Ujgur wzruszył ramionami.

–Było pewne, że prędzej czy później się dowiedzą.

–Teraz szukają tropu, który by ich doprowadził do źródła, do buntowników współpracujących z cudzoziemcami. Major Bao sądzi, że Lau mogła mieć z nimi coś wspólnego.

–Ale Lau zamilkła na zawsze.

Z wyjątkiem, pomyślał gorzko Shan, ostatnich minut swego życia, kiedy bez wątpienia mówiła, omroczone narkotykami i bólem. Teraz wydawało się bardziej pewne niż kiedykolwiek, że to właśnie było sekretem, o który chodziło zabójcy, że Bao prowadził niepowstrzymaną krwiożerczą kampanię, by zdemaskować

dysydentów i ich zagranicznych współpracowników. A jeśli tak, major nie ścigał wszystkich dzieci z zheli, lecz tylko chłopców, tropiąc ich i mordując, ponieważ to chłopiec z zheli o imieniu Micah stanowił trop prowadzący do amerykańskiego naukowca.

–Bao wspominał o Instytucie Starożytności.

Najan dopalił papierosa i uśmiechnął się gorzko.

–Próbowali nakłonić mnie kiedyś do pracy dla nich. Chcieli,

abym udowodnił światu, że kharoszthi jest w rzeczywistości formą pradawnej chińszczyzny. To nie są naukowcy, to agenci propagandowi zajmujący się fabrykowaniem mitów. Twierdzili

w gazetach, że Niya Gazuli to falsyfikat sprokurowany przez zagranicznych wywrotowców. Dowodziliby, że jaskiniowcy w Afryce jedli pałeczkami, gdyby tylko sądzili, że znajdzie się ktoś, kto w to uwierzy. – Pokręcił ze smutkiem głową i pożegnawszy Shana lekkim ukłonem, odszedł w stronę laboratorium.

Wróciwszy do celi z tysiącletnimi buddystami, Shan zastał tam nowego gościa. Lokesh przyniósł kilka lampek i odsłonił twarze wszystkich mumii. Recytował mantrę za dusze, pomyślał Shan w pierwszej chwili, potem jednak spostrzegł radość w oczach przyjaciela. To było święto, nie rytuał żałobny.

Shan usiadł naprzeciw Lokesha, po drugiej stronie mumii mężczyzny z ciemnorudą brodą. Mężczyzna miał na szyi łańcuch, na którym zawieszona było gau, spoczywające teraz na jego piersi. Ubrany był w grubą kamizelkę z małą kieszenią, z której wystawał służący mu niegdyś za kubek krowi róg.

Lokesh z szerokim uśmiechem uniósł wzrok.

–Czekał tysiąc lat, żebyśmy mogli się z nim spotkać.

Shan zaczął mówić, że dusza mężczyzny dawno już odeszła, wiedział jednak, że jego przyjaciel rozumie to lepiej niż on. Lokesh nie składał hołdu duszom, które mogły przejść reinkarnację dwadzieścia razy od czasu, gdy opuściły te kruche ciała. Jego zachwyty budziło po prostu to, że ci ludzie byli tak rzeczywiści. Gdyby ów człowiek w tej chwili poruszył się i usiadł, Shan by nie uciekł. Chętnie uściskałby mu rękę.

–Zajrzyj pod koc, Xiao Shan – powiedział z podnieceniem

Lokesh, unosząc róg filcu okrywającego dolną część ciała mężczyzny. – Wiem, kim on jest.

Shan niepewnie spojrział na przyjaciela, po czym znów przeniósł wzrok na mumię.
–Nie rozumiem.

–Chcę powiedzieć, że wiem, że był człowiekiem sprawiedliwym. Był człowiekiem, który cierpiał i nie buntował się przeciwko cierpieniu. Był człowiekiem, który rozumiał sprawy, które my rozumiemy. Spójrz.

Gdy Lokesh uniósł filc, Shan spostrzegł opleciony wokół z mumifikowanego nadgarstka sznurek paciorków. Buddyjski różaniec. Lokesh odsunął koc jeszcze dalej i wskazał na dwa grube prostokątne przedmioty zaopatrzone w paski ze splekanej skóry i przytroczone na wysokości bioder mężczyzny, gdzie, wyciągnąwszy ręce, mógłby ich dosięgnąć. Były to używane przez pielgrzymów gładkie drewniane klocki chroniące dłonie podczas codziennych dziesięciu tysięcy pokłonów twarzą do ziemi. Shan widział identyczne u tybetańskich pielgrzymów na świętej drodze Balkhor w Lhasie. Z pozycji stojącej opadali na klęczki, po czym opierali dłonie na ziemi i kładli się płasko, recytując mantrę, następnie wstawali, robili krok do przodu i powtarzali wszystko od początku.

–Na klockach są napisy – wyjaśnił Lokesh. – Tybetańskie, w dawnym stylu. Przeczytałem je. Opowiadają jego historię. Ten człowiek – ciągnął drżącym ze wzruszenia głosem – szedł na górę Kailas. – Było to, jak wiedział Shan, najświętsze miejsce w Tybecie, potężny szczyt na skraju Himalajów. Pierwsza z gór, jak nazywali ją Tybetańczycy. – Zamierzał zostawić te

klocki na szczycie po okrążeniu go w pokłonach, jako ofiarę dla duszy swojej córki, która zginęła, gdy spadła z konia, i swojej żony, która umarła, rodząc jego córkę.

Lokesh spojrział na Shana i westchnął. Coś się zdarzyło, coś zatrzymało tego człowieka setki mil od celu podróży.

–Szedł z daleka – ciągnął z podziwem w głosie. – Tekst na klockach mówi, że jego domem był Loulan, jedno z dawnych, nie istniejących już miast na wschodnim skraju pustyni. Przebył niemal połowę drogi.

Być może powstrzymała go burza piaskowa, pomyślał Shan, albo zabójczy mróz pustynnej zimy. Być może była to strzała bandyty. Albo chiński żołnierz.

Przez kilka minut siedzieli w skupieniu, bez słów. Z ust Lokesha wyrwał się tylko od czasu do czasu smętny jęk.

–Ty także to czujesz, przyjacielu? – zapytał wreszcie. – Mam wrażenie, że jakaś częśćka mnie nagle zbudziła się do życia. – Starzec z wysiłkiem szukał odpowiednich słów. – Można by pomyśleć, że kiedy składano ich w ziemi, ci ludzie zastanawiali się, czy świat przetrwa, czy wciąż będą na nim ludzie tacy jak my. Pomimo wszystkich cierpień, wojen, głodu, burz piaskowych, prześladowań. A teraz wynurzyli się, by się przekonać.

Znów zamilkli, w przedziwnej wspólnocie z tysiącletnim buddystą. Nagle Lokesh drgnął, jakby naszła go jakaś myśl. Uniósł wzrok na Shana.

–Gdybym wiedział – rzekł z powagą – gdybym tylko wiedział, że za tysiąc lat inny człowiek wyciągnie rękę i dotknie mnie w taki sposób, niczym ogniwo w łańcuchu dobrych dusz,

gotów byłbym położyć się i umrzeć natychmiast.

Shan przypomniał sobie, co Lokesh powiedział na Senge Drak. Być może jedynym sensem ludzkiego życia jest pielęgnować cnotę i przekazywać ją innym.

Gdy słońce zaszło, zasiedli do posiłku na dworze, przy małym palenisku. Deacon wstawił do niego kanister benzyny, który posłużył za piecyk. Jego żona zrobiła płaskie placki z gryczanej mąki, po czym usmażyła razem zawartość puszek, które Deacon uroczyście wyciągnął z głębin plecaka. Pędy bambusa, kielki fasoli, nawet ananas, wszystko wylądowało na tej samej patelni, jako nadzienie dla gryczanych placków.

Shan rzucił się na jedzenie jak wilk.

–A więc miałeś audiencję u Nefrytowej Dziwki – zagadnął go Marco, siadając obok niego na płaskim kamieniu. Nie mieli talerzy, krzesel ani stołów – nic, uświadomił sobie Shan, czego nie dałoby się wnieść szybko do środka, gdyby nadleciał helikopter. Między jednym kęsem a drugim Shan zrelacjonował, co mówiła i co robiła Xu, gdy był u niej w gabinecie.

–Dlaczego wzięła cię za wysłannika z Pekinu? – zapytała Abigail Deacon.

–Posłuchaj, jak on mówi, kobieto – wtrącił Marco. – Ma pekiński akcent.

–To też – zgodził się Shan – ale przede wszystkim dlatego, że spodziewała się kogoś z Pekinu. Z centrali Urzędu Bezpieczeństwa.

–Rezerwacje dla sztylp w Obozie Chwały – mruknął doktor Najan.

Shan spojrzał na niego, zastanawiając się, jakie wnioski wyciągnąć z jego słów.

–Masz przyjaciół, którzy czuwają nad tobą – domyślił się. –

Przyjaciół z przenośnymi komputerami.

Ujgur poważnie skinął głową.

–Dzielnych przyjaciół. Nazywają się Mao.

–Xu miała w gabinecie dowody – oświadczył Shan. – Rzeczy Lau, ze szkoły.

–Ale Xu sądzi, że Lau utonęła – odparł Marco.

–Prokuratorka patrzyła na dowody – przyznał Shan. – Powiadomienie, że nie zgłosiła się w szkole. Koń na szlaku. Kurtka. I jej dowód tożsamości.

–Dowód tożsamości?! – Wykrzyknęła z niepokojem Jakli. – My nigdy...

–Urząd Bezpieczeństwa zgłosił, że przekazano mu je w tym samym dniu, w którym znaleziono kurtkę. Wydobyte z błota na brzegu rzeki w pobliżu Yoktianu.

–Kto je dostarczył?

–Porucznik Sui.

–To robota zabójcy! – rzuciła Jakli. – Morderca Lau podrzucił papiery Sui, żeby zakończyć sprawę.

–Może to Sui był zabójcą – stwierdził ponuro Marco. – Widziałem go na koniu. Był niezłym jeźdźcem.

–Niemożliwe – sprzeciwiła się Jakli. – W Karaczuku roiłoby się już od pałkarzy, gdyby on odkrył, co się tam dzieje.

–Niekoniecznie, jeżeli był sam – podsunął Shan – w tajnej misji. Sui albo ktoś taki jak on. Xu sądziła, że w Yoktianie działają agenci pałkarzy – przypomniał im.

–Tajna misja, by zabić nauczycielkę? – zdziwił się Deacon.

–Tajna misja, by zabić tybetańską mniszkę – sprostował Shan.

–Mniszka, która została nauczycielką – odezwała się Jakli. – Na terenach nadgranicznych to nic niezwykłego. – Powiedziała to niepewnie, jak gdyby chciała przekonać samą siebie. – Żyje tu więcej Tybetańczyków, niż mogłoby się wydawać, ale kamuflują się, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. I mają po temu powody.

–Niektórzy mogą zostawić swoją przeszłość za sobą – powiedział Shan. – Niektórzy nie. Nie chodziło zresztą o jej przeszłość jako taką. Być może jakiś fakt z jej przeszłości sprawił, że pałkarze zainteresowali się zheli, uznając, że to trop mogący prowadzić do czegoś, czego szukali już wcześniej. Czego szukały sztylpy – dodał niemal szeptem.

Na chwilę zapadła głucha cisza. Nikomu nie trzeba było wyjaśniać, czego szukały sztylpy. Przyglądali się, jak szkarłatna łuna, resztką dnia, blaknie, staje się różowa, złota, a wreszcie szara. Amerykanka wstała i usiadła na piasku przed mężem, który zaczął masować jej ramiona.

–Trzej chłopcy nie żyją – oświadczył ponuro Marco.

–Micah jest tam – odezwała się Abigail. W jej głosie pojawił się niepokój.

–Nic mu nie grozi, Nitko – odparł uspokajająco Deacon. – On jest wysoko w górach. Nietykalny. Niedługo pełnia i znów będziemy razem. Urządzimy koncert.

Nitka objęła ramieniem jego nogę.

–Ty i twoje cholerne świerszcze – powiedziała. – Kiedy wrócimy do kraju, Micah gotów zapełnić sypialnię tym robactwem.

–To dobre towarzystwo. Mądrzejsze niż ryby – zażartował Deacon. – I przynoszą szczęście.

Abigail parsknęła cichym, zaraźliwym śmiechem.

–Mój ojciec któregoś lata nałapał świerszczy – wyjaśniła. –

Używał ich jako przynęty na ryby. – Deacon, który najwyraźniej znał już tę historię, usiłował zakryć jej usta, ona jednak figlarnym gestem odtrąciła jego dłonie.

– Matka ich nie cierpiała, ale pozwalała mu je trzymać, byle tylko poza domem.

Pewnego dnia, biorąc prysznic, ojciec zostawił puszkę ze świerszczami w sypialni i zapomniał o nich. Parę dni później wkłada bieliznę, a ona rozpada się na strzępy.

Sztuka po sztuce, wszystko pełne dziur wyjedzonych przez świerszcze. Nie przyznał się do tego ani słowem.

Ale tego samego dnia wyrzucił wszystkie świerszcze.

–Widzisz? – Marco wybuchnął śmiechem. – Szczęście. Przy
niosły szczęście twojej matce.

Roześmiali się, wszyscy, nawet Shan wydał z siebie coś w rodzaju śmiechu.

Marco opowiedział im, jak to oswojona wiewiórka zrobiła sobie gniazdo w jedynej
ocalałej z Rosji sukni jego matki, i znów parsknęli śmiechem. Jakli wspomniała, jak
Nikki złapał kiedyś dla niej mysz albinoskę, a ta, zanim doniósł ją do obozowiska,
urodziła w jego kieszeni pięć maleńkich różowych myszek. Doktor Najan mówił o
oswojonej wiewiórce ziemnej, która stale odgryzała guziki od ubrań jego matki i
zabierała je do swojego pudełka jak jakieś skarby.

Słuchając tych opowieści, Shan poczuł, że coś ściska go za gardło i ogarnia go
jakieś dziwne uczucie. Co się stało? Ci ludzie byli szczęśliwi, a on cieszył się ich
radością. Ale chodziło o coś jeszcze. Coś, co robili, dosięgło pewnego miejsca w
jego wnętrzu, pustego miejsca, kolejnej z sal, które stały opuszczone tak długo, że
już nie wiedział, jak je otworzyć. Ale kiedyś to miejsce było pełne. W końcu, z nagłym
wzruszeniem, przypomniał sobie, co je niegdyś wypełniało. To była rodzina, to była
bliskość, dzięki której rozmawiali tak otwarcie i śmiali się tak ochoczo, bliskość, z
jaką Marco i Amerykanie, a nawet Jakli, dzielili drobne osobiste wspomnienia.
Kiedyś, dawno temu, Shan był tak blisko z ojcem i matką, ale nigdy z żoną, nigdy z
synem.

–A co z tobą, inspektorze? – zapytał nagle wesołym tonem

Marco. – Miałeś kiedyś zwierzaka?

Minęła chwila, nim sobie uświadomił, że Eluosi zwraca się do niego. Spojrzał na
wydmy, upstrzone plamami cienia niczym falujące morze. Długo milczał,
przeszukując zapomnianą salę, ale oni wszyscy czekali cierpliwie.

–Nie miałem – usłyszał swój głos, cichy jak szept. – W Chinach mojego
dzieciństwa nie starczało jedzenia, żeby napęlić

własny żołądek, a co dopiero nakarmić zwierzaka. Ale kiedy byłem mały,
chodziliśmy z ojcem nad rzekę i przyglądaliśmy się

światu. Jesienią rolnicy z głębi lądu prowadzili wodą kaczki na
targ. Tysiące kaczek. Przycinali im skrzydła i zaganiali je w dół

rzeki jak olbrzymie stada wodnych owiec, pasterze w sampanach,

ubrani w czarne koszule i słomiane kapelusze. Kiedyś rozplakałem się, bo uświadomiłem sobie, że wszystkie te kaczki zostaną zabite i zjedzone. – Westchnął i spojrzał na gwiazdy. – Ojciec powiedział, żebym się nie smucił, bo dla kaczki to wielka przygoda płynąć setki mil w świat. Powiedział, że kaczki płynęłyby chętnie, nawet gdyby wiedziały, co je czeka. Potem z poważną miną rozejrzał się dookoła, by się upewnić, że nikt nie słucha, i zdradził mi wielki sekret: że czasami kaczki uciekały i docierały aż do morza, gdzie stawały się słynnymi kaczkami piratami.

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie roześmiał. Shan spojrzał na Marca, który tylko kiwał głową zapatrzony gdzieś daleko, jak gdyby wiedział wszystko o kaczkach piratach.

–Od tego czasu – ciągnął Shan – ilekroć szliśmy nad rzekę, braliśmy ze sobą papier, laseczki tuszu i pędzle. Czasami pisaliśmy wiersze, o tym, jak wspaniała i potężna jest rzeka i jak wygląda księżyc, kiedy wznosi się nad srebrną wodę. Niekiedy były to po prostu wskazówki, jak dotrzeć do morza. Potem robiliśmy

z papieru małe łódeczki i puszczaliśmy je w środek kaczyc stad.

Patrzyli w gwiazdy. Po paru minutach Marco zaczął wskazywać gwiazdozbiory i wyzwał Amerykanów, by podali ich angielskie nazwy. Północny Korzec rozpoznali natychmiast jako Wielki Wóz, a Białego Tygrysa jako Oriona. Gra ciągnęła się dalej w przyjaznym nastroju. Brama okazała się Kasjopeą, a Błękitny Smok Strzelcem.

Lokesh odszedł od nich i usiadł na piasku pięć metrów dalej, zwrócony twarzą w mrok. Wydawało się, że patrzy na coś. Shan spróbował określić kierunek. Jego przyjaciel spoglądał w stronę Studni Łez. Słyszał tam głosy zagubionych dusz.

–Xu ma akta Amerykanów – odezwał się nagle Shan. Nie miał ochoty psuć nastroju, ale prędzej czy później musiał o tym powiedzieć. Wszyscy zastygli, przyglądając mu się z napięciem. – Listę grup przyjeżdżających do Yoktianu. – Spojrzał na Abigail Deacon. – Tam jest twoje nazwisko. Wzruszyła ramionami.

–Byłam na delegacji. W grupie naukowców, która chciała zobaczyć ruiny miast targowych Jedwabnego Szlaku. Śladami Marca Polo, jak to nazwali.

–Ale tylko jedno nazwisko na liście było zakreślone kółkiem. Twoje.

Amerykanka spojrzała na niego niepewnie, niemal z urazą, jakby jej coś zarzucił.

–Mogły być dziesiątki powodów, Nitko – uspokoił ją mąż. – Twój samolot przyleciał z opóźnieniem.

–Otóż to – potwierdził doktor Najan. – Musieli ci załatwić samochód, żebyś mogła dogonić grupę. To właśnie wtedy się poznaliśmy, w dniu, w którym do nas dołączyłaś. Nitka wciąż chciała robić coś, czego nie było w planie podróży. Prosiła o przewodnika, żeby zabrał ją do jednej ze starych wież strażniczych w górach. Prosiła o inne jedzenie. – Spojrzał karcąco na Shana. – Więc zakreślili jej nazwisko. Powodów mogło być mnóstwo.

–Mnóstwo – zgodził się Shan bez przekonania. Mnóstwo dobrych powodów. I mnóstwo złych. Przyjrzał się Najanowi i Deaconom. Na tej maleńkiej placówce, tak oddaleni od świata, tak zaprzątnięci swoimi poszukiwaniami, łatwo mogli zapomnieć o złych powodach. O powodach zainteresowania безпеki. O powodach zainteresowania prokuratury.

–Zabójca zdążył już pewnie zaszyć się daleko stąd – zauważył Marco. – Wie, że po zamordowaniu Sui pałkarze będą wściekli.

–Nie – odparł Shan, wyciągając z kieszeni listę nazwisk, którą Jakli zabrała z gabinetu Lau. – Zabił trzeciego chłopca – przypomniał im. – On ma plan. – Podał listę Deaconowi, który wyciągnął małą latarkę. Jego żona przytrzymała kartkę, a on skierował na papier snop światła. Pozostali skupili się dookoła.

–Dwadzieścia trzy nazwiska – wyjaśnił Shan. – Zheli. Wykaz pochodzi z rejestrów szkolnych. Oficjalna lista uczestników. Dostępna dla każdego. Kto chciał, mógł ją wydrukować

z dowolnego rządowego komputera w Urumczy, Lhasie albo w Pekinie. Jedenaście dziewczynek. Dwunastu chłopców, z tego dziewięciu żyjących. Pierwszy zginął Suwan... – Shan wskazał palcem nazwisko pośrodku listy, potem dwa inne. – Drugi był Alta, trzeci Kublai.

–Ale nie ma w tym żadnej logiki, nie da się rozgryźć, co myśli zabójca – powiedział Marco.

–Nieprawda. – Shan wyciągnął z kieszeni ołówek i sięgnąwszy po kartkę, podał jedno i drugie Jakli. – Wykreśl dziewczynki – powiedział.

Przejrzała listę i szybko przeciągnęła ołówkiem po jedenastu nazwiskach.

–Teraz zaznacz Suwana – powiedział, a ona postawiła X przy nazwisku chłopca. – I chłopca od dropków... – Jakli zrobiła kolejny znak. – I Kublaia. – Postawiła trzeci znak i zwróciła kartkę Amerykance.

Pierwszy X znajdował się na środku strony. Następne dwa widniały przy pierwszych dwóch nazwiskach chłopców.

–To ma być ta wielka logika? – zapytał sceptycznie Marco, jakby za nic miał odkrycie Shana. – Po prostu posuwać się w dół listy?

–Namierzył Suwana, a gdy się okazało, że Suwan nie ma tego, czego szukał, zaczął od początku listy.

Abigail Deacon wydała stłumiony okrzyk i ścisnęła mocno nogę męża.

–Micah! – Wykrzyknęła z trwogą, wskazując nazwisko w połowie wykazu. Czwarty chłopiec od góry. Następnym chłopcem po Kublaiu był niejaki Batu, potem Micah Karaczuk.

–Nie możecie pognać do niego – ostrzegł Marco, przyglądając się Amerykanom. – Możliwe, że pałkarze właśnie na to czekają. Oni mają wszystko na oku. Przypuszczam, że to dlatego nic nie zrobili po zamordowaniu Sui. Bo liczą na to, że wyjdziecie z ukrycia. Za bardzo rzucacie się w oczy. Zauważono by was w górach, doniesiono by o tym. Tak więc Micah... – Marco wzruszył ramionami. – Dla jego dobra powinniście zostać tu, gdzie jesteście.

Deacon skinął głową.

–Wymyśliliśmy nazwisko – powiedział niemal szeptem, wpatrując się w listę, po czym zaczął tłumaczyć, dlaczego postanowili powierzyć swego syna Lau. Wkrótce po przybyciu na pustynię stało się jasne, że ich jaskinia w Piaskowej Górze nie jest odpowiednim miejscem dla dziesięciolatka. Wiosną, pod czas końskiego święta, Micah spotkał się z niektórymi dziećmi z zheli, między innymi z Khitaiem. Mówił po mandaryńsku, jak większość z nich, i szybko nauczył się kazachskiego na tyle,

żeby sobie poradzić. Uwielbiał zwierzęta. Zheli było doskonałym rozwiązaniem. Miał być pod dobrą opieką, strzeżony przez Lau i koczowników. – Poza tym – dodał Deacon, próbując poprawić nastrój żony – to niesforny szczeniak, więc uznaliśmy, że dyscyplina obozu owczarzy dobrze mu zrobi. On to uwielbia. Dotąd był już u czterech różnych rodzin.

–Lau wiedziała o tym? – zapytał Shan.

–Sama podsunęła ten pomysł. Ale trzymała to w tajemnicy przed innymi. Tak więc Micah był po prostu małym Kazachem z odległej części Xinjiang. W zheli było kilkoro dzieci, które mówiły tylko po mandaryńsku, bo wychowywały się w państwowych szkołach, toteż jego nieznaną języka klanów nie wydawała się nikomu podejrzana.

–Więc żadne z dzieci nic nie wiedziało? – zapytał Shan.

–Takie było założenie. Ale wiesz, jacy są dziesięcioletni chłopcy. Miesiąc temu Lau powiedziała nam, że Micah przechwalał się swoimi rodzicami, potem w klasie puścił w obieg słoik amerykańskiego masła orzechowego. Nie mieliśmy pojęcia, że go zabrał. Później, kiedy poszedłem się z nim spotkać, zaskoczył mnie trójką swoich przyjaciół. Kazał mi obiecać, że przyjdę na któreś z zajęć tuż przed naszym odjazdem z Xinjiang, żeby opowiedzieć o naszych odkryciach.

Shan przyjrzał mu się. Amerykanie zamierzali niedługo odjechać. Czy zabójca chłopców dowiedział się o tym i to zmusiło go do desperackiego posunięcia?

–Micah znalazł tu paru dobrych przyjaciół, lepszych, niż miał w Ameryce – dodała matka chłopca. – Szczególnie Khitaia. Prosił, żeby Khitai mógł przyjść na nasz księżycowy festiwal, posłuchać grajków. – W jej głosie nie było już strachu, co pocieszyło Shana. Uznała, że jej syn jest bezpieczny.

–Kamienne Jezioro – powiedział Deacon. – Następne dwa zajęcia są przy Kamiennym Jeziorze. Lau zawsze zabierała tam dzieci jesienią.

–O ile przyjdzie – wtrąciła Jakli. – Rozesłano ostrzeżenia. Część dzieci być może pozostanie ukryta w górach.

–Ci ludzie, u których on jest, są ukryci tak, że lepiej nie można – stwierdził Deacon, patrząc na żonę. – To nie jest klan, po prostu dwóch mężczyzn, jedna kobieta i dwoje dzieci. Nie mają

przydzielonej ziemi. Nie mają kontaktu z Brygadą. Inne dzieci nie wiedzą, gdzie oni są. Nawet Lau nie знаła wszystkich ich kryjówek. Trzymają się wysokich partii gór, aż do zimy, wędrując tuż poniżej pól lodowych. Lau mówiła, że nie powinniśmy się spodziewać, że my, ani ktokolwiek inny, zobaczymy Micaha poza dniami zajęć.

–Ale inni... – jęknęła Jakli. Odczytała kilka następnych nazwisk z listy. – Oni są w niebezpieczeństwie. Zabójca może być na ich tropie. Nawet w tej chwili.

Barwy nieba wyblakły. Wśród skał w górze zacykał świerszcz. Lokesh nalał sobie kolejny kubek herbaty i usiadł. Wydawało się, że nasłuchuje czegoś w ciemności. Nagle siedzący na skraju ich małego kręgu stary Tybetańczyk odezwał się, nie odrywając wzroku od pustynnego nieba:

–Powiadają, że Nefrytowy Koszyk może zniknąć, kiedy zło się zbliża.

–Co masz na myśli, Lokesh? – zapytała Jakli.

Ale nawet jeśli starzec przed chwilą przemówił do nich, co wcale nie wydawało się takie pewne, teraz rozmawiał już tylko z gwiazdami.

Shan uświadomił sobie, że Marco gdzieś zniknął. Odwrócił się w stronę wejścia do tunelu i dostrzegł, że Eluosi stoi na wysokim głazie, skąd roztaczał się widok daleko w głąb pustyni. Patrzył w dal, uparcie. Wypatruje Nikkiego, uświadomił sobie Shan, swojego syna, który prowadził karawanę, przemycając towary przez granicę. Nikkiego, który miał na zawsze odmienić życie Jakli. Widział, że Jakli także to dostrzegła. Na chwilę spojrzała w ciemność, tam gdzie patrzył Marco, po czym szybko odwróciła się znów do pozostałych.

–Moi kuzyni i Mao nie znajdą ich wszystkich. Musimy tam być, żeby je ostrzec – oświadczyła nagłaco. – Za pięć dni mają wyznaczone spotkanie przy Kamiennym Jeziorze. Kaju się tam wybiera. – Spojrzała znów na Shana. Nie mieli pojazdu, uświadomił sobie. Byli uziemieni na pustyni.

–Ten Tybetańczyk? – zapytał Najan. – On jest jednym z nich. Pracuje dla Ko. Dla Programu Walki z Ubóstwem. Kto lepiej nadaje się do tego, żeby schwytać zheli w pułapkę, niż ich własny nauczyciel?

Wydawało się, że po tych słowach powietrze zastygło, jak wówczas, przed straszliwą burzą piaskową.

–Nie – odezwała się z namysłem Jakli. – Brygada prowadzi tylko interesy – stwierdziła bez większego przekonania. – To muszą być pałkarze. Albo Xu.

–Tak czy inaczej tamtym chłopcom trzeba zapewnić ochronę – oświadczył Deacon. – Oni są w większym niebezpieczeństwie niż Micah.

–Batu – powiedział Shan w stronę nocnego nieba. – Następny na liście.

Marco powrócił do nich, nadal wpatrzony w pustynię. Nalał sobie kubek herbaty, wychylił niemal cały jednym haustem, a resztę wylał na piasek.

–Noc jest jasna. Można wędrować według gwiazd. Za trzy godziny ruszam w Kunlun. Sophie i ja zabierzemy was aż do miasta. Tam są Mao. Mogą zdobyć dla was ciężarówkę.

–W takim razie proponuję, żebyśmy się trochę przespali – powiedziała Jakli. Podeszła do Lokesha i dotknęła jego ramienia. Stary Tybetańczyk, wciąż z nieobecny wyrazem twarzy, odwrócił głowę, wstał i bez słowa pozwolił jej zaprowadzić się do środka.

Shan nie miał ochoty na sen. Spał już przez dwa dni. Pomógł pozostałym odnieść sprzęt kuchenny do jednej z cel, która została zamieniona w spiżarnię, po czym zaczął przyglądać się malowidłom na ścianach. Lokesh miał rację. Shan również to wyczuwał. W żadnym miejscu, do którego trafił dotychczas, nie czuł się tak związany ze starożytnym światem. Nie było w tym przytłoczenia głębią dziejów, nic w rodzaju dystansu muzealnych ekspozycji. Było to bezpośrednie, instynktowne wrażenie ciągłości, wielkiego, nie przerwane łańcucha życia. Nie, być może to był tylko łańcuch prawdy. A może coś jeszcze prostsze, zwykłe uświadomienie sobie, że ludzie zawsze czynili dobro i że właśnie dobre uczynki, a nie ludzie, przetrwały wieki.

Ale sam już nie wiedział, czym jest dobro, a w każdym razie gdzie jest jego miejsce w łańcuchu dobrych uczynków. Był zagubiony, bo nie miał pojęcia, jak uratować ginących chłopców. «ego przyjaciele mieli sekrety, których nie mogli mu zdradzić. «ego wrogowie wydawali się wszechobecni, choć niewidzialni.

Jego państwo najchętniej zamknęłoby go znów za drutami obozu.

Znalazł lampkę oliwną i wyszedł na zewnątrz, wspinając się wąską ścieżką prowadzącą na szczyt skały. Położył się na plecach na płaskim kamieniu i przez kilka minut błędził wzrokiem wśród gwiazd, po czym zapalił kaganek i wyjął z kieszeni notatnik i ołówek.

Drogi Ojczy, zaczął. Znalazłem się w miejscu z innego świata, gdzie zaprzyjaźniłem się z tysiącletnim wędrowcem. Powinien użyć pędzelka i tuszu i wstydził się, że ma jedynie ten bloczek i ogryzek ołówka. Wszyscy oczekują ode mnie odpowiedzi, pisał, ale mnie wydaje się tylko, że tragedie i smutki wszystkich ludzi, teraz i w przyszłości, rzucają cień, a ja przyciągam smutek wszystkiego, co napotkam, dopóki nie znajdę się w tym jednym miejscu, w którym zbiegają się wszystkie cienie, w miejscu najciemniejszym ze wszystkich.

Podróżuję, ale nie mam celu. Nie mam rodziny. Nie mam domu, za którym bym tęsknił. Mogę jedynie tęsknić za tęsknotą. Nie tak wyobrażałem sobie swoje życie, Ojczy, kiedy razem układaliśmy wiersze dla kaczek.

Zbliź się, Ojczy. Pomóż mi obserwować gwiazdy.

Przeczytał to dwa razy i podpisał. *Xiao Shan*. Mały Shan, tak jak nazywałyby go ojciec.

Chciałby mieć odłamki bambusa i gałązki jałowca, by rozpalić małe, wonne ognisko, które przyciąga duchy. Ale nie miał ani jednego, ani drugiego, ułamał więc parę suchych gałęzi z poskręcanych krzaków porastających szczyt skały i ułożył je w mały zwarty stosik. Wziął arkusz czystego papieru i złożył go w kopertę, napisał na niej imię ojca i położył list na gałązkach. Była to skąpa ofiara. Powinien mieć papier ryżowy, powinien poświęcić godzinę na samo studiowanie rytmu ideogramów, nim nakreśliłby je śmiałymi, płynnymi pociągnięciami pędzla, jak nauczył go ojciec. Wybacz mi, ojczy, te moje niedociągnięcia, powiedział w duchu i podpalił stos płomieniem kaganka.

Popioły uniosły się ku niebu. Przez krótką chwilę snuły się na tle Północnego Korca, potem zniknęły.

Długo trwało, nim Shan wrócił do środka. W tunelach panowała cisza. Nawet wielbłądy spały. Trzymając kaganek przed sobą,

odszukał celę ze starożytnym pielgrzymem i usiadł obok niego. Delikatnie rozchylił okrywający go koc, by zobaczyć jego dłonie i wytarte miejsca na kolanach, oznaki pielgrzymy. Wrażenie, że mężczyzna śpi tylko, było teraz silniejsze niż przedtem. Czasami, kiedy zamigotało światło, wydawało się, że jego usta się poruszają. Wydobył go spod piasków ten sam karaburan, który nieomal zabił Shana, który stanął mu na drodze do nowego życia. Naukowcy pobiorą próbki i pielgrzym zostanie zwrócony pustyni, być może jednak za kolejnych tysiąc lat znowu wyłoni się podczas burzy. Poślaniec. Albo wciąż pielgrzym, powiedziałby Gendun, wędrujący przez czas, by odwiedzić miejsca przepojone cnotą, by rozbudzić w innych świadomość.

–Nazywam się Shan Tao Yun – powiedział cicho do milczącej postaci. – Urodziłem się przeszło czterdzieści lat temu w prowincji Liaoning, nad morzem. – Słowa zaczęły nagle płynąć same, bez świadomego wysiłku. – Kiedy byłem bardzo mały, w świąteczne dni przygotowywaliśmy słodkie ryżowe ciasteczka i zanosiliśmy je do świątyni. Ale czasami, kiedy rodzice nie widzieli, zjadałem jedno. Oni nigdy tego nie odkryli. – Mówił dalej, snując wspomnienia, które dotąd uważał za utracone, o swych zapomnianych kuzynach i o pieśniach operowych, które jego matka śpiewała kozom, gdy wysłano ich do obozu pracy. Opowiadając, uśmiechał się, gdyż starożytny pielgrzym powrócił i otworzył drzwi kolejnych sal, do których zapomniał kluczy.

Dłonie mężczyzny były złożone jak do modlitwy. Shan zauważył, że spomiędzy nich coś odrobinę wystaje. Szypułka. Być może źdźbło trawy. Shan nachylił się z kagankiem. Niechcący trącił przy tym ramię mężczyzny i dłoń przesunęła się lekko. Z zapartym tchem rozpoznał ów przedmiot. Pióro. Ptasie pióro, umieszczone przed tysiącem lat w dłoniach pielgrzymy.

Cofnął się i usiadł. Serce waliło mu jak młotem. Wreszcie powoli, z największym szacunkiem, sięgnął po pióro. Wysunął je spomiędzy dłoni na tyle, by móc mu się przyjrzeć w świetle kaganka. Było to piórko sowy, wysuszone, ze stosiną łysą na ćwierci długości, ale mimo to niemal identyczne z tym, które nosił w swoim gau, z tym, które dał mu Gendun, zanim się rozstali. Wpatrywał się w nie ze zdumieniem. Czas mijał, a on wciąż patrzył.

Nie na pióro. Na twarz mężczyzny. Na jego długie delikatne palce. Ten człowiek nie był pasterzem. Był artystą, a może nauczycielem.

Wreszcie, z pełnym przekonaniem o słuszności tego, co robi, wyjął pióro ze swego gau, po czym ostrożnie wysunął pióro z dłoni pielgrzyma i umieścił na jego miejscu własne. Schował pióro pielgrzyma, tysiącletnie pióro, do swego relikwiarzyka, po czym delikatnie zamknął dłonie mężczyzny, zaskoczony falą emocji, która go ogarnęła. Drżały mu ręce. Gdy się uspokoiły, spostrzegł, że spoczywają na dłoniach pielgrzyma.

Poprawił różaniec na nadgarstku mężczyzny, przysuwając paciorki bliżej palców. A potem, nie wiedząc dlaczego, zapłakał.

Rozdział dwunasty

Jechali spiesznie przez noc, trzy wielbłądy jeden za drugim, z Sophie i Markiem na czele, kierując się w stronę Yoktianu. Eluosi poprosił Shana, żeby trzymał się tuż za nim, i choć przez pierwsze dwie godziny nie odzywał się ani słowem, w końcu zaczął opowiadać mu o wielbłądach i o urokach ukrytych w górach miejsc, które nazywał swym domem. Tuż przed świtem, kiedy przecięli szosę kaszgarską i zostało im kilka kilometrów do Yoktianu, Sophie ruszyła kłusem, a Marco zaczął głośno śpiewać. Były to stare, rosyjskie pieśni, jak wyjaśnił, przy których pito w długie zimowe noce.

Słońce od godziny już wznosiło się nad horyzontem, kiedy dotarli do leżącego nad rzeką wielkiego skupiska niskich szop i prowizorycznych zagród dla zwierząt, ocienionych rzędem wysokich topoli w złocistej jesiennej szacie. Najbliższe zagrody świeciły pustkami, ale w pięciu lub sześciu na drugim końcu, sto metrów od nich, było pełno koni. Brygada spędzała stada odebrane Kazachom. Marco uwiązał wielbłądy w cieniu pierwszej szopy, po czym zaprowadził Shana na niewielki wzgórek. Znajdowali się na peryferiach miasta, nieco ponad pięćdziesiąt metrów od głównej drogi prowadzącej na rynek.

Pół godziny później Shan, Jakli i Lokesh zbliżali się do niskich ceglanych zabudowań wytwórni kapeluszy. Pracownicy byli na zewnątrz: jedni obsiedli ławki, inni kręcili się przy brance, a gdy ich trójka weszła na teren kompleksu, ktoś zawołał Jakli po imieniu. Na jednej z pobliskich ławek siedział Akzu, Paląc papierosy z jednym ze swych synów. Obaj mieli na rękach fioletowe plamy.

–Robicie kapelusze? – Wypaliła Jakli.

–Oczywiście. Piękne kapelusze – odparł Akzu, witając Shana i Lokesha skinieniem głowy. – Wspaniałe kapelusze. Zawsze chciałem być kapelusznikiem, dziewczyno – dodał uszczypliwie, spoglądając na swoje powalone farbą dłonie. – Dziękuję, że dałaś mi okazję.

–Ale dlaczego...? – zaczęła Jakli, lecz umilkła w pół zdania. Zrozumiała, domyślił się Shan, że byli tu, aby ją kryć.

–Nie ma sensu nadmiernie ryzykować – rzekł Akzu. – Nie tuż przed Nadamem. Tutejszy kierownik jest Kazachem. Powiedział, że jeśli zaczną zadawać pytania, nie będzie nikogo krył, ale dopóki produkcja utrzymuje się powyżej normy, nikt nie jest specjalnie dociekliwy – wyjaśnił naczelnik, wstając i przeciągając się. – Dopóki nie przyjdą sztylpy. – Spojrzał na kobietę z notatnikiem w dłoniach, która pojawiła się na schodach głównego budynku. – Za drzwiami są listy obecności, bratanico. Idź i podpisz się kilka razy.

–Ale zheli... – zaczęła Jakli.

Akzu uniósł dłoń i rozejrzał się dokoła.

–Klan wciąż ich szuka – odpowiedział, zniżając głos. – I Malika. Nie możemy znaleźć Malika. Wczoraj widziano go na szosie, jechał galopem, jakby kogoś ścigał. – Spojrzał na południe

w stronę horyzontu. – Tej nocy wracam w góry. Jeden z twoich kuzynów zostanie tu do Nadamu.

Mówił jeszcze, kiedy z pobliskiej ławki dobiegł ich cichy jęk. Siedział tam stary człowiek z długim obwisłym wąsem, wpatrując się w kartkę trzymaną w dłoni.

–Tkwi tak już od paru godzin – powiedział Akzu. – Przyszedł prosić kierownika, żeby mu wyjaśnił, gdzie są jego owce. Myślał, że to musi być coś w rodzaju mapy albo opis drogi do pastwiska.

–Jego owce? – zdziwił się Shan.

–To świadectwo udziałowe Brygady – wyjaśnił gorzko naczelnik. – Przekazał swoje owce Brygadzie, a wszystko, co mu za nie dali, to świstek papieru. Sześćdziesiąt lat ze stadem i zwykła kartka papieru.

Jakli zrobiła krok w stronę starca, jakby chciała go pocieszyć, lecz Akzu pociągnął ją za ramię i odprowadził do bramy zakładu. Szła z nim, nie odrywając wzroku od rozpaczającego pasterza.

Dziesięć minut później Shan i Jakli dotarli do szkoły. Przy kruszącym się betonowym słupku bramy stała wytarta miotła. Lokesh sięgnął po nią.

–Czystość jest niedocenianą cnotą – oświadczył z błyskiem w oku.

Shan skinął głową i uśmiechnął się. Stary Tybetańczyk chciał powiedzieć, że będzie czekał i obserwował przy bramie.

Shan i Jakli stanęli u wejścia do głównego budynku, wypatrując pałkarzy. Nie dostrzegłszy żadnego, szybko ruszyli pustym korytarzem do gabinetu Lau. Jeszcze raz przetrząsnęli pokój, rozglądając się za czymkolwiek, co powiedziałyby im coś o zheli. W jej biurku. W komputerze. Pod szufladami biurka. Nic. Od czasu ich ostatniej wizyty ze ściany zniknęło kilka zdjęć, niektóre brutalnie zerwano, tak że zostały po nich tylko dyndające luźno strzępki. Ktoś jeszcze poza nimi wrócił i myszkował tutaj. Czego mógł szukać? Zdjęcia dalej mamy, które Jakli zabrała podczas poprzedniej wizyty? Dziewczyna wyszła na zewnątrz i ruszyła w stronę budynków z salami lekcyjnymi, w nadziei, że znajdzie dzieci, które by coś wiedziały o pozostałych sierotach. Po jej odejściu Shan spostrzegł, że w gabinecie po drugiej stronie korytarza pali się światło.

Podszedł do lekko uchylonych drzwi i jeszcze raz zerknął na małą, ręcznie zapisaną kartkę. *Religia to opium ludu*. Obejrzał się za siebie. Lau miała te słowa przed oczyma, ilekroć wychodziła ze swego biura. W środku słychać było jakieś głosy. Popchnął drzwi, a te otworzyły się na oścież, ukazując niskiego pulchnego człowieka, którego spotkał w obozie ryżowym, przewodniczącego komisji oświatowej, Hu. Ubrany w obszerny brązowy kardigan, siedział bokiem na biurku zwrócony plecami do wejścia. Rozmawiał entuzjastycznym tonem z wysokim szczupłym mężczyzną, który stał w głębi pokoju, opierając się o skrzydło okienne. Był to Kaju Drogme.

Obaj umilkli i spojrzeli na Shana, który przestąpił próg. Hu trzymał w rękach przedmiot, o którym opowiadał Kaju – cienkie lśniące szare pudełko o zaokrąglonych przednich narożnikach, z podłączonymi z tyłu słuchawkami. Na widok Shana uniósł brwi, lecz podekscytowany wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Shan skinął mu głową.

–Przyszedłem tylko jeszcze raz rozejrzeć się po jej pokoju –
wyjaśnił.

Hu nie tylko nie wyglądał na zaskoczonego, ale zdawało się wręcz, że wita słowa Shana z radością, traktując je jak zachętę.

–Samobójstwo, powiedziałem im – oświadczył dziwnie pogodnym tonem. – To musiało być samobójstwo. Skompromitowana utrata stanowiska w radzie, stanęła w obliczu emerytury, bez żadnych perspektyw, bez rodziny.

Shan podszedł bliżej. Pudełko w dłoniach Hu wyglądało na jakieś urządzenie grające. Na pokrywce zobaczył stylizowane logo japońskiej firmy. Na biurku leżała plastikowa torebka z instrukcją obsługi.

–W przeddzień jej śmierci towarzysz Ko przyszedł tu i za proponował jej przeprowadzkę do Urumczy. Powiedział, że jest tam dom spokojnej starości, wieżowiec wybudowany specjalnie dla emerytów.

Mieszka tam kilku bohaterów rewolucji. Co

tydzień wygłaszają pogadanki na temat walk wyzwoleniczych.

Powiedział, że wybiera się do Urumczy i chciałby, żeby pojechała z nim i rozejrzała się tam. Na koszt Brygady. – Hu pokręcił

głową, spoglądając to na Kaju, to na Shana. – Ale Lau nie chciała. Zachowywała się, jakby dostała obuchem w głowę. Usiadła i nie mogła wykrztusić słowa. Była zbyt staroświecka. Żadnej elastyczności. – Zniżył głos, pochylając się w stronę Shana. –

Odizolowała się, odcięła od tkanki społeczeństwa. Ukryta reakcjonistka – dodał znacząco. – Jedźcie, powiedziałem jej, nie rozumiecie, co wam proponują? Dają wam szansę na rehabilitację. Opowiedziałem o tym w obozie, spisałem to wszystko.

Uwolniony z obozu ryżowego, Hu stał się znacznie bardziej rozmowny. Miał teraz o czym opowiadać i miał z powrotem swoją pracę. Kiedy Shan spotkał go w Obozie Chwały, Chińczyk twierdził, że nie ma nic do powiedzenia na temat Lau. Ale prokurator Xu przetrzymała go za drutami, żeby spokojnie przemyślał tę sprawę.

–Więc udało się wam wydostać z Obozu Chwały – zauważył Shan. – To nie było miejsce dla człowieka takiego jak wy.

Hu energicznie skinął głową.

–To stawało się nie do zniesienia. Jak dom wariatów, w którym nagle zaczęli rządzić pacjenci.

–Co macie na myśli?

–Znalazło się paru stukniętych, którzy postawili cały obóz na głowie.

–Kto? – zapytał Shan.

–Jeden z tych cholernych głupców bez kciuków. A właściwie nie on... on tylko tłumaczył.

Shan spoglądał to na Kaju, to na Hu, nic nie rozumiejąc.

–Ten stary dziwak Xibo dogadał się jakoś z facetem bez kciuków. Tak czy inaczej, któregoś dnia o trzeciej nad ranem przyłapano ich wszystkich, cały barak, jak siedzieli na podłodze wokół Xibo i tego gościa bez kciuków, recytując hasła, których uczyli się tamtego dnia. Kiedy oficer polityczny wpadł do środka i zażądał wyjaśnień, stary Xibo odpowiedział przez tamtego. Mówił, że ta szczególna ścieżka do oświecenia, której naucza się w obozie, nie jest mu znana, ale należy dążyć do doskonałości w kroczeniu nią, gdyż jej celem musi być oświecenie. Odtąd wszyscy z tego baraku zrobili się inni, posłuszni i uprzejmi, wiecznie głupio uśmiechnięci. Oficer był wściekły, ale więźniowie nie robili nic złego. Po tym zdarzeniu strażnicy oddzielili Xibo od pozostałych, pozwolili mu spacerować samemu. Większość czasu spędzał przy łóżku jakiegoś młodego Mongoła, który nie mógł chodzić.

Shan westchnął. Przypomniawszy sobie nadzorcę strumieni siedzącego samotnie pod masztem. Jeśli stary człowiek mógł swobodnie poruszać się po obozie, być może widoki na jego ocalenie nie przedstawiały się tak źle. Poprzysiągł sobie, że gdy tylko okaże się, że wszyscy chłopcy są bezpieczni, wróci do Obozu Chwały i znajdzie sposób na uwolnienie starego Tybetańczyka. Spostrzegł, że Kaju zdumiony wpatruje się w nauczyciela.

–Chcecie powiedzieć, że w obozie jest lama? – zapytał Kaju.

Hu parsknął śmiechem.

–Jaki znów lama? Po prostu szalony Xibo.

Kaju pochylił się i wyglądało na to, że zamierza go poprawić, w końcu jednak wzruszył tylko ramionami i utkwiał wzrok w swych dłoniach.

–Co mieliście na myśli – zwrócił się Shan do Hu – mówiąc, że propozycja Ko oznaczała dla Lau rehabilitację?

–Ludzie źle rozumieją towarzysza Ko. On chce dla wszystkich jak najlepiej. Dyrektor Ko mówił na swój sposób, że wybaczone jej wszystkie nielegalne lekcje, wszystkie nadużycia. Bierzcie to mieszkanie, mówiłem jej. Tam są windy. Jest telewizja.

–Jakie nadużycia? – zapytał Shan.

Kaju wciąż opierał się o okno, spoglądając niepewnie na Chińczyka.

–Korzystała bez pozwolenia z samochodów należących do Ministerstwa Edukacji. Wynosiła ze szkoły papier i ołówki. Jedzenie ze szkolnej kuchni. Nie mówiąc już o tym, że uczyła rzeczy nie ujętych w programie i zachęcała do praktyk religijnych.

–Przewodniczący Mao uczył nas, byśmy byli czujni – oświadczył sztywno Shan. – Ostrzegaliśmy przed religią.

–Właśnie! – przytaknął Hu, odwracając się z triumfalnym uśmiechem w stronę Kaju.

–Dobry obywatel, ktoś taki jak wy, starałby się to powstrzymać, zrobić wszystko, co w jego mocy – podsunął Shan.

Hu poważnie skinął głową.

–Z początku próbowałem ją ostrzec. Uczę już od trzydziestu pięciu lat. Byłem na uniwersytecie w Urumczy. Tak się nie robi, mówiłem jej. Ona nie miała żadnego przygotowania do pracy pedagogicznej. To wszystko, co robiła... nikt nigdy tak tego nie robił.

Shan spojrzał na urządzenie w jego dłoniach.

–Teraz są nowe metody – zauważył. Widział już to logo, przypomniał sobie, na kartonach w Obozie Chwały. Na kartonach

w szopie z martwym Amerykaninem. A także na kartonach u Osmana, w Karaczuku. Czy Osman okradał pałkarzy? Nie.

To nie pałkarze rozprawdzali te urządzenia, to robiła Brygada. Brygada korzystała z pomocy pałkarzy, choć wszyscy twierdzili uparcie, że Ko i Bao nigdy nie byli współnikami.

Hu przeniósł wzrok za spojrzeniem Shana.

–Od dyrektora Ko! To część nowego programu motywacyjnego. Nie będziemy jedynie karać tych, którzy postępują nie słusznie. Będziemy nagradzać właściwe zachowania.

Kaju również miał takie urządzenie, leżące w nie rozpakowanym jeszcze plastikowym worku na parapecie okna. Podniósł je.

–To dla sierot – wyjaśnił Tybetańczyk. – Wszystkie sieroty, które wrócą do szkoły, które przystąpią do naszego nowego programu, dostaną odtwarzacz płyt kompaktowych. One... – Przerwał mu głośny dzwonek na korytarzu.

Hu zerwał się z biurka.

–Zaczyna się moja lekcja – oświadczył, wyciągając z szuflady czapkę z daszkiem.

– Historia polityczna. – Naciągnął czapkę głęboko na czoło i spojrzał na Shana i Kaju,

jakby zamierzał ich wyprosić.

–Zostaniemy jeszcze chwilę – uprzedził go Shan. – Dochodzenie.

Chińczyk z poważną miną skinął głową, po czym wybiegł pędem.

Kaju Drogme spojrział na Shana, potem na urządzenie, które trzymał w dłoniach.

Wzruszył ramionami.

–Te dzieci – odezwał się zakłopotany – nie wiedzą nawet dobrze, co to jest radio.

Być może kiedyś, w mieście, widziały magnetofon. Może nawet, któregoś dnia, jeśli wybiorą się do miasta, będą mogły kupić sobie płytę, żeby jej słuchać.

–Jeśli będą miały pieniądze – dodał Shan.

Kaju uśmiechnął się blado, jakby dziękował Shanowi za zrozumienie kiepskiego żartu.

–Mam przyjaciół w Chengdu – ciągnął, wciąż wpatrując się w urządzenie. – Może oni mogliby przysłać jakieś stare płyty. – Jeszcze raz wzruszył ramionami i spojrział

na Shana. – Byliście tamtego dnia w garażu. Kiedy ten stary Tybetańczyk ostrzegał, że chłopcy są w niebezpieczeństwie.

–Dlaczego Ko zajmuje się sierotami? Po co ten pośpiech?

–Nie sierotami – sprostował Kaju. – Dostaliśmy pismo w tej sprawie. Mamy nazywać je „odzyskanymi członkami”.

–Członkami czego?

Kaju zawahał się.

–O tym w piśmie nie wspomniano. Członkami szkoły. Społeczeństwa. – Znowu wzruszył ramionami. Gest ten wyglądał na

jedną z jego cech charakterystycznych. – Ko rozdziela nagrody,

zgodnie z nową polityką Brygady. To nie jest jego pomysł. Do

stał wytyczne z Urumczi. Ale on chce, żeby jego okręg przodował we wszystkim. –

Tybetańczyk uśmiechnął się ze skrępowaniem,

unosząc wzrok. – Jeśli w ciągu dwóch tygodni ściągnę wszystkie dzieci z powrotem, załatwi mi specjalne mieszkanie. Jedno z tych zarezerwowanych dla kierowników Brygady. I prawo do korzystania ze służbowych samochodów. I stanowisko. Dyrektora asymilacji ekonomicznej.

–Ekonomicznej?

Kaju skinął głową.

–On twierdzi, że dotychczasowe niepowodzenia w asymilacji wynikały właśnie stąd, że prowadzono ją, opierając się na polityce. Ludzie nie rozumieją, że ekonomia jest o wiele skuteczniejszym czynnikiem spajającym. Wykorzystanie wspólnych elementów kulturowych do budowy wspólnych interesów ekonomicznych. Tak dyrektor Ko określa moje zadanie. On mówi, że sama Brygada jest tego najlepszym przykładem. Przedsiębiorstwo należące do Hanów, Kazachów, Ujgurów, Kirgizów, Tadżyków, Xibów, Huei i być może dziesięciu innych grup kulturowych, w którym wszyscy pracują razem dla wspólnego sukcesu. Nikt nie mówi o udziałowcach chińskich czy kazachskich, mówi się po prostu o udziałowcach. – Kaju znów spojrzał na urządzenie. – Te odtwarzacze nie są odpowiednią nagrodą, to wszystko. On bardzo chce im pomóc, otworzyć im drogę do nowego społeczeństwa. Jego entuzjazm bywa jednak źle rozumiany. Porozmawiam z nim. Może nowe siodła. Może nawet żrebaki ze stada Brygady. – Kaju urwał i pokiwał głową. – Żrebaki byłyby najlepsze.

–Czy ja wiem? – odparł Shan. – Ostatnio ogłoszono przecież, że konie są reakcjonistami. Pałkarze aresztują je wszystkie.

Tybetańczyk zachmurzył się. Ponownie wrzucił ramionami.

–Wy po prostu nie rozumiecie Ko. On chce jak najlepiej. Parę dni temu z własnej inicjatywy uruchomił nowy program zdrowotny dla dzieci.

–Program zdrowotny?

Kaju energicznie pokiwał głową.

–Specjalna pomoc dla noworodków w miejscowej klinice Brygady. Ko twierdzi, że to zbuduje zaufanie.

Shan patrzył na niego niepewnie. Czy to możliwe, że pomylił się co do Ko? Ko Yonghong był, ostatecznie, wytworem nowej gospodarki, typem człowieka, z jakim Shan nigdy dotąd się nie zetknął.

–Powiedzieliście, że przyszło pismo z Urumczy? – zapytał.

–Tak, w sprawie prezentów. Ko zostawił dziś kopie na biurkach wszystkich nauczycieli. – Uniósł wzrok na Shana i jego dobry humor przygasł. Zerknął na drzwi, jakby chciał się upewnić, że nikt nie może go usłyszeć, i znowu zwrócił się do Shana. – Skąd wiedzieliście, tamtego dnia w garażu, że chłopcy są w niebezpieczeństwie? Ten Tybetańczyk, który był z wami, powiedział, że ktoś ich morduje. A dwa dni później jeden został zabity.

–Dwóch zabito już wcześniej. Właśnie przybyliśmy znad grobu jednego z nich.

Kaju spojrzał na niego z naganą. Pokręcił głową.

–Nie – oświadczył z naciskiem. – Nic nie rozumiecie. To, o czym mówicie, to po prostu krwawe waśnie rodowe. Ko po wiedział tak na zebraniu Brygady. Rozmawiał z Urzędem Bezpieczeństwa. Zdarza się czasem, że przypadkowe osoby zostają wplątane w walki między rywalizującymi klanami. Pozostałość dawnych zwyczajów. To dowodzi tylko, jak bardzo konieczne jest włączenie klanów do Programu Walki z Ubóstwem. W przeciwnym razie Urząd Bezpieczeństwa nie będzie miał w końcu innego wyjścia, jak tylko ich wysiedlić.

Shan wyjrzał na opustoszały korytarz, po czym znów popatrzył na Tybetańczyka. –Kaju – powiedział bardzo cicho, zmuszając go, żeby się zbliżył. – Lau została zamordowana. Torturowano ją, a potem za mordowano.

Tybetańczyk, który zdawał się szukać czegoś w oczach Shana, zmarszczył brwi i znów pokręcił głową, chyba rozczarowany.

–Taka rozmowa nikomu nie przynosi korzyści – powiedział, wciąż kręcąc głową. Ani dzieciom, ani klanom, ani pracy na rzecz asymilacji. – Minąwszy Shana, wyszedł na korytarz, lecz znów odwrócił się w stronę rozmówcy. – Mówicie jak jeden z tych radykałów, jak lung ma – dodał, zniżając głos. – Nie pozwólcie, żeby ktoś inny... – Przerwał mu kolejny sygnał z korytarza, dwutonowy kurant. Z wyrazem ulgi na twarzy Kaju uniósł wzrok ku głośnikowi. – Mam zebranie – oświadczył, po raz ostatni wzruszając ramionami, wetknął sobie odtwarzacz pod pachę i ruszył żwawo korytarzem ku tylnym drzwiom budynku.

Shan odczekał parę sekund, przyglądając się, jak Kaju idzie przez podwórze w stronę jednego z budynków klasowych, po czym ruszył cicho do głównego wyjścia. W połowie drogi rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy w korytarzu wciąż nie ma nikogo, i wszedł do jakiegoś pustego gabinetu. Na biurku leżały dwie kartki papieru. Notatka od dyrektora Ko, przypięta do innego pisma z Urumczy – z Głównego Biura Ludowej Korporacji Budowy i Rozwoju, w sprawie asymilacji ekonomicznej. Shan złożył ją na pół i wsunął do kieszeni.

Jakli czekała w drzwiach, a Lokesh wciąż zamiatał przy bramie, nucąc pod nosem. Na ich widok podniósł spod słupka worek z grubego płótna i wyciągnął go w stronę dziewczyny.

–Jakiś człowiek dał mi to dla ciebie – powiedział. – Ujgur, jak myślę. Powiedział, że nazywa się Mao.

Jakli niepewnie sięgnęła po worek, gdy go jednak otworzyła, na jej twarzy gwałtownie odmalowała się radość. W worku była uzda, końska uzda z czarnej skóry nabijanej srebrnymi ćwiekami.

–Nikki! – Wykrzyknęła dziewczyna i pomknęła ulicą.

–Rozmawiałem z tym Mao – powiedział Lokesh. Oparł się na miotle i patrzył, jak Jakli pędzi ku stajni. – Kublai został pochowany za miastem. Mnóstwo ludzi przyszło, wykrzykując imię tej kobiety. Niya. – Wskazał głową mur po drugiej stronie ulicy, gdzie wisiał świeżo przyklejony plakat, kolejny z plakatów przedstawiających Niyę Gazuli, jak te, które Shan widział na placu. – Ten Mao prosił, bym ci przekazał, że chłopiec nie miał buta. Powiedział, że będziesz wiedział, o co chodzi. – Ale Shan nie wiedział. Bo przecież nie butów poszukiwał zabójca.

Lokesh obejrzał się znów na plakat.

–Na pogrzebie byli pałkarze – westchnął w stronę widniejącej na nim rudowłosej kobiety, jakby z nią rozmawiał. – Wyobraź to sobie – dodał z niedowierzaniem w oczach. – Pałkarze

przychodzą, żeby pochować małego chłopca.

Gdy dołączyli do Jakli przy stajniach, dziewczyna tańczyła z Markiem, który wywijał uzdą nad głową. Na widok Shana i Lokesha przerwali i objęli się.

–Czy to znaczy, że Nikki wrócił? – zaryzykował pytanie Shan.

Marco żywo pokiwał głową.

–Jeszcze nie. Ale jest blisko, tuż za granicą. Zwierzęta juczne idą powoli. Wysłał kogoś przodem. – Eluosi spojrział na Jakli, nagle poważniejąc. – Przed nami mnóstwo pracy. To już za tydzień. – Podśpiewując pod nosem, zaczął poprawiać uprząż wielbłodom.

–Teraz już wszystko będzie dobrze – powiedziała rozpromieniona Jakli, głaszcząc Sophie. – Nikki będzie wiedział, co robić. Nikki... – Słowa zamarły jej w gardle.

Przed stajnią pojawił się umorusany chłopiec ze zmierzwioną szopą czarnych włosów. Jego brudna czerwona koszula była podarta w kilku miejscach, a na jego wychudłej twarzy malowało się wyczerpanie i strach.

–Batu! – Wykrzyknęła Jakli i zamarła, wpatrując się w niego bez słowa.

–Biegłem – odezwał się chłopiec, dysząc ciężko. – Nie miałem dokąd pójść. Po prostu biegłem. Zatrzymałem się na chwilę, żeby napić się wody, i znów biegłem. – Głos mu drżał. Mówiąc, oglądał się przez ramię. – Zobaczyłem cię na ulicy i poszedłem za tobą.

Jakli przyskoczyła do chłopca i otoczyła go ramionami.

–A twój klan? – zapytała, tuląc jego głowę. – Gdzie jest twój klan?

–Słyszałem o śmierci chłopców z zheli. Ostatnim razem zabito też owieczkę – odparł chłopiec, zanosząc się długim, suchym szlochem. – Jeśli to coś ma przyjść po mnie, niech to będzie z dala od tego klanu. Oni byli dla mnie dobrzy. I z dala od jagniąt – dodał, patrząc na Jakli.

Batu. Shan nie musiał wyciągać z kieszeni listy zheli, gdyż nauczył się imion chłopców na pamięć. Batu był trzecim chłopcem od góry. Następną ofiarą.

–Ja nic nie zrobiłem – ciągnął chłopiec, popłakując. – Dlaczego oni chcą...

Jakli odsunęła go na długość ramienia i położyła mu palec na wargach. Gdy umilkł, przyciągnęła go do siebie i przytuliła mocno, głaszcząc po głowie.

–Khoshakhan, khoshakhan – szeptała. Tak pocieszano jagnięta. Wreszcie z poważnym, zdecydowanym wyrazem twarzy

spojrzała najpierw na Marca, potem na Shana, a w końcu na Lokesha. – Muszę iść – oświadczyła. – Muszę iść do Mao, pomóc im odszukać pozostałych. Znam miejsca, o których oni nie wiedzą. – Przeniosła wzrok na Shana. – Kryjówki widmowych klanów.

–Idę z tobą – wypalił z podnieceniem Lokesh, wpatrując się w chłopca. – Muszę go znaleźć.

Dziewczyna spojrzała na starego Tybetańczyka oczyma wilgotnymi od łez. Przez chwilę zdawało się, że obejmie go i jeszcze raz wyszepcze kojące zaklęcie.

–Nie – odparła stanowczo, jakby zwracała się do dziecka, i położywszy mu dłoń na ramieniu, popchnęła go delikatnie w stronę Shana.

–Dam ci jedzenie dla chłopca – zaofiarował się Marco, sięgając do jednej z sakw.

–Ale ja zostaję w mieście – powiedział Shan, spoglądając zatroskany na Lokesha. – Będę tu spał. Muszę zobaczyć się z prokuratorką. Obiecałem jej to.

–Niemożliwe! – Wykrzyknęła Jakli, potem jednak najwyraźniej spostrzegła zdecydowanie w oczach Shana i zmarszczyła brwi. Przyglądała się, jak Marco podaje Batu jabłko, a chłopiec wgryza się w nie wilczymi kęsami. – Nie – powtórzyła z uporem, spoglądając w stronę miasta. – Nie wracaj tam, nie do którejś z jej pułapek. Umów się z nią na jutro po południu. Powiedzmy o trzeciej, na stacji benzynowej przy szosie, tam, skąd pojechaliśmy ciężarówką z ryżem. Na naszym terenie.

–Potrzebuję jedzenia dla innych – odezwał się nieśmiało Batu.

–Dla innych? – zdziwiła się Jakli, po czym, jak gdyby nagle pojęła, co chłopiec powiedział, ukłękła przy nim, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Wiesz, gdzie są inni chłopcy z zheli?

Chłopiec nieufnie rozejrzał się dookoła.

–W miejscu, które nazywamy łąką starego lamy. Wysoko w górach. Tam jest bezpiecznie. Właśnie tam szedłem. Khitai mówił, że ta łąka jest pod opieką górskich bóstw.

Lokesh z ożywieniem uniósł wzrok.

–Chcesz powiedzieć, że to on cię tam zabrał? – zapytał Shan chłopca.

–Tak. Dawno temu. Miał wtedy tylko siedem lat. Nigdy wcześniej tam nie był, ale wydawało się, że coś mówi mu, jak trafić. Kędy znalazł to miejsce, śmiał się z radości, jakby spotkał starego przyjaciela. Tam jest tylko parę starych murów, ale z pięknymi malowidłami. Myślę, że on jest tam teraz. Mógł pójść po kwiaty.

–Po kwiaty? – zdziwił się Shan.

–To było ostatnie zadanie, jakie Lau dała zheli. Kolekcja jesiennych kwiatów. Na łące lamy są piękne kwiaty. Tak zawsze mówiła.

Shan spojrzał na Jakli, przypominając sobie kwiaty przed grotą Lau. Inne dzieci z zheli także pamiętały o swym zadaniu.

–Khitai wie, że jeden z widmowych klanów wypasa owce na stokach powyżej łąki – ciągnął Batu. – Mógł tam pójść, kiedy już zebrał kwiaty. Do klanu, który opiekował się Suwanem.

Lokesh wyprostował się niczym żołnierz gotujący się do walki. Suwan zjawił się w obozowisku Czerwonego Głazu i zginął. Ale jego klan, nie zdając sobie z tego sprawy, mógł odejść z innym chłopcem z zheli, z Khitaiem, wiedząc, że Lau pozwalała czasem dzieciom zamieniać rodziny.

Jakli wyszła przed stajnię i rozejrzała się, jakby zbierając myśli. W końcu odwróciła się do nich.

–Znam to miejsce. To niedaleko rosyjskiej wieży – oświadczyła, patrząc na Marca.

–Akurat... – prychnął Eluosi.

–Oni nie mają dokąd iść – upomniała go Jakli. – Ty nie możesz tu zostać. Brygada cały czas sprowadza nowe konie.

–Nie mogę... – zaczął Marco, ale spojrzał na Jakli i z jego warg wymknął się ni to cichy gwizd, ni to prychnięcie. Z irytacją zwrócił się do Shana. – Mógłbym równie dobrze rzucać grochem o ścianę – burknął. Sophie przekręciła łeb i parsknęła cicho, wysuwając język w jego stronę. – Na tchnienie Boga – mruknął – nie zaczynaj i ty.

A potem Jakli ujęła dłoń chłopca i niespodziewanie włożyła ją w dłoń Shana.

To, co zrobiła, wstrząsnęło Shanem do tego stopnia, że niewiele brakowało, a wyszarpnąłby rękę. Stał bez słowa, niezdolny w pierwszej chwili nawet spojrzeć chłopcu w oczy, zaskoczony nagłym, ostrym smakiem strachu w ustach oraz burzą emocji,

która się w nim rozpętała. Powoli uniósł wzrok, a Batu spojrzął na niego z lekkim, niepewnym uśmiechem. Znał dzieci, potrafił z nimi rozmawiać, dzielił się sekretami z Malikiem. Ale ten chłopiec był wychowankiem Lau. Shan sam miał kiedyś takiego chłopca, syna, i stracił go, kiedy był on w wieku Batu.

–To jest Shan – usłyszał słowa Jakli. – Przyjaciel cioci Lau.

Shan zorientował się nagle, że klęczy przed Batu i zawiązuje mu dyndające sznurowadła. Jego dłonie same wskazały sercu, gdzie jego miejsce.

Gdy Jakli przywiązywała worek z uzdą do siodła Sophie, Marco wydobył z sakwy brązową koszulę i kazał Batu nałożyć ją na czerwoną, którą chłopiec miał na sobie, po czym nachylił się do ucha wielbłądzicy. Sophie stęknęła przeciągle. Eluosi wyprostował się.

–W porządku, wsiadajcie – powiedział, unosząc brwi w udawanym zaskoczeniu. – Ona się zgadza. Ale... – wskazał na Shana – dla ciebie będą buty, a dla ciebie... – dodał, zwracając się

do Lokesha – torby. – Ignorując ich zdezorientowane miny, wyprowadził Sophie ze stajni. Wychodząc, ponownie się odwrócił. – I jeszcze jedno. Ona mówi, że jeśli któreś z was zdradzi

choć słówkiem, dokąd idziemy albo jak się tam dostaliśmy, błękitny wilk dopadnie go i połknie w całości.

Batu poważnie skinął głową, patrząc na Sophie rozszerzonymi oczyma. Jakli jeszcze raz uścisnęła chłopca.

–Teraz jesteś bezpieczny – powiedziała i wypuściła go z objęć. Zerknęła krótko na Marca i Shana. – Jutro o trzeciej – przypomniała im i pobiegła w stronę miasta.

Wyprowadzając wielbłądy poza osiedle, mijali położony na drugim brzegu rzeki cmentarz. Tuż nad skarpą znajdował się świeży grób, obok którego stał ze zwieszoną nisko głową mały, brązowo-biały koń. Zatrzymali się, by spojrzeć na niego.

–Większość dzieci z zheli nie miała nawet własnych koni –

odezwał się Batu. – Kublai w zeszłym roku cały miesiąc śpiewał z radości, kiedy go dostał. – Mały Kazach pokręcił głową i westchnął jak stary człowiek, jeszcze raz spoglądając na zwierzę stojące nad grobem chłopca. – A teraz patrzcie. Koń cierpi.

Trzy wielbłądy w szybkim tempie posuwały się wzdłuż rzeki szlakiem przez dolinę, wreszcie, pokonawszy długi grzbiet górski, wkroczyły w znaną Shanowi okolicę, małą dolinkę, gdzie stała chatka Lau. Gdy mijali domek, Shan odwrócił głowę i wpatrzył się w zalesiony stok, w stronę groty, gdzie oczekując sprawiedliwości, leżała Lau.

Wkrótce zostawili dolinkę za sobą, a słońce minęło już zenit, gdy Marco zatrzymał wielbłąda nad sadzawką u stóp małego wodospadu. Znajdowali się w sercu gór Kunlun i wiatr niósł ku nim chłodny świeży powiew z położonych wyżej pól lodowych. Marco niespokojnym wzrokiem wpatrywał się w horyzont.

–Jeśli coś się stanie – odezwał się głosem napiętym od złych przeczuć – róbcie to co ja. Nie czekajcie na nic. Nie rozmawiajcie. Słuchajcie mnie. Słuchajcie wielbłądów.

Batu wraz z Shanem jechali na jednym wielbłądzie, tuż za Sophie. Srebrna wielbłądzica prowadziła ich na południowy zachód, szlakiem, z którego roztaczał się rozległy widok na rozciągającą się w oddali pustynię. Nagle szlak opadł gwałtownie ku długiej, żwirowej, porośniętej brązową trawą dolinie, której dnem pędził wartki strumień. Ścieżka była tu zaskakująco szeroka, jak gdyby dawno temu przygotowano ją do znacznie większego ruchu. Batu pokazywał Shanowi rzeczy, których on sam nie potrafiłby dostrzec. Wiewiórkę ziemną wypychającą sobie policzki trawą, by zanieść ją do swej zimowej norki. Orła szybującego nad sąsiednim grzbietem.

Nagle Sophie stanęła. Shan zacisnął szczęki, ale odprężył się, widząc, że Marco nie dostrzegł żadnego niebezpieczeństwa. Potem uświadomił sobie, że Eluosi przygląda się Sophie. Srebrna wielbłądzica podrzuciła łeb w stronę zachodniego grzbietu i zaryczała. Marco zeskoczył z siodła.

–Helikopter! – ryknął i wykrzyknął kilka słów po rosyjsku.

Wielbłądy rozbiegły się w różne strony w tej samej chwili, gdy jeźdźcy zaczęli zsuwać się z siodła. Zwalili się na ziemię, kiedy zwierzęta przysiadły, podwijając nogi pod siebie i pochylając łby. Gdzieś z bliska Shana dobiegł śmiech Lokesha. Wyjrzał ponad grzbietem wielbłąda i stwierdził, że Marco leży obok Sophie, kuląc się w jej cieniu. Lokesh, który wciąż się zanosił świszczącym śmiechem, powoli robił to samo. Zwierzęta z jeźdźcami

przytulonymi do ich boków wyglądały jak trzy głązy więcej w szarobrazowej kamienistej okolicy. To dlatego właśnie Marco kazał Batu zakryć czerwoną koszulę. Przelatujący szybko patrol powietrzny mógł ich z łatwością przeoczyć.

Dolinę wypełniło niskie, zawodzące dudnienie, które przejęło Shana lękiem o los Lokesha i chłopca. Tak właśnie wojsko i pałkarze utrzymywali koczowników w ciągłym strachu: niespodziewanie spadali z nieba, by szukać nielegalnej broni lub sprawdzać dokumenty. Nie można się ukryć przed Chińczykami, powiedział kiedyś Shanowi stary dropka. Oni mają strzelające maszyny, które żyją w chmurach.

Shan zdążył dostrzec wyłaniający się zza górskiego grzbietu helikopter, kiedy ktoś ściągnął w dół jego głowę, przyciskając ją do boku wielbłąda. Batu.

Marco odczekał jeszcze dziesięć minut po tym, jak wycie silnika ucichło w oddali, wreszcie rzucił wielbłądom krótki rozkaz i zwierzęta uniosły głowy. Wkrótce ich mała karawana znów pospiesznie posuwała się szlakiem.

Kwadrans później Lokesh uniósł się w siodle.

–Lha gyal lo! – zawołał, wymachując rękoma, żeby przyciągnąć uwagę Shana.

–Łąka! – Wykrzyknął Batu.

Byli już wcześniej na łące lamy, uświadomił sobie Shan, patrząc w kierunku wskazanym przez wyciągnięte do przodu ramię Lokesha. Przed nimi, na potężnym monolicie, łopotała ogromna czerwona flaga modlitewna.

Batu poprowadził ich do małej skałki trzysta metrów od monolitu, gdzie niskie zwały głazów wyznaczały pozostałości przytulonej do skały czteroizbowej budowli. Ruiny pustelni.

–Po drugiej stronie jest więcej murów – wyjaśnił z podnieceniem chłopiec, gdy zsiadali z wielbłądów. – I są tam twarze

tybetańskich bogów. – Rzucił się biegiem w stronę ruin, co parę sekund przystając, by zawołać, że wszystko w porządku, że to tylko Batu i jego przyjaciele.

Dogonili chłopca za skałą, przy ruinach, o których mówił. Wpatrywał się żalonym wzrokiem w resztki muru. Zbliżywszy się, Shan poczuł woń świeżej farby. Istotnie było tu niegdyś malowidło, bez wątplenia piękne, nawet po zawaleniu się ścian

zewnątrznych chronione przed zniszczeniem przez nawis skalny. Ale to należało już do przeszłości. Ściana została pokryta czarną farbą w sprayu, na niej zaś przyklejono dwa plakaty. *Zerwijcie okowy feudalizmu*, domagał się jeden. Drugi, zadrukowany drobnymi chińskimi znakami, był kopią dekretu zakazującego praktyk religijnych, które nie uzyskały akceptacji Urzędu do spraw Wyznań.

–Skąły – mruknął nagle Marco, wskazując na Sophie. Wielbłądzica zrobiła krok naprzód i wyciągała szyję ku wielkiej skale sterczącej na górującym ponad nimi zboczu. Eluosi pobiegł

chyłkiem w tę stronę, kiwając na Shana, i zniknął w wąskim prześwicie między dwoma głazami.

Shan dogonił go po drugiej stronie głazów, na skraju rozległej polany otoczonej kilkoma kamiennymi kopcami i resztkami długiego, nie związanego zaprawą muru z setek płaskich kamieni. Był to święty mur mani, w którym każdy kamień zapisany był buddyjską modlitwą. Znaleźli łąkę lamy, a na jej środku, przy świeżym kopczyku ziemi, klęczał samotny chłopiec.

Był to Malik z klanu Czerwonego Głazu. Szepcząc cicho, chłopiec gładził kopczyk dłonią. Gdy usłyszał ich kroki, odwrócił się gwałtownie i ze stłumionym okrzykiem zerwał się do ucieczki. Popędził w górę, ku kolejnej skale, gdzie Shan spostrzegł uwiązanego siwka. Był już niemal przy zwierzęciu, kiedy powstrzymał go okrzyk, który dobiegł zza pleców Shana.

–Seksek Ata! – zawołał dziecięcy głos. Shan odwrócił się i ujrzał stojącego trzy metry za nim Batu. Słyszał te słowa już wcześniej. Było to imię opiekuńczego bóstwa kóz, przezwisko Malika.

Malik odwrócił się i stał nieruchomo, przyglądając im się, dopóki Shan nie wspiał się na górę. Jego oczy szklily się z żalu i nie patrzył na Shana, ale na kopczyk.

–Spieszyłem się, bo inni chłopcy, których znalazłem, mówili że Khitai może tu być. Ale kiedy przyjechałem, oni już składali go do grobu – powiedział załamującym się głosem. – Gdybym był tutaj kilka godzin wcześniej, odprowadziłbym go w bezpieczne miejsce. – Chłopiec chwiał się na nogach. Trzęsły mu się ręce. Wydawał się zaledwie cieniem dziarskiego młodzika, którego Shan spotkał w obozowisku Czerwonego Głazu. Od tego czasu minął niemal tydzień. Chłopiec przemierzał wzgórze, tropiąc zheli,

wiedział, że śmierć czai się wszędzie, rozpaczliwie próbował zrobić coś, żeby ją powstrzymać. Sprowadził dwóch chłopców do obozu Czerwonego Głazu, mówiła Jakli. Lecz kolejny odnaleziony leżał już w ziemi.

Lokesh stanął nad grobem. Na kamieniu, trzy metry od mogiły, leżał płócienny worek. Lokesh spojrzał nań rozszerzonymi z przerażenia oczyma, po czym drobnymi, niepewnymi krokami ruszył ku niemu. Nim Shan zdążył stanąć u jego boku, Tybetańczyk pochylił się i wytrząsnął zawartość worka na kamień. Jego twarz jakby się zapadła.

Na skale leżał krótki łańcuszek z małych żelaznych ogniów i podłużna, zaśnieżona, miedziana kasetka inkrustowana turkusowymi kólkami – piórnik. Obok kasetki leżał poobijany metalowy kubek oraz kilka krótkich sznurków różnobarwnych paciorków, z drewna i plastiku, między którymi znajdował się jeden z zielonego nefrytu. Shan spojrzał jeszcze raz na piórnik. O taki Lokesh pytał w gabinecie Lau.

Coś utkwilo w wylocie worka. Shan wyciągnął to. Był to kawałek drewna w kształcie klina z wysuwającym wierzchem. Jeden z listów kharoszthi.

Żar w duszy Lokesha zapłonął i zdawał się trawić go od wewnątrz. Z jego piersi wydobył się dźwięk. Miał brzmienie mantry, ale był to po prostu przeciągły jęk, jak gdyby starzec zapomniał nagle słów. Zacisnął dłonie na metalowym kubku i spojrzał na Shana smutnymi, wilgotnymi od łez oczyma. Po raz pierwszy, odkąd Shan go znał, na jego twarzy pojawiło się coś jeszcze, coś, co Shan widział już wcześniej, u Bajysa, kiedy znaleźli go przy grocie Lau, jęczącego, że świat się skończył.

–Pasterze myśleli z początku, że spadł – odezwał się Malik za jego plecami – że może próbował wspiąć się na skałę z boską

flagą. – Shan odwrócił się. Młody Kazach stał sztywno, patrząc prosto przed siebie, niczym składający raport żołnierz. Wargi drżały mu, gdy mówił. – Ale jego spodnie były całe we krwi.

Wbito mu nóż w brzuch, ku górze, aż do serca. Miał rozdartą nogawkę i brakowało mu buta. Powiedzieli, że jego twarz była posiniaczona jak od kopniaków. Myślę, że Khitai się bronił.

Batu podszedł do Lokesha i zaczął głaskać go po plecach.

–Co miał w kieszeniach? – zapytał Shan. – Albo na szyi?

Malik nadal wpatrywał się tępo w grób.

–Nic. Wszystkie jego rzeczy były w worku. Oni zbierali się już do odejścia.

–A co z tymi pasterzami, chłopcze? – odezwał się ponuro Marco. – Dokąd oni poszli? Co widzieli?

–Wrócili do kryjówki. Ci dropkowie przyszli tu na jeden dzień, bo Khitai prosił ich o to, i zostawili swoje owce same, pod opieką psów. Mogli tylko wypowiedzieć parę słów nad Khitaiem i czym prędzej wrócić do stada. Teraz już długo nie pojawią się w dole. – Malik, mówiąc, wpatrywał się w Lokesha. Kruchy stary Tybetańczyk kołysał się w przód i w tył, jak gdyby dotknięcie Batu sprawiło go w ruch. – Pytałem ich. Oni nic nie widzieli. Zostawili Khitaia tutaj, przed malowidłem, a sami poszli w góry, na pastwiska, szukać zbłąkanych owiec. Ale to zrobiła ta kobieta, ta, którą nazywają Nefrytową Dziwką. Widziałem ją później, kiedy pasterze już poszli. Powiedziałem im, że zostanę tu, bo Khitai był moim przyjacielem, że chcę z nim chwilę porozmawiać, że odmówię kazachskie modlitwy za zmarłych, których dropkowie mogli nie znać. To właśnie robiłem, kiedy zobaczyłem, że ona wraca, żeby oślepić bogów.

Oślepić bogów. Malik, uświadomił sobie Shan, miał na myśli farbę rozpyloną na obliczach bóstw.

Marco podał chłopcu butelkę z wodą i kawałek nan. Malik łapczywie pochłonął chleb.

–Na tchnienie Boga – mruknął Eluosi do Shana. – To są przecież małe dzieci. Ta dziwka tropi je jak zwierzęta. – Położył dłoń na ramieniu Malika. – Musimy iść – oświadczył, omiatając wzrokiem niebo. – Ona zna to miejsce.

Shan, który w milczeniu zaczął zbierać dobytek Khitaia z powrotem do worka, wyjął kubek z rąk Lokesha, a Malik i Batu pomogli staremu Tybetańczykowi wstać. Gdy mała smętna procesja zniknęła między głazami, przystanął na chwilę przy grobie. Czterej chłopcy nie żyli. Jedna trzecia listy zheli. Uderzyła go fala bezradności, namacalna niczym cios w brzuch, powalając aa kolana. Opadł na ziemię, opierając dłonie na grobie.

–Przepraszam – usłyszał własny głos. Wiedział, że nie ma słów, którymi mógłby zwrócić się do martwego chłopca. – Od dałbym własne życie – ciągnął pewniejszym już głosem – byle móc

uchronić was od śmierci. – Mówiąc to, uświadomił sobie nagle, że Khitai nie był następnym chłopcem na liście. Być może po prostu nieszczęśliwym trafem znalazł się na łące lamy, gdy pojawił się tam zabójca. A może, pomyślał, przypominając sobie reakcję Lokesha przy grobie, pomylił się i morderstwa nie miały nic wspólnego z amerykańskim chłopcem. Czyżby przez cały czas celem był właśnie Khitai? Wyglądało to tak, jakby istniały dwa motywy, dwóch zabójców, dwie zagadki.

Kłęczał w milczeniu, dopóki z dołu nie dobiegło go wołanie Marca. W ostatniej chwili szybko przeciągnął palcami przez luźną ziemię kopca. W głowach grobu znalazł znajomy przedmiot, zakrzywiony kawałek drewna wyrzeźbiony na kształt ptaka, taki, jakie Malik robił dla martwych dzieci. Kilkanaście centymetrów dalej jego palce natrafiły na coś tak twardego i zimnego, że aż drgnął. Wydobył z ziemi czarne metalowe pudełko z pokrywką na zawiasach i otworzył je. Był to elegancki, wypełniony olejem kompas, na którego tarczy widniał czerwony krzyż, a wyżej słowa: *Made in Switzerland*. Wpatrywał się w niego z konsternacją. Taki przyrząd kosztował więcej, niż wynosił miesięczny zarobek większości pasterzy.

Marco zawołał ponownie. Shan na powrót zagrzebał ptaka w ziemi, schował kompas do kieszeni i wstał, ale zatrzymał się nagle. Podbiegł do muru mani, wybrał jeden z zapisanych tybetańskimi modlitwami kamieni i umieścił go w głowach grobu, po czym ruszył biegiem do swych towarzyszy.

Gdy do nich dotarł, Malik odciągał właśnie Marca od niedużego głazu w pobliżu ruin. Pod gładem była jakaś jamka.

–Nie podchodź do tej norki – ostrzegał chłopiec. – Tam siedzi demon.

Shan i Marco, wymieniwszy zdumione spojrzenia, zbliżyli się do otoczonego suchą trawą i gałązkami otworu. Marco uklęknął i zajrzał w głąb. Zaklął. Shan pochylił się i również to dostrzegł. W norce, niczym gniewne oko, jarzyła się czerwona kropka światła. Eluosi sięgnął do środka i wydobył najpierw sponiewierane ciało ziemnej wiewiórki, a potem małą kamerę wideo.

–Aktywowana ruchem – mruknął Marco, wyciągając kasetę. Cisnął ją wysoko w górę, na półkę skalną, po czym roztrzaskał kamerę o gład.

–Na koniec próbowali wylądować helikopterem przy fladze – Wyjaśniał Malik, gdy cała gromadka stała już przy wielbłądach -a le broniły jej wietrzne bóstwa. Więc tylko ostrzelali ją z karabinu. – Flaga istotnie wyglądała na bardziej postrzępioną niż wtedy, gdy Shan widział ją po raz pierwszy.

–Ale to nic – zapewnił ich Batu. – Bajys, przyjaciel Khitaia, mówił nam, że od czasu do czasu starcy z gór przychodzą tu naprawiać flagę, że robią to od setek lat. Starcy – powtórzył, poważnie kiwając głową. – A może bogowie gór.

Dosiedli wielbłądów, posadziwszy młodszego z chłopców za Lokeshem, i przejechali przez niski grzbiet górski. Gdy dotarli do końca głębokiej doliny, Marco zsiadł.

–To niebezpieczny odcinek. Musicie iść. I uważajcie. – Sprawdził uprząż wszystkich baktrianów i przywiązał cugle do siodeł. – Wielbłądy znają drogę. – Klepnął Sophie w zad, a ona rzuciła się żwawo w boczną ścieżkę, prowadzącą, jak się zdawało, do podnóża urwiska. Gdy jednak wielbłądzica zaczęła wspinać się wąskim, biegnącym zakosami szlakiem, Shan zorientował się, że to nie urwisko, lecz strome zbocze. Na szczycie, wysoko

w górze, Shan dojrzał wyniosłą, sterczącą jak komin skałę.

Mozolna wspinaczka trwała niemal godzinę. Gdy wreszcie przekroczyli grań, Shan przystanął zdumiony. Za granią rozciągał się niewielki, niewidoczny z dołu płaskowyż. Gęste kępy iglastych krzewów otaczały podnóże jakiejś wysokiej skały. Po chwili uświadomił sobie jednak, że to nie skała, lecz pradawna wieża strażnicza. Płaskowyż zamykały z dwóch stron skalne ściany, sięgające aż do wznoszącego się przeszło trzysta metrów wyżej szczytu. Na wysokości sześćdziesięciu metrów tryskało źródło, opadające długą, kryształową wstęgą do małego stawu. Dwie trzecie powierzchni płaskowyżu pokrywała łąka, na której pasło się kilka wielbłądów dwugarbnych.

–Armie tybetańskiego imperium – wyjaśnił Marco, stając obok Shana – budowały drogi w dolinach rzek wypływających z Kunlunu, po czym rozmieszczały garnizony w miejscach, gdzie dawało się ich bronić. – Machnął ręką w stronę starej wieży. – Odbudowali ją pasterze. Kiedy mój ojciec próbował wyprowadzić naszą rodzinę z Chin do Indii, ścigał go patrol wojskowy. Ukryliśmy się tutaj, gdy żołnierze przeczesywali teren. Po tygodniu

rozchorowała się moja matka. Po miesiącu uciekły nam wielbłądy. Po jakimś czasie ojciec zaczął budować. „Przeczekamy tu zimę”, powiedział, „tutaj jesteśmy bezpieczni”. „Możemy równie dobrze zostać na lato”, powiedział później, „tu są dobre tereny łowieckie”. – Marco wzruszył ramionami. – To było prawie czterdzieści lat temu. Wciąż budowaliśmy.

Gdy prowadzili wielbłądy wzdłuż murów otaczających wieżę, stopniowo ukazywała im się potężna budowla z bali, wznoszona najwyraźniej etapami, począwszy od przylegającej do wieży izby, z której prowadziło przejście do trzech przybudówek o różnej wysokości. Po obu stronach solidnych drewnianych drzwi z ręcznie wykonanymi okuciami ciągnęły się zaniedbane grządki kwiatowe. Za budynkiem, pod najwyższą sosną na płaskowyżu, stał wielki krzyż z dwiema poprzeczkami, pod nim zaś dostrzegli trzy groby.

Shan i Marco zdjęli wielbłądom siodła, Malik i Batu tymczasem odprowadzili Lokesha do pieńka, na którym stary Tybetańczyk usiadł, wspierając głowę dłońmi. Odkąd opuścili grób Khitaia, nie odezwał się ani słowem. Marco spojrzał na starca ze smutkiem, po czym objął obu chłopców ramionami i poprowadził ich ku drzwiom. U wejścia wyszedł przed nich, uklonił się lekko i szerokim ruchem ręki zaprosił ich do środka.

– Witajcie w letnim pałacu cara – powiedział.

Weszli do ciepłego, przytulnego pokoju o zasłanej grubymi dywanami podłozie z desek. Na ścianie po obu stronach wejścia wisiało kilka skór wielkich zwierząt. Popołudniowe słońce, które wniknęło tu przez otwarte drzwi, odbijało się od ogromnego mosiężnego samowaru ustawionego na stole w głębi pokoju. Shan z podziwem ruszył ku niemu, jednak jego uwagę odciągnęło od naczynia kilka wiszących nad nim małych, wyblakłych, czarno-białych zdjęć. Przedstawiały one mieszkańców innego świata. Z jednej z pożółkłych fotografii patrzył na niego starszy mężczyzna w okularach. Miał długą białą brodę, a w jego oczach zdawał się płonąć bunt lub może gniew. W następnej ramce ów mężczyzna z brodą, teraz ostro przystrzyżoną, stał obok pięknej, odzianej w futra kobiety o jasnych włosach. Za nimi czekał zaprzężony w konie powozik z woźnicą. Usta kobiety były rozchylone w uśmiechu, jakby właśnie oznajmiała dobre nowiny.

Ta sama para pojawiła się na kolejnym zdjęciu, na tle poszarpanych gór. Tym razem obydwójce ubrani byli w proste wełniane kurtki. Broda mężczyzny odrosła, a włosy kobiety splecione były w warkocze, jak zwykły chłopek do pracy w polu. Mężczyzna trzymał w ramionach dziecko, chłopca o wyzywającym spojrzeniu pełnym siły, której, jak się zdawało, zabrakło już jego rodzicom. W dolny róg ramki wetknięte było inne zdjęcie, także wyblakłe, ale nowsze. Przedstawiało inną kobietę, o wyrazistych rysach ogorzalej twarzy i jasnych włosach obwiązanych chustką. Batu wymknął się na zewnątrz i wrócił po chwili, prowadząc Loksha.

–Rodzina – odezwał się stojący za Shanem Marco. Jego głos brzmiał łagodnie. – W lepszych czasach. Niedaleko Yining, na północy. – Podeszedł ku wielkim, uchylonym lekko drzwiom wewnętrznym, za którymi widać było salę o kamiennych ścianach. Dolna kondygnacja starej wieży strażniczej. – Najlepsze miejsce dla Rosjanina, żeby ukryć się przed Moskwą. Ale potem, w pięćdziesiątym roku, ktoś w zafajdanej centrali Partii w Pekinie rozłożył mapę i zobaczył wielką pustą przestrzeń zbyt rzadko usianą czerwonymi chorągiewkami. Kiedy wysłali oddziały do Turkiestanu, uznali, że naturalną granicę powinny stanowić góry na zachodzie. Yining był po tej stronie, więc przysłali tu parę tysięcy emerytowanych żołnierzy. – Pstryknął palcami. – Tak po prostu Yining przestał nagle być wolnym, prawomyślnym, rosyjskim miastem, stał się miastem chińskim. Astarzy mieszkańcy mieli tylko jedno prawo. Do odejścia. Tyle że wtedy nie było już dokąd odejść.

–Tu nie jest tak źle – zauważył Shan.

Marco wzruszył ramionami.

–Jasne. To nasz własny, mały świątek. Czasem zaglądamy tu pasterze. Ojciec wymieniał futra na rzeczy, których potrzebowała matka. Żyło nam się dobrze. Potem przyszła gorączka. Miałem czternaście lat. Tacy jak my nie mogli liczyć na pomoc lekarzy. Kiedy gorączka ustąpiła, obudziłem się, sam jeden w łóżku. Ojciec leżał martwy na kopcu świeżej ziemi. Pomyślałem, że ukrył rodzinne skarby, więc rozgrzebałem ją. Istotnie zakopał nasz skarb. Umarł, złożywszy do grobu moją matkę. – Marco odwrócił się i poszedł w głąb wieży.

Shan, rozglądając się dookoła, spostrzegł, że Lokesh odchylił skraj wiszącego w przeciwnym kącie koberca i zagląda do otwierającego się za nim mrocznego korytarza. Gdy stary Tybetańczyk zniknął w ciemności, Shan ruszył za nim, zostawiając Batu i Malika, którzy wpatrywali się w swe odbicia w samowarze.

W korytarzu znajdowało się troje drzwi o framugach z ociosanych kłód. Pierwsze prowadziły do dużej sali z małym żelaznym piecykiem oraz stołem z desek, wokół którego ustawiono krzesła, każde z innej parafii, jedno surowe, z solidnych gałęzi, inne delikatnej snycerskiej roboty, z wybrudzonymi, niegdyś eleganckimi jedwabnymi siedzeniami. Pod sufitem wisiał poleć suszonego mięsa i małe warkocze cebuli.

Lokesh stał przy drugich drzwiach i z zaciekawieniem przyglądał się następnemu wnętrzu. Shan, patrząc mu przez ramię, spostrzegł, że ściany pokoju obwieszane są wyrwanymi z czasopism zdjęciami przedstawiającymi konie, ptaki oraz zachodnich aktorów i aktorki, w większości z angielskimi podpisami. Z dwóch masywnych belek pod sufitem zwisało kilka futer. Na ścianie nad zastawionym książkami regałem wisiał plakat gwiazdy rocka z Hongkongu. Obok drzwi stało łóżko: zwykły siennik na prymitywnej drewnianej ramie. Na kołkach nad łóżkiem wisiał rząd wojskowych czapek, w większości chińskich, choć Shan zauważył wśród nich również czapki innych armii. Przyjrzał im się uważniej. Była tam indyjska i pakistańska, i jeszcze inna, której nie znał. Pod czapkami dostrzegł samotną fotografię roześmianej dziewczyny na koniu. Jakli. Na postawionej na sztorc kłodzie, która służyła za nocny stolik, stał magnetofon kasetowy, na którym leżało pudełko po taśmie. *Advanced conversational English*, głosił tytuł. Lokesh wziął z kąta przy drzwiach ciężką laskę i pokazał ją Shanowi. Wzdłuż laski wycięto łacińskim alfabetem imię Niccolo.

–To nie jest rosyjskie imię – zauważył Shan. – Niccolo. Nie rosyjskie ani nie kazachskie.

–Włoskie – odpowiedział bas z za ich pleców. – Przed Markiem Polo Jedwabny Szlak przemierzył jego ojciec, Niccolo. On pierwszy zawędrował w tę część świata. Niccolo Polo Miagow – oświadczył Marco z dumą w głosie.

–Tak więc historia się powtarza – zaryzykował domysł Shan, odwracając się w drzwiach. To nie na same małżeństwo czekała Jakli i nie dla samego małżeństwa Lau chciała ją ochronić, zatrzymując pod kuratelą. Nikki prowadził ostatnią karawanę, powiedział Osman. Shan nie zrozumiał z początku, co znaczyły słowa, które Jakli skreśliła, gdy zwałił się na nich karaburan, gdyż pisała po angielsku. *Będę razem z tobą w pięknym kraju*. Miała na myśli Mei Guo, po chińsku właśnie „piękny kraj”. Amerykę.

Marco przez chwilę przyglądał mu się rozszerzonymi oczyma, w końcu jednak wzruszył ramionami. Sięgnął po jeden z dwóch innych drewnianych kijów, które stały w kącie obok laski, i z roztargnieniem zaczął obracać go w rękach. Była to gładka, zwężająca się z jednej strony i zakończona gałką pałka. Kij baseballowy, uświadomił sobie nagle Shan.

–Z początku nie był pewny. Potem musiał przekonywać Jakli. Ona powiedziała, że nie wydaje jej się, aby w Ameryce były

konie, że wszyscy Amerykanie mają po dwa samochody i nie potrzebują koni. Ale Deacon wyjaśnił jej, że ludzie trzymają konie dla przyjemności. Powiedział, że ma ranczo. Obiecał, że kupi im konie. Tak więc wyjeżdżają, Bogu dzięki.

Wyjeżdżają. Jeszcze niedawno Shan sam wyjeżdżał, a przynajmniej mógł udawać, że wyjeżdża. Ciężarówka do Nepalu odjechała. Stracił rachubę dni. Może właśnie dziś był umówiony dzień i ktoś na granicy czekał na niego, godzinę, dwie, być może cały dzień, nim wreszcie uznał, że coś przeszkodziło Shanowi w drodze do wolności. W jakiś sposób to, że nie udało mu się uciec, sprawiło, że tym ważniejsze stało się dla niego, by Nikkiemu i Jakli się powiodło.

Marco westchnął i rozejrzawszy się po pokoju syna, skinął na gości, by ruszyli za nim.

–Czas, żebyście zarobili na utrzymanie.

Zaprowadził ich do Sophie, która stanęła obok Lokesha i zbliżywszy swe wielkie wilgotne oczy do oczu Tybetańczyka, przyglądała mu się z niezwykłą uwagą. Marco wyszarpnął ze stojącego obok pniaka mały metalowy hak i wręczył go Shanowi.

–Buty – rzucił krótko i podał Lokeshowi szczotkę. – Torby. –

Na dźwięk tych słów starzec jakby się przebudził i z lekkim uśmiechem sięgnął po szczotkę.

Marco pokazał Shanowi, jak oczyścić hakiem raciczki wielbłądów z kamyków i gałązek, po czym zademonstrował Lokeshowi na Sophie, jak ma szczotkować gęstą sierść na garbach. Na koniec wyciągnął z kieszeni garść kostek cukru i wręczył je chłopcom, którzy ochoczo podali smakołyki wielbłądom.

Gdy Malik podszedł z ostatnią kostką do swojego konia, Shan ruszył za nim.

–Widziałem, co było w jego grobie – powiedział do pleców chłopca.

Malik jedynie skinął głową, głaszcząc szyję zwierzęcia.

–Czy to był Kompas Khitaia? – zapytał Shan.

–Nie – wyszeptał chłopiec, jakby się bał rozmawiać na ten temat. – Jego rodzice z zheli powiedzieli, że znaleźli go obok zwłok, tuż przy skale. Khitai musiał wyrwać go zabójcy. – Stał twarzą do Shana. – W dawnych czasach, kiedy wojownik poległ w bitwie, grzebano go z trofeami, które odebrał wrogom. – Wzruszył ramionami i znów odwrócił się do konia.

Jedli warzywa ugotowane przez Lokesha na małym żelaznym piecyku. Potem Shan wyszedł na dwór, i ruszył w stronę pastwiska, patrząc, jak wschodzą wieczorne gwiazdy, słuchając pogodnego szumu wodospadu, chłonąc spokój tego miejsca. Z tyłu chatki spostrzegł migoczące światło i znalazł tam Marca z latarnią. Eluosi głąkał Sophie po grzbiecie i rozmawiał z nią ściszym głosem. Shan usiadł na kłodzie i przyglądał się temu. Sądził, że Marco nie spostrzegł go, jednak parę minut później Rosjanin, nie odwracając się, skinął na niego ręką.

–Możesz podrapać ją po uszach – powiedział. – Ona to lubi, zwłaszcza po długiej drodze.

W milczeniu zajęli się zwierzęciem.

–Jest ładna – zauważył Shan po jakimś czasie.

Marco z zadowoleniem pokiwał głową.

–I mądra jak dwóch Chińczyków – dodał. Po chwili uniósł wzrok i otworzył usta, jak gdyby zamierzał przeprosić, nie zrobił tego jednak.

–Twój syn ma własne wielbłądy? – zagadnął Shan.

–Woli konie. Dorastał, jeżdżąc z klanem Czerwonego Głazu. Ma silnego górskiego konia, karosza. Ród matki Nikkiego miał w żyłach kozacką krew.

–Więc ona też podróżuje? – zapytał Shan.

Marco zamilkł.

–Nie tutaj – odparł tonem, który uzmysłowił Shanowi, że posunął się za daleko. Przypomniał sobie, że pod krzyżem były trzy groby.

–Ja też mam syna – powiedział cicho Shan. – Miałby teraz osiemnaście lat.

–Miałby?

–Nie wiem – zająknął się. – Nie widziałem go od ośmiu lat.

Marco spojrzał na Shana, jakby zrozumiał, że i niektóre z jego wspomnień są zbyt bolesne, by o nie wypytywać.

–Osiemnaście lat. Już nie jest chłopcem – powiedział. – To mężczyzna. Niewiele młodszy niż mój Nikki. Czy on miał konia, kiedy był mały?

–Nie. Nie miał konia.

–Więc może wielbłąda? – Sophie stała z zamkniętymi oczyma, ale strzygła uszami, jak gdyby śledziła ich rozmowę.

–Nie.

–Ach – westchnął Marco ze współczuciem. – Nie każdemu dane jest jeździć w tym życiu. – Wyciągnął drewniany grzebień, którym zaczął rozczesywać sierść na szyi Sophie. Po minucie podał go Shanowi i położywszy swą wielką dłoń na jego dłoni, łagodnie przeciągnął grzebieniem wzdłuż szyi zwierzęcia, niemalże je głaszcząc.

–Moja Sophie – westchnął. – Ona ma duszę głębszą niż niejeden człowiek. Rozmawiam z nią. Ona rozmawia ze mną. Wyczuwa obcych zza dwóch gór. Cholernie mało jest ludzi, których towarzystwo bardziej sobie cenię niż jej. – Obszedł wielbłądzicę dookoła, jakby robił końcowy przegląd, po czym 'spojrzał wyczekująco na Shana. – Proszę ze mną, panie Shan. Chcę panu coś pokazać.

Zaskoczony Shan uniósł wzrok. Marco mówił po angielsku.

–Shan. Sh-aann. – Eluosi bawił się tym słowem, prowadząc Shana przez frontowe drzwi. – To nie jest angielskie imię. Po angielsku powinieneś nazywać się John. Tak – dodał z satysfakcją. – John. Johnny, jak czasem mówią.

Shan uśmiechnął się.

–Jak na amerykańskim filmie – odparł w tym samym języku.

–Ach, właśnie! John Wayne! – Wykrzyknął Marco i wrócił na mandaryński. – Mówisz po angielsku lepiej niż ja.

–To dzięki ojcu – wyjaśnił Shan, a Marco pokiwał głową, jakby to tłumaczyło wszystko.

Weszli do pokoju na końcu korytarza, obszernej izby o nierównych ścianach z bali. Stało tu olbrzymie łóżo z rozszczepionych kłód, a na nim piętrzyły się filcowe koce i futra. Z krokwi zwisały skóry. Na ścianie wisiała szabla, a na kołkach przy drzwiach dwa stare rewolwery. Stół przy łóżku zasłany był anglojęzycznymi czasopismami. Co dziwne, chyba wszystkie były poświęcone wędkarstwu oceanicznemu. Shan podniósł leżący na wierzchu egzemplarz.

–Byłeś nad oceanem? – zapytał niepewnie Eluosi. Wyraźnie starał się ukryć ciekawość w głosie, ale zdradziły go oczy. Przez krótką chwilę Shan widział w nich zapał małego chłopca. Na ścianie za Markiem wisiały stare kalendarze, każdy z pojedynczym barwnym zdjęciem plaży nad oceanem lub wyspy. Jak przypuszczał Shan, Marco żył dalej od oceanu niż ktokolwiek inny na świecie.

–Gdy byłem chłopcem, mieszkałem w prowincji Liaoning -odparł. – Blisko morza. Rodzina mojej matki pochodziła z rybackiej wioski.

–Plaże! – Wykrzyknął Marco po angielsku. – Biały piasek niczym ciepły śnieg. Woda jak okiem sięgnąć. I tuńczyki. – Spojrzał na jeden ze swoich kalendarzy, ze zdjęciem przedstawiającym skalisty, porośnięty świerkami brzeg i samotną drewnianą chatę o jaskrawożółtych okiennicach. – Taki tuńczyk może ważyć nawet przeszło tysiąc amerykańskich funtów – oświadczył z powagą. – To bojowa ryba, nie dla tchórzy albo słabeuszy. – Znów zerknął na stertę czasopism.

Shan wyobraził sobie, jak Marco zimą, gdy całymi dniami sypie śnieg, leży na futrach i uczy się na pamięć fragmentów artykułów ze swych czasopism.

Na jednym z kalendarzy było zdjęcie mężczyzny w śnieżnobiałej koszuli wciągającego długą srebrną rybę na olśniewająco białą łódź.

–W mojej rodzinie od pięciu pokoleń nikt nie widział oceanu – oświadczył Marco z tęsknotą. – Słona woda. Pełna ryb,

smakowitych ryb, ciężkich jak wół, delikatnych jak pianka. – Utkwił w Shanie poważne spojrzenie i nachylił się ku niemu, jak gdyby zamierzał zdradzić mu wielki sekret. – Jest takie miejsce, Alaska – oświadczył, zniżając głos. – Są tam góry, jak tutaj. I ocean. Widziałem zdjęcia. Nikki ma książki, w których jest o tym mowa. Ryby olbrzymy. Smaży się je na maśle. I wiesz co jeszcze, Johnny? – zapytał z błyskiem w oku. Shan wzruszył ramionami.

–Nigdy tam nie byłem – powiedział.

–Tam są Rosjanie. Emigranci z czasów carskich. Rosjanie, którzy mówią po angielsku. Którzy są wolnymi ludźmi.

Shan uśmiechnął się. Uświadomił sobie, że lubi tego człowieka nie tyle z powodu śmiałości jego czynów, ile śmiałości jego marzeń.

Marco wydobył z drewnianej skrzynki grubą księgę, album ze starymi zdjęciami, i skinął na Shana, żeby usiadł obok niego na łóżku. Pospiesznie przewracał strony, aż znalazł to, czego szukał: połamane wyblakłe zdjęcie wielbłąda okrytego czymś, co wyglądało jak jedwabny sztandar. Uzdę wielbłąda trzymał jakiś łysy wąsaty mężczyzna. Przy drugim boku zwierzęcia stał człowiek o europejskich rysach. Był w ciężkiej, futrzanej uszance, ulubionym przez Rosjan zimowym nakryciu głowy. Na płaszczu Europejczyka lśniło odznaczenie w kształcie gwiazdy. Po obu stronach tej trójki stali dwaj surowi strażnicy w turbanach, każdy z długą strzelbą na ramieniu.

–Prababka Sophie – oświadczył Marco z dumą.

–Dostrzegam pewne podobieństwo – odparł uprzejmie Shan.

Wprawił tym Marca w zachwyty. Eluosi, uśmiechając się szeroko, zamknął album i wskazał na przedmiot wiszący na rzemyku opasującym kolumienkę łóżka. Uniósł go, by Shan mógł się mu przyjrzeć. Okazało się, że to odznaczenie ze zdjęcia.

–Mój pradziadek otrzymał ją z rąk samego cara – wyjaśnił z dumą Marco. Była to złota gwiazda z czerwono emaliowanymi ramionami i wizerunkiem jeźdźca pośrodku. Eluosi przyglądał się jej przez chwilę z satysfakcją, a następnie spojrzął na ścianę, jakby zerkał na niewidzialny zegar. – Czas iść na górę. Zawsze chodzimy na górę – oznajmił, po czym wstał i długimi, niespiesznymi krokami opuścił pokój.

Shan zajrzał do chłopców, którzy spali w pokoju Nikkiego, a następnie odnalazł Marca na szczycie wieży. Spoglądał w dal, jak gdyby kogoś wypatrywał.

–To twoje spotkanie z Nefrytową Dziwką to niebezpieczny pomysł – powiedział zamyślony Eluosi, nie odwracając głowy. – Słyszałeś, co mówił ten chłopak. Ona zabiła Khitaia.

–Nie wiem, czy to prawda. Malik zobaczył ją tam następnego dnia, to wszystko. Nie widziałeś twarzy Xu, kiedy przyniesiono jej Kublaia. Była przerażona. Nie udawała.

–Najgorsze, co mógłbyś zrobić, to zlekceważyć ją.

–Jeszcze gorzej byłoby źle ją zrozumieć – zaproponował Shan.

Marco odchrząknął sceptycznie.

–Dlaczego miałyby tam wracać? I dlaczego nie zniszczyła malowideł od razu, gdy zabiła Khitaia?

Zirytowany Marco gwałtownie rozłożył ręce.

–Może nie miała farby. Albo chciała wrócić po tę kamerę.

–Nie wiem. Niewykluczone, że mamy do czynienia z więcej niż jednym zabójcą – stwierdził Shan. – Kublai i Suwan zostali zastrzeleni. Altę i Khitaia pobito i zadźgano.

–Może było czterech zabójców – odparł ponuro Marco. – Ktoś ogłosił sezon polowań na chłopców.

–Ale wszystkim brakowało jednego buta – dodał Shan nieobecny głosem. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Obserwowali księżyc. Przyłapał się na tym, że nasłuchuje świerszczy. – Kiedy przyjechaliśmy tu dzisiaj – odezwał się po kilku minutach – myślałeś, że ktoś może czekać. Z powodu srebrnej uzdy.

W świetle księżycy zobaczył, że Marco kiwa głową.

–Osman. Z końmi.

–Srebrna uzda była sygnałem – ciągnął Shan – oznaczała nowy plan. Szybszy plan, dla następnej karawany.

Marco skinął głową.

–Srebrna uzda to prezent dla Jakli – wyjaśnił. – Ślubny prezent. To oznacza po prostu: szykuj się na święto koni, na Nadam.

Ale Jakli nie szykowała się do ślubu. Była w górach, kryjąc się przed pałkarzami, usiłując ocalić sieroty. Może, pomyślał z nadzieją, spotka tam swojego Nikkiego, może on zdoła ją przekonać, żeby się nie narażała.

–Czegoś nie rozumiem, Marco – odezwał się znów po długim milczeniu. – Jesteś przemysłowcem, ale mieszkasz ze dwieście kilometrów od granicy.

–Nigdy nie odważyłbym się mieszkać bliżej. To zbyt niebezpieczne. Jak przebywanie pod nosem smoka. – Eluosi uniósł wzrok ku księżycowi i ziewnął. – Rozumujesz zbyt tradycyjnie, jak policjant. Jest wiele rodzajów granic. Za następnym grzbietem jest Aksai Chin. Sporne terytorium. Indie twierdzą, że należy do nich. Kiedyś to była część Ladakhu – dodał, mając na myśli region graniczny między

Pakistanem i Indiami, obejmujący górny bieg Indusu.

–Ale Aksai Chin jest pod kontrolą Armii Ludowo-Wyzwoleńczej – przypomniał mu Shan. – Wszędzie są żołnierze. I wioski. Muzułmańskie. Tybetańskie. – Przewożono go przez te sporne tereny w jednym z owych opancerzonych samochodów, których pałkarze używali do transportu więźniów specjalnych. Podczas przerwy w podróży, kiedy pozwolono mu na dziesięć minut gimnastyki, po raz pierwszy zobaczył w oddali flagi modlitewne na kamiennych kopcach. Przypomniał sobie, jak zamroczony narkotykami sądził, że musieli trafić na jakieś święto.

–Odkryłem pewną prawidłowość, Johnny – oświadczył konspiracyjnym tonem Marco. – Czasami im bardziej się przyglądasz, tym mniej widzisz.

Księżyc jarzył się na obrzeżu tak świetliście, tak czysto, że wydawał się zrobiony z lśniącej porcelany. W oddali jaśniała poświata wysokich pól śnieżnych.

–Wojsko ma potężne pieczary – powiedział Marco. – Sprowadzili z obozów pracy tysiące niewolników do drążenia gór.

Niektórzy twierdzą, że cała tybetańska granica stanowi jeden ciąg wydrążonych gór, pełnych żołnierzy. Wojsko ma swoje pieprzone pociski i radary. Niech indyjski albo pakistański samolot pojawi się w zakazanej strefie, a zestrzelą go w parę sekund. Ale powiedzmy, że przelatuje orzeł. Nie zauważą go, bo śledzą za pomocą radarów. Wypatrują metalu. My dwaj obserwowalibyśmy niebo. Ale oni po prostu siedzą wewnątrz gór i obserwują ekrany.

Tak samo jest, jeśli przez którąś z przełęczy przejeżdżają wojskowe ciężarówki albo czołgi – ciągnął Eluosi. – Ich czujniki je

zauważą. Ale jednego czy dwa wielbłądy niekoniecznie. Wszędzie indziej mają patrole, ale niektóre miejsca są tak ważne, że stosują tam wyłącznie nadzór elektroniczny. Niewielka grupa, jeżeli jest ostrożna, może się przemknąć. Nie należy mieć ze sobą metalu ani wydawać ostrych dźwięków. Trzeba zmieniać szlaki, używać różnych technik. – Westchnął i wskazał palcem spadającą gwiazdę. – Przerzut można zorganizować, siedząc dwieście kilometrów od granicy. Czasami mądry człowiek może nawet znaleźć sposób na przemykanie bez przemytników.

–Nie rozumiem.

–Ciężarówki, na przykład. W Xinjiang jest wielki popyt na solidne ciężarówki. Więc w zeszłym roku sprowadziłem pięć ciężkich ciężarówek z indyjskimi barwnikami dla fabryk dywanów. Patrol graniczny przetrząsnął je jak należy, ale wszystko było legalne. Nigdy się nie domyślili, że przemycałem ciężarówki. Zresztą pięć samochodów wracało z tymi samymi dokumentami. Tyle że te były dwadzieścia lat starsze i rozsypywały się w oczach. – Zachichotał pod nosem. – Raz zrobiłem to nawet z autobusem.

I nauczyłem się czegoś jeszcze. Kiedy kontrabanda nie jest kontrabandą? – Odwrócił się do Shana, opierając się plecami o starą, kamienną balustradę. – Kiedy towar sprowadzają władze.

Shan skinął głową. W swym pekińskim wcieleniu zajmował się przede wszystkim właśnie tropieniem korupcji. Kiedyś odkrył, że cały transport urządzeń przeszedł bez przeszkód kontrolę celną, ponieważ przemytnicy mieli fałszywe dokumenty stwierdzające, że jest to dostawa dla Ministerstwa Przemysłu Naftowego.

–Jeśli ktoś z władz chce zrobić zakupy, nikt nie pyta, skąd masz towar. Czasem nawet są skłonni przymknąć oko na posterunku granicznym.

–Chcesz powiedzieć, że zdarza ci się pracować dla władz?

Marco zmęł w ustach przekleństwo.

–Nigdy. Mówię tylko, że czasem, kiedy jakiś zachłanny oficer chce pewnych zachodnich towarów, zdarza się, że składa zamówienie, i zdarza się, że kieruje patrol w inną stronę, by jego dostawa dotarła bez przeszkód.

–A czasem się zdarza, że przez granicę przechodzą ludzie – domyślił się Shan. – Przechodzą i zostają po drugiej stronie. Nikki chodzi w tę i z powrotem.

–Jasne. Od czasu do czasu można się przemknąć obok silosów z raketami. I są inne drogi, w śniegach, przez wysokie przełęcze, na których nie zobaczysz ciężarówek ani chińskich żołnierzy. Szlaki, o których wie tylko kilku starych myśliwych. Gdzie równie łatwo jak od kuli można zginąć od zimna i wiatru. Nikki dobrze je zna. Chodził na drugą stronę po konie. Zna pewnego handlarza końmi w Ladakhu, po drugiej stronie granicy.

–Białe konie – podsunął Shan.

–Właśnie. Dla Jakli.

–Na ślub. Podczas Nadamu.

Marco skinął głową.

–Wszyscy Kazachowie tam będą, te kilka starych klanów, które tu pozostały. Początek już za cztery dni. To ostatni Nadam klanów z okręgu Yoktian – dodał ponuro.

Shan zastanowił się.

–Lau miała tam być, prawda?

–Jakli prosiła ją, żeby została jej świadkiem. Lau była dla niej jak matka.

–Ale po co sprowadzać konie, skoro oni wyjeżdżają?

Marco chrząknął.

–Nie możesz się powstrzymać, prawda? Nie możesz powstrzymać się od pytań?

–Nie, kiedy morderca wciąż ściga chłopców.

Marco mruknął rozdrażniony, co Shan uznał za oznakę kapitulacji.

–Nikki musi sprowadzić konie. Musisz zrozumieć, czym one są dla Kazachów.

Tego nie ma u Chińczyków. Ani u Rosjan. Konie bywają równie ważne jak rodzina.

–Jak niektóre wielbłądy.

–To coś innego niż ja i Sophie. Starzy ludzie opowiadają o tym, jak splecione są dusze koni i dusze Kazachów. Nadają koniom imiona po swoich dzieciach, a dzieciom po swych koniach. Najważniejszy moment w życiu Kazacha przypada na dzień, gdy dostaje swoje pierwsze siodło, co oznacza, że jest już dość duży,

by jeździć sam. Oni mają setki słów dotyczących typów koni i ruchów koni. Opowiadają historie o koniach, które żyły pięćset lat temu. Mają starych szamanów, którzy potrafią rozmawiać z końmi. Stary Kazach, jeśli zachoruje, nie zbliży się do chińskiego szpitala. Ale jeśli zachoruje mu koń, zrobi dla niego wszystko, nawet poprosi o pomoc chińskiego lekarza. Nikki wiedział, ile to znaczy dla Jakli, jak ważne jest dla niej, by uczynił zadość tradycji i ofiarował choćby jednego białego konia jej rodzinie. Aby oddać cześć jej samej, aby oddać cześć Akzu. Aby oddać cześć jej zaginionemu ojcu. W dawnych czasach darowywano mnóstwo koni, dawali przyjaciele i krewni. Któregoś Nadamu widziałem obozowisko z dwiema setkami białych koni.

–A więc Akzu dostanie konie – zauważył Shan. Akzu, które

go klan przestaje istnieć, którego stada przechodzą na własność państwa. – Ale Jakli i Nikki opuszczają Chiny. Jadą do Ameryki. To dlatego ona nie boi się już Xu, jest tylko na nią wściekła.

Ale w jaki sposób? Którędy? Przez Aksai Chin?

Marco znowu warknął.

–Nie pytaj o to, czego nie mogę ci powiedzieć.

–Tu już nie chodzi o Lau – odparł Shan. – Chodzi o bezpieczeństwo Jakli i Nikkiego. O chłopców. O klan Czerwonego Głazu.

Marco oparł dłonie na balustradzie i spojrzał na szczyty skąpane w świetle księżyca.

–W porządku – westchnął. – Jest specjalny szlak. Niezawodny. Można z niego skorzystać tylko raz. Łodzią.

–Przecież tutaj rzeki nie są żeglowne – zaproponował zdumiony Shan.

–W strefie baz rakietowych nadal zatrudniają robotników do drążenia gór. Więźniów. Głównie Kazachów, Tybetańczyków, Ujgurów. Przywożą ich autobusami, które kursują w tę i z powrotem dwa razy w miesiącu. Wielka budowa na końcu drogi, za główną bazą w Rutogu, w Tybecie.

Shan słyszał o Rutogu. Około dwustu kilometrów od Xinjiang. W pobliżu granicy z Indiami. Strefa nuklearna, centrum sterowania rakiet balistycznych.

–Jest tam wioska zwana Ramchang, nad jeziorem długim na

jakieś trzydzieści kilometrów. Granica z Indiami, prawdziwa granica, przechodzi w poprzek jeziora.

–W takim razie wojsko musi mieć na nie oko.

–Jasne. Elektroniczne, bo to tak ważny odcinek. Wiesz, na wypadek, gdyby Hindusi wysłali na nich pancernik. Ale znamy tam człowieka, tybetańskiego myśliwego, któremu pozwolono zostać w strefie nadgranicznej, bo jego córka była w specjalnej partyjnej szkole w Lhasie.

–Zakładniczka.

–Właśnie. Tyle tylko, że Lhasa zapomniała poinformować armię, że jego córka parę miesięcy temu zginęła w wypadku drogowym. Facet szykuje się do wyjazdu i potrzebuje trochę pieniędzy.

–Nawet jeśli zgodzi się przewieźć was przez jezioro, wojsko może wykryć...

–On ma niewidzialne łodzie – odparł z rozbawieniem Marco. – Z wikliny i skór jaka. Niewykrywalne dla radarów. Już to sprawdzono.

–Chcesz powiedzieć, że korzystają z nich purbowie? – domyślił się Shan.

–Raz płynął też chłopak o imieniu Mao, z pewnymi naukowymi próbkami. Oni mają własne łodki. My mamy „pandy”.

–Pandy?

–Taką pobiera opłatę. Cztery osoby w łódce. Jedna złota „panda” za łódkę.

Dłoń Shana zacisnęła się na kamiennej balustradzie.

–Ciocia Lau – szepnął.

–Co z nią?

–Ona też miała popłynąć.

–To był prezent dla Nikkiego i Jakli. Załatwiłem to. Jeden z moich darów na nową drogę życia.

–Ale Nikki i Jakli jadą do Ameryki.

Marco westchnął.

–Z początku mieli inne plany. Ale potem spotkali Amerykanów. Ta Nitka stała się dla Jakli jak jeszcze jedna ciotka. Nitka

Wracała z synem, żeby pisać swoją książkę, żeby znów umieścić chłopca w amerykańskiej szkole. Mao pracowali nad jej

wyjazdem. Potem Jakli porozmawiała z Nitką. Nitka porozmawiała

z paroma Mao. Pewni Mao rozmawiali ze mną. Wkrótce dla nich też załatwiono łódkę. Potem Nitka i Deacon zaproponowali Nikkiemu i Jakli, żeby zamieszkali u nich. Nikki chce jechać na Alaskę, zbudować chatę, żeby tam kiedyś pojechać. Ale Nitka mówi, żeby najpierw poszedł na uniwersytet, ona da im pieniądze za pomoc przy tłumaczeniu i objaśnienie badań. Mao też tego chcą... twierdzą, że Jakli mogłaby w Ameryce wygłaszać przemówienia o tym, co Pekin robi w Xinjiang. Shan powiedział Marcowi o złotej „pandzie” ukrytej w pudełku łamigłównicy Lau.

–Zapłata za łódkę – wyjaśnił Eluosi. – Dla Lau, na podróż.

Dla Lau i kogoś jeszcze. Być może Bajysa i Khitaia.

Shan spojrział na Marca, który ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w księżyc.

–Jak ty to powiedziałaś? Że nie mogę się powstrzymać? Tak

jak ty nie możesz się powstrzymać przed ukrywaniem różnych

spraw. Ona przyjechała do Karaczuku do ciebie, prawda? Była

przeżrana. Wiedziała, że Jakli wyjeżdża. I tamtej nocy prosiła, byś jej załatwił

wyjazd w tym samym czasie, gdyż nagle zrozumiała, że jest w niebezpieczeństwie.

Ale zabójca pojechał

tam za nią.

Marco nie odpowiedział. Zdawało się, że usiłuje wyczytać odpowiedź na tarczy księżycy.

Shan wyjął z kieszeni brązowy medalion.

–Był razem ze złotą monetą. Połowa pary. Zabrałem go, zanim zrobił to Bao. –

Światło było zbyt słabe, aby ukazać szczegóły przedmiotu, więc wcisnął go w dłoń Marca.

–Na tchnienie Boga – mruknął Eluosi i westchnął ciężko. – Nie ma rady, zbyt wielu ludzi gada o sekretach. To jest bilet. Ten stary Tybetańczyk z łódkami nie zna niczyjej twarzy poza moją. A ja zostaję. On będzie miał drugi medalion z każdego zestawu. To unikaty, niedostępne nigdzie poza muzeami. Dopóki Deacon nie znalazł ich w Piaskowej Górze. Tak więc Tybetańczyk dostaje za pośrednictwem Mao drugi medalion od pary. Pokaż bilet, zapłać „pandę”. Nie ma możliwości, żeby został oszukany.

Bilet. Lau miała przepustkę do wolności, do nowego życia. Trzymała go w swoim gabinecie, dopóki nie pojechała do Karaczuku po śmierć.

–Dokąd wybierała się Lau? Do Ameryki?

–Nie wiem. Nie chciałem wiedzieć. Mówiłeś, że była tybetańską mniszką. Więc może do Dharamsali. Z drugiego brzegu jeziora to tylko trzysta kilometrów drogi. – Dharamsala, na południowym stoku Himalajów, była siedzibą XIV Dalajlamy, stolicą wolnego Tybetu.

Shan znalazł Lokesha w głównej izbie, siedzącego na podłodze pod samowarem. Ich koce leżały rozwinięte na dywanie. Stary Tybetańczyk odmawiał różaniec, wpatrując się w leżącą przed nim kupkę filcu. Shan przyglądał się przez chwilę, zdezorientowany, wreszcie usiadł w milczeniu obok przyjaciela. Wkrótce uświadomił sobie, że Lokesh nie nuci już mantry, lecz modlitwę pielgrzyma, wezwanie do bóstw opiekuńczych, aby czuwały nad pielgrzymem. Powoli, dając mu czas na sprzeciw, uniósł skraj filcu. Pod spodem znajdowały się dwa kawałki rzeźbionego drewna z popękkanymi skórzanymi paskami. W nagłym olśnieniu Shan poznał je.

–Zabrałeś je – szepnął zaskoczony. – Należały do niego.

–Tak – odparł promiennym głosem Lokesh. – Chcę je zabrać na górę Kailas. Dokończę jego pielgrzymki wokół świętej góry na tych klockach, a potem zostawię je tam, tak jak obiecał.

Shan uśmiechnął się z tego żartu Lokesha, potem jednak spostrzegł dziwne podniecenie w oczach starca.

–Nie możesz – zaprotestował, uświadomiwszy sobie, że to nie był żart. – To trudny wyczyn nawet dla młodego człowieka. Nadchodzi zima. Okrążenie góry na rękach i kolanach na śniegu i wietrze może zająć wiele dni. – Może nawet tygodnie, pomyślał. Pielgrzymi potrzebowali czasem kilku dni, żeby pokonać ten pięćdziesięciokilometrowy szlak tylko na nogach.

–Obiecałem mu – odparł pogodnie Lokesh.

Shan chciał go jeszcze przekonywać, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Lokesh złożył obietnicę martwemu pielgrzymowi, tysiącletniej mumii. Jednak on sam, zaciskając dłoń na gau i znajdującym się w nim piórze, uświadomił sobie, że na swój sposób również złożył martwemu mężczyźnie obietnicę – że będzie nieść dalej cnotę. Umilkł i słuchał modlitwy Lokesha.

Po kilku minutach wstał i podszedł do stołu kuchennego. Przy świetle dwóch świec rozłożył na blacie skromny dobytek Khitaia.

Sznurki paciorków. Krótki kawałek łańcucha. Piórnik. Poobijany srebrny kubek. Potrzywał każdy z przedmiotów. Być może to wszystko wcale się nie zaczęło ani od Lau, ani od amerykańskiego chłopca. Być może zaczęło się od Khitai. Lokesh i Gendun przybyli, żeby odnaleźć Nefrytowy Koszyk, który został powierzony Khitaiowi. Dlaczego akurat jemu? Ponieważ był bystrym, zaradnym, osieroconym Kazachem, ostatnią osobą, u której mógłby szukać go wróg? Czy też chłopiec był wyjątkowy z jakiegoś innego powodu?

Bezmyślnie sięgnął po łańcuch i spostrzegł, że na każdym z jego ogniw widnieje odbity w metalu maleńki kwiat lotosu. Być może był to tylko nic nie znaczący skarb, który przypadkiem trafił w ręce ciekawskiego chłopca. A może to symbol kultowy, uświadomił sobie, niczym dwanaście połączonych w łańcuch dorje, przedstawianych niekiedy w dłoniach bóstw opiekuńczych Tybetu. Policzył ogniwa. Dwanaście.

Sięgnął po sznurki paciorków. Drewno, plastik i jeden nefrytowy koralik. Dlaczego końce sznurków były aż tak długie? Jakie znaczenie miało kilka żółtych paciorków umieszczonych pomiędzy brązowymi? Dlaczego na jeden ze sznurków nawleczono ciasno dziesięć mniejszych koralików? Związał razem dwa sznurki i przyglądał im się, próbując odnaleźć logikę w sekwencji barw i kształtów paciorków. Potem, pospiesznymi ruchami, połączył wszystkie odcinki, tworząc pętlę, a na koniec przywiązał do niej krótszy sznurek dziesięciu paciorków, tak by zwisał luźno. Z dreszczem podniecenia policzył paciorki. Barwne koraliki dzieliły pętlę na cztery równe części. Mniejsze, na zwisającym z pętli odcinku, służyły do odliczania dziesiątek i setek. W sumie pętla liczyła sto osiem paciorków. To była mała. Martwy kazachski chłopiec miał tybetański łańcuch dorje i zakamuflowany buddyjski różaniec. Shan odnalazł tajemniczego ucznia nadzorcy strumieni.

Rozdział trzynasty

Prokurator Xu odebrała telefon Shana bez słowa powitania.

–Nie mam zwyczaju rozmawiać z uciekinierami – oświadczyła napiętym z gniewu głosem. – Uciekinierzy to sprawa

Urzędu Bezpieczeństwa.

Shan zadzwonił do prokuratury z aparatu przy stacji benzynowej na szosie i przedstawił się pannie Loshi jako pekiński przyjaciel Xu.

–Obiecałem wam, że wkrótce wrócę – powiedział. – Że będę miał więcej dowodów.

–Nie przypominam sobie, żebym wyraziła na to zgodę – odpaliła Xu. – Złożyliście propozycję. Ja zaproponowałam, że umieszczę was w obozie. Potem zbiegliście mi z aresztu.

–Dzisiaj o trzeciej – oświadczył Shan. Wyjaśnił jej, gdzie jest garaż.

–To nie są negocjacje, towarzyszu. Możecie przyjść do biura i dobrowolnie oddać się w moje ręce. Albo mogę wysłać ciężarówkę mundurowych, żeby sprowadzili was siłą.

–Towarzyszko prokurator, powiedziałem wam, że ktoś zabija dzieci – odparł cierpliwie Shan. – Nie wierzyliście mi wtedy. Pomyślałem, że może tymczasem zmieniliście zdanie w tej kwestii.

Po chwili Xu odpowiedziała sztywno:

–Ta konkretna informacja dotarła do mnie.

–Znakomicie. Więc może mamy wspólny cel.

–Wy i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ja mam natomiast podejrzanych w sprawie śmierci chłopca.

–Jak mam to rozumieć? – zapytał Shan, patrząc na Marca,

który trzy metry dalej przechadzał się poboczem w tę i z powrotem niczym wartownik. Jakli, którą po przybyciu zastali w

warsztacie, znalazła oranżadę dla Batu. Chłopiec wciąż spoglądał w stronę gór. Malik nie chciał opuścić Kunlunu i odjechał szukać następnych dzieci z zheli. – Że dobiliście targu z majorem Bao? Czy tak wygląda sprawiedliwość w Yoktianie? W słuchawce zapadła cisza. W tle Shan słyszał jakieś głosy. Być może prokuratorka wydawała polecenie, żeby podstawić samochód. Być może wzywała posiłki.

–Świetnie – powiedziała w końcu. – Przy szosie. Ale nie o trzeciej. O wpół do czwartej... być może. Może o czwartej.

Poczekacie.

Jakli zmarszczyła brwi, kiedy zrelacjonował rozmowę.

–To właśnie jej sposoby. Zastawić pułapkę, kupić sobie trochę czasu, żeby wcześniej sprowadzić tu swoich ludzi. Wkręcić

paru agentów. Być może przebranych za kierowców ciężarówek. – Była wyczerpana. Większą część nocy spędziła na końskim grzbiecie, wraz z Mao przeszukując góry. Przed świtem znaleźli kolejnego chłopca, kulącego się samotnie w jaskini, i Mao odwieźli go do obozowiska Czerwonego Głazu.

Shan wzruszył ramionami.

–Tak daleko od miasta byłoby to dość trudne.

Spojrzała na niego z irytacją, która zdawała się stopniowo przeradzać we współczucie, z jakim matka mogłaby patrzeć na dziecko.

–Czasami sprawiasz, że zaczynam wierzyć w to, co mówią o Tybecie.

–Co takiego?

–Że on odmienia ludzi, zmywa z nich całe wcześniejsze doświadczenie. Czasem wydajesz mi się bardzo naiwny.

Nazwanie go naiwnym było tak znakomitym żartem, że Shan omal nie parsknął śmiechem. Gdyby ktoś potrzebował jeszcze jednej nazwy na przeciwieństwo naiwności, mógłby wziąć jego imię.

Jakli odeszła w cień pomiędzy warsztatem a mniejszym budynkiem, w którym zaparkowano dwie stare ciężarówki. Marco stał tu już wraz z Sophie. Na grzbiecie wielbłądzicy siedział Batu. Dziewczyna zaczęła mówić coś szybko do Eluosiego, wskazując potężną ciężarówkę za budynkami, przy której jakiś człowiek układał z długich desek pochylnię wiodącą na platformę. Marco

żartobliwie zasalutował Shanowi i podszedł do ciężarówki. W pięć minut Sophie i pozostałe dwa wielbłądy, na których przyjechali tu z jego górskiego domu, zostały wprowadzone na platformę i wóz ruszył, z Batu machającym przez okno na pożegnanie.

Wodząc wzrokiem po zdezelowanych ciężarówkach, stertach łysych opon, walącej się żółtej herbaciarni oraz pękających ścianach warsztatu, Shan pomyślał nagle, że cały Xinjiang wydaje się jedynie skupiskiem ruin. Niektóre były po prostu nowsze niż inne. Czując, że ogarnia go zmęczenie, podszedł do ściany warsztatu, największego z budynków. Nocą siedział do późna, przeglądając swoje notatki i wpatrując się w skromny dobytek Khitaia. Przed wschodem słońca wsiedli na

wielbłądy i opuścili dolinę inną drogą. Teraz miał w perspektywie przeszło godzinę czekania na Xu. Spojrzał na Lokesha, który spał na kocu za warsztatem, i sam usadowił się na stercie opon pod ścianą. Okazały się zaskakująco wygodne. Oparłszy się o ścianę, zamknął oczy.

Przez głowę przemykały mu obrazy z porannej podróży. Wraz z Batu jechali godzinami obok Marca, słuchając długich opowieści o jego młodości, opowieści o wielkich zgromadzeniach koczowniczych klanów, podczas których ścigały się dziesiątki wielbłądów, a młode dziewczęta strzelały z łuków, żeby zdobyć w nagrodę białe konie. W świetle przedświt Eluosi mówił o gwiazdach, na których znał się doskonale, czego nauczył się podczas niemal trzydziestu lat nocnych jazd w karawanach. Shan z zaskoczeniem dowiedział się, że on i Marco są rówieśnikami, a Eluosi zadumał się, jak odmiennie potoczyły się koleje ich losu, który kazał im żyć na przeciwnych krańcach Chin Ludowych. Jak przez sen przypominał sobie, że Marco nauczył ich piosenki, głupiej dziecinnej rymowanki o wielbłądach lecących jak ptaki, i śpiewali ją, póki nie dotarli do szosy.

Kiedy otworzył oczy, było już po trzeciej. Ktoś pracowicie przemeblował teren pomiędzy budynkami. Na świeżym powietrzu rozstawiono trzy stoły, czy raczej stół i dwie postawione na sztorc skrzynie, przy których siedziały po dwie osoby. Ci przy stole grali w szachy, pozostali w madžonga. Pojawiło się więcej pojazdów. Wyglądały dziwnie znajomo. Shan przyglądał się im

przez chwilę i uświadomił sobie, że były to ciężarówki, które widział w garażu. Wszystkie, z wyjątkiem „żółwia”, który tkwił zagrzebany w piaskach pustyni. Zauważył błysk złotego zęba u jednego z mężczyzn grających w madžonga. Był to Mao z miasta, ten, który przyniósł mu buty. Obok niego siedziała kobieta w długiej szarej sukni i zawoju ortodoksyjnej muzulmanki, czytając coś, być może modlitewnik. Gdy wstał, przeciągając się, ona także wstała i chwyciła go za rękę. Była to Jakli.

–Prokuratorka przejechała tędy piętnaście minut temu. Zatrzymała się i wysadziła kogoś – poinformowała go, wskazując głową herbaciarnię po drugiej stronie drogi.

Shan okrążył warsztat i trzymając się skraju zabudowań, przeszedł przez szosę. Zbliżył się do małego okienka w bocznej ścianie herbaciarni. Wewnątrz, przy jedynym zajęтым stoliku, pod frontowym oknem, siedziała młoda, dobrze ubrana kobieta. W kącie, przy małej kuchence gazowej, drzemał oparty o ścianę stary człowiek z długą rzadką brodą, w czarnej dopie na głowie. Shan wszedł do herbaciarni i usiadł na pustym krześle naprzeciw Loshi.

–Panna Loshi, prawda? – odezwał się. – Nazywam się Shan.

Rozmawialiśmy w biurze prokuratorki.

Dziewczyna, z takim natężeniem wyglądająca przez frontowe okno, że nie zauważyła jego nadejścia, zaskoczona wydała stłumiony okrzyk. Nie odpowiedziawszy, podniosła coś z kolan: niewielki czarny podłużny przedmiot z pięciocentymetrową anten-ką. Telefon komórkowy. Trzymała go oburącz, z nadgarstkami opartymi o krawędź stolika, wyciągając go przed siebie jak tarczę.

–Stacje przekaźnikowe dla tych telefonów pojawią się tu być może za jakieś dziesięć-dwadzieścia lat – zauważył Shan, starając się zachować przyjacielski ton. – Może jeszcze później.

Urząd Bezpieczeństwa niechętnie widziałby je w miejscach takich jak to.

Loshi spojrzała na niego, zaraz jednak z zakłopotaniem odwróciła wzrok w stronę okna.

Shan przyglądał się nerwowej dziewczynie. Miała mocno umalowane powieki. Jej jaskrawoczerwoną jedwabną bluzkę ozdabiał kosztowny łańcuch. Wtyczka bezpieki u Xu.

Loshi przesunęła się na skraj krzesła.

–Wiem. On nie działa nawet w mieście. Ale większość ludzi o tym nie wie. Rozmawiałam z pewnym pasterzem. Przeraził się na jego widok. Powiedział, że sądził, że to po prostu coś, czym posługują się Chińczycy, by wezwać innych Chińczyków.

Twierdził, że nigdy nie widział czegoś takiego u nikogo poza

Chińczykami, z wyjątkiem Amerykanów w telewizji – wyjaśniła z nutą satysfakcji w głosie. – Więc widzicie, to działa.

–Jesteście sekretarką prokuratora – powiedział Shan. – Czy miała dla was jakąś pracę po drodze?

Ale Loshi wciąż wpatrywała się w telefon.

–Działają w Szanghaju. I w Hongkongu. W Hongkongu wszyscy je mają. Tam nawet można z nich wysłać faksy.

–Czy zabrała was po prostu dlatego, że wam ufa? – zastanawiał się głośno.

–Nie powinniście rozmawiać ze mną. Proszę porozmawiać z prokuratorką.

–Prokuratora tu nie ma. Wy jesteście.

–Ja też znam ludzi. Tak samo jak towarzysza Xu. Ja też pracuję w prokuraturze.

–To spora odpowiedzialność.

–Czasem dostaję specjalne nagrody – odparła, jakby miała nadzieję, że go tym onieśmieli. – Tajne nagrody.

Shan przypomniał sobie coś jeszcze o Loshi. Ko Yonghong z Brygady zabierał ją na przejażdżki swoim samochodem bez dachu, samochodem z amerykańskich filmów.

–Czy wiecie o ginących chłopcach, panno Loshi?

Dziewczyna zdawała się walczyć ze sobą. Położyła telefon na stoliku i wcisnęła kilka klawiszy, po czym, kontynuując tę dziwną pantomimę, przyłożyła go do ucha, jakby wprawiała się, czekając na dzień, w którym znajdzie się w prawdziwym świecie.

–Lubiłam ciocię Lau – powiedziała do mikrofonu. – Kiedyś, gdy byliśmy z prokuratorką na zebraniu rady, źle się poczułam, a ciocia Lau dała mi jakieś zioła i wyleczyła mnie.

–Widzieliście ją tylko ten jeden raz?

–Ona czasem przychodziła do miasta. Była zawsze uśmiechnięta. Dała mi książkę z wierszami napisanymi przez emerytowanych żołnierzy. – Loshi odłożyła telefon. –

Chyba nie znam

nikogo innego, kto by się tyle uśmiechał. Uśmiechała się jak stara żebraczka, wicie.

Shan spojrzał na nią niepewnie. Jak stara żebraczka. Dziewczyna miała na myśli mniszki i mnichów, którzy niegdyś przemierzali ulice chińskich miast, zbierając jałmużnę. Czy całe jej pokolenie będzie pamiętać mnichów właśnie tak, po prostu jako żebraków? Wyjrzał na drogę. Jakli rozmawiała z ludźmi przy jednym ze stolików. Przed warsztatem pojawił się konny wóz, częściowo załadowany sianem. Mężczyzna

pompował oponę.

–Jesteście stąd? – zapytał Shan. – Z Xinjiang?

Pokręciła głową w zamyśleniu.

–Przyjechaliśmy z wybrzeża. Znad oceanu, na północ od Szanghaju. To znaczy urodziłam się tutaj, ale moja rodzina pochodzi z prowincji Shantung. Ojciec został przed laty skierowany jako dyrektor do jednej z fabryk w Kaszgarze. Kiedyś wrócę do Shantung. Prokurator Xu obiecała, że załatwi mi przeniesienie, jeśli tylko utrzymamy normę rozwiązanych spraw.

–Wolelibyście mieszkać na wschodzie?

–Z powrotem w domu? Jasne.

W domu. Loshi nigdy nie była w Shantung, ale uważała, że tam jest jej dom. Powinien napisać do Przewodniczącego. *Szanowny Towarzyszu. Po pięćdziesięciu latach uzyskaliśmy wreszcie ostateczny dowód, że eksperyment wchłonięcia zachodnich terytoriów się nie powiódł. A to dlatego, że Loshi chce wrócić do domu.*

–A ona sama? Też stara się o przeniesienie?

Panna Loshi uśmiechnęła się chytrze i otworzyła leżącą na stole plastikową teczkę. Wyjęła z niej papierosy i zapaliła. Po chwili wahania podsunęła paczkę Shanowi. Pokręcił głową.

–Nic z tych rzeczy – odparła. – Ja wkrótce odchodzę. Ale

towarzyszka Xu... – Wzruszyła ramionami, wypuszczając dwie

wąskie strugi dymu z nozdrzy. – Prokurator o najdłuższym stażu w całym

Xinjiang. Dwanaście lat na jednym stanowisku. I to akurat w Yoktianie.

Shan zastanawiał się, czy dziewczyna rozumie, co mówi, czy chodzi jej tylko o to, że Yoktian jest zbyt mało atrakcyjny, aby w nim mieszkać? Dwanaście lat na jednym stanowisku oznaczało, że Xu ma kłopoty zawodowe, że została tutaj wysłana, lub tutaj

pozostała, ponieważ wypadła z łask. Przypomniał sobie ton, jakim Bao napomknął o politycznym komentarzu, który padł podczas konferencji w Turfanie. Jeśli zaniedbujecie swoje podstawowe obowiązki, powiedział, choćbyście pracowali najciężej, jesteście ciężarem dla państwa. Ale Xu była fanatyczką, Nefrytową Dziwką. Zapełniała obozy ryżowe. Ostrzeliwała z helikoptera flagi modlitewne. Jakie podstawowe obowiązki miał na myśli Bao?

Zerknął na paczkę papierosów.

–Drogie – zauważył. Były amerykańskie. Loto gai, camele.

Wydawało się, że ta uwaga sprawiła dziewczynie przyjemność.

–Dostałam je wczoraj od Ko. Na przeprosiny, że nie może mnie zabrać samochodem. Musiał go dać temu majorowi Bao.

Shan o mało jej nie poprosił, by powtórzyła.

–Majorowi Bao? Oddał swój sportowy samochód Bao? – za pytał z niedowierzaniem.

Loshi wzruszyła ramionami.

–Urząd Bezpieczeństwa, wiecie. Ko powiedział, że niedługo będzie miał nowy. – Nagle wstrzymała oddech i nachyliła się ku oknu. Pod warsztat podjeżdżał czarny samochód, limuzyna Xu.

Shan przez chwilę patrzył tępo w okno, nie mogąc pojąć, dlaczego Ko miałby oddać swój kosztowny samochód człowiekowi, który nawet nie był jego kolegą, który pod wieloma względami był jego rywalem.

–Przejdę naokoło – powiedział konspiracyjnym tonem, pod nosząc się z krzesła. – Nie powiem jej, że rozmawialiśmy.

Loshi rzuciła mu nerwowy, niepewny uśmiech, zamknęła telefon komórkowy w dłoniach i znów odwróciła się do okna.

Shan wyjrzał zza rogu herbaciarni. Gdy prokuratorka wysiadła z samochodu, szachiści zerwali się od stołu i czmychnęli. Xu stanęła z rękami na biodrach, rozglądając się po budynkach, w końcu usiadła przy opuszczonym właśnie stole, kładąc na blacie małą płócienną torbę. Parę chwil później Shan wyszedł zza rogu warsztatu i przysiadł się do niej.

–On wrócił tamtego dnia i pytał o was – odezwała się Xu bez żadnych wstępów. W jej głosie już teraz znać było złość. – Mówię o majorze Bao. Wciąż był wściekły. Wściekły to za mało powiedziane. Rozjuszony. Powiedział, że powinien był was aresztować.

Zapytałam dlaczego. Oświadczył, że możecie narazić na szwank tajne śledztwo. Zażądał więcej informacji na wasz temat.

–Co mu powiedzieliście? – zapytał Shan.

–Że jesteście jednym z moich informatorów – odparła Xu i urwała, zapewne dla efektu. – Ale on chciał znać wasze nazwisko, waszą jednostkę roboczą. – Zapaliła papierosa, jednego z grubych papierosów bez filtra, jakie palili robotnicy w fabrykach. – Powiedziałam mu, że to mogłoby narazić na szwank tajne śledztwo – dodała z kwaśnym uśmiechem. Zadowolona z siebie wpatrywała się w Shana, pozwalając, by dym wypływał jej z ust. – Ale mam przyjaciółkę w ministerstwie. Tuż przed emeryturą. Zadzwoiłam do niej. Był kiedyś inspektor Shan, powiedziała, inspektor generalny Ministerstwa Gospodarki. Zawzięty typ. Z tych, których wszyscy nienawidzą. – Ponownie zaciągnęła się papierosem i spojrzała na niego z uwagą. – Wiecie. Nieżyciowy. Nie potrafiący uszeregować ważności spraw zgodnie z socjalistycznym porządkiem.

Shan już to słyszał. Lubiano to powtarzać na tamzingach, zebraniach krytycznych, podczas których uświadamiano ludziom ich obywatelskie niedociągnięcia, a lekarstwa wbijano im w głowy siłą, w przenośni i nie tylko.

Zorientował się, że jego dłonie znów to zrobiły, znów nieświadomie ułożyły się w mudrę, jakby próbowały mu coś przekazać. Złączyły się płasko, środkowe palce były uniesione. Diament Mądrości.

–Pierwszeństwo dla Partii, pierwszeństwo dla państwa, pierwszeństwo dla zakładu pracy – wyrecytował równie znajomy refren, który wykrzykiwano mu niejednym raz z politycznych modlitewników. – Widziałem kiedyś w zachodnim czasopiśmie reklamę pewnej książki – dodał. – Organizacja biura w dziesięciu łatwych lekcjach. – Spojrzał na nią z kamiennym wyrazem twarzy. – To coś zupełnie podobnego.

Uśmiechnęła się zimno.

–Powiadają, że ten inspektor Shan porwał się na szefów Partii, może nawet wszczął przeciwko nim dochodzenie. Podobno potem zniknął. – Otworzywszy usta, wypuściła kłęb dymu, który rozpląnął się wokół jej warg.

–Dobłą stroną zniknięcia jest to, że człowiek ma potem o

wiele mniejsze oczekiwania – odparł Shan. – Wpatrzył się w swoje dłonie. – Wszyscy chłopcy z zheli są w niebezpieczeństwie – oświadczył. – Może być więcej ofiar.

–Ten Shan... Moja przyjaciółka zadzwoniła do Ministerstwa Gospodarki. Nikt tam nie żałuje tego człowieka. Utrudniał wszystkim życie. Twardy jak partyjna szycha. Ale kiedy zaproponowano mu członkostwo Partii, odmówił.

–Zabójca ściga chłopców. Tylko chłopców. – Zerknął znów w stronę herbaciarni, gdzie siedziała Loshi, obserwując ich z okna. Ko oddał swój kosztowny samochód majorowi Bao. To nie trzymało się kupy.

–Śledczy powinien znajdować odpowiedzi, ułatwiać ludziom życie – ciągnęła, jak gdyby nie słyszała jego słów.

Shan utkwiał wzrok w żarzącym się czubku jej papierosa.

–Czasami śledczy może jedynie przypomnieć ludziom o ich sumieniu.

Wargi Xu wygięły się, jakby uznała tę uwagę za zabawną.

–Ten wasz zabójca mógł szukać właśnie tego jednego chłopca – zauważyła. – Kublaia. Może to już koniec.

–A może chce zabić ich wszystkich – odparł Shan.

Xu skrzywiła się.

–Nie bądźcie śmieszni. Komu uszłoby na sucho wyeliminowanie całego... – Słowa zamaryły jej w gardle, a wzrok odpłynął w dal. Pokręciła głową.

–Więc jak, towarzyszeko prokurator? Śmierć jednego czy dwóch chłopców nikogo nie obchodzi. Ale dziesięciu albo piętnastu? To byłoby... co? Niedopuszczalnie wysoki wskaźnik ofiar? Problem polityczny? A jeśli będzie ich pięciu lub sześciu? Może nawet dziesięciu, zanim ktokolwiek zwróci na to uwagę? – Nie spuszczał z niej wzroku. – Ostatecznie to tylko sieroty, raptem paru małych Kazachów i Ujgurów.

–Niektórzy wszędzie dopatrują się konspiracji.

–To są Chiny Ludowe, towarzyszeko. Konspiracja jest ich siłą napędową.

Jej oczy zapłonęły. Rozejrzała się po pozostałych stolikach. Zdawało się, że nikt nie słyszał tej uwagi.

–Bądźcie ostrożni, towarzyszu. Znam swoje obowiązki wobec państwa.

–Wspaniała nowina – rzucił krótko Shan.

Jej czoło zmarszczyło się pytająco.

–Że poważnie traktujecie swoją pracę – wyjaśnił. – Ściganie przestępstw, czyż nie na tym ona polega?

Ponownie zmarszczyła brwi i zaciągnęła się papierosem.

–Być może ten inspektor z Pekinu – dodał Shan – odkrył rzecz najistotniejszą ze wszystkich. Że praca dla państwa nie zawsze jest tym samym co praca dla ludu.

Rozejrzała się po zabudowaniach. Shan przeniósł wzrok za jej spojrzeniem i wśród ludzi przy stole, gdzie grano w madżonga, spostrzegł kolejną znajomą twarz,

ukrytą pod obszerną, naciągniętą nisko na czoło wojskową czapkę. Gruby Mao. Wóz konny wyjeżdżał powoli z zatoczki przy warsztacie.

–Sprawdziłam we wszystkich prokuraturach stąd do Kaszgaru i dwieście kilometrów na wschód. Nie było żadnych innych raportów o zabitych dzieciach. Wpatrywał się w nią. Nie mrugała, nie odwróciła wzroku.

–Po chłopcu przyniesionym do prokuratury zginął jeszcze jeden – oświadczył Shan. – Czwarty.

–Nie. – Xu spojrzała na niego wściekle. – Nie wierzę.

–To samo powiedzieliście, towarzyszeko prokurator, kiedy mówiłem wam, że chłopcy giną.

Xu zmarszczyła brwi, ale nie odezwała się słowem.

–Ten chłopiec, Khitai, został zabity w górach, w pobliżu wielkiej flagi modlitewnej. Znać tę flagę.

–Znam ją – odparła sztywno.

Shan skinął głową.

–Widziano was tam. – Nagle tknęła go pewna myśl. Batu sądził, że Xu zjawiała się na łące lamy, by znaleźć i zabić chłopców. Możliwe jednak, że dotarła tam, śledząc kogoś. I dlatego zostawiła kamerę. Uznał, że chodziło jej o buddystów i dysydentów. Ale być może spodziewała się wykryć zabójcę.

W jej oczach zatlił się ogień.

–Być może oznacza to, że jesteście bliscy zatrzymania winnych? – podsunął, odwzajemniając jej wściekle spojrzenie.

–Trzy dni temu zauważono tam małą grupę pasterzy. Poszliśmy to sprawdzić. Ci ludzie mogli towarzyszyć jednemu z

dzieci Lau. A może uchylali się przed przystąpieniem do Programu Walki z Ubóstwem.

–Dwa dni – sprostował Shan. – Pasterze byli tam dwa dni temu. Tego dnia, kiedy zginął chłopiec.

Xu pokręciła głową.

–Trzy.

Jeśli to prawda, pomyślał Shan, znaczy to, że Batu także miał rację. Nie tylko jeden chłopiec z zheli wybrał się na łąkę lamy, żeby wykonać zadanie domowe, które wyznaczyła im nieżyjąca nauczycielka.

–Pokażcie mi ciało – ucięła krótko Xu.

Pokręcił głową.

–Khitai spoczywa w grobie. Po tym, co mu zrobiono, niech tam już zostanie.

–Zatem zginął tylko jeden chłopiec – oświadczyła Xu. – To wszystko, o czym mi wiadomo. Śmierć jednego chłopca nic jeszcze nie znaczy. Wszczęliśmy oficjalne dochodzenie. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną zgonu był postrzał z broni małego kalibru. To mógł być wypadek podczas polowania. Koczownicy mają prawo posiadać małokalibrową broń palną do polowań.

–Wypadek podczas polowania? – Prokurator Xu, uznał Shan, była bardzo skomplikowaną kobietą. – Poprzednio twierdziliście, zdaje się, że winny jest feudalizm.

–Świetnie. Bez wątpienia taki wypadek obrazuje destrukcyjny wpływ starych struktur klanowych. Nieodpowiedzialność. Bezprawie w górach. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, towarzyszu. To musi się skończyć. W każdej chwili gotowa jestem wykorzystać całą moc mego urzędu, by wspomóc ofiary przestępstw. Ale muszą o to wystąpić. Niech oficjalnie zgłoszą śmierć tych ludzi. Nie będę się kierowała plotkami. Ani na temat Lau, ani na temat chłopców. Zasoby wielkiego narodu są do ich dyspozycji, jeśli tylko poproszą.

–Statystycznie rzecz biorąc, towarzyszeko prokurator, jak wiele zgłoszeń poważnych przestępstw otrzymujecie od koczowników?

–Kilka rocznie.

–A od Chińczyków mieszkających w tym rejonie?

–Przeszło dziewięćdziesiąt procent wszystkich zgłoszeń.

–A jaką część populacji stanowią Chińczycy?

–Przesiedlenia na razie idą wolno. – Wzruszyła ramionami. – Oficjalnie trzydzieści dwa procent.

–A wy oburzacie się, że Tybetańczycy, Kazachowie i Ujgurzy nie zgłaszają przestępstw.

–Utrzymanie tak rozległego kraju w całości jest wystarczająco trudne samo w sobie. Wszyscy musimy współpracować. Obywatel, który trzyma się na uboczu, nie jest pełnym obywatelem. Ludzie muszą się nauczyć, że trzeba do nas przychodzić.

–Może urządzić olbrzymi tamzing? Sprowadzić wszystkich pasterzy? I ich owce?

Nie wolno zapominać o owcach. Stada są tak niezorganizowane. To wyzwanie dla Partii.

Gdy Xu wpatrywała się w żar na czubku swego papierosa, zdawało się, że przez jej twarz przemknął wyraz goryczy. Czyżby naprawdę poważnie traktowała swoją pracę?

–Bywa, że gdy kończy się dochodzenie – odezwał się – wolałoby się, żeby nigdy nie wniesiono żadnej skargi. Z powodu tego, co trzeba umieścić w raporcie.

–Nie uczcie mnie mojej pracy. Jestem prokuratorem nie od dzisiaj, towarzyszu Shan.

–Wiem – odpalił Shan. – Dwanaście lat w Yoktianie.

Utkwiła w nim lodowate spojrzenie.

–Chcę powiedzieć, że wiem, jak pisać raporty.

Przyjrzał się jej uważnie i po oczach poznał, że mówi prawdę. Oboje wiedzieli, że w Chinach Ludowych pisanie raportów z dochodzeń jest jedną z najwyższych form sztuki.

–Na ogół – powiedział bardzo powoli – wystarczy po prostu napisać, kim są przestępcy. Ale zdarza się, że musicie napisać, kim sami jesteście.

Xu nie odpowiedziała. Odpaliła następnego papierosa od poprzedniego i wpatrzyła się w prowizoryczny blat, chropowatą płytę ze sklejki, jakby nagle zainteresowały ją słoje drewna.

–Otworzyliśmy sprawę martwego chłopca. Dyrektor Ko zasugerował kilku podejrzanych. Próbowałam znaleźć inne osoby, które mogłyby mieć jakieś informacje. Okazuje się, że te dzieci, z zheli, były otoczone wielką tajemnicą. Lau nie notowała, gdzie przebywają. Wygląda na to, że nikt nie wie zbyt wiele.

–Dyrektor Ko?

–Brygada zna klany lepiej niż jakakolwiek inna instytucja. Oni są na pierwszej linii, jeśli chodzi o wdrażanie wielu elementów polityki społecznej. – Przciskała język do policzka, jakby coś żuła. – To czasem czyni ich celem. Dla wsteczników.

–Wsteczników?

–Na przykład członków klanów, którzy opierają się Programowi Walki z Ubóstwem. Wczoraj ktoś napadł na ciężarówkę Brygady.

–Na ciężarówkę?

–Skradziono transport żywego inwentarza. Kierowca Brygady ruszył samochodem w pościg przez góry. Na zakręcie ciężarówka przewróciła się i zapaliła. To robota Kazachów albo Ujgurów. Prowadzimy dochodzenie.

Shan jeszcze raz rozejrzał się po okolicznych budynkach. Czyżby to Mao ukradli ciężarówkę, w nadziei, że zastawią za jej pomocą jakąś zasadzkę?

–Brygada jest motorem przemian społecznych w Xinjiang.

Wszyscy musimy dbać, aby ów motor mógł działać bez prze szkód – oświadczyła Xu. Zabrzmiało to niczym polityczna mantra zatwierdzona przez centralę partyjną.

Shan przypomniał sobie swoją ostatnią rozmowę z Kaju.

–Co robi Brygada z noworodkami w miejscowym szpitalu?

Xu ponownie zmarszczyła brwi.

–Teraz nie podoba się wam, że ktoś pomaga dzieciom? To paranoja. Mania prześladowcza. Być może czujecie się tak winni, iż jesteście Chińczykiem, że nienawidzicie wszystkich Chińczyków. Mogę znaleźć... – szukała odpowiedniego słowa – terapeutów, którzy mogliby coś na to poradzić. Każdy wie, że wskaźnik przeżywalności noworodków wśród mniejszości narodowych

jest niski. Ko chce im pomóc.

Shan patrzył, jak wóz konny zatrzymuje się przed samochodem prokuratoria. Woźnica wyprzągnął konia i odprowadził go. Przyjrzał się uważniej. Wóz stał tuż przy przednim zderzaku samochodu, blokując mu przejazd. Shan rozejrzał się. Jakli przewidywała, że prokuratorka może sprowadzić agentów przebranych za kierowców ciężarówek.

–To buddyjski gest – odezwała się nagle Xu. Zauważyła jego mudrę.

Z zażenowaniem rozplótł palce, nie odpowiadając.

–Co z porucznikiem Sui? – zapytał. – Czy oni prowadzą śledztwo w sprawie jego śmierci?

–Biuro Bao twierdzi, że przeniesiono go do Mandżurii.

–Ale wy w to nie wierzycie.

Zaciągnęła się głęboko papierosem.

–To nie jest takie proste.

–Oczywiście, że jest. Sui albo nie żyje, albo został przeniesiony. Próbowaliście sprawdzić informację o przeniesieniu?

Skrzywiła się, jakby uznała ten temat za niesmaczny.

–Są dwie możliwości – podsunął Shan. – Urząd Bezpieczeństwa tuszuje sprawę, nie informując prokuratury. Albo sprawę tuszuje Bao, nie informując nawet Urzędu Bezpieczeństwa. – Była jeszcze jedna możliwość, o której wolał nie mówić. O zabójstwie wiedzieli wszyscy, Bao, Xu, Pekin, ale nie nadano mu jeszcze stosownej politycznej interpretacji.

–Tamtego dnia w garażu Sui był z wami, a Kaju przyjechał z Ko – dodał. – Kaju powiedział, że szuka chłopców, chłopców Lau. Może Sui robił to samo?

Tym razem wydmuchnęła dym prosto w jego twarz.

–Robiliśmy blokady na drogach w związku z poszukiwaniem zaginionej osoby. Urząd Bezpieczeństwa nam w tym pomagał. Prokuratura i Urząd Bezpieczeństwa pracują ręka w rękę.

–Kiedy widzieliśmy się poprzednim razem, Urząd Bezpieczeństwa rzucał w was kubkiem – zauważył trzeźwo Shan. Przez sekundę, nie dłużej, zdawało mu się, że dostrzega w oczach Xu rozbawienie.

–Mam inny pomysł co do Sui – odparła prokuratorka. – Skoro on nie żyje, być może zabili go Tybetańczycy.

Shanowi zaschło w gardle. Spojrzał jej w oczy i wzruszył ramionami.

–To jest Xinjiang.

–To teren nadgraniczny. Wszędzie i nigdzie. Tamtego dnia, kiedy odjechaliście z garażu, Sui skontaktował się przez radio z posterunkami na drogach. Kazał was zatrzymać. Właściwie nie was. Wydał rozkaz, żeby zatrzymali ciężarówkę i aresztowali tego starego Tybetańczyka, który jechał z wami.

Shan spuścił wzrok na swoje dłoni. Sui szukał Tybetańczyków.

Czy to on właśnie odkrył Lau? Kątem oka spostrzegł, że szara postać wstaje i powoli odchodzi za tylny róg warsztatu. Jakli szła do śpiącego Lokesha.

–To tylko nieszkodliwy stary człowiek – powiedział Shan.

Xu z bolesnym wyrazem twarzy spojrzała w stronę gór Kunlun.

–Mogłabym powiedzieć o Tybetańczykach wszystko – oświadczyła dziwnie nieobecny tonem – z wyjątkiem tego, że są nieszkodliwi. – Rozejrzała się dokoła. – Ze wszystkimi innymi da się rozmawiać, da się negocjować, da się ich kształcić, da się przekonać, żeby się zmienili. – Jej usta wygięły się, jak gdyby ugryzła coś kwaśnego. – Ale Tybetańczycy – zakończyła powoli – po prostu zostają Tybetańczykami.

–Czy to dlatego niszczyacie flagi modlitewne? – zapytał cicho Shan.

Przez długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu, wreszcie spuściła wzrok na blat.

–Wiem, że zginął co najmniej jeden chłopiec – przyznała równie cicho. – Sui sugerował, że Tybetańczycy są zamieszani w jakiś nowy spisek. Prosiłam mojego śledczego, żeby się do wiedział, gdzie w górach dzieci z zheli mogły spotykać Tybetańczyków. Słyszeliśmy o małej rodzinie w tamtej okolicy. Poleciliśmy zobaczyć. Teraz wy twierdzicie, że tam właśnie zginął

następny chłopiec – dodała, jak gdyby dowodziło to jej racji.

Polecieście oślepić bóstwa, miał Shan na końcu języka.

–Towarzyszył wam ktoś z Urzędu Bezpieczeństwa?

–Nie.

–Co z tego wynika? Że Urząd Bezpieczeństwa nie przejmuje się chłopcami, ale wy tak?

Patrzyła na niego chłodno, bez słowa. Wyciągnął z kieszeni czarny kompas, otworzył go i położył na stole.

–Poznajecie ten przedmiot? Czy on należy do waszego śledczego? A może do Bao?

–To nie moje – rzuciła krótko urażonym tonem, jakby ją o coś oskarżał. Przyjrzała się kompasowi. – Znaleźliście to w górach? Mój śledczy był tam tylko ze mną. Zadawał pytania, rozmawiał z pilotami helikopterów. To nie jest jego. Co do Bao,

sami go zapytajcie. Mogę was umówić – zaproponowała z zimnym uśmiechem.

Shan zamknął kompas, ale zostawił go między nimi na stole.

–Gdybyście znaleźli tam chłopca, co byście zrobili?

–Zastosowalibyśmy kilkudniowy areszt prewencyjny. Potem umieścilibyśmy go z powrotem w szkole.

Shan przez chwilę rozważał jej słowa.

–Powiedzcie mi, towarzyszeko prokurator – powiedział, chowając kompas do kieszeni – czy uważacie, że Tybetańczycy są winni po prostu dlatego, że Sui ich szukał?

–Sui, a teraz Bao. Major rozsyła lotne patrole po całym okręgu. Kazał zatrzymywać na przesłuchanie wszystkich, którzy legitymują się tybetańskimi dokumentami, a nawet więcej: wszystkich, którzy podają Tybet jako miejsce urodzenia. Zgarnął już kilku starych ludzi, którzy nie umieli zadowalająco wyjaśnić swego pochodzenia.

Nadzorca strumieni. Nie wspomniała o nadzorcy strumieni. Być może dlatego miał nadzieję, że lama nie został zdemaskowany. Być może jego uwięzienie w Obozie Chwały ma swoje dobre strony, być może tam będzie niewidzialny dla Bao. Chyba że nadal będzie mieszał szyki oficerom politycznym.

–Wszystko dlatego, że znalazł wiersz? – zapytał Shan. – Czyżby poezja tak bardzo go przerażała?

Znów zmarszczyła brwi.

–Wszystko dlatego, że jest majorem w Urzędzie Bezpieczeństwa – odparła. Bao mógł robić, co zechciał. Nie musiał tłumaczyć się ze swych poczynań przed nikim, z prokuratorką włącznie.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem, być może dostrzegła ból w jego oczach.

–Ten wasz przyjaciel... – napomknęła znów, wyraźnie napawając się jego zakłopotaniem – stary Tybetańczyk podróżujący w towarzystwie znanego uciekiniera... Pomyślcie, ile ciekawych rzeczy będzie miał do opowiedzenia, kiedy Bao dostanie go w swoje ręce.

To tylko stary człowiek, chciał już powiedzieć Shan, gdy nagle nasunęło mu się pewne pytanie.

–Dlaczego Sui kazał go zatrzymać patrolom? Dlaczego sam tego nie zrobił, w garażu?

Xu otworzyła usta, jakby zamierzała wyjaśnić, nie znalazła jednak odpowiedzi. Odwróciła wzrok w stronę gór.

–Dlatego, że nie chciał, aby Ko o tym wiedział – sam sobie odpowiedział Shan.

–Sui był wściekły, kiedy patrole nie zatrzymały waszego przyjaciela. Rozesłał rysopis, żeby można go było schwytać później.

–Jest jeszcze jeden Tybetańczyk – zauważył Shan. – Co wiecie o Kaju Drogme?

–Przesłuchiwałam go, zanim podjął pracę. On jest inny. Wzór dla wszystkich mniejszości. Jeden z nielicznych Tybetańczyków, którzy zrozumieli, czego wymaga zadanie równoważenia potrzeb naszego społeczeństwa. Mieliśmy zebranie, na którym dyskutowano o sprowadzeniu go tutaj. Ministerstwo Edukacji. Urząd do spraw Wyznań. Urząd Bezpieczeństwa. Brygada.

–Brygada?

–Oczywiście, że Brygada. W tym okręgu władze podejmują decyzje, a Brygada wprowadza je w życie. Mają w Urumczy specjalne biuro koordynujące ten program. Podlega mu pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu nauczycieli w całym Xinjiang, wyłącznie członków mniejszości narodowych przeszkolonych w zakresie asymilacji kulturowej. Zwrócili na siebie uwagę Pekinu i najwyższego kierownictwa Brygady. Brygada – przypomniała Shanowi – jest jednym z największych przedsięwzięć w Chinach. – Zamyśliła się na chwilę, po czym wzruszyła ramionami. – Tak czy inaczej, ten program jest tylko eksperymentem.

–Nie jesteście przekonani.

–On czasem posuwa się za daleko. Lau umiała zachować miarę. Ale ten Kaju... Wybrałam się na jedną z jego lekcji. Demonstrował dzieciom, do czego służą buddyjskie paciorki modlitewne, wypytywał, czy któreś z nich miało kiedyś własne. Zadzwoiłam do biura Brygady ze skargą. Oni oświadczyli, że to część programu. Uprawomocnić korzenie etniczne. Wyjaśnić tybetańskim dzieciom, że nie ma nic złego w paciorkach, wyjaśnić muzułmanom, że nie ma nic złego w kłanianiu się od czasu do czasu w stronę Mekki. Potem, stopniowo, uzmysłwić im, jakie to staromodne. Taka subtelna forma kontroli umysłów.

Shan patrzył na nią bez słowa. Uprawomocnienie korzeni etnicznych mogło także pomóc zidentyfikować ukrywających się Tybetańczyków. W 1956 roku Mao Tse-tung zapoczątkował kampanię „stu kwiatów”. „Niech rozkwita sto kwiatów, niech spiera się sto punktów widzenia” powiedział Przewodniczący, zachęcając ludzi do wyrażania swoich poglądów, do publicznego krytykowania Partii. Gdy jednak ujawnili się niezadowoleni, po kilku miesiącach kampanię zakończono, a krytycy zostali aresztowani.

Shan spostrzegł, że pod stację benzynową zajechał właśnie kolejny pojazd, ciężka ciężarówka z silnikiem Diesla. Zaparkowała tuż za limuzyną prokuratora, tak blisko, że samochód został unieruchomiony pomiędzy nią a wozem z sianem. Rozległ się syk hamulców pneumatycznych i ciężarówka znieruchomiła, lecz silnik wciąż

pracował. Kierowca nie wysiadł z kabiny. Został za kierownicą, obserwując kogoś: siedzącego najbliżej prokuratorce mężczyznę przy stole do madżonga. Grubego Mao. Jak Marco wyraził się o Mao? Nazwał ich drapieźnikami, zawsze gotowymi rzucić się na łatwą zdobycz.

Shan rozprostował zabrane ze szkoły pismo i popchnął je w stronę Xu.

–Czy aż tak bardzo chcą skłonić dzieci do ujawnienia swego wyznania, że muszą je nęcić łapówkami?

Xu nie dotknęła pisma, ale przeczytała je tam, gdzie leżało. Jej górna warga podwinęła się i Shan zaczął sobie uświadamiać, że cierpka mina była nawykiem, że być może prokuratorce zgorzkniała już tak dawno, że stało się to naturalnym wyrazem jej twarzy, gdy się rozluźniała. Przyglądał się, jak jej wzrok przesuwają się po nazwiskach osób, które otrzymały kopie notatki dotyczącej nagradzania sierot. Były tam dwa nazwiska już mu znane: Bao Kangmei i Kaju Drogme, oraz trzecie, obce. Rongqi, Urumczi.

Xu westchnęła i ostrożnie trzymając kartkę za krawędzie, jakby papier mógł się rozpaść, schowała ją do swej płóciennej torby.

–Dziękuję wam – powiedziała. – Mam was już na kasecie wideo. Teraz mam też wasze odciski palców. – Na jej twarzy odmalowało się wielkie zadowolenie. – Agitatorzy z zewnątrz są zawsze znakomitymi kandydatami.

–Kandydatami?

–Do wszystkiego. Do morderstwa. Nawet do zdrady stanu. Doskonały sposób na wyjaśnienie niejasnych szczegółów w aktach. Tu wystarczyłoby może naruszenie bezpieczeństwa publicznego. To pismo było przeznaczone wyłącznie dla urzędników państwowych. Wy nie jesteście urzędnikiem państwowym.

–Nie dla urzędników państwowych – sprostował Shan. – Ono było dla Brygady. Wzruszyła ramionami. Shan spojrzął na nią.

–Świetnie. Aresztujcie mnie. Jedyne, w czym jestem na prawdę dobry, towarzyszeko prokurator, to przetrwanie. Pójdę do więzienia. Przeżyję. Ale wtedy oni zwyciężą.

–Kto?

–Nie wiem jeszcze. Może Bao. Kaj. Może ten Rongqi z Urumczy. Xu zapaliła następnego papierosa.

–Nie muszę wam stawiać żadnych konkretnych zarzutów – powiedziała. – Jesteście chwastem. Nie jesteście stąd. Chwasty są winne z definicji. Mamy program zwalczania chwastów.

Jeden telefon i jedziecie na rok do Obozu Chwały.

Shan zignorował ją.

–Rongqi – powtórzył. Czy prokuratorka wolą nie mówić o tym człowieku? – Czy on znał Lau?

Xu zawahała się.

–To generał. Były generał. Teraz członek najwyższego kierownictwa Brygady. Drugi po prezesie. Spotkał Lau, kiedy przyjechała ze mną do Urumczy.

–Lau była z wami w stolicy?

–To właśnie Rongqi zatwierdzał nowy program asymilacji. Pomyślałam, że ona jest wzorem osoby, jakiej potrzebujemy. Prokuratura postanowiła wesprzeć program, udostępnić swoje bazy danych. Poprosiłam Lau, żeby pojechała, na nasz koszt. Chciałam, żeby ją poznali. – W głosie Xu pojawiło się coś nowego. Niepewność, wahanie.

–Ale coś się wydarzyło.

–Nie wiem, co się stało. Rongqi przyjął ją serdecznie. Rozmawiali i nagle ona zrobiła się jakaś milcząca. Powiedziała, że źle

się czuje, przeprosiła i wyszła. Przez całą drogę powrotną nie odezwała się ani słowem.

–To było, zanim została usunięta z rady? – W przeddzień jej śmierci, powiedział mu w szkole Hu, Ko próbował ją namówić, żeby wróciła z nim do Urumczy.

–Może dwa albo trzy tygodnie wcześniej. – Jej twarz stwardniała. – Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Znam takich ludzi jak wy, Shan. Im wyżej ktoś stoi, tym bardziej jest winny. – Zdusiła niedopałek papierosa na blacie stołu. – Mam dla was zagadkę. Kiedy znikacie po raz pierwszy, to się nazywa gułag. Ale kiedy znikacie po raz drugi, jak się to nazywa?

Shan westchnął i spojrzał w niebo.

–Za dwa dni przyjdę do waszego biura. Na wasze terytorium. Zaaresztujcie mnie wtedy, jeśli nadal będziecie mieli ochotę.

Xu zmarszczyła brwi, ale nie powiedziała nie.

–Nie wierzę, że Sui był z wami tamtego dnia tylko z powodu waszego dochodzenia w sprawie zaginięcia Lau – oświadczył Shan. – Nie, jeśli szukał Tybetańczyków.

–Zakładał blokady na drogach, zarówno dla mnie, jak i dla Urzędu Bezpieczeństwa. Urząd tropił przemytników. Złodziei nefrytu.

–Nefrytu?

–Sui pytał mnie tamtego dnia, czy nie widziałam jakiegoś ciekawego nefrytu. Zrozumiałam, o czym myśli. Cały nefryt w Chinach pochodzi właśnie z tych terenów. Na jego wydobywanie i obróbkę wydawane są specjalne zezwolenia. Kontrolerzy wystawiają specjalne zaświadczenia o jego jakości. Naliczane są specjalne opłaty. Czasami ludzie próbują wykręcić się od tego i sprzedać go tanio na czarnym rynku. To jedno z zadań rutynowo przydzielanych młodszym oficerom. Sui słyszał, że zamierzam przeczesywać drogi, więc pomyślał, że skorzysta z okazji, by sprawdzić, czy nie wykryje nielegalnego transportu nefrytu. Najwyraźniej chodziło o przemycających nefryt Tybetańczyków.

Nie, cisnęło się na usta Shanowi. On szukał chłopców. Spojrzał na tył warsztatu, gdzie spał Lokesh. Sui szukał Nefrytowego Koszyka. Został zabity. Potem Ko oddał majorowi Bao swój drogi

samochód. Nie z przyjaźni. Zrobił to, ponieważ miał wobec Bao jakieś zobowiązania. Albo mieli wspólne interesy. Xu rozglądała się dokoła. Spojrzała na wóz z sianem i na wielką ciężarówkę, które blokowały jej samochód. Zdawało się, że coś wyczuwa. Przez jej twarz przemknął cień zaniepokojenia. Nagle zmiotła na ziemię tłący się niedopałek papierosa i wstała z gniewnym spojrzeniem, które sprawiło, że wszyscy dookoła odwrócili wzrok. Shan spostrzegł, że Gruby Mao daje znak i ciężarówka zaczyna się wycofywać, aby limuzyna prokuratoria mogła wyjechać.

–Jeszcze jedno – odezwał się Shan. – Panna Loshi. Prosilicie ją, żeby z wami pojechała?

–O co wam chodzi?

–Chodzi o to, że ona spotyka się z dyrektorem Ko. Prosiła was o to?

Xu zastanowiła się.

–Mój główny śledczy jest w górach. Wiedziała o tym. Zaproponowała, że pojedzie ze mną.

–Żeby pilnować.

–Żeby pilnować – przyznała Xu, uśmiechając się drwiąco, po czym pomachała w stronę herbaciarni. Chwilę później Loshi wyszła na dwór, trzymając przed sobą telefon komórkowy. Wtyczka безпеki.

Shan nerwowo przyglądał się, jak Xu kładzie swoją płócienną torbę na masce samochodu. Kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Gruby Mao wpadł do warsztatu. Chwilę później pojawił się ponownie, niosąc złożoną w czworo kartkę papieru. Nagle na drugim końcu zabudowań rozległ się krzyk. Spomiędzy dwóch ciężarówek wypadł, becząc, wielki baran. Gnał na oślep, co kilka kroków bodąc głową powietrze, jakby walczył z jakimś niewidzialnym rywalem. Kilku mężczyzn z okrzykiem rzuciło się ku zwierzęciu. Inni czmychnęli do budynków.

Panna Loshi zatrzymała się na środku drogi i wydała głośny dźwięk, nie wrzask, lecz przenikliwy skowyt. Nie uciekała przed szarżującym w jej stronę zwierzęciem, ale stanęła nieruchomo i zakryła oczy dłonią.

Baran najwyraźniej uznał to za sygnał do ataku. Rzucił się prosto na nią, lecz skręcił w ostatnim momencie, tak że jego

masywny bark uderzył w jej kolana, zwalając ją z nóg. Dziewczyna upadła na ziemię i siedziała oszołomiona, podczas gdy mężczyźni otoczyli zwierzę ciasnym kręgiem. Prokurator Xu podbiegła do Loshi, by pomóc jej wstać. W tej samej chwili Gruby Mao rzucił się ku limuzynie. Shan obejrzał się znów na Xu, prowadzącą Loshi do samochodu.

Gdy czarna limuzyna zniknęła w oddali, na stacji zawrzało jak w ulu. Mężczyźni przy stołach wstali. Kierowca ciężarówki wyłączył silnik i wysiadł z kabiny. Woźnica na powrót zaprzągnął konia do wozu.

Jakli wróciła, ściągając zawój, i potrząsnęła głową, żeby uwolnić włosy. Krok za nią, z szerokim uśmiechem na twarzy, szedł Lokesh.

–Nic z tego nie rozumiem – stwierdziła dziewczyna, spoglądając na szosę, w tę

stronę, w którą odjechał samochód. – Co ona robi? Nie sprowadziła nikogo poza swoją nic niewartą sekretarką.

–Ona wcale nie zamierzała go aresztować – odparł Gruby Mao, siadając przy stole obok Shana. – Ona chce go wykorzystać i zgarnąć go później. – Ujgur przyjrzał się niepewnie Shanowi, po czym wyciągnął ku niemu kartkę papieru. Notatkę, którą Shan dał Xu. – Podmieniłem to na pustą – oświadczył, uśmiechając się półgębkiem. – Celowo działać jej na nerwy... – dodał, kręcąc głową. – Nie masz pojęcia, jak ona jest groźna.

Shan wziął od niego kartkę i złożony ją, schował do kieszeni.

–Jedynie, co robię celowo – powiedział – to szukanie prawdy.

Gruby Mao spojrzał na niego z niesmakiem.

–A jeśli twoje szukanie prawdy naraża nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo?

–Jedyni, którym grozi wielkie niebezpieczeństwo – odparł Shan, zerkając z obawą na Lokeshę – to dzieci i Tybetańczycy.

Rozdział czternasty

Mimo wybojów na drogach Gruby Mao jechał szybko, wciąż na południe, szybciej, niż nakazywał rozsądek. Nie było żadnych sporów, żadnych dyskusji. Shan nie ruszy się nigdzie, dopóki nie dopilnuje, żeby Lokesh znalazł się z powrotem w Tybecie, poza zasięgiem tutejszych pałkarzy. Gruby Mao skrzywił się, ale nie odezwał się słowem, tylko gestem skierował ich ku najmniejszej z ciężarówek. Rozczarowany Lokesh wzruszył ramionami i pozwolił Jakli odprowadzić się do pojazdu.

Gdy ruszyli, Shan przyglądał się, jak konny wóz odjeżdża ziemnym traktem w stronę wzgórz. Jakli siedziała obok woźnicy, który ponaglił konia do szybkiego kłusu. Nie chciała słuchać błagań Shana, by wróciła do fabryki, gdzie pałkarze zapewne wkrótce spostrzegą jej nieobecność. Dzieci z zheli spotykały się za cztery dni przy Kamiennym Jeziorze. Major Bao wiedział o tym. Wiedział o tym dyrektor Ko. Wiedziała prokurator Xu. Było to zapisane w komputerze Brygady. Cały świat wiedział, gdzie za cztery dni można będzie znaleźć pozostałych przy życiu chłopców.

Stary Tybetańczyk położył głowę na oparciu fotela i nucił cicho, gdy ciężarówka posuwała się naprzód. Zdawało się, że Lokesh traci siły, nie od czasu, kiedy mu powiedziano, że musi opuścić Xinjiang, lecz odkąd znaleźli grób Khitaia. Bywały chwile, kiedy Shan, patrząc na przyjaciela, odnosił wrażenie, że starzec zapada się w sobie, jakby uchodziło z niego coś o żywotnym znaczeniu. Przypominało to przetaczające się fale, gdyż niekiedy Lokesh wyglądał na pełnego sił. Teraz jednak słabł coraz bardziej i Shan zaczął się obawiać, że zmogły go wiek i trudy podróży. Bał się o niego i o to, co się z nim stanie, jeśli w najbliższym czasie nie doprowadzą poszukiwań do końca. Nie zdradził nikomu,

że chciał wrócić do Senge Drak z jeszcze jednego powodu. Nie chodziło mu tylko o zapewnienie bezpieczeństwa Lokeshowi. Musiał rozwikłać sprawę Nefrytowego Koszyka. A odpowiedzi nie należało szukać w Xinjiang.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy dotarli do wyboistego szlaku stanowiącego ostatni podjazd przed Senge Drak. Ale Gruby Mao nie mógł jechać dalej. Czekają go pilne sprawy w dole. Przestrzegł ich, żeby szli uważnie, bo zmięcha, po czym dał im koce i wyjaśnił, gdzie znajdą pewną małą jaskinię, najlepsze miejsce, w którym mogli bezpiecznie przeczekać do świtu. Ale ani Shan, ani Lokesh nie zamierzali czekać. Gruby Mao nie miał dla nich latarek.

–My nigdy nie chodzimy tam po ciemku – ostrzegł na odchodnym. – Możecie spać i nikt nie będzie nawet o tym wiedział. Jeśli coś wam się stanie, nikt nie przyjdzie wam z pomocą.

Od strony płaskowyzu Czangtang dał wściekły wiatr. Targał brzegami kocy, które nieśli zrolowane na ramionach, a od czasu do czasu silniejszy podmuch wyciskał Shanowi łzy z oczu. Przypomnił sobie ostrzeżenie Mao. Ujgurski bojownik wydawał się dziwnie zalekny, jak gdyby Senge Drak było twierdzą widmem, do której nie można trafić w ciemnościach, bo nocą rozplywa się w nicość. Ale, dumiał Shan, pomagając Lokeshowi pokonać kolejny stromy zakręt, Senge Drak nie należało do świata, jaki znała większość ludzi. Nie istniało w świecie komunistów, w świecie równin, w świecie pustogłowych ludzi skandujących złote myśli Przewodniczącego. Istniało jedynie w świecie Genduna i Lokesha, którego słabość, jak przypuszczał, w pewien sposób wiązała się z tym, że został od tego świata odcięty.

Odwrócił się i patrzył, jak jego przyjaciel brnie pod wiatr z uśmiechem na twarzy, jeden z nieszkodliwych Tybetańczyków, którzy nie wiedzieć czemu niepokoiłi Xu bardziej niż ktokolwiek inny. Przypomnił sobie dziwny wyraz jej twarzy, kiedy patrzyła w stronę Kunlunu. Wydawało się, że wspomina albo widzi coś, czego nie potrafi zrozumieć. Shanowi po głowie wciąż krążyło wciąż jedno pytanie. Co czuła, zamalowując twarze tybetańskich bóstw? Satysfakcję? Czy lęk?

Ale on sam tkwił wciąż pomiędzy obydwojma światami. I lepiej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę, że mnisi wybrali

właśnie jego, gdyż nie należał ani do jednego, ani do drugiego. Coś naruszyło delikatną równowagę między nimi i w rezultacie ludzie tracili życie. Kluczem do wszystkiego było zrozumienie, co ze świata mnichów przywiodło ich do tego dziwnego, odległego kraju. Coś z tego, wiedział to, kryło się daleko na pustyni, gdzie leżeli od dawna martwi pielgrzymi. Coś z tego było w Senge Drak i w Karaczuku, w Jakli i w starym nadzorcy strumieni. Nefrytowy Koszyk stanowił część odpowiedzi, wciąż jednak niezrozumiałą, bo choć Shan wiedział, że ci Tybetańczycy nie pożądamy dóbr materialnych, zdają się pożądać tajemniczego gau. Częścią odpowiedzi był mały Khitai, chłopiec, który starannie ukrywał swój różaniec oraz łańcuch dorje i – Shan miał co do tego pewność – siadywał w tajnej sali lekcyjnej z nadzorcą strumieni.

Shan nie miał nic prócz okruchów. Okruchów tajemnicy Tybetańczyków. I innych, okruchów tajemnicy Amerykanów. Ale żadne z nich nie pasowały do siebie. Czyżby dlatego, że zestawiał je niewłaściwie, gdyż niektóre elementy sekretu Amerykanów stanowiły część sekretu Tybetańczyków?

W oczach Lokesha pojawił się błysk, jego krok stał się sprężysty. Ścieżka nie prowadziła po prostu na szczyt potężnej skały, która kryła w sobie dzong. Wiodła do sanktuarium. A Senge Drak było czymś więcej niż tylko sanktuarium. Było ponadczasowością. Było świadomością. Shan pomyślał, że być może w nie mniejszej mierze niż Lokesh potrzebuje pokrzepienia jego atmosferą. Szedł jak we śnie, zawierając stopom, które szukały oparcia w cieniu skrywającym wąską ścieżkę. Ponadczasowość. W osiągnięciu zrozumienia, jak mówił mu kiedyś Gendun, przeszkadzają materialne dobra, budzące jedynie silniejsze pożądanie, oraz czas, który popycha tak wielu ludzi do życia w pośpiechu, rodząc obawę, że coś ich ominie, jeśli zwolnią tempo, jak gdyby, jeśli tylko będą wystarczająco szybcy, mogli odmienić swoje przeznaczenie. Gdy siedziało się w celi medytacyjnej lub obserwowało nocne niebo, czas zdawał się nie mieć znaczenia. Shan także, gdyby tylko sobie na to pozwolił, mógłby dać się nieść z prądem, tak że tysiącletnia mumia i Lokesh, i jeleń Buddy na ściennym malowidle, i drobne jesienne kwiaty, które rozkwitają ledwie na parę dni, stopiłyby się w jedno w owym pogodnym

miejscu, które z braku lepszego określenia musiał nazwać swoją siłą życiową.

Ale nie, pomyślał, nie wolno mi unosić się z prądem. Jest ktoś, dla kogo czas ma znaczenie. Ktoś, kto w pośpiechu morduje małych chłopców.

Spostrzegł wreszcie wznoszące się w oddali ogromne, tępe lico urwiska z dwiema skałami sterczącymi na szczycie. W dolnej części zbocza widać było wąską smugę cienia, wijącą się wzdłuż boku lwa ścieżkę do tuneli. Pod ich stopami potężny żleb opadał dziesiątki metrów w dół, w ciemne piarżysko, zwał oderwanych okruchów skalnych. Przez chwilę stali razem z Lokeshem na skraju żlebu, w ostatnim nikłym świetle wieczoru, wystawiając twarze na podmuchy ostrego wiatru. Wielki ptak minął ich w locie i Tybetańczyk przekrzywił głowę, patrząc, jak sunie ponad lwiokształną górą i siada na jednej ze skał, małeńki cień na uchu lwa.

Nie oglądając się na Shana, starzec ruszył w stronę ptaka.

W miarę jak posuwali się w górę, Lokesh szedł coraz żwawiej, aż w końcu Shan musiał niemal biec, by dotrzymać mu kroku. Można było odnieść wrażenie, że czas nabrał dla Tybetańczyka innego wymiaru, jak gdyby istniał czas Lokesha starego i słabego oraz czas silnego i młodszego, przy czym oba nie następowały po sobie w jakiegokolwiek przewidywalnej sekwencji. Nie, być może da się to przewidzieć, pomyślał Shan, przypominając sobie, jak ożywiony był Lokesh w starej fortecy. Lokesh młodszy kierował się w stronę Genduna Rinpocze i Senge Drak. Shan musiał jakimś sposobem zatrzymać go tutaj, ukrytego w głębi dzongu lub gdziekolwiek w Tybecie, gdyż tu była kraina Lokesha silnego. Gdyby wrócił do Xinjiang, gdzie przemieniłby się w wątłego, słabego Lokesha, mógłby nie przeżyć.

Gdy weszli, dzong wydawał się pusty. Kosz z żarem w wielkiej sali, w której jedli posiłek, był zimny. Na stole ktoś zostawił talerz z resztkami tsampy. Stanęli w jednym z okien, w milczeniu spoglądając na rozległą, pustą równinę, dopóki Shan nie uświadomił sobie, że w sali jest ktoś jeszcze.

Był to Jowa, ale nie ów dumny purba, jakiego znał. Przygaszony i wynędzniały, Jowa sprawiał wrażenie półżywego ze zmęczenia.

–Wróciłeś – odezwał się Shan. – Nie pojechałeś z purbami. –

Przypomniał sobie ów ostatni spędzony wspólnie wieczór, gdy

Jowa bojownik buńczucznie szydził nawet z Genduna. I przypomniał sobie

zdezorientowanego Jowę z tej nocy, kiedy zniknął

Gendun, Jowę, który twierdził, że walka jest daremna, jeśli

nikt z lamów nie pozostanie przy życiu.

Purba zdawał się go nie słyszeć.

–Widywałem ich takich – powiedział udręczony. – To już trzy dni i dwie noce. Ktoś musi przy nich być, gdy są w takim stanie. On mógłby chcieć wyfrunąć przez okno.

Jego dusza nie

wiedziała, co zrobiło jego ciało, dopóki nie byłoby za późno.

Shan znalazł na stole chochlę wody i podał ją Jowie, który chwycił ją i opróżnił długimi, podobnymi do łkań łykami. Shan odprowadził go jednej z cel. Gdy tylko purba opadł na posłanie, zasnął tak szybko, iż wydawało się, że po prostu stracił przytomność.

Gdy Shan wrócił do sali, Lokesha już w niej nie było. Wiedział jednak, gdzie go szukać. Przeszedł nad uśpionym Bajysem, rozciągniętym na progu drzwi do wonnego pokoju, i znalazł Lokesha siedzącego przy świetle samotnej lampki oliwnej. Z Gendunem. Stary lama unieruchomił się pasem gomthag, przeciągniętą wokół kolan i pleców taśmą używaną przez pustelników, by zapobiec przewróceniu się ciała, kiedy duch przebywa gdzie indziej.

Gdyż Gendun istotnie był gdzie indziej.

Shan widywał ludzi pogrążonych w głębokiej medytacji, sam nieraz medytował godzinami, to jednak było coś zupełnie innego. Oczy Genduna były otwarte, ale nie widziały niczego. Wydawało się, że lama przestał oddychać. Shan przysunął lampkę i pochylił się nisko, obserwując jego nadgarstek. Puls był prawie niedostrzegalny, zaledwie leciutkie drgnienia przedzielone kilkusekundowymi przerwami. Niebezpiecznie jest rozmawiać z górami, pomyślał Shan, bo można się stać jedną z nich.

Czekali przez godzinę. Lokesh zapalił następne kadzidła i zaintonował *OM GATE GATE PARAGATE PARASAMGATE BO-DHIHWAHA*. Shan poznał tę prastarą mantrę w obozie, choć niemal nigdy nie słyszał, by jej używano. „Odszedł, odszedł zupełnie, w pełni przekroczył próg oświecenia”, powiedział Lokesh. Gendun, jak Shan, poszukiwał prawdy.

Shan przyniósł więcej lamp. Gendun nie poruszył się nawet o włos. Trzy dni, powiedział Jowa. Choć duch Genduna mógł być silny, jego ciało nie było już młode i Shan obawiał się o nie. Wstał i zaczerpnął chochlę wody z kamiennej cysterny na końcu korytarza. Ale usta lamy były zamknięte, a głowa ustawiona idealnie prostopadle do podłogi, Shan nie mógł więc wlać wody między jego wargi. Nie ośmielił się odchylić głowy Genduna, nie ośmielił się go dotknąć, gdyż ciało w takim stanie okazywało niekiedy własny strach. Mogłoby zareagować na najlżejsze dotknięcie drgawkami lub szarpnęłoby się tak gwałtownie, że zrobiłoby sobie krzywdę. Wyobraź sobie, że on jest delikatnym porcelanowym naczyniem, powiedział mu kiedyś o pogrążonym w głębokiej medytacji pustelniku pewien mnich, a twój palec to ostry czubek gwoźdźca.

Wylał parę kropli z chochli na dłonie Genduna. Z początku nie było żadnej reakcji. Potem powoli, niczym korzonki dążące do źródła, palce lamy rozplotły się i, jakby miały własną świadomość, zaczęły się przesuwać po grzbietach dłoni, szukając więcej. Upuścił jeszcze kilka kropli, a palce odnalazły je i uniosły do warg, które zadrżały, czując wilgoć. Palce sięgnęły w dół i Shan raz jeszcze zrosił ręce lamy. Oczy Genduna nie poruszyły się. Shan po raz trzeci kapnął na jego dłonie nieco wody i wreszcie powieki medytującego zamrugały. Usłyszał, że Lokesh wzdycha z ulgą. Uniósł chochlę do ust lamy. Pod jej dotknięciem wargi rozchyliły się na przyjęcie wody. Ostrożnie wlał w nie ćwierć chochli, po czym usiadł na piętach, dzieląc ulgę Lokesha. Mogła minąć jeszcze godzina, nim Gendun powróci, ale woda sprowadzała go już do nich, przypominając mu, że co najmniej część jego istoty wciąż jest przywiązana do ziemi.

Siedzieli w wonnym pokoju, dopóki nie dobiegł ich odgłos gwałtownie wypuszczanego z płuc powietrza, dźwięk, jaki wydawali często mnisi szkoleni w starych gompach, budząc się z głębokiego snu. Oddechy Genduna stały się głębsze i częstsze, a powieki zamrugały kilkakrotnie. Lama przez chwilę wpatrywał się tępo w Lokesha i Shana, jak gdyby ich nie poznawał, wreszcie na jego twarzy pojawił się pogodny uśmiech.

–Wiecie – odezwał się ochryplym, lecz swobodnym głosem,

jakby toczyli przez cały ten czas przyjazną pogawędkę – jestem niesamowicie głodny.

Znaleźli worek jęczmienia, rozpalili ogień i uprażyli ziarna na tsampę. Lokesh przyniósł w glinianym dzbanie wodę z cysterny, a Bajys, ożywiony, choć równie wątły i wycieńczony jak Jowa, znalazł gliniany słój z marynowaną dynią. Jedli ów prosty posiłek z lubością. Niepełna tarcza księżyca przesuwiała się pomału przez okno, jaśniejąc niczym płomień. Na dalszym końcu stołu, gdzie nikt nie siedział, Lokesh ułożył przedmioty z worka Khi-taia. Poobijany kubek, piórniki, żelazny łańcuch, paciorki.

Kiedy zjedli, Shan oczyścił patelnię i zagotował wodę na herbatę. Lokesh znalazł wiązkę kadzidełek i zapalił trzy laseczki, a Shan opowiedział Gendunowi o śmierci Khitaia.

Lama westchnął.

–Dziecku tak trudno jest znaleźć drogę – powiedział. Opadły mu ramiona, wyglądał bardzo krucho i staro.

–Mam zamiar porozmawiać jutro z Jową, rinpocze – odezwał się Shan, gdy Bajys opuścił salę. Kiedy Shan opowiadał o śmierci chłopca, Bajys zamarł, wstrzymując oddech. Ale nie oderwał oczu od podłogi, nie okazał smutku, a nawet zaskoczenia. Dla niego Khitai nie żył już od dawna, zginął w obozowisku Czerwonego Głazu, gdzie Bajys go znalazł i uznał, że jego świat legł w gruzach. – Żołnierze szukają Tybetańczyków – ciągnął Shan. – Jowa zna zwyczaje żołnierzy. Zabierze cię w jakieś bezpieczne miejsce. – Usłyszał dobiegające z korytarza dudnienie. Bajys obracał prastary młynek modlitewny. – Obaj z Lokeshem musicie wrócić do Tybetu, trzymać się z dala od granicy.

Dziecku tak trudno jest znaleźć drogę. Słowa lamy rozbrzmiewały echem w umyśle Shana. Gendun chciał powiedzieć, że zmarłemu dziecku trudno jest znaleźć drogę do następnego wcielenia.

Lama zapatrzył się w widoczny przez okno skrawek nocnego nieba.

–Rozmawiałem kiedyś z mnichem, który spędził wiele lat tam, w dole – powiedział, mając na myśli świat za wysokimi szczytami Tybetu. – Odchodził beztroski, a wrócił pełen złych nowin. Mówił mi, że wielu ludzi zgubiło drogę, że ignorują to, co mają w sercach, ponieważ tak jest bezpieczniej. Pomyślał,

choć brzmi to niewiarygodnie, że tam w dole są miliony ludzi, którzy chcą po prostu dożyć późnej starości, jak gdyby byli niewolnikami swych ciał.

Gendun podniósł jedną z laseczek kadzidła i pomachał nią powoli nad stołem.

–Tak więc, jak mi opowiadał, ludzie, zamiast walczyć ze złem, stwierdzają, że to zadanie władz. A władze twierdzą, że dla bezpieczeństwa musimy mieć armie, więc tworzy się armie. A armie twierdzą, że dla bezpieczeństwa musimy toczyć wojny, więc toczy się wojny. A wojny zabijają dzieci i pożerają dusze, które nie miały czasu dojrzeć. Wszystko dlatego, że ludzie chcą być starzy, zamiast być wierni prawdzie.

–Oto historia świata – westchnął Lokesh.

Shan nalał herbatę do trzech wyszczerbionych kubków. Pili w zupełnym milczeniu.

–Ja nigdy nie spodziewałem się doczekać starości, rinpocze – odezwał się w końcu Shan.

Gendun roześmiał się cicho. Przyjrzał się Shanowi znad swego kubka, przez unoszącą się z niego parę, po czym odwrócił wzrok ku oknu.

–Czasami się zastanawiam, czy przez te wszystkie lata po prostu się nie ukrywałem. Czy nie wybrałem łatwej drogi, gdy tak wielu cierpiało.

–Nie ma łatwych dróg w Tybecie, rinpocze – odparł Shan. Z bólem w sercu spostrzegł, po raz pierwszy, odkąd poznał Genduna, coś jakby żal w jego głosie. – Nie ukrywałeś się. Byłeś wierny prawdzie. – Stary lama wciąż patrzył w okno. – Są ludzie cenni jak skarby, ludzie niezastąpieni. Jesteś tak potrzebny nam wszystkim, że naszą powinnością, moją, Jowy i wielu innych, jest cię chronić.

–Od dziesiątków lat żyłem w jaskiniach – oświadczył Gendun. – Nigdy, aż dotąd, nie miałem wrażenia, że się ukrywam.

Shan otoczył kubek dłońmi i spojrzał na lamę.

–Ciocia Lau ukrywała się, a to, co robiła, było słuszne.

Gendun odwrócił się ku niemu.

–Ale ona nie uciekała.

–Nie – przyznał Shan. – Ona ochraniała kogoś. Chłopca. Ochraniała go i uczyła.

Gendun milczał. Lokesh wstał i ponownie napełnił ich kubki. Shan podszedł do okna i zapatrzył się w nocne niebo.

Lokesh zaczął śpiewać ochryplym szeptem starą pieśń weselną duchów.

–Mały Khitai nie wiedział o niczym. Nie wiedział, że ona nie żyje – powiedział nagle Gendun. – On ciągle jej szuka.

Nie wiedział. Ciągle szuka. Shan był tu z powodu martwego chłopca. Gendun i Lokesh byli tu z powodu żyjącego ducha, czegoś, co pozostało po Khitaiu, gdy zginął. Duszy małego chłopca.

–Ten chłopiec... – odezwał się niepewnie Shan. – Chłopiec,

który nie był chłopcem. – Przypomniał sobie dziwne słowa Bajysa. To był ten, którego kochałem. Ten, którego miałem chronić. On znów przejdzie przez śmierć. Ale teraz go znam.

Gendun zbliżył się do niego powoli, z laseczką kadzidła w dłoni.

–Tak też można to wyrazić – przyznał. – Ale ludzka mowa nie jest stworzona do takich rzeczy. Szukałem, lecz nie potrafię znaleźć żadnych słów, żeby to wyjaśnić. Wiedzieliśmy jedynie, że śmierć Lau przyszła z tego świata. Chcieliśmy tylko ocalić chłopca. Sądziliśmy, że jeśli odkryjesz prawdę o zabójcy jego nauczycielki, to ta prawda go ochroni. – Podszedł tak blisko do okna, że wydawało się, iż lada chwila z niego wypadnie.

–A reszta była... – Shan z wysiłkiem szukał odpowiednich słów. Oni nie zamierzali go zwodzić. Nie zwiedli go. Po prostu nie potrafili przełożyć języka jednego świata na język drugiego.

–Nie była tajemnicą – odparł Gendun. – To tylko... – Westchnął, wpatrując się w jedną z gwiazd. – To po prostu nie należało do tego świata w dole. – Wiatr szarpał jego szatą jak wielką flagą modlitewną.

Shan podszedł do okna i oparł dłoń na ramieniu lamy.

–Rinpocze, ja staram się zajrzeć do tamtego świata. Muszę do niego zajrzeć. Ponieważ odpowiedź leży tam, gdzie oba światy się przecinają. Gendun spoglądał w noc. Pod ich stopami przemknęła tuż nad horyzontem spadająca gwiazda.

–On był moim przyjacielem – odezwał się Lokesh swym nieobecnym głosem. – Kiedyś, gdy byłem małym chłopcem, uratował mnie przed lawiną. Wciągnął mnie za skałę i trzymał tam,

gdy śnieg przewalał się przez urwisko. – Uśmiechnął się. – Później wędrowaliśmy i szukaliśmy wysoko położonych miejsc, gdzie recytowaliśmy sutry. – Wyciągnął rękę i ujął poobijany kubek z torby chłopca. – Nosił ten kubek i piliśmy z niego wodę z górskich źródeł. Bawiliśmy się z psami i szukaliśmy jaskiń. Czasem znajdowaliśmy rzeczy pozostawione przez pustelników.

–Z Khitaiem? – zapytał bezradnie Shan.

Lokesh skinął głową i westchnął z dziwnie rozmarzonym wyrazem twarzy.

–Kiedyś na urodziny dalajlamy wspięliśmy się na górę i rzucaliśmy w niebo papierowe konie – ciągnął, nawiązując do dawnego zwyczaju posyłania papierowych koników na wiatr. Znalezione przez potrzebujących wędrowców, zmieniały się w stworzenia z krwi i kości. Podszedł do kosza z żarem i dorzucił kilka

drzazg jałowca, po czym spojrzał na Shana i dostrzegł niezrozumienie na jego twarzy. – Wtedy nie nazywał się Khitai. Miał na

imię Tsering – oświadczył z uśmiechem zadowolenia, jak gdyby wyjaśnił już wszystko. – Tsering Raluk.

–A przedtem? – zachęcił go Gendun.

Lokesh wzruszył ramionami.

–Przedtem urodził się w Kham, pod imieniem Dorjing. –

Spojrzał na Genduna, który skinął mu głową, aby mówił dalej. – Jeszcze wcześniej przyszedł na świat w Amdo, gdzie dano mu imię Ragta. Kim był przedtem, nie wiem dokładnie. Pamiętam, że bardzo dawno temu był chłopcem w Nepalu.

Shan podszedł do stołu i opadł na ławę.

–Nie rozumiem – powiedział. – Odradzająca się dusza nie ma wspomnień z poprzednich wcieleń. Nie może wiedzieć, gdzie

pojawi się ponownie. – Zdezorientowany spojrzał na swych

przyjaciół, którzy patrzyli na niego, uśmiechając się szeroko,

niczym dzieci dzielące się radosnym sekretem. – Ach – szepnął

w nagłym olśnieniu. – On jest tulku. – Nigdy nie czuł się większym ignorantem, niż kiedy prawda objawiała się przed nim z całą mocą, nigdy nie wydawał się sobie bardziej ślepy, niż kiedy łuski wreszcie spadały mu z oczu. To nie chłopiec był celem ich poszukiwań. Nigdy nim nie był. Wrócił do okna i stanął tak, by wiatr, teraz już dość zimny, mógł uderzać w niego z całą siłą. Myśli kłębiły mu się pod czaszką i pozwolił, żeby wiatr dokonał

swego dzieła, odsiewając plewy. Tulku był reinkarnowanym lamą, duszą, która osiągnęła taki stopień rozwoju, że mogła decydować o swoich wcieleniach, mogła nawet zachowywać z nich wspomnienia.

–W górach, w połowie drogi między górą Kailas i Shigatse, była gompa, przez setki lat jedna z największych w Tybecie – wyjaśnił Gendun. – Jej pierwszym opatem był tulku Yakde Lama, przywódca jednej ze starych, niemal zaginionych sekt. – Choć tradycyjnie władzę w Tybecie sprawowały Żółte Czapki, sekta Gelugpa, w kraju istniało wiele innych, w większości nielicznych i niemal wymarłych, czasem drobnych, lecz mimo upływu wieków żywotnych. – Ostatni Yakde Lama miał tuzin gomp, małych, zbudowanych głównie w okresie imperialnym. Zawsze jako mały chłopiec uczył się w Shigatse – ciągnął Gendun, mając na myśli potężną gompę Tashilhunpo, siedzibę panczenlamów. W Tybecie żyło już wówczas niewielu reinkarnowanych lamów. Ale byli oni duszą wspólnoty buddyjskiej, dla wielu Tybetańczyków najważniejszymi przywódcami, tymi, którzy jednoczyli wiernych.

–Nie możemy pozwolić, żeby zrobili z nim to co z panczenlamą – odezwał się ktoś za nimi. Jowa. Wciąż wyglądał mizernie, ale w jego oczach płonął ogień.

Shan smętnie pokiwał głową. Dziesiąty panczenlama, najwyższy po dalajlamie spośród reinkarnowanych lamów, w nadziei uniknięcia rozlewu krwi początkowo zdecydował się na współpracę z Pekinem, biorąc za dobrą monetę zapewnienia, że zachowają jego gompę i buddyjskie tradycje Tybetu. Gdy sprowadzono go do Pekinu, wojsko uwięziło cztery tysiące mnichów z jego gompy. Po latach indoktrynacji uznano go za wystarczająco podporządkowanego, by pozwolić mu na powrót do Tybetu, ale podczas publicznych uroczystości w 1964 roku zamiast wygłosić przemówienie napisane dla niego w Urzędzie do spraw Wyznań, wykrzyczał do tysięcy zgromadzonych, że pragnie niepodległości Tybetu. Za ów akt nieposłuszeństwa został wysłany z powrotem do Pekinu w łańcuchach. Po jego śmierci, w wielce niejasnych okolicznościach, Urząd do spraw Wyznań oświadczył, że rozpoznał jego nową inkarnację w synu dwojga członków Partii i wziął chłopca pod swoją kuratelę, by poddać go specjalnej

edukacji. Buddyści, z pomocą przebywającego w Indiach dalajlamy, używając stosowanych od wieków praktyk wróżebnych, zidentyfikowali jako prawowitego panczenlamę pewnego tybetańskiego chłopca, który jednak został uprowadzony przez władze i zaginął bez śladu.

–Słyszałem o przemówieniu w Lhasie – powiedział Lokesh z bólem w głosie. – Władze oświadczyły, że były zbyt tolerancyjne, że nigdy już nie dopuszczą do rozpoznania kolejnych wcieleń najwyższych lamów. Że nie będzie już więcej dalajlamów, kiedy czternasty umrze.

Gendun westchnął.

–Khitai został odnaleziony, kiedy miał trzy lata – wyjaśnił – przez najstarszych członków swej sekty. – Jak wiedział Shan, były procedury służące identyfikacji odrodzonych lamów, różniące się między sobą w zależności od tradycji określonej sekty. – Chłopiec rozpoznał przedmioty należące do wcześniejszych

wcieleń lamy. Miał znamię na lewej łydce. Na proroczym jeziorze ukazał się znak w kształcie jego inicjałów. Niezwłocznie postanowiono, że trzeba trzymać go w ukryciu, dopóki nie będzie mógł przejąć wszystkich obowiązków Yakde.

Znamię. Wszyscy martwi chłopcy mieli rozciętą nogawkę.

–Wcześniej już Lau, mniszka należąca do jego sekty, została wysłana na północ, na tereny nadgraniczne, żeby przygotować dla niego miejsce, nim zostanie odnaleziony. Potem, gdy nadszedł czas, dano mu za towarzysza Bajysa, ponieważ był nowicjuszem, a także dlatego, że pochodził z rodziny dropków i znał zwyczaje pasterzy.

Akta Lau, przypomniał sobie Shan, w ciągu ostatnich dziesięciu lat były bez zarzutu. Wszystko to, jej osiedlenie się w Yoktianie, jej wybór do Rady Rolnej, jej opiekę nad zheli zorganizowano dla małego lamy. Nie było to oszustwo, wiedział bowiem, że Lau kochała wszystkich swoich podopiecznych, lecz wymyślny sposób na zapewnienie chłopcu kryjówki, z zachowaniem wierności prawdzie.

–Ale Lokesh powiedział, że bawił się z...

Gendun uśmiechnął się do starca.

–Tak jak mówił Lokesh, bawili się razem. Ten, którego nazywamy Khitaiem, w swym ostatnim wcieleniu był chłopcem,

a Lokesh znalazł go jako chłopca w poprzedniej inkarnacji. Khitai rozpoznałby go i wiedziałby, że przybył przyjaciel. – Gendun wyrzwał przez okno. – Albo, gdyby stało się najgorsze, zebralibyśmy pamiątki po nim.

Shan przypomniał sobie, jak Lokesh siedział przy grobie chłopca, wpatrując się w skarby Khitai, jakby przemawiały do niego.

–Gdyby Pekin wiedział – dodał zbolalym głosem Lokesh – starałby się je zagarnąć, by uniemożliwić rozpoznanie.

Shan poczuł, że dreszcz przebiega mu po plecach.

–Ale nie znaleźliście wszystkiego – wtrącił. – Nie znaleźliście Nefrytowego Koszyka.

Lokesh westchnął.

–Nie. Mamy srebrny kubek, z którego mój przyjaciel dziewiąty Yakde pił wodę ze świętego jeziora w ich najstarszej gompie. Mamy piórnik. Ale nie mamy tego, co najważniejsze, jego gau. Musimy je mieć. Ono jest bardzo stare. Zawsze należało do Yakde Lamy.

–Teraz ma je zabójca – zauważył smętnie Shan. – To on znalazł Khitai. – Opuścił wzrok na dłonie. – A ja znajdę zabójcę i odzyskam gau.

–Nie wygrasz z rządem – zaprotestował Jowa. Shan spojrział na niego.

–Więc sądzisz, że oni wszyscy działają razem?

–Jasne. Zawsze tak robią. Pod dyktando Pekinu.

–Nie wiem – stwierdził Shan. – Pewne sprawy się zmieniły. Jowa zmarszczył brwi i powoli pokręcił głową.

Lokesh wstał i wyciągnął ręce nad paleniskiem, wdychając wonny jałowcowy dym.

–Musimy więc ruszać w drogę – oświadczył z niezwykłą determinacją.

–Tak – westchnął Gendun, wstając od stołu. Zachwiał się lekko. – Może jednak najpierw odpocznę parę godzin.

Shan popatrzył na przyjaciół z nadzieją.

–Za parę dni możecie być już z powrotem w Lhadrung. Jowa żywo pokiwał głową.

–Załatwię ciężarówkę.

Dwaj Tybetańczycy spojrzeli na Shana wyraźnie skonsternowani.

–Nie wracamy do Lhadrung – odparł Gendun. – Idziemy na dół, w świat. Tam właśnie jesteśmy potrzebni.

–Nie, rinpocze – rzucił z nagłą trwogą Shan. – Proszę.

–Khitai nie żyje – wyjaśnił spokojnie Gendun – a jego dusza została tam, niedojrzała, nie przygotowana, wciąż usiłująca zrozumieć, co się stało. On potrzebuje naszej pomocy. Nikt nie odczytał mu pouczeń o wyzwoleniu się z bardo. Będzie zdezorientowany. Nawet dla tulku może to być trudne, jeśli nie zdobył pełni świadomości w swym ostatnim wcieleniu. Pomożemy mu. Zagubiona dusza może szukać znajomych twarzy. Musimy pomóc mu przejść do następnego życia. A ty musisz znaleźć Nefrytowy Koszyk.

–Proszę – powtórzył Shan. Wstał i podszedł do Genduna. – Co możecie zrobić? –

zapytał zdesperowany. – Nic. Tam są pałkarze. Tam jest Brygada. Tam jest prokuratorka. Mogę odnaleźć gau tylko pod warunkiem, że wy będziecie w kryjówce.

–W kryjówce? – powtórzył Gendun powoli, jakby nigdy nie słyszał tego słowa. – Możemy pójść na grób chłopca. Możemy się modlić i medytować. Potem podążymy za znakami.

Ty prowadź dochodzenie w swoim świecie, mówił Gendun, a my poprowadzimy dochodzenie w naszym.

–Nie – błagał Shan głosem nabrzmiałym od obaw. – Jego grób jest pod obserwacją prokuratoria. Nie macie żadnej ochrony. Żadnych dokumentów. Zginiecie.

Gendun uśmiechnął się cierpliwie.

–Mamy naszą wiarę. Mamy Bodhisattwę Współczucia.

Shan spojrzał na Genduna, mnicha pustelnika, który całe życie spędził w górskiej samotni w Lhadrung, który zaledwie dwa tygodnie wcześniej po raz pierwszy jechał ciężarówką, który nie miał pojęcia o karabinach, helikopterach ani elektrycznych biczach na bydło, ulubionym narzędziu prowadzących przesłuchania pałkarzy. Podszedł do stojącego przy palenisku Lokesha.

–Obiecuje wam, że jeśli ukryjecie się w Lhadrung, znajdę zabójcę. Odzyskam Nefrytowy Koszyk, nawet gdybym musiał iść po niego aż do Pekinu. Odpocznijcie dziś w nocy, a potem wróćcie do sali z wonnego drewna, dopóki Jowa nie zorganizuje ciężarówki. Możecie jechać do domu.

–Odpocznijmy w nocy – zgodził się Lokesh, kiwając głową. – Dom to dobry pomysł – dodał zamyślony.

Gendun ujął dłoń Shana i uściśnił ją, po czym obaj Tybetań-czycy pozwolili mu się odprowadzić do najbliższej celi medytacyjnej, gdzie mieli posłania.

Ale gdy nadszedł ranek, Jowa usiadł przy stole z beznadziejnym smutkiem na twarzy. Bajys biegał w tę i z powrotem po korytarzach, rozpaczliwie wykrzykując ich imiona. Do sali docierało echo jego żalostnego głosu. Ich jednak nie było. Gendun i Lokesh odeszli nocą. Wyruszyli na dół, w świat.

Rozdział piętnasty

Shan siedział na głazie wartownika, nie zważając na szarpiące nim we wszystkie strony podmuchy wiatru niosącego wyraźną woń śniegu. Tym razem zaginał nie tylko Gendun, ale i Lokesh, zabłąkani w świecie, który pograżał się w szaleństwie. Shan zostawił Jowę wyglądającego z pustym wyrazem twarzy przez okno. Bajys dreptał wkoło, z trudem łapiąc powietrze, jak gdyby ustawicznie wstrząsał nim szloch. Wracaj do celi, powiedział sobie Shan, i siedź z tym starym łukiem, dopóki znów nie dojrzysz celu. Ale jego myśli były zbyt skłębione, więc gdy tylko rozległa równinę zalała powódź słonecznego światła, wspiał się na dawny posterunek wartownika, by wypatrywać w dali śladu dwóch wędrowców i szukać odpowiedzi wśród szybko płynących chmur.

Niespodziewanie runęła na niego śnieżycą, otaczając go białym szaleństwem. Nie poruszał się, ignorując zimno, ignorując wgryzające mu się w twarz igielki. Może to nie zamieć, powiedział sobie, może zaglądam tylko do wnętrza swego umysłu. To właśnie czuł w tej chwili. Zamęt. Wir sprzecznych myśli. Dryfowanie pomiędzy światami. Chłód śmierci. Nawet jeśli Khitai był dziesiątym Yakde, dlaczego zabicie go było sprawą tak nagłą? Dlaczego pałkarze nie brali odwetu za zamordowanie jednego ze swych oficerów? Co bezimienny Amerykanin robił w Obozie Chwały? Dlaczego Sui chciał aresztować Lokesha, ale tak, żeby nie widział tego dyrektor Ko? Czy zdemaskowano starego nadzorcę strumieni? Czy pogodny nauczyciel małego lamy był właśnie poddawany torturom? Poprzez pędzące płatki śniegu zaczął przezierać skrawek czystego nieba i nagle, równie niespodziewanie, jak się zaczęła, nawałnica ucichła. A on uświadomił sobie, że pojawił się co najmniej jeden nowy fragment układanki,

który musi odtąd brać pod uwagę. Szukał wskazówek w świecie Lau i chłopców z zheli. Teraz musiał poszukać wskazówek w świecie Yakde Lamy.

Kiedy zszedł na dół, Bajys drżącymi rękoma szcztokował kępką końskiego włosia rozpostarty na stole płaszcz Jowy. Purba siedział obok, wpatrując się w mapę.

–Gompy – zwrócił się Shan do Bajysa. – Gendun mówił, że wciąż jeszcze istnieją gompy należące do Yakde. Powiedział, że powstały w czasach imperium, kiedy tybetańskie armie przeciągały przez te tereny. Co oznacza, być może, że wciąż tu są gompy zakładane w tym okresie na szlakach. Jak daleko stąd jest najbliższa?

Bajys tylko pokręcił głową.

–Gdyby Khitai żył – naciskał Shan – gdybyś się dowiedział, że Lau nie żyje, i musiał ukryć gdzieś Khitaia, dokąd byś poszedł?

Bajys nie przestawał szcztokować płaszcza.

–Są tajne klasztory – odparł, oglądając się przez ramię w stronę okien, jakby się obawiał, że na zewnątrz ktoś podsłuchuje, unosząc się w powietrzu. – Lau je znała. – Spojrzał przepraszająco na Shana. – Ona nie miała wcale umrzeć – dodał głucho.

Jowa patrzył na Bajysa dziwnym, wyczekującym wzrokiem, jak gdyby już, już miał się do niego odezwać, rzucić słowa, które wreszcie uspokoiłyby skołataną duszę nieszczęśnika. Albo może po prostu objąć go, pocieszyć i zapewnić, że nie zrobił nic złego.

–Chcesz powiedzieć: nie zarejestrowane – podsunął Shan.

Żadna gompa nie miała prawa funkcjonować, jeśli nie otrzymała zezwolenia od Urzędu do spraw Wyznań.

–Ja wiem co nieco o gompach Yakde. Czytałem o nich – wtrącił Jowa, rzucając Shanowi znaczące spojrzenie. Purbowie nieprzerwanie prowadzili rozrastającą się kronikę zbrodni popełnianych przez Chińczyków, której kopie rozsiane były po całym Tybecie. – One wszystkie znajdowały się w niedostępnych miejscach – ciągnął. – Kompletnie odizolowane. Czasami przez całe lata nie miały kontaktu ze światem. Na odludziu, gdzie zdawałoby się, że człowiek nie może przeżyć. Wymierały powoli,

zanim jeszcze Urząd do spraw Wyznań zaczął ich szukać. Niektóre zostały zamknięte, a mnisi trafili do więzień. Ale inne były zbyt odległe, zbyt małe, by władze chciały zaprzętać sobie nimi głowę. Siły powietrzne wykorzystywały trzy albo cztery jako ćwiczebny cel dla bombowców, resztę zostawiły w spokoju. Krążą słuchy, że w niektórych zaraza zabiła wszystkich mnichów.

–Ale, Bajys... – zaczął znów Shan, kładąc dłoń na ramieniu nerwowego Tybetańczyka. Delikatnie podprowadził Bajysa ku ławie i posadziwszy go na niej, sam usiadł obok. – Oni musieli ci powiedzieć. Musieli ci powiedzieć, gdzie masz zabrać Khitaia w razie kłopotów, w razie niebezpieczeństwa. Dropka, taki jak

ty, potrafiłby znaleźć odpowiednie miejsca w górach.

Bajys przycisnął dłoń do czoła, jakby chciał uśmierzyć ból.

–Lau. Miałem iść do Lau.

–Czy ona nie wspominała nigdy o innym takim miejscu? Może sama bywała tam czasem? Może bywał tam nadzorca strumieni?

–Diamentowe jezioro – oświadczył Bajys. – Wiem tylko tyle, że ona poszła tam kiedyś, aby nabrać sił. Do diamentowego jeziora.

Jowa gwałtownie uniósł głowę.

–Kilka kilometrów stąd jest święte jezioro. Widziałem je kiedyś z daleka, z pewnym starym myśliwym. Powiedział mi, że ono zamarza o wiele później niż inne, że muszą je zamieszkiwać bóstwa, bo zawsze błyszczą jak diament.

Godzinami szli w milczeniu przez surowy, wysokogórski teren, zważając na każdy dźwięk, pędząc do kryjówek, gdy gwałtowniej zawył wiatr, i brali to za odgłos samolotu lub helikoptera. Posuwali się ścieżkami dzikich kóz, za punkty orientacyjne mając odległe szczyty, które Jowa raz po raz omiatał wzrokiem, wyznaczając na tej podstawie ich położenie. Purba poprowadził ich skrajem doliny, gdzie wypatrzyli biegnące małe stadko antylop, po czym przekroczył siodło skalne i zaczął się wspinać na długi grzbiet. Szli wciąż pod górę, przemykając biegiem przez odsłonięte, nie zapewniające żadnego schronienia miejsca. Dwa razy

zatrzymali się, żeby dołożyć kamień do tysięcy innych, kładzionych na wzniesieniach w ofierze dla górskich bóstw. Przez godzinę leciał nad nimi kruk, obserwując ich bacznie, zataczając kręgi, od czasu do czasu przysiadając na skałach, jakby na nich czekał. Bajys, idący przed Shanem, który trzymał się umyślnie z tyłu, przystawał co chwila, żeby spojrzeć na ptaka. Zdawało się, że skądś go już zna.

Wspinali się wciąż wyżej i wyżej. Minęli kolejną przełęcz, potem pięli się zakosami po stromym stoku. Shan spostrzegł, że po raz pierwszy od lat, odkąd zaaklimatyzował się na tybetańskich wysokościach, zaczyna mu brakować tlenu. Natknęli się na strumyk wypływający z topniejącego błękitnego lodowca i długo gasili pragnienie. Jowa napił się już, ale jeszcze siedział w kucki przy wodzie.

–Przyszło mi coś do głowy – odezwał się do Shana. – Czy mówiłeś Lokeshowi, gdzie jest nadzorca strumieni?

Shan wstał i spojrzał na purbę.

–Słyszał, kiedy o tym wspominałem – powiedział wolno.

Spostrzegł troskę w oczach Jowy i zrozumiał. Gendun i Lokesh mogli wyruszyć na poszukiwania nadzorcy strumieni, ogniwa, które łączyło ich z zamordowanym chłopcem. Zamknął oczy, starając się odepchnąć od siebie obraz, który podsunęła mu wyobraźnia. Jeśli lama uznał, że musi dotrzeć do Obozu Chwały, poszedłby prosto ku drutom, prosto w ręce pałkarzy i prokurator Xu.

Zanim ruszyli w drogę, Bajys zebrał kilkanaście kamieni i zbudował z nich mały kopczyk, hołd dla bóstwa, które zamieszkiwało szczyt, na który się wspinali. Była to forma gromadzenia zasług, uświadomił sobie Shan, zadośćuczynienie za to, że nie zdołał uchronić Khitaia przed śmiercią. Skończywszy, Bajys ruszył dalej ścieżką, ale Jowa i Shan zostali jeszcze na chwilę, by dołożyć kilka kamieni, żywiąc te same obawy o los Lokesha i Genduna, pochwyconych być może w Obozie Chwały.

Im wyżej się wspinali, tym bardziej narastało w Shanie wrażenie, że wkraczają do innego świata. Zdawało się, że Bajys także to odczuwa. Tybetańczyk ociągał się, próbując przepuścić go przodem, jednak Shan ponaglił go do dalszego marszu.

Rozpętała

się zawieja śnieżna, przesłaniając Jowę, lecz w bieli zostały ślady jego stóp, które wskazywały im drogę.

–Jeżeli Jowa się pomylił – oświadczył Bajys z niezwykłą dla niego pewnością, gdy Shan zrównał się z nim – to na tej wysokości zginiemy z zimna. – Mieli tylko jeden koc na trzech, do jedzenia zaledwie mały woreczek zimnej tsampy, a wokół nie było absolutnie nic, z czego mogliby rozpalić ogień. Nagle w górze ujrzeli głęboki, świetlisty błękit nieba. Spoglądając w dół, Shan spostrzegł, że śnieżycy nie ustała, lecz wspięli się ponad nią.

Szli jeszcze przez godzinę, pokonując kolejną grań, nim wreszcie dogonili Jowę. Purba czekał na nich na małym występie skalnym, z którego otwierał się widok na niezwykłą dolinę. Znajdowali się na północnym krańcu półtorakilometrowej połączy żwiru i suchej trawy obrzeżonej dwiema długimi, potężnymi ścianami skalnymi o symetrii tak doskonałej, że sprawiały wrażenie dwóch monolitów, które niegdyś sterczały na północnym skraju niecki, lecz zostały powalone, by osłaniać dolinę. Pomiędzy nimi, w oddali, lśniło jezioro, nieruchome i czyste, niby rozścielony na ziemi skrawek nieba. Ściany opadały ku jego tafli pod niemal identycznymi kątami, każda pokryta u wierzchołka warstwą śniegu o brzegu tak równym, że wyglądała jak nałożony przez piekarza lukier. Co dziwne, pomimo zimna i wysokości, nad wodą rosło kilka poskręcanych jałowców. Za doliną zaś było już tylko niebo. Świat po prostu urywał się nagle za wąskim pasem ziemi na drugim brzegu jeziora. Hen w oddali widać było spowite mgłą góry, ale między odległymi szczytami a doliną nie było nic prócz powietrza. Shan pomyślał o pozostawionej w dole śnieżycy. Odniósł wrażenie, że przybyli do jakiejś zawieszanej w chmurach krainy.

–To właśnie miejsce miałem na myśli – powiedział Jowa z niepokojem w oczach. Nie mieliby szans wrócić do Senge Drak przed nocą.

Shan stanął obok niego na półce skalnej i spojrzął w dół. Sto metrów niżej, za szeregiem występów sterczących z lica urwiska niczym gigantyczne stopnie, widać było rząd głazów. Nie, poprawił się po chwili, to nie rząd głazów, ale kamienny mur. Ciszę przerwał nagle dobiegający gdzieś z bliska głuchy stukot,

tak głośny, że Shan podskoczył z wrażenia. Jak gdyby w odpowiedzi rozległo się krakanie i Shan, uniósłszy wzrok, spostrzegł wielkiego czarnego kruka lądującego na skale dziesięć metrów dalej. Coś mówiło mu, że to ten sam ptak, który towarzyszył im w drodze.

Jowa chwycił go za ramię i Shan odwrócił się, żeby spojrzeć tam, gdzie patrzył purba, ku Bajysowi, który opadł na kolana przed płaską, pogrążoną w cieniu skałą. Na jego twarzy malowało się zdumienie, jakie widywał niekiedy u Lokesha, w chwilach, gdy oczy starca przenikały granice pomiędzy światami. Po chwili wahania Shan zrobił krok w tamtą stronę.

Była to tylko skała, nic więcej, a raczej spoczywający na płaskiej skale wielki, okrągławy głaz. Ale ów głaz miał rozciągnięte w uśmiechu usta.

Znów usłyszeli głuchy stuk, tym razem jeszcze głośniejszy. Bajys przykucnął, jakby kulił się ze strachu. Shan podszedł bliżej, a uśmiech na głazie rozciągnął się jeszcze bardziej. Bajys się nie kuli, uświadomił sobie Shan. On się kłania.

Z głazu wysunęło się szare ramię, trzymające dolną część krótkiej drewnianej laski, a gdy laska uderzyła o skałę, znów usłyszeli stuknięcie. Kruk zakrakał i w podskokach zbliżył się do głazu.

Shan uklęknął. Po chwili Jowa poszedł w jego ślady. Głaz zdawał się pomału przybliżać ku nim, uśmiechając się coraz szerzej i szerzej.

–Ach! – jęknął cicho Bajys.

W mroku nad uśmiechem coś się poruszyło i nagle ujrzeli dwoje oczu.

Należały do człowieka, starego człowieka okutanego szarym kożuchem z owczej skóry, w stożkowatej czapce z tego samego materiału, skrojonej tak, że z tyłu zakrywała mu kark, z przodu zaś opadała nisko na oczy, zasłaniając je zupełnie, kiedy pochylał głowę. Oczy, skrzące się energią, bacznie przyjrzały się im po kolei. Starzec znów zastukał laską.

–Po śnieżycy moja laska zawsze dźwięczy – oświadczył z rozbawieniem w oczach i postukał jeszcze raz, dla czystej przyjemności. Jego głos był ochryply, a słowa płynęły wolno, jak

gdyby dawno już odwykł od mówienia. Skórę miał szarą i cienką

jak pergamin, palce zaś długie i sękaty, jakby składały się z połączonych zawiasami kamyków.

Shan spojrzał na Bajysa i Jowę. Tybetańczycy sprawiali wrażenie obezwładnionych wzrokiem starca.

Nieznajomy lekko uniósł głowę i zamrugał. Na chwilę zamknął oczy.

–Kiedy wiatr ucichnie – szepnął – posłuchajcie wody. Usłyszycie, jak migocze.

–Szukamy gomp – powiedział Shan drżącym głosem.

Starzec przekrzywił głowę i zaniósł się niskim śmiechem,

który zakończył serią świszczących dźwięków, po czym wstał gwałtownie, jakby pociągnęła go w górę jakaś niewidzialna siła. Przeszedł między Shanem i Jową i przystanął, patrząc na kruka. Ptak spojrzał na niego, przekrzywiając głowę, odwrócił się w stronę jeziora i zniknął za skalnym występem, ale nie wzleciał, lecz po prostu zeskoczył.

Nieznajomy roześmiał się znowu, wszedł w plamę cienia i ku ich niewysłowionemu zdumieniu zaczął się kurczyć.

Bajys wydał stłumiony okrzyk i rzucił się ku niemu, jak gdyby na pomoc. Ale starzec zapadł się w skałę.

–Czary – wykrztusił Bajys.

–Nie – odparł Shan, powoli domyślając się, o co chodzi. – Schody.

Weszli w cień i istotnie znaleźli tam wąskie, wykute w żywej skale schody o stopniach wklęsłych pośrodku, wytartych przez stulecia używania. Bajys wbiegł na nie i zniknął w mroku. Jowa i Shan, wymieniwszy niespokojne spojrzenia, ruszyli za nim.

Pomieszczenie, do którego weszli, nie było jaskinią, jak spodziewał się Shan, ale salą o murowanych ścianach, zbudowaną przy licu urwiska. Oświetlała je samotna lampka maślana, umieszczona pod długą thanką z wizerunkiem jaskrawoniebieskiego buddy. Był to budda początku, inaczej zwany buddą czystej świadomości. U stóp skalnych stopni stało obwieszane festonami pajęczyn naczynie na żar. W ścianie naprzeciwko lica skały oraz w ścianie po drugiej stronie sali znajdowało się po parze masywnych drewnianych drzwi. Shan pchnął najbliższe. Otworzyły się powoli, ze zgrzytem żelaznych zawiasów, ukazując

pokój rozjaśniony światłem wpadającym przez wychodzące na dolinę okno.

Na dwóch drewnianych kołkach wbitych w zaprawę murarską nad kamienną framugą oparty był pręt, z którego zwisały strzępy starego jutowego worka. Wzdłuż ściany rozłożone były poduszki. Na jednej z nich spoczywał mały łuk, podobny do tego, który Shan znalazł w Senge Drak. Choć poduszki pokrywał kurz, spostrzegł, że kilka z nich uszyto z jedwabiu, bogato haftowanego w muszle, ryby, kwiaty lotosu i inne święte symbole. Wnętrze wyglądało jak mały dukhang, klasztorna sala zgromadzeń, w której udziela się nauk.

Jowa ruszył wokół sali, ale Shan stał bez słowa, chłonąc panującą tu atmosferę.

–Myślę, że znalazłeś jedną z gomp Yakde – powiedział w końcu.

Na stołku przy oknie stał mały Budda z brązu, wysoki zaledwie na dwadzieścia centymetrów, zwrócony w stronę doliny, tak by mógł patrzeć na błękitne niczym niebo wody jeziora. Albo może, pomyślał Shan, trzymać straż.

Jowa przystanął przed małym Buddą. Jego także pokrywał kurz. Purba wyciągnął ze spodni połę koszuli i wytarł nią do czysta nie posążek, lecz blat wokół niego, jak mnich, który czyści ołtarz, nie dotykając spoczywających na nim świętych przedmiotów. Skończywszy, zerknął na drzwi, po czym znów spojrzął na Shana. Obaj jednocześnie uświadomili sobie, że Bajys nie przyłączył się do nich.

Wycofali się do pierwszej sali i otworzyli drugie drzwi. Uchyliły się cicho, ukazując pograżony w mroku korytarz. Ruszyli nim i minąwszy kilka cel medytacyjnych, dotarli do kolejnego ciągu wiekowych kamiennych schodów. Urwisko, przypomniał sobie Shan, przyglądając się stopniom i kamiennym ścianom korytarza, opadało w dół szeregiem potężnych, schodkowatych występów. To, co widział z góry, było pokrytymi odłupkami kamienia dachami budowli wzniesionych na tych występach.

Drzwi u podnóża drugiego ciągu schodów otworzyły się na długi korytarz, znacznie cieplejszy, w którym unosił się ledwo uchwytny zapach kadzidła i masła oraz lekko gryząca woń służącego za opał suszonego zwierzęcego łajna. Minąwszy kolejny

szereg cel, otworzyli ciężkie drewniane drzwi z ozdobnymi żelaznymi okuciami i weszli do wielkiej sali, zalanej światłem wpadającym przez dwa okna, jedno z szybkami z nierównego szkła pełnego pęcherzyków powietrza, drugie przesłonięte kawałkiem przezroczystej plastikowej folii, która łopotała na wietrze.

Wokół małego naczynia z żarem siedziało kilku mężczyzn w spłowiałych bordowych szatach. Niektórzy trzymali w rękach długie kartki ksiąg pecha, czytając je sobie nawzajem. Siedział tu też, już bez czapki i płaszcza, starzec o pergaminowej cerze, którego spotkali na górze. Bajys, ku zaskoczeniu Shana, podawał mnichom herbatę, jakby pełnił honory domu, jakby był nowicjuszem w gompie, tutejszym domownikiem.

Kamienną podłogę zaścielały wytarte miejscami dywany, zachodzące jedno na drugie tak, że nie było między nimi nawet szparki. Ściany pokrywała boazeria z wonego drewna.

Gdy Shan zrobił krok naprzód, mnisi unieśli ku niemu wzrok, z zaciekawieniem przyglądając mu się szeroko otwartymi oczyma. Łysy mężczyzna, o kilka lat starszy od Shana, ale wyraźnie najmłodszy w tej grupie, zerknął ku tylnej ścianie, gdzie wisiały na kołkach ubrania. Ów nieznaczny ruch jego oczu potwierdził podejrzenia Shana, że mnisi nie mają zezwoleń. Gdy zjawiali się Chińczycy, przebierali się w stroje pasterzy.

Jowa i Shan wymienili spojrzenia. Purba również to spostrzegł. W ostatniej gompie, którą Shan odwiedził, nad bramą wisiał transparent głoszący: *Buddyzm musi iść ręką w rękę z chińskim socjalizmem*. Rozwiesił go Demokratyczny Komitet Kierowniczy, organ powołany przez Urząd do spraw Wyznań do nadzorowania gomp. Członkowie komitetu, sprawdzeni dokładnie przez oficerów politycznych, nim zatwierdziły ich władze, mieli między innymi pilnować, by wszyscy mnisi podpisali oświadczenia, że nie będą się angażować w jakąkolwiek działalność polityczną.

Napięcie przełamał Bajys, podchodząc do Shana i Jowy z czarkami herbaty, a oni w milczeniu usiedli z mnichami w kręgu. Ta gompa nie miała Demokratycznego Komitetu Kierowniczego, nie podpisywała oświadczeń politycznych, nie ubiegała się o zezwolenie na działalność religijną. Gdyby władze dowiedziały się o niej, mnisi zostaliby aresztowani i skazani na ciężkie roboty.

Niektórzy, jak Jowa, opuszczali gompy, zamiast podpisać oświadczenia i ubiegać się o zezwolenie Pekinu. Shan znał wielu, którzy podpisali, byli to twardzi, oddani nauczyciele utrzymujący, że świstek chińskiego papieru nie ma żadnego znaczenia, znał też innych, którzy twierdzili, że podpisawszy taki dokument, nikt nie może być już taki jak dawniej, że czyn ten jest jak ciemny kamień rzucony na spokojne wody ich ducha, zostawiający po sobie rozchodzące się kręgiem fale, odmieniający na zawsze oblicze ich wewnętrznego bóstwa.

Rozglądając się po twarzach mnichów, uświadomił sobie jednak coś, co napełniło jego serce otuchą. Choć ludzie ci zostali ostrzeżeni przed Chińczykami i noszeniem bordowych szat, widział wyraźnie, że nigdy dotąd nie zetknęli się bezpośrednio z zezwoleniami lub urzędnikami państwowymi, którzy nakłaniali mnichów, żeby informowali władze, o co modlą się ich towarzysze. Tylko najmłodszy z nich się zawahał i spojrzął na wieśniacze ubrania. Byli oni jak nie ujarzmione, dzikie zwierzęta żyjące na płaskowyżu Czangtang, nieskalane i czyste. Gatunek bliski wymarcia.

Mnisi siedzieli w milczeniu, uśmiechając się promiennie do gości.

–Witajcie w gompie Krucze Gniazdo – odezwał się łysy mnich.

Ku zaskoczeniu Shana Jowa przemówił pierwszy.

–Wybaczcie nam to najście – powiedział. – Przyszliśmy w sprawie Yakde Lamy.

Mnisi, co do jednego, pokiwali głowami, nie przestając się uśmiechać.

–On tu mieszkał – przyznał łysy mnich. – On wraca.

Jowa rzucił Shanowi triumfalne spojrzenie, po czym znów odwrócił się do łysego mnicha.

–Khitai? Khitai mieszkał tutaj?

Mnisi spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

–Yakde. – Łysy wzruszył ramionami, jakby nie zrozumiał pytania Jowy. – Często siadał i medytował pośród stad antylop – dodał promiennie. – Ułożył o tym kazanie. Mamy je, spisane jego własną ręką. To był Drugi. Czwarty pamiętał o tym. Przyszedł pożyczyc je od nas i zabrał je do Lhasy, żeby pokazać dalajlamie.

Drugi Yakde, obliczył szybko Shan, musiał żyć co najmniej trzysta lat temu.

Jowa nie pytał dalej. Zrobił coś niezwykłego. Spojrzął na łysego mężczyznę i uśmiechnął się. Był to pogodny uśmiech, uśmiech mnicha.

–A Dziewiąty? – odezwał się po chwili Shan. – Czy Dziewiąty bywał tutaj?

–Raz – odparł mnich. – Spędził tu parę miesięcy i napisał kazanie o tutejszym życiu. Dusze Czangtang, taki nadał mu tytuł.

Umysł Shana pracował jak szalony. Powinien zapytać o Lau, o nadzorcę strumieni. Ale serce podsunęło mu inne pytanie.

–Czy Yakde wyprawiał się na południe, za Lhasę? – usłyszał własny głos. – Do miejsca zwanego Lhadrung?

Łysy mnich pokiwał żywo głową. Ten człowiek, domyślił się Shan, musiał być kenpo, opatem Kruczego Gniazda.

–Bywał tam jako Trzeci i Piąty. Odwiedzał pustelnię, ukrytą

we wnętrzu góry. A ostatnim razem, kiedy przyszło wojsko – ciągnął opat – przybyli do nas ludzie z Lhasy. Mądrzy ludzie. Powiedzieli nam: odeślijcie najmłodszych mnichów, niech się ukryją. Część z nich poszła do tej górskiej pustelni. Pewien dropka dostarczył nam konie i przyprowadził kilkoro dzieci. Oni idą

walczyć z tą nową armią, powiedział, a ich dzieci muszą się gdzieś schronić, dopóki wojna się nie skończy. – Opat westchnął i upił łyk herbaty. – Rok później dostaliśmy list od jednego z naszych mnichów. Jechali tygodniami, wyłącznie nocą. W pobliżu pewnego miasta toczyły się wielkie walki, lała się krew, a napastnicy ostrzeliwali z armat góry, przez które szli nasi ludzie. Na

koniec – dodał wolno – do Lhadrung dotarło trzech z naszych mnichów oraz dwójka dzieci. Chłopczyk i dziewczynka.

Jak to powiedział Gendun? Że ogląda Kunlun oczyma obcego przybysza, ale jego serce zna tę ziemię? Gdy był małym chłopcem, rodzice oddali go mnichom, którzy zabrali go do Lhadrung.

W głębi jednego z korytarzy zabrzmiał dzwonek. Mnisi oddali kartki opatowi i wstali. Jowa z błyskiem w oku podszedł do półek, na których spoczywały księgi, błędząc wzrokiem po rzędach sutr i nauk. Ułożywszy kartki w stos i wsunąwszy je w jedwabny

pokrowiec, opat zaczął wyjaśniać Jowie, co kryją ich zbiory.

Shan wyszedł na korytarz. Drzwi do jednego z pomieszczeń w głębi były uchylone. W środku zastał Bajysa, który siedział w kucki przed długą, misternie wykonaną thanką wiszącą na tylnej ścianie pokoju. Przedstawiającą nie znaną mu postać, nie jednego z buddów czy bodhisattwów, nawet nie jednego z wielu wybitnych nauczycieli, których umiał już rozpoznawać na takich malowidłach. Podłogę pokrywał tu dywan o wiele bogatszy od tych, które widział w innych pomieszczeniach. Cały pokój zresztą urządzony był znacznie wytworniej niż gdziekolwiek indziej w gompie. Na jednej ze ścian wisiała pokryta barwnym haftem szata. Na stole przy samych drzwiach spoczywała brązowa figurka lamy, być może legendarnego nauczyciela Guru Rinpocze.

–Co to jest? – zapytał Shan. Wszystko, co robił Bajys, odkąd przybyli do gompy, było dla niego zagadką.

Drobny Tybetańczyk w odpowiedzi uśmiechnął się tylko. Był to pierwszy uśmiech, jaki Shan kiedykolwiek widział na jego twarzy. Pod przeciwległą ścianą znajdowało się niskie łóżko na drewnianej platformie. Bajys pochylił się, żeby wygładzić pościel, po czym podniósł leżące na stoliku przy łóżku brązowe dorje, niewielki rytualny przedmiot w kształcie berła, i ostrożnie otarł je z kurzu. Spojrzał na Shana zaskoczony, jakby się dziwił, że nie potrafi on dostrzec czegoś ważnego, czegoś oczywistego. Ująwszy go za łokieć, poprowadził go do miejsca, gdzie wcześniej siedział w kucki, i wskazał głową na thankę.

Shan wiedział, że Bajys nie był tu nigdy przedtem. Nigdy nie słyszał o gompie. Ale rozpoznał postać na starym malowidle.

–Jego oczy – szepnął z czią.

I nagle Shanowi zaparło dech. Zrozumiał. To był Yakde. Bajys patrzył na małego lamę w innym ciele i rozpoznał go.

–To jego pokój – odezwał się ktoś za plecami Shana. Był to łysy mnich, opat. – Pokój, z którego Yakde korzysta podczas odwiedzin.

Bajys spojrział na obu mężczyzn z lekkim zakłopotanym uśmiechem, po czym utkwiał wzrok w trzymanym w dłoniach dorje, najwyraźniej nie rozumiejąc, jak się tam znalazło.

–Skąd wiedziałeś, jak tu trafić? – zapytał go Shan. Bajys nie miał czasu, by dokładnie obejrzeć całą gompę. Coś przywiodło go wprost do tej sali. – Nie byłeś tu nigdy wcześniej. Ale wiedziałeś, że to jego pokój.

–Po prostu wszedłem tutaj – odparł Bajys, z trudem dobierając słowa. – Nie miałem pojęcia – dodał, wpatrując się w dorje, które obracał bez ustanku w dłoniach. Wielu buddystów nazywało dorje diamentowym pojazdem i uważało je za symbol kotwicy oświecenia, niezniszczalnej mocy stanu buddy. – Moje oczy nie znały drogi – oświadczył pełnym czci tonem, jakby podejrzewał, że samo dorje przywołało go do siebie. – Ale moje stopy ją odgadły. – Uniósł wzrok, wyraźnie stropiony swą niemożnością zrozumienia, co zaszło, ale niezdolny powstrzymać się od uśmiechu.

Opat sprowadził Shana po kolejnych schodach. Gdy przechodzili obok składziku mieszczącego kosze z ziarnem jęczmienia i suszonym łajnem, Shan przystanął w drzwiach i spostrzegł, że wykorzystana jest zaledwie jedna dziesiąta jego przestrzeni. Z kołków na jednej ze ścian zwisały wielkie zwoje lin. Przypomniał sobie słowa Batu wypowiedziane na łące lamy: Khitai mówił mu, że starcy z gór przychodzą czasem naprawiać flagę na potężnej skalnej wieży. Shan wyszedł w ślad za swym przewodnikiem na długi taras, osłonięty od góry przez występ skalny, ale otwarty z trzech stron, wsparty jedynie na filarach z połączonych zaprawą gładów. Pod wewnętrzną ścianą stał długi rząd cylindrów z brązu i drewna, o rozmiarach małych beczulek – młynki modlitewne. Na drugim końcu tarasu znajdował się wielki czworonożny kosz do palenia wonnych ofiar. W dole, na dnie doliny, Shan dostrzegł kamienny mur, ten sam, który wypatrzył wcześniej z góry, i uświadomił sobie, że to stara zagroda. Krucze Gniazdo wisiało nad zagrodą przyklepione do górskiego stoku, a od dna doliny dzieliło je co najmniej sześćdziesięciometrowe urwisko.

–To musi być trudne być opatem takiej gompy – odezwał się.

–Słucham?

–Chodzi mi o twoją pracę. Jesteś odpowiedzialny...

Mnich uśmiechnął się nieśmiało.

–Ale ja nie jestem opatem – odparł przeprasząc. – Tylko go zastępuję. Opat jest nieobecny, więc przejąłem jego obowiązki.

–Nieobecny?

–Po drugiej stronie gór.

Shan wpatrywał się w świetliste wody jeziora. Być może istotnie objawiała się w nich prawda. – Od jak dawna?

–Niedługo. Pięć, może sześć lat. Ale jest w dobrym zdrowiu. Pewna mniszka odwiedziła nas kiedyś i powiedziała nam to.

–Co dokładnie zrobiła ta mniszka? – zapytał powoli Shan.

–Przekazała nam wiadomość. Nie list. Twierdziła, że list byłby zbyt niebezpieczny. Przyniosła zasuszony kwiat. To był znak. Rinpocze lubi medytować nad kwiatami. Uśmiechała się wciąż. Dała nam kadzidło i kostki herbaty i poprosiła, żeby ją zaprowadzić do pokoju Yakde. Modliła się tam przez długi czas, a potem zeszła na dół i usiadła nad świętym jeziorem. Powiedziała, że wiele słyszała o tym miejscu od swych nauczycieli i jest szczęśliwa, bo mogła zobaczyć je przed śmiercią. Potem poprosiła, żeby każdy z nas przekazał jej wiadomość dla opata, i nauczyła się na pamięć naszych imion i wiadomości. Mówiła, że przyszła głównie dlatego, że opat martwił się o nas.

Lau była tutaj. Lau siedziała przed thanką i bez wątpienia, jak Bajys, rozpoznała oczy Yakde Lamy. Siedziała przy proroczych wodach, przyniósłszy wiadomość od opata Kruczego Gniazda, nadzorcy strumieni, który tkwił w Obozie Chwały. Shan żywo pamiętał pogodną twarz starego lamy i zasuszony kwiat w jego dłoni.

–Niekiedy mewacie pewnie innych gości – podsunął.

–Czasem przychodzą pasterze – odparł mnich, wskazując wąską ścieżkę biegnącą lewym skrajem doliny. – Przynoszą nam zboże i nowe koce. Pasterze zawsze utrzymywali naszą gompę przy życiu. Mówią, że teraz nie mogą już przyprowadzać do nas swych dzieci na nauki. Ale wciąż przynoszą nam żywność. – Spojrzał na niewielki występ sterczący z lica skały piętnaście metrów dalej. Mieściło się tam gniazdo. Siedziały przy nim trzy kruki, bacznie obserwując ich obu. – Poza tym pewnego dnia kruki były bardzo niespokojne i przybył jeden z jeźdźców chmur. Głośno, jak grzmot.

Shan zamknął oczy.

–Czego chcieli?

–Rinpocze, nasz staruszek, radował się, gdy zobaczył ich ze swej skały. Mówił, że istnieli buddowie, którzy tak latali. Ale reszta z nas widziała, że to po prostu Chińczycy.

–Przyszli was szukać?

–Właściwie nie. Z początku nie zwracali na nas żadnej uwagi. Przez dłuższy czas obserwowaliśmy stąd, jak pracują przy jeziorze. Potem przebrałem się w strój pasterza i wyszedłem do nich. Ich kierownik powiedział, że wie, że jesteśmy nielegalnymi mnichami. Stwierdził, że źli Chińczycy zaaresztowaliby nas, ale oni są dobrymi Chińczykami i naszymi przyjaciółmi. On i jego koledzy przyszli do gompy i poczęstowali ich herbatą, a oni dali nam pudełka słodkich herbatników. Wypytywali o nas, o naszych przywódców, o naszą sektę.

–Chcesz powiedzieć, że to byli naukowcy? – zapytał Shan, zbity z tropu. – Profesorowie?

Mnich obserwował inną grupę kruków, zataczających kręgi nad jeziorem, jakby wykonywały jakiś powietrzny taniec. Shan powtórzył pytanie.

–Nie naukowcy – odparł mnich, nie odrywając wzroku od ptaków. – Przedsiębiorcy budowlani.

–Nie rozumiem.

Odwrócił się znów do Shana, zdziwiony, najwyraźniej szukając odpowiednich słów.

–Zaczekaj tutaj – powiedział wreszcie i potruchtał do drzwi.

Shan spoglądał na dolinę z nieoczekiwaną radością w sercu.

Krucze Gniazdo znajdowało się tak wysoko, a horyzont był tak odległy, że chmury, widoczne w prześwicie u wylotu doliny, zdawały się płynąć hen w dole. To miejsce sprawiało wrażenie tak odciętego od świata, że jego odosobnienie stanowiło jakość samą w sobie, jak gdyby owa drobna część planety rzeczywiście oderwała się i szybowała z wiatrem, nietknięta przez czas, nietknięta przez leżący w dole świat.

Ale potem zastępca opata pojawił się znowu, z uśmiechem zadowolenia na twarzy, a w dłoniach trzymał czerwoną nylonową kurtkę, wskazując na widniejący na piersi złoty emblemat przedstawiający mężczyznę i kobietę wyciągających ręce nad wieżą wiertniczą, owcą i traktorem na polu.

Shan poczuł się, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Odwrócił się na chwilę, walcząc z nagłą falą wzburzenia i lęku, dławiącego poczucia klęski. Świat odnalazł jednak Krucze Gniazdo.

–To solidna kurtka. Wszyscy dostaliśmy takie – oświadczył mnich pocieszająco, jakby starał się przekonać Shana, że nie ma powodu do obaw. – Kiedy rinpocze wyjdzie tej zimy na swój głaz, będzie mógł ją włożyć.

–Czy ci ludzie – zapytał Shan z westchnieniem – przedstawili się, kiedy tu przyszli?

Mnich wzruszył ramionami.

–Nie mówimy, niestety, zbyt dobrze po mandaryńsku. Ich kierownik palił mnóstwo papierosów i nie widzieliśmy jego oczu, gdyż nosił bardzo ciemne okulary. Wypytywał nas o jezioro. Shan spojrzał na połyskujące wody.

–O co konkretnie? Co chciał o nim wiedzieć?

–Kiedy ono zamarza, jak jest głębokie, czy sami pijemy tę wodę, gdzie są źródła strumieni, które je zasilają.

–Powiedziałeś, że ci ludzie pracowali przy jeziorze, zanim do nich poszedłeś. Co oni robili?

–Nie wiem. Może się modlili. Może pili wodę. To święte jezioro. Było święte od niepamiętnych czasów, zanim jeszcze dotarły tu nauki Buddy.

–A jak odpowiedziałeś na jego pytania?

–Jezioro jest zawsze pełne, ponieważ nie ma dna. I oczywiście pijemy jego wodę, nawet zimą, kiedy wytapiamy ją z lodu. Zamarza o wiele później niż inne jeziora.

–To dlatego, że jest osłonięte – zauważył Shan. – Dlatego, że dolina otwiera się na południe, a potężne ściany wypromieniowują ciepło.

–Nie – poprawił go z cierpliwym uśmiechem mnich. – To dlatego, że kąpią się w nim górskie bóstwa.

Shan skinął głową.

–I to było wszystko, o co pytał?

Zastępca opata spojrzał w niebo.

–Wypytywał też o zwierzęta w tutejszych górach. Powiedziałem mu, że tereny w dole obfitują w antylopy i dzikie jaki, a w górach są dzikie kozy, rysie i pantery śnieżne. Chciał wiedzieć,

jak wielu ludzi mogłoby nocować w gompie. Powiedział, że robotnicy mogliby nam pomagać, a później być może będą się tu czasem zatrzymywać ważne osoby.

–Pomagać wam?

–Przy budowach, jak sądzę.

–Wrócili potem jeszcze?

–Dwa razy. Za pierwszym razem wybrali wiele wiader wody z jeziora. Za drugim razem robili zdjęcia. Przynieśli nam więcej słodkich herbatników, które bardzo smakują najstarszym.

–Czy nosiliście szaty podczas tych następnych wizyt?

–Nie. On prosił nas, żebyśmy tego nie robili. Powiedział, że to na razie mogłoby być niebezpieczne, że nie możemy ufać każdemu Chińczykowi. Ale dał mi wielką nadzieję.

–Dlatego, że oni zamierzają tu... – Co właściwie? zastanowił się Shan. Polować, bez wątplenia, ale nie tylko to. Nie, skoro najpierw musieli przybyć robotnicy. – Zamierzają tu budować?

–Oczywiście, że nie. Na to nie moglibyśmy pozwolić. Ale wyjaśniłem starszym – rzekł mnich, uśmiechając się życzliwie do Shana – że nadeszły nowe czasy, że nie musimy już obawiać się wszystkich Chińczyków.

–Dlaczego nie moglibyście pozwolić im tu budować?

–Trzymamy tę dolinę i gompę w powiernictwie. Oczekujemy powrotu Yakde Lamy. Może za dziesięć lat, może za dwadzieścia, powiedziałem mu.

–Nie rozumiem.

–Jedynie Yakde Lama może dać takie pozwolenie.

Nagle kruki siedzące na występie skalnym zerwały się w niebo i poleciały prosto ku tym, które krążyły nad jeziorem. Zaczęły krakać wszystkie naraz, tak głośno, że Shan słyszał przetaczające się przez dolinę echo.

Mnich przez chwilę przyglądał się ptakom, wreszcie pokiwał głową i odwrócił się do Shana z podnieceniem na twarzy.

–Masz szczęście – oświadczył promiennie – jeźdźcy chmur wracają.

Rozdział szesnasty

Shan i Jowa biegli dnem doliny ku pasterskiej ścieżce, którą wskazali im mnisi. Jeśli naprawdę musicie uciekać, macie na to dość czasu, powiedział zastępca opata, gdyż kruki potrafią dostrzec jeźdźców chmur z wielkiej odległości, wystarczająco wcześnie, by mnisi zdążyli przejść z gompy nad jezioro, na spotkanie nadlatującej maszyny. Ale goście nie muszą się niczego obawiać ze strony jeźdźców chmur, przekonywał. Co więcej, nie mają dokąd pójść. Do zierzchu pozostało nie więcej niż dwie godziny, a w jesienną noc pośród szczytów Kunlun będą jak ślepcy, zamarzną. Bywało, że wędrowcy po prostu kurczyli się na zimnym, suchym wietrze i odfruwali z pierwszym silniejszym podmuchem.

Ale Jowa i Shan wiedzieli dobrze, że nie mogą zostać. Brygada знаła ich twarze i gdyby oni dwaj zostali pochwyceni w Kruczym Gnieździe, mnisi także znaleźliby się

w niebezpieczeństwie. Zastępca opata niechętnie pokazał trzem gościom wiekowe, wykute w licu skały stopnie, jedyną drogę na dno doliny, i w ostatniej chwili podał Jowie starą poobijaną latarnię ze świeczką, małe, blaszane pudełko z drucianą rączką i niewielkim szklanym okienkiem w jednej ze ścianek.

Gdy znaleźli się u dołu schodów, Bajys z żalną miną usiadł bezwładnie na ostatnim stopniu. Jowa popędził go niecierpliwie, ale Shan dał purbie znak, żeby szedł dalej, po czym odwrócił się do dropki.

–Czeka cię długa wspinaczka z powrotem – powiedział po chwili, patrząc na strome wąskie schody, które prowadziły do Gniazda. Brygada знаła Shana i Jowę, ale nigdy nie miała do czynienia z Bajysem. Jeden więcej nielicencjonowany Tybetańczyk w gompie nie zrobi dyrektorowi naczelnemu Ko specjalnej różnicy.

Gdy Bajys uniósł wzrok, na jego twarzy nie było już śladu dawnego zakłopotania. Pojawiło się tam coś nowego, iskra wdzięczności w oczach.

–Kiedy wyszliśmy z tej zamieci – oświadczył – wydawało mi się, że mój świat się zmienił.

Shan westchnął i uniósł wzrok. Mnisi zgromadzili się na dolnym tarasie. Wszyscy byli w czerwonych nylonowych kurtkach i machali na pożegnanie. Wyciągnął rękę do Bajysa.

–Chciałbym wrócić tu któregoś dnia – odparł – i pomóc ci naprawić to okno.

Bajys ujął jego dłoń i uśmiechnął się znowu, po czym zaczął wspinać się z powrotem ku starym mnichom.

Shan dogonił Jowę przy jeziorze, które miało równie jaskra-wobłękitną barwę widziane z brzegu, jak z gomy zawieszanej w górze pośród skał. Jednak gdy purba zniknął za granią, Shan przystanął. Podeszedł do brzegu i napił się, po czym złożył w kubek obie dłonie i opłukał twarz. Woda była dziwnie słodka i leciutko szczypała w język. Święta woda Yakde.

Przez kwadrans zbiegali po potężnej skarpie, do której przytulone było Krucze Gniazdo, gdy nagle powietrze wypełnił ogłuszający huk łopat śmigłowca. Położyli się obok siebie na ścieżce, pospiesznie okrywając się kocem, gdy helikopter przemknął nad nimi i zniknął w głębi doliny. Zerwali się z ziemi i popędzili na łeb, na szyję wąską kosią ścieżką, ryzykując upadek z wysokości stu pięćdziesięciu metrów, dopóki nie dotarli do rozwidlenia. Jowa bez chwili wahania wybrał południową odnogę. Parę minut później przekroczyli wąską przełęcz. Purba przystanął, żeby raz jeszcze rozejrzeć się po okolicznych szczytach, wreszcie zwrócił się w stronę zachodzącego słońca i ruszył na przełaj, wspinając się na długi, niski grzbiet opadający ku przełęczy od zachodu.

Parł wciąż naprzód, nie mówiąc ani słowa, ani razu się nie odwracając, by sprawdzić, czy Shan za nim nadaża. Po godzinie, gdy słońce zniknęło w różowej poświacie na zachodzie, przystanął i popatrzył na roztaczający się przed nimi krajobraz, zapamiętując go w ostatnim blasku gasnącego dnia. Kwadrans później zatrzymał się i zapalił latarnię. Nikłe światło, jakie rzucała, pozwalało im poruszać się zaledwie szybkim marszem.

Wreszcie Jowa dał za wygraną i oświadczył, że zaczekają na księżyc. Usiedli w milczeniu pod skałą, kuląc się z zimna, i zjedli po garści tsampy, aż wreszcie, godzinę później, księżyc wyłonił się spoza szczytów na wschodzie. Jowa wstał, rozejrzał się po pobliskich wzgórzach i żwawo ruszył w dalszą drogę.

Gdy zaczęli schodzić ku wąskiej dolinie, purba zgasił latarnię, bo coraz pewniej orientował się w nierównym terenie. Zostawił Shana pod wielkim głazem na dnie doliny, przedtem jednak dał mu koc i poważnym tonem poinstruował, aby się nie ruszał i z nikim nie odchodził, jakby w pobliżu czyhało jakieś niebezpieczeństwo.

Shan siedział w ciemnościach, ściskając skraj koca pod szyją, i obserwował gwiazdy. Jego wzrok powędrował ku północy, gdzie błakali się Gendun i Lokesh. Czyjego przyjaciele mieli osłonę przed wiatrem? zastanawiał się. Czy znaleźli kogoś, kto dał im światło na mroczną noc?

Nie słyszał, aby helikopter odlatywał z Kruczego Gniazda, ale mógł on przecież polecieć nie zauważony w przeciwnym kierunku, do domu dyrektora Ko w Yoktianie. Co takiego Ko robił w Gnieździe? Pytanie to kotłowało się w jego umyśle, prowokowało go, napełniało go złymi przeczuciami niemal równie silnymi jak te, które żywił co do losu Genduna i Lokesha. Ko nie miał w Tybecie żadnej władzy, żadnego mocodawcy. Był tutaj równie nielegalny jak mnisi w Gnieździe. Ale Ko nie przypominał żadnego ze znanych mu członków władz. Był człowiekiem nowych Chin. Nie pragnął wyższego urzędu państwowego, co zawsze stanowiło wyznacznik władzy w Chinach Ludowych. Nie był zainteresowany zabijaniem chłopców. Prowadził interesy. Być może tamtej nocy w górach Kunlun siedział w ciężarówce w związku z jakimiś niepojętymi dotąd dla Shana interesami Brygady. Ko upatrywał korzyści gdzie indziej. Upatrywał ich w garstce starych nielegalnych mnichów zamieszkujących zapomnianą gompę na pustkowiu.

Nagle Shan usłyszał jakiś hałas i dostrzegł ruch w ciemnościach.

–Tędy – dobiegł go głos Jowy.

Z mroku wyłonił się Jowa oraz ktoś w płaszczu z kapturem. Poprowadzili Shana przez labirynt skał, kryjąc się przed blaskiem

księżycyca, jak gdyby nawet na tych wysokich pustkowiach, czarną nocą, obawiali się, żeby nie dostrzegło ich czyjeś oko. Weszli do jakiejś pieczary, gdzie towarzysz Jowy zapalił maślaną lampkę, i podążali przez dziesięć metrów w jej bladym świetle, po czym płomyk został gwałtownie zdmuchnięty. Dało się słyszeć pukanie do drzwi i skrzypienie zawiasów, pospiesznie rzucone słowo, którego Shan nie zrozumiał – być może hasło – aż nagle na jego plecach spoczęła czyjaś dłoń, która popchnęła go przez próg.

Drzwi zamknęły się z metalicznym jękiem i Shan wyczuł, że znaleźli się w nowym otoczeniu. W powietrzu unosiła się przedziwna mieszanina woni metalu i kadzidła, wilgotnej owczej wełny i cebuli. Znów zaświeciła się lampka i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Shan spostrzegł wokół siebie betonowe ściany. Jowa oraz i ich przewodnik ruszyli szybko dalej i Shan, idąc za nimi żwawym krokiem, zauważył, że podłoga także jest z betonu. Mijali ludzi śpiących na posłaniach z zeschniętej trawy, potem samotne milczące postacie, mężczyzn i kobiety, siedzące sztywno w miejscach, gdzie inne tunele łączyły się z ich własnym, niczym wartownicy w jakimś rozległym labiryncie. Kilkoro z nich powitało Jowę milczącym skinieniem głowy, po czym przyjrzało się niepewnie mijającemu ich Shanowi.

Było to nieprawdopodobne miejsce. Korzystali z niego purbowie, ale nigdy nie mogłoby być dziełem purbów. Gdy przechodzili przez centralne pomieszczenie, gdzie z sufitu zwisały pętle przewodów, a ze ścian sterczały zimne, martwe oprawy elektrycznych lamp, widział psy i dzieci oraz kilka stołów z małymi posążkami buddów i innych nauczycieli.

Zeszli w dół po długich schodach, których stopnie nie były wykute w skale, lecz zrobione z perforowanej blachy, a poręcze z zardzewiałych rur, a następnie ruszyli korytarzem, który zdawał się biec w przeciwnym kierunku, być może pod dnem doliny. Twarz Jowy zastygła w ponurym grymasie. Potem, akurat gdy Shan chciał się już zatrzymać i zażądać wyjaśnień, dotarli do ciężkich, upstrzonych plamami rdzy metalowych drzwi. Z ościeżnicy zwisały stare, zeschnięte i popękane gumowe uszczelki. Za drzwiami znajdowało się okrągłe pomieszczenie o średnicy sześciu metrów, które Jowa przemierzył szybko, jakby chciał co prędzej znaleźć się na zewnątrz.

Na środku, otoczony pierścieniem żelaznej barierki, ział trzymetrowej średnicy krąg głębokiego mroku. Shan zbliżył się tam niepewnie i oparł dłoń na barierce. Coś zimnego twardo ścisnęło mu wnętrzości i zrozumiał, co to takiego. Nie była to po prostu ogrodzona barierką dziura. Był to betonowy silos na rakietę balistyczną.

–Jak to możliwe? – Wykrztusił. Trzymając się oburącz zardzewiałej poręczy, wpatrywał się w dół, w ciemność.

–Pierwsza generacja baz raketowych – wyjaśnił nerwowym szeptem Jowa. – Teraz pociski są o wiele większe. Wielogłowicowe. Potężne bazy, takie jak Dolina Grzybów. Ale trzydzieści lat temu budowano mniejsze obiekty, jak najbliżej granicy z Indiami, po pół tuzina silosów w każdym. Nieliczna załoga. Niektóre, w większych dolinach, zostały rozbudowane, przystosowane do nowej broni. Inne, jak ta, opuszczono. Zaspawano wyloty. Wyszadzono wejścia, wypełniając je gruzem. Ale tu obserwował to pewien pasterz. Odciął lont w jednym z tuneli, bo chciał tu mieć na zimę schronienie dla owiec. Ale potem Chińczycy kazali mu oddać owce spółdzielni.

–Więc powiedział purbom.

–Sam został purbą. Nie z powodu owiec. Dlatego, że jego brat trafił do więzienia za rzucanie mąki. Któregoś szóstego lipca, wiele lat temu.

Shan skrzywił się. Od wieków rzucanie prażonej mąki jęczmiennej na wiatr było tradycyjnym tybetańskim wyrazem radości. Ale szósty lipca, dzień urodzin dalajlamy, zakazano świętować i wszystkich, których na tym przyłapano, a niekiedy nawet tych, u których choćby znaleziono tego dnia worek z mąką, stawiano w stan oskarżenia.

–Ale co tu robią ci wszyscy ludzie? – zdumiał się Shan. – Nie tylko purbowie korzystają z tego miejsca.

Jowa otworzył kolejne ciężkie drzwi i skinął na Shana.

–Byłem jednym z tych, którzy urządzili to wszystko – powiedział, przestępując próg. – To jedno z niewielu bezpiecznych

miejsc, jakie mamy w tym regionie. Stało się czymś w rodzaju

azyłu dla podróżnych. Przybywają zwykle nocą, z przewodnikiem purbą. Niewielu dokładnie zdaje sobie sprawę, gdzie są.

Większość z nich spędza tu tylko parę dni i rusza dalej.

–Dla podróżnych? – zapytał Shan, gdy ruszyli korytarzem.

–Czasami ludzie muszą uciekać w pośpiechu – wyjaśnił Jowa. – Przejść przez góry, żeby ich nie aresztowano. Nie zawsze mogą zabrać ze sobą najbliższych. Ale ich rodziny są znane bezpiecznie, więc trzeba im zapewnić ochronę. – Purba chciał przez to powiedzieć, że Urząd Bezpieczeństwa wykorzystałby rodziny uciekinierów jako zakładników, by zmusić ich do powrotu, albo po prostu ukarałby je zamiast winnych.

–Więc wszyscy ci ludzie... czekają na przekroczenie granicy?

–Niektórzy tak. Niektórzy przyszli po prostu pomóc. Niektórzy są tu, żeby odpocząć albo wyleczyć się z ran, z którymi nie mogą się zgłosić do chińskiego szpitala. Inni przyszli, żeby w spokoju układać plany.

Gdy mijali kolejną grupę pólężących postaci, jedna z kobiet usiadła i zawołała na Jowę.

–Dziękuję, dziękuję jeszcze raz – szepnęła nieśmiało, po czym spojrzała na Shana z niepewną miną, jakby go rozpoznawała. Gdy uniosła rękę z zabandażowanym nadgarstkiem, Shan uświadomił sobie, kim ona jest, i przystanął.

–Byli wciąż przerażeni, kiedy nasi ludzie ich znaleźli – wyjaśnił Jowa. – Po prostu siedzieli przy grobie chłopca, machając tą płachtą z czarem. Powiedziałem: ukryjcie tę kobietę tutaj, przynajmniej na jakiś czas, aż wyleczy nadgarstek. Wysłaliśmy ludzi, żeby pilnowali ich owiec.

Była to żona dropki, przybrana matka zamordowanego Alty. Shan przeszedł nad grupą śpiących postaci i kucnął obok niej.

–Mam nadzieję, że z twoją ręką już lepiej – powiedział.

–Tutejszy uzdrowiciel mówi, że niedługo będę mogła się nią posługiwać – odparła kobieta, opierając złamany nadgarstek na kolanie. Zdrową dłoń położyła płasko na czymś, co leżało u jej boku, jak gdyby potrzebowała podpory. Shan zerknął w dół. Dłoń spoczywała na zakłębieniu, na świętym rysunku, który Gendun zostawił jej tego dnia, kiedy umarł Alta.

–Chciałbym cię zapytać o coś ważnego – powiedział. – Wybacz, jeśli poruszam zbyt bolesne wspomnienia, ale wciąż usiłujemy zrozumieć. Tamtego dnia, gdy dostrzegłaś zabójcę, czy on mówił coś do chłopca? Zadawał mu pytania?

Kobieta zmarszczyła brwi, odtwarzając wydarzenia w pamięci. Pokręciła głową.

–Nie. Żadnych słów. Tylko pomruki.

–Powiedziałaś, że błyskawica wezwała go z powrotem. Jesteś pewna? O tej porze roku burze w górach są rzadkie.

–Oczywiście. On zobaczył błyskawicę i uciekł z butem Alty.

–Słyszałaś dobrze te pomruki? – zapytał Jowa ponad ramieniem Shana. Mówił po mandaryńsku.

Wpatrywała się w niego tępym wzrokiem. Shan spojrzał na Jowę i skinął głową.

Kobieta nie rozumiała po mandaryńsku.

–On nie mówił – powtórzyła. – Żadnym ludzkim językiem. Po prostu warknął, jak zwierzę, kiedy zobaczył błyskawicę.

–Pamiętasz dokładnie odgłos, jaki wydał zabójca? – zapytał Shan.

Kobieta skrzywiła się i zwiesiła głowę.

–Nigdy go nie zapomnę. Słyszę go teraz w koszmarnych snach. To było jedno z tych szczęknięć, jakie wydają demony. Kou ni – powiedziała, patrząc w cienie. – Kou ni ma sui. Coś w tym rodzaju.

–Cao ni ma – szepnął Jowa. Było to przekleństwo po mandaryńsku. Pierdolę cię. Pierdolę cię, Sui.

Podziękowali kobiecie skinieniem głowy i ruszyli dalej.

–Powinniśmy byli zabrać go gdzie indziej – rzuciła za nimi

głuchym tonem. – Alta chciał tam iść. Może tam byłby bezpieczny.

Shan odwrócił się ku niej.

–Gdzie indziej?

–Tam, gdzie spotykają się czasem widmowe klany. Dzieci nazwały to miejsce łąką lamy, ale mieszkają tam chyba tylko duchy lamów.

Khitai pokazał tę łąkę kolegom z zheli, przypomniał sobie Shan. Dlatego właśnie Batu nalegał, żeby tam poszli.

–Dlaczego Alta chciał tam iść?

Kobieta uśmiechnęła się smutno, kręcąc głową.

–Lau wyznaczyła im zadanie, zbiór jesiennych kwiatów.

Koledzy powiedzieli mu, że tam jest dużo kwiatów, że Lau byłaby zadowolona z kwiatów z łąki lamy. Alta mówił, że mały

Khitai lubił tam chodzić, że często namawiał swoich opiekunów, żeby zabierali go tam na cały dzień, mówił, że Khitai spotykał się na łące lamy z tym nowym chłopcem, który tak dziwnie mówił, i razem bawili się w skałach. – Chodziło jej o Micaha, domyślił się Shan. Khitai spotykał się z amerykańskim chłopcem na łące lamy. Gdy kobieta uniosła ku niemu wzrok, zdawało się, że lada chwila wybuchnie płaczem. – To było dla Lau. Oni uważali, że muszą wykonać ostatnie zadanie, jakie dała im Lau, żeby mogła spoczywać w pokoju. – Odwróciła wzrok i zwiesiła głowę, jakby nagle zmorzył ją sen. Jowa odciągnął Shana.

–Duchy lamów – powtórzył z udręką.

Dopiero po chwili Shan zrozumiał. Na łące lamy był teraz jeszcze jeden martwy lama. Yakde Lama.

–Tamtej nocy, kiedy zaatakowano Altę, nie było burzy – westchnął. – Byliśmy tylko parę kilometrów dalej.

–Nie było – potwierdził Jowa. Mówił powoli, jakby zestawiał w myślach zebrane strzępy wiadomości. – Ale zabójca zobaczył coś, co przypominało błyskawicę, przeklął Sui i uciekł. Co oznacza, że to nie Sui zaatakował Altę.

–Ona mogła przekreślić słowa – podsunął Shan.

–Nie wydaje mi się – odparł purba.

Shan też był tego zdania.

Jowa przeprowadził go przez kolejne ciężkie drzwi pancerne do małej salki, gdzie zastali czterech mężczyzn siedzących przy zbitym z desek stole i studiujących mapy. Układali plany. Shan rozpoznał spotkanego na szlaku młodego purbę, który odprowadził ich ciężarówkę. Chłopak uniósł wzrok i przywitał Shana konspiracyjnym skinieniem głowy. Pozostali spojrzeli na Jowę, nie na Shana, ze zgnębionymi, niecierpliwymi minami. Przy drugim stole, zastawionym termosami, stał piąty mężczyzna, który odwrócił się, kiedy weszli. Był to chudy Ujgur z krzywym nosem. Gruby Mao. Wyjaśniając, że właśnie przyjechał z Yoktianu, napełnił dwa kubki herbatą i podał je nowo przybyłym. Shan rozejrzał się po pokoju. Z sufitu luźno zwisały przewody. Nad głowami ciągnęła się plątanina rur, z których część pomalowana była na czerwono. Na drzwiach widniał żółty znak ostrzegający przed promieniowaniem radioaktywnym. Ściany były niemal w

całości pokryte mapami, w większości opatrzonymi u góry napisem *Nei Lou*. Tu i ówdzie poutykano w nie kolorowe szpilki z przyklejonymi taśmą skrawkami papieru. Na stole obok rozłożonych map spoczywał przenośny komputer.

– Powiedziałem im o chłopcach – wyjaśnił Jowa. – O Gendunie i Lokeshu. Chcą, żeby pokazać im na mapach, gdzie doszło

do morderstw. – Gdy mówił, jeden z siedzących Tybetańczyków odsunął wolne krzesło i gestem zaprosił Shana, by się do nich przysiadł. Jowa i Shan przestudiowali mapę regionu i wspólnymi siłami ustalili położenie obozowiska Czerwonego Głazu, drogi, na której zaatakowano Altę, wężozu, w którym zginął Kublai, oraz łąki lamy, gdzie został pochowany Khitai. Młody purba wbił we wskazanych miejscach szpilki z karteczkami, na których wypisał ołówkiem numery: jeden dla Suwana, dwa dla Alty, trzy dla Kublaia i cztery dla Khitaia. Czubkiem ołówka przeciągnął w powietrzu nad szpilkami, odtwarzając trasę mordercy, szukając schematu.

Ktoś wyciągnął rękę nad stołem. Trzymał jeszcze jedną szpilkę.

– Pięć – oświadczył Gruby Mao, umieszczając ją u krańca doliny, szesnaście kilometrów od Yoktianu. – Nikt nie zginął – dodał szybko, gdy Shan spojrzał na niego z przerażeniem. – Jakli i jej... – zaczął i urwał. – Wczoraj wieczorem Jakli i inni pojechali w dolinę, ponieważ słyszeli, że jest tam chłopiec z zheli, w widmowym klanie. Robiło się ciemno. Nagle usłyszeli beczącą z bólu owcę.

Inni. Gruby Mao miał na myśli Jakli i jej kuzynów. Dziewczyna dołączyła do jeźdźców ze swego klanu, którzy szukali chłopców.

– Spojrzeli w dół ku przełęczy, gdzie dociera wyboista droga, i zobaczyli owcę zaplątaną w pnącza pod drzewem. To znaczy tak właśnie miało to wyglądać. Kiedy zjechali niżej, przyjrzeni się przez lornetkę i zobaczyli, że owca jest przywiązana drutem

do drzewa i leży na ziemi, zakrwawiona. – Opowiadając, Gruby Mao dotykał wbitych w mapę szpilek. – Nagle pojawił się jakiś chłopiec, biegł na pomoc owcy. Ale gdy dotarł do zwierzęcia, rzucił się na niego jakiś ubrany na czarno człowiek. Chłopiec bronił się. Jeden z towarzyszących Jakli ludzi miał strzelbę i kropnął z niej do napastnika, gdy ten wyprostował się na chwilę.

Facet dostał gdzieś kulą i uciekł w cień. Chwilę później spomiędzy drzew wyjechał pędem czarny samochód terenowy. Chłopiec został pobity – ciągnął Ujgur – i miał rozdartą pod szyją koszulę, ale nic poważnego mu się nie stało. Owca miała przecięte ścięgna w tylnej nodze. Musieli ją zastrzelić.

–Kto to był? – zapytał niecierpliwie Jowa.

Zamiast odpowiedzieć, Gruby Mao włożył dyskietkę do komputera i nacisnął klawisz. Na ekranie pojawiła się plansza z napisem: *Klinika Ludowa w Yoktianie*. Ujgur przesunął kursor i ukazała się lista ostatnich pacjentów.

–Zobaczcie sami. Ostatniej nocy, trzy godziny po ataku, przyjęty z lekką raną postrzałową przedramienia.

Shan i Jowa pochylili się nad ekranem i odczytali nazwisko.

Major Bao Kangmei.

Jowa westchnął ciężko.

–Myślałem, że mi ulży, gdy dowiemy się prawdy – powiedział.

Shan pokiwał głową. Pałkarze byli nietykalni. Prokuratura nigdy nie oskarżyłaby żadnego z nich. Wystąpienie przeciwko Bao byłoby samobójstwem dla purbów czy lung ma. Jowa miał rację. To nie wyglądało na zakończenie sprawy. Wydawało się raczej, że wczolgali się do legowiska bestii i rzuciwszy na nią okiem, przekonali się tylko, jak jest ogromna. Co więcej, Shan był teraz bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że Bao stanowi jedynie część odpowiedzi. Wyciągnął rękę ku mapie.

–Jest jeszcze jedno – oświadczył napiętym głosem, wskazując miejsce na skraju pustyni, gdzie, jak sądził, leżał Karaczuk. –

Lau. Ani. Ona zginęła pierwsza.

Chłopak zawahał się, ale opisał przylepioną do szpilki karteczkę. Zero.

–Bao miał ułatwione zadanie. Większość chłopców przebywała u zarejestrowanych podmiotów gospodarczych – stwierdził Jowa. – Przedsiębiorstwa pasterskie. Każde z nich ma dokładnie wyznaczone pastwiska, znane tereny obozowisk.

–Znane pałkarzom – uściślił Gruby Mao.

–I Brygadzie, i prokuratorce, i każdemu, kto ma dostęp do komputera – dodał Shan, zerkając na Ujgura.

–Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem to nie był sam Bao? – domyślił się Gruby Mao.

–Jasne – wtrącił Jowa. – Nie sam. Pałkarzy jest mnóstwo.

W Yoktianie ma pełne koszary pomocników.

Shan wzruszył ramionami.

–To, że zeszłej nocy widziano, jak atakuje chłopca, wciąż nam nie mówi, jaki miał w tym cel. Ale to znaczy, że nie poprzestał na Khitaiu. To znaczy – dodał ściszym głosem, wypowiadając myśl, która właśnie przyszła mu do głowy – że nie zdobył Nefrytowego Koszyka. Khitai dał go komuś innemu. Wciąż ma go któryś z chłopców. A kluczem do wszystkiego jest śmierć Lau. Odnalezienie chłopców było możliwe dopiero po zdemaskowaniu Lau. Dopiero gdy zabójca się dowiedział, że Lau jest Tybetanką, że jest mniszką, a potem, że chłopiec, którego szuka, należy do zheli. Odtąd poszukiwania nie były już trudne.

–Ale że po tylu latach... – odezwał się Jowa. – Dlaczego teraz? Dlaczego nagle zaczęli podejrzewać Lau?

–Dlatego, że było spotkanie z generałem w Urumczy – wyjaśnił Shan. – Wszystko wydarzyło się po tym spotkaniu. Kaju został przydzielony do Yoktianu, wiarygodność polityczna Lau została zakwestionowana, Ko rozpoczął swoją kampanię wykupywania klanów.

Gruby Mao uniósł wzrok.

–Program Walki z Ubóstwem? – rzucił te słowa jak przekleństwo. – To chyba nie ma z tym związku.

–Myślę, że ma. Czytałeś to pismo, które zabrałeś prokuratorce?

Ujgur skinął głową.

Najstarszy z Tybetańczyków, mężczyzna o twardych rysach Khampy, wstał i nalał sobie herbaty.

–Znasz nazwisko tego generała z Urumczy? – zapytał.

–Rongqi – odparł Shan. – To wszystko, co wiem. Był w armii. Teraz jest wiceprezesem Brygady. Ale wciąż nazywają go generałem.

Mężczyzna spojrzał na chłopaka, który natychmiast wstał i wyszedł z pokoju. Parę chwil później wrócił z wielką grubą księgą. Położył ją na stole i zaczął przewracać strony. Jowa zaglądał mu przez ramię.

Shan widywał już takie księgi. Była to *Księga Lotosu*, jak nazywali ją purbowie, nieoficjalna kronika zbrodni przeciwko

Tybetańczykom, stale aktualizowany wykaz osób i skarbów kultury, które przepadły od czasu chińskiej inwazji. Opracowywali i powielali ją purbowie, opierając się głównie na rozmowach z ocalałymi z pogromu. Uzupełniali ją w miarę jak napływały kolejne informacje, zapisy nie były więc uszeregowane chronologicznie.

Podczas gdy młody purba i Jowa kartkowali księgę, Shan opowiedział pozostałym o Gendunie i Lokeshu. Ludzie będą ich wypatrywać, przyrzekli, po obu stronach granicy. Wysyłanie jakichkolwiek Tybetańczyków do Xinjiang było zbyt ryzykowne, ale Gruby Mao oświadczył, że rano wybiera się w drogę, i obiecał przekazać wiadomość. Pewne miejsca lung ma mieli stale na oku. Obóz Chwały. Koszary

pałkarzy. I szpitalu.

–Czym jedziesz? – zapytał go Shan.

Odpowiedział mu Khampa.

Nikt nie miał prawa podejżdżać pojazdem w pobliże azylu. O dwie godziny marszu od bazy była droga, a raczej coś, co uchodziło za drogę, która łączyła się z szosą przez przełęcz Kerriya. Między szóstą a siódmą rano miała tamtędy przejechać ciężarówka wioząca sześć drewnianych beczek i trzy owce. Zatrzyma się, rzekł Khampa, jeśli w określonym miejscu na drodze kierowca zobaczy trzy kamienie ułożone w rzędzie.

–Jadę z tobą – oświadczył Shan.

Khampa bez słowa skinął głową. W tej samej chwili rozległo się stukanie do drzwi i do pomieszczenia weszli mężczyzna i kobieta ubrani na modłę dropków w kamizelki z owczego runa. Przynieśli jedzenie na kawałku deski: dużą miskę tsampy i marynowane warzywa. Shan zjadł w pośpiechu i położył się na jednym z pościeli pod ścianą. Po chwili usiadł, szukając wzrokiem Grubego Mao. Ujgura nie było, lecz zauważył, że drzwi w głębi pomieszczenia są lekko uchylone. Wstał i podszedł do nich.

–Nie! – Wykrzyknął Gruby Mao na jego widok, unosząc dłonie, jakby chciał go wypchnąć. Shan wycofał się czym prędzej. Ujgur wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

–Jeszcze jedno – powiedział Shan. – Srebrna uzda od Nikkiego. Ktoś ją dał jednemu z Mao, żeby dostarczył ją Jakli i Marcowi. Możesz się dowiedzieć, kto to był?

Gruby Mao wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie rozumie, co to może mieć za znaczenie, lecz skinął głową, po czym zasiadł do map.

Shan wrócił na posłanie. Zamknął oczy, ale nie zasnął od razu. Odtwarzał w myślach scenę, którą dostrzegł przelotnie w przyległym pomieszczeniu. Cztery postacie siedzące na długiej ławie przed wielką tablicą szkolną zapisaną tłumaczeniami słów i zestawionymi znakami dwóch alfabetów. Dwie osoby, mężczyzna i kobieta, wycinały kliny z cienkich deseczek. Pozostałe dwie pisały na nich czarnym tuszem. Mimo woli odkrył przynajmniej jeden ze sposobów, w jaki Mao i purbowie komunikowali się między sobą, używając starożytnego pisma kharoszthi na sfabrykowanych tabliczkach. Pomysłowe, pomyślał. Pałkarze nie potrafiliby odczytać wymarłego języka, a same tabliczki budziły w nich taką odrazę, że po prostu zniszczyliby każdą, która wpadłaby im w ręce.

Usnął wreszcie, lecz nagle młody purba coś krzyknął. Shan zerwał się i stanął za jego plecami. Tybetańczyk czytał na głos:

–Pierwszy wpis mówi o pułkowniku Rongqi, ale to było dwadzieścia pięć lat temu.
– Purba czytał coraz wolniej, przerywając raz po raz, w miarę jak docierała do niego treść zapisków. Rongqi odbył trzy okresy służby w Tybecie, ostatnie dwa na własne życzenie, co tłumaczył, jak określiły to pewne podpatrzone w Lhasie akta, jego niezwykle patriotyzm, a być może i to, że jego ojciec zginął w roku 1961 z rąk partyzantów Khampów. Jego metody ujarzmania zdobyły mu uznanie w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, i to do tego stopnia, że powierzono mu prowadzenie specjalnych wykładów na ten temat w jednej z akademii wojskowych. Podczas pierwszego okresu służby zasłynął ze zmuszania mnichów i mniszek do publicznej kopulacji, z reguły na dziedzińcach gomp, zanim zostały zrównane z ziemią przez jego saperów. Zmuszając do łamania celibatu, zmuszał ich do opuszczenia wspólnoty monastycznej. Trzydzieści sześć gomp w środkowym Tybecie, na północ od Lhasy, złupiono i zrównano z ziemią na jego rozkaz, zwykle zresztą osobiście to nadzorował. Fragmenty dwóch wielkich brązowych posągów Buddy z jednej z gomp widziano w odlewni w Tientsenie pod Pekinem. W wyniku jego działalności zniknęło sześćset dziewięćdziesięcioro sześcioro

mnichów i mniszek. Shan zapytał, czy klasztor Lau, zbudowany obok małej gomy Yakde Lamy w pobliżu Shigatse, jest wymieniony na liście zniszczonych przez Rongqiego. Purba w milczeniu przebiegł tekst oczyma i wolno skinął głową.

–Ona rozpoznała go tamtego dnia w Urumczy – oświadczył Shan z drżeniem w głosie. – Oprawca z dawnych dni znów przed nią stanął. – Wzdrygnął się, myśląc o przerażeniu, jakie musiało wstrząsnąć silną Lau, o jej reakcji, która zdradziła wszystko.

Purba czytał dalej. Podczas drugiego okresu służby Rongqi otrzymał pochwałę od samego Przewodniczącego za akcję, którą nazwał Sterylizacją Ziarna, opartą na spostrzeżeniu, że tybetańskie wspólnoty religijne utrzymują spoistość dzięki tulku i że śmierć każdego takiego lamy stanowi dla władzy ludowej polityczną szansę. Najlepiej, rozumował Bao, doprowadzić do przerwania linii tulku, nie dopuszczając do rozpoznania jego nowego wcielenia. Rongqi dokonał tego w przeszło trzydziestu udokumentowanych przypadkach. Niszczył wykorzystywane do identyfikacji przedmioty, więził lamów tradycyjnie zaangażowanych w proces rozpoznawania nowej inkarnacji, a raz, używając materiałów wybuchowych, trwale osuszył święte prorocze jezioro, którego rady zasięgano podczas poszukiwań odrodzonego lamy.

Podczas trzeciego okresu służby Rongqi, niedawno awansowany na generała, zinstytucjonalizował swoją kampanię, opracowawszy katalog wszystkich reinkarnowanych lamów żyjących w jego okręgu wojskowym wraz z kompletną listą używanych do ich identyfikacji przedmiotów i znaków – ulubione gau, szata, cenny stary różaniec – tak, że ziarna mogły być sterylizowane nie tylko na terenach znajdujących się pod jego bezpośrednią kontrolą, ale i na liczących setki kilometrów kwadratowych przestrzeniach środkowego Tybetu. Tam, gdzie rozpoznaniu nie dało się zapobiec, Rongqi przechwytywał dziecko i wysyłał je do specjalnych szkół partyjnych we wschodnich Chinach. Jednocześnie przekształcił Urząd do spraw Wyznań w swym okręgu w organizację paramilitarną, którą obsadził swoimi żołnierzami. Nielicznych miejscowych lamów, których nie dosięgła jego akcja, unieszkodliwiono inaczej: Rongqi proponował wieśniakom opiekę

wojskowych lekarzy, wojskowy sprzęt do pracy na okolicznych polach oraz zwiększenie puli wydawanych mnichom zezwoleń, byle tylko lama zgodził się odejść i przez cztery lub pięć lat uczęszczać do specjalnych chińskich szkół. Partyjni bonzowie z entuzjazmem przyjęli ten pomysł. W Pekinie założono w tym celu specjalne centrum szkoleniowe.

Na koniec generał przekonał Pekin do nowej taktyki w przypadkach specjalnych, wobec lamów, których pozycję można by wykorzystać w celu pobudzenia gospodarki regionu: udaremnić tradycyjną procedurę przez wskazanie wytypowanego przez państwo nowego wcielenia lamy. Gdy przed dwunastu laty Rongqi kończył służbę w Tybecie, jedynie czterech lamów zdołało zachować niezależność – a z nich tylko jeden, lama z bardzo starej szkoły, posiadającej zaledwie garstkę gomp w całym Tybecie, zmarł i przechodził reinkarnację. Yakde Lama. Dziewiąty Yakde zmarł tuż przed tym, jak Rongqi dostał przydział do Xinjiang. Prośba generała, by pozwolono mu pozostać i doprowadzić do końca rozpoczętą pracę, czyli wyciągnąć korzyści ze śmierci Yakde, została załatwiona odmownie, ponieważ jego wyjątkowe zdolności ożywiania rozwoju ekonomicznego były potrzebne w Xinjiang. Rongqi nie dał jednak za wygraną. Przed pięciu laty u oficera bezpieczeństwa z Lhasy znaleziono kopię jego pisma, w którym prosił on Urząd Bezpieczeństwa o zwrócenie uwagi na ślady nowego Yakde Lamy, gdyż dawni informatorzy zgłosili mu, że pewna tybetańska mniszka wychowuje w tajemnicy jego nowe wcielenie.

Shan położył się z powrotem, czując, jak ogarnia go dziwne odrętwienie. Jakie katusze musiała cierpieć, znalazłszy się zbiegiem okoliczności oko w oko z Rongqim, nie przygotowana, wiedząc, że jeśli on wkroczy do akcji, oznaczać to będzie początek końca. Kto potrafiłby ukryć strach i wstręt, rozpoznawszy takiego rzeźnika? Nie trzeba było wiele, żeby wzbudzić w generale podejrzenia. Rongqi mógł nawet nie wiedzieć o powiązaniach Lau z Khitaiem, mógł po prostu podejrzewać, że ma przed sobą ukrywającą swe pochodzenie Tybetankę. Ale taka Tybetanka mogła być ukrywającą się mniszką, a mniszka – tropem wiodącym do nowego Yakde Lamy. Lau nie była zaskoczona, gdy Wangtu powiedział jej o nauczycielu sprowadzanym na jej miejsce.

Spokojnie poczyniła przygotowania, by zapewnić Yakde Lamie bezpieczeństwo. Ale Rongqi działał o wiele szybciej, niż się spodziewała, szybciej, niż spodziewałby się tego Shan. A to dlatego, uświadomił sobie, że Brygada była w jego rękach narzędziem o wiele skuteczniejszym niż wojsko. Sekret Lau został wydobyty na jaw i Yakde Lama stracił życie zaledwie parę tygodni po tym, jak spotkała jedyne go człowieka na świecie, który poprzysiągł sobie go zniszczyć.

Ale Rongqiemu nie chodziło o zemstę. On wprowadzał w życie swoją politykę. Wyeliminować linię tulku, eliminując wszystkie znaki pozwalające na identyfikację nowego wcielenia. A to oznaczało, że polowanie na chłopców będzie trwać nadal, gdyż Khitai dał jednemu z nich Nefrytowy Koszyk. Kolejny fragment układanki trafił na swoje miejsce. Teraz pozostało odkryć, kto był narzędziem Rongqiego w Yoktanie. Ko był biznesmenem, zbyt młodym, aby odczuwać niezbędną u zabójcy wrogość wobec Tybetańczyków. Czy była to Xu, czy też jej nienawiść do Tybetańczyków wpływała ze wszelkich zwykłych powodów? Czy może od samego początku był to jedynie Bao? Nie. Tym pałkarzem powodowały ambicje pałkarza i arogancja pałkarza. Mało prawdopodobne, żeby przyjmował rozkazy od Brygady, nawet od jej drugiego rangą szefa. Bao podążał śladem chłopców, żeby dotrzeć do Amerykanów, szedł tropem, który odkrył, zanim jeszcze zginęła Lau. Agent Rongqiego tropił chłopców, by znaleźć Yakde Lamę. Kolejny fragment układanki Shana wskoczył na miejsce. Ale wszystkich innych wciąż nie mógł dopasować, jak przedtem. Był pewien tylko tego, że zabójcy wciąż prześladują chłopców. I że jeśli Gendun i Lokesh staną im na drodze, nie będą mieli najmniejszych szans na ocalenie.

Nagle uniósł wzrok, szukając twarzy Jowy i Grubego Mao.

–Micah – wykrztusił w nagłym olśnieniu. – Amerykanin! – Prześladowania chłopców nie ustały, a dropka twierdziła, że Micah mógł spotkać się na łące lamy z Khitaiem. Xu powiedziała wyraźnie, że na tej łące był jeszcze jeden klan. Micah zabrał Nefrytowy Koszyk. Bao ze sztylpami poszukiwał Amerykanów. Inny zabójca, wysłany przez Rongqiego po Nefrytowy Koszyk, przemierzał góry. Ich ścieżki się zbiegały. A ich celem był mały Amerykanin.

Rozdział siedemnasty

Gruby Mao i Shan już od godziny szli w bladym świetle przedświt, gdy nagle Mao ostrzegawczo uniósł dłoń. Popchnął Shana w stronę głazu i sam przykucnął za innym. Drogą, od strony, z której przybyli, zbliżała się ku nim samotna postać. Był to Jowa, pędzący co sił w nogach, z głową uniesioną wysoko, jak gdyby usiłował wypatrzeć coś lub kogoś w oddali. Gruby Mao wyprostował się, gdy tylko purba ich minął. Jowa zwolnił, odruchowo sięgając ręką do pasa. Ale jego nóż zniknął.

–Myślałem, że zostajesz w Tybecie! – zawołał za nim Ujgur. – Zbyt niebezpiecznie dla purbów!

Jowa zatrzymał się i obrócił na pięcie.

–Mówiłem im – odparł, ciężko dysząc. Spojrzał na Shana. –

To coś innego. – Jego wzrok przesunął się w stronę gór. – Muszę znaleźć lamów.

Shan nie pytał go, dlaczego nie ma noża. To coś innego, powiedział. Czy miał na myśli innego Jowę?

Gruby Mao skinął głową, zerknął na zegarek i wyminął purbę, by poprowadzić ich dalej szlakiem. Szedł coraz szybciej. Wreszcie, gdy słońce rzuciło pierwsze promienie spoza gór, ruszył biegiem. Pędzili przez otwartą równinę, a zimny wiatr chłostał ich po twarzach. Zmierzali z powrotem w stronę gór Kun-lun. Nie dlatego biegli, że byli spóźnieni, ale ponieważ zabójcy ścigali chłopców, duch młodego dziesiątego Yakde błąkał się zagubiony, a Gendun i Lokesh zniknęli bez śladu. Jeżeli nie mogli w tej chwili działać nic więcej, mogli przynajmniej biec.

Pędzili wytrwale, trzy drobne postacie ludzkie w ogromie płaskowyżu Czangtang, a wokół nich trawy gięły się na wietrze, w oddali zaś w ostrym świetle poranka skrzyły się ośnieżone szczyty. Gdy wbiegli na mały pagórek, zaskoczyli stadko antylop, które

umknęły na przełaj przez długą równinę. Wszystkie poza jedną, niewielkim zwierzęciem ze złamanym rogiem, które przyglądało im się, jakby ich znało, potem zaś biegło obok nich, dopóki nie dotarli do szosy.

Późnym rankiem Jowa i Shan wysiedli z ciężarówki na szosie do Yoktianu i po godzinie marszu ujrzeni przed sobą chatkę Lau. Poprzedniej nocy Shan doszedł do wniosku, że musi raz jeszcze zobaczyć grotę nadzorcy strumieni.

Lecz gdy zbliżyli się do polany, Jowa go zatrzymał. Coś się zmieniło. Było słyhać głosy. Zaszczekał pies, potem zawtórował mu drugi, i spostrzegli gnającego na nich wielkiego tybetańskiego mastiffa. Shan wyczuł, że ciało Jowy tężeje – purba szykował się do odparcia ataku. Wyciągnął rękę, pokazując mu zbliżającą się od strumienia kobietę z dzbanem wody. Jakli.

Wyszli na polanę. Ktoś krzyknął i pies się zatrzymał. Shan odwrócił się i ujrzał Akzu, za nim zaś dwie jurty. Klan Czerwonego Głazu przeniósł obozowisko.

Przy koniach uwiązanych do rozciągniętej między namiotami liny stał Malik, a obok niego dwóch małych chłopców, których nie było z klanem w czasie pierwszej wizyty Shana. Chińczyk rozejrzał się po obozie. Nad ogniem wisiał garnek duszonej

baraniny, doglądany przez żonę Akzu i innego chłopca, który wykrzyknął radośnie, gdy Shan podszedł bliżej. Okazało się, że to Batu.

–Oni wracali na dół – wyjaśnił chłopiec, wybiegłszy im na powitanie. – Najpierw uciekli, ale potem poszli na dół.

–Nie rozumiem – odparł Shan, rozglądając się po polanie. Naliczył sześciu chłopców, włącznie z Batu, wszystkich niemal w tym samym wieku.

–Oni wszyscy wpadli na ten sam pomysł.

–Ten sam pomysł?

–Że teraz może nas naprawdę ochronić jedynie ciocia Lau. Musieliśmy wrócić.

Chłopcy z zheli wrócili do Lau. Z ośmiu pozostałych przy życiu sześciu było w obozie.

Wzrok Shana przyciągnęło jakieś poruszenie na drzewie obok

chatki. Uniósł głowę i ujrzał, że na gałęzi siedzi jeden z synów Akzu i przez lornetkę obserwuje okolicę. Jedną dłoń miał grubo obandażowaną.

– Nie ruszymy się stąd – oświadczył Batu. – Nie ruszymy się, dopóki zabójca nie zostanie schwytany. Dopóki nie będzie my wiedzieli, że ona spoczywa w pokoju.

Jakli podeszła do Shana.

– To zbyt niebezpieczne, wiem – powiedziała, marszcząc brwi zatroskana. – Znalazłam dwóch z nich na ścieżce, kiedy szli tutaj. Poradziłam im, żeby trzymali się z dala od dolin. Ale potem przyjechał Akzu z resztą chłopców. Powiedział, że Czerwony Głaz musi spłacić dług, bo nie upilnował Khitaia. Marco też zgodził się zostać. – Ruchem ręki odwołała Shana na stronę. – Chłopcy powiedzieli mi coś jeszcze – dodała, zniżając głos. – Lau była tu tego dnia, kiedy ją zabito. Z dwoma chłopcami i jedną dziewczynką. Przyjechali konno. Potem wysłała ich, żeby posiedzieli sami i uczyli się skupienia.

– Ktoś może tu trafić – ostrzegł z naciskiem Jowa. – Oni mają helikoptery.

Shan przeniósł wzrok za spojrzeniem purby ku siedzącemu na drzewie mężczyźnie z zabandażowaną ręką i nagle przypomniał sobie opowieść Xu o uprowadzonej, a potem spalonej ciężarówce Brygady. Niemal już zapomniał, jak wyglądało jego pierwsze spotkanie z Akzu i Grubym Mao, kiedy to nie chcieli rozmawiać z nikim poza Jową, wypytujac o metody unikania patroli bezpieki. Klan Czerwonego Głazu mógł potrzebować ciężarówki Brygady, lecz nie do sabotażu, ale by uciec przed Programem Walki z Ubóstwem.

– Nikt tu nie trafi – oświadczył butnie Batu. Sięgnął pod koszulę. – Nie, dopóki mamy to. – Wyciągnął i rozłożył wielką

kwadratową kartkę papieru. – Zakłęcie przeciwko demonom i zabójcom.

Z nagłym biciem serca Shan poznał, co to jest. Większą część kartki pokrywało przeszło dwadzieścia linijek eleganckiego tybetańskiego pisma, którego używano do zapisywania tekstów religijnych, otoczonych narysowanymi wzdłuż brzegów wizerunkami ośmiu świętych symboli buddyjskich. Nie było to właściwie zakłęcie, ale tak zwany Sztandar Zwycięstwa, rozszerzona

forma flagi modlitewnej sprowadzająca specjalne błogosławieństwo na cnotliwą duszę, która nią powiewała.

–Kto ci to dał? – zapytał gwałtownie i ponad głową chłopca niespokojnie omiół wzrokiem łąkę za chatką.

–Święci ludzie – odparł Batu. – Przyszli tu wczoraj. Poszli na łąkę rozmawiać z bóstwami. Napisali dla nas te magiczne słowa. Powiedzieli, że one będą nas chronić, jeśli tylko zachowamy Lau w naszych sercach.

A więc Lokesh i Gendun byli tutaj. Shan przypomniał sobie, co powiedział Lokesh, gdy po raz pierwszy zobaczyli piękną łąkę za chatką. To jest miejsce, które mogłoby przyciągnąć duszę chłopca. Jego przyjaciele szukali śladów zabłąkanej duszy Yakde.

Strażnik na drzewie gwizdnął, a chwilę później mastiff znów zaczął szczeekać. Do obozu zbliżał się wysoki mężczyzna w czerwonej kurtce Brygady, z małym plecakiem przewieszonym przez ramię. Kaju Drogme. Szedł ku nim z niepewną miną, jakby gotów był zaraz zawrócić i uciec, skąd przyszedł.

Jowa na jego widok zawarczał niemal tak głośno jak pies. Rzucił się ku niemu i zdarł mu plecak z ramienia. Kaju uniósł ręce i wypuścił go bez oporu, rozglądając się wokoło z uśmiechem ulgi.

–Jeden nauczyciel powiedział mi, że ona przychodziła tu latem z zheli – wyjaśnił nieśmiało, najwyraźniej postanawiając

zwracać się do Jakli. – Pomyślałem, że dzieci mogły zapamiętać to miejsce. – Rozglądając się po twarzach chłopców, wyciągnął z kieszeni kartkę. Listę zheli. – Muszę je uspokoić, upewnić się, że wiedzą, że mamy jutro zajęcia przy Kamiennym Jeziorze.

Jakli zapytała Jowę, czego szuka w plecaczku.

–Radia – odparł purba, zerkając kwaśno na Kaju. – Broni.

Latarki sygnalizacyjnej. On pracuje dla Ko.

Kaju zbliżył się do dziewczyny.

–Pracuję dla Brygady. Pracuję dla ludu okręgu Yoktian – oświadczył z wyrazem bólu na twarzy. – Dla całego ludu.

W plecaku było tylko jedzenie – butelka wody, owoc i torebka czekoladek. Batu spostrzegł słodycze i wykrzyknął z podnieceniem. Chłopcy z zheli obskoczyli klęczącego na ziemi Jowę i wyciągnęli ręce. Kaju uśmiechnął się.

–Śmiało – powiedział, ale purba skrzywił się tylko i odrzucił mu torebkę.

Gdy czekoladki zostały rozdzielone, Kaju wyciągnął listę i przebiegł ją wzrokiem, po czym spojrzał na Jakli.

–Nie znam jeszcze wszystkich ich imion – powiedział nieśmiało.

Dziewczyna popatrzyła na listę i pokręciła głową. Kaju, wyraźnie zraniony, odszedł od nich.

–Zabrali z obozu nadzorcę strumieni – oznajmiła nagle dziewczyna Shanowi. – Instruktorzy uznali, że on za bardzo zakłóca porządek, ale nie chcieli zgłaszać tego oficjalnie, żeby nie ściągnąć na siebie krytyki. Więc powiedzieli, że jest chory, i zabrali go do szpitala pod miastem.

–Czy on... czy ktoś go widział? – zapytał z niepokojem Shan.

–Kazachska pielęgniarka, która nas zna. Lekarze dają mu przede wszystkim lekarstwa na sen. Trzymają go na strzeżonym oddziale, gdzie czasem leczą rannych więźniów. Nie zawsze jest tam strażnik, ale drzwi są zamknięte.

Ale jest poza obozem, pomyślał Shan. A to znaczyło, że mają szansę go uratować lub choćby z nim porozmawiać.

–Czy on wie o Khitaiu?

Jakli westchnęła.

–Nikt nie wie skąd, ale najwyraźniej tak. Ta kazachska pielęgniarka mówi trochę po tybetańsku. Wygląda na to, że on jej ufa. Prosił, żeby mu pokazała, w którym kierunku leży łąka lamy, bo musi teraz modlić się zwrócony w tamtą stronę.

–Powiedz jej, żeby nie mówiła więcej po tybetańsku. To mogłoby wzbudzić w innych... – Urwał, gdy spostrzegł, że Jakli nie słucha. Dziewczyna wpatrywała się w tybetańskiego nauczyciela.

–Musisz coś zrobić dla Kaju – powiedział po chwili. – Tylko ty możesz to zrobić.

Spojrzała na niego niepewnie i westchnęła, jakby szykując się na to, co miała usłyszeć.

–Być może – ciągnął powoli, przyglądając się, jak Kaju, wyraźnie skrepowany, krąży między chłopcami – to najważniejsze, co możemy zrobić. Ale ja tego nie zrobię. Ona była twoją przyjaciółką, twoją nauczycielką.

–Nie – odparła wolno Jakli. Zabrzmiało to niemal jak jęk. Gdy uniosła ku niemu wzrok, w jej oczach nie było już śladu niepewności. Był tylko smutek. – Nie mogę.

–On nie uwierzy, że ona została zamordowana. A wszystko inne, co zrobił, wynika z tego złudzenia. – Shan spojrzał w górę zbocza. – Może dojdzie do wniosku, że ma jej coś do powiedzenia.

–A jeżeli pobiegnie do Yoktianu i sprowadzi ich tutaj? Teraz, kiedy są tu wszyscy chłopcy? Zrobiłby właśnie to, o co chodzi Xu.

–Nie jestem już wcale pewien, o co chodzi Xu – odparł Shan.

Dziewczyna puściła tę uwagę mimo uszu.

–Ona uznałaby to za jawny dowód, że Kazachowie spiskują. Powiedziałyby, że sami zabiliśmy Lau i ukrywamy dowody. Zabrałyby wszystkich chłopców, może w ogóle wszystkie sieroty. Umieściłyby je w szkole specjalnej. Zrobiłyby z nich wszystkich Chińczyków.

–Możesz ufać lub możesz nie ufać. Lau wybrałaby zaufanie. Decyzja należy do ciebie. Ja go nie zaprowadzę, bo gdybym zrobił to bez twojej zgody, byłbym nie w porządku wobec ciebie.

Spojrzała na niego z bólem i odeszła powoli, bez słowa. Shan ukradkiem zaczął się oddalać od grupy. Gdy tylko znalazł się w cieniu chatki, wszedł szybko na ścieżkę. Po dwudziestu minutach był już przy wejściu do jaskini. Zapalił jedną z pochodni i wszedł do środka.

Grota nadzorcy strumieni sprawiała wrażenie nietkniętej. Obszedł ją dookoła. U wylotu tunelu odnalazł słowa, które zostawił dla Genduna. *Droga, o której mówią nauki, nie jest wytyczonym szlakiem.* Z przebłyskiem radości spostrzegł, że ktoś dopisał coś niżej. Było to pismo Genduna, bez wątpienia. *Ale szlak można znaleźć, odrzucając słowa,* napisał lama.

Shan odwrócił się i jeszcze raz przeszukał salę. Pod siennikiem przy ścianie znalazł dużą brudną kopertę wypchaną papierami. Dokumenty urzędowe, rutynowe raporty wymagane od ludzi odpowiedzialnych za konserwację strumieni. Przejrzał je szybko. Były uszeregowane chronologicznie, spięte spinaczami w pliki obejmujące jednakowe przedziały czasu. Najwyraźniej nadzorca strumieni bywał co drugi tydzień w mieście, gdzie odbierał nowe formularze. Sama rutyna, z wyjątkiem najświeższego dokumentu. Było to pismo drukowane na specjalnym papierze

firmowym z nagłówkiem *Program Walki z Ubóstwem, okręg Yoktian*, podpisane przez Ko Yonghonga. Tutejsi nadzorcy strumieni w ramach prywatyzacji przechodzą pod zarząd Brygady, mówiła notatka. Z tej okazji Brygada będzie rozdawać upominki. A w celu łatwiejszego wprowadzania w życie planów rozwoju wszyscy nadzorcy zobowiązani będą odtąd do dokładnego rejestrowania przemieszczeń pasterzy i innych osób w obrębie przydzielonych im działów wodnych. Ze względu na współczucie, jakim darzy je Brygada, wszystkie sieroty powinny być odnotowywane ze szczególną troską i proszone o zgłoszenie się do dyrektora Ko w celu objęcia ich specjalnym programem edukacyjnym. Budujcie socjalizm, sumiennie wykonując wasze obowiązki, powiedziano na zakończenie.

Lau, jak dowiedziała się Jakli, była tutaj w dniu swojej śmierci. Dzieci dostały ciche zajęcie, a Lau poszła się spotkać z nadzorcą strumieni. Pokazał jej notatkę od Ko, a ona zrozumiała, że to początek końca. Pojechała tamtej nocy do Karaczuku, pędząc na złamanie karku, by powiedzieć Marco, że Yakde i jego opiekunowie muszą uciekać z Jakli i Nikkim.

Gdy Shan opuszczał grotę, u wejścia pojawiły się dwie sylwetki. Jakli, z pochodnią w ręce, i Kaju. Dziewczyna spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.

–W porządku. Powiedziałam mu, że prawdziwy nauczyciel powinien chcieć znać prawdę – odezwała się.

Shan w milczeniu skinął głową i usunął się na bok, przepuszczając ją wraz z Tybetańczykiem przez lodową jaskinię do cioci Lau. Poszedł za nimi w pewnej odległości. Był w wejściu do komory grobowej, gdy usłyszał jęk Kaju i zobaczył, jak młody nauczyciel pada na kolana. Stał w głębi, przy lodowych odciskach dłoni na ścianie, kiedy Jakli pokazywała Tybetańczykowi ranę po kuli.

Kaju chwycił się za brzuch, jakby miał zwymiotować. A potem się rozplakał. Jakli uklękła obok niego i oboje przyglądali się Lau bez słowa.

–Ona zostawiła mi akta – odezwał się wreszcie Kaju, niemal niesłyszalnym szeptem. – Trzy dni przed tym, jak zniknęła, zaktualizowała dane o każdym dziecku. – Słowa płynęły wolno, dobierał je z wielkim trudem. – Ta dziewczynka miała kiedyś

zapalenie płuc, więc pilnuj, żeby nosiła czapkę. Ten chłopiec lubi obserwować ptaki. Tamten powinien za trzy miesiące pójść do dentysty. Wyglądało to tak, jakby odchodziła. – Utkwił wzrok w swych dłoniach. – Ale nie powiedziała mi, gdzie ich szukać.

–Dlaczego to mówisz? – zapytała podejrzliwie Jakli.

–Bo major Bao pytał o to. Dwa razy, osobiście. A trzy dni temu, w szkole, chciał też wiedzieć towarzysz Hu. Powiedział, że trzeba uzupełnić rejestry.

Jego słowa zawisły nad nimi jak ciemna chmura. Shan podszedł do Tybetańczyka.

–Powinieneś się dobrze zastanowić, kto cię okłamał – powiedział.

Kaju spojrzał na niego zdezorientowany.

–Nikt – odparł łamiącym się głosem. – To po prostu straszliwa tragedia. –

Przeniósł wzrok na Jakli, potem znów na Shana. – Nikt, oprócz was. Oni powiedzieli, że Lau zaginęła. Ale wy trzymaliście jej ciało w ukryciu.

–To wszystko było zaplanowane. Sprowadzili cię wcześniej, żebyś ją zastąpił.

–Tak, ona odchodziła na emeryturę – potwierdził Tybetańczyk. – Miała wyjechać do Urumczy. – Opadł z klęczek na pięty, jakby stracił równowagę.

–Ko powiedział ci, że ona zdecydowała się na ten wyjazd?

Kaju skinął głową.

–Mówił, że wystawi w szkole tablicę pamiątkową na jej cześć. Ona zawsze będzie bohaterką dla Brygady. – Nie odrywał wzroku od twarzy Lau. – Nie pozwolę im się powstrzymać – oświadczył. Brzmiało to jak przysięga złożona zmarłej.

–Komu? – zapytał Shan, siadając obok Tybetańczyka.

–Tym, którzy to zrobili. Reakcjonistom.

Jakli jęknęła.

–To nie byli reakcyjniści – powiedział spokojnie Shan. – To był ktoś poszukujący chłopca. Bardzo szczególnego chłopca. –

Opowiedział im, tu, w mroźnej sali grobowej, o tajemnicy Yakde Lamy. Uważał, aby nie wspomnieć przy Kaju o Kruczym

Gnieździe ani o nadzorcy strumieni, powiedział jednak o generale Rongqi i o tym, że wśród zheli przebywała nowa inkarnacja Yakde, i o Nefrytowym Koszyku.

Jakli westchnęła ciężko, po czym wolno uniosła dłoń i położyła ją na ramieniu cioci Lau. Tybetańczyk siedział w milczeniu, jego oczy błędziły niespokojnie po leżących przed nim zwłokach.

–Gdybym wam wierzył, oznaczałoby to, że oni wszyscy kłamią, że oni wszyscy, Ko, generał Rongqi i major Bao, pracowali razem. A tak nie jest. Wiem o tym. Dzisiaj władze nie są już takie. Bao i Urząd Bezpieczeństwa... oni czasami nie rozumieją. Jednym z naszych zadań jest pomóc im zrozumieć nowe metody... – Głos mu się załamał, nagle stracił wątek. – Ale Brygada jest inna. Dostałem od wiceprezesa Rongqiego list z gratulacjami z okazji otrzymania stanowiska. Naród wysłał mnie na uniwersytet – dodał Kaju, jakby to stanowiło jakieś wyjaśnienie.

–Żebyś studiował integrację kultur – zauważył Shan. – Nie ich anihilację.

–Mam wykształcenie – oświadczył Kaju z nutą protestu.

–Czego cię uczono? – Wtrąciła Jakli. – Zabijania nauczycielek? Mordowania chłopców? – Urwała, być może zaskoczona jadem we własnym głosie. Z bólem w oczach przeniosła wzrok na Lau.

–Oczywiście że nie.

Długo milczeli. Jakli wpatrywała się w Lau. Jej głowa poruszała się wolno w górę i w dół, jak gdyby słuchała martwej kobiety i niemo jej potakiwała.

Shan westchnął.

–To jest punkt wyjścia. Po prostu uwierz w to. Uwierz, że ktoś zabił czterech chłopców, wciąż tropi pozostałych i nie spocznie, póki nie zdobędzie gau. Zgadzasz się, że zabójcę należy powstrzymać? Kimkolwiek jest?

Kaju spojrzał w oczy Shana i poważnie skinął głową.

–I zrozum jeszcze jedno – dodała Jakli. – W tej chwili chłopców trzeba chronić przed Brygadą. I przed Urzędem Bezpieczeństwa. Nie są bezpieczni, dopóki to się nie skończy.

–Ja... – zaczął zmieszany Kaju. – Nie powiem dyrektorowi Ko o tym, że chłopcy tu są. On mógłby nie zrozumieć, mógłby niechętnie powiedzieć coś pałkarzom. Nie powiem majorowi Bao. Możecie mi zaufać. Nie powiedziałem im o Amerykanach.

Shan spojrział na niego z zaskoczeniem.

–Masz na myśli Micaha?

–Micaha i jego rodziców. Mieliśmy zajęcia tuż po jej zniknięciu. Nikt nie wiedział, że ona nie żyje. Większość zheli przyszła. Przyszedł też Micah. Dzieci grały w jakieś amerykańskie gry, próbowały nawet mówić trochę po angielsku. Jedno z nich powiedziało, że rodzice Micaha przychodzą czasem na zajęcia, pomagają prowadzić lekcje.

–Dlaczego nie powiedziałaś im o tym? – zapytał Shan. Starał się odtworzyć ciąg zdarzeń. Kaju wiedział o Amerykanach niemal od trzech tygodni. Kiedy Bao rozpoczął swoje poszukiwania Amerykanów?

Tybetańczyk spojrział na niego i wzruszył ramionami.

–Nie wiem – odparł i Shan dostrzegł, że Kaju zmaga się z sobą, próbując podjąć decyzję. – To nie moja sprawa. Micah należy do zheli, a moim zadaniem jest uczyć zheli, pomagać zheli. On jest... – Ponownie wzruszył ramionami. – Jest taki jak inni, po prostu chłopiec próbujący zrozumieć świat. – Zwrócił się do Jakli. – Ale w harmonogramie są wyznaczone zajęcia przy Kamiennym Jeziorze. Nie wszyscy chłopcy zostali znaleźni. Ja, tak czy inaczej, tam pójdę. – Wstał i odwrócił się do wyjścia, jednak po trzech krokach przystanął. Patrzył na ścianę, na odciski dłoni w lodzie.

–To hołd – wyjaśniła Jakli. – Lodowa ściana zamknie jaskinię. A wtedy ci, którzy oddali cześć Lau, będą tu przy niej.

Kaju zawahał się, patrząc na nich błagalnie.

–Ci, którzy oddali cześć Lau za jej życia – dodał Shan. – I ci, którzy oddadzą jej cześć po śmierci.

Kaju spojrział na niego z wdzięcznością i przycisnął dłoń do lodu.

–To oznacza ślubowanie – odezwała się za nimi niesamowitym, bezcielesnym głosem Jakli. – Ślubowanie ratowania zheli.

–W takim razie składam ślubowanie – wyszeptał Kaju, jeszcze mocniej dociskając dłoń do lodu. Gdy skończył, cofnął się o krok i przyjrzał się odciskowi, który zostawił w lodzie, po czym przeniósł wzrok na Shana. – Była pewna rzecz, którą dałem Urzędowi Bezpieczeństwa. To znaczy oni sami to wzięli. Przydzielono mi dawny pokój Lau w kwaterach dla samotnych

nauczycieli. Bezpieka była tam, kiedy sprzątałem jej rzeczy. Wyciągnąłem coś spod materaca, a oni to wzięli. Shan westchnął.

–Wierszyk.

Kaju skinął głową.

–Zwykły wierszyk o nauczycielu zbierającym kwiaty. Ja nie dałem... nie dałbym im tego, ale oni byli tam i po prostu go zabrali. Dziecinny wierszyk nie może chyba nikomu zagrozić?

Zwykły wierszyk, pomyślał Shan. Ale dla Bao ten wierszyk stanowił dowód zdrady. Wymienił spojrzenie z Kaju. To dlatego właśnie, domyślił się, Tybetańczyk nie powiedział nikomu o Amerykanach. Ponieważ czuł się winny, że zawiódł zaufanie Lau. Albo może, pomyślał po chwili, że zbezczeszczono piękno dziecięcego wiersza.

Kaju odsunął się o krok, gdy Jakli ruszyła w stronę tunelu.

–Nigdy dotąd nie przyszło mi to do głowy, ale może... – Zaczął wykręcać palce. – Harmonogram. Harmonogram zajęć i wszystkie szczegóły na temat zheli. Nie chciałem nic złego. Powiedzieli mi, że największą wadą Lau było otaczanie dzieci tajemnicą. – Na twarzy Kaju malował się ból.

–Więc wprowadziłeś to wszystko do komputera – domyślił się Shan.

Kaju powoli skinął głową.

Shan spojrzał niepewnie na Tybetańczyka. Nie mógł mu powiedzieć, że to nieważne.

Kaju westchnął ciężko, odwrócił się twarzą do Lau i tyłem wycofał się z groty.

Jakli odprowadziła go, a Shan został jeszcze chwilę w mroźnej krypcie. Podczas pierwszej wizyty Kaju przyszedł do Lau nauczycielki. Tym razem przyszedł do Lau mniszki. Shan jeszcze raz uklęknął przy jej boku. Przemów do mnie, chciał powiedzieć. Który z nich dotarł do Karaczuku? Kto spośród ludzi w Yoktianie po prostu gorliwie wypełniał swoje obowiązki, a kto współpracował z Bao, kto był mordercą? Westchnął i wyciągnął z kieszeni kurtki maleńki gliniany słoik wypełniony świętym piaskiem. Przez chwilę trzymał go w dłoniach, wreszcie paznokciem podważył wieczko. Odchyliwszy szatę Lau, wysypał święty piasek, zakreślając małe kółko na jej koszuli, ponad sercem. Potem na

powrót okrył ją szatą i postawił pusty słoiczek przy jej głowie. Cofnął się, patrząc na warstwę lodu na ścianie oraz na odcisnięte w lodzie ślady dłoni. Była wśród nich dłoń Jakli i Akzu, i Kaju, i jego własna. Odciski mogły przetrwać tysiące lat, albo i więcej, na znak ich wstydu, że pozwolili świętobliwej kobiecie umrzeć z kulą w mózgu.

Wróciwszy do obozowiska Czerwonego Głazu, uświadomił sobie, że chłopcy nie powiedzieli mu wszystkiego o wizycie Genduna i Lokesha. Znalazł Batu przy Sophie – słuchał Marca, który z dumą objaśniał mu jej rodowód.

–Dokąd odeszli ci Tybetańczycy? – zapytał, kiedy Marco skończył.

–Odjechali stąd wczoraj wieczorem. Na osłach. Ktoś dał im

osły – odparł Batu z rozszerzonymi oczyma. – Tak właśnie traktuje się świętych

ludzi, mówiła nam Lau, składa się im dary,

żeby ich bóstwa uśmiechnęły się do nas. Prosiłiśmy, żeby zostali, ale powiedzieli, że muszą iść. Spieszyli się.

–Dokąd?

Batu pokręcił głową, po czym zawołał na dwóch innych chłopców.

–Na pustynię – powiedział jeden z nich. – Ten stary, który wciąż się śmiał, mówił, że zna pewne miejsce na pustyni, gdzie gromadzą się dusze.

Shan spojrział na Marca z przerażeniem. – Źródło Łez – wykrztusił. – Miejsce, gdzie wiatr zapędza zagubione dusze.

Jakli gwałtownie uniosła dłoń do ust.

–Oni są zbyt starzy! – krzyknęła. – Łatwo mogą zgubić drogę. Wiatr może ich zabić.

–Oni byli dziś w szkole – wtrącił Kaju.

–Lokesh? – zapytała. – Lama?

–Nie. Bezpieka. Dziś rano przyszli pałkarze. Powiedzieli, że szukają dwóch starych Tybetańczyków, którzy uciekli z więzienia.

Shan wpatrywał się w Kaju z zaciśniętymi szczękami, walcząc z zimnym węzłem strachu, który nagle zacisnął mu się w żołądku. Ścieżki zabójców istotnie się krzyżowały. Bao szukał zagranicznych wywrotowców, ale teraz pytał o Tybetańczyków.

Ktoś musiał widzieć Genduna i Lokesha i poinformował o nich bezpiekę.

–Matko Boska – mruknął Marco i zaczął siodłać Sophie.

Kiedy Jakli spojrzała na Shana, wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

–Ale my musimy znaleźć chłopców.

–Otóż to – odparł Eluosi. – Właśnie dlatego my z Sophie pojedziemy po starych Tybetańczyków. – Utkwił w Shanie poważne spojrzenie. – Jeśli pałkarze ich dostaną, oni nie przeżyją nawet doby. Ci starcy nie są im do niczego potrzebni. Po prostu ich usuną.

Yoktian sprawiał wrażenie obłąconego. Miejski plac był cichy i pusty, jeśli nie liczyć czterech pododdziałów pałkarzy, rozstawionych po jednym w każdym rogu. Nieliczni mieszkańcy, których obowiązki zmusiły do wyjścia na ulicę, przemykali szybko, ze spuszczoneymi głowami, nie patrząc na innych ludzi. W powietrzu niesło się odległe rżenie koni. W drodze do miasta Shan i pozostali mijali zagrody. Wypełniały je teraz dziesiątki koni. Stłoczone za solidnymi ogrodzeniami, niespokojnie grzebały kopytami, patrząc dzikim, zdezorientowanym wzrokiem na Kazachów i Ujgurów, którzy przyglądali się im żałośnie z oddali, nie ośmielając się zbliżyć do zagród, bo przy furtkach trzymali straż pałkarze.

Gruby Mao poprowadził Shana, Jowę i Jakli boczną uliczką biegnącą równolegle do placu. Z ponurym, zaciętym wyrazem twarzy Ujgur wskazał dwie czarne furgonetki zaparkowane w pobliżu placu.

–Sztylpy – powiedział. – Przyjechały dwa nowe oddziały. Jeden z Kaszgaru – wyjaśnił Shanowi. – A drugi dopiero co z bazy w Tybecie. – Spojrzał na Jakli i skrzywił się. – Niedługo zaczną sprawdzać po zakładach – dodał przepaszająco.

Dziewczyna westchnęła. Wydobywszy od Ujgura obietnicę, że będzie wypatrywał Tybetańczyków, ruszyła w stronę swej fabryki. Jednak po pierwszym kroku zatrzymała się i odwróciła.

–Nikki może mnie szukać – rzuciła pospiesznie do Grubego Mao. – Powiedz mu, żeby wracał w góry. Powiedz, żeby po prostu

przyjechał w porę na święto – dodała i odeszła do swych kapeluszy.

Gruby Mao zaprowadził Shana i Jowę do małej restauracji w starym budynku z cegły mułowej. W drzwiach wisiała tabliczka z napisem *Zamknięte* po chińsku, angielsku i kazachsku. Rozejrzawszy się szybko, czy nie nadchodzi patrol, Ujgur poprowadził ich na tyły budynku. Weszli do środka i przez kuchnię dotarli do sali jadalnej. Na małym dywaniku modlitewnym przy jednym ze stolików w głębi klęczała tęga kobieta w białym fartuchu i czerwonej chustce na głowie. Zerknęła na nich, mruknęła coś, co mogło być pozdrowieniem, po czym wyciągnęła rękę do wyłącznika światła na ścianie. Pstryknęła nim dwa razy, bez żadnego widocznego efektu, po czym Gruby Mao poprowadził ich przez drzwi i w dół po rozklekotanych schodach do cuchnącej stęchlizną piwnicy o podłodze z ubitej ziemi. Wzdłuż jednej ze ścian stały półki wypełnione kocami, ubraniami oraz kolekcją czapek i obuwia w najrozmaitszych

fasonach i rozmiarach. Przebrania. Przy oświetlonym pojedynczą gołą żarówką stole siedzieli mężczyzna oraz szczupła kobieta z włosami splecionymi w dwa mysie ogonki. Wpatrywali się w ekran przenośnego komputera. Shan rozpoznał w mężczyźnie ponurego, barczystego Kazacha z ciężarówki, która przyjechała po niego i Jakli, by zabrać ich do Obozu Chwały, tego, który odwiózł Lokesha i Bajysa do Senge Drak. Wół Mao. Gruby Mao przedstawił kobietę jako Jaskółkę Mao. Wół Mao, pochylony, wpatrywał się w coś z napięciem. Na widok Shana nakrył to papierem, ale róg pozostał widoczny. Była to jedna z drewnianych tabliczek.

Połowa osób zatrzymanych przez Xu została zwolniona po przesłuchaniu, oznajmiła Jaskółka Mao, podając im wykaz. Shan przestudiował go niespokojnie. Nadzorcy strumieni na nim nie było. Obserwował, jak przeglądają pół tuzina dyskietek komputerowych z leżącej przed kobietą koperty, nie znajdując żadnych nowych zmian w wykazie. Po chwili uświadomił sobie, że już widział Jaskółkę Mao, przy jednym z komputerów w Obozie Chwały.

–Powiedziałeś, że czasem śledzicie ludzi – zwrócił się do Grubego Mao. – Co z Bao?

–Był w szpitalu, na opatrunku – oznajmiła Jaskółka Mao z zimną pasją. – Potem rozmawiał z zatrzymanymi w Obozie Chwały – ciągnęła. – Pałkarze zgarnęli starych ludzi na przesłuchania. Niektórzy z nich wyglądali na Tybetańczyków ze wzgórz. – Uniosła wzrok i chyba dostrzegła ból w oczach Shana. – Powiedziałam coś złego?

Shan westchnął i powoli pokręcił głową. Bao szukał lamy. – A co z Ko?
–Wczoraj zjawiał się w szpitalu – odparł grubym głosem Wól Mao. – Urządził zebranie dla rodziców noworodków. Mówił o nowych badaniach statystycznych Brygady, wyjaśniał, że potrzebują odpowiedzi na pewne pytania, które pozwolą im wykryć prawidłowości w występowaniu problemów zdrowotnych. Jego słowa.

Gruby Mao i Shan spojrzeli po sobie.
–Od kiedy? – zapytał Ujgur. – Od kiedy zadają te pytania?
–Od dwóch dni.
Dwa dni. Khitai został zabity przed trzema.
–Jakie to pytania? – drążył Gruby Mao. – Co chcą wiedzieć na temat noworodków?

Wól Mao spojrział z zakłopotaniem na Ujgura, potem na Shana.
–Nie było mnie przy tym – powiedział powoli. – Dostałem cynk od kazachskiej pielęgniarki. Ko twierdził, że najważniejszym punktem jest pochodzenie rodziców.
–Muszę iść do szpitala – oświadczył Shan, ale Mao zignorowali go.
–Pochodzenie rodziców – mruknął ponuro Gruby Mao.

Dreszcz przebiegł Shanowi po plecach, gdy przypomniał sobie walki toczone w związku z rozpoznaniem nowego wcielenia panczenlamy. Władze czekały wówczas na dziecko, którego oboje rodzice byliby członkami Partii. Pytania Ko mogły nie znaczyć nic. Ale mogły oznaczać, że generał Rongqi istotnie kieruje całą sprawą i poszukuje już nowego Yakde Lamy, oswojonego lamy Brygady, którego przedstawi światu, gdy tylko zdobędzie Nefrytowy Koszyk.

–Nazwiska – rzucił nagłaco Gruby Mao i zaczął wyjaśniać, w jaki sposób Mao muszą zdobyć kopię gromadzonych przez Ko danych. Shan słuchał przez kilka minut, po czym oświadczył, że idzie zaczerpnąć świeżego powietrza.

Szedł powoli, aby nie zwracać na siebie uwagi, raz po raz spoglądając na odbicia w szybach, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi. Znalezienie odpowiednich drzwi zabrało mu kwadrans, potem przystanął ukryty w bocznej uliczce, ponownie lustrując teren, nim rzucił się ku nim na przełaj – ku tylnym drzwiom starego pałacu, siedziby prokuratury.

Szedł nie oświetlonym korytarzem, mijając wąskie, nie domknięte drzwi od schowka, z którego wydobywała się woń środków czyszczących, potem następne, szersze, z solidną zasuwą. Wciągnąwszy głęboko powietrze, popchnął drzwi na

końcu korytarza i wszedł do holu. Na biurku siedział łysy mężczyzna, czytając gazetę. Gdy zobaczył Shana, rozszerzyły mu się oczy i zeskokczył ze swej grzędy z nieoczekiwaną szybkością, chwycił go za nadgarstek i wepchnął z powrotem w mrok tylnego korytarza. Nie uderzył go jednak ani nie wezwał pomocy.

–Czekajcie – szepnął natomiast, oglądając się przez ramię.

Shan skinął głową. Mężczyzna puścił jego rękę i wybiegł z holu.

Pięć minut później pojawił się ponownie, z prokuratorem Xu. Otworzył zaryglowane drzwi i zapalił światło. Xu skinęła na Shana, by wszedł do środka. Był to cuchnący stęchlizną pokój bez okien z małym metalowym stołem i czterema metalowymi krzesłami. Jedyne oświetlenie stanowiła żarówka zamknięta w drucianej klatce. Na półce w głębi Shan zobaczył blaszaną miskę, packę na muchy, rolkę grubej taśmy samoprzylepnej i kilka długich, wąskich kawałków drewna wielkości linijki. Pokój przesłuchań.

Xu skinęła głową i łysy zostawił ich samych. Zamknięte przezeń drzwi zadygotały i Shan uświadomił sobie, że mężczyzna oparł się o nie. Xu usiadła na krześle najbliżej drzwi, Shan po przeciwnej stronie stołu.

–W komputerach Urzędu Bezpieczeństwa zapisano, że Sui jest na urlopie – oznajmiła zwięźle prokuratorka. – Sprawy rodzinne.

–Pytaliście Bao, dlaczego twierdził, że Sui został przeniesiony? – zapytał Shan.

Xu w odpowiedzi rzuciła mu poirytowane spojrzenie. Oczywiście, że nie, uświadomił sobie, widząc jej minę. Dlatego, że nie

pytała Bao, czy może przeszukać jego pliki. Jeszcze raz rozejrzył się po pokoju. Xu ukrywała się. Nie chciała, żeby widziano ją z Shanem. Wszyscy w Yoktianie mieli jakieś tajemnice. Wszyscy szpiegowali się nawzajem.

–Bao uzupełnił akta sprawy Lau – odezwała się prokuratorka. – Dołączył dwa zeznania świadków.

–Chcecie powiedzieć, że to jest teraz śledztwo Bao? Zwykle zaginięcie?

–Urząd Bezpieczeństwa może to zrobić, jeżeli uzna za stosowne. Przedwczoraj Bao postanowił przejąć sprawę, uzasadniając to tym, że Lau sprawowała urząd publiczny. Przenieśliśmy nasze akta, a on dołączył jeszcze dwa zeznania świadków. Nie ma już sprawy. Zamknął ją. Zgon nastąpił w wyniku wypadku.

–Więc można już zwolnić wszystkich, których zatrzymano dla potrzeb śledztwa. Xu zignorowała tę uwagę.

–Bao wydał odpowiednie polecenie swojemu rzecznikowi prasowemu. Gazety zamieszczą obszernie wspomnienie pośmiertne o Lau.

–Co za świadkowie złożyli te dwa zeznania?

–Towarzysz Hu, ze szkoły. Przypomniiał, że donosił nam, iż Lau na swoich lekcjach wyrażała się pochlebnie o dysydentach. Potem podpisał oświadczenie. Następnego dnia po wypadku, idąc do pracy, widział płynące rzeką zwłoki kobiety.

–Tak po prostu nagle sobie przypomniał. – Co takiego Hu powiedział w obozie? Że musi myśleć o swojej rodzinie.

–Drugim był specjalista medycyny sądowej z Kaszgaru. Oświadczył, że na odnalezionym portfelu z dowodem tożsamości były ślady minerałów występujących na brzegach rzeki, do której, jak się twierdzi, wpadła.

–Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać – westchnął Shan – do czego zdolne są organa władzy ludowej, jeśli tylko dać im odpowiednią motywację. – Spojrzał na swoje dłonie. – Czy sprawdziliście, w jaki sposób Sui zdobył dokumenty Lau?

–Od odpowiedzialnego obywatela. – Był to znajomy szyfr akt rządowych, oznaczający anonimowe źródło.

–Nie wydaje mi się. Myślę, że Sui miał je od początku -odparł Shan.

Xu wstała i powoli przeszła za jego plecy. Shan cały się sprężył, ale się nie obejrzał. Po chwili pojawiła się ponownie, trzymając jedną z drewnianych listew, i znowu usiadła.

–Sądziłem, że Bao wysunie inną teorię – podsunął obojętnym tonem Shan. Xu uniosła pytająco brwi. – Że Lau i Sui uciekli razem. Potajemni kochankowie, być może. Albo że obydwójce utonęli, mężnie próbując ocalić tomik przemówień Przewodniczącego, który wpadł do rzeki.

Oczy Xu zapłonęły. Uderzyła lekko listwą w dłoń, jak gdyby oceniając, czy jest dobrze wyważona.

–Mój główny śledczy i porucznik Sui byli przyjaciółmi. Sui

przychodził tu czasem po pracy i czekał na niego przy schodach. – Shan zerknął na drzwi. Gdy Sui czekał, łysy mężczyzna

siedział w holu, słuchając, co mówi pałkarz. Być może, pomyślał nagle, prawdziwym śledczym Xu był ten cichy, nie rzucający się w oczy łysy człowiek. – Sui lubił się przechwalać. Kupił sobie nowy telewizor, nowe radio, japoński odkurzacz. Wkrótce miał zamiar kupić nowy samochód.

Shan spojrzał na nią.

–Ulice w Yoktianie są brukowane złotem – powiedział. – Nie trzeba nawet pracować w Brygadzie, żeby się wzbogacić. Ale z Brygadą to jeszcze prostsze. Towarzysz Ko na przykład jest tak bogaty, że mógł oddać swój sportowy samochód Bao.

–Bao? Niemożliwe. Nic ich nie łączy. Oni prawie ze sobą nie rozmawiają. Słyszałam, jak się kłóca na zebraniach. Ko twierdzi, że Bao nie potrafi pojąć zasad nowej gospodarki. Bao mówi, że Ko zbyt mało ceni sobie to, co zawdzięcza państwu.

–A jednak to zrobił – odparł Shan. – Powinno być dość łatwo to sprawdzić. Jaskrawoczerwony samochód w jednolicie szarym mieście.

Xu wpatrywała się intensywnie w drewnianą listwę, jakby spodziewała się od niej odpowiedzi, dlaczego Ko miałby zrobić coś tak niewiarygodnego.

–Nawet za pięcioletnie zarobki Ko nie mógłby kupić takiego samochodu – powoli powiedziała do listewki.

–Ale twierdzi, że niedługo kupi następny, żeby zabrać Loshi na przejażdżkę.

Xu uniosła wzrok. Zachmurzyła się.

–Loshi? – zapytała, po czym skinęła głową, zapewne przypomniawszy sobie, że Shan rozmawiał z Loshi podczas swej pierwszej wizyty. Zaczęła nerwowo bawić się listewką, przekładając ją z ręki do ręki, wreszcie gwałtownie położyła ją na stole i zacisnęła na niej dłoń. – To premie – powiedziała cicho.

–Premie?

–Widzieliście notatkę od Ko. Bodźce ekonomiczne. To jest nowy świat, towarzyszu – wyjaśniła bez przekonania. – Do Yoktianu przybywa gospodarka rynkowa. Połączenie najlepszych cech kapitalizmu i socjalizmu.

–Z chińskim obliczem – dopowiedział Shan i przesadnie wzruszył ramionami. – To oblicze zbija mnie z tropu. – Zbudujmy socjalizm z chińskim obliczem. Przez lata malowano i wykuwano to hasło w całych Chinach. Spojrzał na swoje dłonie. – Ale Ko mówił tylko o odtwarzaczach płyt kompaktowych dla uczniów i nauczycieli.

–Jest więcej. To Brygada. Oni są skażeni kapitalizmem -stwierdziła z goryczą. – Premie dla pracowników za specjalne osiągnięcia.

–Specjalne osiągnięcia?

–Sprowadzenie nie zarejestrowanych owiec, pięćdziesiąt renminbi. Sprowadzenie nie zarejestrowanych pasterzy, z których zrobi się pracowników Brygady, pięćset renminbi. Sprowadzenie nielicencjonowanych mnichów, żeby ich przesłuchać i zalegalizować, trzy tysiące, połowa w gotówce, połowa w akcjach Brygady.

–Nagroda. – Shan wycedził to słowo jak przekleństwo. Trzy tysiące renminbi było sumą większą niż roczny zarobek wielu mieszkańców regionu.

–Bodźce ekonomiczne. Aby wspomóc rozwój przedsiębiorczości – odparła głucho.

Shan oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Jak powiedział Marco tamtego pierwszego dnia w Karaczuku? W rajach pracujących dzieje się coraz lepiej.

–Kto – rzucił napiętym głosem, unosząc wzrok – kto może się ubiegać o taki zaszczyt?

–Początkowo jedynie Brygada. Oni są prywatną spółką, mogą wydawać swoje pieniądze jak chcą.

–Powiedzieliście: początkowo.

–Miesiąc temu to się zmieniło. Generał Rongqi jest bardzo wpływowy, przypuszczalnie w przyszłym roku zostanie szefem Brygady. Zorganizował konferencję telefoniczną z Ko, ze mną i z Urzędem Bezpieczeństwa. Bao nie mógł wziąć udziału, więc przysłał Sui. Generał prosił, aby pracownicy kluczowych urzędów w Yoktanie otrzymali pozwolenie na włączenie się do jego programu. Odmówiłam. Powiedziałam, że pracownicy prokuratury nie przyjmują łapówek. Całe szczęście, że Bao nie było na linii. Wściekłby się.

Ale Sui w tajemnicy przyjął zaproszenie, uświadomił sobie Shan. I Bao, choć pewnie był oburzony propozycją Rongqiego, też w końcu zrobił to samo. Każdego można kupić. Major dał się wciągnąć niejako przełożony Sui, ale jego rywal. Oczywiście było, że Bao nie poprowadzi śledztwa w sprawie zamordowania Sui, jeżeli

sam ją zabił. Ale to nie tłumaczyło, dlaczego Ko oddał majorowi swój samochód.

Xu westchnęła.

–Rongqi przekonywał, że gdybyśmy wszyscy wsparli jego poczynania, przyspieszyłoby to sukces Programu Walki z Ubóstwem. Władze wspierają Brygadę i tak czy inaczej wszystko to są pieniądze Brygady.

–Pod pewnymi względami, towarzyszeko prokurator, wydaje się, że to Brygada jest tu władzą. Tyle że mniej się przejmuje prawem.

Wydawało się, że jego słowa zraniły Xu. Pochyliła głowę, opierając ją na dłoniach.

–Wiecie, jak to jest z kampaniami, towarzyszu Shan – odparła kwaśno. – Dwa kroki naprzód, krok w tył.

Wymówiła jego imię. Zmieszało go to.

–Nie macie żadnej teorii – dodała. – Uważacie, że każdy urzędnik państwowy jest winny, prawda? – Ale w jej głosie nie było wyrzutu, tylko uraza. – Z powodu tego, co spotkało was ze strony władz.

Milczeli przez długą chwilę. Z zewnątrz, z placu, dobiegł ich skrzekliwy głos z megafonu. Obwieszczał godzinę policyjną.

–Dlaczego jesteście tu tak długo, towarzyszeko prokurator? – zapytał w końcu. – Dwanaście lat w Yoktianie to całe życie.

–Tu mogę coś zmienić – odparła sztywno. – Dokonujemy historycznego postępu.

Xu, zauważył Shan, stawała się inną kobietą, gdy wypalał się jej niemal nie ustający gniew. Nefrytowa Dziwka nie była z kamienia. Była zbudowana z chręści, twardych, niestrawnych chręści, noszących ślady długoletniego przeżuwania.

–Chciałbym pójść na górę – powiedział, aby zobaczyć, co się stanie. – Do archiwum.

–Nie! – Warknęła Xu i wstała. Audiencja była skończona. Zrobiła krok ku drzwiom, lecz nagle się odwróciła. Shana zaskoczył żal malujący się na jej twarzy. – Ta taśma... Taśma wideo, na której filmowałam was tamtego dnia. Nie ma jej. Ktoś ją zabrał.

–Panna Loshi? Chcecie powiedzieć, że Brygada ją ma?

–Nie wiem. Ko pytał o was. Powiedziałam, że to tajemnica państwowa.

Shan spojrzał na swoje dłonie.

–Jaka jest obecnie nagroda za kasety wideo?

Jedynie silniej ściągnęła brwi. Wyszła z pokoju. Łysy mężczyzna ruszył przodem, żeby sprawdzić hol. Xu jednak znów odwróciła się na pięcie i spojrzała na Shana stojącego w drzwiach pokoju przesłuchań.

–Generał rozszerzył program – rzuciła pospiesznie. – Pięć tysięcy nagrody dla tych, którzy przyprowadzą sieroty. Ale tylko do końca tego tygodnia.

–Do końca tego tygodnia? – powtórzył Shan z niepokojem. Miało to makabryczny posmak. Wyprzedaż sierot.

–Do jego przyjazdu. Generał Rongqi wybiera się do Yoktianu. Na bankiet z okazji wprowadzenia ostatniej fazy Programu Walki z Ubóstwem. – Okręciła się na pięcie i miała odejść, kiedy ją zawołał.

–Już wiem – powiedział z wysiłkiem, nie mogąc uwierzyć, że to mówi. – Wiem, jak odkryć, co się dzieje.

Cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi. – Zapytajcie generała. Zadzwońcie do jego biura i negocjujcie. Zapytajcie, co dostaniecie.

–Co dostanę?

–Zapytajcie, jaka jest nagroda za dostarczenie Nefrytowego

Koszyka – dokończył Shan i opowiedział jej o polowaniu Rongqiego na Yakde Lamę.

Gdy wyszedł, ulicą przeciągały ciężarówki wiozące pałkarzy. Z okien wyglądali zaniepokojeni ludzie. Jakiś pies spojrzał na ciężarówkę i uciekł z podwiniętym ogonem. Shan skierował się z powrotem do restauracji. Szedł tak szybko, jak tylko śmiał. Pałkarze zawsze interesowali się biegnącymi.

Ale gdy dotarł do budynku, tylne drzwi były zamknięte na klucz. Zaniepokojony wrócił na ulicę i szarpnął drzwi frontowe. Zamknięte. Dwie przecznice dalej wynurzył się zza rogu czarny samochód, być może z tajniakami, i zmierzał w jego stronę. Shan dał nura w boczną uliczkę. Za restauracją było niewielkie podwórko zamknięte

wysokim na metr osiemdziesiąt murem z cegły mułowej. Do tylnej ściany przylegała zagroda dla kur i niewielka szopa o lekko uchylonych drzwiach. Ruszył ostrożnie w jej stronę, pamiętając o piwnicy pod restauracją, i wiedząc, że Mao najchętniej wybierają kryjówki z ukrytymi wyjściami umożliwiającymi ucieczkę.

Otwierając drzwi, usłyszał za sobą tupot stóp. Nim jednak zdążył się odwrócić, coś ciężkiego uderzyło go w głowę. Osunął się na kolana. Świat się rozmazał i ogarnęła go ciemność.

Odzyskał przytomność, ale wciąż było ciemno. Znajdował się w ciasnym, pozbawionym światła, cuchnącym fekaliami pomieszczeniu. Zmagając się z pulsującym bólem głowy, pomacał wokół siebie i stwierdził, że leży na śliskiej warstwie cementu, wgłębionej jak miska, z dziesięciocentymetrowym otworem pośrodku. Wychodek.

Z otworu sączyło się blade światło, co oznaczało, że wylot znajdował się na zewnątrz, pod nim zaś stała niska beczka, do której spadały odchody, wywożone następnie na pola. Próbował wstać, ale zakręciło mu się w głowie i zdołał jedynie dźwignąć się na kolana. Pod czaszką w dwóch miejscach czuł pulsujący ból: z tyłu głowy, gdzie dopiero co zadano mu cios, oraz na skroni, gdzie się uderzył, padając w czasie burzy piaskowej. Ścisnął głowę i klęczał, zgięty wpół, z trudem łapiąc oddech w ohydny smrodzie. Stopniowo zawroty głowy zelżały i, wciąż na kolanach,

dokładniej obmacał swoją cełę. Znalazł pojedynczy kran na środku najbliższej ściany, metalowy kubeł pod nim, a na przeciwległej ścianie, zaledwie półtora metra dalej, drzwi. W rogu przy drzwiach leżał stos cuchnących pleśnią ręczników. Przycisnął jeden z nich do nosa – wolał ten smród od obezwładniającego fetoru fekaliiów.

To nie była cela pałkarzy, a przynajmniej nie oficjalna cela pałkarzy. Był rozluźniony, tak zaabsorbowany tym, co musiał zrobić, że nie zwracał uwagi na to, co już się zdarzyło. Mógł go tu uwięzić jakiś pałkarz działający na własną rękę, na przykład Bao, albo nawet Xu, jeśli zmieniła zdanie na temat ich dziwnego związku. Siedział w ciemnościach, czując nie tyle strach, ile niesmak, niesmak na myśl, że zaszedł tak daleko, a wciąż nie ma pojęcia, kto jest jego prawdziwym wrogiem.

Ale gdy wreszcie otworzyły się drzwi, stali w nich Mao. Gruby Mao i dwóch innych z piwnicy, a za nimi, w głębi kuchni, Jowa. Kuchnia. Był w restauracji. Wrzucili go do toalety w restauracji.

Zapaliła się żarówka i Shan uniósł dłonie, żeby osłonić oczy, gdy zalała go znowu fala bólu. W tej samej chwili jednak coś twardego odepchnęło jego ręce i upadł w tył. Otworzył oczy i ujrzał potężną sylwetkę Woła Mao, stojącego nad nim z krótką grubą deską w dłoniach. Półprzytomnie zastanawiał się, czy nie wbiły mu się w głowę jakieś drzazgi.

–Byłeś u prokuratorki – warknął Wól Mao. – Wymknąłeś się jak złodziej, żeby polecieć do swojej prokuratorki. Swojej przyjaciółki Chinki. – Trącił Shana deską w ramię, jakby chciał się upewnić, że Shan ją zauważył.

Shan przygryzł wargę, gdy ból pod czaszką powrócił z nową siłą. Nie mógł utrzymać głowy prosto. Wciąż przechylała się i opadała mu na piersi.

Powiedzieli, że być może podczas burzy piaskowej doznał wstrząsu mózgu. Teraz mógł mieć drugi. W obozie widywał ludzi umierających od częstego bicia po głowie. Pod czaszką tworzyło mu się coś, co po prostu eksplodowało. Tarzali się po podłodze, trzymając się za głowę, wyjąc jak zwierzęta, a potem konali.

Wól Mao zamachnął się na niego deską, ale zatrzymał ją przed głową Shana. Jakiś czas przerzucał deskę z ręki do ręki i

machnął nią znowu, tym razem jednak zatrzymał ją bliżej. Kiedy zrobił to po raz trzeci, Shan chwycił deskę i nim Mao zdążył zareagować, wyszarpnął mu ją z ręki, po czym wrzucił w otwór toalety.

–Dosyć – odezwał się i usłyszał gniew w swoim głosie. –

Głowa już dość mnie boli.

Jego pole widzenia było zamazane na skrajach. Widział, że Gruby Mao kładzie Wołowi Mao dłoń na ramieniu. Widział zbliżającą się ku nim tęgą kobietę z rondlem. Przepisnęła się obok Woła Mao i chlusnęła pomyjami w twarz Shana.

–Wy, Chińczycy – rzuciła jadowicie – zabiliście mi dwóch synów.

Shan zlizął brudną wodę, która spłynęła mu do warg. Gardło miał tak wyschnięte, że nie mógł przełknąć. Wół Mao był teraz w kuchni, szperał wśród przyborów kuchennych. Mao, usłyszał Shan gdzieś w głębi umysłu, uczyli się techniki przesłuchań od najlepszych. Od pałkarzy.

–Albo pracujesz dla Xu – oświadczył Wół Mao, pojawiając się tym razem z ciężkim drewnianym przyrządem wyglądającym jak tłuczek do warzyw – albo jesteś niewiarygodnie głupi. Tak czy inaczej, stanowisz dla nas zagrożenie.

–Przyszedłem z Tybetu – usłyszał Shan własny głos. Miał wrażenie, że jego oczy turlają się w czaszce. Próbował spojrzeć na Jowę, purba jednak unikał jego wzroku. – Od lamów.

Wół Mao nie słuchał go.

–Xu zabiła Sui – wysyczał. – Może zabiła też innych. Tu chodzi tylko o jej władzę. Więcej przestępstw, więcej aresztowań. Więcej aresztowań, więcej chwały. Więcej chwały, więcej władzy.

–Myślałem, że nazywają cię Wołem, bo jesteś taki wielki -odezwała się inna część Shana. – Teraz widzę, że to dlatego, że masz mózg woła.

Wielki Kazach zaklął i zamachnął się swoją nową bronią. Jak na spowolnionym filmie Shan uniósł ręce nad głowę, potem zobaczył czyjąś dłoń dotykającą ramienia Woła Mao.

–On powiedział, że boli go głowa. – To był Jowa. – Dlaczego poszedłeś do Xu? – zapytał niepewnie Shana.

Wół Mao warknął, ale opuścił rękę.

–Xu i Sui – oświadczył Gruby Mao, spoglądając na Kazacha, potem na Jowę, wreszcie na Shana. – Oni jeździli razem w

ostatnich dniach przed jego śmiercią. Byli razem w Obozie Chwały. Sui nie miał samochodu, kiedy zginął. Ktoś go wioził. To musiała być Xu. Zabiła go, żeby mieć pretekst do pozbycia się nas wszystkich.

Shan usiadł w kącie toalety, oparł się plecami o ścianę i przyciągnął kolana do piersi.

–Xu nie zabija ludzi – odparł słabym głosem, co kilka sekund łapiąc oddech. – Poniża ich. Zamyka w więzieniach. Łamie ich. Zabijanie... – Urwał, chwytając się za żołądek, bo zebrało mu się na mdłości. – To jej niepotrzebne.

–Zdawało mi się, że widziałeś cmentarz w Obozie Chwały – napomknął zimno Gruby Mao.

Shan skinął głową i ból znów eksplodował mu pod czaszką.

–Ona nie zabija ludzi, strzelając do nich – przyznał. – Ale Sui... – jęknął – Sui został zamordowany przez rywala. – Choć dopiero teraz przyszło mu to do głowy, wiedział, że ma rację.

Zdawało się, że nikt go nie słucha. Wół Mao wpatrywał się wściekły w Jowę. Gruby Mao popatrywał to na jednego, to na drugiego. Jowa otaksował spojrzeniem obu Mao i zrobił krok w tył.

Wół Mao odwrócił się do Shana z uśmiechem satysfakcji.

–Teraz powiesz nam dokładnie, co łączy cię z Xu. – Ale kiedy zrobił krok ku Shanowi, w jego krocze wbił się czubek buta,

a zaraz potem szyję oplotło mu czyjeś ramię. Wielki Kazach zwał się z jękiem na podłogę i ktoś przemknął obok Grubego Mao, który stał z otwartymi ustami, najwyraźniej nie rozumiejąc, co się stało. Ten ktoś stał teraz przed Shanem i krzyczał na obu Mao i Jowę:

–To wszystko, co umiecie, prawda?! Przemoc! Walka! Ale nigdy nie wiecie, z kim walczyć! – Jakli znów wyrwała się z fabryki. Jej furia była prawie namacalna. Dziewczyna zaciskała i prostowała dłonie, niczym tygrys wysuwający pazury.

Podeszła do nich tęga kobieta i kręcąc głową, odciągnęła Woła Mao do kuchni.

Jakli pochyliła się nad Shanem, po czym chwyciła jeden z ręczników, zwilżyła go pod kranem i otarła mu nim czoło.

–Nie powinnam była tam iść – stwierdziła ze skruchą, pomagając mu wstać. – Brama była zamknięta.

Przejęła dowodzenie. Ustawiała wszystkich Mao po jednej stronie kuchennego stołu, znalazła dla Shana płaszcz, kazała mu zdjąć brudne rzeczy i odesłała z nimi tęgą kobietę, aby je wyprała.

Jowa podał Shanowi świeżą wodę, a potem kubek gorącej herbaty.

–Miałem zamiar... – odezwał się do Jakli, ale urwał w pół zdania. Zwiesił głowę, gdy dziewczyna spojrzała na niego. – Skąd mamy wiedzieć? – zapytał ją napiętym, zbolalym głosem.

–Wiedzieć? – zapytała ostro. – Przeszedłeś całą tę drogę z powodu Shana i nie

wiesz, co robić?

–Nie – wtrącił Shan. Jego wzrok szybko odzyskiwał ostrość. – Jowa przybył tu ze względu na lamów, nie na mnie. Nikt właściwie nie wie, co mamy zrobić. On ma powody, żeby nie rozumieć, co się dzieje. Ja sam jestem zdezorientowany. – Wysunął spod stołu krzesło i skinął na Tybetańczyka, żeby usiadł. – Ale już nie tak jak przedtem.

–Co masz na myśli? – zapytała Jakli.

–Musiałem porozmawiać z Xu. Muszę zrozumieć, gdzie jest jej miejsce w tym wszystkim. Usłyszałem od niej coś, co każe mi wierzyć, że Sui został zabity przez kogoś dla pieniędzy. Przez rywala.

–Bao ma etat tylko dla jednego porucznika – oświadczył Gruby Mao, marszcząc brwi. – Sui nie miał żadnych rywali.

–Nie rywala do rangi – odparł Shan. – Do nagrody. – Napił się herbaty i powtórzył, co powiedziała mu Xu.

–Sukinsyny – mruknął Gruby Mao, kiedy Shan skończył. – Oni nie odpowiadają przed nikim. Tu nie chodzi już nawet o ich socjalizm. Po prostu o pieniądze.

–Mogą odpowiadać przed nami – burknął Wół Mao.

Jakli najwyraźniej dostrzegła niebezpieczny błysk w oku potężnego Kazacha. Uniosła dłoń, żeby go przystopować.

–Nie. Nie rób nic, dopóki wszyscy chłopcy nie będą bezpieczni.

–Ale słyszałaś go – odparł Wół Mao, konspiracyjnie wskazując głową na Shana, jakby już zapomniał o tym, co się działo w toalecie. – Generał przyjeżdża za parę dni. Shan spojrział na dziewczynę. Przyjeżdża generał. Giną chłopcy.

Ale klany się zjeżdżają. Po raz ostatni klany zjeżdżają się na nadam. A Jakli ma odejść, by zacząć nowe życie.

Tęga kobieta wróciła z ubraniem, wciąż jeszcze wilgotnym, i zabrała się do gotowania. Gdy Shan ubrał się i wrócił do kuchni, zlustrowała go z miną gospodyni. Spozrzegła brud na jego bucie i wytarła go ścierką do naczyń. To jej przeprosiny, zrozumiał Shan, i skłaniając głowę, dziękował jej za gościnność, gdy zasiedli do jedzenia, a ona obsługiwała go w pierwszej kolejności.

Kiedy skończyli, Gruby Mao wstał i wyciągnął z wiszącej na ścianie kurtki złożone w czworo kartki.

–Od kierowcy ciężarówki – wyjaśnił – od tego, który znalazł Sui. – Położył papiery na stole i popchnął je w stronę Shana. – Uświadomiliśmy sobie, że Sui nie miał przy sobie żadnych pieniędzy. Mieliśmy numer rejestracyjny, więc wytropiliśmy tego

człowieka, w Kaszgarze. Po paru godzinach perswazji przyznał się do kradzieży pieniędzy, lecz powiedział, że wydał wszystko w pewnym barze w Hotanie. Kilkanaście drinków i wyjątkowo entuzjastyczna mai chun nu. – Dziewczyna sprzedająca uśmiechy, znaczyło to określenie. prostytutka. – Ale razem z forszą

zgarła też pewne papiery. Był szczęśliwy, że może się ich pozbyć. Powiedział, że go przeraziły, gdy je w końcu przeczytał.

Były to tylko dwie kartki. Na jednej wydrukowano listę zheli, oficjalną listę ze szkolnego komputera. Ktoś podkreślił nazwisko Khitaia i dopisał obok: obóz *Czerwonego Głazu*. U góry było nazwisko Lau oraz dodatkowe informacje. Numer jej pokoju w szkole. Opis jej konia: *Kasztan z białą łatą na łbie*. Była jeszcze nazwa, z którą Shan się nie zetknął. Przedsiębiorstwo Gwiazda Polarna. Wskazał ją palcem.

–Warsztat samochodowy – wyjaśnił Gruby Mao. – Właściwie nie warsztat... kuźnia ze stajnią. Lau trzymała tam swego konia. Wół Mao był tam dzisiaj. Ostatniego popołudnia przed śmiercią Lau zabrała swojego konia. Dziesięć minut po jej odjeździe przyszedł mężczyzna, który wyglądał jak Sui, i wynajął konia. Gość był w cywilnym ubraniu. Następnego dnia odprowadził konia, okrytego potem, wycieńczonego. Właściciel wściekł się, ale Sui uśmiechnął się tylko i rzucił mu coś, co zamknęło facetowi gębę. Kawalek złota.

–„Pandę”? – zapytał Shan.

Gruby Mao pokręcił głową.

–Pięciocentymetrowy posążek Buddy.

Jakli jęknęła i spojrzała na Shana. Oboje widzieli małe posążki Buddy z litego złota. W świątyni w Karaczuku, w sali, w której zginęła Lau.

Druga kartka zawierała odręczne notatki. W rogu widniał szereg liczb, wielokrotnie podkreślanych. Sumy nagród, wielokrotności pięciu tysięcy. Cena za sierotę. Środek kartki zajmowała naszkicowana z grubsza mapa opatrzona datą. Jakli, zaglądająca Shanowi przez ramię, wydała zduszony okrzyk.

–To jutro. Na tej mapie zaznaczono Kamienne Jezioro. Sui chciał jechać do Kamennego Jeziora po resztę chłopców.

–Ale przegrał rywalizację z lepszym mordercą – dodał ponuro Gruby Mao – który będzie tam teraz zamiast niego.

Rozdział osiemnasty

Kamienne Jezioro było opuszczonym obozem nafciarzy. Leżało na skraju pustyni, gdzie w skałach kryły się szczątki dawnych zwierząt i roślin. Prowadząc ciężarówkę, Jakli opowiadała, że Lau często zabierała tam zheli jesienią, gdy już było po upałach, a jeszcze się nie zaczęły mrozy, by zbierać skamieniałości i wyobrazić sobie, jak wyglądał świat, kiedy owe obrócone w kamień stworzenia jeszcze żyły. Jechali wyboistym szlakiem, wytyczonym i utwardzonym przed trzydziestu laty dla ekip naftowych. Pofalowana, pokryta żwirem równina upstrzona była kępami przęśli i innych wytrzymałych karłowatych krzewów, które, jak tutejsze koczownicze klany, nauczyły się znajdować środki do życia tam, gdzie inne organizmy nie potrafiły przetrwać. Po zawietrznej stronie głazów usypane były hałdki piasku. Czasami, gdy samochód wspinał się na niskie wzgórza, Shan widział w oddali biały bezkres Takla Makan.

Gdy krzewy zaczęły znikać i nagi pustynny pejzaż wziął górę, Jakli zatrzymała ciężarówkę, którą zorganizował dla nich Gruby Mao, sprawdziła, czy w zasięgu wzroku nie ma żadnych pojazdów, po czym spuściła trochę powietrza z opon, by pojazd nie grzązł w piachu. Wsiadła do szoferki i zjechała z drogi, pokonała biegnącą równolegle do niej wydmy, po czym jakieś półtora kilometra prowadziła wóz piaskową doliną, aż wreszcie przejechała przez drugą wydmy i zaparkowała w jej cieniu.

Wysiedli i poszli wzdłuż wydmy, a po pięćdziesięciu metrach wspięli się na niewielkie wzniesienie. Przystanęli tam i rozejrzeli się po długiej niecce między wysokimi wydmami. Obrzeży ją rozsiane z rzadka formacje skalne, w jej południowej części zaś widać było skupisko betonowych fundamentów z kilkoma sterczącymi z piasku, zbielejącymi od słońca drewnianymi belkami –

ruiny obozu nacierzy. Za nimi stał kołyszący się na wietrze szkielet budynku, a pięćdziesiąt metrów dalej obniżenie w otaczających jeszcze wydmach wskazywało, którądy wiedzie droga do obozu. W okolicy rozproszonych było też kilka mniejszych budowli, które wyglądały jak szopy na narzędzia i pojazdy. Największa, o rozmiarach garażu dla wywrotki, z parą wielkich drzwi z przerdzewiałej blachy, zbudowana była z pustaków. Ona jedna zniosła pustynne warunki bez większego szwanku. Za nią, tuż przy wydmie po przeciwnej stronie niecki, znajdowała się znacznie starsza ruina, kamienny fundament z fragmentem ściany z cegły mułowej, której drewnianą konstrukcję bez wątpienia dawno temu rozkradziono na opał. Na północy rozciągała się pustynia, urozmaicona jedynie samotną kępą krzaków jakieś trzysta metrów od miejsca, w którym stali. Shan spojrział na południe, ku odległym szczytom Kunlunu, które przemierzał Jowa. Purbę prowadził jeden z Mao, a szli na łąkę lamy, do grobu Khitaia, na wypadek, gdyby Gendun i Lokesh postanowili się tam zatrzymać.

Przez nieckę przemknęła mała burza pyłowa. W górze unosił się ogromny sęp.

–Pusto – odezwała się Jakli, w tej samej chwili jednak Shan popchnął ją w dół wydmy, bez słowa wskazując drogę w głębi niecki. Zza grzbietu przeciwległej wydmy wyłonił się jakiś mężczyzna z psem.

Gdy przyglądali się im, ledwie wystawiając głowy nad wydme, przybysz odwrócił się i pomachał do kogoś za grzbietem. Po chwili ukazały się następne postacie, jeszcze jeden mężczyzna oraz dwóch chłopców w ciemnych, obszernych strojach pasterzy.

Chłopcy zbiegli po wydmie w stronę garażu, nienaruszonej budowli stojącej pośrodku innych zabudowań. Jeden z mężczyzn poszedł za nimi.

–To Kaju – stwierdził Shan. – Ale kim jest ten drugi?

–Akzu! – krzyknęła Jakli, wyskakując z ukrycia.

Shan niechętnie ruszył za nią, nie spuszczać wzroku z Akzu i psa. Naczelnik mógł ich ostrzec, gdyby ktoś się zbliżał. Ale dokąd mieliby uciec? Nie było tu żadnej kryjówki.

Dotarli do budynku w tym samym czasie co chłopcy. Chwilę później nadszedł Akzu. Uścisnął Jakli na powitanie, po czym odwrócił się do chłopców. Jednym z nich był Batu, który spojrział na dziewczynę zakłopotany, po czym wyjaśnił z wielką powagą, że miał sen o pięknym koniu, który mu powiedział, że jako najstarszy z zheli ma obowiązek chronić ich wszystkich. Akzu lekko skinął głową, jakby znał moc takich snów. Drugi chłopiec miał na imię Jengzi, co sugerowało, że jest z pochodzenia Tybetańczykiem. Uśmiechnął się nieśmiało, gdy go przedstawiano, i rzucił kamiem w blaszane drzwi. Trzymał się blisko Kaju, jakby nie ufał Shanowi i Jakli. Kaju z zatroskaną miną wpatrywał się w drogę.

–Czy ktoś jeszcze przyjdzie? – zapytał Shan.

–Nie wiem. Skoro Jengzi jest tutaj, został tylko jeden chłopiec. Wysoko w górach, z dala od wszystkiego. – Rzucił Shanowi porozumiewawcze spojrzenie. Micah, mały Amerykanin, nie przyszedł.

–Miałem na myśli kogoś z miasta – wyjaśnił Shan.

–Nie – odparł niepewnie Tybetańczyk. – Dyrektor Ko powiedział, żebym sprowadził ich z powrotem, kiedy skończę, by mógł im wręczyć prezenty. Powiedziałem, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, wątpię, aby ktokolwiek przyszedł.

Shan skinął głową. Słuchając, patrzył na Jengziego. Chłopiec przebywał w jednym z widmowych klanów. Mógł wiedzieć, gdzie jest Micah.

Kaju zauważył, że Shan przygląda się małemu Tybetańczykowi.

–On mówi po tybetańsku – szepnął. – Ma stary różaniec, powiedział, że dostał go od kogoś w niemowlęctwie.

–Gdzie go znalazłeś? – zapytał Shan.

–Na drodze, osiem kilometrów na południe stąd. Szedł. Tak właśnie robi jego zastępcza rodzina, powiedział. Jego przybrany ojciec nie pokazuje się nikomu. Unika dróg jak trucizny. Nie ufa nikomu. Wczoraj wieczorem wyruszyli z wysokich gór, żeby przyprowadzić Jengziego, potem cofnęli się do kryjówki na pogórzu. O zmierzchu przyjdą zabrać go z powrotem.

Gdy Shan zrobił krok naprzód, Kaju dotknął jego ramienia.

–Ko powiedział coś jeszcze, kiedy wychodziłem. Kazał mi zapytać chłopców, czy chcieliby się przelecieć helikopterem.

Powiedział, że może sprowadzić tu helikopter Brygady. On chce tylko pomóc – dodał niepewnie.

Jeden z chłopców krzyknął zaskoczony. Shan odwrócił się i ujrzał, że Jengzi wskazuje z podnieceniem coś skrytego w mroku wewnątrz budynku. W głębi, obok rozbitego okna w tylnej ścianie, widać było zarys postaci siedzącej na żelaznej beczce. Kaju szybko odciągnął Jengziego.

–Są tu głodni?! – zawołał nieznajomy niskim głosem. – Przyniosłem sobie i wam nieco międzykulturowej kuchni! Masło

orzechowe! – Z ciemności wyszedł Jacob Deacon.

Shan przyglądał się Amerykaninowi, gdy chłopcy witali się z nim radośnie. Już go znali. Ochoczo wyrwali mu słoik z rąk i otworzywszy go, zanurzyli w nim palce.

Amerykanin objął Jakli i skinął Shanowi głową, po czym wyciągnął dłoń do Kaju.

–Mała klasa dla nowego nauczyciela – zauważył.

Kaju uścisnął mu rękę, spoglądając nerwowo na drogę.

–Nie spodziewałem się dzisiaj ojca Micaha. Nie przy tym całym zamieszaniu.

–Zamieszanie? Jakie zamieszanie? Lau chciała, żeby jej klasa usłyszała o wykopaliskach archeologicznych i o skamieniałościach. Poprosiła mnie o to już dawno, a ja obiecałem, że przyjdę. Więc jestem.

–Ale jak? Przyszedłeś z tak daleka? – zapytała Jakli. – A jeśli ktoś cię widział? Pałkarze... Deacon uniósł dłoń, żeby ją uciszyć.

–Nie jest tak daleko, jeśli idzie się na przełaj przez piaski. Gdy ma się dobry kompas i dobrego konia, to tylko cztery godziny drogi. Wyruszyłem o północy. Będę z powrotem przed zachodem słońca.

–Czekałeś tu cały ten czas?

Deacon wskazał na mały plecak u podstawy beczki.

–Zawsze mam jakieś prace do napisania. – Mówił nieobecny tonem, podczas gdy jego wzrok niespokojnie błędził po wydmach. Amerykanin, wiedział Shan, nie wypatrywał niebezpieczeństw. Wypatrywał syna. Przyszedł z powodu swojego syna.

Shan przyglądał się dwóm chłopcom, którzy siedzieli w kucki u stóp Deacona, wciąż ciesząc się amerykańskim masłem orzechowym.

–Micah je masło orzechowe z ryżem – odezwał się uśmiechnięty Batu. – Robi z tego kulki. – Chłopiec uniósł wzrok ku

Amerykaninowi. – Czy mógłbym zabrać trochę? Będę widział

się z nim w górach w tym tygodniu, wiem to na pewno. Malik

i ja... – Zerknął ze skrucną w stronę Jakli i Shana. – Pojedziemy w górę aż do lodowców, żeby go szukać – powiedział cicho.

Wziął Deacona za rękę i ciągnął, dopóki Amerykanin nie oderwał wzroku od wydm. Deacon uklęknął obok chłopca i zaczął klepać się po kieszeniach, jakby szukając czegoś, do czego mógłby włożyć parę uncji masła orzechowego dla Micaha.

Kaju zerknął na Akzu, który wrócił z psem i przykucnął na wydmie, skąd miał widok na drogę.

–Ludzie się boją – powiedział do Deacona. – Ci, u których on jest, są bardzo nieśmiali. Następne zajęcia wypadają podczas pełni. Za parę dni. Będę tutaj – dodał. – Przyjdę sam.

–Jasne – odparł Deacon z widocznym rozczarowaniem. – Następne zajęcia. – Spojrzał na Shana i mrugnął. – Mam randkę przy pełni księżyca.

Shan uśmiechnął się słabo. Wśród tylu tragedii były przynajmniej dwa szczęśliwe punkty. Jakli rozpoczęła nowe życie z synem Marca. A Deacon będzie siedział z synem przy pełni księżyca, słuchając swej owadziej orkiestry.

Nagle rozległo się szczekanie psa. Odwrócili się i ujrzeli, jak Akzu wstaje, unosi dłoń do góry, po czym opuszczają za głowę, jakby chciał się podrapać po potylicy.

Kaju wydał zduszony okrzyk.

–To sygnał – oświadczył nagląco. – Ktoś nadchodzi. Ktoś, przed kim musi nas ostrzec.

–Cholera! – mruknął Amerykanin. – Jasna cholera. – Zaczął gmerać po kieszeniach swych workowatych spodni, podczas gdy Kaju odprowadził chłopców do budynku, żeby ukryć ich przed nadchodzącymi. Akzu, zwrócony twarzą do drogi, wciąż czekał. Kazach został na wydmie celowo, uświadomił sobie Shan, aby nowo przybyli podeszli do niego, dzięki czemu będą widoczni z budynku. Jakli i Kaju szybko zamknęli drzwi, zostawiając kilkucentymetrową szczelinę, przez którą mogli wyglądać.

Chwilę później obok Akzu pojawił się jakiś mężczyzna, niższy i szerszy od niego. Gdy zaczął rozmawiać z naczelnikiem, odwrócił się w stronę niecki i mogli zobaczyć, że jest w mundurze.

–Bao! – krzyknęła Jakli.

–Wszystko w porządku – uspokoił ją Kaju, choć w jego głosie nie było pewności. – Akzu ma plan. Powie, że sprawdza drogę, którą stada Brygady zostaną przeprowadzone na zimowe pastwiska. Czasami tu w pobliżu bywa woda. Jeśli jest, można zaoszczędzić dzień, idąc na przełaj przez piaski. Wytłumaczy, że teraz chce tylko pomóc Brygadzie, bo wkrótce będzie współwłaścicielem. Ale ponieważ wody nie ma, poprosi Bao o mapę, żeby znaleźć lepszy szlak. Jeśli Bao zechce pomóc, Akzu pójdzie z nim. Jeśli nie, będzie go zagadywał, dopóki nie odjadą wszyscy razem. Potem wróci za cztery godziny. To uzgodnione.

Ale jego słowa nie przyniosły większej ulgi chłopcom ani Deaconowi, którzy stali z ponurymi minami w bladym świetle. Amerykanin trzymał w ręku wyjęty z kieszeni przedmiot: latarkę wielkości ołówka. Zrzucił plecak na ramiona i podszedł do okna.

Shan śledził Bao chłodnym, skupionym wzrokiem, pamiętając ich ostatnie spotkanie, pamiętając, jak cios Bao upuścił mu krwi. Ten człowiek był jak mroczna planeta, która pochwyciła Shana w swą orbitę. Kto jeszcze był z nim, jak wielu pałkarzy czekało za wydumą w wozie patrolowym?

Shan odwrócił się. Jakli klęczała teraz obok chłopców, otaczając ich ramionami, szepcząc słowa otuchy. W jakim kraju żyjemy, pomyślał, że dziesięcioletni chłopcy nie tylko wiedzą, czym jest безпеka, ale i że należy czuć przed nią lęk. Spojrzał na dziewczynę, potem na Deacona, i coś powiedziało mu, że oni również myślą o tym samym. Bao mógł zgarnąć ich wszystkich i zyskać dość chwały, żeby zdobyć uznanie w stolicy. Shan, uciekinier z lao gai. Deacon, nielegalnie przebywający tu Amerykanin. Osieroceni chłopcy, na których głowy wyznaczono prywatną nagrodę. Jakli, naruszająca warunki zwolnienia warunkowego.

Nagle Bao wskazał ręką budynek.

–Musimy iść – oświadczył Deacon, podsadzając Batu do okna.

–Iść? – Wychrypiał Kaju z rozpaczą. – Nie ma dokąd iść.

–Oczywiście, że jest – odparł Deacon. – Staniemy się niewidzialni. – Wystawił Batu przez okno i sam wygramolił się na zewnątrz.

Bao zaczął powoli schodzić po wydmie. Akzu zawahał się, ale ruszył za nim, machając rozłożoną mapą, jakby zadawał majorowi pytanie. Nim minęło dziesięć sekund, Jakli, Jengzi, Shan i Kaju znaleźli się po drugiej stronie okna.

Deacon był już dziesięć metrów dalej, przy pozostałościach jednej z małych szop, zrywał deski podłogowe. Bao nie widział szopy, bo zasłaniał ją garaż, ale jak długo potrwa, zanim go obejdzie, nie sposób było przewidzieć. Nim Shan dotarł do niej, Amerykanin zdążył już usunąć trzy deski i spuścił chłopców do znajdującego się pod nimi szybu. Jakli i Kaju wsunęli się do środka, potem Deacon wepchnął Shana w otwór i sam zeskoczył.

–Co to... – zaczął Shan, ale Deacon pchnął go w mrok po północnej stronie szerokiego prawie na dwa metry szybu.

–Idźcie jak daleko się da! – szepnął nagłaco i wyciągnął ręce w górę, by zasunąć deski.

Dopiero gdy Amerykanin skończył i ruszył za nimi ze swą latareczką, Shan spostrzegł, że znajdują się w kamiennym tunelu wysokim niemal na metr dwadzieścia i szerokim na mniej więcej półtora metra. Jengzi płakał, trzymany przez idącą na przód Jakli. Za nimi szli Kaju i Batu.

–W porządku – odezwał się Deacon zza pleców Shana. – Zaraz zaczniemy lekcję archeologii.

–Archeologii? – Wykrztusił Kaju. Shan słyszał, że Tybetańczyk dyszy ciężko, jakby brakło mu powietrza.

–Jeszcze dziesięć metrów i będziemy mogli bez obawy porozmawiać – oświadczył Deacon donośnym szeptem.

Dno tunelu pokrywała warstwa piasku, pod którą znajdowała się taka sama kamienna kostka, jaką wyłożono ściany i sklepienie tunelu. Co dwa i pół metra w poprzek przebiegały drewniane belki, niektóre wciąż pokryte korą, wsparte na małych słupach. Gdy posuwali się wolno naprzód w bladym świetle miniaturowej latarki Deacona, pomiędzy kamieni w górze sypały się strużki piasku.

–To karez – wyjaśnił Deacon, gdy przystanęli. – Starożytny system kanałów irygacyjnych, doprowadzający wodę z topniejących górskich lodowców, jak w Piaskowej Górze.

–Zachowany od tamtych czasów? – zapytał Shan.

–Jasne. Zobaczcie sami. W niektórych miejscach ciągnie się kilometrami. W okolicach Turfanu w dalszym ciągu używają go do nawadniania, tak jak niektóre ze starych rzymskich akweduktów we Włoszech. W Piaskowej Górze znaleźliśmy mapę. Wydawało się, że pokazuje w tym miejscu tunel. Sprawdziłem to dzisiaj rano.

–Ale to niemożliwe – zaprotestował Kaju, wciąż z trudem łapiąc oddech. – To nie może być stabilne. Zostaniemy... – Nie dokończył. Nauczyciel przypomniał sobie o

swoich uczniach.

–Na całej długości były rozmieszczone studzienki – ciągnął Deacon. – Pozwalały na konserwację, na czerpanie wody. Takie jak ta, przez którą weszliśmy. Po prostu musimy znaleźć następną i wychodzimy. Jak wiewiórki ziemne z norki.

Budowniczo wie dobrze wykonali swoją pracę. Mimo upływu wieków na długich odcinkach kamienie przylegały do siebie tak ściśle, że karez wydawał się zamknięty do czysta. W niektórych miejscach natykali się na małe, stojące kałuże, oznaczające, jak oświadczył z podnieceniem Deacon, że od czasu do czasu, przy wiosennych roztopach, woda wciąż spływa starymi tunelami.

W miarę jak posuwali się naprzód, Shan zaczął dostrzegać pewną prawidłowość w układzie podpór tunelu. Co piąta belka była grubsza i rzeźbiona w rośliny utrzymywane niegdyś przy życiu przez karez. Na środku każdej z grubszych belek znajdowała się mała, zwrócona na północ głowa smoka, gotowa do obrony, gdyby demony zechciały wtargnąć do ludzkich siedzib przez podziemia. Słyszał, jak z przodu Jengzi jęczy, skarżąc się na pajęczyny. Shan sam miał ochotę pojęczeć. Nie groziło im już odkrycie przez Bao, wisiało nad nimi jednak znacznie bardziej realne zagrożenie – naruszenia wątych ścian. Gdyby sklepienie runęło, nie byłoby żadnego ratunku, jedynie ciemność i dość czasu, by zdławiło ich przerażenie, zanim skończy się powietrze.

Usłyszał, że Jakli szepcze uspokajająco. Khoshakhan, powtarzała, tak jak zwracano się do jagniąt. Idący przed Shanem

Jengzi przestał zawodzić. Ale gdy przystanęli, chłopiec zaczął pomału przeciskać się do przodu, by iść obok Kaju. Shan miał go właśnie ostrzec, że w tunelu nie ma miejsca dla dwóch idących obok siebie osób, gdy nagle stopa chłopca zahaczyła o jeden z wiekowych słupów. Dało się słyszeć nie trzask ani nie odgłos pękającego drewna, ale po prostu suchy chrzęst, i dolna część słupa odpadła. Sypiąca się z góry strużka piasku zmieniła się w ruchomy, ścielący się na podłodze tunelu woal, pokrywający ją szybko narastającą warstwą.

–Idźcie! – Wrzasnął Deacon.

Jengzi w popłochu rzucił się naprzód. Kaju i Shan ruszyli za nim. Gdy Shan przechodził pod sypiącym się piaskiem, na plecy spadł mu kamień. Zanim przedostał się na drugą stronę, drugi kamień uderzył go w nogę. Przystanął, by zobaczyć, czy Deacon nie potrzebuje pomocy.

–Idź! – rzucił Amerykanin.

Shan przebiegł pędem trzy metry i w tej samej chwili całe sklepienie wokół osłabionej podpory zawaliło się. Deacon był w połowie drogi, kiedy otoczył go zwał piasku i kamieni. Shan zawrócił. Jedną ręką pochwycił latarkę, drugą złapał Deacona za nadgarstek i pociągnął.

Z potężnym szarpnięciem Amerykanin wydobył się z piachu i gruzu. Leżał przez chwilę twarzą w dół, z trudem łapiąc oddech, wreszcie wziął od Shana latarkę i oświetlił po kolei twarze wszystkich pozostałych.

–W porządku – oświadczył z wymuszonym uśmiechem. – Myślę, że teraz Bao już nas nie usłyszy.

–Gdzie dokładnie jest to wyjście, które obiecałeś? – zapytała powoli Jakli, jakby wypowiedzenie każdego słowa wymagało od niej olbrzymiej samokontroli. Światło latarki ledwie sięgało jej twarzy. Za nią majaczył w mroku kilkumetrowy odcinek tunelu, a dalej była już tylko czerń.

–Jest. Musi być. Tu była osada. Widzieliście te kamienne ruiny – odparł Deacon. – I cysterny. Niemal wszystkie cysterny były zamknięte od góry, ale nad nimi jest zazwyczaj ledwie półmetrowa warstwa piasku.

–Ale kiedy? – Wtrącił Kaju, niezdolny ukryć strachu w głosie. – Gdzie jest ta cysterna? Tu nie da się oddychać.

–Myślę, że pan Deacon chce powiedzieć, że musimy po prostu iść naprzód – podsunął Shan.

–Otóż to – potwierdził głucho Amerykanin. – Jeszcze parę dni i być może wynurzymy się w jakimś górskim jeziorze, z żabami w kieszeniach. – Oświetlił twarze chłopców. – Powiadają, że w niektórych ze starych karezów są ukryte skarby – dodał z fałszywym entuzjazmem.

Batu uśmiechnął się, Jengzi spojrzał na niego ze sceptycyzmem, ale obaj zaczęli czołgać się z nową energią, w ślad za Jakli, która po omacku posuwała się przez mrok.

Przez kilka minut nikt nie odzywał się słowem, jakby w obawie, że ich głosy mogą zdruzgotać kolejną z kruchych podpór. Nagle Kaju się zatrzymał.

–Patrzcie! – powiedział, wskazując belkę nad swą głową. –

Mamy ochronę.

Gdy Deacon skierował w górę światło latarki, ich oczom ukazała się wymalowana szkarłatnym barwnikiem tybetańska inskrypcja.

–Sześciosylabowa mantra – oświadczył Kaju z iskrą nadziei w głosie. – Tunel został pobłogosławiony.

–Tu też! – zawołała Jakli, wskazując na belkę nad własną głową. Ten sam napis, ta sama farba. Dziewczyna zaczęła się czołgać w szybszym tempie, jak gdyby ów znak zwiastował bliskość studzienki. Zniknęła w ciemności, wciąż jednak słychać było, jak się porusza. Potem nagle rozległ się rumor spadających kamieni i plusk. Jengzi z przerażeniem zawołał dziewczynę po imieniu. Nie było odpowiedzi.

–Niech nikt się nie rusza! – ostrzegł Deacon. – Nawet nie kiwać palcem. Nawet włoskiem. Ja pójdę.

–Nie – zaprotestował Shan. – Ty jesteś na końcu. Daj latarkę Batu.

Oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu, ale bez słowa przejął latarkę i powoli ruszył naprzód. Przesunął się o pięć, potem o dziesięć metrów. Z oddali dobiegł ich głos Jakli, niosący się echem jak w pustej komorze. Tunelem przetoczyły się stłumione słowa rozmowy, a potem, nieoczekiwanie, śmiech. Kaju i Jengzi rzucili się naprzód. Shan i Deacon pospieszyli za nimi.

Kaju i chłopcy stali rzędem na występie nad kamienną rynną omijającą łukiem potężny, ocembrowany otwór. Była to cysterna, którą zbudowano, żeby przejmowała nadmiar wody z głównego kanału. Miała co najmniej dwanaście metrów średnicy i nakryta była kopułą ze ściśle dopasowanych kamiennych bloków. Sam zbiornik składał się z czterech tarasowatych poziomów, każdy o kilkadziesiąt centymetrów wyższy od leżącego pod nim. Jakli stała na górnym poziomie, zanurzona po pas w wodzie, z głową wystającą pół metra nad cembrowinę.

Poświeciwszy latarką po suficie i przeciwległej ścianie cysterny, Deacon zagwizdał z podziwu dla niezwyklej konstrukcji. Kamienne sklepienie komory przebijały korzenie. Shan przypomniał sobie dziwnie bujną kępę krzewów w pobliżu północnego skraju niecki.

–Jeśli Jakli pozwoli – rzekł Amerykanin – odnotuję Batu i Jengziego jako odkrywców. Nasi przyjaciele rozwiązali wielką zagadkę.

–Zagadkę? – zdziwił się Kaju.

–Tak jest. Właśnie się dowiedzieliśmy, dlaczego to miejsce nazywa się Kamiennym Jeziorem.

Chłopcy uśmiechnęli się od ucha do ucha. Jakli opryskała ich wodą.

–Skoro jest cysterna, musiało być do niej wejście – zasugerował Shan.

Deacon szedł już ostrożnie wzdłuż występu ku przeciwległej ścianie.

–Prawdopodobnie kamienne schody prowadzące do łaźni albo czegoś w tym rodzaju. – Przystanął i skierował światło latarki na drugą stronę cysterny, tuż pod kopułą. – Dokładnie w tym miejscu – oświadczył. Widać tam było solidny, stanowiący nadproże gładz wsparty na dwóch słupach z ciosanego kamienia. Ale wejście było wypełnione gruzem, piaskiem i odłamkami drewna. Zawaliło się.

Shan i Kaju pochylili się i wciągnęli Jakli na występ, Deacon zaś dalej wodził światłem po ścianach cysterny.

–To jest zbyt niepewne – stwierdził. – Wszystko mogłoby się

zawalić, gdybyśmy usunęli gruz. Ale cysterna była prawdopodobnie blisko centrum osady. Dalej powinno być więcej wejść.

Ledwie wypowiedział te optymistyczne słowa, latarka zamigotała i zgasła. Potrząsnął nią i znów się zaświeciła, choć już nie tak jasno jak jeszcze przed chwilą.
–Naprzód! – Warknął.

Sześćdziesiąt metrów za cysterną idąca na przedzie Jakli poprosiła o latarkę. Chwilę później zaczęła opisywać drżącym głosem, co widzi przed sobą. Ale słowa były zbędne. Wiązka światła powiedziała im wszystko. Kilka bocznych słupów było obluźwanych, trzy z nich przewróciły się i opierały o ściany tunelu. Jedna z belek stropowych leżała na dnie, w kupie piasku i kamieni. Inna, przegniła doszczętnie, utrzymywała się w górze zaledwie na paru drzazgach. Tunel wyglądał tak, jakby mógł się w każdej chwili zawalić.

W grobowej ciszy czuli się jakby poza czasem. Stali sparaliżowani zgrozą i Shan nie miał pojęcia, jak długo trwało, nim odezwał się Deacon.

–W porządku – powiedział napiętym głosem. Shan słyszał, że Amerykanin oddycha głęboko, jakby próbował się uspokoić. – Zrobimy tak. Latarka zostaje u Jakli. Ona idzie pierwsza, a po niej, za jakiś czas, chłopcy. Z tyłu potrzebny będzie ktoś silny, na wypadek, gdyby trzeba było szybko kopać, więc później ruszy Kaju, a następnie Shan. Kiedy wydostaniecie się z zagrożonego obszaru, zawołajcie, a ja do was dołączę. Jestem największy, a więc najbardziej niebezpieczny.

Nikt się nie spierał. Jakli powoli zaczęła posuwać się naprzód.

–Będiesz bez światła – powiedział Kaju do Amerykanina.

–Mam zapalki – odparł głucho Deacon. – Nie ma problemu.

Shan popędził Kaju, dotykając jego nogi, i Tybetańczyk ruszył do przodu. Dwa metry, pokonywane z dręczącą powolnością, potem pięć metrów, i światło zaczęło szybko niknąć, jak gdyby tunel łagodnie zakręcał.

–Wiem, że tu jesteś, u diabła – odezwał się Deacon w ciemnościach. – Jesteś mniejszy niż Kaju. Może ci się udać.

–Pomyślałem, że tu mogą być świerszcze – odparł Shan. –

Dlaczego masz mieć całą przyjemność dla siebie?

Na długi czas zapadła cisza. Shan odnosił wrażenie, że słyszy, jak poruszają się ziarenka piasku.

–Ile masz zapalek? – zapytał Deacona.

–Właśnie liczyłem. Dziesięć.

–Ja mam może pół tuzina – odparł Shan.

–Świetnie. Biegnij po cukierki ślazowe. Zrobimy ognisko.

–Cukierki ślazowe?

–Nieważne. Znów cisza.

–Udało mi się nakłonić Starego Żelaznonogiego do śpiewu – oświadczył Deacon w ciemności. – Potężny, basowy głos. Na karmiłem go masłem orzechowym.

Rozmawiali o świerszczach, o tych, które miał stary mnich, kiedy Shan był chłopcem, i o tych, które Deacon zebrał do tej pory dla syna.

–Nic nie robimy? – zapytał w końcu Shan i usłyszał smutek w swoim głosie. Zabójca mógł uderzyć ponownie, a on będzie leżał w piasku, zagnany do tego grobu przez pałkarzy.

–Iść naprzód po ciemku... – odrzekł Amerykanin nerwowo, z wysiłkiem wyrzucając z siebie słowa – to samobójstwo. Ta garść zapalek, którą mamy, niewiele zmienia. Więc zaczekamy. Jakli przyśle armię wiewiórek ziemnych w hełmach z latarkami.

–Moglibyśmy wrócić – zaproponował Shan.

–Tam też nie mamy większych szans. Powiedzieliśmy jej, że będziemy tutaj.

Czy on myśli o tym, zastanawiał się Shan, że tu właśnie będą kopać, by wydobyć ich ciała?

Płomyk zapalaki poraził mu oczy. Deacon, opierając głowę na ramieniu, przyglądał się Shanowi z dziwnym spokojem na twarzy.

Czy będziemy tu po prostu leżeć, aż umrzemy z głodu? pomyślał Shan.

–Nie, nie – odezwał się pogodnie Deacon. – Tu nie ma przepływu powietrza. Dużo wcześniej się udusimy – dodał i Shan uświadomił sobie, że skoro Amerykanin odpowiedział na jego

zadane w myślach pytanie, to musiał je wypowiedzieć.

Płomyk zapalaki zamigotał i zgasł.

Shan leżał na plecach, z rękoma pod głową. Za sobą słyszał spokojny oddech Deacona. Wyciągnął dłoń i przesunął czubkami

palców po kamieniach, czując dziwną więź z budowniczymi karezu. Przed nim byli tu inni ludzie, pobożni, pracujący w bladym świetle kaganków. Osadzali kamienie i drewniane stemple, wykonywali pomiary zapewniające, że siła ciężenia doprowadzi wodę do celu. Niektórzy przerywali pracę, by wymalować napisy w tunelu, gdzie nikt nie miał ich widzieć. Nikt poza zdesperowaną grupką wyrzutków, setki lat później.

Zastanawiał się, jak to będzie, jeśli ktoś wyciągnie stąd jego ciało za tysiąc lat. Ten ktoś obejrzy uważnie jego ubranie i powie: Osobliwa rzecz, ten zasuszony Han ze starym tybetańskim gau nosił tkaniny z dwudziestego pierwszego wieku, a w kieszeni miał medalion pochodzący z dziesiątego stulecia.

–Czy to prawda – dobiegł go z ciemności głos Deacona – że są lamowie, którzy potrafią rozmawiać z górami?

Shan uśmiechnął się.

–Myślę, że góry miałyby niejedno do powiedzenia.

–Góry są tak stare – stwierdził Amerykanin bardzo powoli, przeszedłszy na angielski. – Pełne wody, kryształów i korzeni. Mógłbym uczyć się od gór. – Przez kilka chwil oddychał w milczeniu. Brak tlenu dawać już znać o sobie. – Kiedyś chodziłem po górach. Siadałem pod wielkimi drzewami i po prostu wchłaniałem wszystko. Przeszawiałem myśleć i tylko się wczuwałem. Całymi godzinami.

–Medytacja – wtrącił Shan.

–Chyba tak. Słyszałem, że w Tybecie są ludzie, którzy spędzają tak całe lata. Gdybym ja robił to latami, byłbym... nie wiem. To nie byłbym już ja. Byłbym kimś lepszym. Kimś więcej niż po prostu człowiekiem.

–Znałem takich ludzi – powiedział cicho Shan.

–W takim razie masz szczęście. Co do mnie, chyba po prostu liczę na to, że jeśli będę czynił dobro... wiesz, gromadził zasługi... że w następnym życiu uda mi się zostać pustelnikiem w Tybecie.

Znów milczeli. Deacon zapalił następną zapałkę i przytrzymał ją blisko cegieł, przyglądając się konstrukcji. Nie słyszeli już pozostałych. Być może leżeli zaszypani gruzem, martwi. Być może lepsze to niż tortura powolnego duszenia się w mroku. Shan poczuł coś na ręce. Wilgoć. Starł piasek z kamienia na dnie i położył

na nim palec. Po chwili palec był wilgotny. Odgarnął piasek na większej powierzchni i zbliżył policzek do mokrego głazu. Było w tym coś z cudu, pomyślał, wielka moc tkwiąca w wilgoci, coś pokrewnego uczuciu, jakiego doznał, dotykając mumii pielgrzyma, jak gdyby wilgoć na kamieniach karezu również pochodziła sprzed tysiąca lat.

Przycisnął policzek do kamienia. Widział kiedyś studnię przed starą gompą, do której schodzili się pielgrzymi gasić pragnienie. Podczas chińskiej inwazji zawędrowała tam dziewczynka z plemienia Khampów, którą żołnierze zmusili do zastrzelenia obojga rodziców. Płakała przez tydzień nad studnią, a później mnisi przykryli otwór, żeby najeźdźcy go nie zasypali. Otwierali studnię wyłącznie podczas wizyt wiernych. W jej wodzie wciąż są łzy dziewczynki, twierdzili z powagą, gdyż odkąd się z nią mieszały, bez względu na to, ile wiader wyciągnięto, jakaś odrobina pozostawała w studni.

Poczuł wilgoć na policzku i zastanawiał się, jak wiele łez zmieszało się z tą wodą. Wszyscy, którzy płakali w odległych górach, przez wszystkie stulecia, dodali do niej odrobinę swoich łez. Uświadomił sobie, że chociaż wcześniej bardzo chciało mu się pić, teraz nie czuł pragnienia. Powróciło do niego wspomnienie, strzęp rozmowy z Malikiem. Czy to po tym poznaje się, że przyszła śmierć, zapytał chłopiec, że przestaje się odczuwać pragnienie?

–Skoro góry mówią – odezwał się Deacon – co mają do powiedzenia pustynie?

–To samo – odparł Shan – tylko ze smutkiem.

–Dlaczego?

–Pustynie są tym, czym stają się góry po śmierci.

Znów zapadła cisza. Jego świadomość zdawała się słabnąć, jakby zasypiał. Czubkiem palca dotknął oka, bo nie potrafił inaczej stwierdzić, czy jest otwarte, czy zamknięte. Usłyszał coś. Muzykę i śpiewający falsetem głos. Jeśli drobinki wody mogą trwać przez stulecia, pomyślał, być może tak samo dzieje się z drobkami dźwięków, zagnanymi do karezu przez pradawne wiatry. Być może to właśnie robią wietrzne demony: zbierają strzępki ludzkiego życia i składają je w zacisznych, mrocznych miejscach.

Poczuł zapach imbiru i usłyszał głos, który z całą pewnością był głosem jego ojca. Z początku nie były to konkretne słowa, ale melodyjne dźwięki, jakby ojciec nucił, aby go pocieszyć. Potem przemówił, w języku, którego nie znał. Khoshakhan, powiedział do Shana. Khoshakhan.

Shanowi wpadła do ust odrobina piasku i zakaszał, dławiąc się, odzyskując poczucie rzeczywistości.

– Tam na górze, w Kamiennym Jeziorze – stwierdził ze znużeniem – w czasach, kiedy była tam oaza, musiało być dobre miejsce dla świerszczy.

Usłyszał za sobą jakby stłumiony śmiech.

– Tydzień temu znaleźliśmy zwój – powiedział Deacon. – Rozprawę naukową na temat żywienia śpiewających świerszczy. Z czasów dynastii Ming. Mam zamiar pokazać go Micahowi. Wypróbujemy parę przepisów i sprawdzimy, jak zadziałają.

– Przy pełni księżyca.

– Taaak. – Amerykanin milczał przez chwilę. – To będzie bolesne.

– Bolesne?

– Kiedy usłyszysz o Khitaiu. Mao powiedzieli nam, co się stało.

– Mówiłeś, że chłopcy byli przyjaciółmi?

– Khitai był najlepszym przyjacielem, jakiego Micah tu znalazł. Sporo psocili razem. Cieszyliśmy się, że Micah będzie teraz miał brata. Nitka w wyobraźni już powiększa dom. Kupuje rowery.

– Nie rozumiem... – zaczął Shan, po czym uświadomił sobie, że Deacon mówi o przyszłości, której nie będzie. Przewrócił się na wznak, przyciskając plecy do wilgoci, i wyciągnął palce w ciemność. Musiał oślepnąć, by wreszcie przejrzeć na oczy. Marco nie miał pojęcia, dokąd Lau zamierzała zabrać Yakde Lamę. Ale Deacon to wiedział. – Khitai – szepnął. – Teraz rozumiem. Zamierzaliście zabrać go do Ameryki. Zamierzaliście zabrać go po pełni księżyca. – Wydało mu się dziwne, że rozmawiają o tym tak, jakby zostali pozbawieni przyszłości, jakby mówili o życiu innych ludzi.

Deacon nie odpowiedział.

– Wiem o tym – dodał Shan. – „Panda”. Medaliony. Nie wiem, jak daleko się wybierał.

– Ktoś powiedział mi kiedyś, że nie powinno się umierać z sekretami. Więc myślę, że mogę zdradzić ci moje, a ty powiesz mi o swoich. – Deacon przerwał, oddychał szybko, jak gdyby mówienie sprawiało mu ogromny wysiłek. – Micah i Khitai zaplanowali sobie, że zostaną razem, na długo zanim zaczęły się problemy. A miesiąc temu Lau przyszła do nas cała rozstrojona

i opowiedziała nam o chłopcu, wyjaśniła, kim on jest. Mówiła, że sytuacja się zmieniła, że może będzie musiała znaleźć nowy dom, oddać Khitai. Moglibyśmy powiedzieć, że on jest naszym adoptowanym synem z Chin. Nitka zareagowała tak, jakby to było nam przeznaczone, najlepszy uczynek, jaki możemy zrobić. Marco może

umożliwić nam wyjazd, mówiliśmy sobie. Marco zna ludzi na zewnątrz, ma mnóstwo pieniędzy w zagranicznych bankach. Kazał zrobić papiery, dobre papiery. Amerykańskie paszporty, które kupił w Pakistanie. – Deacon westchnął i znów pogрузzył się w myślach.

Cisza grobu. Shan wiedział, że Amerykanin także odczuwa jej ciężar. Cisza zdawała się krzyczeć. Zdawała się namacalna, jakby na nich napierała, jakby tunel kurczył się wokół nich. Powoli unosił palce, dopóki nie dotknęły sklepienia.

–Nie rozumiem – odezwał się.

–Czego? – zapytał Amerykanin. Wydawało się, że nawet dźwięk zwolnił, jak gdyby wieki minęły między słowami Shana a pytaniem Deacona.

–Nie wiem. Ciebie. Dlaczego ty i twoja żona przyjechaliście do Xinjiang. Dlaczego wysłaliście swojego syna do ludzi z klanów, których właściwie nie znacie.

Deacon milczał tak długo, że Shan zaczął się zastanawiać, czy Amerykanin jeszcze żyje.

–Drzazga – odparł. – To wszystko przez drzazgę.

–Drzazgę?

–Prowadziliśmy badania w dżungli nad Amazonką. Wdała się infekcja, fatalna sprawa. Była ze mną Nitka i dwóch indiańskich przewodników. Przygotowywaliśmy artykuł na temat technik tkackich w jednym z ginących plemion. Majaczyłem, umierałem, wiedziałem, że umieram. Miałem gorączkę. Traciłem przytomność i znów ją odzyskiwałem. Ona siedziała przy mnie, wycierała mi czoło, rozmawiała ze mną, podczas gdy Indianie

szukali lekarstwa w dżungli. Przysięgłem sobie, że jeśli przeżyję, stanę się inny. Zamierzaliśmy coś zmienić.

Powoli, przerywając od czasu do czasu, żeby zaczerpnąć haust zużytego powietrza, Deacon wyjaśnił, że znaczną część młodości wędrował po świecie, szukając przygód, wydając większość z tego, co zostawił mu ojciec, handlarz samochodami.

–Miesięczna podróż kajakiem przez Tasmanię. Wejście na cztery szczyty na Alasce i w Nepalu. Skoki na bungee w Nowej Zelandii. Andy. Miesiąc w Peru. Miesiąc w Patagonii.

–Wyprawy badawcze?

–A gdzie tam. W każdym razie nie zawsze. Po ślubie Nitka towarzyszyła mi czasem w tych eskapadach i zarabiała na swój bilet, pisząc artykuł. Ja po prostu szukałem wrażeń. Ustabilizowała nas na pewien czas, powiedziała, że muszę dorosnąć. Dostaliśmy posady na uniwersytecie, dobre posady. Pojawił się Micah. A potem któregoś dnia byliśmy w centrum handlowym, takim skupisku sklepów, betonowym labiryncie. Staliśmy w kolejce do kasy, z wielkim koszem zabawek. Nagle widzę, że ona płacze, że łzy ciekną jej po policzkach. Co my tu robimy, mówi, to wszystko zabawa. Tak każdy odmierza swoje życie. Kiedy masz małe dzieci, chodzisz do olbrzymich sklepów z zabawkami i kupujesz drogie plastikowe graty. Dzieci dorastają i kupujesz im drogie elektryczne graty w innym sklepie. Potem drogie ubrania. Jeśli naprawdę dobrze ci się wiedzie, drogie buty i drogie samochody. To się nazywa zachodnia ewolucja, mówi. Znaczysz swoje istnienie i swoje miejsce w stadzie tym, w jakich sklepach kupujesz. Powiedziałem jej, Nitko, to tylko parę zabawek. Ale kiedy przyszło do płacenia i sięgnęła do torebki, ręce trzęsły jej się tak, że nie mogła utrzymać portmonetki. Nie mogła się poruszyć. Po prostu stała tam i płakała. Przyjechała policja, potem karetka. Umieścili ją na tydzień w czymś w rodzaju szpitala. Jakiś głupek usłyszał o tym i powiedział Micahowi, że jego matka miała załamanie nerwowe w sklepie z zabawkami. Chłopak przyszedł do mnie – miał wtedy pięć lat – ze wszystkimi swoimi zabawkami w wielkim pudle i powiedział, że oddaje je, nigdy więcej nie chce zabawek, byle tylko oni oddali mu mamę. Poszedłem do szpitala i zabrałem ją, powiedziałem im, że to oni są cholernymi wariatami, a nie moja żona. Uzgodniliśmy, że weźmiemy pierwszy lepszy

projekt badawczy, jaki się pojawi, żeby uciec od świata.

Parę miesięcy później umierałem w Amazonii. Powiedziałem jej, że ożeniłem się z najmądrzejszą osobą na świecie. Miałaś rację tamtego dnia w sklepie z zabawkami, powiedziałem jej. Nikt nie jest odpowiedzialny. Ludzie siedzą i pozwalają, by działo się zło. Wycina się lasy. Bezpowrotnie giną całe kultury, odrzuca się tradycje, ponieważ nie są kompatybilne z Internetem. Dzieci dorastają w przekonaniu, że oglądanie telewizji jest konieczne do życia, i czerpią całą kulturę z reklam. Przyrzekliśmy sobie nawzajem, że jeśli wydostaniemy się stamtąd, będziemy żyć inaczej, my i Micah. Będziemy odpowiedzialni i znajdziemy miejsce, gdzie będziemy mogli coś zmienić.

–I jesteś tutaj – zauważył nieobecny tonem Shan. – W wieloletnim tunelu pod równie starym miastem, czekając...

–Niczego nie żałuję – uciął Amerykanin, jak gdyby nie chciał, żeby Shan ciągnął dalej. – Nasz rząd i chiński nie życzą nas sobie tutaj. Pieprzyć ich. Tu właśnie jest to miejsce, gdzie możemy coś zmienić. – Coś zmienić. Nie wiedzieć czemu Shan przypomniał sobie, że prokurator Xu poprzedniego dnia użyła tych samych słów, by wyjaśnić, dlaczego ciągle jest w Yoktianie. – Ci ludzie... Pekin sądzi, że oni są złamani. Nie są. Oni po prostu czekają. A my robimy to samo co ty. Pomagamy im odkryć prawdę.

–Ale wasz syn... – Shan próbował sobie wmówić, że leżą na skale pod gołym nocnym niebem, i tylko tak sobie gawędzą.

–Dwieście lat temu w Ameryce dziesięcioletni chłopcy chodzili na polowania, żeby zdobyć żywność dla swych rodzin. Uczyli się, jak przeżyć, jak budować stodoły i chaty, jak jeździć wierzchem, jak uleczyć chorego konia, jak strzyc owce. Tego właśnie uczy się nasz chłopiec, zasadniczych rzeczy. Podstaw, jak nazywa to Nitka. Do diabła, sam nie potrafiłbym nawet nauczyć go niektórych z nich. Ale starzy Kazachowie i Tybetańczycy to potrafią. Ufamy im jak rodzinie. Po pierwszych dwóch tygodniach Micah powiedział, że chce zmienić rodzinę, że jego widmowy klan nie ma koni, a on chce być z końmi, jak Kazachowie, jak przodkowie jego matki. Ale powiedzieliśmy mu: zostań tutaj, naucz się na razie o owcach. Lau obiecała, że do pilnuje, aby

on nie zamienił się miejscem z innymi dziećmi. U tych ludzi jest bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej.

Deacon umilkł. Ale Shan wiedział, o czym myśli. Bogu dzięki, że chłopiec nie przyszedł do Kamiennego Jeziora, by umrzeć ze swoim ojcem.

Shan leżał pod jedną z belek stropowych. W ciemności przeciągnął palcami po pokrywających ją płaskorzeźbach. Głowa smoka. Kwiat. Po kilku minutach przerwał milczenie.

–Co to za stworzenie to bungee z Nowej Zelandii? – zapytał ponuro, zastanawiając się, czy istotnie po życiu spędzonym na zadawaniu pytań zostało mu tylko tych kilka. – I dlaczego musiałeś na nie skakać?

Amerykanin wydał chrapliwy, świszczący dźwięk, który, jak domyślał się Shan, miał być śmiechem.

–W porządku – powiedział Deacon, wyjaśniawszy mu sprawę bungee. – Teraz ty. Jaki jest twój sekret?

Shan pomyślał przez chwilę.

–Byłem złym ojcem.

–Przestań. A kto nie jest? Każdy mężczyzna, który ma dziecko, jest dobrym ojcem i złym ojcem, zależnie od okazji.

–Byłem nielojalnym pracownikiem.

–Mam nadzieję. Pracowałeś przecież dla Chin Ludowych, na miłość boską. To za mało.

–W głębi duszy dręczy mnie ciągły ból – powiedział w końcu. – Ponieważ jestem Chińczykiem, a Chiny mnie odrzuciły.

Jego świadomość momentami zdawała się gasnąć i zastanawiał się, czy nie zemdłał. Wymówił imię Deacona, a Amerykanin odpowiedział mu cichym jękiem. Przesunął się odrobinę naprzód, znów w pełni przebudzony, i dotknął pierwszej ze spróchniałych belek. Zawołał go ponownie.

–Gdyby udało nam się zapalić tę zwaloną belkę, mielibyśmy pochodnię.

–I wypalilibyśmy resztkę tlenu, która tu została – odparł Deacon ochryplym głosem. – A jeśli wykonamy zły ruch, nawet przy świetle, tunel zwali się nam na głowy.

–Może to byłoby lepsze niż powolne umieranie przez następnych parę godzin.

Usłyszał, że Deacon podczołguje się do niego. Gdy Amerykanin się zbliżył, Shan odnalazł po omacku jego dłoń i położył ją na belce. Wyciągnął jedną ze swoich zapalek, zapalił ją i zbliżył do belki. Drewno zatliło się, ale nie zapłonęło.

–Za zimne – odezwał się niepewnie Deacon. – Zrób stosik ze spróchniałych drzazg i podpal je najpierw.

Spróbowali, ale bez powodzenia. Deaconowi zostały trzy zapalki. Shan miał cztery. Ułożyli wszystkie zapalki Amerykanina na kupce i podpalili jedną z zapalek

Shana. Stosik trzasnął, zapłonął, przygasł i wypalił się. Shan w milczeniu wyciągnął z kieszeni skrawki papieru, swoje notatki, swoje dowody, zmiął je razem i podpalił. Rozbłysły małym, ale równym pomarańczowym płomieniem. Zasilił go kolejnymi drzazgami, podczas gdy Deacon trzymał belkę nad ogniem. Po dwóch minutach mieli pochodnię i zagłębili się w niepewny tunel.

Przegniła belka obwisła, gdy Deacon znalazł się pod nią, i złamała się za nim. Czołgali się niczym węże po stosie gruzu, sięgającym do połowy wysokości tunelu. Shan posuwał się w żółwym tempie, wiedząc, że każdy jego następny ruch może być ostatnim. Raz osunęła się ściana, zasypując ramię Deacona. Amerykanin powoli je wyciągnął i machnął ręką, żeby Shan ruszał dalej. Dwa razy płomień pochodni słabł, jakby miał zgasnąć, ale Shan wysuwał ją naprzód, w głąb tunelu, jak daleko mógł sięgnąć, dopóki znów nie znalazła tlenu i nie ożyła.

Nagle Deacon zawołał donośnym szeptem:

–Mur!

Ściany tunelu na tym odcinku wykonano z wielkich ciosanych bloków, strop zaś z długich kamiennych płyt.

–Fundamenty budynku! – Wychrypiał Deacon z podnieceniem. – Tam będzie studzienka, wejście do karezu.

Ruszyli szybciej. Nagle, po sześciu metrach, Shan zamarł. Pięć metrów przed nim unosił się świetlisty, migotliwy kształt. Duch. Deacon także go zobaczył i zaklął. Shan podczołgał się bliżej i serce zabiło mu mocniej. To było światło, mały snop słonecznego światła. Ale docierał przez drobną, zaledwie pół-centymetrowej szerokości szczelinę między głazami.

Nagle, za zakrętem tunelu, Shan zobaczył płomień z ludzką twarzą. Tak się przeraził, że upuścił pochodnię.

A potem twarz przemówiła kobiecym głosem.

–Shan! – zawołała i obaj spostrzegli, że stoi przed nimi Jakli i po prostu trzyma pochodnię na wysokości piersi.

Po pięciu minutach byli już na zewnątrz, wyciągnięci przez Akzu i Kaju sześćdziesięciocentymetrowym otworem w sklepieniu tunelu. Stali w boleśnie jaskrawym świetle słońca i wciągali do płuc wielkie hausty świeżego powietrza. Znajdowali się w ruinie na stoku wydmy, na północnym krańcu niecki.

–Latarka prawie już nie świeciła – wyjaśnił Kaju, wyciągając butelkę z wodą. – Nie mogliśmy jej użyć, żeby wrócić. Potem bardzo długo szukaliśmy drewna na pochodnię.

Pili długimi łykami, podczas gdy Jakli i chłopcy relacjonowali Akzu, co przeżyli w ciemnościach, i cieszyli się z cudownego pojawienia się Deacona i Shana.

Ale Shan nie świętował. Przeglądał papiery, których nie spalił w tunelu, bo do nich nie sięgnął. Mały, złożony w czworo świstek ze skrótami, który znalazł przy martwym Amerykaninie, wciąż tu był. Rozłożył go i wepchnął do kieszeni koszuli. Poza nim pozostał mu tylko odręczny plan Karaczuku. Odwrócił kartkę na drugą stronę. Była w śmieciach. Tadżyk owinął w nią skradzioną piłkę baseballową. Do widniejących na niej znaków nie przywiązywał wtedy wagi, zdawało mu się, że te dziwne pasy w jaśniejsze i ciemniejsze prążki to jakieś nic nie znaczące rozmazane atramentowe plamy.

Podszedł do niego Deacon i podał mu butelkę.

–Pomyślałem sobie, Shan – powiedział, kucając obok niego – że powinieneś przyjść. Za tydzień, przy pełni księżyca, z moim synem i ze mną. Chcę, żebyś był z nami. Tam, na dole, było już po mnie. Ocaliłeś mi życie.

Ale Shan słuchał go tylko jednym uchem. Patrzył na Jakli, która właśnie spojrzała nań z bólem w oczach. Odsunęła się od Akzu i podeszła do niego.

–Bao nie odjechał z powodu tego, co usłyszał od Akzu – powiedziała. – Odjechał, ponieważ dostał przez radio meldunek, że na szosie widziano dwóch starych Tybetańczyków.

Shan poczuł, że głowa bezwładnie opada mu na pierś. Wpatrywał się tępo w trzymaną w dłoni kartkę, zmagając się z rozpaczą, gdy nagle Amerykanin chwycił papier i pociągnął w swoją stronę.

–Skąd, do diabła...?! – Wykrzyknął, pochylając się, żeby odczytać drobny druk u góry strony.

–Ten Tadżyk to miał – wyjaśnił Shan – ten z Karaczuku. Wiesz, co to jest?

–Oczywiście. Zapis sekwencji genetycznych. Kopia wyników naszych badań laboratoryjnych. O co tu chodzi?

Shan zamyślił się. Nagle z przerażeniem uniósł wzrok.

–Ten Tadżyk był o wiele sprytniejszy, niż myślałem. Wcale nie chciał ci ukraść twojej białej piłki. Piłka była tylko przykrywką, na wypadek, gdyby go przyłapano. On usiłował ukraść tę kartkę, żeby zanieść ją komuś.

–Jezu. – Deacon usiadł ciężko na piasku i wskazał wydrukowany drobnymi literami wiersz u góry strony. – Numer rejestracyjny naszego laboratorium w Stanach Zjednoczonych. To ścisła tajemnica, dopóki nie opublikujemy wyników. Jeśli ten kod wydostanie się na zewnątrz, to będzie koniec. Pałkarze dowiedzą się, kim jesteśmy. Waszyngton i Pekin siądą nam na kark. – Deacon przełknął resztkę wody i poprawił szelki swego plecaka.

Shan miał jeszcze jedną zapałkę. Podpalił nią papier, po czym z nagłym poczuciem winy spojrzał na Amerykanina, który pędził do swego konia. Nie powiedział mu najgorszego. Że jego syn, ostatni ukrywający się chłopiec z zheli, jest teraz bez wątpienia następnym celem zabójców.

Być może, pomyślał z roztargnieniem, śmierć pod piaskami pustym miałyby swoje dobre strony. Nadeszła pora decyzji. Ścigano ludzi, mieli zginąć lub zostać uwięzieni. Nie mógł powstrzymać tego wszystkiego. Mógł próbować ocalić Genduna i Lokesha lub postarać się przerwać to polowanie na zheli. Ale nie mógł zrobić jednego i drugiego naraz.

Rozdział dziewiętnasty

Zdawało się, że w karezie upłynęły im całe dni, lecz było dopiero wczesne popołudnie, kiedy dotarli do szosy. Gdy się rozjeżdżali, każde w swoją stronę, Akzu raz po raz obejmował Jakli, przy każdym uścisku każąc jej obiecać, że nie spóźni się na Nadam, aż wreszcie dziewczyna uśmiechnęła się i parsknęła cichym śmiechem. Ciotki w sekrecie uszyły jej suknię ślubną, wyjaśnił, więc musi zjawić się wcześniej, ale udawać zaskoczoną. Zanim Kazach odszedł, Shan zapytał Jakli, czy zna drogę do obozu, do którego Marco wysłał tadżyckiego złodzieja. Skonsultowała się krótko ze stryjem. Góra Dzikiego Niedźwiedzia, powiedział Marco, niedaleko brodu na Wątłym Strumieniu. Nie znali tego obozu, ale wiedzieli, gdzie znaleźć przewodnika.

–Myślałem, że porwała was burza pyłowa – stwierdził nie obecnym tonem Akzu, nim się rozstali. – Czasem to się zdarza. –

Gdy opowiadali mu o swojej wędrówce tunelem, słuchał ich z pozornym niedowierzaniem, a teraz przyjrzał się ich zapiaszczonym ubraniom, skórze, włosom, i poważnie pokiwał głową,

jakby potwierdzając swoje domysły. – Niekiedy taka burza sprowadza człowieka z powrotem równie nagle, jak go porwała –

zauważył. – Nie pamiętalibyście – dodał z powagą.

Kaju niespokojnie rozglądał się po okolicy, jakby szukał innych dróg ucieczki. Będzie musiał wrócić tu za pięć dni, na następne zajęcia. Obiecał to Amerykaninowi, gdyż wtedy właśnie według ustaleń syn Deacona miał wrócić do rodziców.

Ruszyli na zachód, oddalając się od pustyni.

–Marco jest tam, razem z Sophie – zapewniła Jakli Shana, jakby czytała w jego myślach. – On znajdzie twoich przyjaciół. Nikt lepiej od niego nie nadaje się do tego zadania. Zaprowadzi

ich w bezpieczne miejsce. Prawdopodobnie są już w drodze do jego chaty i śpiewają rosyjskie pieśni miłosne.

Pół godziny później dziewczyna zatrzymała ciężarówkę na skrzyżowaniu, gdzie kłębił się tłumek ludzi. W pobliżu stała buda, za którą, w otoczonej drutem zagrodzie, zamknięto stado kóz. Wysiedli i podeszli do zbiegowiska. Na skrzyżowaniu tłoczyły się przeszło dwa tuziny ludzi. Jedni znosili kamienie, inni siedzieli w skupieniu przed rosnącym kopczykiem głązów. Jeszcze inni słuchali mężczyzny, który przycupnął na grubym narożnym słupku ogrodzenia i opowiadał coś z wielkim ożywieniem. Podjechał do niego jakiś człowiek na koniu, by zapytać o święte miejsce. Mężczyzna na słupku wskazał kopiec, a przybysz zsiadł z konia, odwiązał przytroczone za siodłem skrzydło wielkiego ptaka i poszedł złożyć je wśród kamieni.

To była kapliczka. Na pamiątkę cudu, który się wydarzył. Ludzie klękali przed nią. Kamienie tworzyły wysmukłą, wysoką niemal na dwa i pół metra piramidę. Do wetkniętego w jej wierzchołek kija przywiązany był sznurek, którego drugi koniec umocowano do białego cztery metry dalej palika, do sznurka zaś przymocowany był płat tkaniny zapisany tybetańskim pismem. Flaga modlitewna. Shan patrzył na to wszystko zdezorientowany. Buddyści z gór przynosili flagi modlitewne. Kazachowie i Ujgurzy składali pióra, zwierzęce skóry i skrzydło ptaka.

Shan wszedł między podniecony tłum, zadając pytania. Poprzedniego dnia, późnym popołudniem, dwóch świętych ludzi z Tybetu przejeżdżało tędy na osłach i zatrzymało się na popas na rozdrożu. Razem z nimi przyszli nimi, dziewięć albo dziesięć osób, stare kobiety, małe dzieci, kulawy pasterz, niektórzy na koniach lub osłach, niektórzy pieszo. Jak pielgrzymka za dawnych czasów, powiedziała kobieta o siwych włosach.

Jeden ze świętych ludzi, ten w szacie buddyjskiego mnicha, rozmawiał ze wszystkimi, którzy z nimi szli, nawet z dziećmi. Drugi, którego oczy skrzyły się, gdy mówił, także ich słuchał, nie ich słów, ale ich ciał, niesłyszalnych dla innych słów wypowiedzianych przez ich ręce, nogi, żołądki. Jednym dawał zioła, innym doradzał ćwiczenia. Kobieta od dropków przyjechała konno z niemowlęciem, prosząc tego chudego w bordowej szacie, żeby nadał mu imię. W dawnych czasach, przypomniał sobie Shan,

Tybetańczycy zawsze prosili lamów o imiona dla swych dzieci. Potem ten w mniszej szacie wyznaczał podróże pokutne. Ta kobieta miała pójść zobaczyć się ze swym bratem, z którym nie rozmawiała od dziesięciu lat, ponieważ dał jej kulawego konia, tamta miała iść nad górskie jezioro i napić się z niego, a potem zbudować zimowe schronienie dla dzikich zwierząt. Kulawemu mężczyźnie nakazał medytować przy śpiących źrebakach.

–Synshy – oświadczył z miną znawcy mężczyzna, który właśnie przyjechał na koniu. – Ten człowiek w mniszej szacie był zaklinaczem koni – wyjaśnił i kilka osób w tłumie znacząco pokiwało głowami.

Ale to jeszcze nie był cud, powiedział mężczyzna na słupie. Cud zdarzył się później, kiedy przybyli pałkarze. Shan gwałtownie uniósł głowę. Chłód ogarnął mu wnętrzności. Tylko troje młodych pałkarzy, dwóch mężczyzn i kobieta, w małym samochodzie. Pewnie wysłano ich na poszukiwanie świętych ludzi. Dwóch pałkarzy stanęło na straży z karabinami, a ta kobieta rozmawiała z podnieceniem przez radio.

Ludzie wpadli w gniew i powiedzieli pałkarzom, że powinni się zająć szukaniem zabójców dzieci, a nie ściganiem starców. Wtedy pałkarze wyjęli kajdanki, a ktoś z tłumu rzucił w jednego z nich kamieniem. Tamci przeładowali broń i jeden zaczął strzelać w powietrze, kilka strzałów, seria. Człowiek w mniszej szacie – Gendun – zasłonił wtedy uszy, a kiedy strzały ucichły, opuścił ręce i zapytał pałkarza, czy skończył. Bardzo utrudniasz rozmowę, powiedział zupełnie poważnie, a ten Chińczyk zrobił zakłopotaną minę i przeprosił.

Potem Gendun stanął przed pałkarzem, którego uderzono kamieniem, i powiedział ludziom, żeby nie robili krzywdy młodym żołnierzom. Szepnął coś do Lokesha, a Lokesh wziął kajdanki i założył je Gendunowi, Gendun zaś nałożył drugą parę jemu. Potem lama poprosił pałkarzy, żeby usiedli z nimi na chwilę i przyjęli poczęstunek. Dwoje z pałkarzy zrobiło to, a Gendun wypowiedział modlitwę, podczas gdy jeden z pasterzy rozdawał kawałki chleba nan. Lama zapytał pałkarzy o ich imiona i powiedział, że pałkarka ma silną twarz i byłaby dobrą żoną dla pasterza. Ludzie roześmiali się.

Ale nawet to nie było jeszcze cudem, oświadczył dramatycznie mężczyzna na słupie. Prawdziwy cud zdarzył się potem, kiedy nadjechała limuzyna i wysiadła z niej Nefrytowa Dziwka. Ludzie zadrżeli ze strachu, niektórzy puciekali. Prokuratorka stała w milczeniu, patrząc na Tybetańczyków i na pałkarzy. Gendun podszedł do niej w kajdankach, uśmiechając się, a ona wpatrywała się w niego długo, jak w transie. Potem porozmawiała przez radio i powiedziała pałkarzom, żeby odeszli, żeby uwolnili tych ludzi i odeszli. Pałkarka zaprotestowała, ale prokuratorka wrzasnęła na nią. Zanim pałkarze odjechali, kazała im oddać jej kajdanki, którymi byli skuci Tybetańczycy. Ludzie myśleli, że ona zamierza sama ich zabrać, zawieźć do swego obozu u stóp gór. Ale Nefrytowa Dziwka podeszła do nich, upuściła kajdanki u ich stóp i odjechała. I to właśnie był cud.

Kajdanki spoczywały pod kopcem, w miejscu, w którym upadły.

Shan spojrział w milczeniu na kopiec, a potem na Jakli.

–Ona po prostu nie chce dzielić się nimi z pałkarzami -stwierdziła dziewczyna. – Chce mieć ich tylko dla siebie, tak żeby pałkarze nie wiedzieli.

–Sam nie wiem – odparł Shan, znów wpatrując się w kopiec. – Czasem cuda naprawdę się zdarzają. – Poszedł poszukać kamienia do kopca, po czym zapytał mężczyznę na słupie, co było dalej. Nadeszła noc, powiedział mężczyzna. Rozpalili ognisko i rozmawiali pod gwiazdami. Ale kiedy wzeszło słońce, świętych ludzi nie było już wśród nich.

Shan spojrział w stronę pustyni. Za kilka godzin znów nastanie noc i przyniesie z sobą ziąb.

–Oni nie mają nawet kompasu – jęknęła Jakli.

–Mają – uspokoił ją Shan. – Po prostu inny niż te, którymi my umiemy się posługiwać.

–Marco i Sophie są już przy Studni – stwierdziła Jakli, ale w jej głosie nie było pewności. – Sophie ich znajdzie. Wyczuje ich. Marco pewnie pojechał do Karaczuku. Być może pomaga mu teraz Osman. I Nikki – dodała cicho.

Lecz pół godziny później, gdy wjechali do następnej wioski, Marco i Sophie stali na środku ulicy otoczeni przez żołnierzy bezpieczeństwa.

Jakli zaparkowała ciężarówkę za jednym z domów i oboje wyjrzeni zza rogu. Wioska była opanowana przez pałkarzy. Ustawili na placu posterunek kontrolny i sprawdzali dokumenty wszystkich przebywających w wiosce oraz przejeżdżających szosą. Przed stołem, przy którym trzech oficerów przeglądało dokumenty i przybijało stemple na dłoniach tych, którzy przeszli kontrolę, stało w kolejce przeszło sto osób. Dwóch pałkarzy z karabinami stało w drzwiach tęponosego szarego autobusu o zakratowanych oknach. Spoza krat wyglądało pół tuzina smętnych twarzy. Za autobusem stała szara wojskowa ciężarówka, a pięćdziesiąt metrów dalej czerwona furgonetka, w której siedziało dwóch mężczyzn. Brygada obserwowała. Obserwowała nie tłum, lecz pałkarzy.

Jakli gorączkowo przepatrywała twarze stojących w kolejce. Niepokojnie zerknęła w tył na Shana i znów zaczęła się rozglądać po ludziach. Spostrzegłszy przechodzącą obok nastolatkę, westchnęła z wyraźną ulgą. Wciągnęła dziewczynę za róg i coś do niej natarczywie wyszeptała. Ujęła jej dłoń i obejrzała uważnie przybitą tam przez pałkarzy pieczęć, czerwony krąg z pięciu gwiazd. Porozmawiały jeszcze przez chwilę, po czym dziewczyna oddaliła się szybkim krokiem, a Jakli zaciągnęła Shana do kolejki.

Zapytała stojącego przed nimi mężczyznę, co złego zrobił ów Eluosi z pięknym wielbłądem. To Marco Miagow, oświadczył z podziwem zagadnięty, że swą srebrną szybkobiegaczką. Marco, wyjaśnił, nie zrobił nic poza tym, że nie zgodził się zostawić swej wielbłądzicy, podczas gdy sam będzie stał w kolejce, więc oficer kazał mu czekać, aż załatwią się ze wszystkimi pozostałymi. Gdy mężczyzna mówił, wielbłądzica cicho parsknęła. Patrzyła prosto na Jakli i Shana, przekrzywiając głowę, jakby chciała się do nich odezwać. Marco przeniósł wzrok, kierując się jej spojrzeniem. Zauważywszy ich, zmarszczył lekko brwi i szybko spojrzał w inną stronę.

Shan przyglądał się oficerom siedzącym przy stole. Patrzyli najpierw na twarz, potem na dokumenty. Kobieta z dziećmi została odprawiona skinieniem głowy po krótkim rzucie oka w papiery. Potem tak samo przepuszczono Chińczyka. Równie szybko przeszedł pewien starszy człowiek, potem następny. Pałkarze

szukali kogoś konkretnego. Nie Chińczyka. Mężczyzny, ale nie starca. Shan mógł liczyć jedynie na to, że szybko go znajdą, bo w przeciwnym razie on sam trafi do autobusu, jako jeszcze jeden podejrzany obywatel schwytany podczas kontroli.

Nagle na czele kolejki powstało zamieszanie. Jeden z oficerów stał, nakazując jakiemuś mężczyźnie, żeby zdjął czapkę z głowy. Odciągnął go na bok i zadawał mu pytania, podczas gdy dwaj pozostali uważnie przeglądali jego dokumenty.

–Kto to jest? – zapytał cicho Shan.

Jakli ponownie zwróciła się do mężczyzny na przedzie.

–On nie wie. Jakiś Tadżyk. To dobrze. Potrzebujemy czasu.

Na co? pomyślał Shan. Na kolejny cud?

Znaleźli się teraz obok Marca. Eluosi śpiewał jedną ze swoich piosenek, po kazachsku, wzbudzając salwy śmiechu u słuchaczy.

Shan zapytał Jakli, co też on śpiewa. Dziewczyna słuchała przez chwilę i zarumieniła się.

–To o wielbłądach. O tym, jak wielbłądy próbują się kochać i mają problemy z garbami. – Wydała kolejne westchnienie ulgi.

Shan spojrzał tam gdzie ona i dostrzegł postać kryjącą się w cieniu zaułka wychodzącego na ulicę trzy metry od miejsca, w którym stał Marco. Eluosi także zauważył tę postać. Ukradkiem mrugnął do Jakli, po czym szepnął coś do ucha Sophie i wypuścił cugle.

Srebrna wielbłądzica wydała rozdzierający uszy ryk i rzuciła się w kolejkę, roztrącając stojących najbliżej. Marco krzyknął za nią, potem zawołał, żeby ktoś ją złapał. Ponad dwadzieścia osób ruszyło w pościg, wliczając w to człowieka z zaułka, który krzycząc na wielbłądzicę, wbiegł prosto na Shana oraz Jakli i powalił ich na ziemię. Kilka rąk pochwyciło Shana. Coś wilgotnego dotknęło jego dłoni. Na głowę wciśnięto mu czapkę. Gdy tylko znów stanął na nogach, Jakli wciągnęła go w ścigający Sophie tłum. Chwilę później wielbłądzica uspokoiła się pod rękoma starego Kazacha, który odprowadził ją do Marca. Jakli wepchnęła Shana w cień bramy. Spojrzał na swoją dłoń. Widniał na niej krąg pięciu czerwonych gwiazd. Obeszli plac, jak gdyby nigdy nic pokazując swe pieczęcie mijanym pałkarzom.

Oficerowie przy stole wybrali sobie kolejną ofiarę.

–Zapytaj kogoś, czy to też jest Tadżyk – szepnął Shan.

Tak, potwierdziła niemal bezzębna stara kobieta. Shanowi znów przebiegł dreszcz po plecach. Mimo gorączkowego pośpiechu, z jakim Bao ścigał wywrotowców, ni stąd, ni zowąd Urząd Bezpieczeństwa poszukiwał Tadżyka.

–Ci głupcy nie wiedzą, że Tadżycy poszli do Yoktianu – dodała starowina. – Dyrektor Ko rozdaje im nowe ubrania, amerykańskie dżinsy. Specjalny wyraz uznania za społeczny wkład Tadżyków.

Odciągany przez Jakli w cień na skraju ulicy, Shan wpatrywał się w staruszkę, nic nie rozumiejąc. Brygada nie tylko przyglądała się, kogo wyłapują pałkarze, ale i na własną rękę usiłowała zwabić Tadżyków do miasta. Aby przekazać ich pałkarzom, zastanawiał się, czy aby nie dopuścić do schwytania ich przez pałkarzy? A przynajmniej nie dopuścić do schwytania pewnego konkretnego Tadżyka.

Jakli kupiła dwie butelki oranżady od handlarza, który rozłożył swój towar na dywanie na rogu placu, i oboje z Shanem usiedli pod ścianą budynku, obserwując pałkarzy jak niemal wszyscy mieszkańcy wioski. Po trzydziestu minutach kolejka została załatwiona i do stołu przyprowadzono Marca wraz z Sophie. Mieszkańcy wsi stłoczyli się dookoła, jak gdyby oczekując rozrywki. Ale Marco patrzył prosto przed siebie i odpowiadał na pytania cichym, pełnym szacunku głosem. Miał dokumenty. Jednak gdy kontrola dobiegła końca, oficer stanął przed Sophie, z twarzą pół metra od jej nosa, i rozpoczął głośnie kazanie o tym, jak jest niezdyscyplinowana, o tym, że zwierzęta pracujące dla ludu powinny szanować lud, że zmarnowała cenny czas Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Shan przed trzydziestu laty trafił na tamzing, na którym rozwścieczony czerwonogwardzista oskarżał konia, który zbyt powoli ciągnąc wóz, zatarasował mu drogę na moście, i zastanawiał się z roztargnieniem, czy nie jest to ten sam człowiek.

Skończywszy przemowę, oficer stał jeszcze przez chwilę, patrząc wściekle na Sophie. Wielbłądzica przekrzywiła głowę, przyglądając mu się z uwagą, wyciągnęła łeb i parsknęła ni to z rżeniem, ni to z rykiem, opryskując pałkarza śliną.

Tłum wybuchnął śmiechem, jednak ani Marco, ani oficer nie przyłączyli się do ogólnej wesołości. Eluosi zaczął popędzać Sophie do odejścia, ale pałkarz wyciągnął pistolet i wycelował w jej głowę. Shan z przerażeniem spostrzegł, że Marco wolno sięga pod płaszcz. Tłum w jednej chwili spoważniał, zdjęty grozą.

Gdy rozległ się huk wystrzału, Shan gwałtownie odwrócił głowę w odruchu, którego nauczyły go wszystkie słyszane dotychczas pistolety pałkarzy – te z publicznych egzekucji w Pekinie, gdzie siedzący najbliżej byli opryskiwani krwią i mózgiem ofiar, oraz te z obozu pracy, gdzie trzykrotnie był świadkiem, jak strażnicy strzelali do spokojnie, wyzywająco recytujących mantry mnichów.

Ale strzał dobiegł z tyłu, uświadomił sobie nagle, od strony autobusu, gdzie inny oficer stał z pistoletem wymierzonym w powietrze. Pałkarz celujący w Sophie skrzywił się z niezadowoleniem, lecz opuścił pistolet, a ten, który wystrzelił ostrzegawczo, podszedł bliżej. Miał tak samo lodowate spojrzenie jak jego kolega, ale więcej siwizny we włosach. Wpatrywał się w Marca przez długą chwilę, po czym ceremonialnie podniósł ze stołu pieczęć i odcisnął na nosie Sophie pierścień z czerwonych gwiazd.

Pałkarze wsiedli do ciężarówek i w ciągu pięciu minut zniknęli z placu wraz z autobusem. Pojechali w stronę szosy kaszgarskiej. Parę chwil później ich śladem ruszyła furgonetka Brygady.

Shan i Jakli dołączyli do Marca przy poidle dla zwierząt, gdzie Sophie gasiła pragnienie, a on zmywał czerwony tusz.

–Cztery godziny. Cztery godziny poszły w diabły – zrzędził.

Shan tęsknie odprowadził wzrokiem Eluosiego i Sophie, zmierzającą żywym kłusem ku Takla Makan. Tknięty nagłą myślą, odwrócił się do Jakli.

–Ten Tadżyk, Kopyto, stanowi klucz do zagadki. Musimy go znaleźć, zanim zrobi to Ko lub pałkarze.

Ich krępe, silne konie godzinami pięły się pod górę, podążając za nastoletnią dziewczyną z obozowiska, w którym zostawili ciężarówkę. Jechali ostro, zmuszając wierzchowce do najwyższego

wysiłku. Oczy dziewczyny nieustannie śledziły szlak, gdzie konie mogły się poślizgnąć na nie dość wcześnie widocznych placach lodu, oraz niebo, gdzie w każdej chwili mógł zmaterializować się, z jeszcze gorszym skutkiem, helikopter. Dwa razy zatrzymali się w małych pasterskich obozach, w których Shan i Jakli zmieniali wierzchowce. Żaden z pasterzy nie protestował. W pierwszym obozie dziewczyna powiedziała, że to dla ginących chłopców z zheli, i natychmiast dostali konie oraz czarkę herbaty. W drugim ktoś opowiadał o świętych ludziach i kiedy Jakli wspomniała, że Shan jest z nimi, dano im konie, nim jeszcze zdążyli o nie poprosić.

Wreszcie przybyli do samotnej jurty położonej tak wysoko, że jej mieszkańcy czerpali wodę ze strumyka spływającego z małego pola lodowego rozpoczynającego się sto, może dwieście metrów nad obozem. Przy ognisku przed jurtą siedziała kobieta w średnim wieku ubrana w brudny czerwony fartuch. Nawlekała na sznurek

bryłki wysuszonego w słońcu sera. Obok niej stał mały, najwyżej sześciolatek chłopczyk. Dzieciak, osłonięty przed wiatrem przez filcową ścianę jurty, metodycznie ubijał masło w maselnicy. Kobieta skinęła głową na powitanie, po czym odłamała róg kostki czarnej herbaty i wrzuciła go do stojącego przy ogniu czajnika. Jej twarz była przyjazna, lecz smutna, i Shan przypomniał sobie dlaczego. To był obóz wuja Osmana, któremu zmarł niedawno z gorączki jeden z synów.

Kobieta naląła im herbaty i wyjaśniła, że pasterze wrócą o zachodzie słońca, po czym wskazała im wysoką stertę poduszek i kocy w głębi jurty. Shan czuł się śmiertelnie zmęczony i wiedział, że widać to po nim.

Ze snu wyrwał go chór beczących owiec. Różowofioletowa luna nad wznoszącymi się na zachodzie szczytami była wszystkim, co pozostało ze światła dnia. Płonęło ognisko. Siedział przy nim w kucki siwowłosa mężczyzna z blaszanym kubkiem herbaty. Owce były wszędzie. Jurta wyglądała jak wyspa w morzu owiec. Wypatrzył jakieś dwie postacie w grubych ciemnych chu-bach, torujące sobie drogę wśród zwierząt. Jedna, starsza kobieta, szła w stronę ogniska. Druga, mężczyzna w czarnej wołkowej czapie, trzymała się na uboczu, przysiadłszy na skale w towarzystwie ogromnego mastiffa.

Psów, jak wkrótce spostrzegł, było więcej. Dwa mastiffy, jeden z głową wspartą na grzbiecie drugiego, leżały obok ogniska, podejrzliwie śledząc go wzrokiem, gdy podchodził do ognia. Spod brzuchów owiec wyczołgał się mniejszy, biały pies, który wbiegł do jurty. Kiedy Jakli i ich przewodniczka obudziły się, wszyscy zjedli po misce jogurtu z chlebem nan i jakimś suszonym mięsem. Gospodarze kiwali uprzejmie głowami, lecz odzywali się częściej do swoich psów niż do gości. Jakli wyjęła z torby paczkę twardych okrągłych cukierków, które zostały przyjęte z entuzjazmem i puszczane w koło. Wreszcie, gdy głód najwyraźniej przeważył nad strachem, mężczyzna w czarnej czapie zbliżył się do ognia.

Shan nie był pewny, czy pozna nadchodzącego, ale gdy tylko Tadżyk wkroczył w krąg światła, przypomniał sobie, jak ten człowiek rzucił się na niego. Poznał oczy, które patrzyły dziko, gdy mężczyzna okładał pięściami jego pierś.

–Przyszliśmy porozmawiać z tobą, Kopyto – powiedziała Jakli.

Tadżyk chrząknął tylko i wziął z rąk kobiety miskę jogurtu.

–On zna się na owcach – oświadczyła kobieta, jakby Kopyto potrzebował obrony. – Większość psów go lubi. – Gdy rozpoczęli posiłek, pojawiło się jeszcze więcej psów. Shan naliczył siedem i zastanawiał się, ile jeszcze może się ukrywać w mroku.

Jeśli pasterzom brakowało dzieci, przypuszczali do rodziny swoje psy.

Shan nie przywiązywał większej wagi do tego, że Kopyto usiadł obok niego. Ale gdy Tadżyk łapczywie pochłaniał swoją porcję, Shan zauważył, jak nerwowo spogląda na Jakli. Kobieta rozlała im do czarek resztkę herbaty i pięć minut później, odwróciwszy głowę od wschodzącego księżyca, Shan stwierdził, że przy ognisku siedzą z nim już tylko Kopyto i Jakli.

–To straszliwe odludzie – zauważył.

–Mają tu radio – odparł Kopyto – do słuchania muzyki. – Wzruszył ramionami. – Z reguły nie działa.

Jakli wstała, żeby wepchnąć patyk do ognia. Shan spostrzegł, że Kopyto napiął mięśnie, gdy się poruszyła, jakby sądził, że dziewczyna chce go uderzyć.

–Wydaje się, jakby wieki minęły od tamtego spotkania w Karaczuku – powiedział Shan.

–Prawda – westchnął Kopyto i uniósł wzrok. – Przyszedłem prosto tutaj, tak jak kazał Marco – dodał pośpiesznie.

–Nie jesteście tu z powodu Marca.

To oświadczenie najwyraźniej zbiło Tadżyka z tropu. Zmarszczył brwi i przez chwilę wpatrywał się w ogień. Mruknął coś, czego Shan nie zrozumiał, i jeden z mastiffów podszedł do niego i usiadł obok, obserwując Shana i Jakli.

–Życie w Xinjiang jest ciężkie – zauważył Shan z westchnieniem. – Ludzie muszą robić wiele rzeczy, na które nie mają ochoty. Gdybyśmy mieli wybór, nie robilibyśmy tego, nie ranilibyśmy innych.

–Kiedy byłem mały – odezwał się Kopyto nerwowym, piskliwym głosem – mój ojciec miał stado owiec. Ale władze zabrały mu je, powiedziały, że nie wolno mieć prywatnej własności. Teraz można mieć prywatną własność, ale ja nie mam swoich owiec. Ktoś inny je ma. Szukałem ich, na targowisku, ale nie widziałem ich nigdzie. – Mówił powoli, z zakłopotaniem. To nie był ten sam bezczelny człowiek, którego Shan widział w Karaczuku. – Pytałem jednego Chińczyka w mieście. Parsknął śmiechem i powiedział, że pewnie trafiły do Pekinu, na stół Przewodniczącego.

Zahukała sowa.

–W zeszłym roku umarła mi matka, ale ona mieszkała w Tadżykistanie – ciągnął ponuro. – Nie chcieli dać mi papierów, żebym mógł ją pochować.

Papiery. Kopyto miał na myśli zezwolenie na podróż, na przekroczenie granicy.

–Chcesz powiedzieć, że pojechałeś z Markiem?

–Pojechał mój brat. Nie z Markiem – odparł Tadżyk, zerkając na Jakli. – Z małym Marca. Chciałem mu dać pieniądze na podróż, ale mały Marca zapłacił mu, bo dobrze sobie radził ze zwierzętami.

–Nikki – szepnęła wzruszona Jakli. Spojrzała na Shana z uśmiechem.

–Właśnie – przytaknął Kopyto. – Nikki. – Spojrzał na dziewczynę i przekrzywił głowę, jakby coś sobie przypomniał. – Zapłacił mojemu bratu za udział w następnych karawanach. Lubię tego Nikkiego. On umie się śmiać.

Jakli znów się uśmiechnęła i pogłaskała po głowie psa Tadżyka.

–Ale potem ktoś cię o to pytał – podsunął Shan. – Ktoś w mundurze. – Jeśli Kopyto wykradał z Karaczuku informacje o Amerykanach, musiał to robić dla Bao.

–Nie w mundurze – odparł pośpiesznie Kopyto, jak gdyby bardzo mu zależało na wyprowadzeniu Shana z błędu. – To znaczy nie od razu. Nie zrobiłbym tego, gdybym od początku wiedział, kim on jest. Myślałem, że to handlarz, który szuka zachodnich towarów. Byłem na targu w Yoktianie. On chciał się po prostu dowiedzieć, jak się wydostać, jak paru jego przyjaciół mogłoby bezpiecznie przejść granicę. Piliśmy razem. Chodziliśmy po targu. Dał mi nowe buty, po prostu dlatego, że je zobaczyłem i spodobały mi się. Powiedział, że jeśli zostaniemy dobrymi przyjaciółmi, to może będzie mógł mi załatwić parę owiec. A może nawet zdobyć dla mnie pracę. Nigdy nie miałem przyjaciela Chińczyka. Pomyślałem sobie, że chyba powinienem mieć. Pomyślałem, że trzeba go mieć – dodał, patrząc na Shana, jakby szukał u niego

potwierdzenia – jeśli człowiek chce, żeby mu się powodziło w naszym świecie. – Shan przypomniał sobie, jak podczas ich pierwszego spotkania Kopyto, chcąc mu zaimponować, przechwalał się, że ma przyjaciół wśród Chińczyków.

–Ale później odkryłeś, że to pałkarz w przebraniu – zaryzykował Shan.

–I to ważny – dodał Kopyto z udręką na twarzy. – Oficer. Nie miałem pojęcia, póki nie przyszedł kiedyś w mundurze na nasze spotkanie.

–Bao Kangmei? – zapytał Shan. Kopyto spojrzał na niego z zaskoczeniem.

–Nie ten sukinsyn. Inny. Taki chudy, z ospowatą twarzą.

Sui. Kopyto został zwerbowany przez Sui.

Tadżyk spojrzał w ogień.

–Znałem już kiedyś jednego pałkarza. Był właścicielem stacji benzynowej, kiedy własność prywatna była już dozwolona. Powiedział, że wszystkie samochody pałkarzy mają przyjeżdżać po benzynę do niego.

–Jednak później ten oficer chciał innych rzeczy – podsunął Shan. – Chciał wiedzieć o Lau i o ludziach związanych z Lau. O cudzoziemcach.

Kopyto wzruszył ramionami.

–Powiedział, że ma zamiar odejść z bezpieczki, zabrać się do interesów. Interesy to sprawa międzynarodowa. Jasne, że potrzebował kontaktu z cudzoziemcami. Zwłaszcza z Amerykanami. On naprawdę chciał spotkać Amerykanów i zobaczyć rzeczy, które robią. Przyniosłem mu kiedyś z Karaczuku puszkę

po amerykańskim napoju, a on zapłacił mi więcej pieniędzy, niż zarabiam przez miesiąc, pasąc owce. Za pustą puszkę – powtórzył z niedowierzaniem.

Owce spały już, rozłożone wokół obozu niczym miękki szary dywan pod księżycem. Za nimi jeden z mastiffów siedział wyprostowany na skale, wpatrując się w mroczną dal.

–Więc zaniósłeś mu więcej rzeczy od Amerykanów.

–Niewiele. Ty mi przeszkodziłeś.

–Ale potem opuściłeś Karaczuk. Tej samej nocy. Zamierzałeś odejść tak czy inaczej, kiedy Marco wysłał cię tutaj. Zamierzałeś spotkać się ze swym przyjacielem pałkarzem.

Kopyto skinął głową.

–Przyszło ich dwóch. Pałkarz i jeszcze jeden, w ciemnych okularach, choć było już po zachodzie słońca. Czekali na mnie w czerwonym samochodzie, pijąc piwo. Ten w okularach zabrał mnie na przejażdżkę samochodem, a pałkarz usiadł na kamieniu i pił dalej. Po drodze ten okularnik powiedział, że może mi pomóc. Powiedział, że będzie moim nowym przyjacielem, i dał mi pieniądze, za nic. Zapytał mnie, czego chcę najbardziej. Powiedziałem, że owiec, a on na to, że nie ma sprawy. – Spojrzał na Shana. – Jeśli on załatwi mi paręnaście owiec, na wiosnę będziemy mogli z bratem założyć własny obóz. Mój brat musi

poznać mojego nowego przyjaciela. Nie pracuj dla pałkarzy, powiedziałem mu. Oni nie płacą aż tyle.

Powietrze jakby się ochłodziło. Kopyto pracował teraz dla Brygady. Shan przysunął się bliżej ognia.

–Więc tej nocy, kiedy odszedłeś – powiedział – widziałeś ich obu. Swojego przyjaciela, który jeździ czerwonym samochodem. Koło szosy. Późno.

–Mój nowy przyjaciel powiedział, że ma mało czasu. Ale dodał, że chce, żebym się czemuś przyjrzał. Powiedział, że to właśnie przytrafia się ludziom, którzy próbują wyrolować cię w interesach. Ten pałkarz z ospowatą twarzą po prostu stał, uśmiechając się, jakby to był tylko żart, że tamten wycelował w niego pistolet. Ale bach, ten z czerwonym samochodem po prostu nacisnął spust. Strzelił w serce, dwa razy. Uciekłem. Przyszedłem tutaj, bo Marco tak mi kazał.

Shan patrzył w ogień. Kopyto był świadkiem, widział, jak Ko Yonghong strzela do człowieka z ospowatą twarzą, do porucznika Sui. Potem zniknął, co zaniepokoiło Ko. Chciał dostać go w swoje ręce. Ale tego samego chciał Bao. Mając Kopyto po swojej stronie, Bao mógł zniszczyć Ko. Jak jednak dowiedział się o tym?

Nagle pies poderwał się i zaczął szczeekać w mrok po północnej stronie obozu. Jakli jęknęła, wskazując coś palcem. W oddali, na horyzoncie, niebo rozświetliły dwie smugi jaskrawobiałego światła.

–Race – mruknął Kopyto. – Ostatnio często je widzujemy.

–Race? – zapytał Shan. – Czyje?

–Pałkarzy. Oni lubią czasem urządzać poszukiwania nocami, zaskakiwać ludzi.

Patrząc na blednące smugi na niebie, Shan przypomniał sobie, co mówiła dropka: że demon porzucił Altę, gdyż błyskawica wezwała go z powrotem. Tak właśnie demony porozumiewają się ze sobą, powiedziała. Miała rację, pomyślał smutno. Tak właśnie demony porozumiewają się ze sobą. Ale jeśli zabójca Alty został odwołany przez Sui, jeśli pracował dla Sui, dlaczego przeklinał go, kiedy zobaczył race? Być może dlatego, że nie skończył z chłopcem. Dlatego, że Alta wciąż żył.

Długo milczeli, wpatrując się w ciemność, gdzie rozbłysły race.

–Zanim tutaj przyszedłeś – odezwał się wreszcie Shan – widziałeś się z bratem, prawda?

–Po drodze. Uprzedziłem go, że odchodzę na długo, w ukryte miejsce. Ale chciałem mu opowiedzieć o moich nowych interesach, o tym, jak możemy zdobyć owce. Niezłe pieniądze, kiedy już tu skończę – odparł Kopyto. – Po prostu współpracuj z nimi, powiedziałem mu, albo skończysz jak ten Chińczyk.

Ale Bao, uświadomił sobie z przerażeniem Shan, prowadził już interesy z bratem Kopyta. Nie pracuj dla pałkarzy, powiedział bratu Kopyto. Oni nie płacą aż tyle. To dzięki temu Bao się dowiedział, że Ko zamordował Sui. To dzięki temu wyłudził od Ko jego lśniący nowy samochód, ujawniając mu, co usłyszał o śmierci Sui. Bao uczył się zasad nowej gospodarki. Ko zabił Sui, ale teraz miał nowego rywala. A gdyby Bao znalazł Kopyto, gdyby mógł przedstawić świadka zamordowania Sui, mógłby zniszczyć Ko, mógłby zagarnąć cały zysk z polowania na głowy zheli. Tadzyk westchnął.

–Biznes to twarda sprawa – zauważył. Patrzył przez chwilę na Jakli, jakby miał jej coś do powiedzenia, w końcu jednak odwrócił wzrok. – Chciałem tylko pochować moją matkę – powiedział do ognia.

Rano Jakli nie było w obozie. Nie powiedziała nic, nie zostawiła żadnej wiadomości, kazała jedynie ich przewodniczce przekazać Shanowi, że spotka się z nim podczas Nadamu. Wszyscy wiedzą, że Jakli przyjedzie na Nadam, dodała z podnieceniem mała Kazaszka, bo przecież jej ślub ma być głównym wydarzeniem święta. Ale nie wszyscy wiedzieli, że potem Jakli odejdzie, że zacznie nowe życie.

A początki zawsze budowane są na końcach, powiedział kiedyś Shanowi pewien lama.

Shan opisał wysokie urwisko oraz łąkę po drugiej stronie szosy i zapytał dziewczynę, czy może go tam zabrać.

–To niedaleko – powiedziała. – Może ze dwie godziny drogi.

Jechali ostro, dopóki nie dotarli do szosy, a potem wolniej już posuwali się wzdłuż niej, aż znaleźli miejsce, gdzie Jakli złożyła kwiaty w dniu, w którym wiozła go do Senge Drak.

Podziękował dziewczynie, po czym odszukał ścieżkę prowadzącą na szczyt urwiska i pół godziny później dotarł na mały występ, z którego otwierał się widok na szosę. Zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa.

Była tu. Klęczała przy niskim, szerokim kopcu ziemi, na którym kwitły jesienne astry. Zerwał gałązkę czerwonego wrzosu i upuścił ją na kopiec obok niej.

Uśmiechnęła się przez łzy.

–Wielki detektyw – stwierdziła na powitanie.

–Martwiłem się o ciebie.

–Skoro ty i Marco obaj troszczyście się o mnie, jak mogłoby mi się stać coś złego? – zapytała i zaczęła wyciągać zeschnięte liście, które zaplątały się między kwiaty. – Mój stryjeczny dziadek, ten, który był synshy, zaklinaczem koni, mówił mi, że konie mają dusze, które wędrują po śmierci. Że mogą wcielić się w innego konia, daleko stąd.

Shan zrozumiał.

–Nawet w Ameryce – podsunął.

Jakli skinęła głową i nadal oczyszczała grób swego konia, konia, który już tak dawno zginął z rąk żołnierzy. Nie miała nikogo innego, jak więc inaczej mogła się pożegnać. Jej ojciec zniknął, jej klan przestawał istnieć. Tak właśnie chciała to

zakończyć, zostawić za sobą dawne życie.

–Mój dziadek synshy jeździł na ogierze, kiedy miał już prawie pięćdziesiąt lat, a koń niemal trzydzieści pięć. Gdy jego koń umarł, on uparł się, że pochowa go sam, zupełnie sam. Kopał przez dwa dni. Wielki dół, obok zwłok, tak jak ja tutaj, żeby mogły same zsunąć się do środka. Ale w ostatniej chwili ziemia się obsunęła i koń spadł na niego. Zabił go. Moja ciotka powiedziała, żeby zostawić go tam, że słusznie jest, żeby obaj spoczęli w tym samym grobie. Na pogrzebie mój ojciec powie dział, że Zhylkhyshy Ata, bóg koni, wezwał mojego dziadka do pracy przy swych stadach w niebie.

Gdy Shan spojrział w jej oczy, nie dostrzegł w nich smutku, ale niepewność.

–Czuję się, jakbym po prostu porzucała ich wszystkich. Jakbym myślała tylko o sobie.

–Klan Czerwonego Głazu też odchodzi.

–Mam na myśli wszystkich Kazachów. Mao, a także purbów. Spójrz, ile Amerykanie poświęcili, żeby tu przyjechać i pomagać nam. A tymczasem ja robię zupełnie na odwrót.

–Ty nie uciekasz – zauważył Shan, ale dziewczyna nie odpowiedziała. Uklęknął, by pomóc jej czyścić grób.

Gdy skończyli, podziękowała mu i poprosiła, żeby odszedł. Usłuchał, ale dopiero kiedy mu przyrzekła, że pójdzie zobaczyć swoją suknię ślubną.

–Tylko jeśli ty obiecasz, że tam będziesz – odparła z dawną figlarnością w oczach. – Jedź do miasta. Znajdź Woła Mao, on zabierze cię na Nadam. To dobry Kazach.

–Nie mogę. Muszę porozmawiać z chłopcami o Micahu. Musimy go znaleźć, upewnić się, że jest bezpieczny.

–Jest bezpieczny. Jeśli jego zastępcza rodzina się ukrywa, żaden pałkarz nigdy go nie znajdzie. I Marco – dodała, znów poważniejąc. – Marco przyjedzie na Nadam z Lokeshem i twoim lamą. Albo będzie wiedział, gdzie musi pójść z Mao, żeby ich uwolnić.

Shan znalazł barczystego Kazacha w restauracji, ale nie od razu kazał mu się zaprowadzić na święto koni. Poprosił go, żeby narysował mu mapę, po czym ruszył ku obrzeżom miasta, trzymając się cienia, uważając na sztylpy, od czasu do czasu kryjąc się w bramach, gdy wiatr chłostał go piaskiem po policzkach tak mocno, że aż szczypało.

Klinika Ludowa w Yoktianie była odrapanym parterowym budynkiem z cegły mułowej krytym blachą falistą, wyróżniającym się spośród innych stojącym przed drzwiami wejściowymi samochodem o zatartych emblematkach karetki. Samochód wyglądał na porzucony. Opony były sflaczałe, karoseria przeżarta rdzą. Siedziała w nim bawiąca się kierownicą mała dziewczynka, która na widok Shana dała nurka pod deskę rozdzielczą.

Kiedy przekroczył próg, odniósł wrażenie, że klinika została opuszczona. Nim zamknął drzwi, podmuch wiatru poruszył leżącą na podłodze holu warstwę piasku, a drzemiący na środku wychudzony pies uniósł wzrok, po czym znów przymknął oczy. Od holu w obie strony odchodziły korytarze, ten po lewej chroniły podwójne drzwi z gumowymi uszczelkami.

Gdy je otworzył, uderzyła go gryząca woń amoniaku, a szorującą podłogę siwowłosa kobieta, jedyna osoba na korytarzu, uniosła wzrok i kurczowo chwyciła obiema rękami myjkę, jakby się bała, że Shan jej ją wyrwie. Ruszył ostrożnie korytarzem, zerkając do każdego pomieszczenia w poszukiwaniu drzwi z zamkiem. W sześciu z dziesięciu sal w tym skrzydle ktoś leżał, w tym śpiąca pielęgniarka, żadne drzwi jednak nie miały zamków.

To, czego szukał, znalazł w drugim korytarzu: drzwi z zamkiem prowadzące do małej sali z pół tuzinem łóżek. Pchnął i drzwi się otworzyły. Tylko jedno łóżko, w głębi pomieszczenia, było zajęte. Przywiązano do niego starego nadzorcę strumieni. Jeden koniec długiego bandaża elastycznego, jakim zwykle usztywnia się skręcone stawy, został zasupłany wokół poręczy. Drugim końcem skrępowano ciasno przeguby rąk lamy. Nadzorca strumieni naciągnął bandaż na tyle, by dosięgnąć podłogi, gdzie siedział w pozycji lotosu. Lama nie medytował, zorientował się Shan, ale wpatrywał się z zaciekawieniem w znajdujące się dwa metry dalej, zamknięte na kłódkę okno.

Starzec tylko skinął głową, gdy Shan usiadł obok niego, jakby się go spodziewał, po czym uniósł związane ręce w stronę okna.

–Przy odpowiednim wietrze – odezwał się chrapliwie – przez górny róg wpada drobny strumyk piasku. – Nie odrywając wzroku od okna, pokiwał głową. – Gdyby nikt tego nie ruszał, po kilku miesiącach na moim łóżku powstałaby wydma. – Jego głos był pełen podziwu, jak gdyby strumyk piasku był piękny, a przeznaczeniem jego łóżka było zostać zasypanym.

–Rinpocze – odezwał się pośpiesznie Shan – czy jest tu strażnik? – Spojrzał w dół. Czubki palców lamy były zsiniałe. Zaczął rozwiązywać bandaż. – Mogę cię zabrać z powrotem do Kruczego Gniazda – dodał szybko.

–Musi być szczelina – powiedział pogodnie stary lama – bo nic nie przedostałoby się do środka.

Shan spojrział na niego bez słowa.

Nagle na korytarzu rozległ się tupot stóp. Do sali wpadł, dysząc ciężko, Gruby Mao, za nim zaś Wół Mao, który zatrzasnął drzwi i oparł się o nie, jakby nie chciał wpuścić do sali jakichś intruzów. Gruby Mao bez słowa powitania rzucił się do okna i w pośpiechu podważył śrubokrętem mocujący kłódkę skobel. Szybko otworzył okno i skinął na Shana. Ale nim Shan zdążył zareagować, Wół Mao pochwycił go, postawił na nogi i zawłókł do okna. Obaj mężczyźni dźwignęli Shana i wyrzucili go na zewnątrz na piasek, i wyskoczyli za nim. Gruby Mao zamknął okno i pociągnął Shana za róg budynku, gdzie w otwartych drzwiach czekała na nich pielęgniarka.

Parę chwil później, stojąc w pustej sali, przyglądali się, jak dwaj pałkarze wyprowadzają nadzorcę strumieni, skrępowanego już nie elastycznym bandażem, lecz stalowymi kajdankami.

Za nadzorcą strumieni pojawił się przysadzisty mężczyzna uśmiechający się z satysfakcją. Bao Kangmei. Krzyknął do pałkarzy, którzy zatrzymali się, i okrążył więźnia. W oczach lamy nie było strachu. Przyglądał się majorowi z zaciekawieniem.

–Bao nie wie – mruknął Gruby Mao – on tylko podejrzewa. Zabierze go do Obozu Chwały, do jednej ze specjalnych cel, które mają tam pałkarze. – Ale słowa Ujgura nie uspokoiły Shana. Nadzorca strumieni nie był już więźniem prokuratoria ani Brygady. Bao nie będzie potrzebował wiele czasu, by odgadnąć, który z zatrzymanych starców jest lamą, o którym mówił wywrotowy tybetański wiersz.

Podparty pod boki, Bao przez chwilę wpatrywał się w drzwi kliniki, jakby liczył na większą widownię, po czym szorstkim gestem odprawił swych ludzi, którzy wepchnęli starego lamę do samochodu. Shan z bólem w sercu przyglądał się, jak furgonetka pałkarzy odjeżdża ulicą. W uszach dźwięczały mu wciąż słowa lamy. Musi być szczelina, albo nic nie przedostałoby się do środka. Słyszał już kiedyś te słowa, wypowiedziane przez innego lamę nauczającego w obozowym baraku. Nadzorca strumieni nie mówił o piasku, lecz o oświeceniu. Tylko oświecenie nas ocali, mówił, oświecenie, które dociera do mrocznych zakamarków przez nie istniejące wcześniej pęknięcie.

Gdy wóz pałkarzy odjechał, odsłonił zaparkowany za nim nieduży czerwony samochód. Bao zapalił papierosa i z uśmiechem rozejrzał się wkoło, spoglądając w stronę miasta, potem na samą klinikę, nie odrywając od niej wzroku tak długo, że pielęgniarka ze strachu przywarła do ściany. Wreszcie podszedł do drzwi samochodu, ale nagle się zatrzymał. W poprzek drogi, niedaleko ich okna, szedł żuk. Bao szybkim krokiem podszedł do owada, pochylił się, żeby mu się przyjrzeć, po czym wyprostował się, uśmiechnął i zmiażdżył go mocnym uderzeniem buta.

Był późny poranek następnego dnia, kiedy Shan i Wól Mao zsiadli z koni na płaskim szczycie wysokiego grzbietu, gdzie prądy wznoszące utrzymywały zeschnięte jesienne liście w powietrzu niczym

plamy pigmentu na palecie nieba. Kazach wskazał zbliżającego się granią jeźdźca. Był to Akzu, spostrzegł po chwili Shan, ubrany w czerwoną kamizelkę haftowaną w konie i ptaki.

–Już po wszystkim – oświadczył naczelnik z szerokim uśmiechem, zsiadając z konia. – Wszyscy chłopcy z zheli są bezpieczni. Dostaliśmy list od ostatniego widmowego klanu, przyniósł go pies. Ich chłopiec ma dobrą ochronę, napisali. Będzie za trzy dni przy Kamiennym Jeziorze. Poza tym niektórzy Mao zostali w wysokich górach – dodał, wciąż z tym samym uśmiechem. – Ścinali drzewa, wywoływali małe lawiny, blokowali wszystkie

drogi, żeby patrole pałkarzy nie mogły się przedostać. I wciąż obserwują sytuację. Ten ostatni chłopiec będzie bezpieczny do czasu, aż odbierzemy go stamtąd. Możemy świętować. – Stary Kazach wydawał się autentycznie szczęśliwy, nie tylko dlatego, że wiedział, iż chłopcom nic już nie grozi, ale także, jak podejrzewał Shan, że klan Czerwonego Głazu znalazł sposób na obejście Programu Walki z Ubóstwem.

Akzu okrążył Shana kilka razy, po czym wręczył mu sponiewieraną czapkę z lisiego futra i parę fatalnie porysowanych okularów słonecznych.

–Nadam jest bardzo ważny dla Kazachów – powiedział, kręcąc głową. – Kiedyś mieliśmy tu chińskich gości z Urumczy.

Sekretarza Partii. Niemal doszło do zamieszek. – Przyjrzał się Shanowi i naciągnął mu mocniej czapkę na głowę. – Twoja skóra powinna być ciemniejsza – zauważył.

Zanim Shan zorientował się, do czego zmierza, Akzu podniósł garść błota i zaczął mu je wcierać w policzki. Wół Mao parsknął śmiechem. Shan spojrzał, skąd pochodziło błoto. Była to kałuża końskiego moczu, który oddał właśnie jeden z koni.

–Możesz przynajmniej pachnieć jak jeździec – stwierdził Akzu z uśmiechem. Shan przyglądał mu się przez chwilę, po czym z westchnieniem rezygnacji dokończył dzieła i, idąc za przykładem Kazacha, wytarł ręce w ogon swego konia.

Naczelnik poprowadził ich poprzez grań ku występowi, z którego otwierał się widok na długą dolinę. Od południa i od zachodu ograniczała ją potężna ściana czarnej skały, wznosząca się kilkaset metrów ponad dno doliny. Na północy leżało turkusowe jezioro, otoczone z trzech stron przez drzewa iglaste i topole.

Dolina sprawiała wrażenie olbrzymiej, wydrążonej w górach sali. Wyłożona była dywanem oliwkowobrazowej zeschniętej trawy i umeblowana może pięćdziesięcioma okrągłymi poduszkami z czarnej, beżowej, brązowej i białej tkaniny.

Shan zdjął okulary słoneczne. Poduszki były jurdami, zgrupowanymi po trzy lub cztery, ze sznurowymi zagrodami dla wielbłądów i koni pośrodku każdej grupy. Wół Mao wydał okrzyk radości i skoczywszy na konia, pocwałował ku dolinie.

Dwadzieścia minut później Akzu prowadził Shana ku stojącym obok siebie trzem jurtom. Rozległ się chłopięcy krzyk i Shan spostrzegł Malika i Batu, którzy biegli mu na powitanie. Obaj pomogli mu zdjąć siodło i uwiązać konia, po czym Malik, przykładając palec do warg, ukradkiem poprowadził go obok koni do miejsca, skąd mogli rzucić okiem między pierwsze dwa namioty. Trajkotało tam wesoło sześć kobiet, raz po raz wybuchając śmiechem, jedna z nich nawet podśpiewywała. Na sznurze między namiotami wisiała suknia. Dwie kobiety poprawiały coś przy rękawach, trzecia klęczała przy obrąbku. Była to piękna biała suknia haftowana w dziesiątki kwiatów i koni. Ale nie było ani śladu panny młodej, która miałaby ją włożyć.

Pozostali chłopcy z zheli otoczyli ciasno siedzącą w kucki postać. Shan usłyszał znajomy głos – Jowa wyjaśniał im, jak zrobić gwizdek z gałązki wierzby. Na widok Shana purba wstał i powoli pokręcił głową. Nie znalazł Genduna i Lokesha. I nie było śladu Marca.

Malik i Batu okazali się znakomitymi przewodnikami po tym przenośnym kazachskim mieście. Shan w obszernej wołkowej kamizelce, futrzanej czapce i okularach słonecznych, wędrował z nimi po jego ulicach. Na środku pomiędzy grupami jurtdo urządzono targowisko. Stare kobiety sprzedawały powiązane pędami winorośli pętle obwarzanków ze słodkiego ciasta smażonego na oleju; za dodatkowego fena obtaczały je w cukrze. Przed jednookim starym człowiekiem piętrzyła się góra zielonych melonów. Staruszek, jak się zdawało, nie utargował zbyt wiele, gdyż ochoczo rozdawał grube plastry wszystkim, którzy przechodzili obok niego. Połowa handlujących wystawiała na sprzedaż uprzęże, bicze z włosia i wysokie buty, zrobione, jak podejrzewał Shan,

podczas długich, samotnych nocy w słabo oświetlonych namiotach. Usiadł i przyglądał się Kazachom, którzy niemal wszyscy mieli na twarzach nikłe melancholijne uśmiechy. Była to pora na świętowanie, ale oni znali smutną prawdę, której nikt nie śmiał wypowiedzieć. To był ostatni Nadam, ostatnie zgromadzenie okolicznych klanów. W pobliżu centrum obozowiska ktoś przybił gwoździem do drzewa tablicę. Wisiały na niej świstki papieru z odręcznie pisanymi wiadomościami oraz oficjalne druki informujące o nowych przydziałach pracy w Brygadzie.

Kazachowie po dwóch, trzech podchodzili do tablicy. Niektórzy oddychali z ulgą i ściskali dłonie przyjaciół i krewnych. Inni czytali ponuro, po czym ze smutkiem odchodzili, by usiąść samotnie wśród skał. Shan spostrzegł, że Batu z troską w oczach wpatruje się w dal. On także wiedział, że zabójcy jeszcze nie spoczęli.

Za skupiskiem jurt rozciągało się rozległe pole. Podczas innych Nadamów, wyjaśnił smutno Malik, była tam zawsze wspólna zagroda, z dwiema albo trzema setkami koni. Ale Brygada pozwoliła im zatrzymać tylko osobiste wierzchowce. Setki innych zgromadzono w Yoktianie i przygotowywano do transportu.

Na polu widać było jeźdźców, kilkanaścioro młodych ludzi gnających ku północnemu krańcowi doliny. To khez khuwar, wyjaśnili Malik i Batu, tradycyjne zawody klanów. Dziewczęta startowały pięć albo dziesięć metrów przed chłopcami, którzy ścigali je do znaku na końcu pola. Jeśli chłopak dogonił dziewczynę, musiała pozwolić mu się pocałować, wciąż w galopie, ale kiedy dziewczyny dotarły do końca pola, to one ścigały chłopaków do punktu startowego, przy czym mogły chłostać biczami każdego, którego mijały.

Nagle za nimi rozległy się okrzyki i gwizdy – witano kogoś nadjeżdżającego wyboistą ziemną drogą przez dolinę. Malik stanął na kłodzie i po chwili jego twarz rozjarzyła się podnieceniem.

–Jakli! – Wykrzyknął. Shan stanął obok niego i zobaczył dziewczynę, która wjeżdżała pomiędzy jurty na spienionym, wyczerpanym koniu.

Gdy odwrócili się i usiedli na kłodzie, by śledzić zmagania jeźdźców na polu, ktoś pomachał przed nimi wiązką obwarzanków. Chłopcy roześmiali się i zaczęli się nimi opychać, zanim

jeszcze Jacob Deacon, który im je przyniósł, zdążył powiedzieć im cześć. Przyjechał, żeby rejestrować przebieg Nadamu, wyjaśnił, i przywiózł nieco drewnianych tabliczek dla członków klanów, by mieli pamiątkę, kiedy zostaną rozproszeni przez Brygadę. Ale także, domyślił się Shan, ponieważ miał nadzieję, że pojawi się tu Micah.

–Dostali wiadomość – oświadczył pogodnie Amerykanin, odgadując myśli Shana.
– Jeszcze tylko trzy dni.

Deacon miał właśnie usiąść obok niego, kiedy przez obóz przetoczyła się kolejna fala radosnych okrzyków. Amerykanin roześmiał się i wskazał na północ. Szlakiem wzdłuż jeziora nadchodził Marco. Był już tak blisko, że widzieli, iż ma na głowie dziwny filcowy kapelusz, ozdobiony kwiatami i piórami. Prowadził ciężko obciążonego wielbłąda.

–Prezenty od rodziny pana młodego – wyjaśnił Deacon. –
Stary kazachski zwyczaj.

Okrzyki się wzmogły, gdy Marco podjechał bliżej, a minutę później przez obóz przeszedł pełen czci pomruk, gdy spoza drzew wyłoniło się następnych dwóch jeźdźców. Za Eluosim podążali dwaj starcy, jeden z nich w bordowej szacie mnicha.

Nie padły niemal żadne słowa. Shan ruszył na spotkanie Tybetańczyków i w milczeniu ujął wodze konia Genduna, by poprowadzić go do obozu Czerwonego Głazu. Znalazł ich w Studni Łez, powiedział Marco, gdy mocowali do skał maleńkie czerwone flagi modlitewne. Shan spojrzał na szatę Genduna. Miała rozerwany obrąbek i oddarty spory pas tkaniny. Lama też sprawiał wrażenie, jakby coś z niego wydarto. Jego oczy, nieprzytomne ze zmęczenia i smutku, na krótko spoczęły na Shanie, po czym znów przybrały nieobecny wyraz.

–Helikoptery zaczęły przeszukiwać pustynię – wyjaśnił znużonym głosem Lokesh.
– Marco powiedział, że zbłąkane dusze na pewno uciekają przed helikopterami, gdyż one wydają od głośno jak demony. – Westchnął. – A jego wielbłądzica bez przerwy popychała nas nosem. Gendun powiedział, że ten Rosjanin i jego wielbłądzica znajdują się na duchach, więc zgodziliśmy się pójść z nimi. – Spojrzał w stronę leżącej za górami pustyni. – Przez chwilę zdawało się nam, że jesteśmy blisko Yakde Lamy.
Wkrótce

wrócimy. Tam jest tylu zagubionych – dodał ze smutkiem i pozwolił Shanowi zaprowadzić się do jednej z jurt, gdzie Jowa już przygotowywał posłanie dla Genduna.

Shan siedział przy dwóch starcach, dopóki nie zapadli w sen. Gdy uniósł wzrok, zobaczył, że obok stoi Marco i w milczeniu przypatruje się Tybetańczykom. Eluosi wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Uklęknął i naciągnął koc na ramiona Genduna.

–Kiedy pierwszy raz ich spotkałem, zdawało mi się, że to po prostu starzy głupcy – wyznał. – Teraz... – Pokręcił głową. Spojrzał w oczy Shana i wzruszył ramionami. – Kiedy ich znaleźliśmy, Sophie krążyła wokół nich w kółko, jakby chciała się dowiedzieć, co to za przedziwne stworzenia. Z początku nie chcieli stamtąd odejść i nie miałem pojęcia, co robić. Udałem, że zbieram się do odejścia, ale Sophie poszła i usiadła z nimi. Nie chciała się ruszyć. Nie miała nic przeciwko temu, że bym odszedł, ale sama zamierzała zostać z nimi. – Marco podrapał się po głowie, marszcząc swe krzaczaste brwi, wciąż zdumiewając się postępkami swojej wielbłądzicy. – Potem usłyszała w oddali helikopter i zaczęła popychać ich w moją stronę. – Spojrzał na dwóch starych ludzi. – To ważne, że oni tu są, prawda? – zapytał nieśmiało. – To znaczy nie tutaj. Chodzi mi... sam nie wiem.

–Ważne, że oni są na świecie – podsunął Shan. Była tutaj kobieta o dzikim spojrzeniu, ta, która rzucała w niego kamieniami. Kołysała się w przód i w tył ze zwiniętym kocem w ramionach, nie dając po sobie poznać, że ich słyszy.

Gdy Marco wstał, Shan zobaczył, że u klapy namiotu stoi Jowa. Co takiego powiedział mu purba tamtej, tak odległej już nocy? Jeśli lamowie wymrą, to po co to wszystko? Myśl ta przypomniała mu boleśnie, że jest jeszcze jeden lama, który potrzebuje ochrony, zamknięty przez pałkarzy w Obozie Chwały.

Był to dzień świętowania, dzień radości. Klany płynęły nieprzerwanym strumieniem do obozu Czerwonego Głazu, by zobaczyć dary ofiarowane rodzinie panny młodej oraz wręczyć własne. Wznosili toasty za Nikkiego, kawalarza, po którym można się było spodziewać, że się spóźni po prostu dla efektu. Ścigano się konno, parami i czwórkami, a nawet aż dwudziestoma końmi naraz, a wśród rozentuzjasmowanych gapiów krążyły bukłaki kumysu.

Po wyścigach Batu wyciągnął Deacona na pole. Inny chłopiec z zheli rzucił Amerykaninowi piłeczkę baseballową. Marco pojawił się z kijem zabranym z pokoju Nikkiego, i młodzież z obozu zaczęła grać w amerykańską grę. Jakli wypadła z jurty i, powitawszy Shana demonstracyjnym ukłonem, przyłączyła się do gry, przekomarzając się ze wszystkimi, przechwalając się, że Nikki wybije piłki aż w góry, kiedy tylko przybędzie. Deacon i Marco obwołali się sędziami i wkrótce powietrze wypełniło się śmiechem i okrzykami: „Pierwsza baza! Druga baza! Aut!” Shan oparł się plecami o kłodę, sennie obserwując grę. Połowa obozu przyszła na pole, żeby się przyglądać, gdy nagle z tyłu rozległ się okrzyk, po nim zaś zapadła cisza. Tłum rozstał się, gdy na pole wkroczył z gracją wspaniały biały koń prowadzony przez Wangtu, kazachskiego kierowcę, z którym Shan rozmawiał w Obozie Chwały.

Marco wypchnął Jakli do przodu i Wangtu z nieśmiałym uśmiechem wręczył dziewczynie linkę, na której prowadził białego konia.

–Wiem, że Nikki przyprowadzi pięć takich jak ten – odezwał się głośno, aby słyszeli go wszyscy. – Ale ja – dodał ze wzruszeniem ramion – przynajmniej jestem pierwszy.

Koń był tym samym zwierzęciem, które widzieli w obozie ryżowym. Ogniste stworzenie spojrzało na Jakli i jego oczy złagodniały, potem zrobiło krok naprzód, a ona wyciągnęła rękę. Gdy koń wetknął pysk w jej dłoń, rozległy się wiwaty. Malik pobiegł gdzieś i wrócił po chwili ze srebrną uzdą.

Przez następną godzinę wielu przyglądało się, jak Jakli galopuje w tę i z powrotem po polu na swym białym koniu, a inni jeździli wraz z nią. Wreszcie zgodziła się na zawody khez khuwar, i choć wielu chłopców gnało za nią, by zdobyć całusa, żaden nie zdołał jej dopędzić.

Shan znalazł Malika pod drzewem na północnym skraju pola. Siedział tam w towarzystwie psa, który złożył łeb na jego nogach. Shan przysiadł się bez słowa i w milczeniu obaj przyglądali się jeźdźcom.

–Wciąż myślę o tym dniu, kiedy go znalazłeś – odezwał się w końcu Shan. – Wciąż się zastanawiam: A może było tam coś jeszcze? Coś, co Malik postanowił zatrzymać, coś, czego nie włożył

z powrotem do grobu? Byłoby to smutne, gdyż dręczyłoby go poczucie, że postąpił źle, nawet jeśli zrobił to tylko dlatego, że chciał mieć pamiątkę po Khitaiu, a jego pamięć po przyjacielu mogłaby zostać zmacona.

–Tak wiele się zdarzyło – odparł Malik, wpatrując się w psa. – Trudno to zrozumieć. – Westchnął i ból ściągnął jego twarz. – Chciałem sobie tylko coś zostawić, bo byliśmy przyjaciółmi. Ja właściwie nigdy nie miałem przyjaciela. On tak łagodnie obchodził się z jagniętami. – Malik rozpiął górę koszuli i ściągnął z szyi jakiś przedmiot. Wielkie srebrne gau z wieczkiem z plecionego filigranu.

–Nie okłamałem cię – powiedział chłopiec. – Pytałeś, czy on miał coś przy sobie. To leżało na ziemi, pod skałą. Nie zaglądałem do środka. – Podał puzderko Shanowi, wstał z lekkim uśmiechem, jak gdyby zadowolony, że uwolnił się od tego przedmiotu, i odszedł z psem w stronę jeziora.

Shan zaniósł gau Lokeshowi, który siedział teraz na posłaniu, obserwując śpiącego Genduna. Stary Tybetańczyk z szacunkiem obejrzał puzderko, nie otwierając go, pokręcił głową i oddał mu je. To nie był Nefrytowy Koszyk.

–Khitai mógł czasem trzymać Koszyk w jakimś schowku, dla bezpieczeństwa – powiedział, po czym skrzywił się i spojrzał na Shana. – To dlatego dał go amerykańskiemu chłopcu, prawda? Dla bezpieczeństwa.

Shan skinął głową. Teraz nie było już innej możliwości. Prokurator Xu sama to potwierdziła. Dwa klany były na łące lamy, dwóch przyjaciół z zheli spotkało się tam, by zbierać kwiaty. Khitai, wyczuwając niebezpieczeństwo i wiedząc, jak ważne jest gau, powierzył Nefrytowy Koszyk koledze. Tylko na parę dni, powiedział zapewne Micahowi, ponieważ wkrótce znów będą razem, w drodze do Ameryki.

Lokesh obracał i wykręcał głowę na różne strony, przyglądając się puzderku w dłoni Shana, jak gdyby szukał właściwego kąta, pod którym powinien spojrzeć.

–Święty Koszyk ma ten ostatni chłopiec, ten mały Amerykanin – powiedział, jakby chciał o tym przekonać sam siebie.

A teraz zabójca również o tym wie, nieomal dodał Shan. Przypomniał sobie race w górach. Patrole Bao były w terenie, kontynuowały

poszukiwania. Akzu mylił się co do jednego. Micah nie był bezpieczny, a przynajmniej nie będzie bezpieczny, gdy opuści góry, by udać się do Kamiennego Jeziora. Lokesh uniósł zażawione oczy.

–Jak to się dzieje? – zapytał.

Zdawało się, że lada chwila wybuchnie płaczem.

Gdy słońce zaszło, zapalono ogniska. Do obozu Czerwonego Głazu w dalszym ciągu schodzili się przedstawiciele innych klanów z bukłakami kumysu i pili przy ognisku. Jedli duszoną baraninę i twarde ser, śpiewali, niektóre ze starych kobiet wykonywały rytualne tańce, których nie znał już nikt z młodszego pokolenia. Marco i Deacon do woli raczyli się sfermentowanym mlekiem i uczyli się nawzajem nowych pieśni. W jednym z namiotów Shan natknął się na Woła Mao oraz szczupłą kobietą, Jaskółkę Mao, trzymającą na kolanach przenośny komputer. Przywitała Shana skinieniem głowy i dalej pracowicie uderzała w klawisze, kiedy przysiadł obok.

–To ten program wyławiania noworodków – wyjaśniła. – Przegrałam na dyskietkę pliki Brygady. To nie jest jakaś lokalna akcja, ale obejmuje cały południowy Xinjiang. Nie Ko tym zarządza. To wyszło z wyższego szczebla. Do tej pory zarejestrowano dwieście noworodków, z dokładnym opisem wszystkich znaków szczególnych. Niektórych rodziców skierowano na badania.

–Na badania? – zapytał Shan.

Wół Mao chrząknął gniewnie.

–Prowadzone przez oficerów politycznych – szepnął, jakby uważał, że gdyby wypowiedział te słowa głośniej, sprofanowałby święto.

Księżyc był już wysoko na niebie, kiedy wartownicy zeszli ze wzgórz i nowi wyruszyli na ich miejsce.

–Nie strzelajcie do ludzi, którzy prowadzą białe konie! – zawołał za nimi Marco i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Jakli opuściła towarzystwo, wymawiając się sennością, ale Shan, siedząc przy ognisku, widział, jak przemknęła za jurta i usiadła w świetle księżyca przy swym nowym koniu, który trącał ją łbem, rżąc cichutko z zadowolenia. Dziewczyna trzymała w dłoni kartkę papieru i Shan, nie wiedząc skąd, odgadł, co to takiego. List, który zawsze nosiła przy sobie, niemal rozpadający

się od częstego składania i rozkładania. List od jej Nikkiego.

O świcie zbudził ich przeciągły grzmot, po którym nastąpiły okrzyki, potem wiwaty. Wszyscy Kazachowie w namiocie zdawali się znać ten dudniący dźwięk i wypadli na zewnątrz, zostawiwszy Deacona, Shana i Tybetańczyków samych, unoszących się z posłań, przecierających oczy.

To były konie, dziesiątki koni galopujących przez obóz, więcej koni, niż Shan kiedykolwiek widział. Choć może nie, pomyślał, przysłuchując się okrzykom. Widział je w Yoktianie. Stada Kazachów zostały uwolnione. Zagrody w Yoktianie, mimo że pilnowane przez strażników, zostały otwarte i zwierzęta wróciły do domu.

Radość tłumu była namacalna. Dzieci podskakiwały wysoko. Psy jazgotały. Strzelano w powietrze. Wszyscy obejmowali się nawzajem. Brygada jednak nie wygrała, mówili ludzie. Zhylkhyshy Ata to sprawił, krzyknął ktoś, bóg koni nie zapomniał o południowych Kazachach.

–Ten dzień zostanie zapisany w historii Kazachów! – Wykrzyknęła jakaś staruszka, a jej oczy zapłonęły młodzieńczym blaskiem.

W obozie przez cały ranek utrzymywał się podniosły nastrój. Shan przyglądał się chłopcom z zheli, którzy promieniejąc radością, krążyli między końmi, kiedy Gendun dotknął jego ramienia, wskazując stok wzgórza. Lokesh machał do nich z wielkiej skały na zboczu nad obozem. Gdy tam dotarli, z podnieceniem pokazał im regularny krąg porostu na skale ponad miejscem, gdzie siedział. To była mandala, mandala wykonana przez bóstwo zamieszkujące górę.

Dwaj Tybetańczycy usiedli, by kontemplować pokrytą porostem skałę, Shan tymczasem znalazł sobie miejsce na głazie pod grzbietem. Obserwował Jakli, która śmiejąc się spontanicznie, jeździła na dole w tę i z powrotem po przecinającym dolinę szlaku, po czym wyciągnął świstek papieru, który znalazł przy zwłokach w Obozie Chwały. Wpatrywał się znów w dziwne skróty, próbując wyłowić z nich jakiś sens.

Oparł się plecami o skałę, wygrzewając się w słońcu, kiedy ktoś wypowiedział jego imię.

–Dziś wieczorem będzie uczta – powiedziała Jakli dziwnie nieśmiałym tonem. Uniósł wzrok i zobaczył białego konia uwiązanego do drzewa u podnóża grzbietu. – Chciałabym, żebyś siedział razem z moją rodziną.

Shan skinął głową.

–Robisz mi zaszczyt.

–To jeszcze nie koniec, prawda? – zapytała po chwili, klękając obok niego.

–Generał przyjeżdża – odparł. – Zabójca wciąż jest na wolności. Ostatni chłopiec wciąż nie ma ochrony. Amerykanie... -Urwał, widząc niepokój w jej oczach. Czuli się winna, że opuszcza swoich w takim czasie. – Przekażemy ci wiadomość przez Marca. On będzie znał sytuację. Wszystko dobrze się skończy -zapewnił ją, starając się ze wszystkich sił, żeby to zabrzmiało optymistycznie. Wskazał ręką stado na pastwisku za namiotami. – Stada znów są wolne.

–Myślałam o Marcu – powiedziała. – Będzie samotny. Wszyscy odejdą. On cię

lubi. Nigdy by tego nie powiedział, ale ja to wiem. Może mógłbyś czasem do niego napisać, gdziekolwiek będziesz.

Shan uśmiechnął się lekko.

–Jasne. Napiszę do niego – odparł, choć wiedział, że to niemożliwe. Wyrzutkowie i uciekinierzy nie korespondują ze sobą.

–Chciałabym... – zaczęła, ale urwała nagle, unosząc dłoń. Słysząc było strzały z karabinów, nie jakieś przypadkowe oddane przez hulaków z Nadamu, ale regularne, rozlegające się co kilka sekund wystrzały, każdy następny głośniejszy od poprzedniego. Ostatni dobiegł ze szczytu grzbietu nad obozowiskiem.

–Wartownicy! – krzyknęła z przerażeniem Jakli, zrywając się na nogi. – Strzały ostrzegawcze.

Obozowisko zawrzało gorączkową aktywnością. Shan widział dzieci zaganiane w stronę kępy drzew za pastwiskiem. Z obozu Czerwonego Głazu wybiegła gromadka chłopców z dwoma Kazachami uzbrojonymi w strzelby myśliwskie. Uciekały sieroty z zheli. Mężczyźni zbierali się w małych grupkach przed obozowiskami poszczególnych klanów.

Shan spojrział w górę zbocza i zobaczył machającego do nich Lokesha oraz Genduna. Dał im znak, żeby się ukryli, i Tybetańczycy zniknęli za skałą. Parę chwil później z warg Jakli wymknął

się jęk. W dolinie pojawiła się lśniąca czarna terenówka, za nią zaś wojskowa ciężarówka. Gdy pojazdy zatrzymały się przy pierwszym kręgu namiotów i wyskoczyli z nich uzbrojeni mężczyźni w mundurach, supeł zaciskający się w żołądku Shana stał się zimny jak lód. Pałkarze. Sztylpy. Popchnął Jakli pod osłonę głazu.

–Może to tylko rutynowa kontrola – powiedział bez przekonania.

Dziewczyna jedynie pokręciła głową.

Pałkarze, ściskając w dłoniach karabiny i pistolety maszynowe, jakich używano do tłumienia zamieszek, ruszyli naprzód, wzywając mieszkańców pierwszego obozu, by okazali dokumenty. Utworzyła się kolejka, ale nikt nie interesował się ich papierami. Jeden z oficerów odłączył się od swoich ludzi i ruszył przez obozowisko, przyglądając się twarzom stojących w kolejce. Nie szedł. Kroczył. Był to Bao. Lekceważąco machnął ręką i pierwsza grupa Kazachów została odesłana do namiotów.

To samo powtórzyło się w drugim, potem w trzecim obozie. Umysł Shana pracował jak szalony. To mogło potrwać godzinę lub dwie. On i Jakli będą musieli pozostać ukryci na wzgórzu, dopóki tamci nie skończą. Spojrzał w górę zbocza, zastanawiając się, czy zdołaliby przekraść się do Genduna i Lokesha.

–Marco zdążył uciec – odezwała się głucho Jakli. – Widziałam, jak Sophie znika między drzewami.

Pałkarze zatrzymali się przy szóstym obozie, obozie Czerwonego Głazu. Nie zaprzęтали sobie głowy kontrolą dokumentów, ale po prostu wyprowadzili Akzu, jego żonę i Malika na otwartą przestrzeń, trzydzieści metrów od samochodów. Bao krążył wokół nich, coś wykrzykując. Shan spojrzał na Jakli. Dziewczyna przygryzała palec, zaciskała na nim zęby tak mocno, że zdawało się, iż zaraz go odgryzie.

Bao warknął do jednego z pałkarzy, który pobiegł do samochodu i po chwili wrócił z kajdankami.

Gdy Shan znów spojrzał w jej stronę, Jakli ze łzami w oczach wpatrywała się w góry na zachodzie. Pałkarze zaczęli zaganiać jej krewnych do samochodów.

Dziewczyna wstała powoli, wciąż obserwując góry, jak gdyby w każdej chwili mógł się zza nich wyłonić Nikki.

–To dobry dzień na wyścigi – odezwała się tonem, jakim mogłaby prowadzić rozmowę nad czarką herbaty. Łzy zniknęły z jej oczu, ustępując miejsca chłodnemu błyskowi zdecydowania.

Shan również wstał, zdezorientowany i przerażony, bo Jakli ruszyła ścieżką ku obozowisku. Stał samotnie przez chwilę, po czym ją dogonił.

–Byłeś dla mnie jak starszy brat, Shan – powiedziała. – Nauczyłeś mnie wielu rzeczy.

–Powinniśmy tam zostać – ostrzegł ją. Potężne skały, które skrywały ich przed pałkarzami, przerzedzały się. Jeszcze piętnaście metrów i znajdą się na dnie doliny, widoczni jak na dłoni.

Jakli wskazała jedną ze skał.

–Tam jest dobra kryjówka. Pałkarze wkrótce odejdą.

Uniosła dłoń Shana i coś na nią upuściła, po czym popchnęła go w stronę skały.

–Zrób z tego użytek – powiedziała nagłoco. – Wydostań się stąd. Zaczynij nowe życie. – Wyjęła z kieszeni jakiś papier i upuściła go u swych stóp. – Nikki i ja... to było jak sen. To nie

mogło spełnić się w tym świecie. Trzeba będzie poczekać do następnego razu. – Znów przystanęła i oglądając się na zbocze, gdzie ukryli się Tybetańczycy, szepnęła: – Lha gyal lo. Niech zwyciężą bogowie.

Dopał skały i rozejrzał się za Jakli, ale już jej nie było. Szła do swego białego konia. Jeśli będzie jechała ostro, pomyślał, jeśli wjedzie na stok, gdzie samochody nie dadzą rady się wspiąć, uda jej się.

Ale chwilę później dziewczyna zrzuciła siodło, potem uzdę i mocno klepnęła konia po zadzie. Zwierzę pomknęło w górę zbocza. Jakli ruszyła ku pałkarzom. Shan spostrzegł obok siebie jakiś ruch. Stał przy nim Gruby Mao, bez tchu, dygocząc z wyczerpania.

–Mówiłem jej, żeby tego nie robiła – wydyszał. – Pałkarze

byli w całym Yoktanie. Niektórzy w szkole, ubrani jak nauczyciele, czekali na zheli. Inni z ukrycia obserwowali konie, w nadziei, że chłopcy z zheli zgłoszą się po nagrody i wpadną im w ręce. Ale ona i tak to zrobiła. Powiedziała, że nie widzi żadnych

pałkarzy, że zrobi tak, żeby to wyglądało na przypadek, jakby po prostu ktoś zostawił otwartą furtkę. Tłumaczyłem jej, że to są

sztylpy, że mają specjalne techniki, potrafią obserwować z ukrycia. Nadzór elektroniczny. A ty masz już trzy miski, mówiłem jej. Jeśli cię zgarną, to już po tobie, następnego dnia pojedziesz do jakiejś kopalni węgla w Kaszgarze. Na dobrych parę lat. Stado. Shan przypomniał sobie, jak przyjechała, spóźniona, na spienionym wierzchowcu, i jej słowa na grobie konia. To było jej pożegnanie z Kazachami, hołd dla jej dziadka, zaklinacza koni. To ona uwolniła stado.

–Jakli! – Wykrzyknął z bólem, nagle wszystko pojmując.

Zerwał się na nogi, ale dwóch pałkarzy dostrzegło ją już i rzuciło się ku niej. Zatrzymali jej rodzinę, przyszli jednak po Jakli,

która otwarcie przeciwstawiła im się w Yoktianie. Gdyby nie oddała się w ich ręce, uwięziliby jej krewnych.

Żołnierze chwycili ją za ramiona i brutalnie zaciągnęli przed Bao.

–Jakli! – zawołał ktoś jeszcze. Wangtu. Wyrwał się z tłumu

i rzucił się w jej stronę. Jeden z pałkarzy uderzył go kolbą karabinu w brzuch i Kazach upadł na ziemię, jęcząc z bólu.

Wieść zdawała się rozprzestrzeniać po obozowisku niczym iskra elektryczna. Mężczyźni, kobiety i dzieci, niektórzy na koniach, inni pieszo, gromadzili się wokół pojazdów. Setka Kazachów, potem dwie setki, otoczyły pałkarzy, którzy stali z bronią gotową do strzału, podczas gdy Bao kroczył dumnie wokół Jakli, nie zwracając uwagi na gniewne okrzyki tłumu. Gdy pałkarze wypuścili jej rodzinę, Malik skoczył jednemu z nich na plecy i zaczął go okładać pięściami. Żołnierz zrzucił chłopca na ziemię i trzymał pod butem, dopóki dwaj członkowie klanu nie odciągnęli dzieciaka. Nagle Akzu wskazał coś ręką. Biały koń wbiegł na szczyt wzgórza i stał dumnie nad obozem, jakby obserwował całą scenę.

–Niya! – zawołał ktoś. – Niya Gazuli!

Pałkarze nałożyli Jakli kajdanki. Wangtu podniósł się na kolana, łapiąc powietrze. Płakał, trzymając się za brzuch. Żołnierze zaczęli ciągnąć dziewczynę, ona jednak zaparła się i krzyknęła na nich gniewnie. Puścili ją i sama z uniesioną wysoko głową ruszyła ku czekającej na nią ciężarówce.

–Niya! – przebiegł pomruk przez klany, które zaczęły się ustawiać w długi szereg przy drodze prowadzącej do doliny.

Coraz więcej jeźdźców pojawiało się na zboczach, gdzie się ukrywali. Na północnym krańcu doliny, niedaleko jeziora, Shan dostrzegł samotnego mężczyznę na srebrnym wielbłądzie.

–Niya! Niya! Niya Gazuli! – skandowano, dopóki wszyscy Kazachowie nie podjęli okrzyku, który poniósł się echem po całej dolinie.

Wściekły Bao rzucił mordercze spojrzenie tłumowi, a potem koniowi na szczycie wzgórza. Ruszyła ciężarówka z Jakli. Bao wszedł do czarnej terenówki, która pojechała za nią.

–Niya! Niya! – Jeźdźcy stanęli w strzemionach i wznosili pięści. Ich butne okrzyki tłukły się po górach.

Nagle, sto metrów od tłumy, samochody się zatrzymały. Major wysiadł szybko, trzymając dalekosiężny karabin, i stanął na masce swojego wozu. Złożył się do strzału, mierząc w górę zbocza. Wypalił dwa razy i skandowanie ucichło. Jakaś kobieta krzyknęła rozdzierająco, gdy majestatyczny biały koń zachwiał się i runął ze wzgórza.

Bao rzucił krótki rozkaz i spod plandeki ciężarówki ukazała się głowa Jakli. Jeden z pałkarzy trzymał ją za włosy, by musiała patrzeć, jak trup jej konia zsuwa się pomiędzy skały u stóp zbocza. Wreszcie major dumnym krokiem wrócił do terenówki i samochody ruszyły. Shan zorientował się, że klęczy, ściskając się za brzuch, patrząc bezsilnie, jak mądra, wesola Jakli odjeżdża do gułagu.

Rozdział dwudziesty

Marco nie wrócił do obozowiska. Razem z Sophie zniknął w głębi doliny. Godzinę później ktoś wykrzyknął, wskazując małą plamkę przesuwającą się grzbietem wysokiego wzgórza ku zachodowi. Marco jechał do domu.

Gendun i Lokesh bez słowa poszli za Jową do obozowiska Czerwonego Głazu, a Shan dalej wpatrywał się w obłok pyłu za samochodami pałkarzy. Dziesięć minut później trzej Tybetańczycy wrócili z końmi. Shan nie słyszał nic, ale widział, jak Malik daje wskazówki Jowie, machając ręką w stronę górskiego grzbietu, za którym zniknął Marco. W ostatniej chwili, gdy we czterech podjeżdżali już do jeziora, dołączył do nich kolejny jeździec. Gruby Mao.

Nim dotarli do ostatniej doliny, Shan wysunął się na czoło. Nie było śladu po Marcu na ostatnim stromym podejździe, nie było po nim śladu nawet na samym płaskowyżu. Ale była tam Sophie, która powitała ich cichym parsknięciem. Gdy Shan ściągał siodło ze swego konia, Jowa pokazał mu coś palcem. Marco siedział przy wodospadzie po drugiej stronie pastwiska.

Lokesh pociągnął Genduna za ramię.

–Przygotujemy jedzenie – oświadczył i obaj zniknęli w domu Rosjanina.

W końcu Eluosi spostrzegł Shana i Jowę i poczłapał ku nim przez łąkę jak stary zmęczony goryl.

–Dziś miały być wyścigi – powiedział głucho do Shana. – Spodobałyby ci się.

–Musieliśmy przyjechać – odparł Shan. – Musimy mieć pewność, że sprawy posuwają się według planu.

Marco przeniósł znużony wzrok z Shana na Grubego Mao, jakby szukał wyjaśnienia.

–Amerykanie muszą wyjechać – oświadczył Ujgur. – Nikki mógłby się zabrać z nimi, mimo wszystko. Dać jej jakąś nadzieję, dla której mogłaby żyć. Odszukamy Jakli, dowiemy się, gdzie ją trzymają. Wtedy będziemy mogli przekazywać jej wiadomości. To utrzyma ją przy życiu.

Marco milczał przez długą chwilę.

–W porządku – odezwał się wreszcie. – To będzie dzień po pełni księżyca. Mamy czas.

Shan wszedł za Markiem do domu i patrzył, jak Eluosi idzie tylnym korytarzem do pokoju Nikkiego. Wyjął z kieszeni kopertę i położył ją przy samowarze. Ją właśnie Jakli upuściła na ziemię, gdy przyszli pałkarze. List od Nikkiego, był tego pewien, list, który czytała, ilekroć czuła się samotna, list, którego nigdy nie pozwoliłaby zobaczyć pałkarzom. Usłyszał, jak Gendun prosi Jowę, żeby mu towarzyszył, i dwaj Tybetańczycy wyszli na dwór. Przez otwarte drzwi przyglądał się, jak chodzą po łące, jak od czasu do czasu przystają i schylają się, by podnieść coś z ziemi. A potem, ponieważ domyślił się, co robią, poszedł do stawu przy wodospadzie i przyniósł stamtąd dzban wody.

W ostatnich promieniach słońca trzech Tybetańczycy oraz Shan usiedli przed chatką, nad stosem kamieni zebranych przez Jowę i lamę. Gendun wybrał jeden kamień, obejrzał go, po czym przekazał dalej w ich niewielkim kręgu. Był to mały, brzydki odłamek skały, pokryty ziemią i czymś, co wyglądało na zaschnięte wielbłądzie łajno. Jowa przyglądał się niepewnie temu, co robią, ale przyjął kamień od Shana i obejrzawszy go, oddał Gendunowi. Trzymając kamień w jednej ręce, lama zaczerpnął chochlę wody i wylał ją na kamień. Zmył warstwę brudu i ukazała się lśniąca powierzchnia, pokryta wijącymi się wstęgami w różnych odcieniach oranżu i brązu, przecięta cieniutką nitką zieleni. Lama ponownie puścił kamień wkoło, a Shan i Lokesh podziwiali w skupieniu jego złożone piękno. Jowa, gdy kamień trafił do jego rąk, natychmiast przekazał go Gendunowi, ale lama oddał mu go. Jowa obracał odłamek skały w dłoniach, przyglądając mu się przez parę sekund, i znów podał go Gendunowi. Lama zwrócił mu go ponownie i purba znowu przyjął kamień, z większym wahaniem, po czym zaczął dokładnie go oglądać.

Było to ćwiczenie, które Shan znał dobrze z obozu pracy. Skorupa życia, jak nazwał to jeden z uwięzionych mnichów. Siadywali po prostu czasem podczas krótkich przerw na posiłki i

polewali kamienie, niekiedy zużywając w tym celu swą całodzienną rację wody, by zmyć skorupę, która nawarstwiała się w wyniku życia w świecie, by dotrzeć do prawdziwej natury kamienia.

W milczeniu zjedli duszone warzywa, po czym Jowa i Gruby Mao wyszli z domu. Przez drzwi było słyhać, że rozmawiają stłumionymi głosami. Szybko zapadała zimna, czysta noc. Lokesh i Gendun zostali w kuchni, na podłodze, recytując mantry.

Shan wyszedł na dwór i oparłszy się o drzewo, długo patrzył w gwiazdy, pozwalając, by mroźny wiatr zmywał jego skorupę. W dłoni trzymał świstek papieru ze skrótami i wpatrywał się w niego, choć nie mógł przeczytać go w ciemnościach.

Gdy wrócił, w domu panowała cisza. Wspiął się na wieżę, gdzie natknął się na Marca. Eluosi stał w mrocznym, posępnym milczeniu.

Shan zaczął bląhą pogawędkę, o niebie i o zwierzęciu, które zaryczało gdzieś w dali. Marco odpowiadał półsłówkami.

–Puste, bezmyślne stworzenia – odezwał się nagle Eluosi -te sukinsyny, które wiozą Jakli do więzienia. Ich świat to pustynia o wiele bardziej okrutna i bezduszna niż Takla Makan. A tobie – zwrócił się oskarżycielsko do Shana – tobie się wydaje, że jesteś jak ci dawni mnisi, którzy żyli w Piaskowej Górze, próbujący wydobyć wodę z pustyni. Ale cokolwiek zasadzi się w ziemi, gdzie żyją tacy ludzie, po prostu usycha i ginie.

–Więc przechowujemy ziarno – powiedział po chwili Shan. – Czasami, gdy susza utrzymuje się przez lata, można tylko przechować ziarno. To właśnie robi Jakli. Przechowuje ziarno. Ona przeżyje. Susza nie będzie trwała wiecznie.

–Chcesz powiedzieć, że żadne rządy nie mogą trwać wiecznie.

Shan nie odpowiedział.

–Mój chłopak czyta różne rzeczy. Kiedyś wyczytał, że grupa rewolucjonizujących zachodnich pisarzy oświadczyła, że najlepszą formą rządu jest brak rządu, ustrój, w którym ludzie byliby wolni. Śmiał się, kiedy mi to powtórzył. Powiedział, że tu, na naszej górze, znaleźliśmy najwyższą formę rządu.

Po długim milczeniu Marco znowu się odezwał:

–Spróbuj, Johnny. Możemy tu poczekać, kiedy Nikki będzie studiował w Ameryce. On musi jechać. Jakli będzie chciała, żeby pojechał i przygotował dla niej miejsce, kiedy przyjdzie pora

Nikki przyśle nam teleskop. Będziemy tu przychodzić i patrzeć na gwiazdy.

–Nie – odparł Shan łamiącym się głosem.

–Decyzja należy do ciebie.

–Nie. Chciałem powiedzieć, że on nie przyśle teleskopu. W świetle księżyca Shan dostrzegł lęk w oczach olbrzyma.

Marco jednak zbył go prychnięciem.

–Zobaczysz. Nazwę gwiazdę jego imieniem. On mówi po angielsku jak prezydent.

Shan ze straszliwą jasnością, z przeszywającym zrozumieniem dostrzegł niepokój, który trawił Marca. Nie chodziło o ryzyko związane z karawaną, o niebezpieczeństwo pościgu. Do tych spraw przywykł już od lat. To było coś obcego jego silnej, żywiołowej naturze. Niczym nienasycony robak zżerało go od środka, próbując dotrzeć do jego duszy. Gdy Shan szukał odpowiednich słów, Marco rzucił się w dół po schodach.

Znalazł go w pokoju Nikkiego.

–Ależ tu bałagan – zauważył nieprzytomnie Eluosi i zaczął usta wiać książki na półce. – On lubi porządek. Nie ma tego po mnie. Musiał wdać się w matkę. – Jego głos brzmiał głucho i słabo.

W tej chwili Shan wolałby siedzieć w obozowej celi z dożywotnim wyrokiem, niż stać tu, szukając słów, które musiał wypowiedzieć.

–Wiem, gdzie jest twój Nikki.

Marco drgnął, lecz natychmiast wrócił do porządkowania. Nie patrzył na Shana.

–Jest z karawaną. Niedługo wraca – odparł słabym głosem. – Widziałeś srebrną uzdę.

–Zgarnęli go pałkarze.

–Nie! – Marco upuścił podniesioną z podłogi stertę książek. Uklęknął, żeby je pozbierać.

–Widziałem go.

Ruchy Marca stały się powolne jak na zwolnionym filmie. Ręka z książką opadła, jakby nagle zabrakło mu sił, by utrzymać ją w górze.

–Nie wspominałeś o tym wcześniej – powiedział, unosząc ku niemu odrętwiałą twarz.

–Wcześniej nie rozumiałem. Dopiero podczas Nadamu, gdy dzieciaki grały w baseball, otworzyły mi się oczy. Zacząłem

kojarzyć fakty. Widziałem Nikkiego. Widziałem, jak szufluje węgiel w Obozie Chwały.

–Nie wydaje mi się... – zaprotestował Marco głosem podszytym lękiem i Shan uświadomił sobie, że w głębi duszy Eluosi wie o tym już od dawna.

–Schwyтали go i zabrali do Obozu Chwały. Tam był biały koń. Nikki prowadził dla Jakli białego konia z Ladakhu. To był ten koń, którego przyprowadził Wangtu.

Robak, który zżerał go od środka, zbliżał się do powierzchni. Udręka zaczęła

wykrzywić twarz Marca.

–Potem widziałem go jeszcze raz – ciągnął Shan ledwo słyszalnie. – Miał bliznę na lewym ramieniu.

–Pamiętka po kuli. Patrol graniczny, podczas jego pierwszej karawany – szepnął Marco. – Mówiłem mu, żeby nie chodził za dnia tak blisko granicy.

–Za tym drugim razem... – Shan zacisnął szczęki tak mocno, że aż poczuł ból. – Miał w kieszeni kartkę, z angielskimi literami. Myślałem, że to jakiś szyfr. Myślałem, że jest Amerykaninem, mówił do mnie tak dobrą angielszczyzną. Ale tam chodziło po prostu o baseball. Pierwsza baza, druga baza, trzecia baza, zapisane skrótami, żeby łatwo było zapamiętać wszystkie pozycje. – Mecz baseballowy podczas Nadamu pozwolił mu złamać szyfr. Shan źle go odczytywał. To nie były poziome rzędy liter, lecz zapisane w kolumnach zbitki jedno- i dwuliterowych skrótów. FB oznaczało pierwszą bazę, SB drugą bazę, SS short stop. Sięgnął do kieszeni po świstek i rozprostował go.

–On sądzi – powiedział cicho Marco – że w Ameryce na egzaminie, który trzeba zdać przed nadaniem obywatelstwa, będą go pytali o baseball. Stara się grać, kiedy tylko może, żeby znać odpowiedzi.

–Ten drugi raz – ciągnął Shan – to było tamtej nocy w Obozie Chwały. Na włosach miał czarną pastę do butów. Wytarłem je. Były jasne. Widziałem zamię na jego biodrze. On nie żył, Marco. – Upuścił kartkę na podłogę przed Eluosim.

–Nie! – rzucił z nagłym gniewem Marco. – Nic nie wiesz! On wraca. On jedzie do Ameryki robić dzieci z Jakli... – Głos uwiązł mu w gardle.

Jakli także wiedziała, Shan był tego pewien. Jej pożegnalne słowa prześladowały go przez całą długą podróż do domu Marca.

Nikki i ja... to było jak sen, powiedziała. Trzeba będzie poczekać do następnego razu, dodała i brzmiało to tak, jakby miała na myśli następne życie, następną inkarnację. I jej oczy, zanim odeszła, by oddać się w ręce Bao. To nie strach widział w nich, uświadomił sobie później, ani nie nienawiść. Była w nich tylko pustka, gdyż dziewczyna odgadła już sercem to, co on sam zdołał wydedukować dopiero później. W pewnym sensie to właśnie on ukazał jej straszliwą prawdę, gdy byli w obozie, do którego Marco zesłał Tadżyka. Nie zdradziła się niczym, tylko pojechała później do swego prywatnego miejsca żałoby, gdy Kopyto wyznał Shanowi, że jego brat, który jeździł z Nikkim, pracował dla pałkarzy.

–Bao go zabił. Byłem pewien, że to Amerykanin. Jasne włosy i niebieskie oczy. Nie miałem pojęcia. – Shan nie mógł mówić inaczej niż krótkimi, gwałtownymi zrywami. Ale to jego

sercu, nie płucom, brakowało tchu. – Pałkarze robili obławę.

Bao dowiedział się o Amerykanach. Postanowił za wszelką cenę dostać ich w swoje ręce. To oznaczałoby pewny awans. Zaplanował, że schwyta ich, kiedy będą odjeżdżać, zastawi pułapkę na karawanę, która miała ich zabrać. Pojmał Nikkiego, kiedy chłopak wracał z białym koniem i srebrną uzdą. Musiał mieć pewność, że wyruszy tylko jedna karawana z wywrotowcami, twoja, aby jego helikoptery mogły ją wysledzić i zatrzymać. Przekupił jednego z ludzi Nikkiego, Tadżyka, który przyniósł uzdę do miasta, aby się upewnić, że nie będziesz nic podejrzewał.

–Nie! Do diabła, nie! – Wrzasnął Marco. Jego twarz jakby obwisła. – Nie! – krzyczał, aż wypalił się w nim gniew. – On niedługo wróci – powiedział słabo. – Kocham mojego chłopca.

–Mamy teraz sezon na chłopców – odparł Shan łamiącym się głosem. Wyciągnął stalowy pierścień z kieszeni, gdzie trzymał go od tamtej nocy w Obozie Chwały, położył go na stole obok Marca i wyszedł z pokoju.

Wspiął się na wieżę, w ciemność. Pięć minut później z dołu dobiegł rozdzierający, koszmarny dźwięk, jakiego miał nadzieję już nigdy więcej nie usłyszeć. Robak przedzierał się przez cienką skorupę, wgryzał się w duszę mężczyzny. W tym dźwięku była wściekłość. Był ból. Był zamęt i rozpacz, wszystko w tym jednym, przeciągłym, nieludzkim wyciu z bezmiernego, beznadziejnego żalu.

Shan przyłapał się na tym, że próbuje przez ły wypatrywać gwiazd, rozpaczliwie szukając czegoś, co zajęłoby jego uwagę. Straszliwy dźwięk rozbrzmiewał echem w jego myślach, przyprawiając go o dreszcze. Przez chwilę żałował, że nie może zawyc tak samo, by ulżyć udręczonemu sercu.

Pozostał na wieży jeszcze długo po północy, próbując nie myśleć i nie czuć. Nad ranem znalazł Marca siedzącego w kącie pokoju Nikkiego. Olbrzym wyglądał, jakby przez całą noc toczył wyczerpującą walkę i przegrał, po raz pierwszy w życiu poniósł druzgocącą klęskę. Pozwolił Shanowi zaprowadzić się do łóżka, słaby jak stara kobieta.

Pozostali czuwali w kuchni, na podłodze obok pieca. Siedzieli kręgiem wokół stosu brudnych kamieni, a obok Genduna stał dzbanek wody. Ale najwyraźniej dawno już przerwali ćwiczenie. Słyszeli i zrozumieli. Gendun i Lokesh odmawiali modlitwy. Jowa siedział z wyrazem zagubienia na twarzy, wpatrując się w swoje puste dłonie.

Gruby Mao był wściekły.

–To ta ohyda, ta cuchnąca chmura, która z dnia na dzień staje się coraz większa – odezwał się nagle i spojrzał na Shana. – I wiesz dobrze, że nie da się jej powstrzymać. Co z tym robisz? Rozjątrzasz tylko rany.

–Yakde Lama. Przyjechaliśmy pomóc Yakde Lamie – odparł cicho Shan, wpatrując się w kamienie.

–Do diabła z Yakde Lamą – warknął Gruby Mao. – Jeden mały chłopiec, nic więcej cię nie obchodzi? Nikki był moim przyjacielem, i Jakli też. Co z klanami, które tamci likwidują? Wielki mi detektyw. Nic nie robisz! Nie ocaliłeś Yakde Lamy. On nie żyje. Czarodziej z Lhadrung przybywa rozwiązać wszystkie zagadki. Czterej chłopcy nie żyją. Nie uratowałeś ich. Ty tylko wtykasz nos w nie swoje sprawy. Wszystko, co potrafisz odkryć, to nieszczęścia. – W głosie Ujgura brzmiało coś bliskiego furii. – Gdzie twoja logika? Gdzie twoje zasady? – Utkwił wściekłe spojrzenie w Shanie, który usiadł naprzeciw niego w kręgu, pochylając się naprzód, napinając mięśnie, jakby chciał się na niego rzucić. Nagle umilkł, najwyraźniej przypominając sobie o obecności pozostałych.

Shan przez chwilę patrzył w płonące oczy Grubego Mao, po czym przybity spuścił wzrok na swoje dłonie.

Długo siedzieli w ciszy, tylko wiatr zawodził wokół kamiennych ścian wieży, trzaskał ogień. W końcu Gendun uniósł chochlę i powoli wylał wodę na stos kamieni.

–Oto zasada Shana – oświadczył posępnie, obserwując spływający brud. – Być jak woda.

Odjechali, nie żegnając się z Markiem, gdy tylko świt stał się dość jasny, by mogli dostrzec drogę. Niemal godzinę później Shan zauważył dym nad domostwem Rosjanina. Zawołał na pozostałych i zawróciwszy konia, chciał pognać z powrotem, ale Lokesh uniósł dłoń. Marco podpalił chatę. Nie zdążyliby jej ocalić, nie zażyliby ocalić jego, jeżeli wszedł w płomienie. Shan zsiadł z konia i patrzył bezradnie, jak płomienie wzbijają się ponad grań, obrysowując sylwetkę kamiennej wieży. Nawet z tej odległości słyhać było trzask wielkich belek podsycających morze ognia. Shanowi zdawało się, że dostrzega na górnym tarasie ludzką postać, ale wiatr zmienił kierunek, ogień oraz dym przesłoniły prastarą wieżę i Marco zniknął.

Siedzieli w restauracji. Tęga kobieta gotowała łeb owcy, a przy kuchennym stole Gruby Mao bębnił w klawiaturę komputera, sztorcując Jaskółkę Mao, że nie ma wykazu ostatnio uwięzionych w Obozie Chwały. To bez znaczenia, powiedziała mu, bo Jakli widziano dwukrotnie na szosie kaszgarskiej. Sztylpy zabrały ją do specjalnego ośrodka przesłuchań w Kaszgarze. Potem czekają lao gai, dodała młoda Kazaszka, jakby chciała rozdrażnić Grubego Mao. Obóz Chwały to hotel w porównaniu z tym, gdzie oni zabiorą Jakli, rzuciła na koniec.

Ujgur wpatrywał się w nią morderczym wzrokiem, gdy niespodziewanie ktoś ostro zapukał do drzwi. Oboje zerwali się i popędzili do piwnicy. Tęga kobieta otworzyła drzwi i wpuściła Woła Mao oraz jeszcze jednego mężczyznę, którzy brutalnie wciągnęli do środka trzeciego, z zawiązanym na głowie workiem.

Bez słowa minęli Genduna i Lokesha, którzy siedzieli, medytując, w plamie światła przy frontowym oknie, i sprowadzili mężczyznę do piwnicy. Gdy Jowa wstał od stołu i zniknął w dole schodów, Shan cicho ruszył za nim. Mao posadzili mężczyznę na krześle przy stole i zerwali worek. Połowę twarzy ich więźnia

pokrywały sińce. Z nosa ciekła mu na wąsy strużka krwi, spływała po podbródku. Był to Wangtu. Gruby Mao w milczeniu krążył wokół stołu.

–Wypuścili mnie – powiedział szybko Wangtu drżącym od strachu głosem, przyglądając się po kolei ich twarzom. – Byłem na przesłuchaniu u prokuratorce w sprawie Lau i wypuścili mnie z Obozu Chwały. Nie miałem jak dostać się do miasta. Wiedziałem, że oni łapią konie. Powiedziałem, żeby mi pozwolili pojechać tym koniem do zagród, to go tam zostawię.

–Nie – warknął Gruby Mao. – Oni dali ci go za coś. Zapłaciłeś za niego. Powiedziałeś im coś.

Wangtu utkwiał wzrok w podłodze.

–Nienawidzę ich – powiedział głuchym głosem. – Oni są moimi wrogami. Miałem zamiar zgłosić się do was, do lung ma.

Mogę wam pomóc. Wożąc ludzi, słyszę to i owo.

Shan poczuł na sobie wzrok Ujgura. Spodziewał się, że Gruby Mao każe mu wyjść albo rozkaże innym, by wyprowadzili go siłą, ale Ujgur odwrócił się z powrotem do Wangtu.

–Co z tego jest kłamstwem? – Warknął. – To, że nie współpracowałeś z nimi, czy to, że chcesz pomóc?

Shan wstał, wziął ręcznik ze stosu w kącie i otarł nim krew z twarzy Wangtu. Nikt, nawet sam przesłuchiwany, nie zwrócił na to uwagi.

Kierowca wciąż patrzył tępo.

–Czasami wiem, kiedy pewni ludzie przejeżdżają szosą. Ważni ludzie – powiedział słabo. – Czasami mógłbym się postarać, żeby samochód nawalił. – Uniósł wzrok na grubego Mao. – Ten koń był wspaniały. Jakli była nim zachwycona. Po prostu chciałem, żeby go miała. Dawniej, kiedy byłem małym chłopcem, przyjaciele przyprowadzali konie na wesela. Nie rozumiecie? – Wychrypiał. – To był ostatni Nadam. – Spojrzał w ponurą twarz Ujgura, po czym odwrócił się do Shana. – Widziałeś jej twarz, kiedy go przyprowadziłem? Jak za dawnych czasów... – Jego wargi wygięły się, jakby chciał się uśmiechnąć, ale tylko skrzywił się z bólu. – Dał mi go, a potem go zastrzelił – dodał żałośnie, wpatrując się w podłogę.

–Nie sądzę, żebyś cokolwiek mu powiedział – stwierdził Shan. – A to dlatego, że nic nie wiedziałeś. Myślę, że zgodziłeś się coś dla niego zrobić.

–Głupstwo. Drobiazg. Miałem okłamać prokuratorkę. Bao zachowywał się tak, jakby chodziło o kawał. – Wangtu ponownie spróbował się uśmiechnąć i znów skrzywił się z bólu.

–Jak okłamać? – zapytał ostro Gruby Mao.

Wangtu spojrzał na Shana.

–O chłopcach. Miałem dopilnować, żeby Xu dostała dziś wieczorem wiadomość, że zabito kolejnego chłopca, wysoko w górach.

–Jakiego chłopca? – Wykrztusił Jowa.

–Jakiegoś tam. Żadnego. Miałem tylko tak powiedzieć, żeby pojechała w góry.

–Zasadzka na Xu? – podsunął Gruby Mao.

–Czy Bao powiedział ci, co dokładnie masz mówić? Wskazał ci dokładnie miejsce, w którym to się niby stało? – zapytał Shan.

–Nie. To miało być po prostu gdzieś w Kunlunie, przy jednej z tych fatalnych dróg, którymi trzeba wolno jechać. Miejsce oddalone o dwie lub trzy godziny jazdy. Było mu wszystko jedno gdzie.

–Więc nie zasadzka – skwitował Jowa. – Odwrócenie uwagi. Shan poczuł, że przechodzi go dreszcz.

–Bao chce ją odciągnąć od Kamiennego Jeziora – stwierdził.

Siedziba Brygady w południowej części Yoktianu w porównaniu z resztą miasta wyglądała jak prywatny klub. Tynkowane ściany pociągnięte były świeżą warstwą białej farby, podwórze zaś, wedle powszechnej na Zachodzie mody, pokrywał trawnik. Przed budynkiem stały liczne czerwone pojazdy, limuzyny, furgonetki i potężne ciężarówki, wszystkie noszące złoty emblemat dobrobytu.

Gruby Mao nie zgodził się pójść, nie zgodził się też na udział w tak karkołomnym przedsięwzięciu kogokolwiek z Mao.

–Wracaj do domu – oświadczył Shanowi napiętym głosem. –

Znalazłeś swoich dziadków. Wciąż żyjesz. Powiodło ci się lepiej

niż wielu z nas. Skończ, zanim pałkarze znów wezmą się do roboty. – Gruby Mao nie był po prostu wściekły z powodu aresztowania Jakli, uświadomił sobie Shan, widząc, jak Ujgur patrzy

na Jowę i Lokesha, którzy przyłączyli się do wyprawy. Był upokorzony.

Kompleks wydawał się opuszczony. Shan minął pustą portiernię. Miał wrażenie, że wchodzi w pułapkę, ale nie mógł się zatrzymać. Pospiesznie odwrócił się do Lokesha i kazał mu czekać wraz z Jową po drugiej stronie ulicy. Stary Tybetańczyk skinął głową na zgodę, lecz gdy Shan pchnął skrzydło podwójnych drzwi prowadzących do budynku biurowego, ktoś wyciągnął rękę i przytrzymał mu je. Obok niego stał Lokesh.

Gdzieś z bliska dobiegał dziwny hałas. Okrzyki. Wiwaty. Odgłosy tłumu, mimo że wciąż nie było widać żywej duszy. Weszli do holu i zobaczyli starszą Chinkę siedzącą sztywno za biurkiem recepcji. Gdy ją mijali, kobieta uśmiechnęła się, kiwając głową, i Shan spostrzegł, że jest ubrana w granatowe ubranie robocze. Za nią stała szczotka i

wiadro wody.

Bez trudu odnaleźli gabinet Ko. Prowadziły do niego tandetne drzwi wzorowane na porte-fenêtre, z czerwonymi plastikowymi kratkami na taflach przezroczystego plastiku. Jedno z krzeseł przy wejściu zarzucone było amerykańskimi czasopismami, nad nim zaś wisiał plakat z napisem *New York, New York*, przedstawiający strzelisty budynek na tle nocnego nieba. Przeciwległą ścianę zdobił transparent z hasłem, które Shan wziął za slogan partyjny, dopóki nie przyjrzał mu się i nie przeczytał dwukrotnie. *Wzbogać się z Brygadą*.

Biuro było puste. Shan przemknął obok stanowiska sekretarki do wielkiego gabinetu z błyszczącym biurkiem z chromowanego metalu i szkła. Nie było na nim nic poza czerwonym telefonem i fotografią przedstawiającą czerwony sportowy samochód.

Lokesh, stojący przy wielkim oknie za biurkiem, zachichotał cicho. Shan odciągnął Tybetańczyka od szyby i wyjrzał ukradkiem. Okno wychodziło na środek kompleksu, trawiaste podwórze otoczone z trzech stron przez budynki. Rozgrywano na nim mecz baseballowy. Na maskach i dachach zaparkowanych dokoła samochodów siedziały co najmniej dwa tuziny widzów. Ko biegał po placu tak jak Deacon w obozie podczas Nadamu, rozstawiając graczy, pokazując im, jak trzymać drewniany kij.

Gdy zawodnik uderzył piłkę i ponownie rozległy się wivaty, Shan wrócił do poszukiwań. Przedsiębiorczego Ko chyba niezbyt

interesowały szczegóły jego przedsięwzięć. W dwóch szufladach w wąskim stole pod oknem były tylko spinacze do papieru i ołówki. Regały mieściły kolekcję pamiątek i książek na temat zarządzania, w tym kilka po angielsku. *Jak wykorzystać chaos*, nosiła tytuł jedna z nich. Pamiątki stanowiły w większości znajome polityczne symbole. Popiersie Mao Tse-tunga. Deska z wyrytym napisem *Nie ustawać w wysiłkach*, skrótem ulubionego motta minionej dekady. Dwie zapalniczki w oprawie z polerowanego kamienia, z mosiężnymi plakietkami upamiętniającymi konferencje partyjne. Kilka długopisów i ołówek. Oraz sznurek obskurnych plastikowych paciorków. Shan podniósł je z półki. Była to mała. Pamiętając, że demon, który zabił Altę, zabrał różaniec chłopca, Shan włożył paciorki do kieszeni.

Nie było żadnych list chłopców z podsumowaniem nagród. Nie było notatek na temat Lau. Na ścianie wisiało zdjęcie Ko stojącego pod transparentem obwieszczającym Program Walki z Ubóstwem, ściskającego dłoń niemal łysego mężczyzny o szczupłej, drapieżnej twarzy. Shan przyjrzał się mężczyźnie z uwagą. Na marynarce miał wielką odznakę z sylwetką czołgu na chińskiej fladze. Pamiątka dla emerytowanych żołnierzy.

Shan podszedł do biurka sekretarki. Leżała na nim duża koperta z adresem zwrotnym centrali Brygady w Urumczi. Ktoś nabazgrał na niej nazwisko dyrektora Ko, a poniżej skreślił: *Chciałbym, aby wszyscy moi kierownicy rozumieli zasady nowej chińskiej gospodarki tak dobrze jak Wy, Towarzyszu. To będzie nasze wzorcowe przedsięwzięcie, ukazujące, czym naprawdę jest gospodarka rynkowa z chińskim obliczem*. Podpisane było *Rongqi*.

W kopercie Shan znalazł wydrukowaną na błyszczącym papierze etykietkę z widokiem gór oraz pałacu Potala w Lhasie, byłej siedziby dalajlamy przekształconej przez Pekin w świątynię dla turystów. Na ten obraz nałożone było słowo *Wyrocznia* oraz znak firmowy. *Prosto ze świętego źródła*, widniało pod spodem, a niżej, na samym dole, *0,351*. Po bokach można było przeczytać: *Leczy. Wzmacnia. Daje miłe sny. Skosztuj magii Tybetu*.

Shan wpatrywał się w etykietkę z konsternacją, gdy jednak przeczytał ponownie notatkę na kopercie, zaschło mu w gardle. Prorocze jezioro przy Kruczym Gnieździe. Program Walki z

Ubóstwem. Nienawiść Rongqiego do Tybetańczyków. Asymilacja ginących mniejszości narodowych metodami ekonomicznymi. Usunięcie Yakde Lamy. Ko i jego generał opracowali doskonały plan. Wzór nowej gospodarki. Sprzedawać święte wody Kruczego Gniazda wzbogaconym Chińczykom ze wschodnich miast. Rongqi ewoluował wraz z gospodarką, ale nie do końca. Zemści się na Yakde Lamie, płacąc wysokie nagrody za głowę chłopca oraz za Nefrytowy Koszyk, wyznaczy nawet własnego Yakde Lamę, po czym ciśnie swe zwycięstwo w twarze jego spadkobierców.

Shan drżącymi dłońmi uniósł projekt etykiety. Pod spodem był plik fiszek. *Propozycje haseł marketingowych*, zapisał ktoś ambitnie na pierwszej z nich. *Obraz: seksowna kobieta w koszuli nocnej*, zanotowano dalej. *Tekst: „Psst! Zdradzę ci tybetański sekret!”* Na drugiej zapisano: *Obraz: Mnich z szerokim uśmiechem na twarzy unosi butelkę. Tekst: „W Tybecie mówimy: Iha gyal lo! Zwycięstwo bogom. Ja mówię: Zwycięstwo tobie!”*

Fiszek było więcej, ale Shan nie chciał już ich czytać.

Nagle na podwórzu, gdzie rozgrywano mecz, roztrąbiły się klaksony. Shan rzucił kopertę na biurko i popchnął Lokesha ku drzwiom.

–Nie biegnij – upomniał go z naciskiem. Nie wyglądam na Tybetańczyka, cisnęło mu się na usta. Chwycił wiszący na drzwiach gruby płaszcz z kapturem i podniósł stojący w kącie kij baseballowy. Narzucił płaszcz na Lokesha, który wsunął ręce w rękawy i naciągnął kaptur na głowę. Przeszli holem, Shan pierwszy, z kijem na ramieniu, mijając uśmiechającą się dozorczynię przy biurku. Kobieta pomachała im na pożegnanie. Gdy dotarli do drzwi, zderzyli się z wchodzącą do budynku grupą ludzi. Pośrodku siedł wysoki barczysty mężczyzna, który rozprawiał hałaśliwie o rozegranym właśnie meczu. Shan zerknął na niego i szybko odwrócił wzrok, po czym zwolnił kroku, by wsłuchać się w jego niski głos. Kiedy wyszli z budynku, Shan uświadomił sobie, że widział go już wcześniej – stał w białej, jarzącej się w ciemnościach koszuli na szosie w górach Kunlun.

Dwadzieścia minut później byli z powrotem w piwnicy restauracji. Lokesh z szerokim uśmiechem dołączył zdobyczny płaszcz do kolekcji przebrań Mao. Pokazał im rękawiczki i czapkę,

które znalazł w kieszeni, oraz grubą podszewkę, sztuczne futro z lamparcim wzorem. Shan uśmiechnął się do przyjaciela, czując się dłużnikiem wobec bóstw, które chroniły starego Tybetańczyka, po czym zaczął opowiadać Mao o swoich odkryciach. Wangtu, siedzący bezwładnie na krześle w kącie, wyprostował się i słuchał z uwagą.

Chwilę później Lokesh zawołał przyjaciela ponurym tonem. Shan odwrócił się i spojrzał na niego ze zdumieniem. Płaszcz był dwustronny. Lokesh nałożył go lamparcim futrem na wierzch, na dłoniach miał brązowe rękawiczki, a brązową kominiarkę naciągnął na twarz, tak że widoczne były tylko oczy i usta. Trzymał kij baseballowy, lecz nie jak zawodnik, ale jedną ręką, uniesiony nad ramię. W drugiej ręce miał jakiś podłużny przedmiot. Gruby Mao zabrał mu go i przyjrząwszy się, nacisnął znajdujący się z boku przycisk. Z głośnym szczęknięciem wysunęło się długie ostrze. Nóż sprężynowy.

Shan wydał stłumiony okrzyk i wstał, uświadomiwszy sobie, że Lokesh odkrył właśnie, coż to był za demon w postaci pantery, który zaatakował chłopca od dropków. Demon bez twarzy. Miał łapy i lśniący kij podobny do ludzkiego ramienia bez palców, powiedziała kobieta. Spojrzał na kij baseballowy, szeroki w górnej części i zwężający się u dołu niczym nadgarstek. Jowa jęknął głośno i odwrócił się do Shana z przerażeniem i zrozumieniem w oczach. Chłopiec spotkał demona jedynie pod postacią pantery. Ale Shan musiał się zająć demonem pod postacią Ko.

Shan odwrócił się do Wangtu i przyjrzał się uważnie ponuremu Kazachowi.

–Musisz to zrobić – oświadczył, zerkając na Grubego Mao. – Musisz zanieść Xu to kłamstwo. – Szybko wyjaśnił, o co mu chodzi, a następnie poszedł na pocztę trzy przecznice dalej i z automatu zadzwonił do prokuratury. Wól Mao przysłuchiwał się rozmowie. Shan poprosił, by go połączono z panną Loshi, i zostawił u niej wiadomość, że idzie na plac miejski, gdzie chce się spotkać z prokuratorem Xu w ważnej sprawie dotyczącej dyrektora Ko. Minutę później Wól Mao odszedł z wiadomością przeznaczoną dla łysego śledczego Xu, Gruby Mao zaś pospiesznie wydawał polecenia pozostałym.

Pięć minut później rozległy się syreny i na placu zaczęli się zbierać pałkarze. Czy Loshi zadała sobie trud, by zadzwonić najpierw do Ko, zastanawiał się Shan, czy też od razu skontaktowała się z Bao? Wół Mao zdążył już do tego czasu ulokować się za budynkiem prokuratury, skąd obserwował limuzynę Xu. Jaskółka Mao, nieśmiała Ujgurka, stała w bocznej uliczce przecznicę dalej, skąd mogła widzieć Woła Mao. Jowa siedział na ławce na ulicy naprzeciwko Shana, skąd widział Jaskółkę Mao. Sygnał nadszedł szybko. Jowa odłożył gazetę, którą czytał, i uniósł ręce, jakby się przeciągał. Shan wstał i ruszył wolnym krokiem, a gdy dostrzegł w bocznej uliczce cień wielkiego samochodu, wyszedł przed pojazd.

Nikt się nie odezwał, kiedy wszedł do limuzyny. Łysy mężczyzna jechał szybko, kierując się za miasto, podczas gdy Xu niespokojnie rozglądała się po ulicach. Pięć minut później zjechali na kamienisty szlak i zatrzymali się na szczycie niewielkiego wzgórza. Znajdowali się na skraju pustyni, zwróceni na zachód, w stronę popołudniowego słońca. Xu w milczeniu wysiadła z samochodu i zeszła ze wzgórka. Shan ruszył za nią i znalazł rozlatujące się krótkie drewniane schody. Prokuratorka siedziała na rozchybotanej ławce pod pagórką, obok tabliczki opartej o drewniany słup, od którego najwyraźniej odpadła. Na tabliczce widniały płynne znaki kazachskiego pisma, bez chińskiego odpowiednika.

–Stary muzułmański cmentarz – powiedziała, spoglądając na rzędy identycznych spalonych słońcem grobów, długich cylindrycznych wzgórków z gliny i cementu, z lekkim szpicem wzdłuż górnej krawędzi. Wyglądało to jak dziesiątki świątynnych kolumn, powalonych i leżących w równych rzędach. Tu i ówdzie widać było małe budki w kształcie ula z wypalanej gliny, mieszczące, jak podejrzewał Shan, skremowane szczątki, oraz kilka większych uli, w których spoczywały zwłoki grzebane w pozycji siedzącej, z kolanami przyciągniętymi do piersi.

Szybko opowiedział o związku Ko z atakiem na chłopca od dropków.

–Poszlaki – stwierdziła.

–Ko musiał tamtego dnia pojechać samochodem Brygady do Tybetu z kimś jeszcze, tak samo jak następnej nocy, kiedy ich

widzieliśmy. Nie powinno być trudności ze znalezieniem przy-najmniej niektórych z tych, którzy mu towarzyszyli. Moglibyście ich przesłuchać. Wydobyć zeznania. To jedna z waszych specjalności, jak słyszałem. Nie połknęła haczyka.

–Bao znalazł ciało Lau – oznajmiła natomiast. Shan poderwał głowę. – A raczej powiedział, że znalazł. Więc zadzwoniliśmy i powiedzieliśmy, że potrzebna jest sekcja zwłok. Odpowiedział, że jego urząd już ją wykonał, i potwierdził, że przyczyną zgonu było utonięcie. Ciało zostało poddane kremacji w Hotanie.

–Jej ciało?

–Miał jakieś ciało. Ale nie wiedział, że prokuratura także korzysta z krematorium w Hotanie. Zadzwoniliśmy tam, a człowiek z obsługi oświadczył, że procedura się opóźniła i właśnie mają zamiar zacząć. Powiedziałam, że chcemy się jeszcze raz upewnić co do tożsamości tej kobiety, a on oddzwonił pięć minut później, cały roztrzęsiony. To nie była wcale kobieta. To był młody mężczyzna, i nie utonął, ale został dwukrotnie postrzelony w klatkę piersiową. Pomyłki się zdarzają, powiedziałam, po prostu odłóżcie go do kostnicy. Będziemy w kontakcie.

–Porucznik Sui – szepnął Shan w stronę grobów, jak gdyby ci, którzy w nich leżeli, zasługiwali na to, by wiedzieć.

Prokuratora skinęła głową.

–To dziwny sposób tuszowania sprawy. Gdyby Bao zastrzelił Sui, byłby bardziej ostrożny, nie byłoby żadnego ciała. On sprząta bałagan po kimś innym. Po kimś, komu nie chce wytoczyć sprawy.

–Po Ko. To Ko zastrzelił Sui. Spotkałem świadka. Bao dowiedział się o tym i Ko oddał mu swój samochód, żeby go uciszyć. Teraz są partnerami w interesach, dzięki Rongqiemu. Bao osłania Ko, przynajmniej na razie.

–Śmieszne. Bao i Ko to zupełnie różne typy. Nigdy nie byli przyjaciółmi. Znam ich, odkąd zjawili się w Yoktanie.

–Widziałem transparent Programu Walki z Ubóstwem – powiedział Shan. – Jednoczmy się, by odnieść sukces gospodarczy. Myślę, że Rongqi połączył ich wspólnym celem.

–Takim jak szukanie waszego małego lamy? – zapytała sceptycznie Xu. – Mówicie o Brygadzie, jednym z największych

przedsiębiorstw w Chinach, i o Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego.

–Nie. Nie o urzędzie. Po prostu o dwóch skorumpowanych oficerach. Sui ukrywał swoje poczynania przed Bao. Sui zabił Lau i wyprzedził Ko w poszukiwaniach chłopca. Ko zabił go, gdyż Sui zanadto się zbliżył do wielkiej nagrody. Później, gdy Bao dowiedział się, co zaszło, sam wszedł w rolę Sui. Jednoczmy się, by zmaksymalizować nagrody. Pracując wspólnie, mogą wygrać więcej. Rongqi podwyższył nagrodę, za bardzo, żeby mógł to zignorować ktoś taki jak Bao, który utknął w Yoktianie na pensji pałkarza.

Sfałszowanie dowodów w sprawie Lau

byłoby błahostką dla kogoś, kto zabija chłopców dla pieniędzy –

Shan westchnął ze znużeniem. – Aresztujcie ich obu. Zostaniecie bohaterką.

Xu skrzywiła się.

–Wciąż nie ma żadnych solidnych dowodów.

–Ciało w kostnicy to dobry początek. I jest świadek zamordowania Sui, ukrywający się w górach. – Shan przyjrzał się jej uważnie. – Chodzi wam o to, że nie ma politycznego wyjaśnienia?

Xu milczała, spoglądając na cmentarz. Wiatr niósł tumany piasku wzdłuż rzędów grobów.

–Korupcja jest sprawą polityczną – podsunął Shan. – Zniszczcie Rongqiego i możecie wydostać się z Xinjiang.

Znów się skrzywiła.

–Potrzebuję dokumentów – powiedziała. – Potrzebuję ksiąg rachunkowych. Potrzebuję dowodów. Wprowadzenie bodźców ekonomicznych przez prywatne przedsiębiorstwo to nie przestępstwo.

–Ale oferowanie nagrody za zabicie chłopca tak.

Xu pokręciła głową.

–Wystarczy, że Rongqi powie słówko sztylpom, i wszyscy kończymy w lao gai.

Nie sądzicie chyba, że mogłabym tknąć generała.

Shan spojrzał na nią. Jej oczy wciąż były twarde jak kamyki, lecz nie odwzajemniła jego spojrzenia.

–Myślę, że możecie. Myślę, że po prostu się tego boicie.

–Jasne. Następnym razem wyznaczy nagrodę za kłopotliwych prokuratorów.

–Nie. Wy się nie boicie Rongqiego. Myślę, że tylko jedno naprawdę was przeraża.

– Spojrzała na niego. – Myślę, że boicie się stać mną.

Xu wydała dźwięk, który zaczął się jak śmiech, ale skończył jak skowyt.

–Można stawić im czoło – ciągnął. – Ale jeśli to zrobicie, możliwe jest też, że skończycie jak ja. – Mówił rzeczowym tonem, jakby chodziło o jakąś dziwną, niższą formę życia, nie o niego samego.

Zerwała się z ławki i ruszyła wzdłuż rzędu grobów. Słońce zaczęło chować się za

**górami i wzmógł się wiatr. Zmieniał kierunek, roznosząc drażniący zapach krzewów
prześli rosnących na skraju pustyni. Powietrze było chłodne, niemal mroźne,
zapowiedź nadchodzącej zimy.**

**Shan ruszył za Xu, ale gdy przystanęła, zatrzymał się dwa metry od niej. Pochylił
się nad jednym z grobów i zaczął usuwać nagromadzone pod nim zeschnięte liście.
Jedną z tradycji obcych już większości współczesnych Chińczyków było święto Chen
Ming, kiedy to uprzątało się groby przodków i wieszano nad drzwiami gałązkę
wierzby, żeby odegnać złe duchy. Gdy władze zakazały składania zmarłych w
grobach, zarazem zakazały też obchodzenia tego święta. Shan zobaczył kiedyś, że
ojciec mocuje do framugi ich drzwi małą gałązkę wierzby. Ojciec z zażenowaniem
próbował obrócić sprawę w żart i odszedł z gałązką. Ale w nocy pojawiła się nad
drzwiami.**

**–Za parę godzin zostaniecie zawiadomieni o przestępstwie –
odezwał się głośno, nie przerywając pracy. – Bao to zaaranżował. Ktoś
poinformuje was, że zaatakowano, może nawet zabito, kolejnego chłopca. W górach.
Na takie wezwanie prokuratura musi zareagować. Będziecie musieli wyjechać
natychmiast albo wcześniej rano.**

**Xu nie dała po sobie poznać, że to usłyszała. Odeszła dalej. Kilka minut później
stała po drugiej stronie grobu, przy którym pracował.**

–Chcecie powiedzieć, że to pułapka?

**–Raczej fortel dla odwrócenia uwagi, jak sądzę. Ponieważ właśnie jutro rano Bao i
Ko zamierzają schwytać ostatniego chłopca.**

Tego, który ma Nefrytowy Koszyk. Akcja doskonale zgrana w czasie z wizytą generała. Główne trofeum trafi do jego rąk, gdy tylko tu przybędzie.

–On już tu jest – oznajmiła Xu. – Przyjechał dziś po południu i zatrzymał się w specjalnym pensjonacie Brygady. Ze sztylpami jako obstawą.

Shan westchnął.

–Znakomicie. Aresztujcie ich wszystkich.

–To szaleństwo – odpaliła. – Kompletnie straciliście obywatelskie poczucie więzi z waszą władzą – stwierdziła bez przekonania.

Shan wpatrywał się w nią bez słowa.

–Zbyt długo żyliście w Tybecie – rzuciła oskarżycielsko.

–Czytałem coś na temat więzi między władzą i obywatelami – odparł. – Nazywają to *Księgą Lotosu*.

Jego słowa dziwnie podziałały na prokuratorkę. Zdawało się, że na chwilę przestała oddychać. Spojrzała na groby.

–To nie tak – odezwała się sztywno po długim czasie.

–Kiedy człowiek siedzi za drutami – powiedział cicho, ze wzrokiem utkwionym w dali – budzi się, nie wydając dźwięku. Ludzie ucą się krzyczeć bezgłośnie podczas koszmarnych snów, bojąc się tego, co robią strażnicy, kiedy jest hałas. – Kobieta, która teraz na niego spojrzała, nie była prokuratorką. Była kimś, kogo nie widział nigdy wcześniej. Jej kamienna maska zdawała się kruszyć. – Ale pewnego dnia obudziłem się, słysząc piękny dźwięk dzwonu. Nie głośny, ale prawdziwy i harmonijny, rezonujący w moich kościach, doskonały. Później zapytałem lamę, kto uderzał w dzwon. Lama odparł, że nie było żadnego dzwonu, ale o świcie przyglądał się, jak pojedyncza kropla wody spada z dachu do mojego blaszanego kubka. Powiedział, że takiego właśnie dźwięku potrzebowała moja dusza.

–Nie rozumiem – szepnęła Xu w stronę grobów.

–Chodzi mi tylko o to, że Tybet zmienia człowieka. Sprawia, że wszystko widzi i słyszy inaczej. Ten kraj naznacza człowieka, wypala swoje piętno na duszy. – Spojrzał na nią. – A czasem przepala duszę na wylot.

Xu odwróciła się twarzą do wieczornego wiatru.

–W tej księdze... – zaczęła, jakby chciała coś wyjaśnić.

–Wiedźcie jedno – przerwał jej Shan, nie zamierzając jej

zwodzić. – Nie czytałem w tej księdze niczego na wasz temat. – Ale przypomniał sobie dziwny wyraz jej twarzy, kiedy patrzyła w stronę gór Kunlun, i wrogość, z jaką odnosiła się do Tybetańczyków.

Przez chwilę zdawało się, że jego słowa przyniosły jej ulgę. Poszła w stronę schodów, lecz gdy do nich dotarła, znów usiadła na ławce. Shan pracował przy grobie jeszcze przez parę minut, dopóki nie uprzątnął go dokładnie, a ona po prostu siedziała tam, wpatrując się w porośle zielskiem mogiły.

Opuścił cmentarz i przeszedł obok niej. Był na pierwszym stopniu, kiedy się odezwała.

–Tu jest trzysta czterdzieści siedem grobów – szepnęła. –

Policzyłam je kiedyś.

Usiadł na schodach. Nad cmentarzem krążył wielki ptak, który w końcu usadowił się na jednym z dalej położonych grobów. Sowa. Strażnik umarłych.

–Miałam tylko szesnaście lat – wybuchnęła nagle. Zabrzmiało to prawie jak szloch. – Jechaliśmy konwojem ciężarówek z Szanghaju, zbierając po drodze coraz więcej ludzi. Zrobili mnie

oficerem. Wcale o to nie prosiłam, ale powiedzieli, że potrafię recytować więcej wierszy Przewodniczącego niż inni z mojej

jednostki. Podróżowaliśmy tygodniami. Rozwalaliśmy ogrodzenia, żeby wyzwolić żywy inwentarz. Paliliśmy szkoły, żeby wyzwolić dzieci. Paliliśmy biblioteki, żeby wyzwolić wiedzę.

Czerwona Gwardia, uświadomił sobie Shan. Xu mówiła o Czerwonej Gwardii i o „rewolucji kulturalnej”.

–Kiedy dotarliśmy do Tybetu, przydzielili mi rejon i normę.

Ustalono, że dziesięć procent wszystkich obywateli stanowią złe elementy, a ja musiałam zidentyfikować swoje dziesięć procent i poddać ich krytyce, publicznej krytyce, gwałtownej krytyce.

Niekiedy śmiertelnej krytyce. Gompy musiały zostać wyeliminowane. Reakcjoniści musieli zostać ukarani. Czternaście razy

nasza jednostka zmuszała dzieci do zastrzelenia rodziców. – Przerwała i ponownie rozejrzała się po grobach, jakby zamierzała po

liczyć je raz jeszcze. – My sami byliśmy tylko dziećmi. Czasem oni rozbierali lamów do naga i kazali im tańczyć na miejskim placu.

–Oni?

Xu milczała. Przesunęła dłonią po wargach. Drżała jej ręka.

–My – powiedziała w końcu i wepchnęła kłykieć do ust. Po

chwili wyjęła go i przyjrzała mu się tak, jakby nie rozumiała, skąd się tam wziął. – Chciałam z tym skończyć. Chciałam wracać do domu. Miałam już dość przemocy. Martwiłam się o rodzinę. Ale jeśli mówiło się o rodzinie, było się krytykowanym. Znamię reakcjonisty, oznaka przywiązania do tradycji czasów ucisku. Jedyne, co mogłam zrobić, to ciągnąć to dalej. Dostawaliśmy nagrody. Wzorowa jednostka. Dostawałam kolejne awanse. Była gompa daleko we wzgórzach, wielka gompa za Shigatse. Z Lhasy przyjechał Komitet Rewolucyjny z ekipą fotografów, żeby przyjrzeć się, jak wykonujemy swoją pracę. Otoczyliśmy gompe i śpiewaliśmy rewolucyjne pieśni. Wydałam rozkaz, żeby ją spalić. Myślałam, że mnisi wyjdą, mieli na to dość czasu. Ale nie zrobili tego. Niektórzy z nich stali w drzwiach i płonąć, patrzyli na nas. Ale większość po prostu została w środku, odmawiając mantry. Przez długi czas było ich słychać poprzez ryk ognia. Potem znaleźliśmy ich ciała leżące rzędami, bo aż do końca siedzieli w kaplicy zwróceniu do swych lamów. Rząd za rzędem, jak cmentarz. Świątowaliśmy i znów śpiewaliśmy nasze pieśni. Trzystu czterdziestu dziewięciu. Przewodniczący przysłał mi list pochwalny. Dzięki temu dostałam pierwszą posadę w prokuraturze. Dlatego, że miałam list od Przewodniczącego. Tam było napisane po prostu, że zrobiłam dobrą robotę, że byłam wzorową pracownicą. Nie wspomniano, że tą robotą było zabicie trzystu czterdziestu dziewięciu mnichów.

Shan milczał. Nauczyciel historii powiedział mi kiedyś, że jedynym problemem współczesnych Chin jest to, że ludzie żyją zbyt długo, że zbyt wiele milionów dożywa podeszłego wieku, kiedy zaczyna pojawiać się u nich sumienie. Xu wcześniej doświadczyła koszmarów i jej sumienie schwytało ją w pułapkę. To nie tak, powiedziała o *Księdze Lotosu*. Co znaczyło: było tak, ale teraz jestem już kimś innym. Była więźniem w nie mniejszym stopniu niż ci, których wysyłała za druty, wygnana przez siebie samą na pogranicze, bo sądziła, że tam może coś zmienić.

Zdawało się, że nie zauważyła, kiedy wstał i wspiał się po schodach. Minął samochód, nie oglądając się na tysego mężczyznę za kierownicą, i poszedł w stronę miasta, w podmuchach wiatru sypiących piaskiem na drogę, z duszą tak ciężką, że zdawało mu się, że już nigdy nie usłyszy bicia dzwonu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Piach sunął z wiatrem ulicami Yoktianu, przesłaniając pokruszone krawężniki, zacierając pęknięcia w ścianach. Wydawało się, że całe miasto pociągnięto sprayem, by nadać mu czystszy, bardziej przyzwoity wygląd. Być może na rozkaz generała. Ale Shan nie dał się oszukać. W jezdniach w dalszym ciągu były dziury, w których można by złamać kostkę, a w ścianach ziały szczeliny, w których czaiły się szczury.

Gdy dotarł do restauracji, przed tylnym wejściem budynku stała ciężarówka dostawcza. Gendun i Lokesh spali we frontowej sali pod dwoma zsuniętymi stołami, jakby spodziewali się trzęsienia ziemi. Obok w pozycji lotosu siedział Jowa, trzymając straż. Gdy tęga kobieta wyciągnęła w stronę Shana kubek herbaty i miskę makaronu, zawarczał silnik ciężarówki.

–Obóz ryżowy – odpowiedziała na jego pytające spojrzenie, a on wypadł przez drzwi i wskoczył na platformę tak szybko, że dopiero siadając, uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ręce kubek z herbatą.

Gruby Mao, siedzący w cieniu tuż za kabiną, nie był zachwycony jego widokiem. To krótka wizyta, powiedział, odbiór zamówień na przyszłotygodniową dostawę żywności. Ale Shan wiedział, że to nieprawda. Jechali z powodu Czerwonego Głazu, gdyż następnego popołudnia klan miał zostać rozwiązany, gdyż Akzu i Gruby Mao mieli plan, którego nie chcieli wyjawic. Ale Shana nie obchodziło to wszystko. On jechał do obozu z powodu nadzorcy strumieni. Nie było nic innego do roboty poza czekaniem na świt, poza czekaniem na spotkanie na ostateczną konfrontację przy Kamiennym Jeziorze, gdzie zabójcy przyjdą zgarnąć swą ostatnią zdobycz, gdzie Shan musi się pojawić przed

pałkarzami, by uratować chłopca, jeśli on sam i pilnujący go pasterze nie zostaną zatrzymani przez Mao, którzy będą ich wypatrywać na drogach prowadzących do Kamiennego Jeziora.

Budynki administracyjne w Obozie Chwały wyglądały na wyludnione. Wartownia stała pusta, a brama była zamknięta. Ale Wół Mao wysiadł zza kierownicy i pospiesznie otworzył kłódkę. Zaparkowali przy magazynie i w ślad za zwalistym Kazachem z kabiny wyszła Jaskółka Mao w prostym, dodającym jej powagi biurowym kostiumie. Z wielką kopertą pod pachą zdecydowanym krokiem ruszyła ku budynkowi biurowemu.

Shan stał przy wewnętrznym ogrodzeniu, wpatrując się w barak dla więźniów specjalnych. Nie miał żadnego planu, żadnego pomysłu, nie miał nawet pewności, że lama tam jest. Nawet gdyby Jaskółka Mao dowiedziała się, a w jakiej celi go trzymają, Mao nie mogli sobie pozwolić na przekroczenie wewnętrznego pierścienia drutów, gdzie zaczynała się strefa ścisłego nadzoru. Pochylił się nad kępką zwiędłych astrów, którym udało się przeżyć w piaszczystej ziemi tuż pod wewnętrznym ogrodzeniem. Zerwał jeden z kwiatów i wsadził go między druty w miejscu gdzie ogrodzenie przebiegało najbliżej baraku dla więźniów specjalnych. Być może, pomyślał smutno, przyszedł po prostu powiedzieć do widzenia. Stary Tybetańczyk

nie pożyje długo, gdy Bao lub Rongqi odkryją, że jest lamą. Obejrzał się na budynek administracyjny, po czym powoli, niechętnie, przeniósł wzrok na małą szopę, w której znalazł Nikkiego, a potem na kotłownię.

Zaczął iść, machinalnie stawiając kroki, aż stwierdził, że znajduje się pod dachem kotłowni. Z odległości sześciu metrów czuł żar pieca i stał tam, z wypalonym w myślach obrazem dzielnego jasnowłosego chłopaka przy drzwiach kotła. Był niewiele starszy od jego własnego syna. Okrążył budynek i przystanął na skraju cmentarza. W bladym świetle przesłoniętego chmurami księżyca groby zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Drobnymi, niepewnymi krokami ruszył ku przeciwległemu końcowi, gdzie znajdowały się najświeższe kopczyki ziemi.

Potem zobaczył jakieś zwierzę. Niski, niewyraźny, zwalisty kształt sunął wśród grobów, jakby szedł czyimś tropem. Shan rozejrzał się za łopata, kijem, czymkolwiek, czego mógłby użyć jako broni. Stworzenie zatrzymało się przy jednej ze świeżo usypanych mogił. Zdjęty przerażeniem Shan zastanawiał się, co zrobi, jeśli zwierzę zacznie rozgrzebywać grób, żeby dostać się do zwłok. Padlinożercy gustowali w gnijącym mięsie. Ruszył naprzód na drżących nogach. Stwór nie zwracał na niego uwagi. Przeciągał leniwie łapą po ziemi długimi ruchami, świadczącymi o wielkiej sile.

Po chwili zwierzę odchyliło się w tył i usiadło na zadzie. Gdy księżyc wyłonił się zza chmury, Shan wydał na wpół zduszony okrzyk. Zwierzęciem był Marco Miagow.

Stał przez długą chwilę w milczeniu, nim odważył się zrobić krok naprzód. Marco sprężył się i zdawało się, że lada chwila rzuci się na Shana, lecz rozluźnił się, gdy go rozpoznał. Shan nie odezwał się na powitanie, ale sam zaczął krążyć wśród grobów, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądały podczas jego pierwszej wizyty. Po kilku minutach zatrzymał się przy trzech świeżych mogiłach.

–Tutaj – powiedział. – Powinien być tutaj.

Marco wstał ociężale. Wytarł dłonie wymazane sadzą i ziemią cmentarza, po czym podszedł do Shana.

–On jest... – Shan z trudem szukał odpowiednich słów. –

Jest wśród wielu dobrych ludzi. – Wielu z tych, którzy spoczywali na tym zapadłym pustkowiu, przeciwstawiało się reżimowi, zginęło za swoje przekonania.

Marco nie dał żadnego znaku, że usłyszał jego słowa.

–Myślałem, że ty... – zaczął niepewnie Shan. – Widziałem ogień, myślałem, że nie żyjesz. – A jeśli to nie jest Marco, po myślał z trwogą, jeśli to jest tylko zjawą, wąty cień, który po został po nim, gdy stracił duszę tamtej nocy?

Ale potem mężczyzna przemówił i Shan odetchnął z ulgą.

–Spaliła się – powiedział ochryple. – Na tchnienie Boga, jak ona płonęła...

–Ale dlaczego ty...

–Musiałem pogadać z moim Nikkim.

–A co potem? – zapytał Shan po chwili.

–Mówiłem ci już. Dopadnę sukinsynów. Tak właśnie zrobię.
Jego słowa z jakiegoś powodu zasmuciły Shana.

–Amerykanie cię potrzebują. Muszą się stąd wydostać. Są w wielkim niebezpieczeństwie.

Marco spojrział na niego z zakłopotaniem, jakby o tym nie pomyślał.

–Zabiją cię – dodał Shan. – Tu są żołnierze. Nie będziesz miał szans.

Eluosi nie odpowiedział. Wybrał środkowy z trzech grobów i usiadł przy nim, po czym poklepał ziemię obok siebie, zapraszając Shana, by do niego dołączył. Shan uklęknął w głowach grobu.

–Nie bałbym się zostać tu z Nikkim – oświadczył Eluosi niemal pogodnym tonem.

– Nic mi nie pozostało. Nie mam kraju. Nie mam rodziny. Nie mam domu.

–Ale co Sophie zrobiłaby bez ciebie?

Oczy Marca spoczęły na jaśniejszej plamie odcinającej się od ciemnego wzgórza za obozem. Westchnął ciężko i wyjął coś z kieszeni. W świetle księżycy Shan rozpoznał rosyjskie odznaczenie, które widział w pokoju Nikkiego. Gwiazdę od cara.

Marco rozgarnął luźną ziemię w głowach grobu i zagrzebał gwiazdę, po czym przez długi czas mówił coś po rosyjsku, patrząc najpierw na grób, potem na niebo.

Gdy skończył, przeniósł wzrok na zabudowania obozu. W jego oczach pojawił się ostry błysk, jak u wojownika. Nagle zerwał się i ruszył biegiem ku kotłowni.

Nim Shan go dopędził, Marco stał już przy otwartym palenisku kotła, pospiesznie wrzucając węgiel do ognia. Wskazał załadowane taczki przed szopą i Shan przytoczył je do kotłowni. Wkrótce Eluosi zapełnił palenisko węglem do granic możliwości.

Gorąco było niemal nieznośne, nim Marco nie zamknął drzwiczek. Eluosi rzucił się ku ławie z narzędziami i wrócił z długim szpikulcem oraz parą szczypiec. Wsadził szpikulce w otwory przeznaczone do mocowania kłódki na drzwiczkach paleniska, kiedy kocioł nie był w użyciu, po czym zagiął oba końce, uniemożliwiając otwarcie drzwi. Pospiesznie przyjrzał się pokrętłom nad drzwiczkami, zamknął zawór bezpieczeństwa, otworzył do oporu wlot powietrza i roztrzaskał kontrolkę temperatury. Miał

już odejść, ale jeszcze na chwilę wrócił do kotła i zostawił na drzwiczkach paleniska wyjęty z kieszeni przedmiot. Shan rozpoznał go. Był to prosty stalowy pierścień, który nosił Nikki.

Nie było sensu protestować, nie było możliwości powstrzymania uruchomionego przez Marca procesu, nie było szans na namówienie Mao, by zostali i odszukali nadzorcę strumieni w chaosie, który miał się rozpętać. Gdyby ktokolwiek z nich został schwytany w pobliżu obozu, zostałby prawdopodobnie aresztowany, może nawet zastrzelony na miejscu, za popełnienie sabotażu.

Mao czekali przy ciężarówce. Shan jeszcze raz spojrzął na teren za wewnętrznym ogrodzeniem i westchnął.

–Przepraszam, Johnny – powiedział Marco. – Taki właśnie jestem. Teraz jedź. Jedź szybko.

Gdy wrócił, Mao byli gotowi do odjazdu. O kotle powiedział im dopiero po dobrych kilku minutach, gdy znaleźli się daleko za bramą. Gruby Mao wysłuchał go, po czym zastukał w okno i Wól Mao zwolnił. W chwili, gdy opuścił szybę, żeby ich zapytać, o co chodzi, doliną wstrząsnęła eksplozja. Ciężarówka zakołysała się. Ze zbocza nad nimi obsunął się gład i przetoczył się obok nich. Wól Mao dodał gazu, pokonał wzgórze u wylotu doliny i zatrzymał ciężarówkę. Widzieli stąd obóz jak na dłoni, odległy nie więcej niż o pięć kilometrów. W nocne niebo buchały potężne płomienie. Kotłownia i magazyn stały w ogniu. Wybuch rozrzucił płonące szczątki po całym obozie. Wkrótce pożar ogarnął budynek biurowy.

Pół godziny później Mao krążyli niespokojnie po swej piwnicy, spierając się, wysuwając i odrzucając plany, zgadując, jak zareagują na ten wypadek pałkarze i Brygada, ale z każdym pomysłem tylko coraz bardziej się denerwowali. Gruby Mao nieustannie im przypominał, że klan Czerwonego Głazu miał zostać rozproszony w ciągu godzin, teraz zaś ich plan stał się niewykonalny. Wól Mao oświadczył, że powinni świętować. Jaskółka Mao siedziała przy stole, wpatrując się w pusty ekran komputera.

Shan przyglądał się temu przez kwadrans, siedząc na schodach, po czym podszedł do stołu.

–Ten wasz plan... – zaczął, usiadłszy przy Jaskółce Mao. –

Skoro teraz jest niewykonalny, to chyba możecie mi powiedzieć, co to było. Wiem, że miało coś wspólnego z ciężarówkami, jak ta, którą próbował ukraść klan Czerwonego Głazu.

Gruby Mao zmarszczył brwi, ale w końcu wzruszył tylko ramionami i wyjaśnił mu. Stada były wysyłane na północ, w czterech wielkich ciężarówkach do przewozu inwentarza. Wszyscy ludzie otrzymali już przydziały – Kazachowie mieli w większości iść do miasta, pracować w fabrykach Brygady. Jaskółka ściągnęła szczegółowe dane z komputerów Brygady. We wszystkich czterech ciężarówkach umieszczono kierowców lung ma.

–Ale cały numer polega na tym – ciągnął Ujgur – że Brygada

przez cały czas eksportuje żywy inwentarz do Kazachstanu.

Dwanaście ciężarówek ma przejechać w tym tygodniu kazachską granicę, kierując się na zachód szosą do Alma-Aty. Jaskółka zdobyła numery dostaw, numery zezwoleń na przejazd, wszystkie zatwierdzone i umieszczone w rejestrach. Strażnicy graniczni mają te numery, dla weryfikacji. Jowa pomógł nam zaplanować wszystko. Dziś wieczorem Jaskółka podłożyła nową dyskietkę, którą znajdą jutro, kiedy otworzą biuro. Jej nazwisko nie będzie dołączone do żadnego pliku. Jakiś inny urzędnik dostanie plik i prześle potwierdzenie podróży do centrali Brygady. Wśród skierowanych do Kazachstanu pojazdów będą cztery ciężarówki Czerwonego Głazu. Te cztery podjadą pod punkt zborny, który przyjmuje owce Czerwonego Głazu, ponieważ będą w nich kierowcy Mao.

–A kiedy ciężarówki odjadą z owcami, klan będzie z nimi.

Gruby Mao wzruszył ramionami.

–To mały klan. W Kazachstanie jest dość ziemi dla uchodźców z Chin. Dostaną nowe pastwiska, będą z innymi Kazachami.

–Ale ciężarówki są sprawdzane. Najpierw przegląda się papiery, a potem ładunek.

–Dlatego właśnie tak ważne było zgranie w czasie. Strażnicy graniczni regularnie dostają łapówki. Za dwa dni, o określonej porze, pewien sierżant miał pełnić służbę podczas kontroli tych czterech ciężarówek. Miał dokonać odprawy osobiście.

Papiery

byłyby w porządku, po prostu nie spojrzaliby na ładunek. On jest przyzwyczajony do towarów czarnorynkowych. Marco go polecił.

–Tyle tylko, że dane nie zostaną wysłane, ponieważ spaliła się dyskietka – dokończył Shan.

–Wszystko, co im teraz pozostało, to wziąć tę robotę w fabryce i mieć nadzieję, że kiedyś znajdziemy jakiś inny sposób.

Shan przyjrzał się twarzom Mao. Podniecenie, które malowało się na nich, gdy po raz pierwszy zobaczyli płomienie Obozu Chwały, ustąpiło miejsca przygnębieniu.

–Czy te kopie danych z Obozu Chwały – zwrócił się Shan do Jaskółki Mao – zawierają wykazy osób pochowanych na cmentarzu?

Powoli skinęła głową. Odwrócił się do Grubego Mao.

–Możecie zdobyć pieniądze? Może cztery „pandy”?

Ujgur skinął głową.

–Płacimy nimi ludziom po drugiej stronie granicy. Oni wolą mieć do czynienia ze złotem.

Shan szybko nakreślił swój plan.

–Jedynym problemem – zakończył poważnym tonem – jest to, że Akzu i wszyscy pozostali muszą umrzeć. – Marco miał wywieźć Kazachów razem z Amerykanami. Cztery złote „pandy” były potrzebne na dodatkowe łódki dla nich. Problem polegał na tym, że Brygada nie mogła się o niczym dowiedzieć.

Rongqi by nie dopuścił, aby ktokolwiek sądził, że Kazachowie mogą się wywinąć od Programu Walki z Ubóstwem. Tak więc nazwiska i numery ewidencyjne członków klanu Czerwonego Głazu powinny zostać zamienione z nazwiskami i numerami ewidencyjnymi dawno zmarłych więźniów. Po pożarze w archiwach będzie panował chaos, potwierdziła Jaskółka Mao. Powołane zostanie awaryjne centrum operacyjne, a ona znajdzie się wśród jego pracowników, co da jej szansę zastąpienia dotychczasowych rejestrów cmentarnych nową dyskietką. Kazachowie oficjalnie przestaną istnieć. A pozostałe dane zostaną zmienione, by wynikało z nich, że do fabryk Brygady trafiła w ramach programu Rongqiego odpowiednia liczba nazwisk. Na swej pekińskiej posiadzie Shan skontrolował niejedną fabrykę państwową,

w której premiowano kierowników, przydzielając im numery ewidencyjne nie istniejących pracowników. Mając takie martwe dusze na liście płac, mogli oni zgarniać ich zarobki, a nikt nie czuł się pokrzywdzony. Nie trzeba było zbytnio wysilać wyobraźni, aby się domyślić, że Rongqi już od dawna w ten sposób rozdzielał swe względy.

Przez następną godzinę Mao dyskutowali nad tym, czy plan nie jest zbyt ryzykowny, wreszcie Jaskółka ofuknęła ich wszystkich.

–Największe ryzyko ponoszę ja – oświadczyła i usiadła przy komputerze z nowym kompletem dyskietek. Chwilę później

na ekranie pojawiły się dane cmentarza Obozu Chwały, potem lista członków klanu Czerwonego Głazu przypisanych do Programu Walki z Ubóstwem. Przyglądali się, jak kobieta zaczyna uderzać w klawisze i jak jeden po drugim członkowie klanu Czerwonego Głazu są grzebani w Obozie Chwały.

Gdy tuż po świcie Gruby Mao przywiózł ich do Kamiennego Jeziora, zobaczyli tam srebrną wielbłądzicę. Sophie stała w cieniu długiej wydmy ciągnącej się wzdłuż zachodniego skraju niecki, obok wielkiej, okrytej kocem, leżącej postaci. Pozwolili Marcowi spać i usiedli dziesięć metrów dalej, tuż pod grzbietem wydmy, trzysta metrów od drogi prowadzącej do obozu. Gruby Mao zaproponował, że zostanie, zerkając na skrzynkę narzędziową na platformie ciężarówki. Shan wyczuł jednak zimny gniew trawiący Ujgura i podejrzewał, że w skrzynce jest broń. Poprosił go, żeby odjechał.

–Potrzebujesz planu. Co zrobisz, jeśli chłopiec tu przyjedzie i pojawią się pałkarze? – zaprotestował Gruby Mao.

Shan przyglądał mu się przez chwilę.

–Chłopiec nie przyjedzie, bo wcześniej znajdą go Mao.

–Nie trafiliśmy na żaden jego ślad. Ci dropkowie, u których jest, są ostrożni jak dzikie zwierzęta. Możemy ich nie przechwycić.

Shan westchnął.

–W takim razie wszyscy uciekną z chłopcem i Nefrytowym

Koszykiem – powiedział cicho, tak że tylko Ujgur mógł go usłyszeć. – Ja odwrócę uwagę pałkarzy.

–Odwrócisz ich uwagę?

–Jest coś oprócz gau i Amerykanów, co Bao chciałby dostać w swoje ręce.

Gruby Mao przyglądał mu się przez chwilę.

–Ciebie.

Shan wzruszył ramionami.

–Nie każdy musi być ofiarą – oświadczył Ujgur, marszcząc brwi. – Nie za każdym razem. – W jego głosie pobrzmiwała irytacja i, co dziwne, nuta przeprosin.

–Szukaj chłopca jeszcze przez godzinę – powiedział Shan – a potem jedź do klanu Czerwonego Głazu. Oni też cię dzisiaj potrzebują.

Gruby Mao jeszcze raz zmarszczył brwi, po czym odwrócił się i odszedł.

Oto nadszedł więc ostatni dzień, dzień, o którym marzyli Rongqi i Ko, ostateczna realizacja Programu Walki z Ubóstwem. Trzeba było odnaleźć Akzu i poinformować go o zmianie planów. Stada Czerwonego Głazu, wraz z namiotami i całym dobytkiem, miały zostać oddane Brygadzie. Tylko tak członkowie klanu mogli zachować wolność i pozostać razem – musieli zrezygnować ze wszystkiego, co w życiu było im drogie, z wyjątkiem samego życia.

Gendun położył się na plecach na piasku i głośno zachwycał się kształtami chmur. Lokesh, jak robił to już niezliczone razy, rozłożył dobytek Yakde Lamy i przyglądał się uważnie każdemu przedmiotowi. Mieli ze sobą wszystkie swe bagaże, gotowi do podróży do Tybetu. Shan wyciągnął starą lornetkę i przetańszy soczewki rąbkami koszuli, podał ją Jowie, który wgramolił się na szczyt wydmy i zaczął obserwować.

Po godzinie Jowa zagwizdał. Drogą nadchodził Kaju, sam. Położyli się na piasku za grzbietem wydmy i przyglądali się, jak młody Tybetańczyk staje przy chwiejącym się na wietrze szkielecie budynku, przywiązuje coś do jednego z narożnych słupów, napręży linę i mocuje do kolejnego słupa. Był to, jak podejrzewał Shan, sznur buddyjskich flag modlitewnych z gabinetu Lau.

Skończywszy, Tybetańczyk popatrzył na flagi, jakby widział je pierwszy raz w życiu, po czym odwrócił się i ruszył powoli w

570

stronę warsztatu. Shan wstał i pomachał mu. Po chwili Kaju dołączył do nich.

Przywitał ich po tybetańsku, nie po mandaryńsku, i po raz pierwszy, odkąd Shan go poznał, kontynuował rozmowę w swym ojczystym języku. Nie było żadnego kontaktu z Micahem, oświadczył, żadnej szansy, by go ostrzec. Ale w nocy, dodał z nadzieją, wyły syreny i wielu pałkarzy opuściło miasto. Może odeszli albo przynajmniej zajęli się czymś innym. Może Bao zapomni o jednym małym chłopcu, skoro stało się coś, co postawiło bezpieczeństwo w stan gotowości.

Siedzieli w kręgu, słuchając, jak Kaju zwierza się, że chciałby któregoś dnia wrócić tu z całą grupą zheli i dokładnie obejrzyć skamieniałości, kiedy ktoś rzucił między nich plastikową torebkę rodzyneków. Unieśli wzrok i ujrzeli szeroką twarz Marca. Minę miał ponurą, ale stanowczą.

Eluosi kucnął obok Shana z garścią rodzyneków w dłoni.

–Przez godzinę nie mogli się zdecydować, czy wypuścić więźniów do gaszenia ognia – oświadczył bez emocji. – Głupcy. Do tego czasu mogli już tylko rzucić piasek na dogasający żar. Nie zostało nic, poza tłącymi się workami ryżu tam, gdzie był magazyn. Budynek biurowy spalił się doszczętnie. Mały domek przy bramie też. – W głosie Marca nie było śladu triumfu, ale

gdy spojrzał na Shana, w jego oczach pojawił się dziwny błysk. –

Nikki był zadowolony – dodał cicho i pokiwał głową, jakby przyznając, że być może nie odniósł zwycięstwa, jednak godziwie zaniknął sprawę.

Gdy Kaju wstał i ruszył ku grzbietowi wydmy, by wypatrywać Micaha, Lokesh podniósł torebkę z rodzynkami i puścił ją wkoło. Śniadanie.

–Zobaczysz! – zawołał Kaju do Shana. – To tylko Bao! Jeśli przyjdzie i spróbuje zabrać chłopca, będzie to dowód, jakiego mi trzeba. Pójdę do Ko – ciągnął, idąc, już ledwie słyszalnie. – Ko będzie wiedział, co zrobić.

Shan i Jowa wymienili spojrzenia. Kaju wciąż nie mógł w to wszystko uwierzyć.

Gdy Marco żuł rodzynki, Shan opowiedział mu o nowym planie ratowania klanu Czerwonego Głazu. Eluosi nie protestował.

–Ten stary tybetański myśliwy na granicy, ten od skórzanych łodzi, zrobi to teraz jedynie pod warunkiem, że ja będę z nimi – oświadczył i spojrzał na Shana. – Będę potrzebował pomocy.

Shan z początku nie zrozumiał. Te słowa nie padły spontanicznie. Marco rozmyślał nad nimi długo i mówił szczerze.

–Jedź ze mną, Johnny – odezwał się po angielsku. – Opuzczam ten zakazany kraj. Ty też powinienesz to zrobić. Mam górę forsy w zagranicznych bankach. Pojedziemy na Alaskę. Będziemy łowić wielkie ryby. Zbudujemy sobie chatę nad oceanem.

Shan otworzył usta i zamknął je znowu. Spojrzał na Genduna i Lokesha i wyjaśnił im po tybetańsku propozycję Marca, ale oni jedynie uśmiechnęli się pogodnie i skinęli głowami.

–To jeszcze nie koniec – zaprotestował. – Nie ma czasu...

Nagle, jak gdyby słowa Shana były sygnałem, zawołał do nich Kaju. Z głębi pustyni, wzdłuż przeciwnej strony wydmy, na której siedzieli, zbliżało się dwóch jeźdźców, prowadząc ciężko obciążonego jucznego konia i osiodłanego luzaka.

–Amerykanie! – oznajmił radośnie Kaju, jakby w jakiś sposób po przybyciu Deacona i jego żony wszystko miało im się udać.

Ale Shan wpatrywał się tylko w piasek u swoich stóp. Uświadomił sobie, że gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że Amerykanie się nie zjawią.

Żona Deacona zdawała się tryskać energią i podnieceniem. Przywiozła wielki słoik masła orzechowego, o którym Kaju opowiedział Gendunowi i Lokeshowi, przyglądającym się smakołykowi z chłopięcą ciekawością, i zaproponowała im odrobinę na spróbowanie. Porozmawiała z Markiem, by się upewnić, że nie zabrali za dużo bagażu, po czym wygładziła piasek, przykryła go ręcznikiem i rozłożyła na nim kilka przedmiotów. Skórzaną rękawicę baseballową. Mały zielony samochodzik. Paczkę gumy do żucia. I czerwoną puszkę, odrapaną i poobijaną od trudów podróży puszkę amerykańskiego napoju gazowanego. Wreszcie, odprowadzana zdumionym spojrzeniem męża, który przez cały ten czas stał, patrząc na jej poczynania, odwiązała przytroczone na samym wierzchu juków wąskie drewniane pudełko i ustawiła je w wygrzebanym w piasku zagłębieniu tak, by znalazło się w cieniu. Odsunęła tkaninę zasłaniającą pokrywkę pudełka i Shan

spozrzegł, że była podziurawiona maleńkimi otworkami. W środku znajdowali się grajkowie Deacona.

Marco, który przejął dowodzenie jak oficer przygotowujący swój oddział do akcji, poprowadził ich wszystkich w dół, w cień wydmy po przeciwnej stronie niecki. Nikt poza Kaju nie miał prawa pojawić się na szczycie, na widoku. Jowę wraz z Gendunem i Lokeshem odesłał jeszcze dalej, dwieście metrów na północ, gdzie nieduża skała zapewniała pewną osłonę. Jeśli ktokolwiek przyjedzie po Micaha, oświadczył Eluosi, on pochwyti chłopca i pognają na Sophie na miękki pustynny piasek, gdzie nie będzie ich można ścigać samochodem.

Dwadzieścia minut później, na przeciwległym krańcu niecki, niespełna półtora kilometra od nich, gdzie obniżały się wydmy i niecka otwierała się na pustynię, pojawiły się trzy postacie na koniach. Leżący na grzbiecie wydmy Shan widział przez lornetkę, że jest to dwóch mężczyzn w strojach pasterzy, a między nimi, na kucu, chłopiec. Po obu stronach koni biegły dwa wielkie mastiffy.

–Micah! – Wykrzyknęła Amerykanka, zrywając się, jakby chciała pobiec ku odległym postaciom.

–Nitko... nie! – Wrzasnął Deacon i wciągnął żonę z powrotem za wydme.

W tej samej chwili zza wydmy po przeciwnej stronie szerokiej piaszczystej niecki wyłonił się pojazd. Nie czerwona furgonetka Brygady, jak spodziewał się Shan, ale jeden z lśniących czarnych samochodów terenowych, którymi jeździły sztylpy. Wóz wjechał wolno na wydme i zatrzymał się. Zza kierownicy wysiadła postać w czerwonej nylonowej kurtce. Nawet bez lornetki Shan wiedział, że jest to Ko Yonghong.

–Sukinsyny – mruknął obok niego Marco, gdy otworzyły się

pozostałe drzwi pojazdu. Dwaj mężczyźni w szarych mundurach, z pistoletami maszynowymi w rękach, odbiegli o kilka kroków od wozu i ustawili się po obu jego stronach, po czym każdy opadł na jedno kolano i uniósł broń, jakby się szykował do walki. Trzeci, zwalisty mężczyzna dumnym krokiem pod szedł do Ko i stanął obok niego. Major Bao.

Z ust Kaju, stojącego w połowie wysokości wydmy, przed Shanem, wyrwał się stłumiony okrzyk. Tybetańczyk, który patrzył

na to wszystko z niedowierzaniem, zerknął na Shana udręczonym wzrokiem, po czym znów odwrócił się w stronę pojazdu, gdy wyszedł z niego ktoś jeszcze – wysoki, szczupły, starszy mężczyzna o władczej postawie. Ko skwapliwie podał mu lornetkę i mężczyzna spojrział przez nią na zbliżających się jeźdźców i poklepał Ko po ramieniu. Shan przyglądał się nieznajomemu przez szkła. Widział go już wcześniej, na zdjęciu w biurze Ko.

–Rongqi! – usłyszał zduszony okrzyk Kaju. Generał przybył, aby popatrzeć na swój ostateczny triumf nad Tybetańczykami.

–Do diabła, nie! – usłyszał za sobą Shan przerażony szept Deacona i odwrócił się. Lokesh i Gendun szli ku nadjeżdżającym, wskazując na skałę, jakby mogła ich ona ukryć przed ludźmi z samochodu. Shan poczuł dłoń na swym ramieniu. Marco bez słowa wskazał palcem wejście do obozu nacierzy, gdzie pojawił się kolejny samochód, limuzyna Czerwony Sztandar. Wóz zatrzymał się i wycofał poza zasięg wzroku, po czym Shan ujrzał prokurator Xu, samą, spoglądającą przez lornetkę w stronę czarnej terenówki.

Bao nie odrywał wzroku od jeźdźców. Uniósł dłoń, jakby wydawał niemy rozkaz. Dwaj pałkarze przyskoczyli z powrotem do samochodu.

–Nie! – jęknął Kaju. Z twarzą wykrzywioną bólem ruszył chwiejnym krokiem przed siebie. Popatrywał to ku jeźdźcom, to ku czarnej terenówce, aż wreszcie jego wzrok padł na środek niecki, gdzie pomiędzy nim a samochodem rósł samotny krzew. Przez chwilę przyglądał mu się z zaciekawieniem, aż nagle zaczął szarpać kołnierz swej koszuli, ściągając z szyi łań cuch, na którym wisiało wielkie srebrne gau.

Unosząc gau nad głową, rzucił się naprzód, skacząc po stoku wydmy, wrzeszcząc, wołając Ko, potem majora Bao, pędząc prosto ku środkowi niecki, jak gdyby chciał, aby podjechał tu czarny samochód. Mężczyźni stojący przy terenówce przyglądali mu się przez chwilę, po czym wskoczyli do pojazdu, pałkarze stanęli na bocznych stopniach, z pistoletami maszynowymi wciąż w pogotowiu, i Ko ruszył na przełaj przez wydmy.

Biegając, Kaju nie przestawał gorączkowo gestykulować, przywoływał ich do siebie, wymachując gau, jakby powinni je

rozpoznać. Jak gdyby był to Nefrytowy Koszyk. Zbliżając się do krzaka, przystanął na chwilę dziesięć metrów od niego, i ruszył znów, o wiele wolniej, wciąż machając na terenówkę. Nagle Shan zrozumiał.

–Nie! – Wykrztusił i już chciał się zerwać, ale w tej samej chwili na jego ramię opadła muskularna dłoń i Marco ściągnął go w dół.

–Nie rozumiesz... – protestował Shan. – On pamięta ten krzak. Widział wcześniej korzenie! Deacon! – Wykrzyknął desperacko. Amerykanin będzie wiedział, co się dzieje.

Kaju dotarł do krzaka i przystanął na środku niecki, ciągle machając gorączkowo do ludzi w pędzącym samochodzie. Na chwilę odwrócił się i obejrzał za siebie, w stronę Shana, po czym usiadł w pozycji lotosu, przyciskając gau do piersi, z głową zwróconą nie w stronę terenówki, ale ku niebu.

Deacon podpełzł do Shana.

–Jezu! – ryknął. – Nie! Cysterna!

Samochód zatrzymał się gwałtownie obok Tybetańczyka i ochrona zeskokczyła ze stopni. W tej samej chwili, gdy otworzyły się drzwi, wóz zaczął się zapadać. Żołnierze krzyczeli gorączkowo na siedzących w nim mężczyzn. Jeden z ochroniarzy, potykając się, ruszył ku drzwiom, za którymi siedział generał. Ale i oni zaczęli się osuwać za terenówką, pochłaniani przez piasek.

Zdawało się, że wszystko to dzieje się nie w zwolnionym tempie, ale błyskawicznie, w oszalałymi szybkości ciągu wydarzeń: pustynia otworzyła się i pogrzyła pojazd w czeluści starożytnej cysterny, za nim zaś potężną falą wtargnął piasek z niecki oraz przyległych wydmy. W mgnieniu oka tam, gdzie przed wiekami zbudowano potężną cysternę, pojawił się głęboki lej. Shanowi zdawało się przez chwilę, że widzi ręce i nogi pływające w piasku i kamiennym gruzie, a potem pustynia zaczęła wypełniać lej, wydmy osuwały się i ślizgały z potwornym sykiem, tworząc wir, i tony piasku zapadły się do środka.

Nagle powróciła cisza.

Deacon stał obok Shana, który nie zdążył się nawet podnieść z kolan. Xu, stojąca nieruchomo przy drodze, z lornetką w opuszczonej ręce, powoli zniknęła z widoku, odchodząc tyłem, wciąż

patrząc na pustą nieckę. Chwilę później Shan usłyszał silnik odjeżdżającego samochodu.

Wstrząśnięci, bez słowa ruszyli w stronę płytkiego zagłębienia znaczącego miejsce, gdzie niegdyś była cysterna.

Abigail Deacon rzuciła się w dół i zaczęła gorączkowo odgarniać piasek rękoma. –Musimy kopać! – krzyczała raz po raz.

–To co najmniej dwanaście metrów, Nitko – powiedział cicho jej mąż, gdy dołączyli do niej z Shanem. – Tysiące ton piasku. Nie ma szans.

Stali przez chwilę jak porażeni. Amerykanka, wciąż klęcząc, w rozpacz uderzała pięściami o piach. Pustynia zażądała kolejnych ludzkich ofiar. Karez w końcu stał się grobem. Grobem Ko, który czcił pieniądze. Grobem Rongqiego, który czcił władzę. Grobem Bao, który czcił siłę. I grobem jednego Tybetańczyka, który choć błdził w życiu, wybrał właściwą drogę w obliczu śmierci.

W pobliżu zarżał koń i unieśli wzrok. Ujrzeni jeźdźców, którzy zsiadli z wierzchowców i stali wraz z Lokeshem i Gendunem dwieście metrów dalej, jakby się bali podejść.

–Micah! – Wykrzyknęła Amerykanka i poderwawszy się, pobiegła w ich stronę. Deacon ruszył za nią, ale przystanął i obejrzał się niepewnie, gdy Shan go zawołał. Zawstydzony swoją słabością, Shan podał Amerykaninowi gau, które dostał od Malika, gau z grobu na łące lamy. Twarz Deacona stężała, a jego ramię obwisło, gdy po nie sięgał, jakby opuściły go siły. Shan wsunął gau w jego dłoń i odszedł. Pamiętał ból, który przeszył mu serce, kiedy otworzył je po raz pierwszy i ostatni, nazajutrz po tym, jak otrzymał je od Malika. Gdyż w środku nie było Nefrytowego Koszyka, nie było sekretnej modlitwy. Były tam jedynie wyschnięte szczątki małego brązowego świerszcza.

Amerykanka wciąż szła, potykając się w miękkim piasku, wołając syna, nawet kiedy upadła. Deacon stał, patrząc na Shana, po czym przeniósł wzrok na niską, szczupłą postać pomiędzy dwoma pasterzami. Poszarzał na twarzy. W końcu z głuchym jękiem wciągnął powietrze w płuca, jakby znów znalazł się w duszącym karezie, i ruszył przed siebie, wołając żonę głosem z początku ledwie słyszalnym, potem coraz silniejszym, dopóki nie dogonił jej, gdy ponownie opadła na kolana.

Nie było potrzeby wyjaśniać, stwierdził Shan, gdyż Jacob Deacon pojął wszystko. Oczom Amerykanina ukazywał się kolejny z koszmarów, które prześladowały Shana od czasu Nadaniu. Dwaj psotni chłopcy oszukali swych przybranych rodziców, swoich opiekunów z widmowych klanów, ponieważ jeden chciał pójść na niższe pastwiska, żeby być z końmi, podczas gdy drugi zmierzał ku szczytom Kunlunu, w pobliże łąki lamy. Khitai zagrał już wcześniej w tę niewinną grę zamieniając się miejscami z Suwanem w obozie Czerwonego Głazu. Tylko na parę dni, powiedzieli sobie zapewne Khitai i Micah, gdyż wszyscy mieli się spotkać przy Kamiennym Jeziorze podczas pełni księżyca. Malik był pewny, że Khitai zginął na łące lamy, ale widział tylko okryte całunem maltretowane ciało chłopca o ciemnych włosach, chłopca, przy którym znaleziono rzeczy Khitaia, chłopca zabitego w miejscu, gdzie spodziewał się zastać Khitaia.

–Micah! – zawołała jeszcze raz Amerykanka w stronę jeźdźców, gdy mąż pomógł jej podnieść się z piasku. – Nasz chłopiec! – krzyknęła do męża, jakby Deacon, który stał za nią, mocno

trzymając ją w ramionach, nie rozumiał.

Shan i Marco minęli ich, zwalniając kroku, w miarę jak zbliżali się do jeźdźców. Dwaj pasterze, trzymając konie za uzdy, patrzyli na Amerykanów błędnym, zakłopotanym wzrokiem.

Kiedy wrócili do koni, Lokesh siedział na piasku ze szczupłym tybetańskim chłopcem, śpiewając z nim mantrę, pokazując przedmioty, które zabrał dla niego z łąki lamy. Po policzkach starego Tybetańczyka spływały łzy.

Gendun stał z szeroko otwartymi, smutnymi oczyma, patrząc to na Shana, to na Khitaia, to znów na Amerykanów.

–Dziękuję ci, Shan, przyjacielu – powiedział łamiącym się głosem. – Za wskrzeszenie z martwych naszego Yakde Lamy.

Rozdział dwudziesty drugi

Nikt nie wspomniał, żeby pozostać dłużej przy Kamiennym Jeziorze. A jednak zostali tam, i to na wiele godzin, Shan wpatrzony w milczeniu w płytki lej, który znaczył grób, Deacon i jego żona sami ze swoim smutkiem, Marco, który przedstawił małego lamę Sophie i zaproponował mu przejażdżkę. Przyjechał też Gruby Mao, szukając Marca, i po rozmowie z Jową zabrał Amerykanów do grobu na łące lamy. Około południa zaczęli pojawiać się różni ludzie, w większości Kazachowie i Ujgurzy, niektórzy na koniach, inni pieszo. Nadciągali boczną drogą wiodącą od szosy kaszgarskiej i gromadzili się zaciekawieni wokół zagłębienia. Shan usłyszał, że ktoś zwraca uwagę innych na świętego człowieka w mniszej szacie, i wielu pokiwało głowami, jakby obecność Genduna tłumaczyła wszystko. Wzniesli mały kopiec nad zapadniętą cysterną, używając do tego gruzu z budynków obozu nacierzy i kamieni ze starych ruin. Shan i Jowa zdjęli flagi modlitewne ze szkieletu budynku, gdzie zawiesił je Kaju, i przytwierdzili je do kopca.

Mały lama z początku zdawał się unikać Shana, wreszcie jednak podszedł do niego i usiadł obok, gdy Chińczyk patrzył w zadumie na piaszczystą nieckę, która

stała się grobem Kaju. Wyglądało na to, że chłopiec zamierza coś powiedzieć, a Shan nachylił się ku niemu, jakby też chciał się do niego odezwać, ale ich usta pozostały nieme. Siedzieli w milczeniu przez godzinę, wreszcie chłopiec przesunął się przed Shana i powoli ujął go za rękę. Rozprostował jego palce, otwierając dłoń, po czym położył ją sobie na sercu.

Gdy mały puścił jego rękę, Shan sięgnął pod koszulę i wyciągnął swoje gau.

–W Piaskowej Górze spotkałem jednego z przodków – powiedział, otwierając puzderko. – Zanim wrócił do piasku, zostawił mi to. – Wyjął pióro. Przyjrzał mu się, zamkniętemu w dłoni. – Dałem mu nowe, żeby zabrał je ze sobą. – Uniósł wzrok i zobaczył, że mały lama wpatruje się z szacunkiem w pióro. Wyciągnął dłoń do chłopca. – Chcę, żebyś ty je teraz wziął.

Chłopiec nie od razu po nie sięgnął. Wyciągnął własne gau i otworzył misternej roboty wieczko ze srebrnego filigranu, ukazując podobny filigran wycięty w nefrycie. Uniósł pokrywę Nefrytowego Koszyka i Shan upuścił pióro do środka.

Yakde wpatrywał się w pióro ze wzruszeniem.

–Micah kochał sowy – powiedział łagodnie. – Kiedy byliśmy razem, czuwaliśmy nocami i nasłuchiwalismy sów. On nauczył się od swego widmowego klanu, jak je przywoływać. Pewnej nocy umilkł nagle, a potem powiedział, że słyszał, jak wołała go stara sowa, że brzmiało to, jakby próbowała go gdzieś wezwać. – Chłopiec powoli pokręcił głową, po czym ostrożnie zbliżył gau do twarzy, by dokładniej przyrzeć się pióru. – To stanie się jednym ze skarbów – powiedział.

Miał na myśli, uświadomił sobie po chwili Shan, że pióro stanie się trwałym elementem łańcucha egzystencji Yakde Lamy, jednym ze skarbów będących znakiem rozpoznawczym jego przyszłych wcieleń.

Późnym popołudniem Mao wrócili z dwiema ciężarówkami i znów rozmawiali ściszymi głosami z Jową. Pomogli Shanowi i Tybetańczykom wejść na jeden z pojazdów, po czym wprowadzili Sophie na drugi. W ostatniej chwili Shan wyskoczył na platformę i dołączył do Sophie i Marca. Spojrzeli na siebie bez słowa, głaszcząc Sophie, gdy ciężarówka zrywami sunęła drogą.

–Gdzie ją zostawisz, kiedy będziesz płynął za ocean? – zapytał Shan.

Na twarzy Marca wciąż próżno było szukać radości, lecz zdawało się, że jest nieco spokojniejszy.

–Zostawić ją? – mruknął. – Sophie nigdy mnie nie opuszcza. Idzie wszędzie tam, gdzie ja.

–Na Alaskę? Tam nie ma wielbłądów.

–Teraz będą – oświadczył dobitnie Marco. – Zabierzemy ją na wielki statek, taki, na którym będziemy mogli spacerować z nią po pokładzie. Ty i ja.

Był to tak niewiarygodny pomysł, że Shan omal nie parsknął śmiechem. Ale był też niewiarygodnie wspaniały. Mógł jeszcze zacząć nowe życie. Jakli dała mu medalion, gdyż ona także chciała, żeby jechał. Tybet, powtarzali mu lamowie, to punkt wyjścia dla jego nowego wcielenia, ale nikt nie mógł wiedzieć, dokąd go ono zaprowadzi. Przegapił swoją podróż do Nepalu i nowe życie w Anglii, ale teraz odsłaniała się przed nim następna ścieżka.

Spostrzegł, że zbliżają się do Yoktianu, i nagle zobaczył znajome wzgórza na skraju miasta. Na szczycie jednego z nich stał pudełkowaty czarny samochód. Shan zastukał w okno i ciężarówka zatrzymała się. Zeskoczył z platformy i wbiegł po stoku, omijając pustą limuzynę.

Wypatrzył ją na środku cmentarza. Była w zakurzonym ubraniu, powoli zamiatała grób obszarpaną miotłą. Ktoś mógłby ją wziąć za dozorczynię albo żałobniczkę.

Xu nie okazała zaskoczenia na jego widok i dalej omiatała grób.

–Z Obozem Chwały koniec – oświadczyła, pochylając się nad miotłą. – Po tym pożarze nie nadaje się do użytku. Nie będzie się nadawał co najmniej parę tygodni, może nawet aż do wiosny. – Wszyscy więźniowie, którym do końca kary pozostało od sześciu miesięcy w górę, byli przenoszeni do innych obiektów, wyjaśniła, wszystkich pozostałych zwolniono.

–A ci wzięci przez Bao? – zapytał Shan.

Ci także, potwierdziła prokuratorka, nie unosząc wzroku, po czym podeszła do torby leżącej przy jednym z sąsiednich grobów. Wyciągnęła kasetę wideo i rzuciła ją do stóp Shana.

–Powiedziałam Loshi, że ma ją zwrócić, że ma wydobyć ją od nich. Zagroziłam, że jeśli jej nie odzyska, zwolnię ją za grzebanie w aktach, że nigdy nie będzie mogła liczyć na przeniesienie na wschód. Miałam zamiar ją pogrzebać. – Kopnęła kasetę bliżej niego, po czym zniecierpliwiona jego niezdecydowaniem, roztrzaskała ją butem. Z kasety wypadł luźny koniec taśmy i wiatr pochwycił ją, rozwijając tak gwałtownie, że urwała się, kiedy doszła do końca. Taśma przez chwilę wiła się między grobami niczym wąż i pomknęła z wiatrem na pustynię.

–Ich biura zgłosiły ich wszystkich jako zaginionych – oznajmiła sztywno Xu. – Ktoś powiedział, że widział, jak Bao zabiera Ko i generała z siedziby Brygady jednym z samochodów sztylp, ale potem już ich nie widziano. Dziś po południu pałkarze z Kaszgaru zajrzeli do biur Brygady. Znaleźli magazyn towarów z przemytu. Kontrabanda. Ktoś zasugerował, że może to oni spowodowali pożar w Obozie Chwały, żeby zatuszować dowody.

Towary Nikkiego, pomyślał Shan. Towary, które ukradli Nikkiemu, kiedy przejęli jego karawanę, zgubiłyby ich.

–Można by przekonać ludzi, że oni uciekli – podsunął. – Że byli skorumpowani i uciekli w obawie przed zdemaskowaniem. Westchnęła.

–Na to też są kampanie – odparła, powoli kiwając głową. Kurczowo ścisnęła miotłę, jakby tylko ona nie pozwalała jej ulecieć z wiatrem. – Musieli uciec do Ameryki. Wszyscy wiedzą, że Ko uwielbiał amerykańskie samochody. – Wydawała się znacznie starsza, niż była w istocie. Miała worki pod oczami, jakby nie spała po nocach. – Program Walki z Ubóstwem będzie trwał nadal – dodała przeproszającym tonem.

–Wiem.

–Ale te konie to za duży kłopot. Nie będziemy już wyłapywać koni. – Pochyliła się nad miotłą i znów zabrała się do roboty.

–Była pewna kapeluszniczka – odezwał się Shan do jej pleców i stwierdził, że ma problem z przetykaniem – która uwielbiała te konie.

Xu przerwała i powoli odwróciła się ku niemu.

–Bez wątplenia – odparła, marszcząc brwi. – Czytałam raporty. Pojechała na północ, do kopalni węgla.

–Może zaszła pomyłka? – podsunął Shan. – Może ona pomagała wam w tropieniu korupcji, pomagała zdobyć dowody na to, że Bao zabił Sui dla pieniędzy? W dalszym ciągu macie problem ze zwłokami Sui, problem, który wymaga rozwiązania, a kostnica może zaświadczyć, że Bao sfałszował dokumenty. – To byłoby jakieś wyjście. Nie doskonałe, ale nigdy jeszcze nie spotkał się z doskonałą sprawiedliwością. Sui mógł zostać pośmiertnie uznany za bohatera, zabitego przez tych, przeciwko którym prowadził śledztwo w sprawie o korupcję.

–To tylko kapeluszniczka – szepnęła Xu, patrząc pustym wzrokiem. – Co kapeluszniczka może wiedzieć o kopaniu węgla?

–Znów zmarszczyła brwi, westchnęła. – Nie mogę tak po prostu jej uwolnić. Wszyscy wiedzą, że naruszała zasady warunkowego zwolnienia. Przeniosę ją do obozu lao jiao. Na parę miesięcy.

Shan skinął głową, a ona, choć się skrzywiła, powtórzyła ten gest, jakby dla przypieczętowania umowy.

Znów wróciła do zamiatania. Przyglądał się, jak pracuje. Zdawała się kurczyć.

–Gdybym to ja dostał list od Przewodniczącego – powiedział po chwili – z pochwałą za zabijanie mnichów, myślę, żebym wiedział, co z nim zrobić.

Przerwała pracę i spojrzała na niego.

–Napisałbym pod spodem odpowiedź – oświadczył. – Może napisałbym, że to, co zrobiłem, było złe i nie powinniście, Towarzyszu Przewodniczący, udawać, że to słuszne zabijać mnichów. Może którejs nocy poszedłbym sam w to miejsce, gdzie

zginął dziś ten Tybetańczyk, i rozpalilibym ognisko z wonnego drewna. Potem spaliłbym list, żeby wysłać go do Przewodniczącego, i przyglądałbym się, jak popioły ulatują w niebo.

Xu wpatrywała się w ziemię u jego stóp.

–To nie była wina Kaju – powiedziała głucho. Uniosła miotłę i znów zaczęła obmiatać grób. – Tam jest mała walizka – rzuciła po chwili. – Znaleźliśmy ją w pokoju Rongqiego. Pewnie spakował ją przed powrotem do Urumczy. – Wskazała ławkę na wzgórzu dominującym nad cmentarzem i nie odezwała się więcej.

Kiedy powiedział jej do widzenia, skinęła tylko głową, nie unosząc wzroku. Zatrzymał się na szczycie wzgórza i spojrzał na jej drobną, pochyloną sylwetkę poruszającą się wolno pośród zaniedbanych grobów na skraju jałowej pustyni.

Obok ławki znalazł lśniącą skórzaną walizeczkę z włoskim znaczkiem firmowym. Otworzył ją. Znajdowały się w niej trofea Rongqiego, dowody, których wymagał przy wypłacie nagród. Cztery małe, zakurzone, sfatygowane buty.

Mao jechali przez Yoktian na południe, ku głównej drodze prowadzącej w góry Kunlun. Marco opowiadał Sophie o długiej

podróży, którą odbędą, potem rozmawiał z Shanem o tym, jak przyrządzą wszystkie ryby, które uda im się złowić. Niespodziewanie ich ciężarówka zatrzymała się, tak jak jadąca przed nią, która stała teraz na poboczu. Jowa i Gruby Mao rozmawiali z grupą konnych Ujgurów. Po drodze natknęli się na grupę więźniów z Obozu Chwały, którzy wracali do domu, powiedzieli. Ujgurzy z obozowisk na wzgórzach będą świętować tej nocy powrót krewnych. Kazachscy więźniowie, dodał Gruby Mao, spieszyli się, by dołączyć do klanów rozpraszanych na mocy Programu Walki z Ubóstwem. Mao dopilnują, żeby odnaleźli swoje rodziny.

Drogą w góry szedł jakiś dziadek z obozu ryżowego, dodał jeden z jeźdźców. Kierowca ciężarówki chciał go podwieźć, ciągnął mężczyzna ze śmiechem, ale odmówił, tłumacząc, że obserwuje motyla.

Jowa przyskoczył do jeźdźca.

–Gdzie? – zapytał nagląco.

Ujgur pokręcił głową, szczerząc zęby w uśmiechu, po czym uniósł się w siodle i wyciągnął rękę. Niespełna kilometr od nich na stoku widać było drobną postać kroczącą pospiesznie przez wysoką brązową trawę.

–Szalony stary... – zaczął Ujgur, ale urwał nagle, otwierając usta ze zdumienia. Jowa pognał, skacząc przez trawę, w stronę odległej postaci. Lokesh na platformie ciężarówki wybuchnął śmiechem. Gruby Mao zawołał, że jeszcze przed zmrokiem odeśle jeden z wozów.

Późnym popołudniem przybyli do małej, otoczonej topolowym zagajnikiem chatki stojącej sto metrów od drogi. Panował tu zadziwiający ruch, rozbrzmiewał radosny gwar chłopięcych głosów. Połowa klanu Czerwonego Głazu już przeszła, wyjaśnił Gruby Mao, i przed nocą znajdzie się już w azylu w silosie, gdzie następnego dnia spotka się z Markiem i resztą klanu. Sześciu chłopców z zheli, Tybetańczyk Jengzi oraz pięciu małych Kazachów, którzy uszli z życiem, pozostało w chatce pod opieką Akzu i innych. Chłopcy słuchali uważnie Malika, który próbował zorganizować mecz baseballowy.

Gruby Mao spojrzał na Jengziego.

–Wiem o małżeństwie dropków z silosu – powiedział do Shana. – Pochowali chłopca imieniem Alta.

Shan uśmiechnął się, przypominając sobie żalosne słowa pasterza, kiedy tamtego dnia znalazł ich ukrywających się wśród skał. Chcieli jedynie mieć syna i żyć w spokoju. Oni potrzebowali syna, a Jengzi potrzebował rodziców.

Rozejrzał się po polanie przed chatą, wypełnionej radosnym tłumem. Była tu również tęga kobieta z restauracji – dusiła mięso w olbrzymim garze i piekła stopy chleba nan, wspomagana przez żonę Akzu. Yakde Lama siedział między drzewami, zamglonymi oczyma wpatrując się w przeciwległą stronę polany. Shan dostrzegł tam ścieżkę wśród drzew. Ruszył nią cicho, mijając przepływający obok chaty strumyk, aż dotarł do występu, skąd otwierał się rozległy widok na pustynię. Miał tam właśnie wejść, gdy zauważył Amerykanów. Siedzieli, obejmując się nawzajem. Matka Micaha płakała. Wycofał się bez słowa.

Zanim obie kucharki podały jedzenie, oznajmiły, że wspólnie zdecydowały, iż pozostali przy życiu chłopcy z zheli, jak również tęga kobieta, odejdą z klanem Czerwonego Głazu. Obwieściwszy tę nowinę, kobieta z restauracji spojrzała na Shana i skinęła głową, jakby chciała jeszcze raz przeprosić za to, co zrobiła mu w mieście. Odpowiedział uśmiechem, przypominając sobie, jak mówiła, że Chińczycy zabili jej dwóch synów. Akzu, z boleśnie ściągniętą twarzą, podszedł do ognia. Wyglądał tak, podejrzewał Shan, odkąd zabrano Jakli. Jego żona nie uzgadniała z nim tej decyzji, zorientował się Shan, widząc zaskoczenie na twarzy naczelnika.

Żyłasty stary Kazach wodził wzrokiem po twarzach chłopców, kręcąc głową.

–To zbyt niebezpieczne zabierać ich w drogę – powiedział, patrząc na żonę. – I wiele trudności potem. Pochowałem już dość dzieci. Oni mogą iść do chińskiej szkoły. Przynajmniej będą żyć.

–Mając tylu nowych synów – odparła silnym, dumnym głosem – Czerwony Głaz może znów stać się klanem.

Akzu spojrzał na nią ponuro i znów pokręcił głową.

–Kobieto... – zaczął, lecz urwał na widok idących ścieżką od strumienia dwóch postaci, kobiety i chłopca. Shan dostrzegł na

jego twarzy to samo zakłopotanie, które sam odczuwał, patrząc na nich. Byli obcy, a jednak w jakiś sposób znajomi. Chłopiec,

uśmiechnięty promiennie, prowadził kobietę, dopóki nie znaleźli się parę metrów przed Akzu. Kobieta stanęła za chłopcem i z pogodną czułością matki zaczęła delikatnie gładzić go po głowie.

Akzu wydał stłumiony okrzyk i spojrzał na żonę, po czym odwrócił się, ocierając oczy. W tej samej chwili Shan poznał tych dwoje. Był to Batu, czysty, szczęśliwy Batu w świeżym kolorowym ubranku, i szalona kobieta, która rzucała w Shana kamieniami. Ale nie była już szalona. Włosy miała umyte i schludnie zaplecione w warkocze, na sukni nie pozostał ślad oblepiającego ją niegdyś brudu, a jej oczy nie były już szalone, lecz pełne nadziei i miłości do nowego syna. Malik, patrząc na to z niedowierzaniem, upuścił trzymaną w dłoni piłkę, a ona podniosła ją i rzuciła do Batu, który złapał ją ze śmiechem. Był to zwykły, drobny dźwięk świadczący o radości, nic więcej, a jednak w jakiś sposób wypełnił całą polanę, przyciągając uwagę wszystkich obecnych. Ponieważ, uświadomił sobie Shan, był to po prostu głos normalnego chłopca, nie udręczonego, uciekającego przed zabójcami, ale – być może tak jak cały klan – na powrót uczącego się, czym jest radość.

Na polanie zapadła cisza. Oczy wszystkich spoczęły na naczelniku, który po kolei poważnie przyglądał się każdemu z osieroconych chłopców.

–Potrzeba będzie wiele nowych siodel – oświadczył w końcu, a jego żona rzuciła się, by go uściskać.

Po posiłku, gdy słońce od dwóch godzin było już za horyzontem i większość obozu spała, Shan poszedł znów na występ. Deacon siedział tam sam, pod księżycem w pełni. A właściwie nie całkiem sam, gdyż miał ze sobą grajków, których ustawił przed sobą półkolem. Shan nie przyłączył się do niego od razu. Wszedł do chaty, żeby porozmawiać z Yakde Lamą, i dopiero wtedy wrócił.

Amerykanin nie odezwał się, gdy Shan przy nim stanął, ale przesunął się w bok, żeby mu zrobić miejsce.

Księżyc świecił tak jasno, że widzieli pustynię jarzącą się poświatą na wiele kilometrów w dal. Jeden lub dwa świerszcze zacykały niepewnie, być może wystraszone.

–Tam był kompas – powiedział cicho Shan. – Czarny metalowy kompas. – Sięgnął do kieszeni i podał go Amerykaninowi.

Zebranie się na odpowiedź zajęło Deaconowi tyle czasu, że Shan pomyślał, iż Amerykanin go nie dosłyszał.

–To ja mu go dałem. Był odważny i samodzielny, ale tamte go dnia, kiedy po raz pierwszy opuszczał nas z zheli, zapytał, gdzie pojedzie. Wyjaśniłem mu i powiedziałem, że zawsze będziemy na niego czekali. – Deaconowi załamał się głos. Amerykanin umilkł na długą chwilę. – Powiedziałem, żeby wziął mój

kompas, i pokazałem mu na mapie, gdzie jest Piaskowa Góra. Tak że gdyby kiedykolwiek chciał z nami porozmawiać albo życzyć nam dobrej nocy, wiedziałby, w którą stronę się zwrócić. Shan zamknął oczy, próbując odepchnąć od siebie obraz przerażonego chłopca, do którego Ko przyszedł z kijem i nożem, dziecka wyciągającego kompas, żeby sprawdzić, gdzie są rodzice, w którą stronę uciekać, szukając ratunku.

Znów na długo zapadło milczenie. Tylko świerszcze odzywały się raz po raz. –Żelaznonogi nie chce śpiewać – odezwał się Deacon bez barwnym tonem. – Nigdy nie chciał, od tamtej nocy, kiedy go złapałem.

Księżyc wznosił się coraz wyżej, coraz jaśniejszy. Gdzieś zahukała sowa. A potem, za nimi, trzasnęła złamana gałązka. W blasku księżycy stanął przed nimi Yakde Lama. Patrzył w dół, a na twarzy miał smutny, nieśmiały uśmiech.

–Chciałbym, żebyś kogoś poznał – powiedział Shan do Amerykanina.

–Znam Khitaia – odparł Deacon ochryplym głosem.

Chłopiec podszedł o krok bliżej mężczyzn.

–Chciałbym, żebyś kogoś poznał – powtórzył Shan.

Chłopiec zbliżył się do nich jeszcze o krok.

–Mówiłeś, że kupisz mu rower – dodał Shan.

Amerykanin wydał jakiś zdławiony dźwięk i nagle jego szerokimi barkami wstrząsnął szloch. Wyciągnął ramiona, a chłopiec rzucił się w nie i z oczu Amerykanina w końcu popłynęły łzy. Zanosił się przeciągłym, zawodzącym szlochem, a chłopiec przywarł do niego i wtórował mu w płaczu. Aż wreszcie się uspokoili. Gdyż wszystkie świerszcze śpiewały.

O wschodzie słońca obudziło go lekkie dotknięcie w ramię.

–Czy to prawda – zapytał Gendun niemal szeptem – że Yakde wciąż chce jechać do Ameryki?

Shan skinął głową, a Gendun odszedł do małej grupki siedzącej pod drzewami. Shan odrzucił koc i wstał. Obóz był pogrążony w ciszy, jeśli nie liczyć rozmowy dwóch Mao siedzących przy ognisku, którzy przez całą noc trzymali wartę. Ruszył ku drzewom. Gendun, Lokesh i jakiś stary, niemal łysy Tybetańczyk słuchali Jowy, gdy purba rysował palcem na ziemi mapę przedstawiającą drogę z Senge Drak do Kruczego Gniazda. Shan spojrział na nieznanomego starca i zamarł.

Był to nadzorca strumieni. Stary lama wyczuł spojrzenie Shana. Uniósł wzrok i

życzliwie skinął mu głową, po czym poklepał ziemię między sobą a Lokeshem, zapraszając go, by usiadł. Gdy Shan odwzajemnił uśmiech nadzorcy strumieni, przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie powiedział mu lama. Musi być szczelina, bo nic nie przedostałoby się do środka, powiedział w klinice. W gruncie rzeczy to było wszystko, czego Shan zdołał dokonać: powiększył szczeliny, najpierw w Kaju, a potem w twardej, choć spękanej skorupie otaczającej prokurator Xu.

Lokesh nachylił się do Shana i wyjaśnił, że Gendun zamierzał zabrać nadzorcę strumieni do Senge Drak, a potem nadzorca strumieni miał zabrać Genduna do ukrytej gomy.

Gendun spojrzał na Shana promiennym wzrokiem.

–W Gnieździe jest stary nauczyciel – oświadczył radośnie -który znał mojego ojca.

–Ależ, rinpocze – wtrącił się Jowa – kto pojedzie z chłopcem? Yakde potrzebuje nauczyciela, póki nie będzie gotowy powrócić.

Gendun położył dłoń na ramieniu nadzorcy strumieni.

–Gompa zbyt długo już nie miała opata.

–Tu potrzeba kogoś młodszego i silniejszego – oświadczył chrapliwym głosem opat Kruczego Gniazda. Kogoś wykształconego na mnicha, ale także kogoś, kto zna szeroki świat.

–Amerykanie rozmawiali ze mną, zanim poszli spać – powiedział Jowa. – Pojadą najpierw z Eluosim, żeby pomóc mu

kupić ziemię i zbudować chatę nad oceanem. Chłopiec zostanie

tutaj. Praca tam zajmie im, jak mówią, rok, najwyżej dwa. To będzie spokojne miejsce, gdzie mógłby pojawić się któryś z Mao, jeśli zbierze się do przewiezienia większa partia próbek z pustyni.

–Może być trudno znaleźć drogę z gomy w szeroki świat, ale być może trudniej jeszcze będzie powrócić z szerokiego świata do życia gomy – zauważył enigmatycznie Gendun.

Lokesh zachichotał. Jowa rzucił mu zdumione spojrzenie.

–Rankiem – odezwał się do Jowy nadzorca strumieni, wzdychając z zadowoleniem – chłopiec jest zawsze rozproszony, do

póki nie zje. Zwykła miska owsianki, i może zasiąść do studiowania sutr. – Jowa obejrzał się, jakby sądził, że lama zwraca

się do kogoś innego. – Ale jeśli jest pilny, w nagrodę może gonić motyle.

Pewnego razu szliśmy za motylem trzy godziny.

Ktoś młody, z silniejszymi nogami niż moje, mógłby iść za nim nawet przez sześć.

Lokesh znów zachichotał. Jowa spojrzał na niego, potem na Shana.

Stary opat dotknął nogi Jowy.

–On nie znosi prać skarpetek – dodał. – Pilnuj, żeby prać skarpetki.

Jowa zamarł, wpatrując się w palce nadzorcy strumieni.

–Rinpocze – szepnął – nie jestem... – Urwał. Bez słowa wpatrywał się w dłoń lamy.

Nadzorca strumieni pochylił się i położył obie dłonie na dłoniach Jowy.

–Słyszałem, że na tej Alasce jest wilgotno. – Potrząsnął dłoń

mi Jowy mocno, jakby chciał się upewnić, że purba go zrozumiał. – Wyszusz go czasem.

Stary lama i Jowa długo patrzyli na siebie.

–Kiedy będzie gotowy – odezwał się w końcu opat Kruczego Gniazda – musisz sprowadzić go z powrotem do nas. Będzie dla niego wiele pracy w nowym Tybecie. – Znów ścisnął dłonie

Jowy. – Będziemy wypatrywać znaków w świętym jeziorze.

Gdy Jowa spojrzał na Shana, jego wargi powoli wygięły się w uśmiechu i Shan przypomniał sobie tę zdawałoby się już tak odległą księżycową noc w górach Kunlun, kiedy zrozpaczony Jowa mówił o tym, że lamowie odchodzą, że bez lamów nie ma sensu

ciągnąć tego dalej i że sam nigdy nie zostanie lamą ze względu na to, co zrobili mu Chińczycy. Rodziło się jednak nowe pokolenie lamów, innego rodzaju, ale mimo wszystko lamów, i Jowa miał pomóc w ich wychowaniu.

Yakde obudził się i stał przy ognisku. Gruby Mao skinął głową na Genduna.

–Odchodzimy – oznajmił Gendun Shanowi i Tybetańczycy

wstali. Nadzorca strumieni i Yakde uściskali się, po czym stary

lama przywołał dłonią Jowę i uściskał nowego nauczyciela Yakde.

Lamowie ruszyli ścieżką w ślad za Grubym Mao, a Shan towarzyszył im przez pierwsze trzydzieści metrów. Nic nie mówili. Gruby Mao podszedł do Chińczyka i zakłopotany, z poważnym wyrazem twarzy upuścił coś na jego dłoń, po czym odszedł w pośpiechu. Gendun, a potem nadzorca strumieni, stanęli przed Shanem, promiennie się uśmiechając, i każdy po kolei położył dłoń na jego sercu. Shan z wdzięcznością pochylił głowę, a potem śledził ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Wtedy dopiero spojrzął na przedmiot, który trzymał w dłoni. Gruby Mao dał mu mały kamień o żywych barwach, świeżo obmyty wodą.

Godzinę później reszta towarzystwa stała przy drodze, czekając na ciężarówkę, która miała zabrać Lokेशa do Tybetu. Stary Tybetańczyk, nie przestając się uśmiechać, mocno przyciskał do piersi swój worek. Bardziej niż ktokolwiek z nich, Lokेश był pewny co do tego, gdzie idzie i co robi. Szedł na górę Kailas, gdzie miał dokończyć rozpoczętą przed tysiącem lat pielgrzymkę dla uczczenia zmarłej matki i córki.

–Będzie zimno – odezwał się Shan, nie wiedząc, co powiedzieć, a Lokेश uśmiechnął się tylko. – Słyszałem, że są tam niebezpieczne miejsca, w których można stracić równowagę.

Lokेश, wciąż ze swym krzywym szczerym uśmiechem, objął Shana, po czym wyszedł na drogę, gdy Mao zaczęli wołać go do siebie.

Sophie pasła się na poboczu. Marco leżał obok, wygrzewając się w słońcu. Gdy Shan usiadł, Eluosi przyjrzał mu się uważnie, jakby go do czegoś przymierzał.

–Kiedy będziemy na Alasce, kupię ci kożuch. Wielki kożuch, na mroźne zimy, szyty w Rosji. I futrzaną czapkę. Uszankę.

Będziesz wyglądał jak niedźwiedź. Johnny Miś. – Uśmiechnął się. Był to pierwszy uśmiech, jaki Shan widział u niego po tej straszliwej nocy na wieży. Nagle nowa myśl zapaliła iskry w oczach Marca. – Zbudujemy sobie łaźnię parową. Zimą rozbierzemy się i wygrzejemy się jak na pustyni. Potem wybiegniemy na dwór i wytarzamy się w śniegu. Johnny Golas. – Marco zachichotał, lecz zaraz ucichł, najwyraźniej zaskoczony, jakby się nie spodziewał, że kiedykolwiek znów ogarnie go wesołość, lecz po chwili parsknął śmiechem i śmiał się do rozpuku, aż musiał się chwycić za brzuch. Shan zawtórował mu, raz, potem znów, zdumiony tym, że śmieje się, jak nie śmiał się od lat. I nagle zrozumiał, dlaczego tak się dzieje. Ponieważ dla niego Marco nie był nauczycielem ani więźniem, ani uczniem, ani wojownikiem. Był po prostu jego przyjacielem.

Shan przyjrzał się Jowie, który z oczyma płonącymi światłem, jakiego nie widział w nich nigdy dotąd, bawił się piłką z Deaconem i małym lamą. Sophie trąciła Shana nosem w ucho, a Marco znów zaczął opowiadać o chacie, którą zbuduje. Obok przeleciał motyl i Shan, obejrzawszy się za nim, spostrzegł, że Jowa pokazuje go chłopcu.

Do jego uszu dotarł warkot ciężko pracującego silnika i chwilę później na drodze ukazał się zdezelowany pojazd, wiekowa ciężarówka dostawcza. Jej platformę, przykrytą brudną, podartą plandeką, niemal w całości wypełniały klatki z żywymi kurczakami. Lokesh roześmiał się, gdy Mao pomagali mu wsiąść na platformę i ułokować się między drobiem.

Shan nie mógł oderwać oczu od starca, który wybierał się sam w niegościnne Himalaje. Uświadomił sobie nagle, że stoi z drżącymi dłońmi. Czuł, że jego usta otwierają się i zamykają, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Siedzący obok niego Marco westchnął ciężko, wstał i zaczął poprawiać ich bagaże przytroczone do siodła Sophie.

–Z drugiej strony – zagrzmiał, jakby chciał, żeby Shan dobrze go usłyszał – na Alasce często całymi tygodniami leje deszcz. Ciężko tam żyć, jeśli człowiek lubi patrzeć w niebo.

Coś upadło u stóp Shana. Jego worek.

Lokesh sadowił się na platformie ciężarówka. Kurczaki gdakały z irytacją i trzepotały się w klatkach. Mao machali do starego Tybetańczyka, uśmiechając się do niego życzliwie. Silnik znów zacharczał w kłębach dymu i ciężarówka z jękiem ponownie ruszyła pod górę.

Shan spojrzał w oczy Eluosiego.

–Taka masa kurczaków na jednego człowieka – zauważył Marco ze śmiertelną powagą. Coś zdawało się chwytać go za gardło. Ujął dłoń Shana i przez chwilę ścisnął mocno, po czym podał mu worek. Shan skinął mu tylko głową i zrobił mały krok, potem następny, aż wreszcie zaczął biec. Gdy wskoczył na zderzak jadącego samochodu, ciężki worek na ramieniu pociągnął go w tył. A wówczas, gdy już, już miał stracić równowagę, spod plandeki wysunęła się chuda, upstrzona starczymi plamami dłoń i wciągnęła go na platformę.

Od autora

O ile większość postaci i miejsc, o których mowa w tej książce, jest fikcyjna, o tyle walka Tybetańczyków, Kazachów i Ujgurów o zachowanie swej kultury i tożsamości jest najzupełniej realna. Wiele elementów tej historii zostało wydestylowane z rzeczywistych wydarzeń tych trwających od pięćdziesięciu lat zmagani oraz z bogatego i fascynującego dziedzictwa Jedwabnego Szlaku. Piaski pustyni Takla Makan istotnie odsłaniają niekiedy ruiny zaginionych miast i cmentarzysk Jedwabnego Szlaku, a pełni poświęcenia archeolodzy z wielu krajów naprawdę pracują pośród ruin i naprawdę odkrywają starożytne mumie i tkaniny, pomimo politycznych burz szalejących wokół ich pracy. Badania genetyczne ludności tego regionu, a nawet analizy strzępów tkanin wywołały takie kontrowersje polityczne, że najprostsze poszukiwania naukowe w tych odległych zakątkach mogą wymagać heroizmu. I, co smutne, rząd współczesnych Chin niejednokrotnie ingerował w identyfikację reinkarnowanych lamów.

Czytelnikom, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej, polecić można wiele znakomitych źródeł. Być może najbardziej wyczerpującymi pracami opisującymi tybetańskie doświadczenia są: *In Exile from the Land of Snows* Johna Avedona oraz *The Dragon in the Land of Snows* Tseringa Shakyi. Wśród wielu znakomitych relacji z pierwszej ręki, pisanych przez lub o Tybetańczykach ocalałych z pogromu, wymienić można: *A Strange Liberation: Tibetan Lives in Chinese Hands* Davida Patta, *Ama Adhe: The Voice that Remembers* Adhe Tapontsanga i Joy Blakeslee, *Autobiography of a Tibetan Monk* Paldena Gyatso oraz *In the Presence of my Enemies* Sumner Carnahan. Szczegóły najgłośniejszej spośród interwencji Pekinu w wybór tybetańskich

reinkarnowanych lamów przedstawione zostały w znaczącej pracy Isabel Hilton *The Search for the Panchen Lama*. Fascynująca, oparta na koniach kultura Kazachów jest dobrze opisana w *Kazakh Traditions of China* autorstwa Awel-khana Hali, Zenxianga Li i Karla W. Luckerta, oraz w *China's Last Nomads*, autorstwa Lindy Benson i Ingvara Svanberga. Elizabeth Wayland Barber przedstawia w swej książce *The Mummies of Urumchi* znaczące odkrycia archeologiczne dokonywane na terenach Takla Makan, jeszcze obszerniej omówione w *The Tarim Mummies* pióra J. P. Mallorj[^]ego i Victora H. Maira. I wreszcie, dla wszystkich czytelników pragnących dowiedzieć się czegoś więcej o świecie grających świerszczy, *Insect Musicians and Cricket Champions* Lisy Gail Ryan stanowić będzie liryczne wprowadzenie.

Słowniczek terminów obcojęzycznych

Słowniczek ten nie obejmuje terminów użytych tylko raz, których znaczenie zostało wyjaśnione bezpośrednio w tekście

Aksai Chin Region graniczny położony na styku gór Kunlun z Karakorum, na południowym zachodzie regionu Xinjiang. Przynależność Aksai Chin jest przedmiotem sporu między Indiami i Chinami, choć teren jest okupowany przez Chińczyków.

ani tybet. Buddyjska mniszka.

ashamai tur. Specjalne miękkie siodło, tradycyjnie ofiarowywane kazachskim dzieciom po osiągnięciu piątego roku życia, w wieku, kiedy z reguły przestają jeździć z rodzicami i zaczynają same dosiadać konia.

bumpa tybet. Drogocenna waza albo obrzędowy dzban na wodę używany w rytuałach buddyjskich.

besikzhyry tur. Kołysanka.

Czangtang tybet. Rozległy płaskowyż zajmujący większą część północno-środkowego Tybetu.

chuba tybet. Gruby, podobny do peleryny kożuch z owczej skóry lub, rzadziej, płaszcz z grubej wełnianej tkaniny.

dombra tur. Dwustrunowy, podobny do lutni instrument muzyczny.

dopa tur. Okrągła czapeczka bez randa noszona często przez pobożnych muzułmanów.

dorje tybet. Dosłownie „pan kamieni”, w sanskrycie zwany wadźrą. Przedmiot obrzędowy o zbliżonym do berła kształcie, symbolizujący drogę do oświecenia, określany jako „niezniszczalny jak diament” i „potężny jak piorun”.

dropka tybet. Koczownik z płaskowyżu Czangtang, dosłownie „mieszkaniec czarnego namiotu”.

Eluosi chin. Określenie stosowane do rosyjskich emigrantów zamieszkujących region Xinjiang.

gau tybet. Zazwyczaj noszony na szyi mały metalowy relikwiarzyk na tekst modlitwy lub amulet.

gompa tybet. Klasztor buddyjski, dosłownie „miejsce medytacji”.

karaburan tur. Burza piaskowa, zwłaszcza jeden z „czarnych huraganów” nękających pustynię Takla Makan.

karez tur. Podziemny grawitacyjny system nawadniający dostarczający wodę z górskich źródeł do odległych gospodarstw rolnych i osad. Niektóre elementy karezu w Xinjiang pochodzą sprzed dwóch tysięcy lat.

Khampa tybet. Członek plemienia Kham zamieszkującego region o tej samej nazwie, obejmujący pierwotnie wschodnie tereny Tybetu.

khata tybet. Szal modlitewny, tradycyjnie wykonywany z białego jedwabiu lub bawełny, często ofiarowywany lamie na zakończenie obrzędu.

kharoszthi Pismo wywodzące się z aramejskiego, pochodzące z piątego wieku p.n.e., w starożytności używane powszechnie na terenach, przez które przechodził Jedwabny Szlak.

khez khuwar tur. Kazachskie zawody jeździeckie, tradycyjnie rozgrywane między dziewczętami z jednej strony a chłopcami z drugiej.

Kunlun Wysokie, długie pasmo górskie stanowiące północną granicę Wyżyny Tybetańskiej, ciągnące się od gór Pamiru i Karakorum na granicy z Pakistanem przez kilkaset kilometrów na wschód.

lama tybet. Tybetańskie tłumaczenie sanskryckiego guru, tradycyjnie oznaczające w pełni wyświęconego, starszego rangą mnicha nauczyciela.

lao jiao chin. Dosłownie „reedukacja przez pracę”, więzienie lub obóz o lżejszym rygorze, gdzie więźniowie poddawani są intensywnej indoktrynacji politycznej.

lao gai chin. Dosłownie „poprawa przez pracę”, obóz pracy przymusowej.

lung ma chin. „Koński smok”, mityczne stworzenie, pół koń, pół smok, niosące sprawiedliwość prostym ludziom.

lha gyal lo tybet. Tradycyjne tybetańskie zawołanie wyrażające cześć lub radość, dosłownie „niech zwyciężą bogowie”.

mała tybet. Buddyjski różaniec, zazwyczaj składający się ze 108 paciorków.

mani tybet. Kamień z wykutym lub/i wymalowanym tekstem buddyjskiej modlitwy lub mantry, zazwyczaj *OM MANI PADME HUM*.

Mei Guo chin. Ameryka, dosłownie „Piękny Kraj”.

mudra tybet. Ściśle ustalony układ dłoni i palców symbolizujący określoną modlitwę, ofiarę lub stan umysłu.

Nadam tur. Kazachskie święto koni, podczas którego koczownicze klany gromadzą się na kilka dni i urządzają wyścigi konne oraz inne zawody sportowe.

nan tur. Płaski chleb tradycyjnie pieczony na kamieniu.

nei lou chin. Tajemnica państwowa, dosłownie „wyłącznie do użytku władz”.

pecha tybet. Tybetańska święta księga, zazwyczaj złożona z nie zszywanych długich wąskich kart owiniętych w tkaninę, niekiedy ujętych w rzeźbione drewniane okładki.

purba tybet. Dosłownie „gwóźdź” lub „klin”, mały sztylet z trójgraniastą głownią, używany w rytuałach buddyjskich do okiełznywania demonów.

rinpocze tybet. Honorowy tytuł przysługujący wybitnym mistrzom duchowym, dosłownie „drogocenny (nauczyciel)”.

Sekset Ata tur. Bóstwo opiekuńcze kóz.

sundet tur. Według kazachskich zwyczajów, chłopiec zostaje obrzezany pomiędzy piątym a siódmym rokiem życia, podczas ceremonii *sundet toi*. Często z tej okazji otrzymuje on od swej rodziny kuca nazywanego później jego koniem *sundet*.

synshy tur. „Znawca koni” lub „zaklinacz koni”, człowiek uważany za obdarzonego szczególną zdolnością porozumiewania się z końmi oraz rozpoznawania ich osobowości, przymiotów i chorób.

Takla Makan tur. Rozległa pustynia zajmująca południowe obszary środkowego Xinjiang, pomiędzy górami Tien-shan na północy a pasmem Kunlun na południu, słynąca z ekstremalnych temperatur oraz zdradzieckich ruchomych piasków.

tamzing chin. „Zebranie krytyki”, z reguły publiczna krytyka osoby, w ramach której poniżenie oraz słowna i/lub fizyczna przemoc wykorzystywane są jako narzędzia indoktrynacji politycznej.

thanka tybet. Malowidło na tkaninie, zwykle o charakterze religijnym, często uważane za święte.

torma tybet. Rytualna ofiara wykonywana pierwotnie z masła i mąki jęczmiennej, formowana i farbowana w różnych kształtach i rozmiarach w hołdzie dla bóstw buddyjskich.

tsampa tybet. Prażona mąka jęczmienna, podstawowe pożywienie Tybetańczyków.

tsingha tybet. Małe, podobne do cymbałów dzwonki używane w rytuałach buddyjskich.

Urumczy Stolica Regionu Autonomicznego Xinjiang.

Xinjiang Region Autonomiczny Xinjiang, nazwa nadana przez Chińską Republikę Ludową rozległemu obszarowi graniczącemu od północnego zachodu z Mongolią, od wschodu z chińskimi prowincjami Gansu i Qin-ghai, od południa z Tybetem, od zachodu zaś z Kazachstanem, Kirgista-nem, Tadżykistanem, Afganistanem, Pakistanem i Indiami.

zheli tur. Lina rozpięta pomiędzy kołkami lub drzewami służąca do wiązania młodych zwierząt.

Zhylkhyshy Ata tur. Bóstwo opiekuńcze koni, nazywane również Kham-bar Ata.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-14

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/